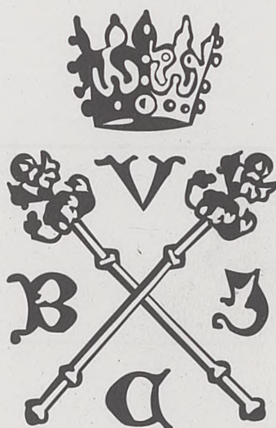




F. ŁAGOWSKI

WYPISY POLSKIE

na kl. IV-tą.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

WYPISY POLSKIE

na Klasę IV-tą

SZKÓŁ ŚREDNICH

ułożył

FLORJAN ŁAGOWSKI.

WYDANIE DRUGIE.



WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1906

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Января 1906 года.



SPIS RZECZY.

A. PROZA.

I. ŻYCIORYSY.

II. ROZPRAWKI.

III. Z PRZYRODY.

IV. Z HISTORJI.

V. Z POWIEŚCI.

VI. Z PODRÓŻY PO KRAJU.

VII. Z PODROŻY PO ZA KRAJEM.

B. POEZJA.

I. PIEŚNI RELIGIJNE.

II. LEGIENDY I BALLADY.

III. SONETY.

IV. Z POEZJI OPISOWEJ.

V. DUMY I KANTATY NA CZEŚĆ MĘŻÓW ZASŁUGI.

VI. DUMKI, PIEŚNI.

VII. EPIGRAMATY.

Spis autorów,

których utwory pomieszczono w „Wypisach.“

Asnyk Adam (pseudonim El...y), (1838 † 1893), poeta. napisał 4 tomy „Poezji“ oraz tragiedje: „Kiejstut,“ „Cola Rienzi;“ dramat „Bracia Lerche“ i in.

Bobrzyński Michał (ur. 1849), współczesny historyk polski, nap. „Dzieje Polski w zarysie,“ autor wielu monografji z dziedziny historji i prawa.

Brodziński Kazimierz (1791 † 1835), żołnierz napoleoński, poeta sielankowy, („Wiesław“), profesor historji literatury polskiej w uniwersytecie Warszawskim, badacz literatury. Dzieła jego wyszły w 8 tomach.

Chmielowski Piotr (ur. 1848 † 1905). Krytyk i znawca literatury polskiej. Pisarz niesłychanie pracowity, sumienny, pod względem formy odznaczający się prostotą i jasnością. Napisał kilkanaście dzieł niezmiernie cennych, jak: „Historja literatury polskiej'' w 6 tomach, „Zarys najnowszej literatury polskiej od r. 1864—1867.'' „Adam Mickiewicz'' 2 duże tomy, „Autorki polskie XIX wieku.'' „Kobiety Słowackiego, Mickiewicza i Krasińskiego'' i wiele innych.

Dębicki Zdzisław (ur. 1871), współczesny poeta: wyd. „Ekstaza,“ „Zbiór poezji,“ „Noce bezsenne“ i t. d.

Dygasiński Adolf (1839 † 1902) pedagog, powieściopisarz; nieporównany w odtwarzaniu świata zwierzęcego i wizerunków ludowych w wielu swych utworach belletrystycznych.

Gloger Zygmunt, współczesny pisarz, badacz naszego ludu, autor wielu prac treści archeologicznej, etnograficznej i historycznej, wyd. „Encyklopedję staropolską,“ „Księgę rzeczy polskich,“ „Rok Polski w życiu, tragiedji i pieśni,“ „Gieografję historyczną dawnej Polski.“ „Podróże po kraju“ i wiele innych.

Głowacki Aleksander (pseudonim: *Prus Bolesław*), (ur. 1847). Nauki uniwersyteckie kończył w Szkole Głównej w Warszawie. Poświęcił się stale literaturze, pisał do różnych dzienników artykuły treści ekonomiczno-społecznej; feljetony jego zjednały mu wielką popularność. Sławę jego stanowią „Nowelle“ i powieści: „Placówka,“ „Lalka,“ „Faraon,“ „Emancypantki“ i t. d.

Gąsiorowski Wacław, (ur. 1879) współczesny powieściopisarz: nap. powieść „Huragan“ i wiele innych z czasów Napoleońskich.

Gębarski Stefan, współczesny powieściopisarz, piszący przeważnie dla młodzieży i ludu.

Gorecki Antoni (1787†1861), kapitan z r. 1812. Autor: bajek, elegji, satyr, krakowiaków i t. d.

Górski K. M. (ur. 1862), poeta, profesor szkoły sztuk pięknych w Krakowie, autor wielu rozpraw literackich i artystycznych.

Hoffman Karol (ur. 1855 r.), współczesny dziennikarz i poeta.

Hołowiński Ignacy (1800 † 1855), ksiądz, profesor teologji w uniwersytecie kijowskim, potym rektor akademji duchownej w Petersburgu, w końcu arcybiskup-metropolita Mohylewski. Mówca, poeta, tłómacz, autor „Podróży do Ziemi Świętej.“

Jankowski Edmund (ur. 1849), kandydat nauk przyrodniczych uniwersytetu Warszawskiego, profesor ogrodnictwa. Autor licznych dzieł ogrodniczych i rozpraw przyrodniczych.

Jaśkowski Jan Nepomucen, (ur. 1807†1882). Poeta polski, napisał wiele wierszy, jak: legiendy, ballady, elegje, dytyramby i wiele artykułów do pism. Do celniejszych jego poezji należą: „Ballada jakich wiele,“ „Ballada jakich mało,“ „Grosz wdowi,“ „Stary Robin Greg“ i inne.

Kochanowski Jan (1550 † 1584), największy poeta polski XVI wieku, urodzony w Sycynie (ziemi sandomierskiej), kształcił się w uniwersytecie Krakowskim, potym we Włoszech w Padwie. Zwiedził całe prawie Włochy; przebywał we Francji. Po powrocie do ojczyzny został sekretarzem królewskim; osiadł potym na roli w Czarnym Lesie. Utraciwszy ukochaną Urszulkę, żal po niej opiewał w poemacie p. t. „Treny.“ Nie przyjąwszy godności kasztelana, którą mu przyjaciel jego, hetman i kanclerz Jan Zamojski wyjednał, poprze-

stał na skromnym urzędzie wojskiego sandomierskiego. Z pod pióra jego wyszły: „Pieśni“ (polskie i łacińskie), „Psałterz Dawidów,“ dramat „Odprawa posłów greckich, „Fraszki,“ Elegje (łacińskie), „Liryki“ i t. d.

Kijeński Stanisław (ur. 1857 r.), ukończył wydział prawny w uniwersytecie Warszawskim. Redagował „Album zasłużonych Polaków i Polek.” Pisał wiele życiorysów i wydał kilka broszur, omawiających zagadnienia życia społecznego i politycznego.

Kondratowicz Ludwik (pseudonim) *Władysław Syrokomla* (ur. 1823 † 1862), należy do najlepszych i najpłodniejszych poetów polskich XIX wieku. Jako poeta „siermiężnej i szaraczkowej” części narodu zasłużył sobie na wielkie imię i czystą sławę. Jest mistrzem w gawędkach, obrazach, sielankach i wierszach lirycznych. Największą wartość mają jego poematy: „Urodzony Jan Dęboróg,” „Margier,” „Szkolne czasy,” „Janko Cmentarnik,” „Lirnik wioskowy” i w. in. Napisał także kilka pięknych dramatów, „Dzieje literatury polskiej,” „Podróże po Litwie.” Dzieła jego wyszły w 10 tomach.

Konopnicka Marja (ur. 1846), utalentowana współczesna literatka i poetka nap. „Poezje“ (4 serje), „Linje i dźwięki,“ „Wybór poezji,“ „Italja,“ „Damnata“i t. d. Prześliczne są jej wiersze dla dzieci, wydane w książkach p. t. „Wiosna i dzieci,“ „Moja książeczka,“ „Wesołe chwile,“ „W domu i w świecie,“ „Szczęśliwy Światek,“ „O Janku Wędrowniczku,“ „Czytania dla Tadzia i Zosi,“ „Śpiewnik dla dzieci“ z muzyką Z. Noskowskiego i in.

Krasnowolski Antoni (ur. 1853), współczesny badacz języka polskiego i autor podręczników pedagogicznych: „Gramatyka języka polskiego“ w 4 częściach, „Słownik frazeologiczny“, „Składnia języka polskiego,“ „Wzory do ćwiczeń stylistycznych“ 2 tomy i t. d.

Kraszewski Józef Ignacy (1812 † 1887), poeta, powieściopisarz, historyk polski. Zdumiewa pracowitością: napisał przeszło 600 tomów dzieł rozmaitej treści, głównie zaś powieści historycznych i obyczajowych. Nauki pobierał w Białej (na Podlasiu), w Lublinie i Swisłoczy, potym uczęszczał na uniwersytet w Wilnie. Na Wołyniu oddawał się pracy gospodarczej i literackiej. W r. 1860 przeniósł się do Warszawy, gdzie redagował „Gazetę Codzienną“ (zamienioną później na „Polską“). W r. 1863 mieszkał w Dreznie. Umarł w Gienewie, spoczywa w grobie „zasłużonych“ w Krakowie. Napisał cykl „Powieści

historycznych" obejmujących „Dzieje Polski do rozbioru" 78 tomów.

Kraushar Aleksander (ur. 1843), współczesny historyk polski. Wydał „Dzieje Towarzystwa Przyjaciół Nauk" i wiele innych cennych dzieł historycznych.

Kramsztyk Stanisław (ur. 1841), współczesny przyrodnik, autor wielu prac i podręczników do nauk przyrodniczych.

Kremer Józef (1806†1875), profesor filozofji na uniwersytecie Jagielońskim, autor wielu dzieł treści filozoficznej i estetycznej: „Wykład systematycznej filozofji" (5 tomów), „Grecja starożytna i jej sztuka, zwłaszcza rzeźba," „Podróż do Włoch," 6 tomów „Listy z Krakowa" 3 tomy i t. d.

Libelt Karol, zmarły w r. 1875, autor wielu dzieł, z zakresu filozofji i estetyki.

Łuszczewska Jadwiga pseudonim: *Deotyma* (ur. 1830), współczesna autorka i poetka, nap. „Polska w pieśni," „Jan Sobieski," „Poezje" 2 tomy i in.

Marrené Walerja (zm. 1904), literatka i autorka wielu powieści, jak: „Nemezys," „Zasady i czyny," „Dziki Tomek" i wielu innych. Napisała także dzieło „Historja sztuki."

Matlakowski Władysław (ur. 1851 † 1895), lekarz. Oprócz rozpraw lekarskich wydał: „Budownictwo ludowe na Podhalu," „Ornamentyka ludowa u Podhalan" i in.

Mickiewicz Adam (ur. 24 grudnia 1798 r., w Nowogródku, na Litwie, † 26 listopada 1855 r. w Konstantynopolu). Ojciec jego, Mikołaj, był adwokatem w Nowogródku, matka—Barbara z Majewskich. Kształcił się w Nowogródku w szkole OO. Dominikanów, a w r. 1815 do 1819 studjował nauki na uniwersytecie wileńskim. Od r. 1819—1820 był nauczycielem w szkole powiatowej w Kownie, lecz dla słabego zdrowia otrzymał uwolnienie i przeniósł się do Wilna, gdzie wydał 2 tomiki swoich poezji. W roku 1824 opuścił Litwę. Przebywał potym w Petersburgu, Odesie i Moskwie. W r. 1829 przez Szwajcarję i Niemcy udał się do Rzymu. Stamtąd przeniósł się do Drezna, następnie do Paryża, gdzie stale zamieszkał. W r. 1839 objął katedrę literatury rzymskiej w Lozannie (w Szwajcarji), ale w następnym już roku wezwano go do Paryża dla wykładu historji literatur słowiańskich w Kollegjum francuskim. Wykładał tu od roku 1840—1844. We wrześniu 1855 r. wysłany został przez rząd francuski

na Wschód; zachorował nagle i umarł 26 listopada 1855 roku w Konstantynopolu. Zwłoki jego przywieziono do Francji i złożono na cmentarzu Montmartre pod Paryżem, skąd 4 lipca 1890 r. sprowadzono je do Krakowa i uroczyście pochowano w grobach królewskich na Wawelu. Utwory: „Ballady i romanse,“ „Grażyna,“ „Dziady,“ „Sonety,“ „Konrad Wallenrod,“ „Pan Tadeusz“ i t. d.

Mickiewicz Władysław (ur. 1838), syn Adama, literat polski i francuski, księgarz, wydawca dzieł ojca, autor życiorysu „Żywot Adama Mickiewicza.

Morawska Zuzanna, (ur. 1848 r.). Autorka wielu prac w kierunku pedagogicznym. Napisała kilkanaście tomów powieści dla młodzieży, treści historycznej i pedagogicznej: „Pogadanki z dziećmi,“ „Giermek książęcy,“ „Wilcze gniazdo,“ i in. Oprócz tego pomieszcza liczne artykuły w pismach dla młodzieży.

Niemcewicz Juljan Ursyn (ur. 1758 w Skokach na Litwie † 1841 w Paryżu), poeta, historyk, powieściopisarz, dramaturg i mąż stanu. Wychowaniec szkoły kadetów, został adjutantem księcia Czartoryskiego, gienerała ziem podolskich. Podróżował po Włoszech, Francji i Anglji. Na sejmie czteroletnim (1788—1791) występuje jako poseł z Inflant. Walczy 1792 r. i potym, jako adjutant Kościuszki. Wraz z Kościuszką dostaje się pod Maciejowicami do niewoli, skąd uwolniony, udał się z nim do Ameryki. Po utworzeniu się Księstwa Warszawskiego wraca do kraju, zostaje sekretarzem senatu i zasiada jako członek Izby Edukacyjnej. Po roku 1831 przenosi się do Paryża. Dzieła jego: „Powrót posła“ komedja, „Śpiewy historyczne,“ „Jan z Tęczyna,“ powieść, „Dzieje panowania Zygmunta III,“ „Pamiętnik,“ „Podróże“ i w. in.

Odyniec Antoni Edward (1804†1885), poeta, przyjaciel i towarzysz Mickiewicza. Przebywał na Litwie, później w Warszawie. Pisał ballady, legiendy, wiersze drobne. Tłómaczył z Byrona, Schillera, Walter-Skotta i t. d. Wyd. „Listy z podróży,“ „Wspomnienia z przeszłości“ i t. d.

Oppman Artur (ur. 1867), współczesny poeta i literat, używa pseudonimu *Or-ot.* Napisał „Poezje,“ „Pieśni,“ „Wybór poezji.“ Napisał też mnóstwo książeczek i wierszy dla dzieci.

Pawiński Adolf (ur. 1840 † 1896) b. profesor Szkoły Głównej i Uniwersytetu Warszawskiego, zasłużony uczony i zacny człowiek, otaczał opieką młodzież pracu-

jącą. Autor wielu prac historycznych i wielkiego zbioru p. t. „Źródła dziejowe.'' Jest to dzieło kilkunasto-tomowe, zawierające bardzo ważne materjały historyczne, dotyczące szczególnie wieku XVI.

Pług Adam (Pietkiewicz Antoni) (1830†1903), poeta („Sroczka“), powieściopisarz („Bakałarze,“ „Oficjaliści,“ „Duch i krew“ i t. d.).

Pol Wincenty (1807†1872). Kształcił się w Tarnopolu; został lektorem języka niemieckiego i literatury niemieckiej w Wilnie. Brał udział w wypadkach 1831 r.— następnie udał się zagranicę, nakoniec osiadł stale w Galicji jako rolnik. Od 1849—1853 był profesorem gieografji na uniwersytecie Krakowskim. Spoczywa w grobie „zasłużonych“ na Skałce. („Pieśni Janusza,“ „Pieśń o ziemi naszej,“ Pieśń o domu naszym,“ „Mohort,“ „Pamiętnik Benedykta Winnickiego,“ „Pacholę hetmańskie,“ „Obrazy z życia i natury“ prozą i w. in.).

Rydel Lucjan (ur. 1868 r). Współczesny poeta i dramaturg. Wydał 2 tomy „Poezji“ i wiele utworów scenicznych.

Siemieński Lucjan (1809†1877). Urodzony w Galicji, kształcił się w Lublinie u ks. Pijarów. Potym przebywał w Galicji, Wielkopolsce, Francji, Belgji. Osiadszy w Krakowie (1848 roku), redagował część literacką dziennika „Czas.“ Wielkie ma zasługi, jako tłómacz „Odyssei“ Homera, tłómaczył też pięknie „Ody“ Horacego. Prozą pisał „Wieczory pod Lipą“ (popularna historja Polski), „Portrety literackie,“ „Żywot Kazimierza Brodzińskiego i t. d.

Sienkiewicz Henryk (ur. 1846 w Woli Okrzejskiej, gub. siedleckiej, powiecie Łukowskim), wychowaniec Szkoły Głównej. W r. 1876—1878 odbył podróże do Ameryki Północnej; 1891 do Afryki. Krótsze utwory: „Stary sługa,“ „Za chlebem,“ „Latarnik,“ „Wspomnienie z Maripozy“ i t. d. Dłuższe utwory: „Ogniem i mieczem,“ „Potop,“ „Pan Wołodyjowski,“ „Rodzina Połanieckich“ i t. d.

Słowacki Juljusz (ur. 23 Sierpnia 1809 r. w Krzemieńcu † 3 Kwietnia 1849 r.). Naukę odebrał w uniwersytecie wileńskim. W r. 1831 przeniósł się zagranicę, gdzie prowadził żywot tułaczy w tęsknocie i goryczach. Jeden z najwybitniejszych gienjuszów Polski. Tworzy z Mickiewiczem i Krasińskim trójcę największych jej poetów. Znamieniem wszystkich dzieł jego jest siła uczuciowości, potęga wyobraźni i czar języka. Stworzył wiele pieśni ognistych i szereg powieści poetycznych, jak:

„Jan Bielecki,'' „Hugo,'' „Mnich,'' „Anhelli,'' „Balladyna,'' „Lilla Weneda,'' „Kordjan,'' „Beniowski,'' „Król Duch,'' „Mazepa'' i w. in. W „Listach do matki'' (2 tomy) maluje się jego serdeczna miłość dla niej.

Szajnocha Karol (1818 † 1868), ukończył uniwersytet we Lwowie. Pisał powieści, dramaty — wreszcie oddał się historji, dla której wielkie położył zasługi. W r. 1853 został kustoszem w Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich; w r. 1853 ociemniał, pracy jednak literackiej do końca życia nie porzucił. Dzieła jego: „Bolesław Chrobry,“ „Pierwsze odrodzenie Polski,“ „Szkice historyczne,“ „Jadwiga i Jagiełło,“ opowiadanie o Janie III, „Dwa lata dziejów naszych“ i t. d.

Szyc Aniela (ur. 1859), współczesna autorka wielu prac pedagogicznych; nap.: „Czytanki stopniowane“ w 3 częściach, „Gramatykę języka polskiego,“ „Nauka w domu,“ „Jak badać umysł dziecka“ i w. in.

Tarnowski Stanisław (ur. 1837), prezes Akademji Umiejętności, profesor historji literatury polskiej. Dzieła jego: „Historja literatury polskiej,“ „Pisarze polityczni w XVI w.,“ „Jan Kochanowski,“ „Zygmunt Krasiński,“ „Henryk Sienkiewicz“ i wiele innych rozpraw treści literackiej i politycznej.

Tatomir Lucjan (ur. 1830 † 1901). Nauczyciel szkół we Lwowie. Napisał doskonałą „Historję Polski,'' „Gieografję Polski;'' dzieła: „Król Kazimierz W. i Wierzynek;'' „Obrazki gieograficzne,'' „Ferje Alpejskie'' i wiele innych.

Tetmajer Kazimierz (ur. 1865), poeta, powieściopisarz współczesny, nap. „Poezje“ 4 tomy i kilka tomów powieści.

Urbanowska Zofja, współczesna powieściopisarka, autorka wielu książek dla młodzieży, nap. „Róża bez kolców,“ „Atlante,“ „Księżniczka“ i inne.

Woronicz Jan Paweł (ur. 1757 † 1829). Arcybiskup warszawski i Prymas Królestwa Polskiego, natchniony kaznodzieja i poeta. Autor dzieł kaznodziejskich i poetycznych, gorący patrjota.

Zaleska Julja Marja (ur. 1831 † 1889). Autorka polska dla młodzieży. Oprócz wielu prac pomieszczanych w pismach dla młodzieży, napisała kilkanaście tomów powiastek i książek pedagogicznych, jak: „Wieczory Czwartkowe,“ „Obraz świata roślinnego,“ „Listki i ziarnka,“ „Pamiętnik młodej dziewczyny,“ „Z pałaców i chat,“ „Przewodnik wychowania“ i in.

Zaleski Józef Bogdan (1802 † 1886). Kształcił się w Humaniu, potym w uniwersytecie warszawskim. Przebywał w Warszawie; po roku 1831 za granicą, głównie we Francji. Znakomity poeta liryczny: „Dumki,“ „Rusałki,“ „Czajki,“ „Duch od stepu,“ „Przenajświętsza Rodzina“ i t. d. Poezje jego zawierają 4 tomy.

Żeromski Stefan (ur. 1864), współczesny powieściopisarz, oprócz wielu „nowel“ napisał większe powieści: „Ludzie bezdomni,“ „Popioły“ i inne.

A. PROZA.

I. ŻYCIORYSY.

1. Jan Leon Hipolit Kozietulski.

1781 † 1820.

Kozietulski urodził się w Skierniewicach, d. 4 lipca 1781 r., z ojca Antoniego, starosty będzińskiego, i Marjanny z Grotowskich, sędzianki rawskiej. Ród Kozietulskich, starodawny i w Rzeczypospolitej zasłużony, pisał się z Kozietuł, w Czerskim położonych, a pieczętował Habdankiem.

Po ukończeniu nauk w korpusie kadetów, Kozietulski zaciągnął się w szeregi wojska polskiego. Była to chwila właśnie, kiedy bitwa pod Jeną zgruchotała potężne dotychczas Prusy; Napoleon oderwał od nich prowincje polskie; Wybicki i Dąbrowski ogłosili proklamację do narodu (3 listopada 1806 r.), a w ciągu dwuch miesięcy niespełna 30,000 Polaków stanęło pod bronią.

W liczbie tej znajdował się Kozietulski; został on mianowany podkomendantem gwardji honorowej; oddział ów, przyłączony do korpusu marszałka Lannes, odznaczył się kolejno pod Nasielskiem, pod Pułtuskiem i pod Eylau.

Kozietulski, walczący nieustraszenie we wszystkich wyżej wzmiankowanych bitwach, w nagrodę zasług mianowany został szefem szwadronu w pułku lekkokonnym szwoleżerów.

Pułk ten, utworzony przez Wincentego Krasińskiego, ojca Zygmunta, był najpiękniejszym i najcelniejszym

bodaj ze wszystkich pułków wojsk Księstwa Warszawskiego. Służył w nim kwiat młodzieży polskiej.

Część wojsk polskich na rozkaz Napoleona wyruszyła do Hiszpanji, pułk Krasińskiego należał do nich. Napoleon szedł do Madrytu, ale chcąc zająć stolicę Hiszpanji, potrzeba było przejść wprzód skaliste wąwozy Somo-Sierra, obsadzone działami i bronione przez 13,000 Hiszpanów, walczących z energją rozpaczy.

Szedł pułk za pułkiem piechoty francuskiej i wracał odparty, zdziesiątkowany; wodzowie napoleońscy zwątpili o możliwości zdobycia wąwozu. Wtedy cesarz przywołał Berthiera i wydał mu rozkaz, aby na służbie będący szwadron polskich szwoleżerów ruszył do ataku. Aczkolwiek Napoleon nie znosił żadnych uwag, Berthier ośmielił się zwrócić uwagę, że zdobycie tej silnej pozycji jest niepodobieństwem i że szwadron pójdzie na pewną zgubę.

— Zostaw to Polakom i rób swoje! — odpowiedział cesarz.

Wtedy marszałek podjechał ku szwadronowi szwoleżerów:

— Cesarz powierza wam zdobycie tego wąwozu i pewny jest, że go weźmiecie!—zawołał.

Kozietulski zakomenderował:—«Formuj się w czwórki i marsz! marsz!» — ale nim szwadron rozwinął się w połowie, zasypał go grad kartaczy hiszpańskich. Natychmiast poległ oficer Rudowski. Kozietulski wówczas zakomenderował powtórnie i szwoleżerzy ruszyli jak burza.

Szarża była tak gwałtowna, że Hiszpanie jeden raz zdążyli dać ognia. Pod Kozietulskiem zabito konia, ale już 12 armat było zdobytych. Nieustraszony szef dosiadł drugiego rumaka, i dopiero silna kontuzja w lewą nogę zmusiła go, że zdał dowództwo Dziewanowskiemu.

Wąwóz Somo-Sierra został zdobyty, ale zwycięstwo to drogo kosztowało Polaków. Padł Dziewanowski, zginęli Rowiecki i Krzyżanowski. Niegolewski otrzymał 32 rany, (z których się jednak później wyleczył). Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu jedynie 37.

Płaszcz Kozietulskiego podziurawiony był jak rzeszoto; płaszcz ów, darowany później księżnie Adamowej Czartoryskiej, gienerałowej ziem podolskich, złożony został w Sybilli puławskiej.

Napoleon szarżę szwoleżerów nazwał atakiem tak świetnym, jakiego dotąd nigdy nie było. Kozietulski

zaraz na placu boju otrzymał z rąk cesarza krzyż kawalerski legji honorowej; w trzy lata później nadał mu Napoleon tytuł barona cesarstwa francuskiego z przydaniem do rodzinnego herbu—wieży kastylskiej, miecza chorągwi.

Kozietulski z równym zawsze męstwem walczył następnie pod Alcala, Gwadalachar i St. Cruz. Potem, gdy cesarz wojsko swoje przerzucił do Niemiec, Kozietulski w bitwie pod Wagram raniony został w głowę, za co otrzymał krzyż oficerski legji, a ks. Józef Poniatowski, minister wojny Księstwa Warszawskiego, posłał mu krzyż kawalerski polski orderu wojskowego virtuti militari.

W słynnej kampanji 1812 roku Kozietulski dokazywał cudów waleczności. Pod Małym Jarosławcem mianowany został pułkownikiem-majorem, otrzymał wtedy dwie rany. Przy Napoleonie, jak całe zresztą wojsko polskie, wytrwał do końca.

Po wyleczeniu się z ran i po ustanowieniu Królestwa Kongresowego, Kozietulski otrzymał w 1815 r. dowództwo 3-go pułku ułanów. Nadwątlone jednak zdrowie nie pozwoliło mu pełnić długo służby. W 1821 roku, dnia 3 lutego zakończył życie, licząc zaledwie 39 lat wieku.

Umarł w Warszawie na Lesznie, w domu oznaczonym dziś nr. 10-ym.

Zwłoki jego przewiezione zostały do grobu familijnego w Belsku, pod Grójcem.

Artur Oppman.

---

2. Tadeusz Czacki.

1765 † 1813.

Tadeusz Czacki, syn Szczęsnego, znanego wówczas z wielkich cnót i stałości swych zasad obywatela, urodził się w roku 1765 w Porycku na Wołyniu.

Wychowanie odebrał pod kierunkiem sędziwego księdza jezuity, Faustyna Grodzickiego, i już w młodzieńczym wieku wstąpił na pole zawodu publicznego, jako członek sądów nadwornych koronnych. Z własnej ochoty zabrał się do porządkowania akt metryki koronnej,

a z woli sejmu wstąpił do komisji skarbowej w r. 1788, gdzie zjednał sobie imię urzędnika pracowitego i nieskazitelnego.

Już pierwsze prace publiczne Czackiego ujawniły w nim dążność do praktycznego zużytkowania bogactw krajowych.

Krzątając się około uregulowania żeglugi na Dniestrze i Dnieprze, starał się o rozszerzenie ziemiopłodów krajowych, zajmował się projektem szczegółowego pomiaru Polski, reformą obywatelską Żydów, słowem, owe pierwsze kroki na polu działalności publicznej ujawniły w Czackim zdolności finansisty, uczonego, ekonomisty-prawnika, historyka i pedagoga.

W pracach sejmu czteroletniego Czacki nie przyjmował czynnego udziału. Nie dzielił entuzjazmu ogółu dla ustawy majowej, lecz jako posłuszny prawu obywatel wykonał przysięgę na wierność ogłoszonym przez nią zasadom; gdy zwyciężyła Targowica, usunął się do zacisza domowego, by wspólnie z wybraną małżonką, Barbarą Dembińską, na innej drodze być użytecznym swym współobywatelom.

Wypadki 1794 r. zagroziły mu utratą majątku, lecz cesarz Paweł polecił mu zwrócić Ostróg, klucz brusiłowski i Poryck. W tymże czasie imieniem obywateli czynił starania o ustanowienie sądu głównego dla gubernji południowych i o przeniesienie akt metryki koronnej do tychże gubernji. W trakcie tych zajęć gorliwie pracował nad dziełem „o litewskich i polskich prawach," a przeniósszy się za rządów pruskich do Warszawy, wraz z Albertrandym, Sołtykiem i Dmochowskim osnuł pierwsze podwaliny do zawiązania «Towarzystwa przyjaciół nauk» celem pielęgnowania naukowości polskiej w języku rodzinnym. Jednocześnie wszakże utworzył i inne towarzystwo o celach praktycznych: w roku 1803 odpłynął z portu odeskiego do Tryjestu okręt pod banderą Tadeusza Czackiego, którego zadaniem miało być ułatwienie zbytu produktom krajowym na odległych rynkach handlowych.

Liberalny kierunek rządów Aleksandra I powołał na stanowisko kuratora wydziału naukowego wileńskiego, światłego ks. Adama Czartoryskiego, który był podówczas towarzyszem ministra spraw zewnętrznych. Pod zawiadywaniem kuratorstwa wileńskiego pozostawały sprawy oświaty wszystkich dawniejszych do cesarstwa przyłączonych prowincji polskich. Pragnąc przeprowa-

dzić reformę oświecenia w owych prowincjach w duchu Komisji Edukacyjnej, ks. Czartoryski wespół z ks. Hieronimem Stroynowskim, rektorem ówczesnej akademji wileńskiej, powierzył Czackiemu urząd wizytatora szkół w prowincjach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, przyczym zachęcił go, by osobistym wpływem obudził ofiarność na cele oświaty rodzimej między obywatelstwem.

Czacki gorliwie zabrał się do dzieła; wsparty radami bawiącego podówczas na Wołyniu ks. Hugona Kołłątaja, zapragnął zreformować powierzone swej opiece szkoły w duchu praktycznym, tak, by młodzież w nich kształcąca się nabywać mogła wiadomości użytecznych, między innemi z dziedziny: ogrodnictwa, mechaniki praktycznej i weterynarji. Wszystkie powagi ówczesne powołanemi zostały do wynurzenia opinji w ważnej sprawie reformy szkolnictwa: Ignacy Potocki, Staszic, Jan Śniadecki, Linde, i t. d. Przedewszystkim wszakże uznał Tadeusz Czacki za konieczne utworzenie nowego gimnazjum na Wołyniu, w Krzemieńcu, któreby stanowiło zakład wzorowy i rozsadnik przyszłej oświaty na Rusi. Niezależnie od teoretycznych prac około przyszłej reformy, postanowił Czacki osobiście zająć się gromadzeniem między obywatelstwem funduszów na utworzenie upragnionej szkoły.

Wypracowane przy współudziale Kołłątaja ustawy szkoły Krzemienieckiej zyskały dnia 29 lipca 1805 roku sankcję cesarską. Otwarcie owego zakładu naukowego nastąpiło w dniu 1 października t. r., urządzenie zaś pensji żeńskich, konwiktu dla ubogich uczniów, seminarjum nauczycieli parafjalnych, szkoły chirurgów, weterynarzy i t. d., dopełniły dzieła, z takim zaparciem się i poświęceniem przeprowadzonego.

Odtąd Czacki postanowił resztę dni swoich poświęcić ukochanej instytucji i sprawie oświaty.

Zawiść współzawodników usiłowała zniweczyć w samym zarodzie kiełkujące ziarna lepszej przyszłości młodszego pokolenia, lecz obywatelska cnota Czackiego pokonała te intrygi, dzięki bezgranicznemu zaufaniu, jakie szlachetny minister Zawadowski żywił dla intencji reformatora. Dowodem owego zaufania było powierzenie Czackiemu zastępstwa obowiązków kuratora wydziału wileńskiego.

Nie ustając w pracach około zabezpieczenia bytu zreformowanych szkół na Wołyniu, wyjednał Czacki w r. 1807 ustanowienie w Wilnie i Krzemieńcu dwuch

komisji sądowo-edukacyjnych, celem wyświetlenia stanu funduszów, w dawnych czasach na oświatę przeznaczonych, czego rezultatem była możność powiększenia liczby szkół parafjalnych na Wołyniu i lepsze uposażenie innych zakładów naukowych.

Raz jeszcze w r. 1810 usiłowała zawiść nieprzyjaciół podkopać fundamenty budowy Czackiego, lecz wyznaczona komisja do zbadania zarzutów, duchowi wykładów w szkołach Czackiego uczynionych, wykazała ich bezgruntowność. Cesarz Aleksander I zezwolił obywatelom Podola, Wołynia i Ukrainy uwiecznić zasługi Czackiego wybiciem medalu z jego popiersiem i stosownym napisem.

Chmielowski w pięknym swym studjum, poświęconym Czackiemu, przytacza słowa wielkiego męża, skreślone na krótko przed zgonem do syna.

Malują one szlachetne dążności, cele i aspiracje człowieka, który owocnej pracy dla dobra współbraci życie całe poświęcił. «Los nigdy dla mnie nie uśmiechał się—pisał Czacki.—Od kilkunastu lat publiczne i prywatne przygody ciągłą idą koleją. Opatrzność może położy granicę nieszczęściom, może je zwiększy. Szanujmy wyrok Nieba, a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale. Już zbliżasz się do tego wieku, gdzie będziesz poznawał wszystkie przyczyny. Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkim; ona towarzyszyć winna od pierwszych lat do grobu, ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwym. Pamiętaj, abyś ziomkom służył! Apatja niech nie ma w twoich oczach cechy cnoty obywatelskiej. Są ludzie, jest ta sama ziemia, która przodków twoich żywiła i ciebie żywi. Jest i będzie wiecznie ten sam Bóg, który współludziom przynosić pomoc i nawzajem ją odbierać każe...»

Ostatnią czynnością publiczną Czackiego było otwarcie w r. 1812 gimnazjum kijowskiego. W rok niespełna, d. 8 lutego 1813 r., nagle, w sile wieku, zmarł w Dubnie. Pochowany w grobach przodków w Porycku.

Posiew rzucony przez Czackiego na niwę naukowości i oświaty polskiej, wydał niepożyty owoc. Na polu nauki, dzieła Czackiego, między którémi badania jego nad duchem praw polskich i litewskich, nad wpływem praw rzymskich i północnych na ustawodawstwo dawnej Rzeczypospolitej, nad ewakuacją monet, nad epoką Zygmunta Augusta, rozprawa jego o Żydach, zdumie-

wające ogromem erudycji, do klasycznych w literaturze swojskiej zaliczyć się dadzą.

Aleksander Kraushar.

---

3. Stanisław Konarski.

1700 † 1773.

W 1900 roku obchodziliśmy dwuchsetną rocznicę urodzin jednego z najznakomitszych i najwięcej zasłużonych mężów. Jest nim ksiądz Stanisław Konarski.

Całe życie poświęcił on pracy nad nauką i staraniu o dobro kraju, a nietylko nie ubiegał się za to o nagrodę, ale ofiarowanych mu godności, urzędów wysokich nie przyjmował, zapewne dlatego, iżby go one od pracy nad nauką nie odrywały. Jeżeli zaś piastował wyższe godności w swoim zakonie, to chwilowo, dopóki nie znalazł się ktoś inny, coby te urzędy mógł godnie sprawować lub też dlatego, aby ulepszenia, nad któremi pracował, łatwiej mógł przeprowadzić.

Poświęćmy więc chwilę, aby się przyjrzeć życiu i działalności takiego męża. Konarski urodził się 1700 roku i przeżył, mimo słabego zdrowia, lat 73. Pochodził ze znakomitej i zasłużonej rodziny. Mając lat 17 wstąpił do zakonu księży Pijarów. Tam się kształcił, a później dla nabycia większej nauki udał się do Rzymu. Tu tak się odznaczył zdolnościami i pracowitością, że powołano go na profesora tej samej szkoły (Collegium Nazarenum), której był uczniem. Po paru latach pobytu w Rzymie, udał się do innych krajów, gdzie zwiedzał rozmaite szkoły, zabierał znajomości z ludźmi uczonemi. Po kilku latach takiej pracy nad swoim wykształceniem powrócił do kraju (1730 r.) i tu rozpoczął starania nad ulepszeniami tego, co nie było dobre, a co u innych narodów widział daleko doskonalszym.

Tak więc zajął się zebraniem i wydaniem w druku prac, któremi się naród miał kierować; napisał książkę, w której wykazywał, jak przemawiać się powinno na naradach, uroczystościach, jak należało pisać pięknie i rozumnie; napisał sławne dzieło o tym, jak o dobre rządy w kraju dbać trzeba; nakoniec—zajął się przeprowadzeniem ulepszeń w ówczesnych szkołach. Ażeby dać

wzór dobrej szkoły, założył w Warszawie sławny pensjonat, zwany Collegium Nobilium.

To były najważniejsze prace naszego jubilata, któremi wielkie zasługi położył. Prócz tego pisał jeszcze bardzo wiele innych rozpraw i utworów poetycznych. Pominiemy je na teraz, czytelnicy nasi dowiedzą się dokładniej o nich w swoim czasie, a obecnie przypatrzymy się bliżej temu, czego wielki mąż pragnął, aby młodzież się uczyła, i jakie chciał w niej cnoty zaszczepić.

Czasy, w których Konarski szkołę zakładał, były bardzo ciężkie: było to świeżo po strasznych wojnach, a wojna nie sprzyja nigdy rozwojowi nauki. To też szkoły były zaniedbane, uczono w nich bardzo mało, prawie nic prócz języka łacińskiego. Konarski bardzo dbał o ten język; chciał, żeby go młodzież dobrze umiała, bo w tym języku dużo dzieł napisano i przytym w owych czasach ludzie wykształceni mieli zwyczaj mówienia i pisania po łacinie; ale zarazem pragnął, aby młodzież znała i inne nowożytne języki, jak niemiecki, włoski, a głównie chodziło mu o francuski, Francja wtedy bowiem słynęła z nauki. Pragnął też Konarski, aby młodzież uczyła się nauk przyrodniczych, matematyki, historji, gieografji i ażeby dobrze poznała język ojczysty i dzieła w nim pisane.

To też szkoła, którą Konarski otworzył—wszystkich tych przedmiotów starannie uczyła. Pragnął też, aby młodzież była zdrowa i dzielna: uczono tam więc konnej jazdy, celnego strzelania, robienia bronią. Piękne były zasady, w których uczniowie Konarskiego byli wychowywani. Przestrzegał on bardzo, aby młodzież zawsze porządnie i czysto była ubrana. Nie mógł znieść gburowatości; to też w przepisach swych upomina, aby uczniowie względem każdego okazywali się grzeczni, uprzejmi.

Ponieważ w jego pensjonacie było wielu uczniów, których rodzice nie mieszkali w Warszawie, a przez to rzadko mogli synów odwiedzać, to obowiązywał, aby każdy uczeń raz na miesiąc przynajmniej do rodziców pisywał i aby listy pisane były bardzo starannie. Widząc, że młodzież zamożniejsza, pieniądze dane jej przez rodziców i krewnych, niebacznie wydaje na błahostki, zalecał oszczędność i zachęcał, aby uczniowie, jeśli mają własne pieniądze i mogą według woli niemi rozporządzać—lepiej kupowali książki pożyteczne. Piękny też zwyczaj zaprowadził w swoim pensjonacie, chcąc przez

to wśród młodzieży wykształcić współczucie dla nieszczęśliwych. Oto codziennie w południe dwóch uczniów wychodziło za bramę szkolną i rozdawało jałmużnę oczekującym na nią ubogim. Pieniądze na jałmużnę dostawali uczniowie od przełożonego szkoły, ale ustawa zachęca, żeby i sami swoje pieniądze i od kolegów zebrane dodawali, aby przywykli swoim groszem dzielić się z biednemi. Przepisy szkolne zalecają posłuszeństwo rodzicom, przełożonym i wogóle tym, którzy młodzieżą kierują, bo kto umie być posłusznym w młodości, takim będzie i później: nie będzie słuchał prawa, którym się rządzą jego współobywatele, będzie robił nadużycia i mącił spokój w kraju. A uporu znieść nie mógł, ani hardego odpowiadania starszym. Ostrzegał, że bezkarnie nigdy nie ujdzie podobne zachowanie się.

Na innym znowu miejscu zaleca: „Jako największej ohydy, hańby, podłości, strzedz się mają uczniowie kłamstwa, do którego młodzież jest tak skłonna, a jest to znakiem charakteru fałszywego, niegodziwego i niepoczciwego. Kto z młodu w ten obmierzły nałóg wpadnie, nigdy od tego szkaradnego zwyczaju nie odwyknie”.

Piękne przepisy zachęcają młodzież do łączenia się w kółka przyjacielskie. Ze względu, że młodzież wychowuje się na to, aby umiała żyć społecznie, w stosunkach z innemi ludźmi, to przyzwyczajenie w młodości do tego, aby umieć sobie ludzi jednać, jest bardzo ważne. To też z radością patrzył, jeśli młodzież z sobą żyła w zgodzie, życzliwości, że jedni drugim pomoc niosą, pocieszają się w smutku wzajemnie. Ale też ostrzegał, że o ile zawieranie przyjaźni z dobremi jest pożądane, o tyle zgubne są stosunki ze złemi, lekkomyślnemi, próżniakami i t. p. bo z „kim kto przestaje, takim się staje”.

Na innym miejscu przepisy mówią „o złych humorach“. „Nic nieznośniejszego w młodzieńcach, jak widzieć i cierpieć ich złe humory. Nic zaś prawie zwyczajniejszego, jak porywczość do gniewu i okazywanie tego, jeśli nie w słowach, to w wyrazie twarzy, posępnym czole, zmarszczonych ustach lub niestosownym ruchu ręki. Strzedz się tego wszelkiemi sposobami należy... Trzeba tedy, aby młodzi swoje złości umieli na wodzy trzymać, zwyciężać się, miarkować i niejaki gwałt swoim namiętnościom czynić, aby się coraz bardziej z młodu nie zakorzeniały“. O postępowaniu ze służącemi, tak mówi ustawa: „Służących nigdy źle traktować nie trzeba: przekroczenia tego przepisu będą surowo karcone, aby mło-

dzi nie wdrożyli się w złe obchodzenie się ze służbą, która równym im jest stworzeniem Pana Boga. Jest to znakiem złego i okrutnego serca, jeśli się nie umie pozyskać przywiązania służących, jeśli pan dla służących obmierzłym się staje".

Czytanie książek pożytecznych, pięknych, po za lekcjami uważa Konarski za bardzo ważne i chlubne. W ustawie powiada, że kto starannie przeczyta książkę, daną sobie przez przełożonego, a potym z niej zda sprawę przed nim lub przed kimś, kogo przełożony wyznaczy, ten wobec wszystkich kolegów i przed rodzicami otrzyma pochwałę.

Podałem tu wyjątki tylko z pięknych ustaw szkoły Konarskiego, a dodam, że młodzież musiała je brać do serca, bo historja nam wykazuje niemało ludzi, którzy położyli wielkie dla kraju usługi, którzy sobie umieli zjednać serca współobywateli, a byli to właśnie wychowańcy tej szkoły.

Pomiędzy żyjącemi współcześnie z Konarskim byli tacy, którzy nie umieli go ocenić, lub tacy, którzy nienawidzili go za to, że ich za złe karcił; ale rozumni i dobrzy bardzo wysoko cenili jego mądrość i cnoty. Król Stanisław Poniatowski kazał wybić medal ku uczczeniu zasług tego wielkiego męża.

My idźmy za przykładem wdzięcznych; czcijmy pamięć wielkiego człowieka i prośmy gorąco Boga, aby raczył takiemi jak on obywatelami darzyć nasze społeczeństwo.

---

4. Karol Chodkiewicz.

Na utworzenie takiego bohatera, fortuna i cnota zarazem się złożyły. Fortuna, ta zwykle na niewolniki swe niepamiętna pani, otoczyła go mnogiemi dobrodziejstwy. Ród jego ze strony ojcowskiej i macierzystej jaśniał wspaniałemi zaszczyty. Ojciec jego był kasztelanem w - leńskim, marszałkiem w W. Ks. Litews., urodzonym z dziadów i pradziadów, dobrze zasłużonych na polu bitwy i w senacie. Matkę miał Krystynę Zborowską, wojewodziankę krakowską, siostrę braci, sławnych zaszczytami i urzędy.

Godną takiego rodu była jego postać bohaterska:

oblicze na pierwszy rzut oka surowe, ale pełne majestatu; nosił na nim piękną cechę wyższego umysłu i wojennej odwagi, czoło otworzyste, nos orli, wszystkie piętna bohatera. Bogactwy też nie upośledziła go fortuna, które podniósł świetnemi związki, najprzód z Zofją Milecką, córką wojewody podolskiego i hetmana koronnego, wdową po Symeonie, kniaziu Słuckim, powtóre, z Anną, córką Aleksandra, książęcia na Ostrogu, wojewody wołyńskiego. Obie te małżonki Chodkiewicza, urodzeniem, nauką, świętością życia, skromnością obyczajów i najogromniejszemi w one czasy w Polsce dziedzictwy słynęły. W nim samym nie mniejsze jaśniały zaszczyty, piastował bowiem urzędy: podczaszego litewskiego, hetmana, komisarza inflanckiego, starosty żmudzkiego, a nakoniec wojewody wileńskiego. Ciągłe zwycięstwa i tryumfy były oznaką wciąż dlań przyjaznych losów.

Ale te powodzenia były już darami dzielności i cnoty, które towarzyszyły życiu Chodkiewicza; Zalecały go najpierw: pobożność i cześć Boża, przed bitwami pokorne modły, po zwycięstwach szczere dziękczynienia; na wiele lat przed zgonem zwykł był w każdą sobotę, po oczyszczeniu duszy z grzechów, przystępować do stołu Bożego. W Kretyndze wybudował kosztowne mury kościoła i klasztoru Braci mniejszych de observantia. W Bychowie wzniósł klasztor Kanoników regularnych św. Augustyna, na Żmudzi fundował Ojców Towarzystwa Jezusowego. O jego wspaniałych chęciach ku ojczyźnie świadczą: twierdza Bychowska, wałami i szańcami biegle po wojennemu obwarowana, zamek w Lachowiczach, wspaniałym po królewsku uzbrojeniem i pięknemi budowy znakomity. O miłosierdziu jego powiadają ubodzy, ranni, albo nieszczęściem jakim dotknięci żołnierze, których groszem, odzieżą, koniem, zbroją, i wogólności gościnnym sercem wspierał.

Łaskawością zjednał sobie wielkie imię u ludów obcych i dalekich: lubo z natury skłonny do gniewu, nigdy się na jeńców nie srożył, owszem odprawiał ich z cześcią i darami, a trupy nieprzyjacielskie, obyczajem bohaterów rzymskich, uczciwie grześć polecał. Po Kircholmskim zwycięstwie obecnym był książąt pogrzebowi, którego tak wspaniale i wystawnie dokonał; widzieli to obywatele Rygi, słyszały zagraniczne narody, podziwiali nieprzyjaciele. Wojna inflancka wykazała potomności jego wielką zdolność wojenną; miejsca nieprzebyte dla bagien, jezior i lasów, przeszedł z niesłychaną

szybkością ze swemi zwycięskiemi znamiony: — do wielu twierdz zaledwie przybył, zaledwie ujrzał, wnet je zwyciężył.

Wolmar wziął prawie bez otwartego boju, Parnawę jednym prawie działem, które już pierwej na Węgrzech w Jawarynie szczęśliwie usłużyło. Rygę, Dünamund, Dorpat, Białokamień, małemi siły, ale wielką dzielnością i wojowniczym doświadczeniem broni. Nietylko nieprzyjaciół, lecz i same morze swym duchem bohaterskim przerażał, gdy spalił szwedzkie okręty.

Zwycięstwo Kircholmskie nad Karolem Sudermańskim otrzymane, jest wypadkiem raczej na podziw narodów, niż na wiarę historyczną zasługującym. Nie próżno zdumiewali się obecni, jak można z tak małemi siły zwyciężyć tak licznych nieprzyjaciół, złożonych ze Szwedów, Francuzów, Niemców, tak, iż zaledwie słychanym w nasze wieki przykładem, dziewięć tysięcy zbrojnego człeka poległo. Dodam, co prawda wyznać każe: Chodkiewicz przez lat tyle ani razu od Szwedów nie pokonany, sam był zwycięzcą całej wojny Inflanckiej. W domowych rozruchach własnym kosztem, wierną radą, niezłomnym umysłem i biegłym rozporządzeniem królewskie stronnictwa wspomagał. W bojach na Moskwie wspierała go dobra dola; — wpośród najniebezpieczniejszego stanu rzeczy Chodkiewicz stał na czele wojska, gdzie walcząc z niesfornym własnym rycerstwem, owo z wojskiem o wiele razy liczniejszym, zdołał zachować sławę Rzeczypospolitej i bezpieczeństwo bojującej szlachty. Zawiść pracowała, aby wmówić rodakom, że później niedosyć chwalebnie sprawiał tam rządy, bo Chodkiewicz za równą liczył chwałę: ocalić jednego obywatela lub zgładzić tysiąc nieprzyjaciół. Z drugiej wyprawy Władysława, po odzyskaniu wielkiej części Księstwa Siewierskiego, chlubnie wrócił.

Po tylu pięknych i fortunnych czynach, łaskawa dola przeznaczyła mu zgon taki, iż razem z końcem straszliwej wojny, która jego imię nieśmiertelnym blaskiem okryła, zakończył życie doczesne. Wytrwałym był hartownie na pracę, skwary, chłód, głód i czuwanie, dbałym w pełnieniu straży, zręcznym i szczodrobliwym w wyborze wywiadowców, a w sprawianiu bojowego szyku mógł się równać z najpierwszemi starych i nowych czasów wodzami. Posiadał biegle architekturę wojenną i nie obcą mu była matematycznych rozmiarów umiejętność. Lubił piękne konie i zbroje, a twarzą, ru-

chem, chodem i strojem zdradzał swoją rycerską przyrodę. W wyrokach i mowach wojennych słyszeliśmy go zwięzłym i energicznym; widzieliśmy towarzyskim, łagodnym i przystępnym. W kole rodzinnym był pełen słodyczy, przeważała w nim wszakże posępna powaga: skutek chorowitego zdrowia i znękania wojennemi troskami, mianowicie od chwili bojów. I pod Chocimem nie opuszczała go chorowita drażliwość, jużto gdy coś z jego rozkazów nie dopełniono, już gdy się posiłki opóźniały; wtedy stawał się niezdolnym do umiarkowania, skłonnym do gniewu, i dla tego, podczas Chocimskiej mianowicie wyprawy, wielu rycerstwa niechętnym nań patrzało okiem. Wyznajemy wszakże, iż gdyby karnością wojenną niechętnego żołnierstwa nie hamował, jużby Rzeczpospolita pod klęskami upadła.

Grób jego jest tryumfalnym pomnikiem, wyższym nad greckie i rzymskie mauzolea.

Z «pamiętnika Jakóba Sobieskiego», tłómaczenie Syrokomli.

---

5. Adam Pług—Antoni Pietkiewicz.

ur. 1823 † 1904.

I.

Wdzięczne to zadanie malować taki wizerunek, w którym człowiek i pisarz są do siebie zupełnie podobni. Wdzięczne, a rzadkie, bo nieraz człowiek bywa piękniejszy od dzieł swoich, częściej zaś jeszcze utwory bywają piękniejsze od swojego twórcy. Tutaj oba oblicza niczym się nie różnią. Antoni Pietkiewicz i Adam Pług są to nietylko bracia, lecz bliźnięta.

To też, kto czyta książki, ten wczytuje się w jego życie. Życie to wypróbowane i znojne pod względem doczesnym, a wyjątkowe ze stanowiska duchowego, tak wyjątkowe, że aby je wyrozumieć, trzeba się najpierw wpatrzyć w postać jego matki, a przynajmniej przesunąć przed czytelnikiem choć jeden obrazek z jej świetlanego żywota.

Zuzanna Rohozińska od lat dziecięcych miała słodycz i czystość swego biblijnego imienia. Rozczytana

w Żywotach Świętych, zapałała żądzą naśladowania tych pustelników i pustelnic, którzy nie troszcząc się, kto ich będzie karmił i odziewał, nie lękając się dzikiego zwierza, szli na puszczę, na rozmowę z Bogiem. A i koło domu jej rodziców szumiała puszcza, wielka, cudna puszcza litewska. Więc dwunastoletnia panienka, nie walcząc dłużej z pobożnym natchnieniem, tak jak stała, w białej sukience, z krzyżykiem u szyi, z jedną kromką chleba w ręku, poszła na puszczę i zginęła bez śladu w jej przepastnych głębiach. Dopiero na trzeci dzień, wieśniak jadący po drzewo do lasu, ujrzał w gęstwinie białe, złotowłose zjawisko, i zdumiał się, i struchlał, bo mniemał, że to rusałka. Już miał uciekać, kiedy spostrzegł na jej piersiach krzyżyk; wtedy pochylił przed nią głowę, jakby przed aniołem, omdlewającą z wycieńczenia złożył na swoim wózku, i dopytawszy się skąd przyszła, odwiózł do domu jej rodziców.

Bóg nie przyjął ofiary dziewczątka, bo przeznaczył dla niego szereg innych zasług odmiennych.

W kilka lat później Zuzanna Rohozińska poślubiła zacnego obywatela, Antoniego Pietkiewicza, i dom ich zakwitł siedmiorgiem dziadek, pomiędzy któremi przedostatnim był chłopczyk, urodzony w dniu 23 października 1823 roku w powiecie Mozyrskim, we wsi Zamościu, a nazwany tak, jak i ojciec, Antonim.

Jego to życiorys dziś kreślimy.

Chłopczyk, żywy jak iskra, a jednak łagodny, bystry, a jednak usłuchany, stał się Benjaminkiem rodziny i przyjaciół. Wszyscy go kochali i on wszystkich kochał, a już nad wszystkich tę anielską matkę, dla której przez całe życie zachował cześć nabożną. Jej to wpływowi zawdzięcza, jak sam twierdzi, najlepsze cząstki swojej duszy. A rozwijała ją w nim matka podwójnie: jako rusałka wtajemniczyła go w mowę lasów i ptasząt, wykryła mu własności cudownych ziółek i cudotwórnych słówek, — a jako naśladowczyni Świętych Pańskich, uczyła go zaparcia się i takiego poświęcenia, co nie chce znać żadnych granic. I tak, pod tym dwoistym wpływem, syn rusałki stał się poetą—syn pustelnicy, ascetą.

Na zrównoważenie tych nadziemskich porywów odzywał się w domu i głos inny. Ojciec, urodzony w 1768 roku, pamiętający niemało przewrotów, lubujący się w starych kronikach, cuda rozpowiadał o wielkich ludziach i bohaterskich czynach i zwolna roztwierał przed synem skarbnicę wspomnień praojcowskich.

Ale jeżeli dom ten był bogaty w serdeczne zasoby, za to innych losy mu skąpiły. Z początku wprawdzie gospodarstwo wiodło się prześlicznie, wkrótce wszakże wstrząśnienia wojen napoleońskich, a potym coraz częstsze klęski, tak ogólne jak i miejscowe, rozbijały pomyślność tej rodziny, aż wkońcu, dziecięce marzenie „pustelnicy“ spełniło się poniekąd, chociaż w całkiem odmiennych, boleśniejszych warunkach: musiała z dziatwą zamieszkać w głębi ciemnej puszczy, w tym uroczym, lecz jakby zaklętym Łukowym Borku, gdzie mąż jej objął w zarząd leśnictwo.

To też kiedy młodemu Antoniemu przyszło przebywać szkoły, musiał się łamać z takiemi przeszkodami wszelkich niedostatków, jakie niejednemu podcięłyby skrzydła. Jemu owszem rosły one coraz szerzej. W tym pacholęciu już dojrzewał stoik. Jak nam to nieraz później opowiadał, nigdy wówczas na myśl mu nie przyszło, aby można—jak to dziś jest we zwyczaju — prosić kogoś o mundurek, o ciepły płaszcz, a chociażby nawet i o książki; dość mu było na tym, że był zawsze „prymusem“.

Poszczęściło też niebo młodemu filozofowi. Choć o głodzie i chłodzie, lecz nieodmiennie wesół i ochoczy, uczył się tak świetnie, że w każdej klasie brał najwyższe nagrody i jednym zwycięskim pochodem przebył szkoły w Słucku.

Ale na uniwersytet zabrakło już środków. Nie tracąc odwagi, choć miał ledwie lat osiemnaście, przyjął obowiązki nauczyciela, i po niedługim czasie tyle zaoszczędził, że w końcu roku 1845, mógł już pomyśleć o wyższym zakładzie naukowym. Obrawszy najbliższy, ruszył do Kijowa, gdzie się zapisał na wydział literacki. Ale tu go czekało bolesne rozczarowanie. Uniwersytet kijowski przedstawiał naówczas widok wszelkich bezmyślnych swawoli i hulatyk, w jakich młodzież zatraca obyczajność i wiarę. Nasz asceta, marzący o takim życiu uniwersyteckim, jakie promienieje z „Ody do młodości“, zdumiał się, oburzył i nie mógł w żaden sposób przywyknąć do tamtejszego, zatrutego powietrza. Ten wstręt jest jednym z najpiękniejszych rysów owej rozkwitającej duszy. Był on tak nieprzeparty, że młodzieniec zaczął smutnieć, tęsknić, więdnąć, a gdy właśnie pod tę porę otrzymał ponętne wezwanie na Podole, porzucił dobrowolnie Kijów i wrócił do zawodu nauczycielskiego.

Zawód to ciernisty, często niewdzięczny. Młody

mentor jednak, mimo wieloletnich jego trudów, nie rozgoryczał się do ludzi, ani zasłyszano kiedykolwiek, ażeby sarkał przeciw losom. Prawda, że miał i niemałe pociechy. Sam będąc niezrównanym synem i wzorowym uczniem, umiał widocznie i swoich wychowańców natchnąć podobnemiż zasadami, bo wielu z nich odpowiedziało jego najserdeczniejszym nadziejom, wielu z nich należy dziś jeszcze do najwdzięczniejszych jego przyjaciół i najgorliwszych czcicieli.

A miał i drugą pociechę, nie dla każdego dostępną. Miał ten świat rojeń i czarów, to zaklęte koło twórczości, dokąd mógł uciekać przed codzienną troską i gdzie mógł panować samowładnie. A wcześnie przywykł do tej władzy. Już w szkołach sypały mu się z pod pióra prześliczne powiastki i wierszyki, czasem nawet całe poematy, które jego matkę do łez rozczulały, a profesorów zdumiewały. Już, opuszczając uniwersytet w 1847 roku, wydrukował pierwszy swój „Obrazek“, a po nim zaczęły gęsto wychodzić całe tomy „Piosenek“, „Opowiadań“ i „Gawęd“, które na wszystkie strony kraju rozbiegły się, jak stado ptasząt, i wszędzie rozniosły szczeropolski, szczeroziemiański pseudonim „Pługa.“ Dzieła te odrazu chwyciły wszystkich za serce, i uczyniły go tak popularnym, że już od roku 1848 „Ateneum wileńskie“ ciągle drukowało jego powieści i poezje, a w roku 1851, największa u nas w owe czasy „Gazeta Warszawska“, zaprosiła go na swego korespondenta. Pamiętamy dobrze, jak mile były witane, jak chciwie czytane jego przedziwne „Rozbiory“ i zajmujące „Sprawozdania.“ Wkrótce też i różne inne czasopisma warszawskie zaczęły się dobijać o jego współpracownictwo.

Ten rozgłos otworzył mu trzecie źródło pociechy, zbratał go serdecznym koleżeństwem z wielu znakomitemi lub zasłużonemi pisarzami, jak Władysław Syrokomla, Antoni Edward Odyniec, Jan Prusinowski, Ignacy Chodźko, Apollon Korzeniowski, a zwłaszcza Józef Ignacy Kraszewski. Stosunek z tym ostatnim stał się dla niego najcenniejszym i przeszedł w piękną, dozgonną, czterdziestoletnią przyjaźń, która na obu tych żywotach złotemi zgłoskami się wyryła.

Ale i tkliwsze jeszcze uczucie miało—choć na krótko—życie mu ozłocić. W roku 1857-ym zaślubił pannę Ludwikę Sierzputowską, córkę szanownego napoleońskiego wojaka, i związek ten stał się wzorem chrześcijańskiego stadła. Dość jest czytać czarujące opisy czy-

stej a potężnej miłości, jakie w dziełach Pługa co krok spotykamy, ażeby sobie wyobrazić, jak słodko życie musiało mu płynąć u boku owej towarzyszki, która przejęła wszystkie jego pojęcia, żyła tylko czcią dla jego pióra i pragnieniem wszelkich dla niego powodzeń.

Z początku, młoda para chciała próbować gospodarstwa wiejskiego: bardzo jej się uśmiechnęło to życie „sielskie, anielskie“. Cóż, kiedy zasady niegdyś przez matkę przekazane synowi, a dziś wspólne obojgu małżonkom, te zasady, co nietylko im kazały dzielić się wszystkim z maluczkiemi, ale nie pozwalały im znikąd ciągnąć najgodziwszych nawet korzyści, uczyniły przedsięwzięcie niewykonalnym. Już w roku 1859-tym przenieśli się do Żytomierza, gdzie Pietkiewicz zgromadził pod swoim dachem kilku wyborowych pensjonarzy. W mieście tym, pełnym wówczas umysłowego ruchu, zaczęło im się dziać dobrze. Pług coraz szerszemi dziełami zyskiwał w całym kraju coraz szersze znaczenie, pensjonat mu kwitnął, a w gościnnym jego domu zgromadzały się kółka literatów i obywateli.

Ale te dni pogodne krótko trwały. Już po kilku latach w r. 1863 nadciągnęła burza i na długo rozłączyła stęsknionych małżonków. A gdy nakoniec zeszli się napowrót, wtedy uderzył grom najcięższy: droga towarzyszka, zdruzgotana szeregiem cierpień, odeszła w lepsze światy, zostawiając męża z rozdartym sercem i z odrętwiałym od boleści umysłem. Przez całe długie lata nie mógł przyjść do siebie, tułał się z miejsca na miejsce, niby ptak ze złamanym skrzydłem. Dopiero w roku 1873-cim znalazł zaciszny zakątek, gdzie mógł być prawie zupełnie swobodny i zupełnie samotny. Był to stary, opuszczony dwór wiejski, ze starym opuszczonym ogrodem. Tam, szczepiąc drzewka, sadząc kwiaty, pielęgnując pszczółki, samotnik powracał powoli do równowagi ducha, a chcąc spełnić ostatnie, najgorętsze życzenie swojej ukochanej, zaczął powracać i do pióra.

Bo też nie godziło się dłużej opuszczać tej nabrzmiałej od soków roli, która mu już była wydała tak plenne i zaszczytne żniwo.

Żałujemy niewymownie, że ciasne (zbyt ciasne!) ramy tego życiorysu, nie pozwalają nam rozejrzeć się w owych plonach z tak głęboką uwagą, na jaką zasługują. A szkoda! Możnaby cały tom zapełnić, przechodząc od owej, najwcześniej drukowanej, a już tak dojrzale pisanej „Wigilji Ś-go Jana“, która może stanąć

obok fantazji Hoffmanowskich, aż do tego uroczo misternego obrazka, p. t. „Pokój ludziom dobrej woli“, co był—ile nam się zdaje—ostatnią jego powiastką, a którą „Gazeta Warszawska“ drukowała w r. 1887-ym,—po drodze zaś przyglądając się niezrównanej „Piastunce“, gdzie autor w postaci Barbary odmalował swoją własną piastunkę, tę Elżbietę Podleską, która w kalendarzu cichych poświęceń mogłaby stanąć, jako wyobrazicielka świętej sługi,—to „Spowiedzi“, pełnej paradnych małomiasteczkowych typów,—to „Zarazie“, wcale nie czarnej, z jej hultajską trójką takich trzech złotych wiarusów, jakich tylko nasze pola mogą wyhodować,—to nakoniec „Dwom Wigiljom“, temu pomnikowi miłości małżeńskiej, gdzie jakby na dwuch tablicach, z różowego i czarnego marmuru, wyryte jest jej pierwsze i ostatnie słowo. Wszędzie tam pełno rozmaitości, bo i cichego wioskowego szczęścia, i targających bólów, i podaniowej grozy, a jednak mimo tych bólów i tej grozy, wieje zewsząd jakieś tchnienie pokrzepiające, które możnaby określić własnym wierszem Pługa:

„Wiosna! Wiosna!
Wieść radosna!“

Ten wiersz przenosi myśl naszą ku jego poezjom. Wszystkie one są z pod serca wyjęte. Jedne tchną rzewną, fujarkową prostotą, drugie tętnią staropolskim humorem, a niektóre odznaczają się wielką niezwykłością. Takie podanie o „Djable i Muzykancie“, czyż to nie istne echo zaczarowanych skrzypków? Taka „Podróż na księżyc“ zakończająca „Dziwaka“, toż pod jej słodką wonią i autor Gulliwera podpisałby się z ochotą... A ta komedyjka, p. t. „Przyjaciele“, na którą złożyli się do spółki Święty Franciszek z Assyżu i Krasicki, czyż to nie jedyne w swoim rodzaju zjawisko? A „Sroczka“, skoczna, figlarna Sroczka? Wszak to już dwa pokolenia na pamięć ją umieją! Pług-poeta zawsze nam przypomina skowronka, co nie umie śpiewać inaczej, tylko lecąc w poranny błękit, a leci zawsze prostopadle, ażeby nigdy nie stracić z oczu tego ukochanego zagonu, gdzie kryje się jego gniazdko. Miłość do ziemi rodzinnej i ciągłe zwracanie się ku niebu, to dwie nieodłączne jego cechy.

W ciężkich godzinach życia Pług zajmował się i przekładami. Tłumaczył kilka dramatów Szekspira i kilka ustępów z Wiktora Hugo. Tłumaczył wierszem

wybornym, wiernym, nieraz porywającym. Takie przekłady są dla piśmiennictwa prawdziwym bogactwem.

Ale wszystkie utwory dotąd wspominane, to tylko niby dworzanie i paziowie naczelnego dzieła. Tym dziełem naczelnym jest wspaniała trylogja obyczajowa, zawierająca trzy wielkie powieści: „Duch i krew“, „Oficjalista“ i „Bakałarze“. Treść w nich odrębna, jednakże koloryt i dążności są tak jednolite, że można je poczytać za trzykrotny wybuch jednej myśli. W tych ośmiu tomach jest wielki zasób siły. Tu Pług rozwinął skrzydła do najszerszego lotu, a wszędzie, czy płacze, czy szydzi, czy zachwyca się, czy chłoszcze, zawsze na różne sposoby miłuje. Przepyszne obrazy przyrody podolskiej, doskonałe malowanie ludzkich uczuć i cierpień, wierne przedstawienie różnych warstw społeczeństwa, ze sprawiedliwym zrównoważeniem ich cech dodatnich i ujemnych, bajka zawsze niezmiernie zajmująca, język czysty, jak rosa, barwny, jak polne kwiecie, — wszystko to sprawia, że po przeczytaniu każdej z tych powieści, czytelnik rzeźwiej oddycha, zdrowiej myśli, a co więcej, czuje się skłonniejszym, niż zwykle, do przebaczenia uraz, do pocieszania nieszczęśliwych, do pokochania wszystkich. Jakim zaś cudem się to dzieje, to znów najlepiej nam wyjaśni znany czterowiersz naszego autora:

„Pług mój drewniany, lecz Święta para,
„Miłość z Nadzieją, w jarzmo się dały,
„A przy lemieszu stanęła Wiara,
„Co w Imię Boże przenosi skały.“

Koniec to właśnie tej trylogji Pług pisał w owym starym dworze, w owym opuszczonym ogrodzie, który za jego staraniem zmieniał się już w kwiecisty Eden. Było mu tam tak dobrze, tak zaciszno, że postanowił zostać w tej pustelni na zawsze. Ale jak niegdyś „pustelniczce“, tak dziś „pustelnikowi“, sprzeciwiły się losy. Najniespodzianiej, w tę ciszę spadła odezwa z Warszawy od wydawcy „Kłosów“, z prośbą, aby Pług objął redakcję tego pisma. W pierwszej chwili chciał odmówić. Na szczęście, nowe listy oraz nalegania przyjaciół, przemogły odmowę, i głos wiślanej syreny zwabił go w nasze mury.

Pożegnany w Kamieńcu Podolskim wspaniałą ucztą owacyjną, Pług przybył do Warszawy w ostatnich dniach 1874 roku, a już z początkiem 1875-go, objął redakcję Kłosów, które przez lat piętnaście prowadził wytrawnie

i świetnie, w roku zaś 1891 został naczelnym kierownikiem Wielkiej Encyklopedji Illustrowanej, gdzie—jak to nieraz przytrafia się dobrym wodzom—pracował nietylko za siebie, ale i za stu innych.

Przy tak mozolnych zatrudnieniach, rzuci on jeszcze niekiedy jakiś kwiatek poezji, jakąś perełkę legiendową, na dłuższe jednak utwory nie staje mu już czasu, zwłaszcza od lat kilku, gdy objął ruchliwą redakcję Kurjera Warszawskiego. Ale jeśli sztuka powieściopisarska traci na tej zamianie, społeczeństwo nic nie straciło ze swego duchowego pożytku. Ogromna ilość artykułów, życiorysów, sprawozdań i rozpraw, jakiemi Pług od lat trzydziestu zbogaca prasę warszawską, a z których możnaby już złożyć z jakie dwadzieścia tomów, ta praca cicha a potężna—niby podwodna budowa korali, co powoli ścina się w skałę — wywarła wpływ nie mniejszy, niż jego dzieła dawniejsze; kto wie nawet, czy nie większy, bo Pług od swego przybycia do Warszawy, codzień mocniej rozszerza widnokrąg swoich poglądów, codzień mocniej pogłębia warstwy swoich myśli, coraz odważniej walczy z niezdrowemi prądami, coraz ogniściej szermuje za dobro, prawdę i piękno.

To też niema takiej sprawy, czy społecznej, czy literackiej, do którejby go nie wzywano setnemi głosami; a choć wzywany, przy swojej prześlicznej skromności, usuwa się zawsze pomiędzy ostatnich, jednakże prezydjalne krzesło zawsze się samo doprasza o niego.

„Z wieku mu i zasługi ten zaszczyt należy.“

Ale on myśli jedynie o podnoszeniu zasług cudzych. Niema u nas jubileuszu, niema hołdu, składanego talentowi czy pracy, do którychby nie przyłożył ręki i serca.

Niedziw zatym, że gdy w 1887 roku Warszawa postanowiła uczcić czterdziestolecie jego „nieskazitelnej służby“ i ofiarować mu srebrną Księgę, przepieczętowaną złotym symbolicznym pługiem, to ze wszystkich stron napłynęło do niej tyle poezji, rysunków, odezw i podpisów, że Księga, choć ogromna, okazała się za małą na ich pomieszczenie.

Pomimo tak licznych i tak wyczerpujących zajęć, Pług jeszcze znajduje czasem parę chwil dość wolnych, aby je poświęcić przyjaciołom i towarzyskim zebraniom, a wtedy wnosi ze sobą wszędzie jakiś urok łagodny, niby światło mleczne, co niczyich oczu nie razi, a niejedne oczy uzdrawia. W jego uśmierzającej obecności, wszelkie słowa zbyt swawolne milkną, wszelkie spory

zbyt ogniste gasną, skąd wynika, że rozmowa przy nim staje się zawsze godną i pogodną.

Takim go wszyscy znamy i wszyscy w naszych domach pożądamy.

Ale ma on jeszcze jedną stronę, mało komu znaną, czasem tylko i to przypadkiem podpatrzoną, z którą sam głęboko się ukrywa, jak zawsze człowiek się kryje z nieuleczalną namiętnością.

Namiętnością Pługa jest... miłosierdzie.

Miłosierdzie osobliwsze, nieprzezorne, nie liczące się z własnemi zasobami, ani z groźbą czarnej godziny, to miłosierdzie, które mówi: „Jeśli zażądają twego płaszcza, to oddaj i suknię.“

Sądząc po ludzku, możnaby przypuścić, że człowiek, co chce życie swoje tak przystosować nietylko do przykazań, ale i do rad ewangielicznych, powinien w świeckim społeczeństwie zginąć, oszukany, oskubany, i poprostu zagryziony przez roztropniejszych „synów wieku.“ Tymczasem nieprawda! Nasz poeta-asceta nietylko nie zginął, ale zdobył wspaniałe szacunkiem stanowisko w społeczeństwie, zdobył poważanie i wdzięczność wszystkich dusz sobie pokrewnych, a co więcej, zdobył uznanie i tych nawet, którzy najjawniej walczyli przeciw niemu i jego zasadom. Nie faryzeuszów, bo ludzi złej wiary nikt i nic nie przekona, ale tych centurjonów, którzy w dobrej wierze prowadzili pogańską kohortę.

Na to zwycięstwo patrzyliśmy w roku 1897-mym, w którym kraj obchodził po raz drugi jubileusz Adama Pługa, święcąc już nie czterdziestolecia, ale półwiekową rocznicę jego pisarskiej działalności. Piękne to i podniosłe było święto. Ziemianie, poeci, literaci, artyści, świat niewieści, wszyscy przemawiali kolejno, aby uczcić w Adamie Pługu niepokalanego obywatela, serdecznego lirnika, wpływowego powieściopisarza i publicystę, a zawsze i wszędzie niezłomnego obrońcę wszystkich ideałów.

Że pisma, szanujące naszą wiarę i przeszłość, zabrzmiały wówczas jednym chórem uczczenia, to nic dziwnego; ale co dziwniejsza, to że goręcej od samych wyznawców, odezwał się jego przeciwnik:

„Jeżeli Pług... nosi w sobie Boga, to ma dlań w swym „wnętrzu święty ołtarz, a nie kramarską budę... Jest to „śród świeckich kapłanów literatury zakonnik surowej „reguły służenia wytrwale dobru społecznemu w słu„bach czystości publicznej i prywatnej. Jest to jeden

„z tych cnotliwych, którzy rozbroiliby gniew Jehowy, „zamierzającego zburzyć Sodomę... Szkoda, że takich „ludzi nie można rozdrobnić na wiele ziaren i gęsto „obsiać niemi życia. Ale oni nie giną w swej ziemi, lecz kiełkują i wschodzą w potomności.“

W rocznicę 50-ciolecia skreśliła
Deotyma.

---

6. Artur Grottger.

I.

Było to przed laty trzydziestu. Franciszek Józef, młody cesarz austryjacki, po raz pierwszy po wstąpieniu na tron, zwiedzając Galicję, wjeżdżał do Lwowa; jak zwykle w takich razach miasto było wystrojone świątecznie. Od rana ożywiał je ruch niezwykły. Ulice, któremi miał monarcha przejeżdżać, przybrane były chorągwiami i tryumfalnemi łukami, szpalery wojska rozciągnięto wzdłuż drogi, aż do gmachu Namiestnictwa, przeznaczonego na rezydencję dostojnego gościa. Przy koszarach Ferdynanda cesarz wsiadł na konia i otoczony sztabem, przejechał miasto rączym galopem. Przez ten czas dzwoniono we wszystkie dzwony, bito z dział cytadeli.

Z okna hotelu Dreznera, położonego tuż przy drodze, którą cesarz przejeżdżał, świetnemu orszakowi przypatrywał się czternastoletni chłopiec, usiłując objąć całość widoku, i z gorączkowym pośpiechem szkicując go na papierze. W oku chłopięcia błyszczał niezwykły ogień, pierś nierównym podnosiła się oddechem, a ołówek suwał się po papierze tak śmiało i z taką pewnością, jakby nim już wprawna kierowała ręka. W chłopięciu zbudził się artysta.

Obrazek zdjęty pośpiesznie w przelocie, odznaczał się niezwykłemi zaletami. Nie było tam wprawdzie jeszcze tej poprawności rysunku, jaką daje szkoła, będąca długich i gorliwych studjów wynikiem, ale, pominąwszy wierne oddanie podobieństwa głównych osób i harmonję w układzie, znachodziło się w tym obrazku tyle ruchu i życia, tak zręczne ugrupowanie przypatrujących się tłumów, tyle powietrza, iż pomimo wielu niedostatków, przemawiających o braku wykształcenia artystycznego, prze-

bijał w tym talent rzutki i samodzielny, już wówczas wielką przyszłość rokujący.

Któż był tym chłopięciem, któremu nad czołem zaczynała już wybłyskiwać gwiazda gienjusza? Skąd zaczerpnął zamiłowanie do sztuki? gdzie się uczył rysunku i tajemnic odtwarzania natury?

Nigdzie.

Tym wyrostkiem artystą był Artur Grottger. Zamiłowanie sztuki i poczucie piękna zaczerpnął z wrodzonego usposobienia, nauczycielem jego dotąd był tylko ojciec własny, który lubił malarstwo i znał się na nim, lecz tylko jako dyletant.

Pierwsze próby rysownicze Artura były podobne jak wielu innych, później wielkim gienjuszem słynących artystów, dziecięcą ręką kreślone po ścianach domu rodzinnego. Rysowane tym sposobem portrety rozmaitych osób, które się uwadze dziecka nasunęły, zwróciły uwagę ojca wiernym podobieństwem i fantazją, z jaką były od niechcenia naszkicowane. Dojrzał on w dziecku talent i uszczęśliwiony rad był takowy rozwinąć. Zachęcał więc syna do rysowania, podsuwał tematy, dawał wskazówki. Nieraz opowiadał mu sceny wojenne, a widząc chłopię przysłuchujące się z gorączkowym zajęciem, pobudzał jego fantazję dziecięcą i mówił doń, podsuwając mu ołówek:

— A teraz narysujże mi to.

I malec chwytał z zapałem ołówek i kreślił po swojemu owe obrazy, jak mu je żywa przedstawiała wyobraźnia, a ojciec krytykował, poprawiał, uczył. Następnie widząc wzrastające zamiłowanie i szybko rozwijający się talent chłopca, dał mu album bitew napoleońskich Adama, aby zeń czerpał wzory do kopjowania.

Z jakąż rozkoszą mały Arturek rozpatrywał się w tych przeróżnych widokach i grupach wojennych, przerysowując je kolejno. Była to pierwsza jego szkoła rysunku. Oprócz tego z polecenia ojca rysował wiele z natury i próbował nawet akwareli.

Pomimo ogromnych postępów dziecka, wykształcenie takie nie mogło być dostatetecznym. Jedyną myślą ojca było wysłać jaknajrychlej wyrostka do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, lub nawet dalej i ubolewał wielce biedny ojciec nad tym, iż nie był w stanie tego uczynić. Wnet jednak pomyślna nadarzyła się sposobność.

Zapowiedziano przyjazd cesarza do Galicji. Franciszek Józef był zamiłowany w muzyce i malarstwie.

Przyszło na myśl ojcu Grottgera, czyby korzystając z tego nie dało się wyjednać dle syna stypendjum, w celu wysłania go do Szkoły Sztuk Pięknych; udał się w tym względzie do ówczesnego namiestnika Galicji, hr. Agenora Gołuchowskiego, który żył dawniej z rodziną Grottgerów w przyjaznych stosunkach i przechował o tym pamięć z czasów, gdy sam był jeszcze małym urzędnikiem.

Hr. Gołuchowski uprzejmie przyjął prośbę i przyrzekł przedstawić ją cesarzowi, pod warunkiem, aby młody Artur na dowód swego talentu odmalował akwarelą wjazd cesarza do Lwowa.

Mając protekcję hr. Gołuchowskiego zapewnioną, można było być pewnym pomyślnego skutku. Pozostawał do spełnienia warunek postawiony. I oto dlaczego młodziuchny nasz artysta z okien hotelu wpatruje się z takim zajęciem w przejeżdżający orszak dworski — dlaczego z bijącym sercem a drżącą ręką usiłuje uchwycić chwilę, mogącą stanowić o jego przyszłości! To nie próżna ciekawość — nie chęć popisu — to promień nadziei — to uśmiechający się zdala ideał artystycznej przyszłości przebłyska w tym widoku, kieruje ołówkiem.

Z tego szkicu zdjętego z natury, w dni kilka powstała artystyczna akwarela, mająca służyć za rekomendację młodego adepta sztuki. Cesarz wyjechał ze Lwowa do Czerniowic, skąd znów przez Galicję na Stryj wracał traktem podgórskim.

Wówczas to zawiesił hr. Gołuchowski akwarelę Grottgera nad łóżkiem w sypialni monarszej. Obraz zwrócił na siebie uwagę gościa, zwłaszcza układ głównej grupy, w której jenerałowie i liczni sztabowcy w wiernym przedstawiali się podobieństwie.

Tym to sposobem Artur Grottger uzyskał możność udania się na naukę do szkoły malarstwa w Krakowie, wkrótce albowiem otrzymał z Wiednia przyznanie mu stypendjum po 30 złr. miesięcznie.

Kwota wprawdzie szczupła, lecz mogąca przecież poniekąd wystarczyć młodemu chłopcu. Zresztą liczył Grottger na to, że i sam sobie swojemi pracami już cośkolwiek dopomoże. Wymalował w tym czasie pierwszy obraz olejny. Przedstawiał on pogoń polskiego rycerstwa za Tatarami, uchodzącemi z łupem zrabowanym w kościele, którego dymiące zgliszcza rysują się na tle widoku. W kompozycji tej uderzała gienjalna śmiałość,

pomimo niewprawnej jeszcze ręki; wszystkie postacie tchnęły życiem i dziarskością, rzec można porywającą. Obraz ten dany na wystawę sklepową jednego z lwowskich handlów sztuki, zwrócił na siebie uwagę hr. Pappenheima, bogatego węgra, który jako oficer huzarów kwaterował podówczas we Lwowie, a był zapalonym miłośnikiem i wielkim znawcą sztuki. Zakupiwszy obraz i dowiedziawszy się, że był to pierwszy utwór czternastoletniego chłopca, zapragnął poznać osobiście początkującego, a już tak wiele obiecującego artystę. Znajomość wnet nastąpiła i z czasem coraz ściślejszym węzłem obu łączyła. Hr. Pappenheim, którego Grottger „swym kochanym Papciem" nazywał, stał się jego protektorem, przyjacielem i opiekunem artystycznym. Przyjaźń przetrwała do zgonu. Niejedną zbawienną wskazówkę, niejedną serdeczną pociechę w życiu zawdzięczał Artur swemu mecenasowi, który mu przyjaźni wiernie dochował.

Skoro nadeszła wiadomość o otrzymaniu stypendjum, puścił się Grottger w upragnioną podróż do Krakowa. Po drodze zabawił czas jakiś w przyjacielskim domu w Zagórzanach w Sanockiem, gdzie zdejmował widoki i charakterystyczne typy ludowe. Zwiedził Tatry i tekę podróżną kilkunastoma zbogacił rysunkami.

Z przybyciem do Krakowa, nowy świat, nowy okres życia rozpoczął się dla młodzieńca. Oddał się pracy z całym zapałem, z całą żądzą nauki, jaką tylko w szczęśliwych chwilach młodości uczuwamy.

Ukochanym, sympatycznym przewodnikiem i przyjacielem młodzieży był wtedy profesor Władysław Łuszczkiewicz. On był duszą szkoły krakowskiej — światły, uczony, zamiłowany w sztuce, gorącego serca i wysokiego na sztukę poglądu, kochający młodzież i wzajem od niej kochany, umiał dopatrzyć i podnieść talent prawdziwy, ożywić zapał i kształcić umiejętnie. Dzięki Łuszczkiewiczowi, wrodzony gienjusz Grottgera znalazł w szkole krakowskiej to ciepło i światło, w którym mógł się ogrzać i rozwijać.

Dwudziestu czterech było podówczas uczniów w Szkole Sztuk Pięknych, ale z całej młodzieży krakowskiej tylko do dwuch przylgnął Artur, z niemi najbardziej sympatyzował w zdaniach i zapatrywaniach i w ich towarzystwie najwięcej czasu spędzał wolnego. Pierwszym z nich był Andrzej Grabowski, później znakomity malarz portretów.

Bez rodziców i opieki, Grabowski, przejęty gorącym sztuki zamiłowaniem, pracował z zapałem nad swym wykształceniem w obranym zawodzie, pozostając przytym w największej nędzy, nieraz bez kęsa chleba. Postanowiwszy wykształcić się na artystę, mężnie znosił głód i niedostatek, mając tylko jeden cel, promieniejący mu ideałem przyszłości. Po nocach malował obrazy Świętych dla włościan okolicznych i z tego się utrzymywał. A nędzne to utrzymanie zaledwo od głodowej ochraniało go śmierci. Oto są drogi ciernistе, po których prawdziwy talent nieraz przebijać się musi w świecie, nim stanie u sławy zenitu. Mało wybranych, co się nie zrażą trudnościami i nie ustaną w połowie drogi.

Drugi towarzysz, należący do tej trójki przyjaciół, ściśle z sobą związanych spólnemi sympatjami i wyobrażeniami, nie był malarzem; to poeta, marzyciel, szlachetny idealista i filantrop, kochający namiętnie sztuki piękne, szczególniej muzykę. Chodził na uniwersytet w Krakowie. Zaraz po przybyciu Grottgera poznał się z nim i zaprzyjaźnił.

Był to Władysław Tarnowski, ten sam, który we dwadzieścia lat później, pragnieniem wiedzy i fantazją poety po szerokim wiedziony świecie, skończył przedwcześnie dni życia w podróży na Oceanie Spokojnym.

Tarnowski był można powiedzieć aniołem opiekuńczym młodzieży krakowskiej. Nietylko wspierał uboższych kolegów, dzieląc się z niemi nieraz całym swym studenckim dochodem, ale co więcej, wywierał na nią nader uszlachetniający wpływ umysłowy. Pojmując z wysokiego stanowiska zadanie życia i jego obowiązki, starał się w otaczających go kołach młodzieży uniwersyteckiej szerzyć też same przekonania, zwracać myśli ku ideałom cnót i obowiązków, zagrzewać do pracy i kształcenia umysłu; a że był sympatyczny w obejściu z kolegami, serdeczny, zacny i powszechnie kochany, wpływ zatym jego był bardzo znaczny i wiele czynił dobrego.

Grabowski, Grottger i Tarnowski przylgnąwszy duchem i spólnością zamiłowań do siebie, tworzyli nierozłączne już gronko przyjacielskie. Dwaj pierwsi, usposobienia żywego, roztrzepani, trochę lekkomyślni, Tarnowski z natury bardziej poważny i myślący, głębiej zapatrywał się na świat i życie; — tym sposobem uzupełniali się wzajemnie. U wszystkich trzech pod odmienną powierzchownością płonęła na dnie duszy taż sama gorą-

ca miłość piękna i prawdy, zamiłowanie sztuki, tenże sam entuzjazm w dążeniu ku zamierzonym celom.

Pomimo odmiennych usposobień, trzej młodzieńcy byli jakby jedną duszą i jednym sercem, ożywiani wzajemną przyjaźnią, którą wiernie do zgonu przechowali. W chwilach wolnych od pracy, podczas ferji świątecznych i letnich, czynili razem wycieczki pieszo w okolice Krakowa, na Śląsk, w Tatry. Tu zdejmowali widoki, poznawali naturę rozmaitych okolic i powracali zawsze z uzbieranym zasobem spostrzeżeń i pełną teką szkiców rozmaitych. Nierozłączni przyjaciele, razem pracowali, marzyli, kochali, żyli życiem ideału i pragnień podniosłych — czegóż więcej do szczęścia młodym duszom potrzeba?

Tak ubiegło dwa lata pobytu Grottgera w Krakowie. Starał się on o uzyskanie dalszego stypendjum, aby mógł udać się do Akademji Sztuk Pięknych do Wiednia; tymczasowo wrócił na parę miesięcy do Lwowa. Żal mu było rozstawać się z ukochanym Tarnowskim i „Grabcem“, ale jak zwykle w świecie, konieczność zwyciężyła: potrzeba kształcenia się dalszego wzięła górę nad osobistemi uczuciami. Milszym nad wszystko Grottgerowi był Kraków, ale głównym celem jego myśli był teraz Wiedeń, już tylko Wiedeń.

Pragnienia młodzieńca zostały urzeczywistnione.

Za powrotem do Lwowa, młodziutki artysta, przy protekcji namiestnika, wnet nabrał wziętości w wyższych sferach stolicy; zarzucono go zamówieniami rysunków, które przyniosły mu dochód stosunkowo dosyć znaczny. Ktoś zażądał illustracji do poematu, ktoś inny obrazka do albumu. Zwłaszcza między paniami wielkiego świata znalazło się wiele protektorek świetnego talentu. Obok tego malował dużo dla siebie, najchętniej sceny wojenne, konie i t. p. Malował ustępy z wojny trzydziestoletniej i z wojen szwedzkich z Polakami. Puffendorf, w którym się pilnie rozczytywał, dostarczył mu treści do wielu kompozycji.

W tym czasie uczynił już był znaczne postępy w doborze kolorytu i technice malarskiej, jak się sam wyraża w swoim dzienniczku, w którym zapisał:

„Malowanie moje nabiera coraz więcej naturalności i że tak powiem, artystycznego pociągu. W cieniach np. już nie jestem tak brudny ani mocny; już są lżej traktowane — światła znowu nie odrzynają się tak ostro. Z obrazka, przedstawiającego kilku Szwedów napadnię-

tych przez kilku Polaków, jestem zadowolony; ale z lasem sosnowym z tyłu nie umiem się wcale obchodzić.“

II.

Szybko czas mija. W październiku tejże jesieni widzimy już Grottgera w Wiedniu.

Rzucony w wir nieznanego mu świata wielkiej stolicy, rozpoczyna tu nowe życie z dwuch czynników złożone. Obok strony artystycznej i ponętnej, ma ono swe ciernie, które po raz pierwszy młodzieńcowi dotkliwie uczuć się dają.

Pracuje z zapałem, kocha sztukę namiętnie—a przytem wesół, roztrzepany, radby użyć świata, zabawić się—jak każdy młody. Ale potrzeba powszedniego chleba nie pozwala myśleć o rozrywkach i niedostatek często zagląda w oczy. Mąciła tedy horyzont wesołych usposobień młodzieńca perjodycznie powracająca troska o jutro.

Lecz co prawda, Grottger, jak wszyscy pono artyści, nigdy nie myślał o jutrze. Gdy grosza brakło i głód dokuczał — wówczas, jak sam powiada w swym dzienniczku, obiad zastępował cygarem i zamiast myśleć o jedzeniu—malował.

Wkrótce w malarstwie postąpił tak dalece, że mógł pracować na tak zwanym „oddziale mistrzów“ do którego wstęp już tylko skończonym artystom był dozwolony.

Pierwszą jego kompozycją większego znaczenia była „Pobudka“, obraz olejny, przedstawiający ruch budzącego się o świcie obozu na odgłos rannej pobudki. Obraz ten, pomimo swych usterek, pomimo zarzutów, jakie można było uczynić kolorytowi i rozrzuconemu nieco ugrupowaniu, był znakomitą zapowiedzią na przyszłość. Późniejszy, dużego rozmiaru obraz olejny: „Ucieczka Henryka Walezjusza z Krakowa“, o wiele pod każdym względem wyższy od poprzedniego, był już dziełem uderzającym i potęgą talentu i daleko posuniętą wprawą malarską.

Śród ciemnej nocy grono jeźdźców przebiega przez bezdroża — na ich czele Walezjusz, na siwym koniu, w płaszczu hiszpańskim — przed końmi stąpa przewodnik z pochodnią, której łuna oświeca ponure tło krajobrazu. Jest wiele siły, śmiałości w tym malowaniu — przepyszne są kontrasty światła pochodni, łamiącego się z ciemnościami nocy; konie z wielką znajomością, acz nie całkiem bez błędu malowane.

Pierwszy to obraz olejny Grattgera, postęp w nim ogromny, zarówno w kompozycji jak w technice.

Ale świat ideału i realny świat potrzeb splata się w życiu powszednim węzłem nierozerwalnym. Doświadczył tego na sobie młody artysta podczas swego kilkoletniego pobytu w Wiedniu. Cygarem niepodobna było na długo głodu uspokoić i marami fantazji, na kłębach dymu ulatującemi, krzepić się dostatecznie.

W rozpaczliwym położeniu uciekł się Grottger do jednego sposobu, jaki mu pozostawał. — Oto zapukał do sklepu obrazów i sprzedał za 15 złr. kilka akwareli: „Czerkiesów,“ „Szturm na fosy pod Lützen“ i „Wallensztejna“. Biedny artysta! Poraz pierwszy oddał na pastwę za parę groszy najmilsze dzieci swojej fantazji, krew serca własnego. Kiedy potym ujrzał swe akwarele na sklepowej wystawie, to mu tak żal serce ścisnął, jak pisze w swym dzienniczku, że mało nie zapłakał; odtąd jednak otworzyło mu się źródło dochodu, przynoszące nieraz ulgę w potrzebie.

Dawszy się poznać wiedeńskiej publiczności i redakcjom pism illustrowanych, jako znakomity [illegible] dostarczał do jednego z nich stale illustra[illegible] będących ozdobą pisma.

Oprócz tego rysował i malował bardzo wiele. Można wyliczyć cały szereg mniejszych i większych utworów z tego czasu, a najwięcej akwareli i rysunków kredą, w których miał wiele zamiłowania i biegłości. Wówczas to wyrysował w sześciu obrazkach „Szkołę szlachcica“.

W Monachjum zapowiedziano pierwszą powszechną wystawę sztuk pięknych. Spakowawszy swój podróżny tłomoczek, z teką i ołówkami puścił się po raz pierwszy młody nasz artysta w podróż do stolicy bawarskiej, tego rzec można muzeum klasycznej sztuki greckiej.

Pierwsza ta Grottgera w artystyczny świat wycieczka wielkie sprawiła na nim wrażenie i stała się epoką w jego zawodzie artystycznym. Już tworzyła się tutaj owa polska kolonja malarzy, z której wyszli później Brandt, Gierymski i inni, do której grona należał Matejko, a która w dziejach rozwoju polskiego malarstwa świetną zajmuje kartę. Tu w gronie młodzieńczych towarzyszów, dusz pokrewnych talentem, wspólnością zamiłowań i dążeń, silniej rozbujała fantazja, gorętszym zagrało życiem serce artysty. Pełną piersią oddychał tą atmosferą, która go otaczała, całą duszą wnikał w te ar-

cydzieła, jakie tu znajdował. Najbardziej zachwycały go kredowe kartony Kaulbacha i one to rozstrzygnęły ostatecznie, że ten rodzaj obrał sobie odtąd za główne pole dla siebie, a zaniedbawszy akwarelę i farby olejne, największe swe dzieła, zapewniające mu nieśmiertelność, wykonywał ołówkiem i kredką. Ujęła też Grottgera forma przedstawiania treści dramatycznej w szeregu obrazów w organiczną wiążących się całość. Odtąd najulubieńszym sposobem kompozycji jego było grupowanie pewnej serji obrazów, niby dramatycznego ciągu opowieści, około jednej zasadniczej myśli, wiążącej je w całość. Najznakomitsze i najgienjalniejsze jego dzieła późniejsze są tego rodzaju.

III.

Przenieśmy się teraz w okolicę podkarpacką i zajrzyjmy do starożytnego dworku, którego wiekiem omszałe ściany patrzyły na cnoty patryjarchalne kilku pokoleń.

Stare lipy go zdobią—na końcu widnokręgu szarzeją rysujące się na tle obłoków gór grzbiety—to Wróblewice, majątek Władysława Tarnowskiego, posiadający to wszystko, czym zawsze wyższy umysł niepospolitego człowieka cechuje i otacza swoją siedzibę.

Wróblewice, zaciszny, umiłowany zakątek rodzinny właściciela, to jakby muz siedziba, świątynia pamiątek rodzinnych i ojczystych. I chętnie garnęło się do Wróblewskiego dworu kółko ściślejszych przyjaciół ś. p. Władysława, ludzi gorętszych uczuć talentu i podnioślejszej myśli. Tutaj, w trzy lata po powrocie Grottgera z Monachjum, znajdujemy naszych trzech dawnych znajomych, od szkolnych krakowskich czasów koleżeńską związanych przyjaźnią. Węzeł ów koleżeństwa nie osłabł, pomimo rozłączenia przez lat kilka, owszem, spotężniał, wytrzymał próbę czasu.

Właściciel Wróblewic z upragnieniem oczekiwał zawsze odwiedzin Grottgera i Grabowskiego u siebie na wsi; a ci, ilekroć mogli, chętnie tam na dłuższy pobyt śpieszyli. Miły to był pobyt—istna sielanka artystycznego życia. Główna część dnia schodziła na pracy. Duży środkowy salon, w którym miejsce starożytnych sprzętów zastąpiły ławki szkolne, przeistoczony był na szkołę dla dzieci wiejskich. Tarnowski lubił się przysłuchiwać tutaj naukom udzielanym dziatwie wiejskiej pod jego kie-

runkiem, przez nauczyciela, przezeń także w gronie dawniejszych kolegów szkolnych wybranego.

Artyści tymczasem pracowali każdy przy swojej staludze. Po pracy następowały piesze wędrówki w okolice, polowanie, wieczorem muzyka i długie gawędy w cieniu lip starych, przy srebrnym gwiazd blasku. Ileż tam wówczas wzniosłych przemknęło marzeń, ile nadziei, ile prawdziwych brylantów myśli świeciło w tych serdecznych pogadankach przyjacielskich!

Grottger puścił już był w świat dwie pierwsze serje swoich obrazów kredowych, które go sławnym uczyniły. Obecnie we Wróblewicach rysował „Lituanję“, a po skończeniu tejże, tu także zaczął „Wojnę“ i pierwsze jej rozdziały tutaj wykończył.

Wkrótce, mając w tece ukończone pierwsze obrazy Wojny wyjechał do Paryża, aby pokazać światu na Wielkiej Wystawie swoje prace, mające ustalić jego sławę i ziścić najmilsze sercu życzenia.

Marzył biedny młodzieniec o sławie, nie przeczuwając, a raczej nie chcąc przeczuwać, że w piersi już lągł się robak, mający wkrótce podciąć kwiat życia, że w tej piersi palonej ogniami, z każdym dniem coraz bardziej tchu brakło, i świetne rojenia wkrótce już ciemną miały się okryć nocą.

Przybywszy do Paryża, skoro minęły pierwsze dni tego zamętu, w który go wir nieznanej dotąd stolicy zrazu popchnąć musiał, oddał się Grottger usilnej pracy, aby jaknajrychlej ukończyć i dać na wystawę swą „Wojnę“. Ta praca coraz bardziej wycieńczała siły, rozdrażniała nerwy. Tymczasem suchotnicza gorączka gwałtownie trawiła organizm. Mocno już chorego wywieziono na południe do Aix-la Chapelle, w nadziei, że klimat tamtejszy uśmierzy chorobę.

Niezadługo też nadeszła wieść pomyślna z Paryża, że „Wojna“ ma wielki rozgłos i ogromne robi wrażenie. Ale nie mógł już z tego korzystać umierający Grottger. Słabo tlejący płomyk życia zgasł wkrótce z niezmierną szkodą dla kraju, dla sztuki narodowej.

Zwłoki wielkiego artysty sprowadzone na ziemię ojczystą, spoczęły na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Władysław Zawadzki.

---

7. Paulina Krakowowa.

Krakowowa Paulina (z Radziejowskich) urodziła się w Warszawie 1813 roku i była prawdziwym dzieckiem Starego Miasta; pierwsze swe lata bowiem spędziła w tej dzielnicy, mieszkając w domu, pełnym wspomnień historycznych, mianowicie w kamienicy, należącej niegdyś do sławnej Urszuli Mejerin, wychowawczyni dzieci Zygmunta III. Matkę straciła bardzo wcześnie, co rzuciło smutny cień na jej dzieciństwo i nadało poważny kierunek umysłowi. Ojciec zajmował się troskliwie wychowaniem jedynaczki; nietylko posyłał ją na pensję, najpierw do pani Jouffier, potym do Anny Eitmerówny, lecz i sam dopełniał braki wykładanej tam nauki, której w owych czasach udzielano dziewczętom w dozie bardzo homeopatycznej. Najsławniejsze pensje warszawskie miały wówczas tylko trzy klasy; nic dziwnego, że Paulina ukończyła cały kurs szkolny, licząc zaledwie lat trzynaście. Kształciła się jednak ciągle sama przy pomocy ojca i przewyższała swe rówieśniczki nietylko znajomością języków i talentów, lecz i gruntowniejszą wiedzą, zwłaszcza w zakresie historji i literatury ojczystej, co jej nie przeszkadzało bynajmniej znać równie dobrze zwykłe zajęcia gospodarskie, oraz proste i wykwintne robótki kobiece. Słowem, stała się wkrótce ideałem dziewicy polskiej, wychowanej zgodnie z zasadami, które Tańska sformułowała w „Pamiątce po dobrej matce,“ ale w aspiracjach swych idącej już krok dalej, niż wskazywała „Pamiątka;“ bo gdy Tańska w pierwszym okresie swej działalności bardzo nieśmiało i oględnie napomykała o możności pracy zarobkowej dla kobiet, młoda Paulina ze słodyczą i łagodnością niewieścią łączyła poczucie własnej godności i niemało hartu ducha, które sprawiały, że wolała najskromniejsze utrzymanie, zdobyte własną pracą, niż największy dostatek z cudzej łaski. Ojciec jej, skutkiem nieszczęść ogólnych, stracił całe swe mienie i doszedł niemal do nędzy; biedny starzec zarabiał na utrzymanie, szyjąc koszule żołnierzom, a Paulina zarabiała haftowaniem bielizny zamawianej przez panie.

Po śmierci ojca w roku 1831, jakkolwiek mogła opływać we wszystko w domu krewnych, postarała się o miejsce nauczycielki prywatnej. Początkowo, pomimo zdolności pedagogicznych i wykształcenia, nie znalazła należytego uznania, pracując w domach obywatelskich,

pełnych przesądów i uprzedzeń; później dopiero trafiła na rodzinę, która ją umiała ocenić należycie, i tam przebyła lat kilka, rozstając się z uczennicami dopiero z chwilą swego zamążpójścia, t. j. 1837 roku.

Oddawszy rękę Ludwikowi Krakowowi, który był niezbyt zamożnym urzędnikiem, dla obowiązków rodzinnych nie porzuciła pracy zarobkowej. Początkowo brała hafty do domu; później trochę z własnego popędu, trochę z namowy Stanisława Jachowicza, zwróciła się na drogę literacką, na której już poprzednio próbowała sił swoich, wydając powieść dla młodego wieku p. t. „Pamiętnik młodej sieroty.“ Przedsięwzięła wydawanie pisma zbiorowego, t. zw. noworocznika p. t.: „Pierwiosnek,“ który od innych wydawnictw tego rodzaju różnił się tym, że zawierał prace samych kobiet. Wartość tych utworów była bardzo rozmaita, wyraźnego programu nie podobna dopatrzeć się w tym piśmie; miało ono jednak swoje znaczenie w historji naszego piśmiennictwa: ułatwiło bowiem pierwsze kroki wielu autorkom, których imiona zapisały się później chlubnie na kartach naszej literatury, że wspomnimy tylko Narcyzę Żmichowską.

„Pierwiosnek“ wychodził przez lat sześć do r. 1843. W ciągu tego sześciolecia, Krakowowa nie zaniedbuje literatury dla młodego wieku, która była istotnym jej powołaniem; w roku 1839 ukazuje się; „Powieści starego wędrowca“ w roku 1841 wcale zręczne: „Pogadanki matki z dziećmi“, a w roku 1843 wraz z Walentyną Trojanowską, jedną z najzdolniejszych uczennic Jachowicza, zaczęła redagować pismo dla dzieci p. t. „Zorza.“ Pismo to wychodziło wprawdzie tylko dwa lata, lecz zaznaczyło się dodatnio w dziejach naszej literatury dla dzieci. Co do ducha, wierne ideałom, przekazanym przez Klementynę Hoffmanową, wyróżniało się może większą różnorodnością treści, niż „Rozrywki“, mniej się obawiało podawać młodzieży utworów, działających silnie na wyobraźnię, trochę więcej, choć jeszcze w bardzo małym zakresie, uwzględniało wiadomości z nauk przyrodniczych; przytym w powiastkach i pogadankach moralnych potrącało niejednokrotnie o sprawy społeczne, obznajmiało młodych czytelników z niektóremi sprawami społecznemi, mówiąc im o zakładach dobroczynnych, obiadach pięciogroszowych, ochronach dla dzieci, które właśnie w tym czasie powstały i zaczęły się rozwijać w Warszawie, wskazując młodym czytelniczkom obowiązki obywatelskie względem dzieci włościańskich i wogóle podając

sympatyczne obrazki z życia ludu wiejskiego i miejskiego. Prawdziwą zaś jego ozdobą były prace samej Krakowowej, a wśród nich: „Wspomnienia wygnanki,“ dziełko tak niemal pociągające dla dzieci jak Robinson Kruzoe, które potym przedrukowano tylokrotnie. Równą popularnością cieszyła się książeczka, wydana już po zamknięciu „Zorzy“ p. t.: „Niespodzianka“ (I wydanie, 1847), zbiór powiastek dla dzieci, zaczynających czytać. W tymże rodzaju są: „Wieczory domowe,“ gdzie oprócz powiastek mieszczą się dobre pomysły do gier i zabaw i, o ile sobie dobrze przypominamy, znajduje się mała komedyjka na zakończenie.

W r. 1848 wydaje Krakowowa ciekawą książkę, przeznaczoną właściwie dla dorosłych i dla dojrzałej młodzieży p. t.: „Obrazy i obrazki Warszawy“, w której znajdujemy opis i historję niektórych kościołów, instytucji, zakładów dobroczynnych, a także parę obrazków powieściowych z życia warszawskiego w pierwszej połowie XIX wieku.

W roku 1849 autorka nasza otwiera w Warszawie pensję dla panien, która przez lat trzydzieści zasługuje na sławę pierwszorzędnego zakładu naukowego. Działalność jej wychowawczą tak charakteryzuje p. Jadwiga Sikorska, długoletnia pracowniczka w jej zakładzie, a ostatnio przełożona własnej pensji wyższej VI-klasowej w Warszawie:

„Głęboko religijna, zahartowana w ciężkich przejściach życiowych, silna duchem, podniosła umysłem, Paulina Krakowowa starała się wychowywać swe uczennice na dzielne niewiasty-obywatelki, ucząc je przedewszystkim spełniać drobne obowiązki codziennego życia, ale zarazem zakreślając im szerokie granice. Brak tej zasady w dzisiejszym wychowaniu i lekceważenie tych właśnie obowiązków wyrabia wiele umysłów pyszałkowatych, charakterów spaczonych zarozumiałością, istot wprawdzie szlachetnych porywów, ale do pożytecznej pracy niezdolnych. — Daleka od zbytecznego moralizowania, Paulina Krakowowa wywierała przykładem swym silny wpływ na wychowanki, jednając sobie ich serca niezwykłą dobrocią i słodyczą, nie wyłączającą bynajmniej stanowczości i powagi wielkiej, tudzież dziwną pogodą umysłu, poza którą nierzadko krył się wielki ból, jaki dla siebie jedynie zachować umiała. Miłość, wiążąca uczennice ze swą przewodniczką, to cała zagadka szerokiego wpływu rozumnej i zacnej wychowawczyni; to

najlepszy, dotąd jedynie pewny i trwały system pedagogiczny. Podobnie miły stosunek łączył Paulinę Krakowową z jej współpracownikami, którzy odczuwali wielką jej dla siebie życzliwość, delikatność wytworną i takt niezwykły w postępowaniu; dla młodych zaś nauczycielek dom Pauliny Krakowowej stawał się prawdziwą szkołą, nabierały one w niej gorącej chęci i zapału do dalszej pracy nauczycielskiej, którą zacna i rozumna przewodniczka osłodzić każdemu umiała.

Co do nauczania, Paulina Krakowowa idzie za postępem i duchem czasu; podnosi w swoim zakładzie ówczesny poziom nauk szkolnych, stara się o dobór światłych nauczycieli, wśród których spotyka się ludzi takiej miary, jak: ś. p. Juljan Bartoszewicz, Ignacy Boczyliński, Jerzy Aleksandrowicz, oraz dzisiejszy biskup, ksiądz Kazimierz Ruszkiewicz; zajmuje się żywo wykładami, biorąc w nich czynny udział (długie lata Paulina Krakowowa prowadziła w swoim zakładzie naukę języka i literatury polskiej); bada postępy uczennic po za godzinami lekcji; kieruje ich czytaniem, słowem, budzi w nich ducha, naucza, wychowuje.“

Rzecz naturalna, iż oddana tak swym wychowankom, mniej ma czasu na pisanie. Dopiero w roku 1860 z nazwiskiem jej znowu się spotykamy. Tym razem jest to praca dydaktyczna: Wypisy dla dziewczynek p. t.: „Poezje i proza.“ Autorka miała w swym planie trzy części, ale okoliczności pozwoliły jej wykończyć tylko tom pierwszy, przeznaczony dla uczennic lat 10—12. Później nieszczęścia rodzinne, śmierć ukochanej córki Zofji i synka Ludwika, wytrąciły jej znów pióro z ręki na lata całe, ujęła je wszakże na parę lat przed zgonem i w sędziwym już wieku powróciła do rodzaju, który uprawiała z takim powodzeniem w latach swej młodości — do powieści. W roku 1880 wyszła jej powiastka historyczna p. t.: „Branka tatarska“; potym przełożyła z angielskiego powieść p. t.: „Kampanella“; zaszczyciła swym współpracownictwem świeżo założone wówczas „Wieczory rodzinne“, gdzie pomieściła cały szereg powieści, osnutych na tle dziejowym, które wyszły później p. t.: „Powiastki prawdziwe“, a które może były mniej barwne od jej dawniejszych utworów w „Niespodziance,“ niemniej jednak chętnie bywają czytane przez dziatwę. Nadto w roku 1879 brała udział w rozstrzygnięciu konkursu, ogłoszonego przez redakcję „Bluszczu“ na dzieło traktujące wszechstronnie o wychowaniu dzieci, a którego wyni-

kiem było nagrodzenie pracy p. Zofji Kowerskiej, pod tytułem: „O wychowaniu macierzyńskim“ (str. 245, Warszawa, 1881).

Umarła dnia 16-go lutego 1882 roku skutkiem anewryzmu serca. Liczny orszak, w którym uczestniczyły wszystkie pensje warszawskie, odprowadził jej zwłoki na cmentarz Powązkowski. Wdzięczne uczennice uczciły jej pamięć tablicą w kościele śś. Piotra i Pawła. Napis zaś na nagrobku: „Tu spoczywa ś. p. Paulina z Radziejowskich Krakowowa, przewodniczka polskich kobiet: pracowała poczciwie, kochała i cierpiała wiele“ — charakteryzuje tę piękną postać, tak wybitnie zaznaczającą się w dziejach szkolnictwa naszego z przed ostatniej doby. Przełożone pensji warszawskich zebrały między sobą fundusz jej imienia, który bywa obracany na wydawanie pożytecznych książek dla młodzieży.

Aniela Szycówna.

---

8. Katarzyna Sowińska.

1776 † 1860.

Z mroku przeszłości naszej wyłania się postać drobna i cicha, wolą silna, w uczuciu potężna, w cierpieniach pełna dostojeństwa, w poświęceniu bezgraniczna — to Sowińska.

Przyszła na świat w Warszawie dnia 10 stycznia 1775 roku. Dom jej rodziców, możny i otwarty, skupiał wielu ówczesnych wybitnych ludzi. Wśród tej atmosfery bujnie się rozwijał bystry z natury umysł dziewczęcia; jeszcze nie doszła dziesiątego roku życia, a już czytywała rodzicom ówczesne gazety.

Z czasów panieństwa Katarzyny niewiele pozostało szczegółów. Wiadomo, że po rozbiorze kraju wyszła za mąż za radcę ówczesnej Rejencji pruskiej, Karola Jonasa, lecz niedługo potym owdowiała, nie mając dzieci. W dniu 19 lipca 1805 roku wyszła powtórnie za mąż za Józefa Sowińskiego, podówczas kapitana artylerji.

W miłości, zgodzie i pokoju, w zamiłowaniu domowego ogniska spędziła z mężem szereg lat. Nie ograniczała się jednak jej dusza sferą uczuć wyłącznie rodzinnych. Jak mąż zwany był słusznie „ojcem szkoły aplikacyjnej”, tak ona znowu była tkliwą i baczną w ów-

czesnych warunkach życia „matką" uczniów tej szkoły. Po upływie lat trzydziestu kilku zobaczymy na pogrzebie Sowińskiej gromadkę uczniów niegdyś szkoły aplikacyjnej; idący w tej gromadce ze łzami w oczach żołnierskim językiem powtarzali sobie: „Pamiętasz bracie! Ona była nam matką!" — „O, tak!" — odrzekło znów kilku srebrnowąsych z głębokim westchnieniem. Będąc tedy promieniem słonecznym ogniska domowego, stojąc na straży cnót rodzinnych, była również matką-obywatelką.

Dotychczas widzimy Sowińską przy boku męża, jako dobrą, oddaną i tkliwą towarzyszkę, szczęśliwą i szczęściem obdarzającą. Ale nadchodzi burza. Mąż idzie w wir walki (powstanie 1831 r.) — ona w imię poczucia ciążącego na niej obowiązku, niepozwalającego pozostawać w bezczynności, idzie koić cierpienia rannych. Oddaje się cała na usługi lazaretów, staje w tymże szeregu sióstr miłosierdzia, co Klaudja Potocka, Emilja Szczaniecka, i z całym zaparciem się siebie, niebaczna na własne bezpieczeństwo, koi swą anielską dłonią cierpienia rannych na polu walki lub umierających z szerzącej się straszliwej zarazy. A gdy tamte dwa anioły opiekuńcze—Szczaniecka i Potocka—oddane są na równi z nią na usługi bliźnich, ona ponad to nosi jeszcze w swym sercu trwogę o ukochanego męża. Tak tedy dzieli mężnie uczucia żony z uczuciami siostry miłosierdzia. Jej dom własny, gdzie do niedawna gościł cichy spokój rodzinny, staje się ustronnym lazaretem. Do niego wciąż przynoszą coraz nowe ofiary, potrzebujące pomocy, albo z niego wynoszą tam, skąd się już nie wraca, te ofiary, których pieczołowitość opiekunki uratować nie mogła. W owym lazarecie również obija się o uszy nie rzadko wdzięczne słowo tych, co zostali pieczą Sowińskiej wydarci z uścisków śmierci; więc błogosławią i, wzmożeni na siłach, stają się nową pomocą w ratowaniu rannych.

Aż nareszcie zbliża się dzień 6 września 1831 r. — Sowińskiej przynoszą wieść o śmierci szczudłowego bohatera w kościołku na Woli. Ona tę śmierć przeczuwała, ona jej oczekiwała... Bez jęku, bez skargi biegnie szukać zwłok męża, nie słuchając przestróg, mówiących o niebezpieczeństwie. Przeciska się wśród tłumnych szeregów nieprzyjacielskich, dostaje się na Wolę, aż na miejsce skonu swego męża, odważnie rozpytuje i tą odwagą wprawia w podziw i zdumienie przeciwników. Nadaremne były te trudy! Zwłoki jenerała zostały

wrzucone do wspólnej mogiły. Ona, sama jedna wśród wojska nieprzyjacielskiego, nie osiągnąwszy skutku, wróciła w niewysłowionym smutku do domu.

Późnym wieczorem, w kilka dni potym, zakołatał ktoś do jej podwoi. Był to prosty żołnierz rosyjski. Widział on ją, jak troskliwie szukała swego męża, współczuciem pojął jej boleść; nie znalazł wprawdzie, jak i ona, jej szukanego skarbu, ale znalazł kij, którym się jenerał podpierał, i kij ten schowawszy ukradkiem, teraz potajemnie przyniósł jej w ofierze. Ta tyle droga dla Sowińskiej pamiątka przechowywana była ze czcią przez lat dziesiątki. Na parę lat przed jej zgonem pamiątki tej pozbawiła ją czyjaś dłoń niesumienna.

Od śmierci męża zaczęło się dla Sowińskiej inne życie. Przy boku jego jaśniała cnotami domowemi. Teraz miała zajaśnieć w całej pełni skarbami bogatego ducha polskiej matrony.

Gdziekolwiek zwrócimy oczy na to życie pełne treści, wszędzie widzimy najpiękniejsze jego owoce. I doprawdy niełatwo zdobyć się dziś na podanie dokładnego rysu osoby, która nie pożyczanym urokiem mężowskiego nazwiska, ale z własnych cnót, za życia, samoistnie wyrobiła sobie miejsce w dziejach krajowych pomiędzy najznakomitszemi białogłowami naszego narodu.

Przy całej samoistności w działaniu, Sowińska czuła się szczytnie związaną ze wspomnieniem męża. We własnoręcznej notatce, skreślonej w rocznicę skonu męża, mianowicie 6 września 1832 roku, objawiła, że tak powiemy, plan swego życia przyszłego. Oto treść notatki: „6 września 1832, dzień wspomnień okropnych, — dzień, w którym spadł na mnie cios, zadający sercu mojemu ranę, nigdy niezagojoną, zostawiający mnie samą na świecie, bez szczęścia, bez nadziei, bez życzeń żadnych! A jednak mogłam dożyć tej rocznicy, znieść uczucia, napełniające duszę moją w ciągu straszliwej godziny, w której podług wszelkich wiadomości, jakie zebrać mogłam, padł On...— a obraz, który myślom moim się przedstawił o doznanych przez Niego cierpieniach, nie pozbawił mnie razem życia i boleści!... Kiedy taki jest wyrok Najwyższego, któremu ulec potrzeba, obca już radości, pragnąc tylko już nieść ulgę innym cierpiącym, a szczególniej rodakom, o ile będzie w mojej mocy, jedynym moim będzie staraniem nie skazić nazwiska tyle mi drogiego, przez jakikolwiek czyn, sprzeciwiający się moje-

mu przekonaniu, iż Jemu nagannym zdawaćby się mógł. Przyrzekam to Tobie, drogi Cieniu, którego czysta sława do ostatniego tchnienia mego najwyższym moim skarbem, najsłodszą moją pociechą zostanie''.

Na ileż to rozmyślań naprowadza owa ocalona od zaguby pożółkła kartka, mieszcząca krótkie, a pełne tak głębokiej i tkliwej treści słowa! Ileż w nich tkwi piękności duszy tej, która słowa na kartce kreśliła! Słowom tym pozostała Sowińska wierną do grobu.

Dom jej nigdy nie był zamkniętym, każdy znajdował w nim i gościnne przyjęcie, i uwagę dla potrzeby, z którą przychodził. Uczynna bez granic prawie, miała tę pamięć serca, która o potrzebie drugich nigdy nie zapomina, co jest arcyrzadkim przymiotem charakteru duszy i znakiem prawdziwego dopiero dla bliźnich współczucia. Dla wszystkich była usłużna, uprzejma dla każdego bez wyjątku; w stosunkach przyjaźni stała i niezmienna; dla rodziny męża była wylana, pełna wyższej szlachetności. Stąd każdą grzeczność sobie wyświadczoną przyjmowała wdzięcznie i z taką prostotą, jakby chciała przekonać, że jej się od innych nic nie należy.

Obok uczucia tak wykształconego, miała rozum wzbogacony znaczną nauką, zwłaszcza, że obdarzona była wielką pamięcią i przytomnością umysłu. Posiadała takt niepospolity, który obronną ręką pozwalał jej wychodzić z arcytrudnych położeń, w jakich niejednokrotnie się znajdowała. Ściśle mówiąc, nie było u niej „salonu'', a jednak w domu jej zgromadzało się przez długi szereg lat wszystko, co błyszczało nauką i wiedzą, talentami, a wreszcie przymiotami umysłu i serca. Umysł Sowińskiej obejmował zarówno wielkie zagadnienia życia, jak i liczne drobne sprawy. Toż nie dziw, że takie, zalety i właściwości przyciągały jej licznych gości w dom, bo u niej każdy cię czuł podniesionym i był jak u siebie. Przyniewalała wprost obejściem miłym, sądem pewnym, bo zawsze uzasadnionym; znakomitym zaś pojęciem obowiązków, połączonym z pojęciem godności osobistej, zjednała sobie cześć powszechną.

Jedna rzecz zadziwiać musiała w Sowińskiej. Umysł jej aż do sędziwej starości zachowywał się wciąż świeży, przedziwnie przyswajający sobie nabytki wciąż postępującej wiedzy, myśl była wciąż jasną i wolną od uprzedzeń, często późnemu wiekowi towarzyszących. Była to dusza upodobana w tym, co w ciągu życia najlepszego zebrać zdołała. Sąd jej w rzeczach smaku

i zajmowanie się wszystkiemi przedmiotami, pobudzającemi uwagę umysłu uprawionego, świadczyły o gruntownej, nie błyskotliwej wiedzy.

Znaną jest długoletnia, sięgająca aż do zgonu ścisła przyjaźń Sowińskiej z Klementyną z Tańskich Hoffmanową. Znane są owe częste biesiady o muzyce i o sztuce, w których Sowińska miała głos przeważny.

Ile była dobroczynną, świadczą mnogie czyny jej dobrodziejstw, w których się tyle rozsądku, co i serca radziła. Nie mając własnych dzieci, była matką dla sierot i przez kilka pokoleń ponawiała swą troskliwość i pieczołowitość w kształcenin młodych, osieroconych osób. Wiedziona nadzwyczajną przenikliwością, niejednokrotnie umiała podać rękę umiejętnie tym, co pomocy znaleźć skądinąd nie mogli, bo zaufać porządnemu człowiekowi bez żadnej rękojmi znaczny nawet kapitał, było rzeczą u Sowińskiej zwykłą; niejeden w ten sposób ocalał od zguby.

Posiadając znaczny majątek ziemski, rozcząstkowała go zupełnie pomiędzy swoich chłopków, nałożywszy im czynsz jak najłagodniejszy, nieobliczony zgoła wedle wartości ziemskiej, ale wedle skromnych jej potrzeb. Tym dochodem obywała się do ostatka dni swoich. To oczynszowanie dokonane w Wierzbnie, w Wyglądowie pod Warszawą i w innych folwarkach, nie podobało się na owe czasy — i łącznie z innemi okolicznościami sprowadziło nawet na Sowińską prześladowania. Wiadomo jest, że w klasztorze w Łomży spędziła swój żywot od 2 go sierpnia 1835 r. do 25-go listopada 1837 r.

W szeregu długich lat życia Sowińskiej nie było, rzec można, jednego dnia bez dokonania jakiego pięknego czynu. Gdzie tylko panowała nędza i ból, gdzie płynęły łzy, gdzie pomoc i ratunek były niezbędne, tam wszędzie nie brak było Sowińskiej w radzie i pomocy. Wśród takiego trybu życia, stającego się wzorem dla następnych pokoleń, dożyła 85 lat wieku, zachowawszy do ostatka prawdziwą czerstwość wszystkich władz umysłu.

Koło południa 9 czerwca 1860 r., gdy Sowińska zajęta była właśnie czytaniem książki Kremera o podróży do Włoch, przyszła do niej jedna z przyjaciółek i oznajmiła, że przypadkiem widziała na ulicy jakąś wynędzniałą kobietę, i zapytała ją, czemu jej bliźniaczki tak nędznie wyglądają i czemu takie wątłe. „Jakże mogą być rzeźwe,—odrzekła matka,—kiedy ja ogromną znoszę

nędzę, bo od dwóch tygodni żyję tylko chlebem i wodą"... Na te słowa opowiadania, jenerałowa, słuchająca z uwagą, chwyciła za kapelusz i mantylę, a polecając tymczasem w domu przygotować dla biedaczki zapas żywności, sama poszła czymprędzej wyszukać biednej kobieciny. Dane w domu zlecenia były ostatniemi jej słowami...

Wśród ulicy nagle nastąpił zgon cichy.

Wiadomość o śmierci Sowińskiej przebiegła pomiędzy ludem, jakby iskra galwaniczna, okrywając smutkiem oblicza, a serca wspomnieniem przeszłości.

O godzinie 6-ej 11 czerwca 1860 roku, przed domem przy ulicy Królewskiej zebrał się tłum wielotysięczny. Niebawem wyruszył prawdziwie królewski orszak pogrzebowy, niosąc trumnę na własnych barkach przez ulicę Żabią obok Banku i całą Elektoralną aż po rogatki Wolskie, do grobu, na cmentarz ewangielicko-reformowany. Orszak pogrzebowy składali dawni wojskowi, uczniowie męża zmarłej, obywatele ziemscy, urzędnicy wszystkich zarządów, ludzie nauki i młodzież ucząca się, rzemieślnicy i wyrobnicy,—razem wszystkiego było z kilkanaście tysięcy. Błogo widzieć było, — powiada świadek naoczny, — jak skwapliwie śpieszono nie do strojnego w pióra i baldachimy galonowego karawanu, ale do trumienki skromnej, rozrzucającej wokoło smutek ponury; ciśnięto się do niej, aby choć po kilka kroków na swoich ramionach nieść drogi ciężar. Każdy prawie dotknął ramieniem trumny,—pisze współczesny kronikarz, — każdy orzeźwił serce tą pociechą, że oddał ostatnią, chrześcijańską posługę zmarłej wdowie, która obok zalet dawnych matron polskich przez ciąg życia swego była opiekuńczym aniołem i cichym pocieszycielem cierpiących, przerwany żywot męża przedłużając tym sposobem najpiękniejszemi cnotami matki-obywatelki. Orszak postępował krok za krokiem, albowiem każda przemiana osób, dźwigających trumnę, zdawała się przedłużać czas, ażeby nie tak prędko ukryć ten skarb na zawsze w mogile. Oto już jesteśmy na cmentarzu,—nawał ludu się ciśnie,— trumnę postawiono nad wykopanym dołem. Chmury, co jakby rozżalone źrenice, przed chwilą spuszczały łzy deszczu, niby płacz nad umarłą, zwolna rozsunęły się i umieściły wpośród siebie słońce, jak boże oko. Po mowie, streszczającej życie zmarłej, zaczęto trumnę spuszczać do grobu...

Szczęśliwy ten naród, który w swym łonie takie-

jak Sowińska, mieści niewiasty,—któremu dotąd nie zbywa na wzniosłych przykładach i wzorach.

Stanisław Kijeński.

---

9. Księżna Marcelina Czartoryska.

Nie ośmielę się opowiadać życia księżnej chociażby w najkrótszym zarysie. Niech to uczynią ci, co ją znali oddawna i zblizka, w różnych okresach jednolitego działania. Jeżeli pomiędzy ludźmi, którzy w wielu ważnych sprawach brali udział i wiele pamiętają, są dzisiaj tacy, co piszą pamiętniki, to z kart ich wspomnień wstanie kiedyś postać księżnej w całej szlachetności i powadze. Chciałbym od siebie dodać — „i w swoim osobliwszym uroku'', ale lękam się, że nie łatwo będzie oddać go słowami. Na korespondencję nie można podobno liczyć. Księżna niszczyła, jak słyszę, listy od ludzi wybitnych politycznie i od słynnych artystów, bo zawierały jej pochwałę. Dużo papierów zresztą spłonęło podczas pożaru Woli Justowskiej: naoczny świadek wypadku opowiada mi, jak pośród wyrzucanych przedmiotów ujrzał i ocalił list Chopina. Nie wie jednak, co się z nim potem stało. Ludzie, którzy dużo przeżyli, dużo piękna zaznali, lękają się nieraz pośmiertnej niedyskrecji lub obojętności, nieuniknionych wydawnictw i lichych komentarzy. Wiem, że księżną Czartoryską kierowała przedewszystkim skromność, kiedy paliła swe pamiątki; znając ją trochę, nie zdziwiłbym się, gdyby tu także czasem inne działały pobudki. Co się zaś tyczy listów, pisanych przez nią samą, nie należy się w nich spodziewać świadectw o niej. Będą one jedynie mówiły o ciągłej akcji zewnętrznej. Posiadam taki list, poświęcony wyłącznie sprawie bliskiego mi młodzieńca, uniwersyteckiego kolegi. Nie chodziło tym razem o materjalną zapomogę, ale o pomoc moralną, o wlanie otuchy, przywrócenie energji i odwagi. Zanim się sama odezwała do chłopca, zbolałego niesprawiedliwością ludzką, chciała poznać jego usposobienie, aby swój list do stanu duszy zastosować. Tak radził jej ów płynący z serca takt, o którym wyżej wspomniałem. Wiem, że dawni jej znajomi mogliby na to przytoczyć liczniejsze i silniejsze dowody. Pra-

gnąłbym, aby to uczynili. Bo osoby, o których się mówi za ich życia z tą czcią, z tym wszechstronnym i spokojnym ocenieniem ich wartości, tym tonem, który się zwykle tylko do umarłych do pożegnanych odnosi, te osoby zasługują na to, aby po śmierci powstały jak żywe z ludzkich świadectw i wspomnień.

Słyszałem dużo opowiadań o księżnej, może dlatego, że ich słuchałem tak chętnie. Nie chcę powtarzać dat jej życia, ale radbym zapisać parę szczegółów, parę rysów charakterystycznych. Robię to trwożnie i w poczuciu żalu, że będą to już wiadomości, zaczerpnięte od drugich. Od znakomitej kobiety, którą danym mi było widywać i znać o tyle, aby ją czcić i ukochać, dzieli już i mnie wielka, długa przeszłość. Pomiędzy tą uczestniczką dni lepszych i ufniejszych, a spisującym niektóre jej zasługi, leżą już dzisiaj obce wrażenia, cudze opowieści.

Księżniczka Marcelina Radziwiłłówna, córka Michała, pułkownika wojsk napoleońskich, urodziła się w 1817 r. w Podłużnem na Polesiu. Matkę straciła za młodu, a ponieważ babka po kądzieli, pani Worcellowa, mieszkała w Wiedniu, księżniczka przebywała tam często. Muzykalne miasto nie pozostało bez wpływu na artystyczne jej zamiłowania. Odezwała się w niej może jakaś zdolność dziedziczna. Wiadomo wszystkim — zwłaszcza w Niemczech—że ks. Antoni Radziwiłł napisał pierwszą muzykę do „Fausta", że dzięki jemu dwór berliński zapoznał się z największym dziełem niemieckiej poezji. Działo się to na rok przed urodzeniem księżniczki. W kilkadziesiąt lat potym pod jej okiem tworzył Gounod swego „Fausta", zasięgając co chwila jej rady, zdania kilku jej przyjaciół Polaków: pytał ich często, czy muzyka, którą pisze, odpowiada duchowi poety, czy wydaje się im dość giermańską. Do końca życia pozostał stary, pobożny maestro francuski serdecznym zwolennikiem, wielbicielem księżnej. W roku 1840 wyszła za ks. Aleksandra Czartoryskiego. Starzy znajomi opowiadają, że niczyjego sądu w sprawach muzycznych nie lękała się tak żywo, jak zdania męża. Zrosła się zupełnie z jego rodziną i dała nieraz czynne tego dowody. Mówiła niegdyś, pamiętam to wybornie, że nosi z dumą nazwisko, które ze ślubem przyjęła. Bo kiedy sięgając w przeszłość, odnajdywała wśród własnych przodków postaci ujemne, kilku wichrzycieli, między Czartoryskiemi spotykała ludzi większej lub mniejszej tęgości i energji, ale złego Polaka

tam nie było. Na tę kobietę miłosiernego i podniosłego serca będą się mogły dwa rody powoływać.

W Paryżu poznała Chopina, tam stała się z czasem najulubieńszą jego uczennicą. Konając, kazał jej zasiąść do fortepianu. Ostatnie chwile Chopina stały się pastwą legiendy. Turgeniew śmiał się z tylu wirtuozek, z tylu wielkich pań muzykalnych, z których każda twierdziła, że Chopin umarł przy dźwiękach jej gry. Nie dziwię się im: kto sobie w samej sztuce stanowiska wywalczyć nie zdoła, stara się przynajmniej o miejsce w anegdotycznej historji sztuki. O ile wiem, księżna nie opowiadała o swej obecności przy tej śmierci. Bo też – mówię to od siebie—cóż mogło wielkiej artystce zależeć na takim, głównie przypadkowym zdarzeniu? Mimo to muszę zaznaczyć, że księżna w tej chwili siedziała u fortepianu. Malarz Kwiatkowski, naoczny świadek sceny, zgromadził na swym obrazie tylko następujące osoby: księżnę Czartoryską, panią Delfinę Potocką, ks. Jełowickiego, Alberta Grzymałę i Telefsena.

Istnieje inny obraz Kwiatkowskiego, znany podobno w kilku reprodukcjach, wyszłych z rąk samego artysty, przyjaciela Chopina. Jedna z nich, bardzo piękna, wisi u p.p. Kościelskich i w berlińskim Salonie przypomina swoim i obcym gościom narodową dumę i chwałę. Widzimy tam Chopina w chwili, gdy wykonywa lub tworzy swego poloneza. Przesuwają się różnorodne polskie postacie, od husarzy skrzydlatych do najznakomitszych mężów w emigracji. Obok artysty, wśród kółka najbliższych mu osób, na pierwszym planie postawił malarz ks. Czartoryską.

Wiadomo, że czyściej i dokładniej od innych przechowywała ona tradycję swego mistrza; wiadomo, że kto chciał poznać myśl Chopina, przyjeżdżał na naukę do Krakowa. Artyści, którzy się dziś liczą do najsławniejszych na obydwóch półkulach, mówili mi o „starej księżnej'' z podziwem, czcią i uwielbieniem. Za dawnych czasów przychodził do niej Liszt, chcąc jej gry posłuchać; prosił wtedy, aby nikogo nie wpuszczano do salonu, z wyjątkiem Maurycego Manna. Chory na oczy Krasiński słuchał godzinami jej gry w pokoju o zasłoniętych oknach. Później księżna musiała nieraz prostować pojęcia o Chopinie. Poczęto przesadzać w cichości gry, w delikatności dotknięcia, zamieniano subtelność uczucia na sentymentalizm. Ks. Czartoryska broniła wtedy ludowego zacięcia mazurków, powtarzała chętnie

słowa, które Krasiński zwrócił do Słowackiego, radziła więcej granatów podłożyć pod lazury. Sądzę zresztą, o ile się w takich sprawach mogę ze zdaniem odzywać, że jak wogóle w sztuce, tak i w dziełach muzycznych lubiła szukać nietylko wrażeń, ale myśli. Nie zadawalniały jej—i w tym się może różniła od współczesnych—utwory poetyckie, starające się impresjonistycznie, za pomocą nawału porównań, oddać znaczenie muzykalnego dzieła. Wolała, aby wyrażono jego myśl w kilku jasnych, wyraźnych obrazach. Dlatego nie lękała się komentarzy, owszem, starała się o nie. Na jej prośbę wygłosił niegdyś St. Tarnowski odczyty o dziełach Chopina, które wykonywała pośród pauz wykładu. Później, mając grać na koncercie słynnego poloneza, zwróciła się do nawskroś muzykalnego młodego przyjaciela z życzeniem, aby w wierszu zaznaczył kilka scen, które, według jej, popartego tradycją pojęcia, stanowiły osnowę, główne momenty utworu.

Grywała wiele dla przyjaciół. Dużo osób w Krakowie pamięta jej wtorkowe muzykalne wieczory, w których najznakomitsi artyści brali obok niej udział. Dokoła fortepianu księżnej gromadzili się nieraz różnorodni ludzie: wspomnę tylko jednego, Matejkę. Bywali tam nietylko nawskróś muzykalni. Księżna chciała też czasem—wiem to najlepiej—nawrócić kogo do muzyki, wytłómaczyć mu, że może ją zrozumieć.

Najwybitniejszą cechą tej kobiety była dobroć. Wobec jednostek objawiała się ona życzliwością, wobec ogółu — miłosierdziem.

Słyszano ją też najczęściej na koncertach dobroczynnych. Pamiętają je w Krakowie, a pewno i w Paryżu. Grywała tam na cele polskiego Towarzystwa Dobroczynności. Towarzyszyli jej wtedy artyści, biorący zazwyczaj udział w tak zwanych „concerts du conservatoire"; występowali i jej dobrzy, słynni znajomi, Vieuxtemps i Franchomme. Koncerty przynosiły po kilkanaście tysięcy. Później grywała ks. Czartoryska w Londynie, grywała w prywatnym salonie, ale i tu płynęły pieniądze na rzecz rodaków. Po takim koncercie kolonja polska w Londynie chciała raz złożyć księżnie dar honorowy, wyborny fortepian w cenie kilku tysięcy franków; suma ta przeszła jednak z woli artystki do kasy Polaków, przebywających w Anglji. Z artystyczną publicznością Zachodu pożegnała się księżna przed kilku laty, dając w Wiedniu koncert razem z Lisztem.

Po śmierci męża fortepian milczał długo. Odezwał się dopiero w ostatnim roku i w najściślejszym gronie słuchaczy. Wielka artystka nie chciała młodym talentom odmówić nauki i porady; odżyła dla muzyki, słuchała jej chętnie...

K. M. Górski.

---

10. Życie matki księdza biskupa Hołowińskiego.

Matka moja urodziła się w Międzyrzeczu Koreckim i otrzymała na chrzcie imię Dominiki. Rodzice jej nie byli ani bogaci, ani ubodzy; mieli sześć córek i jednego syna.

Gdy matka miała lat szesnaście, a ojciec mój w dozgonne z nią wstąpił śluby, z początku nie mogła się włożyć do gospodarstwa, lecz niezadługo stała się bardzo rządną i pracowitą gospodynią. Ojciec, czując się coraz słabszym i sprzykrzywszy sobie stan służebny (był bowiem ekonomem), a mając maleńki fundusik, za poradą swego brata Ludwika, rzucił się do handlu drzewem. Matka odrazu spostrzegła zły koniec tego handlu, starała się przeto odwrócić męża od przedsięwzięcia. Lecz napróżno... Codzień też szło gorzej a gorzej, aż wreszcie ojciec poznał swoją pomyłkę, ale zapóźno, bo stracił już cały fundusz. Z tego powodu osiadł na bruku, cały rok ciężko ze zmartwienia chorował, aż wreszcie 1810 roku smutnego dokonał życia. Nieszczęśliwa matka, sama jedna, bez żadnej opieki, była rzucona na ten świat szeroki, mając tylko w towarzystwie biedne sieroty, które jedynie z jej rąk utrzymania i wsparcia dla siebie wyglądały.

Nie było czasu oddawać się długim żalom, lecz należało myśleć o dzieciach. Opuściła tedy matka najpierw strony owruckie, gdzie nikogo nie miała z krewnych, i przeniosła się w strony Ostroga i Korca, kędy jej familji było gniazdo. Ale i tu kłopot. Któż bowiem przyjmie wdowę z ośmiu drobnemi sierotami? Trzeba tedy było dziatwę między ludzi rozdzielić. Był to czas dla niej najboleśniejszy i najcięższy.

Powierzywszy miłosierdziu ludzi starsze dzieci. osia-

dła sama z niemowlęciem, ze mną kilkoletnim i najstarszą córką, Teklą, przy rodzonej siostrze, która we wsi Sadkach miała kilka chat w dożywociu. Trudne to było położenie, ciotka bowiem nie była zbyt bogatą. Tymczasem, jak na dobitkę, spalił się jej dom i wszystkim trzeba było znowu szukać schronienia. Tekla znalazła służbę w obcym domu, ja wraz z siostrą Krystyną dostaliśmy się, niby na opiekę, a w rzeczy samej na służbę bez płacy do ciotecznej siostry mej matki. Lecz na nasze szczęście nie długośmy u niej bawili: gdy bowiem raz matka nasza oburzyła się na sposób, w jaki się z nami obchodzono, wygnała nas złośliwa kobieta. Wziąwszy mię tedy, matka, gorzko płacząc, szła szukać schronienia. Obcy ludzie, ale bardzo poczciwi, przyjęli nas z największym współczuciem.

Zaczęliśmy tymczasem podrastać. Nowy kłopot dla biednej matki, postanowiła nas bowiem oddać do szkoły. Modliła się często we łzach do Boga, żeby ją natchnął myślą, jakby mogła swój zamiar przywieść do skutku. Wysłuchał ją wreszcie Bóg, bo jej podał myśl, żeby się przeniosła do Międzyrzecza, gdzie były szkoły i gdzieby trzymając na stancji chłopców, chodzących do szkół, pracą mogła swe dzieci wyżywić i wychować. Ale strapiona nie miała pieniędzy, żeby nająć mieszkanie. Wtedy córka Tekla przyniosła jej 200 w służbie oszczędzonych złotych i została przy niej do pomocy.

Początek był bardzo trudny: nie znając nikogo, nie mogła sobie dać rady. Lecz wnet i pomyślniejsze zaczęły się czasy: dobra matka mogła już znów zebrać rozproszone dziatki. Za łaską Boga, synowie, osobliwie starsi, najpiękniej się uczyli. Co to była za pociecha dla niej, kiedy przy końcu roku na publicznym zgromadzeniu dawano Antoniemu i Janowi nagrody...

Ale nagle wielki smutek spotkał niebogą wdowę. Szesnastoletnia córka Eleonora, zaręczona z poczciwym i dosyć zamożnym młodzianem, umarła. Ileż stąd strapienia! Synowie jeden po drugim kończyli szkoły i szli na akademję do Wilna. Pozostała tylko sama z Teklą, i chyba wtenczas radość była, gdy które dziecko przyjechało.

Wkrótce Bóg postanowił ciężko doświadczyć ubogą wdowę; zabrał jej dwóch synów i córkę Teklę, prawą jej rękę. Okropnie było w ubogim domku! Najstarszy syn Mikołaj umarł w Kijowie, najmłodszy Gabrjel zginął w powstaniu r. 1831, za niemi poszedł do Boga czysty

duch Tekli. Ledwo wyrosły w górę piękne latorośle, a zaraz uschły. Jakaż to boleść dla matki!

Wreszcie pozostałym synom lepiej zaczęło się powodzić: sprowadzili do siebie matkę; już ją sami utrzymywali, o wszystkie jej wygody się starali. Cieszyła się cnotliwa staruszka, cieszyli się i synowie. Ale inaczej Bóg zrządził, zesłał bowiem na nią chorobę piersiową, by ją doświadczyć jeszcze jednym cierpieniem, by jeszcze więcej sobie na niebo zasłużyła. Cały rok najokropniej cierpiała, lekarze nic pomóc nie mogli. Widziała śmierć przed sobą, zdała się przeto na wolę Boga i mówiła: „Dość żyłam z wami; muszę pójść do męża i do drogich dzieci moich, a potym połączymy się wszyscy”.

W ostatniej chwili życia, przy wielkich cierpieniach, błogosławiła wszystkie dzieci nieobecne, a Jana, będącego przy niej, już zimnemi rękoma do siebie tuliła; potym zatopiła się w modlitwie do Boga, i wymówiwszy wyraźnie: „Panie, oddaję w ręce Twoje ducha mego!” skończyła żywot ciężki, pracowity i cnotliwy.

Synowie położyli jej kamień z napisem: „Najlepszej matce wdzięczni synowie”.

Ignacy Hołowiński.

Pomoc własna.

„Bóg tym pomaga, którzy sami pomagają sobie!“ Któżby od dzieciństwa nie znał owej wypróbowanej maksymy życiowej, kilkoma wyrazami wypowiadającej całość doświadczenia ludzkiego? Samodzielność jest dla rozumu istotną pomocą Bożą. Bóg nadał ludzkości już w kolebce wszystkie warunki, konieczne dla jej wzniosłego posłannictwa, i tym ją na wieczne uposażył czasy. Siły ludzkie są Boskiemi siłami, gdyż Bóg nam je powierzył, a użycie ich za pomocą woli do moralnych celów, nazywamy samodzielnością. Duch samodzielności jest zarodkiem wszelkiego postępu w życiu jednostek, i tam gdzie on się u wielu naraz przejawia, staje się źródłem narodowej wielkości. Podczas gdy pomoc zewnętrzna prawie zawsze oddziaływa szkodliwie, samodzielność wzmaga i kształci siły ludzkie, aż do ich ostatecznego rozwoju. Podamy tu parę przykładów samopomocy z naszego życia.

11. Karol hr. Brzostowski.

Może się niejeden czytelnik zadziwi, iż ozdobionego mitrą hrabiowską, z którą zwykle łączą się dostatki, kładziemy w szeregi robotników, wybijających się z najniższych warstw społeczeństwa. Ale jakkolwiek Karol Brzostowski był wnukiem wojewody Inflanckiego i Radziwiłłówny, a synem starosty i Ewy z Chreptowiczów, słusznie mu się w rzędzie robotników miejsce należy. Człowiek ten bowiem wszystko sam sobie był winien.

W młodości swojej służył wojskowo. Czerpiąc sam w sobie siłę, poszedł drogą wzoru i przykładu. Objęty przez niego po wyjściu z wojska ojczysty majątek przedstawiał wielką ruinę, a długi przewyższały jego wartość. Brzostowski postanowił podnieść się napowrót w materjalnym stanowisku, a do tego widział drogę główną w ulepszonym rolnictwie i przemyśle. Bystry jego umysł wnet jednak spostrzegł, iż ulepszeń radykalnych niepodobna zaprowadzić przy poddaństwie ludu, zaprzęgniętego w jarzmo pańszczyzny i przy zupełnej jego ciemnocie. Zniósł więc najprzód w r. 1820 pańszczyznę i zamienił ją na umiarkowane czynsze; w majątku swoim następnie pozakładał szkółki wiejskie, do których rodzice, pod karą pieniężną do skarbonki ogólnej, obowiązani byli posyłać swe dzieci.

Fundusz, jaki stąd powstał, obracany był na lekarza i lekarstwa dla chorych włościan. Ułatwiwszy sobie tym sposobem postęp i zyskawszy zaufanie, postanowił jednocześnie dźwignąć majątek materjalnie. Czuł, że samo rolnictwo nie wystarczy, tym więcej, że nizkiej urodzajności grunty nie mogły rokować zbyt pomyślnych plonów. Postanowił więc ratunku szukać w przemyśle—lubo brak ludzi początkowo pozwalał liczyć tylko na siebie. Staranne wychowanie przyszło mu w pomoc, a silna wola dokonała reszty. W urządzeniu pól Sztabina—tak się nazywał jego majątek — zaprowadził płodozmian, a na powiększonych tym sposobem produktach rolnych oparł przemysł. Wzniósł gorzelnię, dystylarnię, browar, fabrykę miodu, porteru, araku, hutę szklaną, piec do odlewów żelaznych, a nakoniec fabrykę narzędzi rolniczych. W tej ostatniej pod kierunkiem własnym i przez robotników u niego wydoskonalonych, zbudowane zostały dwie machiny parowe i pierwszy w kraju telegraf elektryczny, przeciągnięty między dwo-

rem a folwarkami. Dowód to, że i inne wyroby z tych fabryk nie ustępowały w niczym słusznie stawianym wymaganiom.

Łatwo zrozumiemy, iż tyle siły woli i wytrwałości uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem. Hr. Brzostowski oczyścił w krótkim stosunkowo przeciągu czasu swój majątek z długów i doprowadził go do kwitnącego stanu. Ale cele jego były wyższe, niż proste wzbogacenie się. Wszędzie szukał dobra otaczających go bliźnich, budząc w nich zasadę samodzielności. Ściśle wymagał należnych sobie czynszów, ale dla dotkniętych losem urządził bank pożyczkowy, który za solidarnym dwóch członków poręczeniem udzielał pożyczki. Oprócz tego założył lombard, składy sukna, płótna i innych przedmiotów codziennej potrzeby wieśniaka, które sprzedawał po cenie kosztu, bez żadnego dla siebie zysku.

Tak po trzydziestoletniej niezmordowanej działalności przybliżył się do schyłku dni, ale żywot swój zakończony 25 lipca 1854 r. uwieńczył godnym takiego życia dziełem. Będąc bowiem bezżennym, testamentem całe swoje dobra i fabryki przekazał na własność ludności zamieszkującej Sztabin, to jest: włościan, fabrykantów i oficjalistów, których uważał, jak ojciec, za swe własne dzieci. Związał on ich wspólnością interesu, ale w nakreślonych podstawach kierował się tak zdrowemi zasadami, iż wspólność nie wyłączała dzielności jednostek, iż nie tamowała wznoszeniu się ich na zasadzie samopomocy. Brzostowski znaczną część zysków, jakie administracja powinna była osiągnąć z jego dóbr i fabryk, przeznaczył na nagrody dla odznaczających się pilnością, zacnością postępowania i użytecznością swych pomysłów. Testament napisany przez niego, jest pełen wzruszających ustępów, dowodzących, iż był to człowiek czynu, posuniętego do ideału.

---

12. Ambroży Grabowski.

Nauka starożytności polskich, a mianowicie krakowskich, odrodzenie swoje zawdzięcza Ambrożemu Grabowskiemu, on bowiem dał jej popęd i wiele szczegółów odszukał.

Ubogiego pochodzenia, syn włościański, nie osła-

niał nigdy fałszywym wstydem początków swego rodu, owszem, chlubił się nim i za przykład stawiał, co może usilna praca i wola niezłomna.

„Urodziłem się, mówił do przyjaciół, w miesiącu grudniu roku 1782 w miasteczku Kentach, w dawnym księstwie Oświecimskim, z ojca Jana i Teresy Grabowskich. Ojciec mój był tamże organistą, pochodził w najprostszej linji z rodu włościańskiego, gdyż mój dziad był poczciwym i pracowitym kmieciem we wsi Głąbowicach; mogę zatym powiedzieć o sobie to, co mówił wiejski szłapak w bajce Franciszka Morawskiego:

Rodu mojego nie mam za ohydę,
Nie pytam, skąd przychodzę... ale dokąd idę.

„Początkowo nauki otrzymałem w szkółce normalnej miejscowej, gdzie uczono czytać, pisać, religji, rachunków i języka niemieckiego. W dziecinnym wieku odumarł nas ojciec, zostawiając dziewięcioro drobnej dziatwy. W r. 1797 pożar całego miasteczka pogrążył owdowiałą matkę w ubóstwie, co wskazało jej potrzebę rozesłania dzieci pomiędzy ludzi w służbę. W lipcu tegoż roku, babka moja, do Krakowa jadąc, wzięła mię z sobą; opuściłem dom rodzinny z ochotą, bo byłem żądny nauki, a potrzebujący chleba. W Krakowie, krewny nasz, ksiądz Paschalis Serwan, kustosz O. O. Bernardynów, oddał mię do księgarni Antoniego Ignacego Grebla, gdzie znalazłem się w swoim żywiole, bo lubiłem czytać. Wziąłem się zatym do czytania wszystkiego, co było pod ręką, lecz mię to do niczego nie doprowadziło, z powodu braku przewodnika, któryby mi dobrą drogę pokazał.“

„Ukończywszy praktykę handlu księgarskiego, zacząłem się uczyć języka francuskiego; pierwszych początków udzielał mi bezinteresownie miłej dla mnie pamięci Walenty Szacfajer, znany w piśmiennictwie wileńskim. Ograniczony w środkach, o ile mogłem, kształciłem sam siebie, a pod takim kierunkiem daleko zajść nie mogłem; to przecież powiedzieć muszę, że nauka moja ani grosza nie kosztowała, a zwykle tani towar nie bywa wybornym.“

„W domu Greblowskim pozostawałem ciągle przez lat dwadzieścia, jako subjekt handlowy (po dawnemu czeladnik), następnie jako prowadzący interesa księgarni i drukarni (buchalter), a w końcu przez lat dwa, jako wspólnik handlowy.“

„W r. 1847, pragnąc, aby owoc starań i prac moich w zupełności przy mnie pozostawał, opuściłem księgarnię Greblowską (Józefa Mateckiego) i założyłem w Krakowie niewielką księgarnię, którą prowadziłem przez lat dwadzieścia, aż w r. 1837 spocząłem, zawsze jednak mając na uwadze zdanie Robertsona: Vita sine litteris, mortis imago est.“ (Życie bez nauki jest obrazem martwoty).

Księgarnia Grabowskiego była to szczupła izdebka przy ulicy Grodzkiej, mieszcząca się w samym prawie rynku. Główne jej bogactwo stanowiły dawne książki i broszury polskie, na których właściciel znał się doskonale. Tu schodzili się prawie wszyscy literaci krakowscy i stąd najrzadsze, tak zwane białe kruki otrzymywali ówcześni bibljomani polscy; bo Grabowski, w całym znaczeniu tego słowa, był długo jedynym uczonym antykwarjuszem, nietylko w Krakowie, ale i w całej Polsce, mającym najrozglejsze stosunki ze zbieraczami dawnych zabytków piśmiennych. U niego więc skupiały się tego rodzaju interesy, zwykle z obopólną korzyścią dokonywane. W ten sposób złączony przyjaźnią z uczonemi, szczególnie w Krakowie: z Jerzym Samuelem Bantkiem, bibljotekarzem bibljoteki Jagiellońskiej, i ze znakomitym poetą, biskupem Woroniczem, czerpał od nich wiadomości i zachętę do literackiego zawodu. Z namowy pierwszego wziął się do poszukiwań archiwalnych; drugi poddał mu myśl i pomoc do opisu Krakowa, do którego sam skreślił wyborne opisanie pałacu biskupów krakowskich. Raz obrawszy sobie tę drogę, Grabowski nie porzucił jej nigdy, owszem, zamknąwszy księgarnię, wyłącznie się temu poświęcił i chociaż przyciśniony już wiekiem, z niknącym od ciągłej i zmudnej pracy wzrokiem, nie wypuścił pióra z ręki do zgonu, ogłosiwszy znaczną liczbę dziejowych pomników, czerpanych z samych tylko rękopisów.

---

13. Augustyn Spiski.

Tylko ten, kto posiada dostateczne zdolności praktyczne, własną siłą i pomocą los swój zdobędzie i zapewni. Bajka o pracach Herkulesa jest pięknym i najprawdziwszym obrazem ludzkich trudów i powodzeń.

Każdy, w pałacu, czy w chacie zrodzony, od młodości powinien być przyzwyczajony, aby nauczył się polegać jedynie na własnych siłach, gdyż wtedy tylko zdobędzie sobie możność działania z prawdziwym pożytkiem, a w późniejszym swym powołaniu użycia wpływów i środków, mogących zapewnić mu szczęście. Sztuka użycia własnych sił i samodzielność nie rozwijają się wcześnie i prędko, trzeba się w niej ćwiczyć tak, jak w każdej innej umiejętności. Przeciwnie, w pewnych okolicznościach, duch samodzielności upada zupełnie, mianowicie gdy droga życia ściele nam się zbyt gładko i gdy obca pomoc usuwa wszelkie przeszkody. Lepiej jest stokroć być zmuszonym siłą okoliczności do ciężkiej pracy za młodu, lepiej dojrzewać wśród trudności i przeszkód losu, niż rozleniwieć się, spoczywając na miękkim posłaniu, oczekując, aż „pieczone gołąbki same przyjdą do gąbki“. Kto w początku poprzestaje na małym i skromnym, temu później większych rzeczy nie zabraknie. Jest to prawda tak jasna, iż nigdy jej zaprzeczyć niepodobna, ale uważać ją należy za jedną z podstaw życia, za najistotniejszy warunek wszelkiego powodzenia. Zwykłe to wypadki w świecie kupieckim, iż tacy, którzy nie posiadają nic więcej, jak tylko zdrowe ramiona, chłopski, jak to mówią, rozum, niepokonaną energję i pilność, prędzej i pewniej idą w górę, niż ci, którzy od początku swej handlowej karjery wielkiemi środkami pieniężnemi, obszernym kredytem rozporządzają.

Na dowód tego przytoczymy krótki życiorys Augustyna Spiskiego, którego pamięć żyje jeszcze między nami; znajduje się bowiem mnóstwo kupców, którzy jemu swoją egzystencję zawdzięczają.

Spiski był synem ekonoma, który nie posiadał żadnego majątku, prócz poczciwości, a umierając zostawił rodzinę w nędzy. Mały Augustyn, widząc, iż w okolicy, w której wraz z rodziną mieszkał (w Krakowskim pod Skalbmierzem), tylko ciężarem, a nie pomocą może być swej matce, postanowił własną pracą poszukać sobie lepszego losu. W tym celu bez żadnych środków, jedynie tylko z błogosławieństwem matki, wybrał się do Warszawy, która przedstawiała mu się, jako port zbawienny. Silna wiara, szlachetna nadzieja dodawały siły chłopczynie: piechotą, z kilku groszami zaledwie, doszedł do bram miasta. Słońce już zachodziło, gdy przebywał rogatki, i ani spostrzegł się, oszołomiony lasem domów, zgiełkiem i zamętem miejskim, gdy noc ciemna zapadła. Po-

został sam jeden bez pieniędzy, nieznany nikomu — na bruku. Znużony przytulił się na schodkach kamiennych u podnóża katedry ś-go Jana i zasnął.

Nazajutrz po przebudzeniu pierwsza myśl, w pobożności wychowanego Augustyna, pociągnęła go do stóp ołtarza w kaplicy Pana Jezusa. Gorąco modlił się chłopiec, a łzy rzewne i postawa skromna zwróciły nań uwagę jednego z modlących się. Zaczął więc wypytywać chłopca o szczegóły jego życia, a widząc w opowiadaniu prawdę, oceniając siłę woli i mocne postanowienie dojścia pracą i uczciwością do szlachetnego celu, ów pytający zaproponował Augustynowi służbę u siebie w sklepie korzennym. Rozumie się, iż dziecię z radością przyjęło miejsce, które mu zapewniało punkt oparcia, dawało środek do utrzymania życia, a nawet uzdolnienie się na pożytecznego w społeczeństwie człowieka. Od tej chwili Spiski nie porzucił już miejsca, w którym praktykę rozpoczął. Niejeden z nas jeszcze pamięta na Krakowskim Przedmieściu ów sklep nizki, niepozorny, bez żadnych wystaw eleganckich urządzony, ale jakże zasobny we wszystko, co do tej gałęzi handlu należy, jakże głośnej używający sławy z uczciwości i rzetelności swego właściciela. Tam to Spiski się wychował; najpierw jako skromny chłopiec sklepowy, następnie jako subjekt z płacą tysiąca złotych rocznie, a w końcu jako właściciel tego handlu.

Ażeby przejść te wszystkie stopnie, ażeby z niczego dojść do znakomitego majątku, trzeba było niezmiernej pracy, uczciwości niczym nieposzlakowanej, ciągłej pilności i zabiegliwości rozsądnej. Te przymioty handlowe nie opuszczały go nigdy. Nawet gdy został panem krociowych dostatków, nie odstąpił od działalności i zwyczajów, któremi się kierował w pierwszych chwilach swego życia. Sam codziennie w szaraczkowym surducie, czystym, choć znoszonym, przychodził do sklepu i kierował pracą swych subjektów, baczny na wszystkie żądania przybywających. Żadne opóźnienie w załatwieniu spraw handlowych, żadna niedokładność w wadze lub opakowaniu towaru, bystrego wzroku jego nie uszło. Zwykle za nadejściem pory obiadowej przynoszono Spiskiemu w prostych glinianych dwojaczkach posilne, ale skromne potrawy, jadał bowiem umiarkowanie, a i wtedy zaspakajając apetyt, bacznie nie przestawał czuwać nad żądaniami zgłaszających się, bez względu, czy one

wymagają towaru za trzy grosze, czy też za kilkanaście dukatów.

Może niejeden z naszych czytelników, słysząc to, pomyśli:—„To był skąpiec — sknera!“ Taki sąd byłby błędem... Spiski, pragnący we wszystkich czynnościach uwagi i porządku, łaje niedbałego chłopca; wtym wchodzą do sklepu damy, zbierające kwestę wielkotygodniową. Widząc naczelnika sklepu, surowo gromiącego ucznia za niewielką stratę, chcą się cofnąć, źle tusząc o sercu i uczynności jego, lecz Spiski, spostrzegłszy to, natychmiast chwyta z szuflady rulon studukatowy i kładzie na tacę z uśmiechem, wskazującym, iż pilnowanie własnego dobra nie przeszkadza być dobroczynnym, lecz owszem, mnoży środki skutecznego miłosierdzia. Przytoczony wypadek, jeden z tysiąca, wskazuje dowodnie, jak Spiski pojmował swój zawód. Był to kupiec i człowiek w jednej osobie. Skoro uzyskał pierwszą pensję, jako subjekt handlowy, pierwszą też jego czynnością było posłać jej połowę swej matce, pozostającej w dawnym ubóstwie. Później, gdy już sklep posiadał, nietylko że się z rodziną dzielił dochodem, ale sprowadził ją do Warszawy, a sędziwej matce zapewnił wszelkie należne jej wygody.

Szczególną namiętnością Spiskiego było wyszukiwanie młodych ludzi uczciwych, chętnych do pracy, ubogich, a wyszukiwanie w tym celu, aby im czynnie dopomódz. Śmiało możemy powiedzieć, iż jedna czwarta starszych kupców po prowincjonalnych miastach u niego najprzód przebyła szkołę pracy i uczciwości, a następnie z jego pomocą przyszła do posiadania własnych sklepów i uzyskała możność prowadzenia na własną rękę interesów handlowych. Dziś są to po większej części kupcy starej daty, mający tak wielkie poszanowanie dla swej firmy, jak potomkowie najbardziej arystokratycznych rodzin dla herbów, ceniący wysoko rzetelność i uczciwość w każdym stosunku, w każdym interesie handlowym. Świadcząc tyle dobrego swym bliźnim, nie zapomniał Spiski pierwszych kroków swego zawodu. Jednemu z młodych ludzi wypuścił w dzierżawę ogrody w kupionych przez siebie Falentach, jedynie z tym warunkiem, aby codziennie dostarczał kwiatów, przeznaczonych do ubrania ołtarza w kaplicy Pana Jezusa w kościele katedralnym w Warszawie.

Widzieliśmy więc żywy a piękny przykład, co może praca i rzetelność, jaką dźwignią są te przymioty

w świecie handlowym i jak za ich pośrednictwem z niczego kupiec dochodzi do majątku, fundując nową zacną firmę.

Adolf Dygasiński.

Z dzieła „Pomoc własna“ Smilesa.

---

14. Franciszek Kleniewski.

Był to mąż zacny i rozumny, wzorowy obywatel, wytrwały na niwie ojczystej pracownik, szlachetny wzór samopomocy.

Urodzony w pamiętnym roku 1812 we wsi Ciołkowie w Płockiem, z rodziców średniej zamożności, młodo wyszedł ze szkół wojewódzkich w Płocku i poświęcił się gospodarstwu. Rzutny, czynny, rozważny, z małemi stosunkowo zasobami, wynoszącemi zaledwie 10,000 złp., ale z niepospolitą energją wziął się do pracy, zwalczając liczne i nieodłączne od zawodu rolnika trudności. Bóg mu też poszczęścił. Rozpocząwszy od małej, brał coraz większe dzierżawy, a kiedy w Płockiem nie mógł znaleźć dla siebie obszerniejszego pola do pracy, w r. 1846 przeniósł się w Podlaskie, gdzie zadzierżawił dobra Życzyn, płacąc z nich ogromną, jak na owe czasy, sumę 50,000 złp. rocznego czynszu. Życzyn stanowił podstawę przyszłej jego kilkunastomiljonowej fortuny. W niespełna lat ośm tyle się już dorobił, że w roku 1854 mógł kupić w Krakowskiem rozległe dobra Porębę, z fryszerniami, hutami i kopalnią węgla. Tu znalazł się na obcym dla siebie polu gospodarstwa przemysłowego, ale sprężysty jego umysł, energja i praca i z tej próby pozwoliły mu wyjść zwycięsko. Niedługo jednak tam przebywał, zatęskniwszy do stron rodzinnych, wrócił w Płockie i nabył dobra Zaborowo.

Następne lat kilka są epoką największej jego działalności obywatelskiej. W kraju budziło się wtedy nowe życie; społeczeństwo całe przebiegał prąd elektryczny, niby zwiastun innych czasów, pomyślniejszej ekonomicznej przyszłości. Silniej niż kiedykolwiek odczuwano potrzebę reform na polu przemysłu, handlu i rolnictwa, konieczność podniesienia włościan ze stanu ciemnoty i nędzy; rwano się gorączkowo do czynu, do pra-

cy; nie skąpiono trudów i ofiar, żeby wielkie przeprowadzić dzieło. Jednym z najczynniejszych jest wtedy Kleniewski, sam się krząta gorliwie około spraw krajowych i innym dodaje bodźca, własnym zachęcając przykładem.

Widzimy go, jak uczestniczy w pracach Towarzystwa rolniczego; w dobrach swoich zakłada szkoły dla dzieci wiejskich; przyjmuje godność wójta, aby wpływać na lud, podnosić go i umoralniać. On-to, wraz z nieodżałowanym Gustawem Zielińskim i Aleksandrem Jackowskim, zakłada piewszą w kraju spółkę ziemiańską „Dom Zleceń rolników płockich“, w celu wyswobodzenia naszego rolnictwa i handlu z krępujących go więzów obcego pośrednictwa. Do rzędu jego zasług publicznych policzyć też należy udział w radzie powiatowej, gdzie rozwinął niepospolitą czynność, rzadki takt i rozwagę.

Lecz „Dom Zleceń“ tak piękną rokujący przyszłość, nie mógł się ostać wobec zmienionych warunków, ogólnego zastoju i materjalnego upadku, i upadł, pomimo znacznych ofiar ze strony firmowych.

Doznane zawody i niepowodzenia nie osłabiły jednak energji Kleniewskiego, nie zniechęciły go do dalszej pracy. Rozumiał on, że dobremu obywatelowi kraju nie wolno rąk opuszczać, nie wolno w połowie drogi się zatrzymywać. W r. 1871 Kleniewski nabywa rozległe dobra Opole nad Wisłą, dawne dziedzictwo książąt Lubomirskich, podnosi gospodarstwo, urządza lasy, rozwija zakłady przemysłowe. Wielką w jego przedsięwzięciach pomocą był mu kredyt, rozważny i umiejętnie stosowany; zawdzięczał go zaś ścisłemu dotrzymywaniu przyjętych zobowiązań.

Już teraz na miljony liczą jego majątek, on jednak w niczym nie zmienia zwykłego sposobu życia, pełnego prostoty i skromności, ani na chwilę nie ustaje w mozolnej a pożytecznej pracy.

Oddawszy synom dobra Opole, kupił w Lubelskim piękny majątek Kijany i na wiano daje go córce. Ostatnim wreszcie nabytkiem, przeznaczonym dla syna, po drugiej zawcześnie zmarłej córce, były dobra Gardzienice w Lubelskim, dawne dziedzictwo Stefana Czarnieckiego ze starożytnym zamkiem i pałacem.

Sterany pracą i chorobą, na schyłku dni swoich osiadł w Warszawie, gdzie życie zakończył d. 25 października 1904 r. Stosownie do ostatniej jego woli, po-

chowanym został w Kluczkowicach, jednym z majątków opolskich, na skromnym wiejskim cmentarzu, dokąd przyjaciele i włościanie na swoich barkach zanieśli jego ciało.

Jednym z najpiękniejszych rysów charakteru Kleniewskiego była miłość dla ludu, szczera, głęboka i gorąca. Dla włościan swoich był ojcem i opiekunem, starał się do nich zbliżyć, wglądał w ich potrzeby, wspierał w niedostatku, własnym przykładem uczył cnót i pracy. Pragnąc w nich zbudzić poczucie godności osobistej, nieraz prostemu chłopu kazał siadać przy sobie i w długiej z nim gawędzie badał jego sposób myślenia, prostował pojęcia, dawał zbawienne rady i nauki. W zacnych jego usiłowaniach około wspierania i umoralniania ludu dzielnie mu dopomagała wierna towarzyszka jego życia, wzór dawnej matrony polskiej. Włościanie umieli ocenić ich trudy i przy każdej sposobności okazywali im miłość, wdzięcznym sercem płacąc za pomoc i ojcowskie uczucie. Kiedy w r. 1864, w skutek zmiany stosunków wiejskich, w wielu majątkach odmawiano roboty, w dobrach Kleniewskiego, pomimo jego nieobecności, cała ludność pracowała jeszcze gorliwiej niż dawniej, i powracającego dziedzica z żywą witała radością.

Kleniewski sługi swoje i oficjalistów uważał za pomocników swoich, za wspólników w trudach i mozołach, i obejściem ludzkim, a rozumnym wyrabiał w nich poczucie godności własnej, gorliwość w pracy i uczciwość w postępowaniu. Jakim był dla nich, za dowód niech posłuży fakt drobny napozór: kiedy w dobrach jego umarł stary włodarz, który syna mu do chrztu podawał, dziedzic, pan miljonowej już wówczas fortuny, na własnych barkach poniósł do mogiły ciało wiernego sługi. Takie fakty najlepiej malują człowieka. Wysłużonych a steranych rolniczą pracą nie odprawiał, lecz dając im u siebie do śmierci chleb łaskawy, niczym nie dał poznać, że to łaska pańska—był im na każdym kroku tylko przyjacielem od nich bogatszym. Cenił on ludzi nie podług majątku, tytułu, lub stanowiska, lecz podług osobistej wartości jedynie. Przy biesiadnym stole nie wahał się w gronie rodziny i przyjaciół posadzić uczciwego lecz niezamożnego rzemieślnika, który w dzień imienin przyszedł mu złożyć życzenia i z głębi wdzięcznego serca dziękować za otrzymane dobrodziejstwo.

Wolny od wszelkiej próżności, nie lubił wystawy

i zbytku. Zato dłoń jego i serce zawsze były otwarte dla nieszczęśliwych i potrzebujących; udawano się doń skwapliwie w każdym strapieniu, wiedziano bowiem, że nigdy nie poskąpi hojnego datku, mądrej rady i chętnej pomocy. Nie szukał on chluby ze swoich dobrych uczynków, krył się owszem z dobrodziejstwami, jak inni z występkiem się kryją. Nigdy nie żądał za to wdzięczności, nie spodziewał się jej nawet; wspomaganie uboższych uważał za swój obowiązek, za potrzebę serca, które biło wielką miłością dla wszystkich współbraci.

Znając do gruntu naturę ludzką, dziwnie był wyrozumiały na jej ułomności; sam prawy i honorowy, pobłażliwym był dla innych i chętnie przebaczał tym, co względem niego zawinili. Odznaczał się jasnym rzutem oka, niezwykłą trafnością sądu, dziwną skromnością — zwykłą cechą wyższych umysłów. Obowiązek u niego stał zawsze na pierwszym miejscu, a słowo i czyn to było jedno.

Iluż ludzi on pokierował, wskazał im drogę pracy i obowiązku, własną energją pokrzepił i do czynu obudził! Niejeden zamożny dziś ziemianin, pożyteczny obywatel kraju, jemu zawdzięcza byt i stanowisko; niedziw też, że w szerokich kołach naszego społeczeństwa pozyskał wpływ, uznanie i szacunek.

Cnoty synów najpiękniejszym są dla ojców pomnikiem. Do rzędu największych zasług Kleniewskiego policzyć trzeba rozumne i zacne wychowanie dzieci, z których kraj pozyskał pożytecznych obywateli. Własny jego przykład i nauki starczyły tu za księgi pedagogiczne. Starał się od młodości przelać w dzieci swe własną miłość dla ludu, wpoić poszanowanie dla tego stanu i zrozumienie jego potrzeb. Kiedy dzieci wiejskie ze szkółki podejmowano we dworze, synkowie właściciela dóbr usługiwali im i ugaszczali, jak brać młodszą, której w przyszłości od nich się należy życzliwość, pomoc i opieka. Wiedział on, że w sercach dziecięcych dość roztlić iskierkę miłości bliźniego, a przykład i gorące słowo rozdmuchają ją, i rozżarzy się i w jasny rozpali płomień, który serdecznym ciepłem całe ogarnie społeczeństwo.

Praca dla kraju, miłość dla ludzkości—to były hasła jego życia.

Z „Biesiady Literackiej.“

---

15. Ignacy Łukaszewicz

Twórca przemysłu naftowego w Galicji.

Ignacy Łukaszewicz urodził się w roku 1822 we wsi Zadusznikach, położonej nad samą Wisłą, w dawnym obwodzie Tarnowskim. Rodzicami jego byli Józef i Apolonja z kniaziów Świętopełków. Staro-szlachecki dwór w Zadusznikach znany był w całej okolicy, bo gospodarz, który walczył jeszcze przy boku Kościuszki, przyjął dewizę pozostawioną po przodkach: „Gość w dom, Bóg w dom.“ To też dłoń i serce otwarte były zawsze dla potrzebujących rady lub pomocy, — a dla ojczyzny życie i mienie gotowe w ofierze.

U takiego to źródła czerpał młody Ignacy zasady wielkich cnót, ofiary i poświęcenia na dalszą drogę żywota, a patrząc codzień na czyny ojca i matki, na ich zaparcie się w obliczu potrzeb ojczyzny, przygotowywał swój umysł i serce, które z czasem tak potężnie rozwinąć się miały i tak piękne wydały owoce.

Kiedy pole walki zaległa cisza grobowa, mogiły i zgliszcza—mieszkańcy Zadusznik znaleźli się z bardzo uszczuplonym majątkiem.

Ignacego oddano do szkół do Rzeszowa, po ukończeniu których, aby nie oglądać się na majątek rodziców, nie robić siostrom uszczerbku, a liczyć na własne siły, postanowił poświęcić się farmacji, pod przewodnictwem ogólnie szanowanego aptekarza Swobody w Łańcucie.

W r. 1842, jako podaptekarz, udał się znów do Rzeszowa, gdzie spotkał wielu kolegów szkolnych. Wśród licznego kółka młodzieży z różnych sfer, Ignacy, napojony w domu uczuciami czysto polskiemi, spostrzegł odrazu pomiędzy kolegami i młodemi przyjaciółmi zaniedbanie języka ojczystego, przygnębienie ducha i zupełny brak przewodniej myśli,—postanowił więc działać. Nie łatwe to było zadanie w Galicji wówczas, pod rządem prześladującym wszystko, co było polskie: język polski wygnany ze szkół, wszystkie książki z zacniejszą myślą zakazane i tępione—despotyzm i denuncjacja na porządku dziennym. Niemczyzna rozsiadła się swobodnie, wszelki objaw myśli polskiej karano więzieniem, jako zbrodnię.

Rozbudzić wszystko—ożywić, nadać kierunek właściwy, to było pierwszym zadaniem młodzieńca. Zaczęła

się więc propaganda ustna i książkowa. Pozawiązywał kółka, które powoli zaczęły przypuszczać do swego grona młodzież szkolną i rzemieślniczą, aby i w tej warstwie rzucać uczciwe nasiona polskiej myśli i zjednywać sobie adeptów. Jakąż radością napełniało się serce Ignacego na widok garnącej się młodzieży, do tego pokarmu duchowego. Czynność ta naturalnie nie podobała się rządowi i 19 lutego 1846 r. młody Ignacy dostał się do więzienia.

W czasie śledztwa, sprowadzony do komisji, stanął przed audytorjum, oczekując zapytań. Przewodniczący po namyśle, zapytał dlaczego zatruwał wodę w studniach publicznych.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, to przyznam się komisji, że ani ja, ani nauka nie zna trucizny, któraby zabijała niemców, a była nieszkodliwą polakom; — wszak jedni i drudzy czerpią z tych samych studzien wodę. Może p. prezes raczy mnie objaśnić.

— Ty drwisz! zakrzyczał prezydujący—pamiętaj, że jesteś przed sądem.

— Jakie pytanie, taka odpowiedź.

Po ukończonym śledztwie, Ignacy uznany za niepoprawnego zbrodniarza, przywieziony został w r. 1847 do Lwowa do więzienia.

Po dwuletnim pobycie w więzieniu, na mocy konstytucji został uwolniony. Udał się najpierw do Rzeszowa, następnie przeniósł się do Lwowa, a pracując w aptece Piotra Mikolasza, wstąpił równocześnie do gwardji narodowej, w której pozostał aż do nowej reakcji, zbombardowania Lwowa i ogłoszenia Galicji w stanie oblężenia.

Słońce, które na chwilę zabłysło w Galicji, zgasło,— ustało życie polityczne. Chwilę tę postanowił Ignacy poświęcić przerwanej więzieniem nauce—i ukończyć w uniwersytecie krakowskim kurs farmacji. Ale daremne były jego usiłowania, ani policja, ani rząd gubernjalny, jako silnie podejrzanemu i niepoprawnemu zbrodniarzowi politycznemu, nie chcieli wydać paszportu do Krakowa. Dopiero w r. 1850 zyskawszy szacunek i życzliwość Mikolasza, jakkolwiek innych zasad, ale zacnego człowieka, zdołał za jego protekcją otrzymać upragniony paszport.

Po trzech latach pobytu w Krakowie, dla ukończenia czwartego kursu, udał się do Wiednia, gdzie po roku złożywszy wszelkie egzamina, kochany przez wszyst-

kich kolegów i profesorów, powrócił z patentem do Lwowa i wstąpił znów do apteki Mikolasza. Tu przez lat kilka pracował ze swym kolegą Janem Zehem, oddając się szczególniej chemji.

Pewnego dnia starozakonny Schreiner z Borysławia przyniósł wypadkowo do tej apteki jakiś tłuszcz ziemny, z zapytaniem, co to jest, i coby z tego można zrobić? Zatrzymano tę próbkę dla doświadczeń, a Schreinerowi polecono zgłosić się po niejakim czasie. Młodzi chemicy wzięli się do analizy przyniesionego tłuszczu, a po różnych doświadczeniach, oddystylowaniu, oczyszczeniu kwasem siarkowym i opłukaniu ługiem sody gryzącej, otrzymali płyn bezbarwny, podobny do tak zwanego oleum petrae, używanego w bardzo ograniczonej ilości w medycynie.

Oleum petrae przychodził wówczas do Galicji z Włoch i z nad morza Kaspijskiego, gdzie znajdował się w naturze; był on koloru białego, żółtego lub nawet czerwonego, a za 50 kilo płacono 100 złr. W czasie tych doświadczeń przypomniało się Ignacemu Łukaszewiczowi, że gdy był na wszechnicy w r. 1850, przybył tam z Warszawy profesor mineralogji i gieologji Zeuschner, i na ekskursji naukowej ze studentami wszechnicy, zapytał otaczających go, czyby nie słyszeli o jakimś płynie ziemnym, wydobywanym tu w Galicji w dawnych czasach; wyczytał o tym bowiem w starych kronikach czeskich. Nawet jeden z przedsiębiorców oświetlenia miasta skazany był na grzywny przez rajców miasta za dolewanie tego tłuszczu do oleju. Nikt naówczas nie umiał na to odpowiedzieć.

Kombinując te dane, Łukaszewicz przyszedł do wniosku, że oleum petrae (olej skalny) świeżo otrzymany, i ów przez Zeuschnera wspomniany tłuszcz ziemny są jednym i tym samym ciałem i że materjał ten da się zastosować do oświetlenia.

Myśl tę zakomunikował swemu szefowi p. Mikolaszowi. Utworzyli więc spółkę: Mikolasz, Łukaszewicz, i Zeh, z kapitałem 2,400 złr.; Schreinerowi zaś za jego przybyciem opowiedziano rzecz całą z wszelkiemi szczegółami.

Mając już kapitał zakładowy, wyjechał Łukaszewicz ze Lwowa dla zwiedzenia miejscowości, w których miały się ukazać ślady pomienionego tłuszczu, i aby zbadać rzecz na miejscu.

W Borysławiu, w obwodzie samborskim, nad rzeką

Tyśmienicą znalazł dołki na 1 do 2 metrów głębokie, wykopane przez okolicznych włościan; w dołkach tych zbierał się ów płyn tłusty, a włościanie zanosili to do Drohobycza i sprzedawali: gęsty, do smarowania wozów pod nazwą ropy, rzadki zaś do smarowania przy wyprawie skór pod nazwą kipiączki. Kupowano także ten tłuszcz dla owiec na leczenie motylicy i dla bydła na różne wyrzuty skórne. Handel ten odbywał się tylko w lecie, zimą bowiem, przy zaspach śnieżnych zbieranie było utrudnione. Następnie udał się Łukaszewicz w Stanisławowskie, gdzie w kilku miejscowościach znajdowały się źródła tego tłuszczu, a nawet znalazł kilka szybów z dawnych bardzo czasów na 10 do 20 metrów głębokich, z których wydobywano tenże tłuszcz ziemny. Nareszcie w Peczyniżynie w Kołomyjskiem, znalazł głęboki, ocembrowany szyb, zapewne w tymże samym celu wykopany. Szyb ten, założony na gruncie włościańskim, był jeszcze z zeszłego stulecia, z czasów Rzeczypospolitej i należał według ówczesnych praw do włości królewskiej, a po zaborze Galicji przez Austrję, wzięto go na własność rządu. Obecnie był wydzierżawiony. Dzierżawca tegoczesny za niedotrzymanie warunków dzierżawy został wyrugowany, a nagromadzone zapasy tłuszczu ziemnego, zasekwestrowane, spoczywały w magazynach dla braku kupca. Łukaszewicz zakupuje cały ten zapas, wynoszący kilkanaście tysięcy litrów, sprowadza go do Lwowa i urządza dystylarnię na większą skalę.

Otrzymany czysty, bezbarwny płyn, olej skalny, jak również i zafarbowany na czerwono korzeniem alkany, rozesłano na próby do składów materjałów aptecznych i do aptek; lecz zamówienia nadchodziły bardzo małe, skutkiem ograniczonego użycia oleum petrae.

Fundusze spółki wyczerpały się i spółka chyliła się do upadku. Aby ją uratować, należało stworzyć szersze użycie otrzymanego produktu. Łukaszewicz udaje się do majstra blacharskiego we Lwowie, i z tym debatują, poprawiają i urządzają lampę, którąby można zastosować do oświetlenia tym olejem.

Nareszcie starania i zabiegi uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem i już w r. 1853 główny szpital na Łyczakowie we Lwowie oświetlono tym płynem pod nazwiskiem nafty—petroleum, kamfiny. Oświetlenie nie było jeszcze tak świetne, bo konstrukcja lamp nie była

tak doskonała, jak obecnie. Jednakże pierwszy krok był zrobiony, największa trudność pokonana.

Kiedy wieść o oświetleniu szpitala lwowskiego doszła do Borysławia, starozakonny Schreiner, znając już sposoby dystylacji i oczyszczania ropy, wtajemniczył swych współwyznawców i ci zaczęli produkować naftę. Udali się do Wiednia. Wkrótce zjechał p. Prokosz inżynier kolei północnej, a rozpatrzywszy się w całej fabrykacji, zarządził oświetlenie naftą całej kolei cesarza Ferdynanda.

Od tej chwili los przemysłu naftowego został zapewniony i wzięto się też do poszukiwania większej ilości surowcu. Łukaszewicz i Zeh nie robili żadnej tajemnicy ze swych odkryć, i żądającym chętnie udzielali objaśnienia.

Niebawem odkryto w Borysławiu nowy, nieznany surowiec, wosk ziemny. Łukaszewicz i Zeh biorą przywilej na wyrabianie z tego wosku świec parafinowych.

Kiedy fundusz spółki znów wyczerpał się, a jedyny co mógł ryzykować p. Mikolasz nie miał wiary w ten przemysł, spółka się rozwiązała, a p. Mikolasz za nagromadzone zapasy wypłacił swym wspólnikom po tysiąc złr. Łukaszewicz, otrzymawszy nowy fundusz, zniósł się ze Stobwasserem, fabrykantem świec w Wiedniu, opisał mu warunki wymaganej lampy i otrzymał stamtąd dwie lampy szklane, jedną z knotem płaskim, drugą z okrągłym. W lampach tych zapalona nafta wydawała prześliczne, jasne, białe światło. Zwycięstwo więc było zupełne.

W tym też czasie, książę Stanisław Jabłonowski, właściciel Kobylanki, sprowadził chemików i inżynierów z Francji dla poszukiwania asfaltu w okolicy Gorlic. W Gorlickiem również jak w Borysławiu i Peczyniżynie znane były źródełka oleju ziemnego, zwanego w języku ludowym ropą; od tego to tłuszczu pochodzą zapewne nazwy wsi, rzek, potoków, jak wieś Ropa, Ropica, Ropianka, rzeka Ropa, Ropnik, Ropiany Potok.

O poszukiwaniach ks. Jabłonowskiego pisały dzienniki, nadmieniając, że tu znajdują się znaczne źródła ropy, i to podało myśl Łukaszewiczowi do zbliżenia się do Gorlic. Wydzierżawia więc aptekę w Gorlicach, bada, szuka tych źródeł; ale próby idą oporem, wydobyta mała ilość surowcu nie zachęca do kosztowniejszych poszukiwań.

Wspomnieliśmy wyżej, że ropa czyli surowiec oleju

ziemnego używany był na lekarstwa dla inwentarza. Rok 1853 był bardzo suchy, gorący, włościanie roznosili ropę w większej ilości po dworach i sprzedawali po cenach bardzo nizkich. Właściciel wsi Polanki w okolicy Krosna, p. Tytus Trzecieski, posiadając liczną owczarnię, zakupywał od włościan ten surowiec; zarzucano go formalnie, tak, że to zwróciło jego uwagę, zapytał więc sprzedających, skądby to brali.

Odpowiedziano mu, że w lesie należącym do wsi Bobrki, własność Karola Klobassy, wypływa to na powierzchnię wody. Zaciekawiony tym zjawiskiem, p. Trzecieski jedzie do lasu i znajduje rzeczywiście źródła surowcu;—nadto natrafia na mały zbiornik wody, w którym woda ciągle się gotowała, a że pomimo gotowania była zimną, uważanym to było przez lud za coś nadnaturalnego, zatym cudownego, a wodzie przypisywano własności lecznicze. Przychodziło więc wielu cierpiących na oczy, wyrzuty skórne, obmywali się tą wodą, a przez wdzięczność rzucali drobne monety na ofiarę dla bóstwa opiekuńczego. A bóstwo opiekuńcze, w postaci stróża leśnego, zbierało ofiary, i w zamian opowiadało niesłychane wypadki cudownego wyleczenia.

P. Trzecieski przekonawszy się o istnieniu źródeł, wziął z sobą próbkę surowcu, a mając zamiar jechać do Lwowa, przyśpieszył wyjazd, by powziąć jakie bliższe informacje pod względem zużytkowania tej ropy.

We Lwowie obszedł znaczniejsze handle, apteki, lecz wszędzie odprawiono go z niczym. Już uważał całą myśl za straconą, kiedy wskazano mu Izbę handlową. Udaje się więc tam i zastaje sekretarza, głównego motora całego biura, p. Ludwika de Lance, francuza.

P. de Lance wysłuchawszy p. Trzecieskiego, wskazał jednego człowieka, który mu może dać wyczerpujące objaśnienia w tej sprawie, a jest nim Ignacy Łukaszewicz, jego serdeczny przyjaciel, aptekarz w Gorlicach. Wraca więc p. Trzecieski do domu, a znalazszy wolną chwilę, jedzie do Gorlic, i z p. Miłkowskim, właścicielem tego miasta, udają się do apteki.

Po wzajemnym przedstawieniu wydobywa p. Trzecieski butelkę z surowcem z lasu bobrzeckiego i opowiada cel swego przybycia i swoje wędrówki po Lwowie.

Łukaszewicz każe przynieść butelkę z piwnicy z czystym płynem, nalewa do lampy i zapala;—czysty, jasny płomień oświeca stojących i wprawia ich w zadziwienie. Oto jest, rzecze p. Łukaszewicz, zrobione z tego, co pan

przynosisz,—i opowiada dalej cały proces postępowania, jak doszedł do tego rezultatu po długich i mozolnych zabiegach i pracy.

P. Trzecieski słuchał z zajęciem opowiadania, patrząc na palącą się lampę, to znów na mówiącego; zdziwienie jego rosło co chwila, a lampa paliła się pięknym płomieniem. Opowiadający rozwijał najdrobniejsze szczegóły, rozsnuwał plany, co z tego można by zrobić,—jakie to skarby można by wydobyć z głębi ziemi już nietylko dla okolicy, ale dla całego kraju.

— Tylko energji, tylko dobrej woli, no i trochę funduszu potrzeba do tego, kochany, jedyny ojcze mój,—zakończył Łukaszewicz.

— No, zestarzałem się już, odezwał się Trzecieski, spotykałem wielu i różnych ludzi, ale na podobnego człowieka, któryby zdobytą długą i mozolną pracą wiadomości swoje tak zaraz wyjawiał obcemu, nieznajomemu, nie natrafiłem... Chcę być wzajemnym. Źródła tego surowcu są w lesie u mego sąsiada p. Karola Klobassy, porozumiem się z nim, a jeśli potrafię zawiązać interes, zostajesz pan naszym wspólnikiem, dając swą wiedzę zamiast gotówki.

II.

Wracając z Gorlic, Trzecieski wstąpił do Zrencina, rezydencji p. Karola Klobassy i opowiedział mu swoje plany założenia eksploatacji nafty w lesie bobrzeckim.

Na to odrzekł właściciel:

— Wiem o tych źródłach, posyłałem ja już próbki do Monachjum, do p. Rogojskiego, (umarł jako profesor chemji w Kielcach w Królestwie Polskiem), asystenta przy profesorze Liebigu, ale otrzymałem stamtąd odpowiedź, że surowiec ten nie ma żadnej wartości i do niczego użyty być nie może; jeżeli więc sądzicie, że z tego da się coś zrobić, daję wam cztery lata zupełnej swobody, a po upływie tego czasu zobaczymy i pogadamy.

Łukaszewicz i Trzecieski przystąpili zaraz do poszukiwań i w krótkim czasie bardzo małym kosztem odkryli znaczną ilość surowcu. Udają się więc do p. Klobassy z oznajmieniem rezultatu i z propozycją zawarcia racjonalniejszej umowy, gdyż pierwotną uważają za żart i krzywdę Klobassy.

Stanęła więc umowa na lat dziesięć, mocą której

Trzecieski i Klobassa należą do spółki w równych częściach, Łukaszewicz zaś za prowadzenie robót otrzyma pewien procent. Równocześnie stanęła druga spółka: Łukaszewicz, Klobassa i Trzecieski, do przerabiania surowcu na naftę, pod dyrekcją Łukaszewicza. Powoli cała sprawa zaczęła się rozwijać, tamował go jednak brak odpowiednich lamp, stosownych dla ludu wiejskiego.

Surowiec sprowadzano do Gorlic, gdzie Łukaszewicz urządził dystylarnię. Tu napotkał przedsiębiorca na nowe trudności: robotnicy lękali się dystylarni; jednych odstręczał przykry zapach, innych, obawa pożaru; trzeba było samemu przedsiębiorcy dać przykład z siebie i wykonywać najtrudniejsze roboty. Powoli zaczęli się ludzie wkładać do tej czynności, ale kiedy w Bóbrce źródła surowcu odkrywano coraz obfitsze, a przewóz do Gorlic był zakosztowny, postanowił Łukaszewicz przenieść się do Jasła, jako bliższego punktu kopalni i Trzecieskiego, tam nabyć aptekę i założyć dystylarnię.

Będąc jeszcze w Gorlicach, zachęcał on niezmordowanie do poszukiwań surowcu, oleju ziemnego, ale daremnie; sam zaś ani funduszu, ani czasu nie miał do dalszych poszukiwań. Jednak przemysł naftowy zaczął się rozwijać.

Wtym pożar dystylarni niszczy cały majątek Łukaszewicza; nadto uderza w jego dom drugi, straszniejszy cios, umiera mu jedyna, trzechletnia córeczka, Marja. Zniechęceni temi ciosami Łukaszewiczowie, wybierają się do Królestwa Polskiego, do majątku rodzinnego żony.

Obywatele Jasła, dowiedziawszy się o zamiarze Łukaszewicza, udają się do niego, a wręczając mu dyplom obywatelstwa honorowego, proszą i zaklinają, aby ich nie opuszczał. Było to w początku 1861 r. Wtym nadjeżdża Tytus Trzecieski z wiadomością, że w Bóbrce natrafiono na bardzo obfite źródło. Przedstawia Łukaszewiczowi, że swym wyjazdem zwichnie cały przemysł naftowy, a tym samym wyrządzi krzywdę całemu krajowi. Przekonawszy Łukaszewicza, zabiera go do swego majątku i tam zakładają dystylarnię w Polance, już tylko 7 kilometrów oddaloną od kopalni Bobrzeckiej.

Łukaszewicz, uwolniony od wszelkich innych zajęć, całą duszą oddaje się podniesieniu przemysłu naftowego. Kopalnia w Bóbrce rozwija się coraz lepiej, szyby kopalne dochodzą już do głębokości kilkudziesięciu stóp;

a kiedy przypływ wody nie pozwalał kopać, zakładano świder dalej i tym dostawano się do nowych, głębszych pokładów ropy.

Dystylarnia w Polance stała się istną szkołą; tu zjeżdżali się młodzi przemysłowcy, studjowali cały proces przetwarzania surowca na naftę. Łukaszewicz był najszczęśliwszy, widząc się otoczonym młodemi adeptami. Wierzył, że przemysł rozwinąć się musi, że stanie się dla biednych, a mianowicie dla mieszkańców górskich potężną dźwignią, to też nie miał najmniejszej tajemnicy dla nikogo, objaśniał, uczył, zachęcał, aby tylko szczerzej brano się do dzieła.

Wkrótce też na całym zachodzie prowincji powstały kopalnie i dystylarnie, jak w Sanockiem, Gorlickiem, Jasielskiem, Krośnieńskiem, Sandeckiem i Liskiem, a jeszcze silniej zwiększała się liczba kopalni wskutek świetnych rezultatów w kopalni Bobrzeckiej.

Kapitały stroniły jednak od tego młodego przemysłu, to też przystępowano do zakładania nowej kopalni z bardzo ograniczonemi funduszami, rzadko z paru tysiącami złr.

Przy tak szczupłych środkach materjalnych, trafiały się zawody, rozczarowania, a to zrażało nowych amatorów. Pomimo to przemysł potężniał; już nafta wyrobiła sobie ogólne panowanie, znikły przesądy i obawy.

Ażeby rozpowszechnić użycie nafty i pomiędzy ludnością wiejską, spółka polaniecka utrzymywała składy lamp, ze znacznemi ze swej strony ofiarami, z najlepszych fabryk.

W tym czasie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki odkryte zostały także pokłady oleju ziemnego. To dało nowy impuls: ulepszono i doprowadzono do możliwej doskonałości lampy, i odtąd nafta zyskała obywatelstwo od największych pałaców aż do ubogiej lepianki górala. Nafta wyrabiana w Polanie znajdowała odbyt w latach 1861, 1862 i 1863 w Belgji, Szwajcarji, Berlinie, Warszawie, Wiedniu i Peszcie, a za cetnar metryczny płacono od 42 do 52 złr.

Kopalnia w Bóbrce rozwijała się ciągle. W r. 1865 nabył Łukaszewicz majątek ziemski Chorkówkę i tu założył nową i na większą skalę dystylarnię, odległą już tylko o 3 kilometry od kopalni. Równocześnie z zakładaniem dystylarni urządził i szkołę dla dzieci wiejskich— a dzień przybycia Łukaszewiczów do Chorkówki był zarazem dniem otwarcia szkoły.

Zostawszy właścicielami ziemskiemi, Łukaszewiczowie obejrzeli się, co na tym stanowisku zrobić można dla dobra ogółu. Zastali lud pogrążony w ciemnocie, nędzy, zaniedbaniu i skrępowany lichwą; zadanie więc było wielkie, pole do działania obszerne: — zatym dalej do czynu! Szkoła już funkcjonuje, z czasem powinna wydać owoce. Aby lud wydobyć z lichwy, zakłada Łukaszewicz kasę pożyczkową gminną, w której każdy członek gminy ma prawo zaciągać pożyczkę z procentem 4%, opłacaną w ratach tygodniowych przez cały rok; a ratę tygodniową tak łatwo zarobić w dystylarni, lub w kopalni! Nadto kasa ta przyjmuje oszczędności, poczynając od 1 złr., za co płaci odpowiedni procent. Założenie tej kasy wkrótce wydało zbawienne rezultaty; lud wydobył się z lichwy, zaznajomił się dotykalnie z oszczędnością, bo z drobnych centów oszczędzonych przyszło wielu do znacznych stosunkowo zapasów. To też wkrótce nie było na całą okolicę ani jednej gminy, któraby nie posiadała własnej kasy oszczędności.

Następnie Łukaszewicz założył w kopalni Bobrzeckiej kasę bratniej pomocy dla robotników. Według statutów, każdy robotnik jest członkiem tej kasy i płaci 3 centy od zarobionego florena. Zato w razie choroby otrzymuje pomoc doktora i lekarstwa darmo, oraz 20 centów dziennie przez cały czas choroby. Na wypadek śmierci, koszty pogrzebu opłaca kasa. Wdowa i dzieci otrzymują wsparcie tak długo, jak to uzna komitet złożony z trzech członków, wybranych z grona robotników przez głosowanie. W razie kalectwa robotnik dostaje utrzymanie aż do śmierci. Robotnik, wysłużywszy 20 lat w kopalni, otrzymuje emeryturę: jeśli pozostaje dalej przy pracy, to po 2 złr. miesięcznie, a jeśli opuszcza kopalnię, to po 3 złr. Z czasem odsetki od tego kapitału użyte będą na kształcenie młodzieży w rzemiosłach, zakładanie dla niej warsztatów i na udzielanie posagów biednym, a moralnie prowadzącym się dziewczętom.

W oddziale gospodarstwa wiejskiego starał się Łukaszewicz być wzorem dla włościan, przez podniesienie uprawy roli, zaprowadzenie drenowania, przez chów poprawnej rasy bydła i koni, zaprowadzenie sadownictwa i pszczelnictwa.

Kiedy wskutek konstytucji powstał w kraju samorząd, Łukaszewicz od samego początku wziął w nim czynny udział. Jemu też zawdzięcza powiat Krośnień-

ski doskonałą komunikację i przeszło 1,000 kas gminnych, założonych na wzór Chorkowskiej.

Do zarządu autonomicznego był on zawsze wybierany przez włościan, z ich też wyboru przyjął mandat na posła do Sejmu krajowego. A cały powiat nazywał go „ojcem.“

Na wystawie krajowej we Lwowie w r. 1877 odbył się kongres przemysłowców naftowych, na którym Łukaszewicz wybrany został na przewodniczącego, a przedstawiwszy, co już zrobiono, a co jeszcze zrobionem być może i powinno, wzywał rząd, wzywał kraj, aby to przedsiębiorstwo, stanowiące bogactwo kraju, wzięli w swoją opiekę.

Kiedy Łukaszewicz jest zajęty pracami autonomicznemi, przemysłem naftowym, to znów gospodarstwem rolnym i poselstwem na sejm, żona jego, podzielając wszelkie szlachetne dążności męża, stara się przynieść ulgę biednej ludności wiejskiej, a mianowicie, pragnie zużytkować czas daremnie tracony przez wiejskie dziewczęta. W tym celu zakłada szkołę koronkarską na wzór czeskich. Wolny czas od zajęć domowych i w szkółce wiejskiej poświęca teraz tej szkole. Początki były trudne, trzeba było pokonać przesąd, jakoby nasz lud nie był zdatnym do takich robót, przekonać same uczennice i ich rodziców, że dzierganie tak wątłej na pozór pajęczynki, przyniesie im korzyść i uchroni od wielu zboczeń. Silna wola założycielki stworzyła nowe źródło dochodów dla biednych dziewcząt. Szkoła rozwijała się, koronki wyrobu chorkowskiego zjednywały sobie ogólne pochwały i były poszukiwane. Różne komitety wystawowe zgłaszały się do Chorkówki o wyroby na wystawę i udzielały nagrody w medalach i dyplomach.

Z kolei przychodzimy do najuroczystszej chwili w życiu Ignacego. W r. 1878 ukończył on 25 lat niezmordowanej pracy w przemyśle naftowym. Kraj, aby uczcić tak doniosłe zasługi męża, postanowił ofiarować mu złoty medal. W dniu 31 lipca, jako w dzień imienin jubilata, obszerna sala dworu chorkowskiego napełniła się obywatelstwem z najodleglejszych stron przybyłym; dalej grono przyjaciół i uczniowie jubilata na polu przemysłu naftowego, dziś już pracujący samoistnie. Przeszło sto osób otoczyło sędziwego jubilata; poseł na sejm, p. Dzwonkowski, na srebrnej tacy podał solenizantowi złoty medal, z popiersiem jego i nazwiskiem w otoku na jednej stronie; po drugiej zaś stronie we środku wyryte

były dwa młotki na krzyż, jako godło górnicze i napis „Producens,“ a w otoku napis: „Twórcy przemysłu naftowego 1878 r.“

Następnie poseł na sejm p. Rogawski, wręczył mu olbrzymie album, ozdobione właściwemi emblematami i wieńcem laurowym, z fotografjami własnoręcznie podpisanemi przez najwyższych dostojników kraju aż do najmłodszego adepta.

Jakże rzewną była ta scena, jak uroczysty nastrój ducha obecnych! Mąż posiwiały w walce z przeciwnościami, pokonał wszystkie zapory, dopłynął szczęśliwie do brzegu, dał narodowi silną dźwignię do bytu materjalnego. A naród wita weterana, wieńcząc go zasłużoną nagrodą. Szczęśliwy kraj, który posiada takich mężów, a szczęśliwszy dwakroć, jeśli umie i może ocenić zasługi!...

Dodamy tu jeszcze, że w r. 1872 skończyła się umowa, ustnie tylko zawarta, pomiędzy p. p. Klobassą i Trzecieskim; podobnej harmonji, jaka przez czas umowy trwała w spółce, zapewne nie spotykamy nigdzie. Po rozwiązaniu spółki, p. Klobassa pozostał wyłącznym właścicielem kopalni, a dyrektorem jej twórca Łukaszewicz, którą też prowadził do ostatniej chwili życia.

Ostatnie zakończenie ksiąg rachunkowych z dniem 31 grudnia podpisał o godz. 11 wieczór, a ranek Nowego Roku spotkał go już nieprzytomnym...

A. J.

II. ROZPRAWKI.

---

16. Szkoła i życie.

Często słyszymy utyskiwania młodzieży na trudy i przykrości, na zależność i brak swobody w szkole. Nieraz młodzieniec gorąco wzdycha do tej błogiej chwili, kiedy zrzuciwszy krępujące więzy przymusu szkolnego, z patentem w kieszeni wstąpi w życie, jak mniema, swobodne i nieskrępowane, kiedy będzie swoim własnym panem i urządzi sobie życie według własnego upodobania. Ta upragniona chwila nadchodzi; szkoła wypuszcza młodzieńca ze swej opieki. Wtedy jednak spotyka go przykre rozczarowanie: przekonywa się niebawem, że i życie jest szkołą, przykrzejszą jeszcze i trudniejszą od tej, w której spędził kilka lat wraz z towarzyszami.

Najprzód pryska pierwsze złudzenie. Zdawało się młodzieńcowi, że wyniósł ze szkoły taki zapas wiedzy, który powinien mu wystarczyć na całą pielgrzymkę życiową. Tymczasem przekonywa się, że wiadomości jego stanowią zaledwie podstawę, na której dalej trzeba budować gmach wiedzy; spostrzega, że wciąż jeszcze trzeba się uczyć. Wiedza jego teoretyczna wykazuje wielkie braki, które trzeba uzupełniać; rozproszone wiadomości musi powiązać w pewien całokształt poglądu na świat, wyrobić sobie jakąś specjalność, słowem, musi swe wiadomości pogłębić i rozszerzać. A niema już światłych przewodników, którzyby mu wciąż wskazywali drogę; z konieczności staje się samoukiem i jak każdy samouk, musi szukać właściwych dróg, musi często błądzić, zanim wejdzie na właściwe tory.

Większe jeszcze wymagania stawia mu życie praktyczne. Musi sobie obrać jakiś zawód, nauczyć się praktycznie tysiąca drobnych czynności i szczegółów, składających się na znajomość fachową, zręczność i sprawność w wykonywaniu obowiązków obranego zawodu. Co więcej, życie społeczne, zawikłane stosunki ludzi z ludźmi, stają przed nim, jak niezbadana jeszcze tajemnica. Ileż przykrych zawodów i rozczarowań, ile wstydu i strat go czeka, zanim pozna ludzi i nauczy się z niemi żyć i obcować bez szkody dla siebie i bez krzywdy dla bliźniego. Doświadczenie życiowe zdobywa się powoli i w ciężkiej walce, to również szkoła, którą każdy przejść musi; jest to szkoła ważniejsza jeszcze i trudniejsza od owego ślęczenia na ławce szkolnej, które młodzieńcowi tak bardzo nieraz się uprzykrzyło.

Ale nietylko uczyć się trzeba po ukończeniu szkoły, trzeba się jeszcze wciąż wychowywać. Człowiek musi ciągle walczyć ze złemi nałogami, z lenistwem i niedbalstwem własnym; musi przezwyciężać namiętności i wrodzoną słabość, wytwarzać w sobie hart duszy i siłę woli, słowem to, co nazywamy charakterem; bez charakteru bowiem człowiek jest tylko igraszką losu, jest jakby zwiędłym liściem, miotanym po świecie przez swawolne wichry; charakter tylko daje nam odporność na wszelkie ciosy życiowe, oraz ową względną doskonałość, która jest celem każdego życia ludzkiego. Zanim się w nas wytworzy stały charakter, nieraz jeszcze popełniać będziemy błędy i ponosić samochcąc straty niepowetowane. Ale teraz już nie pobłażliwy i wyrozumiały wychowawca będzie nas strofował i poprawiał, lecz rolę mentora wezmą na siebie twarde i nieubłagane warunki życia, nieszczęścia i ciosy losu, oraz zgryzoty własnego sumienia. Zaiste, twarda jest ta szkoła życia, która człowieka nieraz tak nielitościwie ćwiczy i smaga.

Może jednak daje człowiekowi coś, czego nie miał w szkole? Może mu daje niezależność? Tak przynajmniej mniema młodzieniec, rwący się ze szkoły do życia. Złudzenie! Niebawem się przekona, że niezależnym być nie może i nigdy nie będzie. Już mu wprawdzie nie będzie rozkazywał nauczyciel i wychowawca; przepisy szkolne stracą dla niego swą moc obowiązującą. Ale cóż młodzieniec na tym zyska? Zawsze będzie miał nad sobą przełożonych, których trzeba będzie słuchać; będzie podwładny pracodawcom i zwierzchności; będzie podlegał prawom a nawet zwyczajom towarzyskim, które nie-

raz krępować go będą bardziej, niż najdespotyczniejszy pan i władca. W społeczeństwie ludzkim niema jednostki zupełnie niezależnej; każdy ma kogoś nad sobą, którego musi słuchać. Nawet monarchowie nie są całkiem niezależni. Słuchać muszą przedewszystkim praw, choćby je sami wydali, a wolę ich krępują tysiące trudności, zwłaszcza wypływających ze słabości natury ludzkiej, poza którą i oni wyjść nie mogą; i oni podlegają chorobom, śmierci i tysiącznym niebezpieczeństwom. Zupełna niezależność równałaby się wszechmocy; a wszechmoc jest jedynie w ręku Boga.

Nie dziwimy się jednak młodzieńcowi, że z ławy szkolnej rwie się do życia szerszego; przyczyna leży w tym, że jeszcze nie zna życia. Skoro je pozna, wtedy nieraz z rozrzewnieniem wspominać będzie lata szkolne, spędzone wraz z kolegami pod opieką życzliwych nauczycieli i wychowawców. Wtedy pojmie, że czasy szkolne, to najpiękniejsza pora życia, która, niestety, już nigdy nie wróci. Szczęśliwy ten, dla którego ta pora wiośniana była czasem zasiewów, kiedy ziarna prawdy i dobra padały na glebę podatną i urodzajną! Te ziarna wydadzą kiedyś niechybnie plon obfity.

Antoni Krasnowolski.

---

17. Obowiązki koleżeńskie.

Jednostka ludzka żyje w społeczeństwie; nikt nie jest zupełnie osamotniony, ale każdy człowiek pozostaje w bliższych lub dalszych stosunkach z wielu innemi ludźmi. Te stosunki nakładają na nas pewne obowiązki, których lekceważyć nie można. Obok stosunków najbliższych, jak związki rodzinne i związki przyjaźni, istnieją jeszcze inne stosunki ludzi z ludźmi, połączone również z pewnemi obowiązkami. Do takich stosunków należy koleżeństwo, łączące ludzi nieraz zupełnie sobie obcych z pochodzenia, wychowania i przekonań, nieraz przypadkowo tylko zebranych w jednej szkole lub innym zakładzie, w jednym biurze lub jednej korporacji. Dłuższe stosunki koleżeńskie wskutej tej wspólności interesów, a nawet wskutek samego przyzwyczajenia, przetwarzają się często w pewien rodzaj braterstwa, które

silnym węzłem wiąże kolegów. Oczywiście, stosunki koleżeńskie nie mogą być wolne od licznych obowiązków. Potrzebę i naturę tych obowiązków najlepiej zrozumiemy, jeśli się bliżej zastanowimy nad istotą samego koleżeństwa, t. j. nad tym, co samo pojęcie koleżeństwa w sobie obejmuje. W tym celu uprzytomnijmy sobie, jakie to wspólne węzły łączą kolegów, bo właśnie z tej wspólności, łączącej ich z sobą, wynikają różne obowiązki koleżeństwa.

Cóż więc koleżeństwo w sobie obejmuje? Przedewszystkim widoczne, że koledzy pracują na jednej niwie, dążą do jednego wspólnego celu, którym nie jest osobisty jedynie cel każdego współpracownika, ale ogólny cel instytucji, do której wszyscy należą; a jednak, ten wspólny cel obejmuje w sobie zarazem poszczególne interesy wszystkich pracowników. Jeśli bowiem cała instytucja poniesie uszczerbek, stracą na tym i jednostki; a strata jednego odbije się w mniejszym lub większym stopniu na wszystkich. Tym sposobem wytwarza się między kolegami pewna solidarność interesów, którą można streścić w wyrazach: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jakież więc ta solidarność nakłada na każdego z kolegów obowiązki? Co powinni czynić, a czego unikać w interesie ogółu, a nawet w dobrze zrozumianym interesie własnym?

Rzecz oczywista, że powinni przedewszystkim nie przeszkadzać w pracy, ale przeciwnie, pomagać sobie nawzajem słowem i czynem. Zdarza się nieraz, że ktoś z kolegów nie umie sobie poradzić z jaką pracą, choćby dlatego, że jest jeszcze nowicjuszem i nigdy podobnych czynności nie wykonywał. Czyż starsi i doświadczeńsi koledzy nie mają obowiązku objaśnić go w tym względzie? Zresztą każdemu zdarzyć się może, że w pewnym szczegółowym dziale zajęć obowiązkowych, albo spotkawszy się z jaką nadzwyczajną trudnością, nie może się dość szybko zorjentować i długo się sili nadaremnie, aby trudność przezwyciężyć; czyż nie ma wtedy prawa radzić się kolegów? A koledzy — czyż nie mają obowiązku wskazać mu właściwej drogi i ułatwić wykonanie zadania? Zdarza się również, że kolega chwilowo jest tak obarczony pracą, iż jej podołać nie może, albo zaszła jakaś przeszkoda, dla której nie może jej wykonać; przypuśćmy, że jest chory, a tu robota nie czeka, lecz musi być w oznaczonym czasie skończona. Czyż w takich razach koledzy, jeśli mają czas po temu, nie

powinni go wyręczyć albo zastąpić? Uczynność i usłużność są więc pierwszemi obowiązkami koleżeństwa.

Każdy z kolegów powinien też pamiętać, że praca jego zmierza do jednego wspólnego celu: do dobra instytucji, dla której pracuje. A stąd wypływa nowy obowiązek: gorliwość w pracy powinna wytworzyć szlachetne współzawodnictwo, ażeby zrobić jak najwięcej, zrobić nie mniej od innych, lecz o ile możności więcej. Takie współzawodnictwo jest potężną dźwignią postępu w każdym zakresie pracy społecznej. Chęć odznaczenia się sama przez się nie jest naganna, jeśli ma na celu przysporzenie dobra ogólnego. Ale w tym współzawodnictwie unikać należy jednej rzeczy, mianowicie brzydkiej zazdrości, która gryzie się powodzeniem i zasługami kolegów i stara się je podkopywać. Współzawodnictwo zazdrośnika, nawskroś egoistyczne i złośliwe, nie może nigdy nikomu, a więc i ogółowi przysporzyć pożytku, lecz raczej burzy owoce usilnych starań współpracowników.

Z tej samej wspólności celu ogólnego wynika jeszcze jeden obowiązek: skromne poprzestawanie na roli, do jakiej jesteśmy zdatni i przeznaczeni. Dobry kolega nie wysuwa się naprzód, ale chętnie ustępuje pierwszeństwa zdolniejszym i zasłużeńszym, pamiętając o tym, że tu chodzi o dobro ogólne. Sam też uznaje swą nieudolność, skoro stanie wobec zadania, przywyższającego jego siły. Ambicja, pragnąca się wybić coraz to wyżej, u ludzi dzielnych i zdolnych ma swe dobre strony, gdyż nieraz dokona wielkich rzeczy. Ale ambicja i wszelki interes osobisty powinny zamilknąć wobec wyższego względu na dobro ogólne. Nieraz trzeba się wyrzekać swych pragnień i roszczeń, choćby nawet słusznych, jeśli dobro ogólne tego wymaga; nieraz trzeba się pozbywać osobistych nawyknień i upodobań, skłonności i pociągów, gdy chodzi o wyższy interes instytucji, której służymy. Kto stał się cząstką większej jakiej całości, ten nie należy już całkiem do siebie: powinien się stosować do wymagań całości. Jak kamień, wchodzący do budowy jakiego gmachu, musi być ociosany i dopasowany do miejsca, które ma zająć w budowie, podobnie i człowiek, pragnący być kamieniem w budowie gmachu społecznego, musi się poddać wymaganiom stanowiska, które pragnie zająć.

Z tą zasadniczą wspólnością i solidarnością interesów, łączącą kolegów, pracujących na jednej niwie, wiąże się druga wspólność, która wprawdzie nie leży w sa-

mej podstawie koleżeństwa, ale wywiązuje się z czasem sama przez się z długiego wspólnego pożycia. Mówimy tu o wspólności stosunków towarzyskich, pogawędek, rozrywek i zabaw. Pracownicy na jednej niwie mogą z początku być sobie zupełnie obcy pod względem stosunków towarzyskioh i domowych; ale, spotykając się codziennie, pracując wciąż razem, nie mogą, choćby nawet chcieli, uniknąć bliższego poznania się, a nawet zaprzyjaźnienia. Powstają wspólne gawędki w czasie wypoczynku, potym wspólne rozrywki i zabawy, słowem to, co stanowi życie towarzyskie. Aby takie wspólne pożycie towarzyskie było nietylko znośne, lecz i miłe, trzeba przedewszystkim być zawsze grzecznym i uprzejmym dla kolegów, trzeba wystrzegać się gburowatości i form nieokrzesanych. Szczera i prosta grzeczność, wypływająca z serca, jest prawdziwą okrasą i osłodą wspólnej, nieraz ciężkiej pracy zawodowej. Koledzy, pracujący na jednej niwie, o wiele raźniej pracować będą w atmosferze miłych stosunków towarzyskich i dzięki tym stosunkom nieraz mile przepędzą dzień, poświęcony ciężkiej pracy.

Gdzie ludzie wciąż się spotykają, zwłaszcza, gdzie nieraz wypada godzić różne interesy osobiste z interesami ogółu, tam nietrudno o powód do niezgody i kłótni. Ale właśnie tego powodu trzeba uniknąć. Każdy powinien przedewszystkim sam siebie pilnować: hamować wybuchy złego humoru i gniewu, tłumić w sobie wybryki egoizmu, ustępować nieraz dla miłej zgody, nawet gdyby chodziło o nasze prawa słuszne, jeśli możemy się ich wyrzec bez wielkiego uszczerbku dla siebie.

A jeśli kto inny da powód do nieporozumienia, wtedy dobry kolega będzie wyrozumiały na drobne słabostki kolegów i chętnie je wybaczy; jest to najlepszy sposób zawstydzenia winowajcy i naprawienia stosunków oziębionych i rozluźnionych. Bywają czasami koledzy nudni, gadatliwi albo opryskliwi, którzy nieraz dobrze umieją dokuczyć. Ale i z takim trzeba być cierpliwym, a cierpliwość będzie w tym razie z pewnością najlepszym lekarstwem.

Pozostaje nam rozpatrzyć obowiązki, wypływające z jednej jeszcze wspólności, łączącej kolegów. Otóż w istocie koleżeństwa leży także wspólność honoru. Wyrażenia: „honor klasowy", „honor korporacji", „honor oficerski", „honor studencki" i t. p. — nie są to puste dźwięki. Wszyscy ludzie bowiem są skłonni rozciągać

przewinienia jednostki na całą korporację albo nawet na cały stan, do którego należy winowajca. Jeśli np. student popełni czyn haniebny, zwykle mówią o nim, że splamił mundur studencki, jak gdyby z czynu jego jakaś plama przylgnęła do munduru wszystkich studentów. „Ex uno disce omnes" (z jednego poznaj wszystkich) — te słowa nieraz powtarzają złośliwi krytycy. Choćby nawet takie uogólnianie sądów było bezwzględnie niesłusznym, to jednak fakt pozostaje faktem, że jednostka swą reputacją może zaszkodzić dobremu imieniu całej korporacji.

Jakież z tej wspólności honoru wypływają obowiązki? Możemy je streścić w dwóch zdaniach: dbaj o honor kolegów i dbaj o swój własny honor!

A jakim sposobem okażemy dbałość o honor kolegi? Przedewszystkim przez to, że nie pozwolimy mu popełnić nic zdrożnego, coby mogło rzucić na niego jaką plamę. Złe jest tłómaczenie się: czy ja jestem stróżem brata mego? Jeśli kolega jest na złej drodze, jeśli szuka złego towarzystwa i ma skłonność do różnych wybryków, wtedy mamy prawo i obowiązek odwodzić go od tego; powinniśmy go łagodnie, ale stanowczo napominać i karcić, serdecznie prosić, a w razie potrzeby nawet grozić. W większości wypadków możemy być pewni, że szczere i życzliwe słowa dobrego kolegi, byleby były wypowiedziane z konieczną łagodnością i dyskrecją, nie pozostaną bez skutku.

Wobec zaś innych ludzi powinniśmy honoru kolegi bronić, jak swego własnego: nie słuchać obojętnie albo nawet z upodobaniem plotek o nim rozgłaszanych, nie wierzyć ślepo tym plotkom, nie powtarzać ich bezmyślnie albo złośliwie.

Tym bardziej nie powinniśmy sami nic takiego wypowiadać lub czynić, czymbyśmy mogli dotknąć honoru kolegi. Wszelkie wyśmiewanie kolegi z powodu jakiej słabostki, niezręczności, urodzenia lub kalectwa, choćby wypływało poprostu z bezmyślnej wesołości, a nie ze złego serca, poniża kolegę. A cóż dopiero powiedzieć o takim koledze, który kolegę traktuje wyniośle i pogardliwie, zaznaczając na każdym kroku swą wyższość nad nim? Czyż nie obraża przez to boleśnie jego godności osobistej? Czy obraza godności osobistej nie jest obrazą honoru?

Z dbałością o honor kolegi powinna się łączyć, jakeśmy już powiedzieli, dbałość o honor własny. Jak tę

dbałość znaczymy? Oczywiście, przedewszystkim nie trzeba popełniać nic hańbiącego. Ale nie dość na tym: trzeba unikać nawet cienia złych postępków, a więc wszelkich uwłaczających nam towarzystw, wszelkich nizkich rozrywek, któreby obcym ludziom mogły dać powód do podejrzeń i obmowy. Pamiętajmy, że złe języki z drobnej rzeczy są gotowe stworzyć wielką zbrodnię, że honoru swego pilnować powinniśmy tym bardziej, iż nie należy on wyłącznie do nas samych, ale jest cząstką wspólnego honoru całej korporacji, do której należymy. Z drugiej jednak strony trzeba sobie wyrobić właściwe pojęcie o honorze; pamiętać należy, że np. pochodzenie lub ubóstwo nie są hańbą, że więc człowiek nizkiego pochodzenia albo ubogi, byleby był uczciwym, nie ma się czego wstydzić. Fałszywy wstyd nie ma z honorem nic wspólnego, a raczej przynosi mu ujmę, gdyż nieraz popycha do rzeczywistych występków, niezgodnych z uczciwością i honorem.

A jeśli, mimo wszelkich starań, dostaniemy się na ludzkie języki, wtedy honor nasz własny i honor instytucji albo korporacji, do której mamy zaszczyt należeć, wymaga od nas, żebyśmy się śmiało bronili. Niesłuszne posądzenia i oszczerstwa należy stanowczo odeprzeć; a jeśliśmy rzeczywiście w czym uchybili — bo któż jest bez winy?—wtedy nie należy wykręcać się kłamstwem, ale, zwłaszcza wobec kolegów, otwarcie się przyznać, w razie potrzeby wytłómaczyć się i prosić o przebaczenie. Tym sposobem najpewniej ocalimy swój honor i honor kolegów.

Dbałość o wspólny honor zakładu albo korporacji, do której należymy, wymaga od nas nareszcie, żebyśmy usilnie starali się przynosić zaszczyt szkole, która nas wychowała, instytucji, w której służymy, korporacji, do której członków się liczymy. A czymże przyniesiemy im zaszczyt? Oczywiście przez uczciwą pracę i zasługi, nawet poza obrębem stosunków koleżeńskich. Część zasługi, przez nas położonej, spada na wszystkich kolegów, jej odblask ich również opromienia. Nie każdy może być sławnym, ale każdy może być pożytecznym i godnym szacunku. Największą zaś sławą każdej instytucji jest, że jej członkowie są wszyscy ludzie pożyteczni i godni poszanowania.

Wyliczyliśmy główne obowiązki, jakie na nas nakłada wspólność pożycia i wspólność honoru w stosunkach koleżeńskich. Nie należy jednak obowiązków ko-

leżeństwa rozumieć opacznie. Koleżeństwo nie powinno wytwarzać egoizmu kastowego, wspólnictwa zbrodni, wspólnego uczestnictwa w niestosownych rozrywkach, bractwa wzajemnej adoracji, wyłączności i zaciekłości koteryjnej. Nie byłoby to już koleżeństwo, ale szajka. W stosunkach koleżeńskich, jak we wszystkich stosunkach ludzkich, powinny panować uczciwość, bezstronność, prawda i godność osobista.

Antoni Krasnowolski.

---

18. Czy Aleksander Macedoński zasługuje na nazwę Wielkiego?

Jednym z pierwszych władców, którym historja nadała zaszczytną nazwę Wielkiego, jest Aleksander Macedoński. Osobistość jego wielki wywierała urok na wyobraźnię ludów starożytnych i nowożytnych; zaliczano go do największych bohaterów świata, co tym bardziej zasługuje na uwagę, że umarł w młodym wieku, prawie młodzieńcem jeszcze. Jeśli zadamy sobie pytanie, jakim zasługom zawdzięcza takie wyróżnienie, łatwo dojdziemy do przekonania, że podziwiano przedewszystkim jego wielkie czyny wojenne i rozległe podboje w Azji i Afryce.

Już to zawsze rozgłos sławy wojennej najsilniej przemawiał do wyobraźni ludów i rozbrzmiewał najszerzej nietylko w historji, lecz niemniej i w podaniach i pieśniach ludowych. Czy jednak według pojęć dzisiejszych, według powszechnego sumienia ludzi rozumnych, sława wojenna wystarcza do wyniesienia kogoś ponad miljony pracowitej rzeszy, a nawet ponad jednostki wielce zasłużone, ale pracujące w cichości dla dobra bliźnich na polu społecznym lub naukowym? Zdaje się, że wiernym wyrazem dzisiejszego przekonania ludzi rozumnych są następujące słowa Krasickiego:

„Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdzierał,
Nie ten, co łzy wyciskał, lecz kto je ocierał''.

Wielki reformator społeczny, wielki uczony albo wynalazca, cichy męczennik idei i żarliwy głosiciel prawdy, nareszcie wielki i szlachetny charakter osobisty,

zaiste, bardziej zasługują na wyróżniającą nazwę Wielkiego, niż sława wojownika, który się pławił we krwi ludzkiej dla zaspokojenia swej nienasyconej ambicji; bo tamci przechodzili przez świat, dobrze czyniąc i siejąc ziarno szczęścia dla potomstwa; a ślady zdobywcy znaczyły zgliszcza i perzyna, jęki konających i mogiły.

Ale może Aleksander Macedoński skądinąd zasłużył na tę nazwę? Może położył prawdziwe zasługi dla ludzkości? Może oprócz nienasyconej ambicji, odznaczył się innemi, prawdziwie ludzkiemi zaletami? Otóż przyznać trzeba, że w życiu swym wykazał niejeden piękny rys charakteru, niejeden rys dodatni i sympatyczny: miał on nietylko wysokie zalety serca, ale i wyższość umysłu, przechodzącą znacznie średnią miarę ówczesnego poziomu umysłowego.

Do zalet serca zaliczyć trzeba przedewszystkim jego waleczność i odwagę osobistą. Młodzieniaszkiem jeszcze okiełznał dzikiego konia Bucefala, w którym najzawołańsi jeźdźcy rady dać sobie nie mogli. W bitwach nie zasłaniał się nigdy zbrojnemi hufcami, lecz śmiało stawał na ich czele, narażając się zawsze na największe niebezpieczeństwo.

Nie brak też w postępowaniu, wprawdzie tylko w pierwszym okresie jego działalności wojennej i politycznej, faktów, dowodzących wielkiej wstrzemięźliwości i panowania nad sobą. Kiedy podczas marszu w pustyni dokuczało mu nieznośne pragnienie, a jeden z żołnierzy przyniósł mu w hełmie nieco wody, zaczerpniętej w zagłębieniu skały, Aleksander, chociaż prawie omdlewał z pragnienia, wylał tę wodę w piasek pustyni, mówiąc: „Nie wystarczy dla nas wszystkich, a ja sam nie chcę używać, kiedy wy, towarzysze moi, cierpicie”. Znosił też razem z żołnierzami wszelkie trudy i niewygody wojenne, nie żądając dla siebie nic nad to, co mieli inni. Łatwo pojąć, że takie postępowanie jednało mu serca żołnierzy, krzepiło ich odwagę, budziło zapał i uwielbienie dla niego, jako ich króla.

W charakterze Aleksandra znajdujemy jeszcze wyższe zalety serca, które są dla nas bardzo sympatyczne i wynoszą go wysoko ponad innych sławnych zdobywców, np. ponad Napoleona I. Mamy na myśli jego szlachetność i wspaniałomyślność, okazaną niejednokrotnie. Najbardziej znanym przykładem jego wspaniałomyślności jest postępowanie z pojmaną rodziną pobitego króla perskiego, Darjusza. Persom, przywykłym do barba-

rzyńskich pojęć azjatyckich, według których brutalny gwałt i sroga zemsta były przyrodzonym prawem zwycięzcy, w głowie pomieścić się nie mogło, że ten młody bohater okazywał zwyciężonym tyle ludzkości i wspaniałomyślności. Wierzymy także w szczerość jego łez, wylanych nad trupem zamordowanego Darjusza; zawzięte ściganie Bessusa było zapewne nietylko dziełem polityki, lecz również wyrazem szlachetnego oburzenia na podłego przeniewiercę i królobójcę. Niemniej dowodzą szlachetności jego serca stosunki przyjaźni, łączące go z najlepszemi towarzyszami pracy i bojów. Przyjaźń nie rodzi się w sercu nieszlachetnym, zwłaszcza jeśli to serce należy do potężnego monarchy. Piękne są słowa Aleksandra, wypowiedziane do rodziny Darjusza, która Parmenjona wzięła za króla i jemu złożyła czołobitność, a poznawszy swój błąd, była w wielkim zakłopotaniu: „Nie mylicie się, bo i to Aleksander!” Czyż można nadać piękniejszy wyraz przyjaźni, która, według starożytnych, jest jedną duszą w dwóch ciałach?

Przedewszystkim jednak godnym podziwu jest postępek Aleksandra z lekarzem Filipem Akarnańskim. Ciężko chory, odebrał list od Parmenjona z doniesieniem, że Filip, przekupiony przez Darjusza, chce go otruć. Wtym wchodzi lekarz z lekarstwem. Co czyni Aleksander? Przeczytawszy list, chowa go pod poduszkę, bierze spokojnie lekarstwo z rąk Filipa, wypija je, a potym dopiero podaje list lekarzowi. Niema ta scena sama przez się mówi; nie potrzeba było słów, aby Filipowi wytłómaczyć postępek i uczucia króla. Co stanowi piękność tego postępku? Zaiste, nie odwaga, z jaką zażył lekarstwo, które mogło być trucizną, ale wielkie zaufanie, którym darzył wiernego przyjaciela, bo tylko serce szlachetne może wierzyć w szlachetność innych i darzyć ich nieograniczonym zaufaniem.

Obok zalet serca, wykazywał Aleksander niepospolitą wyższość umysłową. Wiemy, że był bardzo wykształcony, że najuczeńszy mąż starożytności, Arystoteles, był jego nauczycielem. Wiemy również, że okazywał wielki szacunek dla uczonych, a do tego zdolny jest tylko monarcha prawdziwie wykształcony. Nawet dla gburowatego grubasa, jakim był Djogenes, miał Aleksander szacunek i życzliwość, dlatego jedynie, że był to, mimo swych dziwactw, filozof nieposledniej miary i człowiek bystry i mądry. „Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Djogenesem”—te słowa dobit-

nie wyrażają jego przekonanie o wysokiej wartości pracy umysłowej.

Czytamy również, że był zawsze z nadzwyczajnym uwielbieniem dla wielkich poetów greckich. Poematy Homera wciąż z sobą woził w złotej szkatułce, jako skarb najdroższy; a po zdobyciu Teb, kiedy miasto wydał na łup żołnierstwa, surowo przykazał oszczędzać dom i rodzinę poety Pindara. Kto odczuwa piękno poezji, kto kocha poetów, ten nie może być barbarzyńcą, ale jest człowiekiem wykształconym, w najlepszym znaczeniu tego wyrazu.

Do zalet umysłu Aleksandra należy także jego wysoki rozum polityczny, którym przewyższał całe swoje otoczenie. Dowodem tego rozumu są jego usiłowania, aby ludy azjatyckie ściślej zespolić i niejako zbratać z Grecją i Macedonią. Aby przyśpieszyć to zespolenie, ożenił się z córką Darjusza i zalecił swym wodzom żenić się z kobietami perskiemi. Przyjmował obyczaje perskie, gdyż tego wymagała mądra polityka. Nikt nie umiał tak mądrze i zręcznie postępować z żołnierzami, jak on. Posiadał też nietylko nadzwyczajną znajomość sztuki wojennej, ale również wysoki talent organizatorski; umiał bowiem sprzeczne żywioły swego ogromnego państwa połączyć w jedną całość, utrzymywać w karności i kierować ku jednemu wspólnemu celowi. Położył też ogromne zasługi dla cywilizacji: szerzył na Wschodzie kulturę grecką, zakładał miasta, starał się o podniesienie handlu i t. p.

Ale niestety! wszystkie te zalety serca i umysłu zaćmił w ostatnich latach swego życia pożałowania godnemi wadami.

Gdy stanął u szczytu powodzenia i potęgi, dostał zawrotu głowy: widocznie szczęście go zepsuło. Zrodziły się w nim niepohamowana duma i zacięty upór. Żądał czci boskiej nietylko od ludów azjatyckich, ale i od swoich weteranów. Ogłosił się synem Zeusa Ammona: może był to krok polityczny, którym chciał pozyskać sobie Egipcjan; ale Macedończyków to raziło i bolało tym bardziej, że nie poznawali w nim swego dawnego Aleksandra. Ten sam człowiek, który dawniej znosił trudy i niewygody wojenne narówni z prostym żołnierzem, otaczał się teraz przepychem i zbytkiem wschodniego despoty. I tutaj można się dopatrzyć pewnego wyrachowania politycznego: może chciał sobie zjednać Persów, przywykłych do wspaniałości dworu dotychczaso-

wych swych królów. Ale w każdym razie Aleksander przestał już być dawnym Aleksandrem.

W ślad za tym przepychem poszła późniejsza jego niewstrzemięźliwość, pijaństwo i bankiety. Ten sam człowiek, który niegdyś żołnierzom swym dawał przykład wstrzemięźliwości, teraz, kiedy panował nad ogromnym państwem, nie umiał panować nad sobą. Wskutek pijaństwa nieraz wpadał w straszne uniesienia gniewu, które zupełnie zamraczały i zaćmiewały nietylko rozum polityczny, ale i wrodzoną szlachetność i wspaniałomyślność. W takich chwilach posuwał się nieraz do wielkiego okrucieństwa i popełniał nawet zbrodnie, których potym sam gorzko żałował. W takiej to chwili pijanego uniesienia zabił Klitusa, wiernego swego przyjaciela.

Jeśli teraz powtórnie zadamy sobie pytanie, czy Aleksander Macedoński zasłużył na nazwę Wielkiego, jaka będzie nasza odpowiedź? Możemy ją streścić w następujących wyrazach: był niewątpliwie Aleksander wielkim wodzem i wielkim organizatorem, większym może, niż ktokolwiek przed nim i po nim; możemy również przyznać, że pod wielu względami był wielkim monarchą i cywilizatorem; ale temu stanowczo zaprzeczyć musimy, żeby był wielkim człowiekiem. Od wielkiego człowieka żądamy zalet bardziej ludzkich, żądamy ukochania ludzkości i pełnej poświęcenia pracy dla dobra bliźnich, żądamy stałego charakteru. Wielki zdobywca a wielki człowiek—są to pojęcia, które z trudnością dadzą się pogodzić.

Antoni Krasnowolski.

---

19. Porównanie życia ludzkiego do biegu rzeki.

Człowiek lubi w tworach i zjawiskach przyrody upatrywać odbicie swej własnej istoty. Życie ludzkie, pełne zmiennych kolei losu, pełne tajemnic i zagadek, przyrównywano często do drzewa, do pór roku i t. p. Bardzo trafne jest również porównanie życia ludzkiego z rzeką; porównanie to, dość często napotykane u pisarzów wszystkich wieków, pozostawiło nawet ślady w mo-

wie potocznej, gdyż na nim polegają takie zwroty, jak: „życie upływa'', „bieg życia'', „prąd czasu'' i t. p.

Na czym więc polega to podobieństwo? Przypatrzmy się najpierw początkom rzeki i życia ludzkiego. Rzeka ma źródło małe i nieznaczne: sączy się wątle z łona ziemi i w początkach swych jest zwykle tak wązka i płytka, że dziecko przejść przez nią potrafi, a nawet może ją zasypać piaskiem; niczym wtedy nie zapowiada, że urośnie kiedyś do tak potężnych rozmiarów. Podobnie i człowiek w zaraniu życia jest mały i słaby; najmniejsza siła zewnętrzna może młodą istotkę pozbawić tego życia, może je zgasić, jak światełko, zaledwie dostrzegalne.

Ale rzeka wciąż wzrasta, przyjmując do swego łona coraz to nowe dopływy, rozszerza i pogłębia swe koryto, coraz to obfitsze w swych nurtach toczy wody, aż nareszcie płynie wielka i wspaniała, silna i potężna. Tak i człowiek wciąż rośnie: żywiąc się pokarmami, czerpanemi z bogatego śpichlerza przyrody, rozwija się cieleśnie, wyrasta i nabiera sił fizycznych; oprócz tego rośnie jeszcze duchowo przez naukę i doświadczenie. Jak bardzo różni się dorosły człowiek w pełni sił cielesnych i duchownych od słabego i niedołężnego niemowlęcia!

A ileż to podobieństwa upatrywać można między biegiem rzeki a zmiennemi kolejami życia ludzkiego. Bieg rzeki nie jest wciąż równy i łatwy; niemało bowiem po drodze napotyka przeszkód, które musi przezwyciężyć; często rzeka trafia na rafy podwodne i nierówności gruntu, nieraz zmuszona jest rzucać się ze stromej pochyłości i tworzyć wspaniałe wodospady; nieraz napotyka mielizny i zmuszona jest rozlewać się szeroko, albo omijać naturalne przeszkody; niekiedy wpada w głębokie doły i tworzy wiry lejkowate; to płynie bystrym prądem po stromym spadku gruntu, to znów zwalnia biegu, przepływając przez równinę. Podobnie i życie ludzkie nie zawsze upływa gładko i równo: i człowiek musi omijać liczne przeszkody, unikać niebezpieczeństw, czyhających na jego zgubę; musi ponosić wielkie trudy dla zachowania swego życia. Raz zdaje się, że życie upływa raźno i wesoło, w gorączkowej pracy lub rozkoszach; aliści znów następują okresy osłabienia i zwolnionej działalności, chwile gnuśnego spoczynku, w których człowiek raczej wegetuje, niż żyje.

A jakże zmienne widoki roztaczają się nad brzegami rzeki! Mija ona w swym biegu kwieciste łąki, lesiste pagórki, bogate łany zbożowe i wspaniałe miasta.

Wszystkie jej widoki odbijają się w jej łonie przezroczystym. Ale marna to zdobycz! Lada wiatr zamąci wodę—i wszystko przepada. Rzeka nie może zatrzymać się w miejscu, aby dłużej odbierać odbicia pięknych okolic. Fala popycha fale i rzeka wciąż płynie, żegnając widoki, zaledwie powitane. Człowiek miewa również miłe chwile w swym życiu. Nieraz chciałby zawołać: „Poczekaj, chwilo, tyś piękna! Niech się tobą nacieszę!'' Ale chwila goni chwilę, wszystko mija, pozostawiając po sobie zaledwie słabe ślady we wspomnieniach człowieka. A chwile szczęścia są najkrótsze, nie dadzą się zatrzymać żadnym wysiłkiem człowieka. Kto ich nie chwyci w lot, kto nie skorzysta szybko i śmiało z nadarzającej się sposobności, dla tego szczęście minie bezpowrotnie, jak te znikome obrazy, odbite w ruchomej fali rzeki.

Rzeka oddaje w swym biegu ludziom liczne usługi: dźwiga na swym grzbiecie statki, naładowane zbożem i innemi płodami ziemi; porusza młyny i inne fabryki; poi i żywi całe rzesze ludności nadbrzeżnej. I człowiek może i powinien być pożytecznym bliźniemu; może mu służyć słowem i czynem, może zasłużyć na błogosławieństwo i dobre imię u ludzi, jak owe rzeki wspaniałe, które lud błogosławi i opiewają poeci.

Przypatrzmy się jeszcze, jaki jest koniec rzeki. Ginie ona w morzu, zlewa się z bratnim żywiołem — ale wody jej nie przepadają. Podobnie i człowiek życie swe doczesne kończy w łonie wieczności, tym oceanie bytu, ale życie jego nie przepada.

Cóż bowiem staje się z wodą rzeki? Jakiemu celowi służy ona w gospodarstwie przyrody? Oto jest ona ważnym ogniwem w ogólnym krążeniu wody: przenosi ją z głębi lądów do oceanu; tam paruje i unosi się w obłoki, a para, pędzona wiatrem, rozchodzi się znów ponad lądami, spada na ziemię w postaci deszczu i śniegu i daje znów początek źródłom i rzekom, które ciągle odprowadzają wodę do oceanu. To bezustanne krążenie wody w przyrodzie jest koniecznym warunkiem wszelkiego życia na ziemi.

Czyż cel pielgrzymki człowieka na ziemi nie jest podobny? Ciało ludzkie, „z prochu powstało i w proch się obraca"; ale to ciało nie przepada; jest ono tylko ogniwem w krążeniu materji; żywi się i rośnie „prochem", t. j. materją, dostarczaną przez przyrodę, i proch ten znów jej oddaje, aby wciąż nowe mogły powstawać istoty. Te cząstki materji, które dziś stanowią moje

ciało, będą w przyszłości przechodziły przez wiele innych ciał, przez rośliny, zwierzęta i ciała ludzkie. Ale człowiek, oprócz ciała, ma jeszcze duszę. Dusza ludzka pochodzi od Boga i do Boga wraca, podobnie jak woda deszczem spada z obłoków, a rzeką i parą znów do nich wraca.

Antoni Krasnowolski.

---

20. Maszynista.

Kartka z dziejów dróg żelaznych.

Statystyka dowodzi, że w r. 1902 sieć dróg żelaznych na kuli ziemskiej wynosiła przeszło 442,200 kilometrów. Ażeby mieć pojęcie o doniosłości tej cyfry, dosyć powiedzieć, że gdyby złączono razem wszystkie drogi żelazne, możnaby niemi opasać ziemię przy równiku jedenaście razy; linja zaś z nich utworzona dosięgłaby księżyca i jeszczeby mogła posunąć się dalej o 59,000 kilometrów.

Statystyka nie podaje nam ścisłych cyfr co do ilości lokomotyw, krążących na powierzchni naszej planety, oraz maszynistów i palaczy, którzy co dzień narażają życie przy obsłudze tych żelaznych potworów; w przybliżeniu jednak możemy obrachować liczbę lokomotyw na kilkaset tysięcy, liczba zaś maszynistów i palaczy może wynosić około pół miljona.

Chociaż maszynistom i palaczom powierzamy swe życie, mało jednak jesteśmy obeznani z naturą ich zajęć i obowiązków, i nie zdajemy sobie sprawy z grożących im niebezpieczeństw. Na tysiąc podróżnych, którzy dzięki ich baczności, zimnej krwi i odwadze, szczęśliwie stają u celu, zaledwie jeden wdzięcznym okiem rzuci na osmolone oblicza ludzi, prowadzących lokomotywę. Umieją tylko gniewać się za przeraźliwe gwizdanie i złorzeczyć im, jeśli pociąg się spóźni.

Profani wyobrażają sobie, że służba kolejowa rozpoczyna się dopiero na kilka minut przed odejściem pociągu; tymczasem maszynista i palacz na półtorej godziny przedtym muszą być na stanowisku, a i ten czas zaledwie im wystarczy do spełnienia licznych obowiązków i przedsięwzięcia niezbędnych środków ostrożności. Trze-

ba nasmarować maszynę, zbadać, w jakim stanie są koła, tłoki, kocieł i ognisko, przekonać się czy ogień dobrze się pali, czy ilość wody jest dostateczna, żeby dostarczyła tyle pary, ile jej potrzebuje lokomotywa. Nie wspominam już o hamulcach, o klapie bezpieczeństwa, oraz innych rzeczach, które wymagają ciągłej baczności i nadzoru, bo od nich zależy nietylko punktualne przybycie na miejsce, lecz całość pociągu i bezpieczeństwo podróżnych.

Wszystko jest w porządku, godzina odjazdu się zbliża, należy więc lokomotywę i tender przyczepić do wagonów. Nie jest to rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało. Jeżeli maszynista spóźni się o sekundę z zamknięciem regulatora, a palacz zaniedba w porę ścieśnić hamulce, nastąpi uderzenie mniej więcej szkodliwe dla pociągu. Dochodzą oni jednak do takiej wprawy w tym, że nikt nawet nie zauważy, kiedy to połączenie następuje.

Maszynista ma jeszcze pięć minut przed sobą; przez ten czas musi się dowiedzieć z ilu wagonów pociąg się składa, gdyż do tego stosuje parę; musi się przekonać, czy lokomotywa i tender są dobrze zczepione z wagonami, w końcu musi zbadać stan hamulców, żeby go nie zawiodły, gdy trzeba pociąg zatrzymać.

Ulepszony system hamulców pozwala teraz zatrzymać pociąg na przestrzeni dwustu lub trzystu metrów, kiedy dawniej trzeba było na to pięćset lub sześćset metrów. Maszynista otwiera klapę i wskutek ciśnienia powietrza wszystkie wagony stają. Kto wie, jak ważną i drogą jest każda sekunda na kolei, zrozumie znaczenie tego ulepszenia.

Sumienne zbadanie łańcuchów, łączących lokomotywę z wagonami, jest rzeczą wielkiej wagi, zwłaszcza w krajach górzystych. Gdyby łańcuch pękł w czasie biegu pod górę, wagony cofnęłyby się w tył i mogłyby wpaść na inny pociąg idący za niemi.

Ileż to razy podróżni narzekają na piekielny hałas na stacjach, na ciągłe gwizdanie, które im uszy rozdziera. Bez tego jednak obejść się nie można i wszystkie utyskiwania na nic się nie zdadzą. Maszynista, zanim w ruch wprowadzi lokomotywę, musi gwizdaniem ostrzedz ludzi przy wekslach, potym dopiero puszcza parę.

Wprowadzić pociąg w ruch nie jest rzeczą łatwą. Jeżeli relsy są wilgotne, a maszynista puści zawiele pary, koła obracają się na miejscu z przerażającą szyb-

kością, ale ani jeden wagon się nie ruszy; technicznie nazywa się to ślizganiem i jest bardzo szkodliwe tak dla lokomotywy jak i dla wagonów.

Pociąg nareszcie ruszył i teraz zadanie maszynisty staje się ważne i ciężkie, a wobec niego cała poprzednia praca była tylko zabawką. Przedewszystkim musi zwracać pilną uwagę na sygnały, które oznajmują mu, że droga jest wolna, albo też przestrzegają, że stało się coś nadzwyczajnego. Na głównych stacjach jeden z najwytrawniejszych ma ogólny nadzór nad wekslowaniem i sygnałami i z wierzchołka wieży kieruje pociągami, podobnie jak gienerał wojskiem.

Główne stacje podzielone są na sekcje, żeby zapobiedz natłoczeniu pociągów i ułatwić dawanie sygnałów. Maszynista nie może wjechać na stację, dopóki przy ostatniej strażnicy, zwanej block-station, nie ujrzy znaku, że droga jest wolna. Znaki te podawane są za pośrednictwem telegrafu optycznego i przy obecnej szybkości biegu wymagają niesłychanej baczności ze strony maszynisty. W dzień jeszcze jest łatwiej, ale w nocy trzeba natężać uwagę, żeby pochwycić sygnał. Dowódca lokomotywy musi także pilnować swego towarzysza niedoli, palacza, żeby nie dał wygasnąć ognisku i w paszczę tego smoka wrzucał dostateczną ilość węgla, od tego bowiem zależy szybkość jazdy. Niech tylko ogień osłabnie, zaraz mniej pary wytwarzać się będzie i pociąg spóźni się na stację. Nikt nie ma pojęcia, ile pary potrzebuje lokomotywa. Przypuśćmy, że koła obracają się dwieście razy na minutę, przez ten krótki przeciąg czasu cylindry napełnią się ośmset razy, zużywają więc dwadzieścia metrów sześciennych pary.

Maszynista obowiązany jest czuwać nietylko nad tym, żeby ogień był wciąż utrzymywany w jednakowym stopniu natężenia, ale musi też rozciągnąć baczność nad pompami, które z tendra dostarczają wody do kotła. Czynność nad pompami ani na chwilę ustać nie może, gdyż zanizki poziom wody w kotle może stać się powodem straszliwej katastrofy. Rury i inne części maszyny, wystawione na bezpośrednie działanie ognia, rozgrzewają się wtedy do białości i wytwarzają taką ilość pary, że nic jej sile oprzeć się nie zdoła.

W krajach górzystych lokomotywa nieraz narażona jest na takie niebezpieczeństwo w czasie biegu pod górę lub z góry, kiedy poziom wody zmienia położenie wskutek nachylenia. Z tego powodu lokomotywy drogi

żelaznej np. na Righi w Szwajcarji mają kocieł pionowy, który je zabezpiecza od takiego wypadku.

Niejeden zapyta, jakiego sposobu używa wtedy maszynista, żeby zapobiedz katastrofie. Jeżeli jest mało doświadczony, coprędzej zasila kocieł wodą, przez co straszny wywołuje wybuch. Zimna woda bowiem w zetknięciu z rozpalonym żelazem wytwarza masę pary, która musi rozsadzić ściany kotła. W takich razach trzeba owszem wstrzymać dopływ wody i zagasić ogień, choć przez to pociąg może stanąć w biegu. Przyczyną wybuchu staje się także nadmiar pary, ale manometr wcześnie ostrzega o tym maszynistę, który otwiera wtedy klapę bezpieczeństwa i poleca palaczowi zmniejszyć ogień.

Bardzo jest trudno zastosować ilość pary do jej zapotrzebowania, które zmienia się co chwilę. Raz lokomotywa ciągnie tylko pięć wagonów, innym razem dziesięć; to wagony są prawie puste, to znów ciężko obładowane; pociąg idzie pod górę, albo z góry, bieży po równinie lub zatacza mniejsze lub większe łuki. Maszynista musi więc pilnie czuwać, żeby do cylindrów wchodziła taka ilość pary, jaka w danej chwili jest potrzebna. Zadanie to ułatwia urządzenie maszyny, które pozwala przyśpieszyć lub opóźnić przechodzenie pary z kotła do cylindrów.

Jeszcze jest jedno ciekawe pytanie, w jaki sposób maszynista się urządza, żeby stanąć na stacji w oznaczonym czasie i nie spóźnić się ani o minutę. Wprawa wiele mu w tym dopomaga, jeżdżąc bowiem zawsze jedną drogą, wie na pamięć o której godzinie ma przebyć ten a ten most, lub inne oznaczone miejsce. Rzut oka na zegarek objaśnia go, czy się spóźnił, czy też zanadto pośpieszył i stosownie do tego reguluje bieg pociągu. Jeżeli nie jest dość wprawny, musi uważać na słupy, wskazujące ilość przebieżonych kilometrów i z zegarkiem w ręku obliczać, ile czasu pociąg potrzebuje na przebycie przestrzeni, dzielącej go od stacji. W nocy zato nie widać słupów i maszynista musi zawierzyć swemu słuchowi jedynie.

Przystanki nie są bynajmniej dla niego chwilami wypoczynku. Zarówno on jak i palacz są wówczas bardzo zajęci, trzeba nasmarować maszynę, przekonać się, czy koła nie poniosły uszkodzenia, zaopatrzyć się w wodę i paliwo.

Jeżeli obowiązki maszynisty są trudne i ważne

w porze dziennej, o ileż stają się trudniejsze i ważniejsze w nocy, kiedy ciemności zalegną ziemię, a niebezpieczeństwa mnożą się na każdym kroku. Wicher harcuje po polu, burza ugina drzewa, deszcz leje strumieniami, wszyscy o tym myślą jedynie, gdzieby się schronić i z cichego zakątka urągać niepogodzie, — maszynista tylko nie może zważać na mróz i słotę, na mgłę i zawieruchę, bo od niego zależy bezpieczeństwo tysiąca ludzi. Z natężoną uwagą śledzi sygnały, bada stan drogi, którą na przestrzeni stu metrów oświecają potężne latarnie, umieszczone na przodzie lokomotywy, niby ślepia bajecznego potworu.

Dawniej los jego był jeszcze gorszy, nic bowiem nie chroniło go od deszczu, wichru i mrozu. W końcu jednak zrozumiano, że tak przez uczucie ludzkości, jak dla bezpieczeństwa pociągu, trzeba stworzyć jakieś schronienie dla biednego maszynisty; zbudowano więc budkę dla niego, ale pod względem hygjenicznym nie jest to korzystne, gdyż nagłe przejście z ocieplonej temperatury do zimna naraża go na ciągłe choroby dróg oddechowych.

Najgorszym wrogiem maszynisty jest mgła, zwłaszcza w nocnej porze. Najmądrzej i najroztropniej byłoby wtedy zawiesić komunikację; ale ponieważ to jest niemożliwe, jedzie się więc na los szczęścia, spuszczając się na sygnały akustyczne dróżników. Jeżeli droga nie jest wolna, petardy rzucone na szyny ostrzegają o tym maszynistę.

Nic niema uciążliwszego, jak oczyszczenie toru z zasp śnieżnych, zwłaszcza w krajach górzystych lub na równinach Ameryki północnej, gdzie nieraz do tego trzeba używać całych armji robotników z łopatami. Jeżeli warstwa śniegu nie przenosi trzydziestu centymetrów, zaprzęga się do lokomotywy rodzaj pługa, który z łatwością oczyszcza szyny. Czasem jednak pług nie jest w stanie odrzucić zasp śnieżnych, zawalających tor kolejowy i wtedy maszynista powinien się cofnąć, jeżeli nie chce zagrzebać w śniegu lokomotywy i wagonów. W takim razie musi przodem wysłać palacza, żeby zapobiedz spotkaniu się pociągów.

Odgarnianie śniegu za pomocą pługa ważne przedstawia niedogodności, śnieg bowiem gwałtownie odrzucany tworzy większe i mniejsze bryły, które zasypują tender i lokomotywę, czynią węgiel niezdatnym do użytku i ranią nieraz boleśnie maszynistę i palacza. Lepiej

już zaprzęgać do pociągu dwie lokomotywy, których połączone siły więcej niż pług mogą się przyczynić do oczyszczenia toru.

Jednym z najniebezpieczniejszych wypadków jest popsucie regulatora. Maszynista nie może wtedy wstrzymać dopływu pary do cylindrów i przestaje być panem lokomotywy. Jeżeli odległość od stacji jest znaczna, można zapobiedz nieszczęściu przez zmniejszenie ognia i otworzenie klapy bezpieczeństwa, jeżeli jednak stacja jest blizką, albo inny pociąg poprzedza, katastrofa jest nieuniknioną.

Wykolejenie pociągu następuje nietylko wskutek złego stanu drogi, lub jakiej przeszkody, umieszczonej na szynach; częściej przyczyną wypadku jest pęknięcie osi lub koła u lokomotywy, albo jakie inne uszkodzenia maszyny. Nadkonduktor powinien wtedy wysłać ludzi do najbliższych dróżników, żeby w porę ostrzegli nadchodzące z dwóch stron pociągi. Przypuszcza się, naturalnie, że wagony nie są pogruchotane, że nikt z ludzi nie stracił życia i że skończyło się tylko na strachu. Obowiązkiem maszynisty, jeżeli nie uległ katastrofie, jest wtedy zgaszenie ogniska i wypuszczenie pary, żeby zapobiedz pożarowi.

Jeśli maszynista zobaczy, że naprzeciw niego biegnie inny pociąg, czyni co może, żeby nie dopuścić starcia; zatrzymawszy się, daje kontrparę i cofa się jak może najprędzej.

Zdarza się nieraz, że lokomotywa pozostawiona bez dozoru, rozbiegnie się, albo też wagony popychane przez wiatr same uciekną ze stacji. W takim razie trzeba przedewszystkim uprzedzić telegraficznie pociągi, które nadejść mają, żeby się zatrzymały; te zaś, które odeszły, ostrzega się, żeby uciekały całą siłą pary. Potym dopiero wybiera się najzdolniejszego maszynistę i poleca mu się sprowadzenie zbiega. Zadanie tym trudniejsze, że najmniejszy błąd, najlżejsza nieostrożność, grozi kalectwem lub śmiercią. Maszynista bierze najlepszą lokomotywę i puszcza się w pogoń; skoro tamta zwolni biegu wskutek braku paliwa, ostrożnie zbliża się do niej, przyłącza ją do swojej i w tryumfie prowadzi na stację.

Tak rozliczne a ciężkie obowiązki, połączone z poczuciem strasznej odpowiedzialności, z nieustannym natężeniem uwagi i groźbą niebezpieczeństwa, co jak miecz Damoklesa wisi ciągle nad głową, bardzo prędko zużywają siły człowieka. Narażony na ciągłe zmiany tempe-

ratury, na szkodliwy wpływ zimna, wiatru i słoty, maszynista wcześnie traci zdrowie, lub ginie podczas katastrofy, w której zwykle pierwszy pada ofiarą.

Taką najczęściej jest nagroda za trudy i poświęcenia, takim bywa koniec pożytecznej działalności tych bohaterów pracy.

B. U.

III. Z PRZYRODY.

21. Sosna.

Był pagórek piaszczysty, na nim każdej wiosny
Złociły się dziewanny i szumiały sosny.

Lenartowicz.

A ujrzawszy Pan żółtą nagość i pierś wyschłą, żarem spaloną, a spragnione za wodą usta piaszczystej ziemi, ulitował się i na pokrycie zesłał jej sosnę.

I oto rośnie po całym kraju naszym i w innych, daleko na północ, to pospolite, mniej od wielu piękne, a jednak tak pożyteczne, jak chleb powszedni, drzewo, za które, kto znaczenie jego dobrze ocenia, dzięki czyni Bogu tak, jak za żyto i ziemniaki, za len i łubin. Sosna jest drzewem piasków, chociaż napotykamy ją i na lepszych ziemiach. Ale dziko, samorzutnie występuje głównie w jałowym gruncie, do współki z siostrą—brzozą, najczęściej zaś sama tylko, tworząc jedną wielką rodzinę. Bo drzewo to jest towarzyskie i rośnie gromadami, napełniając od brzegu do brzegu lasy i wielkie nawet puszcze. A przy znacznej rozmaitości naszych gruntów napływowych, w suchej ziemi daje smukłe i niezbyt grube sosenki; na bagnach karłowate i porostami okryte, nagie u wierzchołków kaleki; na sapach—nie nadto wilgotnych i szczerkach, kiedy rośnie zwarto—prostą jak strzały masztowinę, a na próchnicach i żyznych glinach—tęgie pnie, u dołu ciemne, jakby zabłocone, u góry jasne i powyginane w rozłożyste korony.

Pojedyńczo też nie jest pozbawiona malowniczości. Póki młode chojaki—póty też stożkowe są i aż do pod-

nóża gałęziami okryte. Z czasem, w gęstwinie, dolne gałęzie zanikają, czemu i człowiek chętnie dopomaga, łamiąc je na opał, a pozostaje tylko czub zielony, na prostej osadzony strzale. Przygryzane i niszczone w młodości przez bydło, nigdy już potem sosny na piękne drzewa nie wyrastają. Żyją wprawdzie i tak długo, ale okaleczone, karłowate, nędzne. Niestety, takich zarośli posiadamy dużo, a gorsze są one od zupełnej pustki. Czynią na przechodniu takie wrażenie, jak owi nieszczęśni, pozbawieni nóg, którzy się czołgają po ziemi, rękoma sobie dopomagając. Takiemi sosnowemi zaroślami tu i owdzie porosła, kałużami zapleśniałemi podmokła okolica, przypomina owe chorobliwe liszaje, szpecące ciało nieczystych ludzi. A jednak gdyby trochę pracy, jakże łatwo możnaby te pustkowia w ładne i pożyteczne zamienić lasy!

Piękną nazwać sosnę trudno; zbyt jest na to niekształtna, zbyt szorstka i zbyt jednostajna. Ale niema dla nas drzewa bardziej sympatycznego i poszanowania godnego, dla jej wielkich zalet. Gdy dąb—ten pan możny, lipa—wielka pani, topola—wysmukła dziewica, brzoza—zalotna wiejska dziewoja, a klon—dostatni mieszczanin, jest sosna podobna siostrom miłosierdzia, które o swej powierzchowności i przyozdobieniu zapomniawszy, całe oddają się na posługi cierpiących. Rośnie, gdzie inne drzewa nie chcą; okrywa i utrwala piaski, z czasem je nawet żyźniejszemi czyni. Pod nią znajdują schronienie inne krzewy i zioła, a sama dostarcza człowiekowi nieocenionego materjału na budowle, sprzęty i opał! Strach pomyśleć, jakbyśmy byli biedni, gdyby nam Najwyższy sosny nie był stworzył!

By na suchym, szczerym i jałowym piasku utrzymać się, a co większa w wielkie drzewo wyrosnąć, do tego trzeba być odpowiednio uzbrojonym i przygotowanym. Jakież to zasoby, jakie przyrządy posiada w tym celu sosna? Bardzo proste, a jednak doskonałe.

Oto przedewszystkim zadawala się małemi dawkami najważniejszych pokarmów roślinnych, któremi są: azot, potaż, kwas fosforny i wapno. Jeżeli znajdzie ich zasoby—tym lepiej, wyrośnie wtedy wspanialsza; jeżeli nie—będzie przyrastała powoli, ale jednak z czasem wystrzeli w górę i porządne drzewo utworzy.

A narząd główny, do pracy służący, korzeń sosny—jest świetnym przykładem celowego zaopatrzenia każdego stworzenia w to, co mu do bytu w pewnych wa-

runkach jest konieczne. Już z samego nasienia wychodzi korzonek niezmiernie długi, włóknisty a delikatny, który wpina się w ziemię coraz dalej, poszukując wilgoci i trochy pożywienia, a jednocześnie przytwierdzając przyszłe drzewo tak mocno, by go wiatry potym wywrócić nie mogły. Ten kierunek zachowują korzenie i nadal, a często bardzo uda im się przebić jałową warstwę gleby i dostać do żyznego podgruntu. Wtedy raźno do pracy! Zaczną one pompować wodę i mineralne pokarmy i posyłać je do dalszej przeróbki igłom, by matka ukochana mogła się przystroić w bogaty wieniec zieleni, pobujać w słońcu, wybić ponad towarzyszki, żyć i rozwijać się dalej,

Jeżeli jednak piasek jest zbyt głęboki, ale pokrywa go cieniutka warstwa urodzajniejszej próchnicy, to i w niej się rozrosną sękate, powikłane i poplątane z sobą korzenie, po których tak boleśnie skacze bryczka, gdy nią przez sosnowy bór jedziemy. Anglicy mówią: „Gdzie pokarm, tam korzenie“, a na sośnie można łatwo sprawdzić to słuszne spostrzeżenie.

Swoją drogą od tych korzeni poziomych odchodzi cała misterna a gęsta sieć korzonków pionowych, mocnych tak, że na plecenie koszałek i biczów służą, a tak licznych, jak tylko u wierzb nad wodami widzieć można. Gdy się gdzieś przy kolei żelaznej lub nad strumieniem urwisko piasku utworzy, widzieć można te sploty nieprzeliczone, niby długie rozpuszczone warkocze.

Temi to narządami zdobywa sosna pokarm z ziemi. Ale nie wystarczyłoby jej wilgoci, gdyby zdobywszy ją z trudem, wyparowywała tak łatwo, jak to czynią drzewa liściaste, nawet dęby i buk. Jak wielbłąd, przechowujący długo wodę w zapasowym żołądku, zatrzymuje ją sosna w swych gęstych, żywicznych sokach. Doprowadziwszy zaś wodę do liści, w których surowe pokarmy ulegają przerobieniu na rozliczne wytwory, pewna jest, że z nich mało drogocennego materjału w powietrze uleci. Igły te twarde są okryte grubym naskórkiem, ubogim w szparki, które nadto bardzo są maleńkie i łatwo się zamykają, a tak woda raz zdobyta, długo w ustroju drzewa pozostaje.

Przytym igły opadają dopiero na wiosnę, gdy się już nowy przyrost skończył. Gdy zatym u drzew innych liście dawno już w jesieni opadły lub na wiosnę jeszcze się nie utworzyły — sosnowe istnieją ciągle i przy lada odwilży pracują, choć wolniej, ale dłużej. To również

wychodzi na korzyść sosny. Dodajmy, że i rany łatwiej się tu goją, niż u innych drzew. Tak np. trzonki pozostałe po złamanych gałęziach, któreby dla kasztana, lipy lub topoli były powodem próchnienia, tu zalane zostają żywicą, która je konserwuje i od psucia chroni tak, jak się przez wieki całe przechowały mumje, iż były zabalsamowane. Takie sęki, razem z otaczającemi je włóknami drewna, stanowią owe drzazgi, łuczywo, którem świecili sobie wieczorami praojcowie nasi, dopóki innego oświetlenia nie znali.

Wielce korzystną dla ludzi właściwością jest to, że sosna się sama wysiewa. Kwiatki, niby drobne rdzawe szyszeczki, ukazują się w czerwcu. Ronią one tyle złotawego pyłku, że go czasami ulewny deszcz spłókuje całemi masami, co dało powód do opowieści „o deszczach siarczystych". Potym zawiązuje się zrazu zielona, w następstwie rdzawa szyszka, z zamkniętemi łuskami, która wisi na drzewie, ciągle rosnąc, póki ciepło, aż do wiosny. Z nastaniem ciepłych dni majowych, klej, którym pozlepiane są łuski, roztapia się, one same odstają i wysypują się na małe uskrzydlone nasiona sosny. Temu wysiewowi przeszkadzają wiewiórki, żywiące się nasieniem sosny, które często zaścielają łuskami całą podłogę sosnowego boru.

Na spadłe nasiona opadają igły, użyczając im ochrony i utrzymując potrzebną do wschodzenia wilgoć, jeżeli przyjdą w porę deszcze. Wzeszłe sosenki przez trzy pierwsze lata siedzą przy ziemi, w korzeniach tylko rosnąc, aż nareszcie od czwartego roku raźno zaczynają się podnosić do góry, zdobiąc się co wiosna charakterystycznemi dla nich świeczkami nowego przyrostu.

W wielu lasach zadawalają się też poprostu zostawianiem kilkunastu starych sosen t. zw. „nasienników", by się z nich las wycięty odbudował. W prawidłowym jednak gospodarstwie sieje się sosnę (w wilgotniejszej), lub sadzi (w suchszej ziemi), rzędami gęstymi co metr, do czego najlepszą porą jest kwiecień. Tylko gęsto rosnąc, popędzają się sosny nawzajem i ochraniają, a zagłębiając się korzeniami i umacniając w ziemi, jednocześnie też biją w górę, tworząc las śmigły i prosty. Potym się przetrzebi kilka razy ten gąszcz i pnie piękne otrzyma.

Z tych to pni cieśla pobuduje domy i okręty, stolarz porznie deski na rozliczne użytki, gałęzie pójdą na opał lub węgiel drzewny, a z kory wypędzi się smołę i terpentynę. Nie nowina to, ale czym jest sosnowa

deska, ocenia się dopiero tam, gdzie sosen wcale niema, a za to rosną tylko twarde dęby i buki.

Na użytek służą zwykle lasy 60-letnie, ale może sosna trwać i drugie tyle. Wtedy drewno jej, przepojone żywicą, staje się nieprzystępnym dla wilgoci i owadów. Z takich to sosen, jak z modrzewiów, stawiano dawniej nawet kościoły, które po 500 i więcej lat stoją. Mamy więc w tym drzewie skarb cenny, ale niedość z niego korzystamy. Przejedźmy kawał kraju, a ileż zobaczymy w nim piaszczystych nieużytków, ile wydm i jarów! Czekają one ręki ludzkiej, by je na użyteczne lasy zamieniła. Ze wstydem widzimy nieskończone sosen szeregi w Marchji Brandeburskiej i za Wiedniem, ku Alpom. Ubiegli nas inni, ale czas nam się zakrzątnąć pilniej około swego ziemi kawałka. Więc gdy go zechcemy przyozdobić i spożytkować, pamiętajmy, że w sośnie znajdziemy jeden z najpodatniejszych do tego materjałów. Sztywna, niezgrabna i pospolita, ale zgodna z klimatem, co do ziemi niewybredna i bardzo pożyteczna, prawdziwa swojaczka nasza!

Edmund Jankowski.

---

22. Kasztan zakwitł.

Kasztan zakwitł! wieść ta radośnie rozbiega się po bruku, odbija od kamienic, w powietrzu ulic faluje.

Kasztan bowiem jest drzewem miejskim, a rozkwit jego zwiastuje miastu wiosnę. Do miasta przecież nie zalatuje skowronek i nie nuci mu wiosennej swej pieśni; szary zaś wróbel tak zżył się z miastem i tak przywykł się karmić odpadkami stołu miejskiego, że nowa pora roku nie sprowadza zmiany w jego obyczajach. Pierwiosnek także przez bruk się nie przedziera, a chociaż z pęków wyłoniły się już drobne listki, i drzewa kotkowe zdążyły zrzucić skromne swe kwiatostany, słaba ta zapowiedź wiosny, której jeszcze niema, nie ściąga uwagi śpiesznego przechodnia. Dopiero, gdy śród gęstej korony dłoniastych liści kasztan okazałe swe bukiety rozwinie, miasto dostrzega wiosnę w całej jej pełni, albo

lato raczej, gdyż wiosna przelotną jest tylko u nas epoką.

Białym kwieciem usypany kasztan rozjaśnia miasto, staje się jego ozdobą i weselem wiosennym, narzuca się oczom i do obserwacji skłania. Ten wspaniały kobierzec roślinny, którym przyroda nagość ziemi osłoniła, prostotą swych objawów życiowych jest najdostępniejszą szkołą poznawania przyrody przez obserwację, bez mozołu zaprawia umysł młodociany do samodzielnego dostrzegania, do uważnego patrzenia, do rozwagi, ale śród skąpej i wymuszonej flory miejskiej kasztan najkorzystniejsze do rozpatrywania przedstawia warunki; śród murów zrodzonym dzieciom, od pól i lasów odgrodzonym, on tylko jeden dozwala śledzić bezustanny, stopniowy rozwój, cały przebieg życia roślinnego. Żadne inne drzewo miejskie, żadna inna roślina w ogrodach miejskich hodowana, w sposób tak jawny i widoczny ciągłości objawów nie przedstawia; tu kwiat wspaniały pozostawia owoc niepozorny i ukryty, tam znów owoc wyrasta wielki i wyraźny, ale zjawia się jakby nagle, poprzednie jego przeobrażenia przechodzą niepostrzeżenie dla oka niezbyt bacznego, łączność z kwiatem pierwotnym pozostaje utajona. Cóż dopiero te właściwe kwiaty miejskie, utwory sztuki ogrodniczej, hodowlą umiejętną wypielęgnowane, pełne i płonne, o koronie wybujałej kosztem zaniku najistotniejszych organów wegietacji, możności rozwoju pozbawione, — czyż do tej nauki poglądowej powołać się dadzą?

Kasztan wynagradza tę pogwałconą botanikę miejską. Ma on kwiaty niezupełnie wprawdzie foremne, ale dosyć wielkie, by okółki wszystkie wyraźnie się przedstawiały. Ledwie zaś ubarwione korony zwiędną i opadną, już siedzą na szypułkach zdala widoczne zawiązki owocowe; grono zachowało swą postać, zmieniło tylko przybranie zewnętrzne. Kto spojrzy, poznaje jasno, że nie są to wytwory życia roślinnego, dostrzega tylko nową fazę przeinaczeń ciągłych; po godach wiosennych na świat wyjrzały owoce młode, kryjąc w swym łonie drobne ziarna, zalążki nasion przyszłych.

Odtąd rozrost ich posuwa się statecznie z dnia na dzień, powiększają swe wymiary; nie wszystkim wszakże przeznaczony jest żywot pełny, wciąż bowiem obficie opadają, jakby zmuszone pozostawiać miejsce swobodne innym, silniejszym, czy też szczęśliwszym. Takaż sama walka wre i wewnątrz torebki owocowej: zalążki zamie-

rają jeden po drugim,—młode swe twory natura sama wytraca i tępi. A młody obserwator, który zagładę tę widzi i sam się bezwiednie czuje częścią przyrody, śmierć tę jednostek wątłych boleśnie odczuwa. Obawia się może, że wszystkie zawiązki opadną, albo wszystkie w nich spłonieją zalążki, a drzewo owoców nie wyda! poznaje wszakże rychło, że śmierć w przyrodzie jest podścieliskiem życia, a gdy lato kresu dobiega, kasztan jest tak sowicie owocami osypany, jakby wynagrodziły się wszystkie straty, które wciąż ponosił.

Aż wreszcie późną jesienią, już u wrót zimy, spełnia się zadanie, w osłonach kwiatów poczęte; pękają i otwierają się zielone, kolczaste owoce, by rozsypać nasiona wielkie, o skórce połyskującej, pod którą mieści się zarodek skrzywiony, ale tak rozrosły, że oddzielne jego części są również wyraźne, jak jawnym było wszystko w letnim życiu drzewa. Jeszcze na gałęziach, ledwie czerwonym rąbkiem z odemkniętych skorup zielonych wyzierać zaczynają, już nęcą wzrok dzieci, czyhających na spadek każdego ziarna i zbierających je tak gorliwie, jakby im był potrzebny zapas ich na zimę. W pożądaniu tym wszakże wybija się tylko bezwiednie umiłowanie przyrody, z którą dzieci miejskie tak mało mają styczności.

Kasztan jest drzewem miejskim, drzewem dzieci miejskich przedewszystkim, daje miastu uciechę, początek i koniec lata mu znaczy. Miłości ludzkiej wszakże nie zdobył. Dęby i buki, topole i lipy, brzozy i wierzby, wszystkie opiewane były przez poetów; kasztan nie zasłynął w pieśni. Pamiętają mu może, że jest przybyszem z ojczystych lasów Epiru i Tessalji, gdzie owocami jego konie karmiono (Castanea equina Hippocastanus), w siedemnastym dopiero wieku rozpowszechnił się po Europie. Pielęgnowała go u nas ręka królewska *), ale łaska króla, który własnym dzieciom losu zapewnić nie zdołał, i ulubionemu drzewu uznania nie zjednała. Zasłużył sobie jednak kasztan na miłość ogólną. Gdy mi teraz znowu bielą kwiecia swego zabłysnął, niech te słowa krótkie, w których się wspomnienie dzieciństwa przebija, pozdrowienie mu niosą.

Stanisław Kramsztyk.

---

*) Jan III w Wilanowie.

23. Piana i wąż Faraona.

Po przedmiot do rozważań przyrodniczych niekoniecznie sięgać trzeba daleko. Nastręczają nam go objawy najbliższego naszego otoczenia.

Co się dokoła nas wciąż dzieje, co się powtarza bezustannie, zaciekawienia naszego nie budzi i uwagi nie zwraca, jednakże drobne spostrzeżenia stawały się nieraz źródłem wielkich odkryć i doniosłych wynalazków.

Zajmijmy się więc dziś rzeczą tak powszednią, a zarazem tak znikomą i przelotną, jak piana. Warto się przecież zastanowić, w jaki to sposób woda bezbarwna i przezroczysta staje się na chwilę białą i nieprzejrzystą.

Podobna utrata przezroczystości nie jest wyłączną właściwością wody. Szkło, na miał utłuczone, nie przepuszcza również promieni światła i również białym się okazuje. Pochodzi to stąd, że szkło, rozbite na miazgę, nie jest już ciałem jednolitym, substancją jednorodną; pomiędzy rozerwane jego cząstki wdarło się powietrze, powstała mieszanina szkła i powietrza. Przez szkło promienie światła łatwo przechodzą, powietrze im również tamy nie stawia, ale przez mieszaninę ich obu przedrzeć się już nie mogą. Jestto następstwo załamania, jakiemu ulegają promienie na granicy dwu ciał, dwu środków, gdy z jednego do drugiego przenikają. Z powietrza do szkła, ze środka rzadszego do gęstszego, promienie światła przedostają się zawsze, w jakimkolwiek padają kierunku; inaczej się jednak dzieje, gdy promienie wkraczają ze szkła do powietrza, ze środka gęstszego do rzadszego. Rozsuwają się wtedy w taki sposób, że w środku nowym obszar staje się dla nich zbyt ciasnym, często przedrzeć się już tam zgoła nie mogą, zostają w dawnym środku uwięzione. Swoboda przejścia od środka rzadszego zależy od kierunku, w jakim biegną; gdy kierunek ten przekracza pewną granicę, napotykają zaporę nieprzebytą i ulegają wewnątrz szkła odbiciu, jakby od ściany nieprzezroczystej. W szkle utłuczonym, gdzie podobne przejście ze środka gęstszego do rzadszego wciąż się powtarza, choćby się promień światła zdołał przedrzeć niejednokrotnie do powietrza, to wreszcie uledz musi zatrzymaniu w ziarnach szkła, a cała

warstwa tych okruchów szklanych staje się ostatecznie nieprzezroczystą. Możemy jej jednak przywrócić przejrzystość, jeżeli do zawierającego ją naczynia nalejemy wody, która usuwa powietrze i miejsce jego między cząstkami szkła wypełnia. Teraz już promienie nie do powietrza, ale do wody ze szkła przenikają, różnica zaś między gęstością szkła i wody, albo raczej między ich zdolnością załamywania światła, jest mniejsza, aniżeli między szkłem a powietrzem; promienie napotykają opór mniejszy i w znacznej przynajmniej mierze przedostają się przez okruchy szkła, gdy te są zlane wodą. Potwierdza to słuszność naszego tłómaczenia, w dalsze zaś szczegóły zapuszczać się teraz nie mamy potrzeby.

Podobnie więc jak szkło utłuczone, piana jest to miał wodny, z powietrzem pomieszany; składają ją pęcherzyki powietrzne, wśród drobnych kropel wody rozproszone, albo raczej pęcherzyki powietrza, cienkiemi błonami cieczy rozdzielone. Można przeto pianę wywołać, wprowadzając do cieczy bańki powietrza, które się w niej wznoszą swobodnie, ale napotykają tamę na samej jej powierzchni i tu się zatrzymują. Warstwa bowiem skrajna cieczy, niesłychanie zresztą cienka, posiada, jak już wiemy, pewne napięcie powierzchniowe, i tworzy jakby błonę, naciskającą ciecz z góry. Na powierzchni więc cieczy gromadzą się pęcherzyki powietrzne, rozdzielone cienkiemi jej warstwami; przyjmują najpierw postać odcinków kulistych i sferoidalnych, a przez wzajemny na siebie nacisk przeobrażają się zwolna w formy wielościenne. Widzieliśmy to nieraz dobrze, puszczając bańki mydlane; mydło bowiem wzmaga spójność cząstek wody, nadaje jej pewną lepkość i sprzyja tworzeniu się błon ciekłych. Dlatego woda mydlana tak łatwo się pieni.

Pieni się też woda sodowa, gdy ją z syfonu do szklanki przelewamy, gaz bowiem, który był w niej rozpuszczony, dopóki pozostawał pod ciśnieniem, skoro ciśnienie to zostaje usunięte, oswobadza się nagle i skupia w nieprzeliczone pęcherzyki, w cieczy rozproszone. W ten sposób pienią się różne wody mineralne, wino szampańskie, piwo wreszcie, które również jest kwasem węglanym nasycone. Tak samo powstaje piana, burząca się przy gotowaniu wody, ale w tym razie tworzą ją pęcherzyki pary, rozwijające się wewnątrz wody ogrzewanej. Łatwo też pianę wywołać możemy, gdy wstrząsamy naczynie, do połowy wodą wypełnione, gwałtow-

nym bowiem ruchem wprowadzamy powietrze między cząstki wody; ma to częste zastosowanie w kuchni, gdy idzie o otrzymanie piany z białka lub śmietany, przyśpiesza się zaś działanie przez uderzenie cieczy rózgą lub przez szybki obrót siatki drucianej.

Wichrem miotana fala morska pokrywa się pianą, zwłaszcza, gdy się o brzegi roztrąca, przejmuje się bowiem powietrzem. Ciekawszy jest jeszcze widok Wisły, gdy wezbrana gwałtownie unosi na swej powierzchni zwichrzone kłęby piany żółtobrunatnej, zabarwione mułem i piaskiem, przez bystry prąd wody z brzegów i dna rzeki porwanym. Piana barwy tak niezwykłej wydaje się napozór zakrzepłą, gdy ciecz spieniona tak szybko w stan stały przechodzi, że przelotną swą postać trwale zatrzymuje.

Uderzający przykład takiego objawu daje znana powszechnie igraszka, zwana „wężem Faraona“. Jestto proszek szarawo-biały, ubity najczęściej w postać stożka, owiniętego cynfolją, który stawia się na talerzu i w wierzchołku zapala. Wtedy z płomyka niebieskawego, jakim proszek ten płonie, zaczyna się wydobywać wielki potwór postaci robaka wydłużonego barwy brunatnej, który snuje długie sploty wężowe, dopóki wszystek proszek nie ulegnie przeobrażeniu. Zdumiewający ten wszakże rozrost szczypty materjału pierwotnego jest jedynie następstwem wytwarzania się piany, chociaż chemja tego przebiegu jest nieco zawiła. Użyty tu mianowicie proszek, w osłonie cynfolji ukryty, jestto rodanek rtęci, związek chemiczny dosyć nietrwały, ulega bowiem rozkładowi już przez niezbyt silne rozgrzanie, a produkty tego rokładu, oprócz rtęci, składają się z ciał lotnych, z azotu, cyjanu i siarku węgla; dwa ostatnie z tych gazów są nadto palne, skoro więc przez zapalenie proszku rozpoczął się jego rozkład, podtrzymuje go już dalej żar gazów płonących. Rodanek rtęci wszakże nietylko łatwo się rozkłada, ale łatwiej jeszcze, w niższej już temperaturze topi się i przechodzi w stan ciekły. Rozkładowi ulega tu zatem sól stopiona, która się pieni działaniem wywiązujących się gazów. W wytworzonej dopiero pianie rozkład kończy się ostatecznie, a pozostający stały popiół, który się składa głównie z siarku rtęci, zachowuje postać tej piany i zajmuje stąd obszar przenoszący wielokrotnie objętość soli, użytej do doświadczenia.

Wąż Faraona jest więc igraszką, również zajmującą, jak i doświadczeniem pouczającym; na nieszczęście jednak zaliczyć go należy do kategorji wężów jadowitych, wszystkie bowiem związki rodanu i rtęć sama są to silne trucizny, dlatego też w ostatnich czasach wąż Faraona z handlu zabawek został usunięty. Skoro wszakże znamy już warunki, w jakich wywołać można powstawanie popiołu tak nadmiernie wydętego, wyszukać można materjały mniej niebezpieczne do wytworzenia podobnie cudownego węża. W istocie idzie tu tylko o dostarczenie obfitego gazu ciałom, któreby go uwięzić mogły w podobny sposób, jak przetwory, z rozkładu rodanku rtęci wynikające. Materjałem zaś takim może być nasz zwyczajny cukier, który po stopieniu wydaje ciecz lepką, nadającą się dobrze do tworzenia piany, za źródło zaś gazu posłużyć może materjał, niemniej powszedni, mianowicie węglan sody, który przez ogrzanie wywiązuje kwas węglany, gaz dobrze znany, wytwarzający pienienie się wody sodowej i piwa. Jeżeli zresztą nie chcemy się kłopotać sporządzaniem i dobieraniem należytej mieszaniny, otrzymać ją możemy gotową w aptekach, w tak zwanych pastylkach emskich, wyrabianych z osadu, pozostającego po odparowaniu wody mineralnej emskiej. Osad ten składa się z różnych soli, ale dwie trzecie jego części stanowi dwuwęglan sodu, o który właśnie nam tu idzie, przy wyrobie zaś pastylek, dla poprawy ich smaku, dodaje się pewna ilość cukru, mamy więc w tych pastylkach emskich pożądaną dla nas mieszaninę.

Aby doświadczenie jak najłatwiej wykonać, usypujemy na talerzu lub podstawce wzgórek z popiołu cygara, a na wierzchołku jego ustawiamy trzy lub cztery takie pastylki emskie, wzajem o siebie wsparte, by się w położeniu tym utrzymywać mogły. Następnie nalewamy na podstawkę nieco alkoholu, którym się popiół napaja i zastępuje dobrze działanie knota. Gdy wtedy zapalimy spirytus, pastylki po pewnym czasie zaczynają się czernić, a wkrótce potym wydobywa się z płomienia czarny wąż, grubości palca, rozpościerający się na stole, z trzech bowiem pastylek urasta do długości dwu metrów prawie. Czarna barwa pochodzi teraz od węgla, który pozostaje po spaleniu cukru, pomieszany z produktami rozkładu soli, wchodzących w skład pastylek; wydęcie ich spowodował kwas węglany, wywiązujący się przy rozkładzie tychże soli.

Po przykłady zresztą takiej piany zakrzepłej nie trzeba odwoływać się aż do doświadczeń szczególnych, nastręczają je nam bowiem żużle, czyli masy szkliste, dziurkowate i gąbczaste, powstające w hutach przy wytapianiu metali z rud. Niektóre gatunki węgla kamiennego, gdy są ogrzewane, zanim ulegną ostatecznemu rozkładowi, przechodzą w stan ciastowaty, na pół stopiony, a gazy, uchodzące dalej przy rozkładzie, wydymają tę masę ciastowatą i wypełniają ją pęcherzami. Przez wyżarzenie takich węgli powstaje koks, używany jako opał w wielu fabrykach, a także potrzebny do budowy stosów galwanicznych. Podobnie, jak wąż Faraona, zajmuje on objętość większą, aniżeli węgiel kamienny, z którego otrzymany został; koks zatym również zaliczyć możemy do kategorji piany zakrzepłej.

Stanisław Kramsztyk.

---

24. Pies Kurta pilnuje Stasia.

Pewnego dnia położyła matka Stasia w sadzie pod gruszą, podesłała mu płachtę, podwinęła koszulkę i mówi:

— Śpijże tu, chłopcze i nie drzyj się, ty jagódko moja najsłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało!... A ty, Kurta, ligaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła, albo pszczoła nie ugryzła, albo jaki zły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapę tyczki i tak wam kości porachuję...

Ale na samą myśl wykonania groźby, chwyciła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę zrobić, utuliła go, wycałowała i wyhuśtała, wołając pieszczotliwym głosem:

— Jabym ciebie miała bić tyczką?... To Kurtę psubrata, nie ciebie!... Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedyneńki, złoty!... Nie śmiej się ty, Kurto, sobako kudłata! nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że jabym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasieńka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu!... lu!... lu!... lu!... lu!...

A Kurta tył pod siebie zawinął, pysk z gorąca otworzył i czerwony jęzor wywiesił na lewo, jak chustkę. Wyrozumiały pies i chytry!... On myśli sobie: gadaj ty zdrowa, a ja co wiem, to wiem, że tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni słychać było!...

Tak sobie myślał Kurta pyskaty, ale milczał, wiedząc, że od najlepszych racji mocniejszy jest — ożóg, którym wszyscy domownicy, a gospodyni najpierwsza, mitygowali jego psie pretensje.

Staś tymczasem tarł oczy tłustemi piąstkami i lnianowłosą głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnie jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tym garnczysku kaszy z mlekiem, dobrze człowiekowi spać się chce!...

Chłopiec-by już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba, więc znowu huśtała go i lulała, śpiewając.

Dopiero gdy jej zaciężył i wetknął głowę między ramię a piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurtę za mokry język, i oglądając się, poszła w głąb sadu.

Staśkowi płachta zgrzebna, a pod nią ziemia, wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc choć mu nogi już doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać za nią. Ale że był mały jeszcze, więc dobrze rozglądać się nie umiał i zamiast przed siebie, patrzył pod siebie na murawę. Tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizał go zawiesiście po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowę tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń. Jeszcze chciał się podźwignąć, oparł nawet prawą rękę na płachcie i usiłował rozplątać nożęta. Ale w tej chwili palce u rączki rozbiegły mu się, wiśniowe usta rozchyliły, oczy gwałtem przymknęły i — zasnął. W jego wieku sen bywa mocny, jak najtęższy chłop; pokłada człowieka pierwej, nim się z nim zacznie borykać....

Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długiemi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po

kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z pąsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęła się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki, bladoróżowe makówki kiwały się, jak żydzi w bożnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het! odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola!...

— Aj! zbytki! zbytki!... aj! jakie zbytki ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki szeptały:

— Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzicie!...

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić. — „Co za świat! — myślał, — na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa, zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robią w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kują?... On małym młotkiem bije w kowadło: dyń! dyń! dyń! dyń!... a chłopcy wielkiemi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!... aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział”....

I z rozpaczy nad powszechnym lenistwem, upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jękła, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oczy, aby na nic nie patrzeć...

Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nadstawiających uszy, jak palce...—„Ach, damże ja wam, hultaje!” — szczeknął Kurta i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!... Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły, jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę jego bieganinę. wołali:

— „Aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!"...

A Kurta wyciągał się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtym nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:

— Oj! ty... ty... kundlu jakiś!... próżniaku!... Najadłeś się osypki i kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz jak kłoda i drzemiesz!...

Ocknął się pies i kłap na muchę zębami.

— Widzicie ją, darmozjad!... Ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zające wyganiam z kapusty!...

I nie chcąc na obronę swego honoru czasu tracić, wyciągnął się jeszcze lepiej i — wrócił do czynności. A mucha wciąż krążyła nad nim, choć się marszczył i pazury nadstawiał — i — piszczała:

— Oj! ty!.,. ty... kundlu jakiś!... Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniaku!...

I od tej chwili, koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni, — wszystko to w takt szemrało:

— Leń Kurta!... leń Kurta!... leń Kurta!...

Ale pracowity Kurta wyciągał się pod gruszą i precz gonił zające!

Bolesław Prus.

---

25. Barwy w świecie roślinnym.

Bogactwo farb jest w kwitnącym królestwie roślinnym nierównie większe, niż w królestwie rzeczy kopalnych. Rzadko się trafia, aby liść się barwił kolorami, samym kwiatom właściwemi, — jeszcze rzadziej zdarza się, aby korony kwiatów były zielone, to jest, aby przyjmowały barwę, samym liściom właściwą. Jussieu, który przytacza na to przykłady, dodaje, że i wtedy barwa jest najczęściej blada i zmieszana z innemi, albo też obok niej znajdują się na płatkach prążki lub plamy różnobarwne. Natomiast najrozmaitsza bywa innobarw-

ność kwiatów i najświetniejszy przepych kolorów. Już w pobliżu kwiatostanu postrzegamy zmianę zieleni liści, zaczynających przybierać barwy, do koloru korony kwiatu zbliżone. Przejście to odbywa się albo stopniowo przez listki przykwiatków i kielicha, albo też liść przechodzi nagle w farbę samego kwiatu.

Wszystkie kolory widma słonecznego i wszystkie ich podwójne i potrójne połączenia, z nieskończoną rozmaitością odmian, przez większy lub mniejszy stopień ich nacieniowania i rozjaśnienia, są reprezentowane w barwach kwiecia roślinnego. Z farb posiłkowych natura bardzo często używa koloru białego, jako koloru jasności. Barwy czarnej nigdzie nie napotykamy; zachodzą bardzo ciemne kolory brunatne, granatowe i fioletowe, ale nigdy zupełnie czarne. Kolor czarny jest negacją światła, a kwiat barwisty jest symbolem piękna i jasności, — dlatego czerń zupełna reprezentować go nie może. Na kwiecistym polu malowniczej natury najczęściej natrafiamy barwy: białą, czerwoną, żółtą, niebieską i fijoletową—w rozmaitym stopniu ich natężenia i połączenia. Wogóle jasne kolory przemagają nad ciemnemi, a ciemne kraszą się zwykle jasnym szateruukiem, co bezpośrednio z symbolicznego znaczenia kwiatu wypada.

Malownicza natura z największym obliczeniem środków i z podziwienia godnym gustem estetycznym przygotowywa w każdej roślinie barwniki różnokolorowe, aby ją zrazu zielenią umaić, a potym obfitą roztoczą koron różnobarwnych ukwiecić. Jeszcze liść i kwiecie zostaje w obsłonkach pąkowia, a już tam barwniki się gromadzą i płatki zwinięte farbują, tak, że gdy liść i kwiat trysną z obsłonek, acz młodziuchnego oblicza, poświetleją. Z postąpieniem pory roku intonacja kolorów się zmienia i same kolory barw się zmieniają. Działo się to w liściach,—dzieje się i w kwiatach.

Korona w pączku jeszcze zielonawa i blada, rozwijając się dalej, przybiera barwy coraz świetniejsze, któremi w zupełnym rozkwitnieniu stroi się i pyszni, poczym barwy tracą na uroku, świeżości i energji; przyćmiewają się i w czasie opadania kwiecia już noszą ślady zniszczenia. Bywa także, że po rozkwitnieniu na płatkach tworzyć się poczynają plamy różnokolorowe, symetrycznie rozłożone, i że kwiat z jednej barwy przechodzi w inną. Najwyraźniej to widzimy w laku, gdzie żółty zrazu kolor kwiatu przechodzi potym w pomarań-

czowy, czerwony i fijoletowy. Rzecz uwagi godna, że wszystkie rośliny, uszlachetnione co do gatunku przez sztukę ogrodową, uszlachetniają się oraz w barwach i przyborach kwiecistych. Jakaż niesłychana różnica w kwiatostanie polnej a szczepionej jabłoni, albo goździków łącznych i ogrodowych! Kwiatek polny ma wiele prostoty, wdzięku sielskiego, zdrowia i świeżości barwy,—ale kwiat uszlachetniony ma więcej bogactwa, strojności, jakby z przepychu wielkiego świata. Widać po nim bujność, soczystość, potęgę kolorów, namiętność barw miękkich i pulchnych, — zgoła widać uszlachetnienie w kształcie i stroju. Malowniczość kwiatu głównie na przeciwieństwie kolorów polega i najściślej jest z kształtem całej korony połączona. Już te same płatki niezawsze są jedną i tą samą barwą powleczone. W każdym kwiatku naczynia wewnętrzne jego listków w coraz innych przedstawiają się rysunkach.

Przeciwieństwo kolorów kwiecistych leży w dwulicowej różnobarwności każdego płatka na koronie kwiatu. Jak liść zielony wierzchem ma kolory żywsze i jędrniejsze, a spodem słabsze i przyćmione, tak i listek kwiatu na stronie ku słońcu obróconej ma barwy pyszniejsze, płonące życiem, świeżością i miękkością kwiecistego ciała, zaś na odwrotnej stronie farby są bledsze, w blasku przytępione, rysunki, centki, kropki, plamy i same tła barwiste wydają się, jakby suknie farbowane, obrócone na nice. Tłómaczy się stąd dwoista licowość barw każdego płatka, która w całym układzie korony tak malownicze tworzy przeciwieństwo dwóch różnych intonacji tych samych kolorów.

Przechodząc od płatków pojedyńczych do całej korony kwiatu, ujrzymy, jak przeciwieństwo barw do różnego kształtu i do różnych jego części jest zastosowane. Przylistki, kielichy, płatki, okółka, dna, pręciki, słupki stanowią liczne ubarwienia, które się do pięknej harmonji w malowniczą całość układają. W pięknie ukształtowanej fuksji np., która na dół zwiesza podłużne kwiatki, zielony jest przyczółek, bladoczerwony kielich, roztwierający się w cztery przylistki takiegoż ale mięsistszego koloru, pąsowy jest zwój płatków korony, z którego bladoróżowe pręciki i jeszcze bledszy słupek z zielonowatym nagłówkiem wygląda. Najważniejszym atoli przeciwieństwem kolorów, a stąd najwyższym pięknem rozkwitłej rośliny, jest jej suknia zielenista, obrzucona na powierzchni kwieciem różnobarwnym. Roślina

wtedy, przybrana w najpyszniejszy strój godowy, poupinała gałęziste warkocze w strojne bławatki. Ze wszystkich zestawień kolorowych najwięcej ma wdzięku dla oka kolor zielony i czerwony, dlatego, że się nawzajem dopełniają. Stąd kwiat barwy pąsowej, różowej, karmazynowej, purpurowej—najwdzięczniej stroi zielony liść rośliny. Nie przedstawia tak żywego uroku kierz róży białej albo żółtych gieorginji, choć kwiat sam ma wiele powabu,—bo niema tej harmonji między białem i zielonym, ani między żółtym i zielonym, jaka zachodzi między czerwienią a zielenią. Już bzowy i fijoletowy kolor kwiatu, następnie pomarańczowy, piękniej przysiada na zielonym liściu—dlatego, że w tych barwach czerwony kolor jest przymieszany. Jasne barwy, im są głębsze, tym się ładniej wydają wśród zieleni, — zaś ciemne barwy, jeżeli się mają podobać przy zielonym otoczeniu, muszą być rozcienione; niebieskie niezabudki dlatego piękniejsze są od ciemnych fijołków, — głęboko żółte kwiatki łączne piękniejsze od bladożółtych kwiatków polnych,

Karol Libelt. (*Estetyka*).

---

26. Koń pod względem estetycznym.

Koń odpowiada wszelkim warunkom estetycznym zwierzęcej budowy. Wszystkie członki są w nim proporcjonalne; wszystko wyraźne, całkowicie wykonane. Tułów rozciągnięty odpowiednio, nogi silne a smukłe. Lekka szyja oddziela się pochyło w górę od ciała, od niej znów silnie uwydatnia się głowa, ogniste oczy i ruchliwe, ostro wycięte, w samą miarę długie uszy. Nos odznacza się parskającemi, na czerwono zabarwionemi nozdrzami. Wargi wydatne, miękkie. Włos krótki, świecący, pozwala dostrzedz grę mięśni. Pomimo że kości nie wystają śpiczasto i kątowato, jak u bydła domowego, ustrój ciała wyraźny, tułów ożywiony; piersi, żebra, żołądek, grzbiet, boki spływają się bez załomów i ostrokończastych rysów; poziom tułowia urozmaicony lekkiemi wyniosłościami. Koń nie odpowiadający tym

warunkom jest brzydkim. Brzydkim więc jest zwierzę, u którego szyja w równej bieży linji z tułowiem, albo się nachyla, brzydkim, którego głowa uczepiona do szyi pod kątem zbyt rozwartym, nie mówiąc już o grzbiecie nieforemnie zaklęsłym lub nad miarę wypukłym. Osioł jest brzydszym od konia już dlatego, że głowa i szyja mało się podnoszą nad poziom tułowia. Mówiąc o koniu, pragnę wskazać na przejście, jakim natura powiązała ziemię ze zwierzęciem. Dała mu kopyto. Na gruncie nieustrojowym staje nieustrojowa podwalina, a na niej dopiero wznosi się ustrój.

Rozwiana grzywa i ogon czynią konia w biegu żywszym, lotniejszym. Toż samo wydłużona szyja i głowa zyskują podczas biegu estetyczną przeciwwagę w podniesionym bujającym ogonie, którego brak nadaje jeleniom, sarnom i t. d. postać uciętą, chociaż chybszą; bowiem cała waga ich ciała rzuconą jest najprzód w kierunku biegu.

Niezliczoną ilość razy apoteozowano konia. Wyjmujemy z księgi Hioba parę zdań:

„Szydzi on z zatrwożenia, nie stracha się i nie umyka przed orężem, jakkolwiek zieje przeciwko niemu kołczan i błyszczy dzida i włócznia... Kiedy gra trąba, mówi: nuże! i wietrzy zdala walkę i jękliwe stękania książąt".

Każda rasa koni (a jest ich tyle!) może być mniej lub więcej piękną. Od zwyczajnego jednakże konia żądamy tylko, ażeby lekko i wytrwale na równinie i wyniosłości, w każdym rodzaju biegu unieść mógł silnego mężczyznę. Siła i szybkość—oto warunki dobroci konia. Jeden bez drugiego nie ma wartości. Siłę konia mierzymy zwykle wagą siedzącego na nim człowieka. Nie jest to miara estetyczna, ale praktyczna. Silny koń powinien okazać się następnie pięknym. Jak wiadomo, szlachetne rasy wschodnie, a także i sztuczna rasa koni łowieckich dostarczają okazów wymaganiom estetycznym najodpowiedniejszych. Leniwy osieł chroma na wskazane wyżej usterki przeciwko pięknu. Toż samo proporcje głowy, szyi i ciała są u niego nieodpowiednie. Głowa za wielka i za ciężka, uszy bez miary wydłużone. Jedność ustroju została więc zbytecznym rozwinięciem pojedyńczych członków zepsuta, a waga całości przenosi się na części.

z „Estetyki" Lemkego.

27. Piękno wody.

Woda w biegu porusza się linją falującą. Nieruchoma—przedstawia gładkie zwierciadło. Zachwyca nas jej zdolność przyjmowania światła (rosa np.), a najpiękniejszym zjawiskiem, które wytwarza w połączeniu ze światłem, jest rzucona po nad niwy i wodospady tęcza. Czy to jako kropla, czy jako kryształ lodu podoba nam się dla swego kształtu raz kulistego, to znów krystalicznego.

Ruch falujący w lekkim biegu, świeżość i czystość, zdolność przyjmowania barwy i światła stanowią właściwą piękność jej pojawu, jeżeli patrzymy na nią w ogromach, nie w kropli. Ruch utykający, przerywany szlamem, woda mętna i t. d. są brzydkiemi.

Pokrótce tylko wspomnę o czarodziejskiej grze barw, którą woda częstokroć przedstawia. Wyobraźmy sobie morze, jeziora górskie, to błękitne, to modre, to ciemnooliwkowe, albo tak piękny, taką głębią pozorną nęcący staw wiejski! Tajemniczy urok barwy wodnej pochodzi z owego światło-cienia, jaki płynie od jasnej, oświetlonej powierzchni do omroczonej magicznym półświatłem głębi dna wodnego. W górze tak jasno, w dole ciemno, mrok szary rozlewa się po toni—„Co znaczy to wszystko?“—pyta dusza i marząco zatapia się w sobie.

Muzyka wody jest już nam znaną. Gdy wody nie widzimy, a tylko ją słyszymy, tym większe ożywienie w nas budzi.

Źródło bije ze skały, raźnie, skocznie, gwarliwie. Oto symbol życia płynącego rączo i swobodnie. Jak ono wesołe! Nadmiar jednakże ruchu może nas w pewnych wypadkach razić, ciek jednostajnej gadatliwej wody znudzi wreszcie. Jest to dziecię, które przez chwilę bawi, lecz wkrótce męczy.

Strumień ożywia i fantastycznością biegu zdobi okolicę. Rwący potok w swych tysiącznych, nagłych załomach, szydzący z każdej przeszkody, niepowstrzymany w pędzie, jest obrazem niepokoju; płynąc łagodnie, budzi uczucia błogie gładkością swego zwierciadła, w którym się niebo i ziemia przeglądają. Szerokie łoże rzeki jest obrazem wielkości. Potężna siła ożywiająca ludzi, miasta, łącząca kraje! I dokądże dąży ta rzeka? Stawimy to samo pytanie, któreśmy zadali bystremu potokowi.

i źródłu wypchniętemu z cichego łona gór. Dusza ludzka daje się porwać lotnemu prądowi jej fal, które płyną ku jakiejś nieskończoności. Obudza w nas chęć dążenia naprzód, a słabsze dusze rozmarza.

Napomknę tylko o wodospadzie, a wnet nam stanie przed oczyma potężny jego obraz z tą masą wód spienionych, z tym szumem ponuro brzmiącej fali, z tym łukiem zgiętym w kształcie tęczy! Siła, polot, energja, niepokój—oto jego przymioty, budzące w duszy pokrewne uczucia. Jakże to często porównywano wieczysty spad tej grzmiącej wody z wielkim kataklizmem zniszczenia, któremu wszystko, co żyje, ma ulec. Obrazie zniszczenia i nieuniknionego losu, ty jesteś także obrazem odradzającego się wiecznie życia!

Wodotrysk zachwyca swą ruchliwością, wdziękiem swych linji, grą światła, muzyką spadających kropel.

Szeroko rozlane, krystalicznie czyste przezrocze stawu jest niby okiem, którym ziemia przygląda się błękitowi nieba. Jeżeli woda jego ciemna, budzi niepokój przepaścistością swej toni. Nawet zwykła kałuża przydrożna ma w sobie pewną demoniczność, wytwarzającą się brakiem odpowiedniego stosunku pomiędzy jej szczupłym obszarem, który się nogą przekracza, a łudzącą głębią, której dopatrujemy wyobraźnią. Całe niebo wydaje się w toń jej rzuconym. Zmysły nasze w rozproszeniu, powstaje trwoga, aby w nią nie wpaść.

Jezioro ma w sobie coś kojącego, swojskiego; jeżeli zbyt ścieśnione, razi i przytłacza. Powstaje wtedy obraz niewoli i przymusu. Jeżeli zaś ma ujście, lub jeżeli środkiem jego przepływa szerszy strumień, budzi uczucia pogodniejsze. Odzyskujemy ogniwa, wiążące nas z całością świata.

Jezioro wązkie a bagniste jest nieskończenie smutnym. Pustkowie—nic nie skupia rozstrzelonej wyobraźni. Co najwięcej, chwiejny kłos wodnego sitowia zatrzyma wzrok nasz, nużąc go jednostajnością swych kształtów, a trzeźwiąc wieczystą kołysanką. Powierzchnia takiej wody jest ociężałą, nieruchomą, fale krążą w koło, splątane i krótkie.

Jezioro wielkie zadziwia masą wody. I odeń jednak żądamy ruchu. Jeśli jest mętne, a niebo pochmurne, wydaje się jednostajnym, głuchym jak pustynia.

A wreszcie ty, o, morze! Ileż da się powiedzieć o tobie i nieskończonym bogactwie twych zjawisk! Raz jesteś sennym, pustym, osiwiałym, to znowu błękitnie-

jesz, jak marzenie, i budzisz w nas kolejno wszystkie uczucia, aż do straszliwości. Kto może odmalować słowem twój blask, twoją piękność, twą wzniosłość, twój szał straszliwy? Byron cię nazywa obrazem nieskończoności, odblaskiem niewidomej mocy.

Cóż mówić wiele o morzu?... Powierzchnia jego jest nieskończona, głębia niezgłębiona, potęga nieposkromiona. Dumną budowlą człowieka, okrętem—rzuca jak skorupą orzecha po grzbiecie swej spienionej fali.

Z «Estetyki» Lemkego.

---

28. Piękno w powietrzu.

Istota powietrza objawia się w jego czystości, przejrzystości, która nam pozwala wglądać w nieskończoność przestworu wszechświata, wreszcie w jego zdolności do przyjmowania światła. Ilekroć je widzimy zmąconym, tylekroć odbieramy niemiłe wrażenie. Czujemy powietrze po jego ruchu. Barwę jego dostrzegamy w błękicie niebios. Tu należy dalej chmura z deszczem i elektrycznym płomykiem, będąca pośredniczką wody i ognia. Od łagodnego tchnienia rośnie ruch powietrza, aż do skali orkanu. W postaci burzy jest on strasznym, przerażającym: olbrzymia, rozszalała bowiem jej siła zdaje się nie mieć materji, nie widzimy poruszającej przyczyny, tylko skutek. Ta demoniczna potęga, przekraczająca wszelką miarę, zdaje się wszystko wywracać. A do tego jeszcze rozbrzmiewa świst dźwięków! Ten szum, zgrzyt, pisk, wycie i srożenie się natury, ogłusza nas.

Jeżeli burza, estetycznie rzecz biorąc, jest zjawiskiem potężnym, natedy wzniosłym jest to, co jej spokojnie urąga. Duch ludzki może ją pokonać nawet wtedy, gdy się połączy z wściekłością morza. Żeglarz u steru wśród burzy, spokojnie i odważnie kierujący okrętem, jest widokiem boskim:

Lecz z ponurej, głucho brzmiącej dali
Cichym tchnieniem burza się zwiastuje,
Skrzydła ptakom chylą się ku wodzie,
Ludziom serca...
Na echo jej grzmotu
Sternik mądry zwija żagli płótno,

Z którym wiatr i modre fale grają.
W nieugiętej trzyma wiosło dłoni,
Z łodzią grają wiatr i modre fale,
Wiatr i fale nie trwożą sternika,
Dumnym okiem objął toń kryształów,
Z wiarą w bogi...

(Goethe).

Mowa wiatrów jest odmienną, według strony świata, z której one wieją. Południowy innym przemawia językiem od północnego, zachodni skarży się i płacze, północny huczy ponuro, wschodni wyje. Zapytajmy o to tłómaczów natury: Homera, Szekspira, Goethego, Heinego i innych.

W błękicie niebios i w zapachu rozlanym dokoła czujemy powietrze. Bywa ono jaśniejsze, lub mętne; w miarę tego zarysowuje się okolica i przedmioty ostrzej, silniej, pewniej, a więc plastyczniej,—albo rozpływa się w kształtach mglistych, luźnie spojonych. Obydwa sposoby widzenia przedmiotów mogą nam się podobać w miarę usposobienia i skłonności. W mgle unosząca się para, fantastycznością swych osłon i odebraniem nam wszelkiej dokładnej miary sądu, sprawia najpotężniejsze wrażenie estetyczne. Oto dzień mglisty—po górach tumany się kłębią, i wnet postacie Ossjana wypływają w olbrzymich kształtach z pomiędzy mgły i skalnych szczelin!

Kształty powietrzne zarysowują się wyraźniej w obłokach. Tworzą one przejście od zjawisk bezkształtnych i rozpłynnych, do stałych i odgraniczonych. Goethe rozróżniał kilka odcieni w ukształtowaniu chmur: mgłę powłóczystą, unoszącą się w obręczach nad trzęsawiskami i górami; spiętrzone wały obłoków z właściwym sobie ruchem; chmurki drobne, wełniste (baranki), dalej chmurę wielką, posępną, burzliwą, zalegającą szerokie obszary niebios, wreszcie ścianę zarysowaną prostopadle na widnokręgu.

Wogóle powietrze jasne i lekko poruszane — usposabia wesoło. Powietrze zamknięte chmurami, z niebem posępnym i jednostajnym, przytłacza nas i cięży na piersiach ołowiem. Już tym samym, że osłabia lub tłumi światło, że z wytępieniem jego ustaje życie istot, odbiera nam wszelkie upodobanie, z wyjątkiem, kiedy stanowi pożądaną zmianę po nazbyt długiej pogodzie. Chmury pędzone wiatrem wzniecają w nas niepokój ciągłą przemianą kształtów. Fantastyczność ich opanowała czę-

stokroć wyobraźnię, może jednak sprawić wrażenie zbyt mętne i rozpierzchłe, jeżeli są złożone z bezładnie postrzępionych łachmanów, w których niema żadnej całości. Wspaniałość mas obłocznych, chaotycznie napiętrzonych, a łączących wszystkie przejścia barw, od hebanowo-czarnej aż do mleczno-białej, bywa podziwianą. Chmura sprawia wrażenie straszliwe, gdy tracąc swój powietrzny charakter, podobna do ciężkiego, złowrogiego całunu, albo przenikliwej ściany, rozwleka się ponad ziemią. Razi, jeżeli jest jednostajną, nie będąc straszną, lub ociężałą, nie dając wesołej gry kształtów. Częstokroć przybiera najdziwaczniejsze kształty i drażni tym fantazję bez miary. Wydaje to się, jakby natura czyniła próbę, czy jej się uda z rozbieżnej materji potworzyć góry i zwierzęta.

Z «Estetyki» Lemkego.

---

29. Królowa kwiatów.

Cudnej woni, uroczej barwy kwiat, róża miała powstać z pianki wód morskich, w chwili, gdy zrodzona w łonie oceanu Wenus, nieziemską stopą dotknęła stałego lądu. Po marmurowej białości ciele bogini spływały krople wodnych kryształów, a śnieżne smugi piany z jej ramion odpryskiwały się na ziemię. Morska pianka w ziemię zapuściła korzenie, strzeliła w krzew i zakwitła uroczym kwiatem. Było to uosobione wspomnienie, pamiątka pobytu bóstwa między ziemskiemi tworami. Róże kwitły biało, rywalizując z białym kwiatem linji; potrzeba było krwi bożyszcza, by roślinka zrodzona w chwili zejścia Wenus na padół ziemi, zarumieniwszy swe listki, została kwiatów królową. Sposobność do tego nadarzyła się wkrótce.

Wenus, broniąc amora napadniętego przez złośliwe zwierzęta, pośpieszyła mu z pomocą, a dotknąwszy niespodzianie nogą kolców róży, zraniła się. Kropla krwi spadła na różę i odtąd kwiat przybrał szkarłatną barwę i wyzionął woń rozkoszną, jakiej nie posiada żaden kwiat.

Tak nam to opisał Anakreon, wielki poeta starożytny, a historja początku róży rozbrzmiała po wszystkie wieki i czasy.

Różę też, jako istotnie kwiat bóstwa uznano za symbol niewinności i miłości. Starożytni poświęcili jej ody i poematy, rozmaite narody starały się krzewić ją w ogrodach, tynach *) i wiekopomnych posągach.

Izraelici i cały wschód uprawiał różę, zachwycając się jej urokiem. U starożytnych przeważnie odegrała rolę emblematu milczenia. Harpokrates pierwszy otrzymał od Amora różę, pod warunkiem, że zachowa w tajemnicy swawole bogini Wenus.

Rzymianie, jak mówi Winkelman, to samo znaczenie przywiązywali do swego kwiatu. Zawieszano zwykle w salach jadalnych białą różę pod stołem, albo owijano wieńcami róż kielichy i puhary, na znak, że obmowy nie są dozwolone.

Papież Adrjan VI, dla tej samej przyczyny, kazał rzeźbić różę na konfesjonałach. Spowiedź bowiem miała być cichą, a wielki akt pogodzenia człowieka grzesznego z niebem otaczać powinno grobowe milczenie. Stąd też powstało i owo u starożytnych wyrażenie: «Udzielić komuś wiadomości sub rosa, czyli pod sekretem, w tajemnicy».

Róże znajdujemy i na herbowych tarczach i na puklerzach średniowiecznych rycerzy. Mordercza domowa wojna znana jest w historji pod mianem: „białej i czerwonej róży"; pierwszą nosiła w herbie rodzina York, druga była godłem rodowym domu Lankaster.

Starożytni na ucztach i festynach zdobili głowy wieńcami i girlandami z róż; używano je do upiększenia ołtarzy i kościołów, usypywano drogę podczas tryumfalnych pochodów i procesji.

Król Antiochus syryjski w najchłodniejszych porach roku sypiał pod namiotem ze złota i srebra, mając za posłanie liście róży. Starożytni Rzymianie namiętnie lubili kwiaty róży. Bogacze ówcześni, o których przepychu i zbytkach zaledwie słabe możemy mieć pojęcie, ogromne sumy łożyli na sprowadzanie róż z Egiptu. Pokrywali nią swoje domy, stoły i łoża.—Już w czasach rzeczypospolitej nie gardzono puharem wina z Falerno, w którym pływały listki róży. W czasie publicznych zabaw, senatorowie a nawet widzowie, niekiedy i aktorowie zdobili się różami.

Scypjonowie, obok wieńców laurowych, używali niemniej i kwiatów róży, jako emblematu sławy i zwy-

---

*) ogrodzenia.

cięstwa; żołnierze bohaterskich zastępów, powracający do ojczystej ziemi, byli nieraz wieńczeni różami. Na jednej z uczt, jakie Kleopatra, królowa Egiptu, wyprawiła Antonjuszowi, usłano podłogę różami na grubość dwuch stóp, a koszt ich sprowadzenia wynosił około tysiąca talarów ówczesnych pieniędzy. Cesarz Neron, ten zwierz w laurowym wieńcu, to bożyszcze bezprawia i despotyzmu, niejednokrotnie po 20,000 talarów wydawał na róże, które przywożono z Azji.

Za panowania Domicjana znano już tajemnicę przechowywania róż w zimie. Ulice też przepełnione były wonią płynącą z zawieszonych na domach girland z kwitnących kwiatów. «Przyślijcie nam zboża, Egipcjanie! — woła Martjal, — my wam nawzajem damy róż bez liku.»

Jak łatwo zgadnąć, prowadzono w Rzymie handel różami, które też sprzedawano publicznie na targach w wielkiej ilości. Godnym jest zaznaczenia, że w czasach nieszczęść krajowych użycie róż zupełnie zostało zabronione. Plinjusz powiada, że jakiś pieniężnik w Rzymie podczas wojen punickich pokazał się pod wystawą swego domu w wieńcu róż na skroni. Senat kazał go wtrącić do więzienia, w którym pozostał do zawarcia pokoju.

W Chinach od niepamiętnych czasów zajmowano się uprawą krzewu róży; wiele jej gatunków głównie z tego kraju pochodzi. Chińczycy nadto wyrabiali esencję różaną, używali róż zamiast pierza w poduszkach, a nawet przyrządzano mastyki różane. Podług miejscowej tradycji odznaczały się takowe cudowną własnością i broniły od zarazy w chorobach, nadawały wesołe myśli, ożywiały odwagę, a nadto były jedynym amuletem przeciwko złym duchom. W ogrodach władcy Chin rosła tak znaczna ilość róż, że esencja z nich stanowiła znakomity fundusz państwowy. Tylko członkom rodziny cesarskiej i mandarynom pozwolono używać wody różanej, jako wyjątkowego przywileju. Ten, u którego w domu znaleziono choćby flaszkę esencji różanej, podlegał surowej karze.

Nietylko w Niemczech i we Francji, ale i w innych krajach, gdzie się rodzą róże, zdobiono niemi mogiły i groby zmarłych. Obyczaj ten nawet u Turków istniał od niepamiętnych czasów. Już Homer opiewa, iż zwłoki Hektora, w żalu nieutulona Wenus zmywała esencją różaną. Na ten cel nawet przeznaczony był jeden dzień

w roku. Odbywały się uroczystości na cześć róży i podczas tejże ozdabiano wieńcem groby.

Do dzisiejszego dnia utrzymał się we Francji obyczaj: „koronowanie oblubienicy róż.” Obrzęd ten sięga VI wieku. Święty Medard, pan z Salency i biskup Nyonu, wyznaczył dwanaście morgów gruntu, należącego do wsi Salency, aby odtąd w tym miejscu odbywały się uroczystości. Z dochodów z tego gruntu, pan ten wyznaczał dla najcnotliwszej dziewicy, oprócz korony z róż, podarek dwudziestu pięciu liwrów w złocie. Rewolucja francuska pozbawiła go dotychczasowej jego posiadłości, ale nie śmiała skasować uroczystości róż, która trwa do dziś dnia.

Znanym jest piękne podanie o świętej Elżbiecie z Turyngji, prababce domu książąt Hessji. Chwilę tę przedstawił a raczej uwiecznił pędzlem Schwind i obraz jego do obecnej chwili zachowuje się w galerji w Wartburgu.

Mahometanie zwykli zmywać różaną wodą kościoły, które przerabiają na meczety. Tak np. sułtan Saladin przysłał z Egiptu 500 wielbłądów obładowanych pakami pełnemi naczyń z wodą różaną, dla oczyszczenia ścian meczetu Omara, który przez chrześcijan w czasie wojen krzyżowych został zamieniony na kościół. Kiedy Mahomet II w r. 1453 zdobył Kostantynopol, nakazał zmyć wodą różaną wnętrze kościoła świętej Zofji, później przekształconego na główny meczet.

W nowszych czasach istnieje zwyczaj przesyłania róży przez papieża najcnotliwszej i najdzielniejszej kobiecie z rodzin koronowanych. Takie dary otrzymywali też królowie i królowe polskie. Różę złotą przechowuje do dziś skarbiec katedralny krakowski.

Znaną jest również róża pod nazwą jerychońskiej, o której czytamy w porównaniach biblijnych.

Linneusz znał tylko siedemnaście gatunków róż. Wspominamy tu tylko o tak zwanych różach ogrodowych stulistnych-centyfoljach. Róża stulistna pochodzi z lasów zachodniego Kaukazu i Persji, nie niszczeje ona nawet w temperaturze 18^0 niżej zera. Przeniesiono ją naprzód do Włoch, a następnie rozszeszyła się we wszystkich krajach przez Rzym zdobytych. Plinjusz wylicza już dziesięć gatunków centyfolji. Obecnie z powodu swej uroczej woni, blasku kolorów i przepychów barwy, uprawianą jest po ogrodach w ilości co najmniej 1,400 różnych odmian.

30. Jak się szlifują djamenty?

Oddajemy pierszeństwo djamentowi, nietylko dlatego, że jest rzadki, lecz i dlatego, że jest rzeczywiście najpiękniejszym ze wszystkich drogocennych kamieni. To wyjątkowe stanowisko djamentu usprawiedliwiają w zupełności jego optyczne zalety; jest w nim coś nie dającego się pochwycić okiem, przenieść pędzlem na płótno. Niepodobna odtworzyć ani drżącego połysku, ani zmieniającej się ciągle gry światła. Ma w sobie coś czarodziejskiego, jak wszelkie zjawisko, będące skutkiem sił współdziałających przypadkowo. Jestto jakby gra kolorów zachodzącego słońca.

Djamenty, jak je znajdujemy w południowej Afryce, Indjach Wschodnich lub Brazylji, wyglądają bardzo niepozornie i dopiero sztuką nadać im trzeba kształt, blask i ową zdolność silnego załamywania światła. Sztuka ta jestto szlifowanie djamentów, uprawiane dotąd prawie wyłącznie w Amsterdamie.

Krystalizacyjną formą djamentu jest ośmiościan i stosownie do tego należy go szlifować. Ale surowy djament w rzadkich tylko razach ma kształt ośmiościenny. Po większej części przedstawia się w postaci zupełnie nieforemnej bryłki. Oszlifowany nazywa się brylantem.

Zanim szlifierz zabierze się do obrabiania djamentu, długo łamać sobie musi głowę nad najkorzystniejszym oszlifowaniem bryłki; idzie mu o to, aby djament stracił jaknajmniej na wodzie pierwotnej. Następnie szlifierz oznacza na kamieniu podstawę brylantu zwaną „wieńcem“; poczym kamień przechodzi w ręce *brutteur'a.* Ten trze kamień drugim djamentem i nadaje mu zgruba kształt, jaki ma później otrzymać, czyli szkicuje ścianki brylantu w „fasetki“.

Najważniejszą jednak częścią operacji jest samo szlifowanie, wymagające oka bystrego. Kamień od brutteur'a przechodzi do slijper'a, który wykończa naszkicowane ścianki. Szlifierz siedzi przed poziomym kołem ze stali, obracającym się nadzwyczaj szybko około osi; liczba obrotów wynosi do 3,000 na minutę. Robotnik nakłada na koło proszek djamentowy pomieszany z oliwą i trzymając bryłkę w pewnym rodzaju ołowianej łyżki (doppe), przyciska ją do koła. Po pewnym czasie ka-

mień rzuca już połysk, lecz ścianka nie ma jeszcze należytego rozmiaru, znowu przyciska bryłkę do koła i powtarza to do zupełnego wykończenia ścianki. W ten sposób wykończa się 58 ścianek brylantu. Wszystko zależy od zręczności szlifierza, który winien nadać mu kształt najpiękniejszy i o ile możności najmniej ująć na wadze. Ponieważ niema prawie djamentu bez skazy, kamień musi być szlifowany tak zręcznie, by ukryć tę skazę przed okiem nieznawcy.

Nie mniejszej zręczności wymaga przełupywanie djamentu, miejsce bowiem przełupane posiada żywszy blask niż cały kamień i podnosi jego cenę. Robi się to i dlatego, że zbyt duże djamenty są bardzo drogie nie znajdują też tak łatwo nabywców. Przełupywanie tak samo jak i szlifowanie dokonywa się zapomocą dłutka i młotka; przełupanie w niewłaściwym miejscu naraża fabrykanta na znaczną stratę.

Niewiele posiadamy wielkich brylantów, a ceny ich, z powodu ich rzadkości, są bajecznie wysokie; do najsławniejszych należy Kohinor ważący 106 karatów i Regent 136 karatów. Podobno sułtan w Maton no Borneo posiada djament przechodzący wielkością europejskie i ważący 367 karatów.

Djament w naturze jest kruchy i łatwo pęka, jeżeli go rzucić na ziemię; zwykle jest przezroczysty i bezbarwny, chociaż zdarzają się odmiany żółte, szare, brunatne, czerwone, zielone, a nawet czarne.

---

31. Ilustracje.

Nie tak dawno jeszcze drzeworyt lub staloryt dostępny był tylko dla zamożniejszych, dziś jest on w ręku wszystkich, w każdej książce lub piśmie poświęconym nauce lub rozrywce. Co wpłynęło na to rozpowszechnienie się ilustracji? Zastanówny się chwilkę nad sposobem, w jaki dzisiaj ona powstaje. Dopóki nie znano metod, zapomocą których otrzymujemy klisze graficzne, z których robić można dowolną ilość odbitek, odbijano ryciny wprost z oryginału t. j. z tafli bukszpanowej lub miedzianej, żłobionej rylcem. Ale skutkiem użycia tafla niszczyła się prędko i po odbiciu kilku tysięcy egzemplarzy, niezdatna już była do użytku.

Zupełnie inaczej, jeżeli odbijać będziemy ryciny nie z oryginału, lecz z kopji jego otrzymanej sposobem galwanoplastycznym. Wiadomo, że strumień elektryczny rozkłada w przyrządzie galwanoplastycznym miedź, złoto srebro, nikiel lub żelazo i osadza je w postaci cienkiej warstwy na przedmiocie metalowym, który chcemy pozłocić lub posrebrzyć. Jeżeli przedmiot ten posmarujemy tłuszczem, to osadzona na nim warstewka da się odjąć i będzie najdokładniejszym odtłoczeniem oryginału. Jesteśmy więc w możności wszelką rytą lub kwasem wyżartą taflę miedzianą, bez zużywania jej, odtłaczać dowolną ilość razy i z tak otrzymanej kopji robić odbitki. W tym celu proces galwaniczny powtarza się dwa razy i otrzymaną za drugim razem warstewkę wylewa się jakąkolwiek masą twardniejącą.

To samo możemy zrobić z taflą drewnianą, jeżeli poprzednio pociągniemy ją grafitem lub roztworem srebra. W ten sposób odbijać możemy z niej nieskończoną ilość drzeworytów, bez zniszczenia oryginału. Dziś do druku nie używają prawie nigdy oryginału i odbijają tylko z klisz galwanicznych (galvano).

Inaczej znowu powstaje litografja. Jeżeli na gładkim kamieniu wapiennym napiszemy coś mieszaniną z sadzy, żywicy i mydła, i polejemy taflę kwasem, to kwas naruszy kamień, lecz nie dotknie samego pisma, które wystąpi nieco wypukło. Na tym odkryciu zasadza się sztuka litograficzna. Litograf robi rylcem rysunek na kamieniu, miejsca wyryte traktuje mydłem i gumą, i po tafli przesuwa walec z farbą drukarską. Tłusta farba przylgnie tylko do rysunku, tafla zaś pozostaje białą i może służyć do druku. Jeżeli chcemy zetrzeć rysunek, potrzebujemy tylko zwilżyć kamień olejkiem terpentynowym. Rysunek zniknie, ale tylko na oko; bo jeżeli taflę taką zwilżymy, rysunek jakby cudem wystąpi na nowo. Aby go zniszczyć zupełnie, potrzeba zeszlifować powierzchnię tafli.

Wszystkie naśladowania obrazów olejnych i akwarel dokonywają się sposobem litograficznym. Postępowanie w tym razie jest jeszcze dość skomplikowane, wymaga bowiem prawie tyle tafli kamiennych, ile jest barw w obrazie i oleodruk jest zwykle kombinacją kilkunastu kamieni. Stosunkowa taniość nawet wspaniałych oleodruków objaśnia się tylko niezmiernym ich zbytem. Chromolitografja wygląda zawsze jakby była robiona

farbami wodnemi i dopiero pokostowanie nadaje jej wygląd obrazu olejnego.

W ostatnim czasie zdołano zapomocą fotografji otrzymywać obrazy czysto mechanicznym sposobem. W świtałodruku ołówek i rylec nie mają nic do czynienia: oba zastępuje przyrząd fotograficzny.

Myśl użycia fotografji do odbijania rycin powstała we Francji. W tym celu używa się grubych tafli zwierciadlanych, pociągniętych czułą na światło warstwą chromo-żelatynową. Po zdjęciu fotografji tafle poddaje się działaniu wody i gliceryny, przyczym wszystkie miejsca jaśniejsze wystąpią i pochłoną wilgoć, ciemniejsze zaś pozostaną suche. Jeżeli po tafli przesuniemy walec z farbą, to miejsca jaśniejsze nie przyjmą farby i pozostaną białemi w obrazie, ciemniejsze zaś mniej więcej się zabarwią. Tak przygotowana tafla mocuje się na gładkim kamieniu i służy za kliszę, z której otrzymać możemy kilka tysięcy odbitek. Światłodruk ma tę zaletę, że odtwarza z niezwykłą delikatnością tony fotograficzne z wszystkiemi ich przejściami z światła do cieni.

Dziś zamiast szkła używa się tafli cynkowej, na której zdjęcia fotograficzne występują wypukło. Tafla nakleja się na drzewo i wkłada w maszynę jak zwykły drzeworyt.

Postępowanie mechaniczne pozwala odtworzyć przedmiot z bezpośrednią dokładnością i mieć kliszę w przeciągu kilku godzin. Zapomocą fotografji otrzymujemy odbitki, które pozostawiają wprawdzie nie jedno jeszcze do życzenia, lecz jest to wina młodości samego wynalazku.

IV. Z HISTORJI.

32. Początki Polski.

I. Kraj.

W podobnych warunkach, jak ludy czesko-morawskie, znajdowały się także te ludy słowiańskie, pochodzeniem, zwyczajami, narzeczem bardzo do siebie zbliżone, z których później wytworzył się naród polski

i państwo, i które dlatego obejmujemy nazwą Słowiańszczyzny lechickiej lub polskiej. Mieszkały one na wielkiej płaszczyźnie na północ od Czech aż do brzegów morza Baltyckiego, po obu brzegach Odry aż do Elby i Wisły.

Cały ten obszar płaszczysty pokryty był naówczas jednym pierwotnym, nieprzejrzanym lasem. Na żyźniejszych nizinach panowały olbrzymie, wiekowe dęby, graby i buki, brzozy i lipy, na wzgórzach modrzewie i świerki, jodły i sosny. Las tego rodzaju wytwarzał odrębne klimatyczne warunki, tworzył sam w sobie naturalne zbiorowisko wilgoci i wody. Las, utrzymując niższą temperaturę, skraplał wilgoć powietrzną, przesuwającą się nad nim z zachodniemi wiatrami, przyjmował ją w swoje wnętrze w postaci nieustannych deszczów i przechowywał w nieprzebitym cieniu. Promienie słoneczne nie mogły jej stamtąd z łatwością wywabić, wichry szumiące po szczytach drzew nie mogły jej stamtąd na dalekie stepy wschodu unosić. Kraj nasz mieścił więc w sobie podówczas niezmierne i rosnące nieustannie zapasy wody, z których tylko drobna część mogła wsiąknąć w przesyconą już i tak wilgocią ziemię, tylko nieznaczna część mogła się utrzymać w nieprzejrzanych jeziorach i bagnach, całe zaś masy wody musiały sobie torować naturalny odpływ ku najbliższemu morzu Baltyckiemu.

Znalazły go już w postaci Elby (Łaby), Odry i Wisły, ale żadna z tych rzek nie miała swego stałego koryta. Rozlewały się one na szerokość mil kwadratowych, zatapiając okoliczne puszcze i tamując rozległemi moczarami wszelki przystęp do płynącego w pośrodku nich prądu. Prąd ten za każdym wezbraniem zmieniał swoje łożysko, rzucał się w niepohamowanym zapędzie na sąsiednie lasy i wywracając je torował sobie wpośród sterczących pni i korzeni prastarych dębów i buków nowe przejście. Często niknął zupełnie, łamiąc się na nieskończoną ilość odnóg wśród mnóstwa kęp i ostrowów, i dopiero znacznie niżej wypływał znowu z takich piaszczystych i bagnistych jezior, zarosłych wikliną i sitowiem.

Rzeki były też raczej wspaniałym żywiołem zniszczenia, niż żywiołem postępu i pracy. Nie było sposobu, ażeby przez moczary milowe do ich brzegów się zbliżyć, a na ich nurt spieniony, zmieniający się nieustannie, na-

jeżony kłodami drzew i ławicami piasku, nikt mu nie śmiał życia swego i dobytku zawierzyć.

II. Mieszkańcy kraju.

Ludność, mieszkająca wśród takich wodnych puszcz, nie była liczną. Obierała ona sobie siedlisko swoje na obszarach kraju suchszych, położonych wśród rzek, moczarów i jezior. Chroniąc się przed dzikim zwierzem oraz przed dzikszym jeszcze wrogiem, zakładała sobie domostwa najchętniej na licznych wyspach wśród jezior, albo na samych jeziorach, bijąc w nie tysiące palów, z których dziś jeszcze liczne pozostały ślady. Domostwa takie łączono z najbliższym brzegiem długiemi mostami, które w chwili niebezpieczeństwa dawały się podnosić lub rozsuwać. Ludność żywiła się z myśliwstwa, rybołówstwa, bartnictwa, chowu bydła i rolnictwa; gdy jednak nieprzejrzane puszcze leśne dostarczały mnóstwa zwierzyny, a rozlane naokół wody nadmiaru ryb, gdy utrzymanie koni, bydła i trzody na szerokich łąkach i w odwiecznych dąbrowach żadnego nie kosztowało trudu, więc też rolnictwo podrzędne tylko posiadało znaczenie. Nie łączono się też w żadne związki gminne, ażeby sobie nawzajem dopomagać, nie znano wspólnej uprawy roli i wogóle gminnego gospodarstwa. Każdy zakładał osobne domostwo, karczował las w pobliżu i uprawiał kawałek zdobytego w ten sposób pola z pomocą swojej rodziny, która z nim razem mieszkała, oraz z pomocą czeladzi, niewolników, jeżeli ich zakupił lub zdobył na wojennej wyprawie.

Władza ojcowska stała bardzo wysoko, a związki rodzinne tym większego doznawały poszanowania, że ogół narodu pozostawał w jednożeństwie, a tylko najznakomitsi, książęta, zwykli byli po kilka żon miewać. Zajmowały też niewiasty znacznie wyższe stanowisko u Słowian, niż u sąsiednich Giermanów. Najdawniejsze podania, mianowicie czeskie, głoszą, że w braku synów nieraz i godność książęca dostała się kobiecie. Najstarszy syn obejmował rządy po ojcu, młodsi najczęściej przy nim zostawali, albo też nowe zakładali domostwa. Jeżeli to czynili w najbliższym sąsiedztwie, to z jednej zagrody powstawała z czasem osada, złożona z kilku lub kilkunastu gospodarstw.

Sposób ten osiedlenia odbił się w nazwach miejscowości. Biorą one nazwę od pierwszego osadnika

z końcówką dzierżawczą, np. jeżeli osadnik zwał się Bolech, miejscowość zwała się „Bolechów“ (dwór, łan), lub „Bolechowa“ (zagroda), lub „Bolechowo“ (pole). Jeżeli zaś potomkowie Bolecha zwali się Bolechowice i utworzyli z tej miejscowości osadę, to nazwa miejscowości zmieniała się na „Bolechowice“. Jeśli osadnik zwał się Czarnota, to nazwa miejscowości brzmiała „Czarnocin“ a względnie „Czarnocice“.

Każde gospodarstwo wystarczało samo dla siebie, przerabiając swoje płody surowe na niezbędną potrzebę; artykułem handlu mógł być tylko wosk, zyskiwany z licznych barci leśnych, i kosztowne futra, a na pomorzu bursztyn. Sprzedawano także niewolników, a w roli handlarzy zjawiają się bardzo wcześnie Żydzi, którzy zakupiony towar wywozili na Wschód i do Hiszpanji. O wywozie, a tym samym o szerszej produkcji zboża lub bydła, nikt jeszcze nie mógł myśleć, choćby dlatego, że na to nie pozwalały ówczesne środki komunikacyjne.

Były one dwojakie. Korzystano przedewszystkim z jezior (gdzie istniały), łączących się ze sobą naturalnemi przepływami, z ich spokojnych wód i dostępnych brzegów. Rzeki miejscami tylko ułatwiały komunikację, bo one nie mogły bynajmniej odgrywać roli wielkich dróg wodnych dla braku stałych łożysk. Główne też drogi handlowe, o ile istniały, były to drogi lądowe, trzymające się suchszych miejsc, wijące się wśród moczar i bagnisk, przekraczające je nieraz po długich, milami ciągnących się mostach, i dążące zwykle do tych miejsc, w których rzeki ścieśnione wzgórzami dawały łatwiejszą przeprawę.

Handel, oczywiście przeważnie zamienny, wprowadzał w kraje te płody wyższej cywilizacji, które w wykopaliskach dzisiejszych w coraz to większej znajdujemy ilości. Dwie były odwieczne drogi handlowe, dążące do brzegów morza Baltyckiego po drogocenny w świecie starożytnym bursztyn. Jedna wiodła od południa z Włoch, druga więcej od wschodu, mianowicie od osad greckich, leżących nad brzegami morza Czarnego. Dwa wpływy cywilizacyjne krzyżowały się na naszej ziemi, zmieniając oczywiście w biegu wieków, mianowicie po wędrówkach narodów, swoją naturę i doniosłość. Przez państwo frankońskie i Czechy zbliżała się ku nam cywilizacja Zachodu, przez Ruś przedzierała się cywilizacja Wschodu. Później morze Baltyckie stało się samoistnym ogniskiem handlu, a za nim także i cywilizacji dla naj-

bliższych, za ich zaś pośrednictwem także i dla dalej mieszkających szczepów.

Jak atoli słabemi były te cywilizacyjne wpływy, tego najlepszym dowodem okoliczność, że z wyjątkiem może jednego Pomorza, ludność wszędzie gdzieindziej, rozrzucona na pojedyńcze domostwa, nie skupiała się na pewne miejsca i zupełnie nie znała związków gospodarczych, gminy wiejskiej, a tym mniej miejskiej.

Michał Bobrzyński.

---

33. Elżbieta Rakuszanka, matka Jagiellonów.

I.

Ostatnie lata piętnastego i pierwsze szesnastego stulecia widziały całą szeroką przestrzeń Europy między Adrjatykiem i Baltykiem i morzem Czarnym pod bratnim berłem kilku Jagiellończyków, synów tejże samej matki: Władysława, króla czeskiego i węgierskiego; Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego — polskich. Z tak niezwykłą potęgą ziemską łączyli bracia Jagiellońscy również niezwyczajną wartość moralną. Najpośledniejszemu z braci, Władysławowi czeskiemu, wadziła tylko zbyteczna dobrotliwość, nie mogąca przecież wydrzeć mu chwały króla światłego i sprawiedliwego. Drugi brat, Zygmunt Stary, sprawił swoją mądrością, iż naród, który mu poruczył swoje losy, nazywa jego czasy „Złotym wiekiem“ swojej historji. Trzeciemu z braci, Kazimierzowi, dane było zasłużyć cnotami swemi na wnijście w poczet Świętych, w liczbę niebieskich patronów kraju. Błoga zaprawdę matka, która takich synów wydała! Lecz matce królewskich Jagiellonów należy się od nas jeszcze wdzięczne uznanie, iż znaczna część wymienionych tu osobistych zalet i zasług potomków Jagiellońskich, uzyskanej przez nich temiż zaletami wziętości u narodów sąsiednich i wynikłego stąd rozrostu potęgi i sławy dynastji Jagiellońskiej — była dziełem jej ręki.

Urodzona z najdostojniejszych rodziców—córka cesarza Albrechta II króla czeskiego i węgierskiego, księ-

cia austryjackiego, jednego z najszlachetniejszych monarchów swojego czasu, i królowej Elżbiety, jedynaczki słynnego cesarza Zygmunta, dziedziczki Czech i Węgier— wypiastowały młodocianą królewnę sieroctwo, niedostatek, łzy opuszczenia. Już w trzecim roku życia odumarł ją ojciec, cesarz Albrecht, nie mając jeszcze czasu ustalić się na świeżo objętych tronach, pozostawionych przy jego śmierci bez męskiego następcy. Dopiero w blizko cztery miesiące po zgonie męża powiła wdowa królewska syna Władysława, Pogrobowcem stąd nazwanego, poczym we dwa lata sama umarła.

Drobne jej dzieci pozostały pod opieką stryja z młodszej styryjskiej linji książąt rakuskich, cesarza Fryderyka III. Pod jego ramieniem, bądź w Neustadzie, bądź w Wiedniu, rosły odtąd obie sierotki: dwuletni Władysław Pogrobowiec, oczekujący pełnoletności, a z nią objęcia Czech, Węgier i swego dziedzicznego księstwa austryjackiego, i sześcioletnia Elżbieta, nieświadoma losu przyszłego. Opiekun naszych dzieci królewskich znany jest ze swej łagodności. Nie było też w nim złej woli względem piastunków. Wszakże ustawiczne roztargnienie ówczesnym bezładem Rzeszy, ciągłe zamieszki domowe—sprawiały, że sierotom Albrechtowym, oddanym cudzemu nadzorowi, niezawsze dobrze się działo.

Nie zbywało im jednakże z drugiej strony na środkach wykształcenia. Pracowali nad niemi ludzie zacni i światli. Jeszcze za życia matki wypiastowała Elżbietę kobieta uczona, niejaka Helena Kottauer, autorka pamiętników o swoich czasach, a w tym względzie jedna z najpamiętniejszych niewiast stulecia. Później, gdy sieroty Albrechtowe dostały się pod opiekę cesarza Fryderyka, niejaki mistrz Hinterbach, mąż uczony, ułożył umyślnie przepisy, według których miano wychowywać dzieci królewskie. Nie przestał na tym dawny kanclerz i przyjaciel ich ojca, głośny w dziejach ówczesnych Kacper Schlick, piastujący i teraz, już pod trzecim cesarzem, tęż samą godność kanclerską, i bodaj zdala na wychowanie Albrechtowych potomków baczny. Na jego prośbę ten sam Eneasz Sylwjusz, który z naocznego świadectwa opowiadał dzieje cesarza Fryderyka, napisał teraz osobną księgę; „O wychowaniu dzieci“, poświęconą młodocianemu Władysławowi Pogrobowcowi, królowi Węgier i Czech. Ona to niewątpliwie stała się wzorem pisma podobnej treści, które siostra i współwychowanka Pogrobowca—Elżbieta, poświęciła później swemu synowi.

Jeszcze od czasu wydania jednej z córek Kazimierza Wielkiego przez Ludwika, króla Polski i Węgier, w dom rakuskich hrabiów Cyllejskich, starali się książęta polscy o koligackie z książęty rakuskiemi stosunki. Nie dziw więc, iż zgodnie ze zwyczajem czasu i kilkudziesięcioletnim kierunkiem związków familijnych, wcześnie nasunęła się Kazimierzowi Jagiellończykowi myśl poślubienia Elżbiety.

Już zanosiło się na spełnienie życzeń Kazimierzowskich, gdy wtym życzliwa matka umarła. W czasie kilkuletniej opieki cesarza Fryderyka ustały na jakiś czas dziewosłęby królewicza polskiego, podniesionego teraz, po śmierci brata Władysława pod Warną, na tron ojczysty.

Skoro atoli opieka nad sierotami Albrechtowemi przeszła od cesarza Fryderyka do spokrewnionego z dziećmi hrabiego Ulryka Cyllejskiego, natychmiast ponowił król Kazimierz w r. 1452 swe prośby o Elżbietę, przesłane obecnie do jej brata Władysława i nowego opiekuna Ulryka. Władysław Pogrobowiec i hrabia Ulryk przyjęli uprzejmie poselstwo polskie. Powracającym z życzliwą odpowiedzią dziewosłębom królewskim przydani zostali posłowie z Wiednia, mający zbadać bliżej wolę, osobę i obyczaje Kazimierza. Pomyślna ich relacja pociągnęła za sobą solenny w następnym roku zjazd poselski we Wrocławiu, gdzie stanęła ostateczna ugoda ślubna. Kazimierz otrzymał sto tysięcy węgierskich złotych posagu, a przyrzekł nawzajem trzy miasta królewskie: Koło, Opoczno i Przedecz, na wyprawę królowej. Radzono nad tym przez długich dziesięć dni, w kilkudziesięciu z obojej strony posłów, pomiędzy któremi byli książęta, biskupi, kanclerze, wojewodowie i kasztelanowie. Ukończonym obradom pobłogosławił głośny z cudów wymowy Jan z Kapistranu kazaniem pod gołym niebem, którego kilkadziesiąt tysięcy ludu słuchało. Za kilka miesięcy, na początku roku 1454, miała młodociana oblubienica osobiście stanąć w Krakowie.

Uroczystości przy wjeździe królewny do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem liczą się do najsławniejszych XV wieku obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzedniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniej dwa tysiące koni, powitało oblubienicę przed granicami państwa w Cieszynie. Przed stolicą krakowską spotkał ją z całym dworem sam król Kazimierz, młody, ledwie 26-letni mężczyzna,

przyjemnej twarzy, wesołego wejrzenia, błyszczący od złota i klejnotów. Obok niego, w bogato przyozdobionej kolebce, jechała matka Kazimierzowa, stara królowa Zofja. Za niemi ciągnęli dostojnym rzędem arcybiskupi, biskupi, książęta śląscy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjęły wjeżdżających procesje wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiący odgłos dzwonów i trąb. Tak król, jak i panowie wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów końskich. Rząd samego rumaka królewskiego szacowano na 40,000 złotych. Podobnież i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity i złotogłowy. Młoda królowa mogła mniemać, iż wjeżdża do kraju złotych gór, a to tylko chęć uczczenia jej przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich.

Przez cały tydzień trwały gody weselne, odprawowano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach liczny orszak węgierskich i czeskich panów i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczyście i hojnie od króla polskiego obdarzony, powrócił nad Dunaj.

II.

Pozostawiona w Polsce córka cesarska znalazła przy boku króla Kazimierza godne swoich cnót i przymiotów pożycie.

Własny żywot Elżbiety upływał wśród ciągłych trosk macierzyńskich i czynów bogobojności. Najpoważniejsze głosy współczesne nazywają królowę „dziwnie potężną, świętą“. Przywiązana osobliwie do najsłynniejszego podówczas zakonu ś-go Franciszka, miała ona nawet przyjąć w nim dozwolony świeckim osobom stopień tercjarki. Tejże czci ku ś-mu Franciszkowi przeszło dwadzieścia klasztorów franciszkańskich i bernadyńskich, jużto przez samą królowę, jużto za jej staraniem przez króla zbudowanych, zawdzięczało Elżbiecie swój początek. Oprócz tego pozostały po niej inne zakłady bogobojne. Takim jest np. kaplica ś-go Krzyża, po prawej ręce przy wstępie do katedry krakowskiej, uposażona funduszem na dziewięciu duchownych; jest nim podobnaż fundacja ośmiu mansjonarzów *) w kościele świętego

---

*) Mansjonarz—ksiądz otrzymujący mieszkanie, stół, płacę, wolny od obowiązków z wyjątkiem odprawiania Mszy św. i modłów kapłańskich.

Michała Archanioła w Krakowie; jest niejeden szpital dla ubóstwa okolicznego. A chcąc nawet w każdej powszedniego żywota chwili codziennym zajęciem ręki służyć Bogu i kościołowi, wypracowała królowa mnogie przybory kościelne, szyła komże, tkała ornaty bogate.

To też wynagrodził ją Pan Bóg hojnym za to błogosławieństwem domowym. Dozwoliło jej niebo dochować się sześciu synów i pięciu córek, oprócz dwojga za młodu ze świata wziętych. Naraz dwanaście dzieci — chwała Elżbiecie u ówczesnych wierszopisów i kronikarzy — spoczywało razem dokoła matki. Najmilszym jej sercu, jak naoczni upewniają świadkowie, był średni z synów, Olbracht, młodzieniec wesół, śmiały, rycerski, pełen wyniosłych zamysłów i przedsięwzięć. Starszy odeń dwoma laty Kazimierz i najstarszy Władysław ujmowali skromnością i potulnością. Młodsi, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, dziwili przyjemnie swoją dziecinną powagą i wczesnym statkiem. Te ich osobiste zalety rozwijało od pieluch bardzo troskliwe prowadzenie. Synowie matki, która tak wysoce pokładała wiarę w skuteczność edukacji, iż osobne o niej pismo zostawiła, otrzymali wszyscy rozumne, pracowite wychowanie.

Już między szóstym a siódmym rokiem życia wychodziły dzieci Kazimierzowe z pod pieczy niewieściej w ręce wychowawców męskich. Głównym nauczycielem królewiczów był Jan Długosz, kanonik krakowski, człowiek uczony i pobożny, bezwzględny prawdomówca, ojciec dziejopisarstwa naszego. Obok niego wymieniają jeszcze pedagogiem chłopiąt królewskich niejakiego Jana Welsa, mistrza z Poznania. Trzecim wychowawcą został później słynny Filip Kallimach Buonacorsi, uczony przybysz włoski, autor kilku szacownych pism o Polsce i Polakach, dla swego bystrego sądu w przedmiotach polityki nadzwyczajnie ceniony u dworu, a zarazem od królowej.

Z temi nauczycielami przejeżdżali się wychowańcy koronni co kilka lub kilkanaście miesięcy z jednej strony królestwa w drugą, z jednego zamku na drugi. Widzimy ich pod wyłącznym nadzorem wychowawców, zdaleka od rodziców królewskich, jużto w Tyńcu, jako najbezpieczniejszym miejscu schronienia się od grasującego naówczas powietrza morowego, jużto w Krakowie, pod bokiem szkoły uczonej, jużto w Starym Sączu, w pośrodku zdrowej natury górskiej, jużto wreszcie w zamku lubelskim. Wszędzie owa męska surowość, jaką przed

dwudziestu laty w swoich przepisach edukacyjnych Eneasz Sylwjusz zalecał rodzonemu bratu naszej królowej Elżbiety, służyła za główną podstawę wychowania.

Przyodziani latem w grubą odzież sukienną, zimą zaś w proste kożuszki koźle, jadając poślednią zazwyczaj strawę, dalecy od wszelkich wygód i pieszczot, oswajali się oni z wszelkiemi dolegliwościami żywota, uczyli się wchodzić w niedolę każdego z najniższych poddanych swoich.

Wszakże ta szorstkość wychowania fizycznego nie wyłączała wytworności umysłu. Młodzieńcy królewscy przykładali się nawet do takich umiejętności, które podówczas miano jeszcze za wcale nowe i niezwyczajne. Mianowicie język i literatura klasyczna stanowiły ważną gałąź nauki. Po dziś dzień widzieć można pomiędzy rękopisami Zakładu Ossolińskich grubą, starożytną księgę, zawierającą wyciągi z najlepszych autorów klasycznych, zebrane przez Długosza dla królewiczów. W ważniejszych okolicznościach, bądźto przy powrocie rodziców królewskich po dłuższej niebytności do stolicy i do bawiących tam właśnie synów, bądźto przy uroczystym podejmowaniu u dworu dostojnych gości zagranicznych, występowali uczniowie Długoszowi z przemową, ułożoną w niezwykłym dla świeckich uszu języku łacińskim, budzącą nim powszechny podziw dla młodocianych mówców. Wtedy i powierzchowność królewiczów nabierała świetności. Zamiast kożuszków kozich świeciły na nich adamaszki i złotogłowy, zamiast szarych sukni jaśniał karmazyn; a gdy owi goście zagraniczni usłyszeli orację synów królewskich, gdy się przypatrzyli ich ujmującym, strojnym teraz postaciom, ich nadobnemu zachowaniu się przy boku ojca: trudno im było później zapomnieć miłego widoku królewiąt polskich i, opisując swoje po północnych i południowych stronach wędrówki, barwili radzi ten opis obrazem synów Kazimierzowych, nim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu.

Synom królewskim wychowanie wzorowe daleką cześć jednało. Przez usta podróżników rozchodziły się za granicą, a zwłaszcza po przyległych krajach, Węgrzech i Czechach, najpomyślniejsze o młodych Jagiellonach powieści. Stąd gdy w zaburzeniach ówczesnych trony tych ludów niejednokrotnie się opróżniały, szły od nich prośby o królów do Polski. Skutkiem takiej odezwy Czechów został najstarszy z wnuków Jagiełły i ce-

sarza Albrechta, dobrotliwy Władysław, jeszcze za życia i za przyzwoleniem czeskiego króla, Jerzego z Podiebradu, obrany królem czeskim. Mało co później, znaczna część Węgrów powołała drugiego, świętobliwego Kazimierza, na tron węgierski. Własna Jagiellonów ojczyzna, Polska, zniewolona patrzeć, jak narody sąsiednie wydzierają sobie jej królewiczów, musiała na młodszych przestawać braciach.

Zaprosiny królewiczów Jagiellońskich na trony sąsiednie świadczyły na wszelki wypadek o dobrej ich sławie za granicą; lecz dalsze ubezpieczenie napływających koron przechodziło niekiedy w rzeczywistości dotychczasową materjalną potęgę domu Jagiellońskiego. Koronę węgierską osiągnął później Jagiellończyk Władysław, łącząc ją z berłem czeskim. Teraźniejsze powołanie do niej królewicza Kazimierza pozostało tylko bezskutecznym świadectwem czci, jaką synowie Elżbiety posiadali w domu i za granicą.

Zamiast węgierskiej uśmiechała się Kazimierzowi inna korona. Gorące ćwiczenia duchowe przy wątłym ciele i owa żarliwość religijna, którą spostrzegamy zarówno w uczniu, jak i w kronice Długosza, zwracały nań wcześnie oczy pobożnego podziwu. Po zgonie w kwiecie młodości zaczęły krążyć pogłoski o cudach u grobu królewicza. Myśl wydania na świat świętego, jakąż błogą rozkoszą musiała macierzyńskie przenikać serce! Ułatwił spełnienie się tej myśli przez kanonizację ś-go Kazimierza przedostatni z synów Elżbiety, mądry Zygmunt. Tysiące dusz zasmuconych, cierpiących, znajdowały odtąd rok rocznie nadziemską ulgę u trumny nowego orędownika w niebiesiech.

Oprócz tego błogosławieństwa, niosło wychowanie Jagiellońskie jeszcze mnogie inne, pomyślne krajowi skutki. Uszanowanie dla nauk, głoszone jawnie tak pilnym przykładaniem się do nich synów królewskich, wpajało się coraz głębiej w wyobraźnię i obyczaje całego społeczeństwa. Wzbudzona tym wychowaniem potrzeba światłych nauczycieli, nakazująca otwartemi ramiony przyjmować wszystkich uczonych mężów ze stron obcych, przeszczepiona z dworu królewskiego na dwory pańskie, napełniła u schyłku XV i w pierwszej połowie XVI stulecia kraj cały znakomitemi cudzoziemcami, którzy z wielu względów wpłynęli na dziwnie szybki postęp narodu w oświacie i uobyczajeniu. Mikołaj Kopernik przy-

sposabiał się do swoich odkryć astronomicznych a Wit Stwosz pracami dłuta swego ozdabiał Kraków.

Zacząwszy od Kallimacha, dziejopisa Warneńskiego, aż do Justusa Decjusza, opisywacza dziejów i rodziny Zygmunta, iluż innych jeszcze gości uczonych powiększało umysłowy ruch tego czasu! Iluż wreszcie przybyszów i ruchu naukowego w uczonej szkole krakowskiej! Jakoż najlepszym dowodem zbawiennego wpływu wychowania dzieci królewskich ńa oświatę powszechną jest ówczesna liczba uczniów tej szkoły. Zgromadzało się ich niekiedy przy uroczystych obchodach, jak np. na pogrzebie Filipa Kallimacha, do piętnastu tysięcy. Donosi o tym przyjaciel Kallimachów, naoczny świadek pogrzebu, w liście z Krakowa do Włoch. Za niedawnym przykładem starannego wychowania synów królewskich jął teraz kraj cały tłumnie wychowywać się i oświecać.

Patrzyła na to królowa Elżbieta z powagą uznanej przez wszystkich matki wychowawczyni młodego pokolenia.

W takim też uczuciu rzeczywistej wyższości, umyśliła królowa Elżbieta udzielić synowi Władysławowi, już królowi czeskiemu, w lat 10 po owdowieniu, jako matrona 70-letnia, swoich wyobrażeń i doświadczeń edukacyjnych.

Wypiastowana na ręku piśmiennej wychowawczyni autorki, owej Heleny Kottauer, sławiona przez współczesnych, jako główna uczestniczka w staraniach około wzorowego wychowania synów Kazimierzowych, surowa karcicielka wychowania zaniedbanego i obyczajów prostaczych, osobliwie zaś mając przed sobą wzór rozprawy edukacyjnej, przez sławnego autora dla rodzonego jej brata napisanej, była Elżbieta ze wszech miar usposobioną do przesłania synowi listu podobnej treści.

Jak samo dzieło stawia oczywisty dowód staranności królowej około wzorowego wychowania rodziny, tak też wszystkie okoliczności zgadzają się na przyznanie jej daleko istotniejszego w nim uczestnictwa, niżby to na pierwszy rzut oka zdawać się mogło. Nasza matka królów, córka i wnuka cesarzów, pozostanie na wszelki wypadek główną wychowania Jagiellonów mistrzynią.

Pamiętano też przez długie wieki to wychowanie. W sto lat po przybyciu Elżbiety do Polski, w mowie na cześć Zygmunta Starego, wychwala je szerokiemi słowy głośny w narodzie Orzechowski. W blizko dwieście lat

przypomina je z uwielbieniem żywociarz Władysława IV Wazy—Kobierzycki.

Karol Szajnocha (*Szkice historyczne*).

---

34. Zwycięstwo w roku 1675 pod Lwowem.

I.

Czasy „zniesienia“ Ordy pod Lwowem, tylko ośmiu laty wcześniejsze od szturmów armji tureckiej do murów Wiednia i odsieczowej wyprawy króla Jana, były czasami najwyższej potęgi półksiężyca. Większa część Węgier, znaczna część Ukrainy i Podola, zostawały pod panowaniem Osmanów. W węgierskiej stolicy Budzie, w świeżo zdobytym Kamieńcu Podolskim, tureccy zasiadali baszowie. Rok po roku widział wojska tureckie, wdzierające się w coraz dalszą głąb’ państw chrześcijańskich, po coraz dalsze podboje. Osobliwie Polska znalazła się w tej chwili narażoną na ciosy muzułmańskie. Z dworem wiedeńskim miała Porta od lat dwunastu pokój nader pomyślny, uwieńczony rozpotarciem granic tureckich aż po twierdzę Neuhäusel, o 10 mil od Presburga, pozwalający Turkom zbroić się do wyprawy wiedeńskiej. Cały ciężar zwycięskiej potęgi sułtanów spadał na omdlałe królestwo obudwóch Piastów ostatnich: króla Michała Korybuta i Jana III Sobieskiego. Przez kilka z kolei lat uderzała ta potęga siłą rozhukanego morza w nadszczerbione granice polskie, zalewając je raz po raz, mianowicie w latach 1672, 1673, 1674, 1675, 1676, zbrojnemi tłumy ogromnych wypraw podbójczych. Co tylko w najważniejszych wydarzało się wojnach, to że sami cesarze osmańscy przewodniczyli wyprawom. Podczas gdy nawet tak wielkie przedsięwzięcie wojenne, jak oblężenie Wiednia, powierzane bywało mniej dostojnemu naczelnictwu wezyrów; — nad Dniestr, przeciwko Polsce, sam cesarz Mahomet IV po trzykroć w sześciu latach z całym wyruszył dworem. Wtedy liczne oddziały armji tureckiej wydrążyły w skałach pobrzeża naddniestrzańskiego lodownie dla cukierników sułtańskich— pola buczackie, okryte sieciami niezliczonej zgrai łowczych sułtańskich, bawiły padyszacha nowym rodzajem

polowania — w Buczaczu poufni wysłańcy króla polskiego Michała ślubowali Turkom pokój tajemny, zniżający koronę polską do rzędu hołdownych podnóżków Porty— a cesarz Mahomet IV powtarzał na łowach, podczas przeglądu wojska, u stołu, nawet w nocy, jedyne słowo „Gdańsk!“ — marzył o rozszerzeniu krańców swojego państwa od morza Indyjskiego po Bałtyk.

Ale i padyszachowie miewają marzenia — niezniszczone.

W poprzek drogi do Gdańska, w poprzek drogi do Wiednia, stanął Mahometowi IV mąż jeden, lecz mąż wielki, Sobieski. Daleki jeszcze całkowitemu dzisiaj uznaniu, prawie zapomniany, jak jego pobojowisko pod Lwowem, oparł się on całemu nawałowi islamu i bajecznie szczupłemi siły ocalił nietylko własną ojczyznę, ale cały wschód Europy.

Pierwszym z ważniejszych ku temu kroków była przesławna bitwa Chocimska, roku 1673, odwdzięczona wyniesieniem zwycięzcy na tron królewski; drugim—przedkoronacyjna kampanja z roku 1674, przezwana od Francuzów „cudowną“ rozpoczęta szeregiem korzyści oręża tureckiego śród lata, a zakończona nagłą klęską pod zimę; trzecim wreszcie chwała również przedkoronacyjnej jeszcze kampanji z roku 1675, nasza wygrana pod lwowską Górą Zamkową.

O niej to bliższa wzmianka tutaj.

Chodziło Porcie o uiszczenie pokoju buczackiego, który jej przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego egzekucji nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś zwycięzki oręż nowego króla. Doświadczeniem roku zeszłego nauczyli się Turcy, iż chcąc jakąkolwiek wojnę z Polską szczęśliwym zakończyć skutkiem, należy zakończyć ją wcześnie przed zimą. Stąd już o pierwszej wiośnie wyruszyły tego roku wojska sułtańskie w pole. Wyruszyły z dwóch stron, od Dniepru i Dunaju, dwiema wielkiemi armjami, „zdolnemi (jak mówiono) zawojować nietylko Polskę, ale pół świata.“ Jedną, tatarską, rozsypującą się co chwila w drobne łupieskie oddziały, prowadził chan W. Selim-Geraj, przodkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy któremi słynął osobliwie stryj chański Ssafa-Geraj, zwany powszechnie od godności swojej „sułtanem Nureddynem,“ t. j. wtórym z domniemanych następców tronu chańskiego. Drugiej armji tureckiej przewodził seraskier, czyli najwyższy dowódca wojsk ottomańskich,

Sziszman Ibrahim, mający pod sobą 15 baszów, pomiędzy temi pieciu wezyrów, a nadto obudwóch hospodarów wołoskich. Razem liczono siły nieprzyjacielskie na 150 do 200,000 wojowników.

Przeciw tak wielkiej potędze broniła całej Polski garstka rozmaicie uzbrojonego wojska, cokolwiek starodawnej husarji, kilkanaście chorągwi pancernych i kozackich, kilka pułków piechoty krajowej i cudzoziemskiej, razem zaledwie 25 do 30,000 ludzi, rozrzuconych maleńkiemi kupkami na szerokiej przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. O rychłym powiększeniu obrony, choćby o pospolitym ruszeniu, uznanym oddawna za tłum wcale gnuśny, niesforny, bezużyteczny, nie można było myśleć. Tylko cud, cud gienjuszu wojennego, korzystającego przedewszystkim z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj.

Nieukoronowany wciąż jeszcze król — obozował w świeżo oswobodzonej Ukrainie. Nieskończenie większy jako wojownik głową, niż jako wojownik szablą, wlepił on chciwie wzrok w poruszenia nadciągających wrogów, śledząc z niespokojnością, na którą z wschodnich prowincji polskich, na Ukrainę-li, czy odrazu na Ruś Czerwoną uderzy wyprawa tegoroczna.

Muzułmanie wymierzyli cały swój zamach przeciw królowi, rozlali się po Ukrainie. Jan Sobieski odetchnął. „Seraskier Ibrahim niedołęga!“ — zawołał. — „Nim jesień minie, ubędzie jego ogromnej armji!“ Zaczym umyślnie ustępując mu miejsca, cofnął się Sobieski na Ruś, a Tatarzy i Turcy zaczęli dobywać zamków i miast ukraińskich. Zabrało im to wiele czasu i nie przyniosło najmniejszego pożytku, gdyż prawie wszystkie oblężone twierdze oparły się nieprzyjaciołom, kiedy tymczasem król coraz warowniejszą pozycję umacniał sobie na Rusi.

Obierając Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go Jan zdaleka szerokim półkolem twierdz, poruczonym najdoświadczeńszym mężom. W Brodach i Załościach zamknął się z trzema tysiącami żołnierza hetman polny koronny, książe Dymitr Wiśniowiecki; w Złoczowie, z taką samą liczbą, wojewoda ruski—Stanisław Jabłonowski; w Brzeżanach chorąży w. kor. Sieniawski, w Podhajcach Makowiecki, w Zbarażu pułkownik Desautenils, w Trębowli Samuel Chrzanowski. Całe pogranicze, między Wołyniem i Podolem a Rusią, najeżyło się warowniami, uzbrojonemi za staraniem wielkiego króla,

bogdaj mieszczańską, bogdaj chłopską załogą. Nadto jął się Sobieski zwyczajnego środka paraliżowania wojny traktatami o pokój. Na wezwanie chańskie udało się trzech pełnomocników królewskich do obozu Tatarów, aby za pośrednictwem Selim-Geraja, zawiązać układy z Ibrahimem. Tym sposobem postęp oręża ottomańskiego coraz szkodliwszej doznawał zwłoki. Cesarz Mahomet IV, czyli właściwie wszechładny wielki wezyr Ahmed Kiupriuli, dziedzic dostojeństwa, gienjuszu i światoburczych zamysłów swego ojca Mahometa Kiupriuli, zżymał się z niecierpliwości. Ibrahim otrzymał rozkaz zawojować czymprędzej bezbronną Polskę z jej królem, albo dać gardło. Gdyby mu wojska nie stało, nadejdzie druga armja, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbiera się trzecia pod dowództwem samego padyszacha, na polach Adrjanopola.

Dumny seraskier Ibrahim oświadczył przed dywanem, że już dawno byłby schwytał króla polskiego, lecz nie wie, gdzie się podział. Aby go więc odszukać, aby własne ocalić gardło, rzucił się seraskier przyśpieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armje najeźdźcze, licząc przeszło 100,000 ludu zbrojnego.

Owi orędownicy polscy, stanąwszy za tatarskim pośrednictwem przed naczelnym wodzem tureckim, zostali nadzwyczajnie hardo przyjęci. „W dwóch słowach zamknijcie waszą prośbę“ — ofuknął ich seraskier — „bo trzeciego słuchać nie będę.“—„Dwa za mało!“— odpowiedzieli smutno posłowie.

Ibrahim kazał wziąć ich pod straż i prowadzić z sobą za wojskiem, jako świadków spodziewanych teraz tryumfów muzułmańskich. Nastąpiły też w istocie wszelkie wysilenia przemocy i srogości. Palono wszystkie sioła przed sobą, wbijano na pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie opanowaną twierdzę zbaraską dał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu dookoła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajcz zagnano przeszło 30,000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znaczniejszych miast i grodów uległo zniszczeniu.

Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł, unosił życie za Wisłę. Cała nawałnica nieprzyjacielska zdążała już ku Złoczowowi, mierząc prosto na Lwów.

II.

Lwów został po raz wtóry głównym szańcem królestwa. Troskliwy o niego król przybył śpiesznie do miasta. Za nim zjechała tamże z całym dworem królowa. Przygotowano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy pragnęli podzielać społem.

Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełne prawie ogołocenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca strwożone dokoła serca. Mając wyjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonji i ogniów w mieście.

Wtym doszła go wiadomość o owym doniesieniu Ibrahima do Carogrodu, jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto zagrzmiało w powitanie ze wszystkich dział, dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleźć króla. Ta starorycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazywała się wrogom.

Dziki, zabobonny, orjentalną wyobraźnią mamiony Tatar i Turek, był aż nadto skorym do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielu dopiero dniami, przystępując do zdobywania Załoziec, i chcąc zasięgnąć wróżby w tej mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu z pod Załoziec.

Wiadomo, jak dalece później sama obecność króla Jana rzucała bajeczny postrach na wrogów. Może takąż samą i teraz nadrabiając nad niemi władzą, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistszych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnej chwili posiłków, znalazło się przy królu sześć do ośmiu tysięcy ludzi, któremi dowodzili częściowo szwagier królewski i hetman polny litewski, Michał książę Radziwiłł, chorąży kor. Sieniawski, stażnik kor. Bidziński, słynny kawaler maltański Lubomirski, jenerał Korycki, pułkownikowie: Miączyński i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla pozostało zaledwie 2,000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiej dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnemi, poza ową nagą piaskową górą i jej odroślami bocznemi,

które przechadzającym się po dzisiejszych plantacjach po nad łazienkami Kisielki, ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek szczęśliwym mogło być położenie, jakkolwiek ufano wojennej sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejsze miejsce schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż tu oczekiwać będzie nieprzyjaciela, i jak przed ośmiu laty w Podhajcach, pobije go podjazdami lub zginie.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Dość pomkniona już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapał armji tureckiej, wszystko zniewalało Turków do kroku stanowczego. Na polach między Płuhowem a Jeziorną, stanowiskami Ibrahima i w. chana Selim-Geraja, odbyła się wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiej, postanowiono wyprawić znaczną część armji pod Lwów, dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tym wyraźnie była mowa), aż pod Lublin albo Jarosław, a potym z resztą armji chciano otoczyć i zdobyć miasto.

Pierwszą połowę dzieła, wymagającą nadewszystko szybkości, poruczono głównie Tatarom. Prawie cała Orda z pozostawieniem jedynie szczupłej garstki przy chanie i jasyrze, przybrawszy natomiast ochotników tureckich, wyruszyła pod naczelnictwem Ssafa-Geraja, Nureddyna i Adżi-Geraja, sułtanów, w 40,000 wybrakowanych junaków, całym pędem na Lwów. Dnia 23 sierpnia otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek Złoczowski, skąd waleczny wojewoda ruski Jabłonowski przez kilka godzin armatnim smagał ją ogniem. Tegoż samego dnia w piątek przed św. Bartłomiejem, doszła do Lwowa pierwsza wiadomość o grożącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Miączyńskiego, który w 2,500 ludzi wyprawiony na podjazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast dostawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniowscy nie wiedzieli dokładnie, jaka właściwa siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski, i powszechnie przypuszczano, że przyjdzie wytrzymać zamach obudwóch armji nieprzyjacielskich. Oczekując co chwila ich przybycia, pośpieszyło wszystko na stanowisko. Mieszczanie rzucili się z bronią w ręku na mury; lud, kobiety, duchowieństwo, zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami wzywającemi do modłów w niebezpieczeństwie uderzały z wyższego zamku arma-

ty, dając znać mieszkańcom przyległych siół, aby uciekali przed Ordą nadciągającą. W niedzielę 25 sierpnia, o samym południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących stamtąd czat przednich rozniósł się powszędy głos: „Nieprzyjaciel!“

Zatrzymany dotychczas w mieście Sobieski pożegnał teraz królowę, która wraz z ludem udała się w procesji do kościoła katedralnego, a król z całym dworem wojennym pognał do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórz zamkowych i przyległych (skąd Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury.

Nieprzyjaciel znajdował się w odległości Biłki królewskiej.

Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpniowej rozpromieniła cały widnokrąg. Wtym naraz zaczerniało niebo okropną tuczą nad Biłką i ciągnącemi tamtędy nieprzyjaciołmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Biłce na Muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednej chwili wszystkie pola pobielił. „Nie sprzyja Bóg zamachowi“—przeniknęło tajemną trwogą Ordę i Turków, głośną otuchą chrześcijan.

Korzystając z pomyślnego pomiędzy swemi wrażenia, zachęcił król do tym ściślejszego wykonania rozkazów. Szczupłe pięcio — a najwięcej ośmio-tysięczne wojsko królewskie, otrzymało następujący szyk bitwy. Pewną część wojska pod wodzą książęcia Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, wyprawił król gościńcem sichowskim aż ku Bóbrce, aby z tej najdalszej na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu, i nie dać mu obejść króla z ubocza. Reszta sił została podzielona na troje. Jedna część czyli prawe skrzydło, pod jenerałem Koryckim, stanęło poza rogatką łyczakowską, na gościńcu winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego koronnego Sieniawskiego i podkomorzego bełzkiego, oparło się o podnóże Zamku Wysokiego ku rogatce Żółkiewskiej i szerokim tamże błotom od strony Zboisk. Król ze swoim obozem, na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego Zniesienia, tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem koronnym Bidzińskim, kilka husarskich, siedem pancernych, trzy kozackie i co-

kolwiek piechoty z niewielu działek, razem mało co nad 2,000 ludzi.

Położenie obozu było według szczegółowych doniesień takie, iż mając wystąpić z niego na płaszczyznę pobojowiska ku Żółkwi, należało najprzód iść w górę ze 300 kroków, potym drugich 300 grzbietem wzgórz, pomiędzy obozem a płaszczyzną, wreszcie ciasnym wąwozem, najeżonym zaroślami, spuścić się na płaszczyznę. Ku temu wąwozowi musieli kierować się Tatarzy, chcąc opanować obóz królewski, co w istocie stanowiło główną metę wyprawy. Dlatego zwrócił król wszelką uwagę na ten przesmyk, osadził kilkuset strzelców ukrytych w gęstwinie, ustawił w pobliżu wołoskie chorągwie Bidzińskiego na straży, a na jednym ze wzgórz nad wąwozem zatoczył kilka dział, zdolnych ostrzeliwać stamtąd równinę.

Nie za tąż jednak osłoną, nie w samymże obozie zdało się wytrzymać główny atak nieprzyjaciela. Przyzwyczajony uprzedzać go znienacka, zamierzył król i dzisiaj użyć tej zuchwałości, szczęśliwej, gdy posiłkowanej gienjuszem. Zaczym obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski wojsko swoje na wzgórza nad równiną, aby w danej chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiące główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełamanych zastępów, lecz mniej użyteczne w spotkaniu się z lekkim, pierzchliwym Tatarstwem, nie wielką wróżyły tam skuteczność, przeto zabłysnął królowi nagle jeden z owych pomysłów, który dogadzając najprzód pewnej poszczególnej potrzebie, okazuje się z wielu innych jeszcze względów korzystnym. Przeciwko mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesądnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarskiej, wydał król rozkaz, aby cała husarja złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopje, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopji i rynsztunków husarskich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmiernej podówczas liczbie ciurów i służby obozowej. Zaimprowizowana tak niespodziewanie husarja, nie mająca innego przeznaczenia, jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, w dwójnasób na pozór powiększała siły królewskie. Cudownym wpływem gienjuszu, ubożuchna armja obronna sprawiała wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska; wzgórza i lasy

zamieniły się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszego, ci, którzy w innym razie byliby blizcy rozpaczy, teraz tuszyli sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn z swoją ordą postępował naprzód, śród gromów burzy gradowej, śród huku ciągłych strzałów sygnałowych z Zamku Wyższego, śród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartej z południa, okazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgórz zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężycem, rozciągniętym od Zboisk, aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana polnego Radziwiłła z relacją, iż nie masz nigdzie Tatarów w tamtej stronie. Nadeszłym z sobą wojskiem wzmócnił hetman obadwa skrzydła, przydzielając husarję husarji, hufce lekkie chorągwiom lekkim. Poczym w zamiarze zwarcia się wstępnym bojem z pogaństwem, sprowadził Sobieski swoje wojsko ze wzgórza na płaszczyznę, i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie.

Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewym skrzydle pod Zamkiem Wyższym, u przeprawy przez błota, koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie od przemożniejszego wroga ciśnięte chorągwie poczęły się tam mieszać i cofać. W tej stanowczej chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeżegnał i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko, i z trzykrotnym okrzykiem „Żyje Jezus!“ na ustach, rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie.

Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewym skrzydle. Gdy jedne oddziały armji muzułmańskiej z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i przyległe parowy przedrzeć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytej w zaroślach piechoty niezmierną czyniły szkodę. Z tym samym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa z ukrycia. Raźne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój. Długo czekały zgromadzone w świątyniach miejskich rzesze, aby nadeszła wieść ocalenia. Z przed obrazu Matki Boskiej w katedrze, udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego, i upadła tam na kolana przed wizerunkiem ś-go Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej. Obawa aby mrok wieczorny nie wsparł prze-

ważnego nieprzyjaciela, natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysileń. Złamany nim wróg stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husarja na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bezpieczeństwie. Ale równie nagłe w odwrocie, jak i w natarciu, pierzchnęło Tatarstwo w jednej chwili na wszystkich punktach. O pierwszym cieniu nocnym nie było go już na widnokręgu. „Jakby widmo straszliwe“—mówi jeden ze spółczesnych—„zjawiła się ta ogromna armja w przeciągu kilku godzin przed oblężonym miastem i znikła.“ Tylko czerwieniejący zdala pożar Lisienic, Mikłaszowa, Kamienopola, zapalonych przez ordę dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkodziła ściganiu uciekających.

Nie wiedziano zresztą z pewnością, czy nagła rozsypka tak przemożnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortelem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiadomo w ogólności, czy z samym jedynie Nureddynem, czy z całą armją Ibrahima i chana stoczono bitwę. W każdym razie zdało się rzeczą niewątpliwą, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę.

Dlatego kazał król pozostać wojsku przez noc na pobojowisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz w niebogłosy brzmiały modły dziękczynne. Po Panu Bogu i królu dopomogli do zwycięstwa najwięcej: szwagier królewski, hetman polny litewski, książę Michał Radziwiłł; późniejszy wojewoda wołyński, a teraźniejszy podskarbi nadworny koronny, Atanazy Miączyński; podkomorzy chełmiński i gienerał piechoty Krzysztof Korycki, wreszcie pułkownik Aleksander Polanowski; sławny kawaler maltański, a później kasztelan krakowski, książę Hieronim Lubomirski.

Jedno z owych dziwnych zwycięstw turecko-polskich, w których nieraz sama wrażliwość i przesądność fantazji orjentalnej, sam postrach imienia dowódcy chrześcijańskiego, decydowały o losie bitwy, kosztowała wygrana pod Lwowem cale niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni, zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali poległych ze sobą i spalili ich w dro-

dze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomorzan płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiero nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranej. Ranek 26 sierpnia ujrzał armję nieprzyjacielską w ucieczce, już o 8 mil od Lwowa. Jednej nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi z pod Lwowa, ile ciągnąc pierwej pod Lwów, uszli w trzech dniach i nocach. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającemi nadbiegły do obozu Ibrahima i chana. Przedstawiono króla polskiego panem ogromnej armji w zwycięskim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obudwóch wojsk, kazali coprędzej zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakąkolwiek pomyślnością wojenną, postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyźnie zdobyć zamek w Trębowli. Dowódca tameczny Chrzanowski utrzymał się aż do przyobiecanej odsieczy królewskiej. Jakoż nie dał Sobieski czekać długo na siebie.

W pięć tygodni po zwycięstwie pod Lwowem, znalazł się wielki wojownik na czele 20,000 żołnierza, pościąganego z bezpieczniejszych w tej chwili twierdz, i z tym wielkim dla siebie wojskiem pośpieszył ścigać podwójną armję nieprzyjacielską, która do niedawna liczyła 180,000 ludzi.

Dnia 6 października dowiedział się przerażony seraskier pod Trębowlą o nadciąganiu króla, a w kilka dni po nagłym ustąpieniu Ibrahima popod Kamieniec za Dniestr, i podobnymże ujściu ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiej.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanję roku 1675-go. Kampanją w roku 1675-ym spełzł na niczym jeden z owych gwałtownych szturmów, jakiemi Orjent od wieków uderzał w świat zachodni.

Karol Szajnocha.

---

35. Wyjątki z „Powieści o niewoli tatarskiej”.

Trudno zaiste o zmyślenie przygód dziwniejszych od historji niewoli u Tatarów i Turków, czyli według powszechnego niegdyś wyrażenia, u pogan. Ileż w niej najosobliwszych wydarzeń, ile dziwnych igrzysk losu

i zmian fortuny! Smętna, jak historja każdej niewoli, jest ona zarazem całkiem różną od wszelkich innych dziejów więziennych. Kiedy bowiem u innych ludów zwyczajnie tylko mężowie wojenni padali ofiarami niewoli, pogaństwo tatarskie i tureckie porywało ludzi bezbronnych, porywało jeszcze liczniej niewiasty, porywało może najliczniej dzieci. Kiedy pod innym niebem niewola najczęściej krótkim ograniczała się czasem, u Tatarów i Turków tylko najmniejsza i najmożniejsza część jeńców odzyskiwała wolność, wszystka reszta pozostawała w jasyrze przez całe życie. Oto kilka opowiadań o tych nieszczęśliwych.

I.

SPYTKO Z MELSZTYNA.

Niczym niewola u Tatarów i Turków nie różniła się tak bardzo od każdej innej niewoli, jak niepewnością losu pojmańców. Ponieważ jeńcy tatarscy często dopiero po kilkudziesięciu latach wracali do domu, więc nie było nigdy kresu czasowi, w którymby ich przyszło poczytać za całkowicie straconych. Gdy zaś powszechnie wiadomą było rzeczą, iż Tatarzy najchętniej żywcem biorą nieprzyjaciela, więc ktokolwiek nie wrócił z wojny tatarskiej, tego miano za jeńca i wierzono w jego przyszły powrót z niewoli.

Od kiedy znani są u nas Tatarzy, odtąd panuje zawsze takie mniemanie o ich brańcach. Z tej przyczyny w Statucie Wiślickim zawarowano, aby dla jeńców tatarskich zadawnienie w sprawach dziedzictwa zapadało daleko później, niż dla kogo innego.

Jednym z najpierwszych panów polskich, którego w ten sposób spodziewano się bardzo długo z niewoli u Tatarów, był sławny wojewoda krakowski i przyjaciel Władysława Jagiełły, Spytko z Melsztyna. Podczas wielkiej wyprawy Witolda przeciw Tatarom, pożegnał on piękną ukochaną żonę z trojgiem niemowląt, porzucił swoje książęce posiadłości, od Melsztyna w Krakowskim aż po zamki podolskie, i na czele pocztów rycerskich pośpieszył pod chorągwie krzyżowej wojny z Tatarstwem.

Dnia 12 sierpnia 1399 r., znalazło się wojsko chrze-

ścijańskie w wielkim niebezpieczeństwie od Tatarów, z którego wojewoda radził wysofać się ostrożnie. «Żal ci młodej żony i wielkich skarbów!» — okrzyknął go z żółcią zagrodowy szlachcic Szczukowski, wzywający do spróbowania hazardu.

W tejże chwili wszczęła się nieszczęsna bitwa nad Worsklą, w której wspaniałomyślny Spytko rzucił się pierwszy na wroga i zniknął w gęstwie pogaństwa. Jedni utrzymywali, że zginął, drudzy, że się dostał w niewolę. Pan Szczukowski uszedł i wrócił cało do domu, a o losie wojewody wieczysta powstała niepewność.

Przez długie lata spodziewano się jego powrotu z więzów tatarskich. Jeszcze w r. 1431 zastrzegał król Władysław Jagiełło, w układach z swoim bratem rodzonym Świdrygiełłem, obdarzonym wówczas grodami podolskiemi, aby złożył powrotnie w ręce królewskie rządy Podola, «gdyby pan wojewoda Spytko wrócił z niewoli.» Łaskawy na Spytka król Władysław byłby mu wówczas oddał zapewne ziemię podolską; ale któżby mu był wrócił żonę kochaną? Od długiego już czasu wyszła ona powtórnie za mąż, za śląskiego książęcia ze krwi Piastów, Jana z Munsterbergu. Stanąwszy u bramy swego zamku w Melsztynie, byłby chyba doznać musiał smutnego losu jednej z późniejszych ofiar niewoli krymskiej—nieszczęśliwego starosty Wilczka.

II.

STAROSTA WILCZEK.

Tuż na pograniczu Podola, ku województwu ruskiemu, leżały posiadłości rozrodzonej na Rusi familji Wilczków, klejnotu Poraj. O jednym z braci tego imienia, nazwanym w tradycji starostą Wilczkiem, panem zamku Wilczki nad Strypą, przechowało się do niedawna następujące podanie. W czasie wielkiej wojny Chocimskiej opuścił on dom i żonę, aby wyruszyć ku obronie ojczyzny od Turków i Tatarów. W rodzinnym zamku Wilczkach pozostała młoda żona z domu Złotnicka, plemienniczka panów poblizkiej wsi Złotniki, z dwoma niemowlęcemi synami. Wojna Chocimska skończyła się prędzej i szczęśliwiej, niż się można było obawiać, ale starosta Wilczek należał do jej ofiar. Nie wiedziano z pew-

nością, czy zginął, czy się dostał w niewolę, dość, że nie wrócił w progi domowe.

I nie wracał przez długie lata, ni też wieści żadnej nie nadsyłał o sobie. Tymczasem młoda starościna za naleganiem rodziny oddała rękę komu innemu. Już od lat kilku kto inny panował w Wilczkach, gdy jednego wieczora przybył tam wracający ze wschodu pielgrzym. Codziennym zwyczajem domu dano mu miejsce u stołu i proszono o wieści z dalekich krajów.

Pielgrzym zaczął opowiadać o wracających z niewoli brańcach, których długoletnie cierpienia zmieniły do niepoznania. «O, czemuż i nam Pan Bóg nie wróci ojca!»—zawołał ze łzami kilkunastoletni młodzian u stołu, przysłuchujący się z bratem opowiadaniu. «Synu mój!»—krzyknął zdradzony uczuciem pielgrzym, zrywając się ku młodzieńcowi. Nim jednak zdążył w jego objęcia, opuściły go siły, upadł, zabity szczęściem i żalem. Dopiero w rysach trupa poznano wracającego z niewoli starostę Wilczka. Pani starościna opuściła drugiego męża i poszła do klasztoru.

III.

ŻURKOWSCY.

Panów Żurkowskich porwano w niewolę najprawdopodobniej podczas wyprawy Jana Zamojskiego do Multan w r. 1595. Siedmdziesiąt tysięcy Tatarstwa walczyło wtedy bezskutecznie ze szczupłym wojskiem założyciela Zamościa, urywając tylko jeńców codziennie. Do znacznej liczby szlacheckiego i nieszlacheckiego plonu, uprowadzonego temi czasy w częstych zagonach ordy, przybyło teraz niemało brańców multańskich.

Wespół ze wszystką wcześniejszą i późniejszą współbracią niedoli krymskiej, powędrowali panowie Żurkowscy zwyczajnym sposobem na troku do Perekopu, skąd po daremnie wyglądanym okupie sprzedano ich dalej do Carogrodu. Tam znaczniejsi jeńcy szli pospolicie do Jedykuły, po polsku: Czarnej Wieży, aby w niej czekać ostatecznego wyroku woli sułtańskiej, albo nadesłania ogromnego okupu z Polski. Ubogich panów Żurkowskich pomieszczono w tłumie jeńców zwyczajnych u wioseł na galerach tureckich.

Ze wszystkich losów niewoli pogańskiej był to los najstraszniejszy. Upadały pod nim tysiące a tysiące naszych ofiar jasyru. Używane niegdyś galery miały postać ogromnych łodzi, których pośrodkiem ciągnęło się podłużne poddasze dla osady. Przeznaczeni do wiosłowania niewolnicy przykuci byli w dwuch rzędach z obu stron łodzi, po pięciu przy każdym wiośle, do dwustu pięćdziesięciu wioseł każdego statku. Obnażeni do pasa musieli wszyscy za danym znakiem rzucać się biodrami w tył na wiosła, i tylko z niezmiernym wytężeniem zdołali nadać wiosłom w ten sposób ruch należyty.

Galery takie bywały jedynemi statkami wojennemi owego czasu, a w każdej bitwie pierwsze strzały wymierzano do wioseł. Nikt też oprócz niewolników nie dawał używać się do służby wioślarskiej na galerach, co w dalszym następstwie pociągało za sobą potrzebę tym większej liczby ludzi niewolnych. Przy ciągłej zaś wojnie morskiej u Turków, przy niezmiernej liczbie uzbrajanych ku temu galer, ileż nieszczęśliwych ofiar jasyru spotrzebowali Turcy u swoich wioseł przez długie lata, ilu porwanych ziomków naszych ginęło tam rok rocznie bez żadnej wieści!

Zagrożeni podobnym losem Żurkowscy, zasługiwali ze wszystkiemi współtowarzyszami swojemi na tym większe uznanie nasze, ile że niewymownie ciężka ich dola była oraz wysokiej zacności duszy świadectwem. Należało bowiem każdemu niewolnikowi chrześcijańskiemu przyznać się tylko do gotowości przyjęcia wiary mahometańskiej, aby otrzymać uwolnienie od więzów i zostać swobodnym obywatelem tureckim. Jakoż sami panowie Żurkowscy znali niemało ziomków, którzy na tej drodze uniknęli katuszy na galerach, a nawet z czasem wrócili do ojczyzny.

Przypominał się np. w tej liczbie pan Jakób Korytnicki, znany temi czasy szlachcic z Pokucia, który chcąc pomścić brata zabitego od Tatarów, dostał się sam w niewolę krymską, a następnie kupnem w turecką. Dla uniknięcia galer zbisurmanił się nieszczerze pan Korytnicki, a znalazszy niebawem sposobność do ucieczki z ziemi pogańskiej, powrócił szczęśliwie do ojczyzny i umarł w religji chrześcijańskiej.

Ale biedni Żurkowscy nie chcieli ani pozornym ocalić się odstępstwem, a nie przybywał też żaden z owych aniołów lub Świętych Pańskich, którzy jak niżej oba-

czymy, wyzwalali niekiedy cudownie z więzów pogańskich. Dźwigali tedy po chrześcijańsku swe jarzmo, wiosłując na galerze cesarskiej i chyba tylko od śmierci oczekując zbawienia.

Po kilkunastu latach niewoli kazano im jednego razu wiosłować z Carogrodu na greckie morze. W towarzystwie trzydziestu galer wypłynęli Żurkowscy pod naczelnictwem samego Kapudan-baszy na wyprawę wojenną do Małej Azji, przeciw wybuchłemu właśnie powstaniu Druzów. Przedewszystkim chciano udać się do Negroponte dla połączenia się tam z sześćdziesięciu innemi galerami floty cesarskiej. W pobliżu wyspy Chios wydzielił Kapudan-basza dziesięć galer ze swej eskadry i kazał im skierować się ku wyspie.

Znajdował się pomiędzy niemi i statek panów Żurkowskich. U przylądku Corvo spostrzegły wysłane łodzie tureckie jakiś nadpływający ku sobie oddział okrętów cudzoziemskich. Była to eskadra ośmiu galer neapolitańskich, wyprawiona przez wice-króla Neapolu, księcia Ossuna, ku poskromieniu rozbójników morskich w Cylicji. Załoga okrętów neapolitańskich wrzała tak gorącą żądzą boju z jakiemikolwiek Turkami, iż bez wahania uderzyła na nieco większą siłę nieprzyjacielską. Wszczęła się krwawa bitwa, która prędzej niż może pragnęli sami Żurkowscy, obiecywała im uwolnienie od więzów za pierwszym strzałem.

Tymczasem strzegła ich łaska Boża, równie jak strzegła zuchwałe galery chrześcijańskie. Mimo liczbę szczuplejszą odniosły one zupełne zwycięstwo. Siedm statków tureckich zostało wziętych, trzy z trudnością uciekły. Do zabranych należała także galera panów Żurkowskich. Nieprzewidziany ten wypadek zmienił całkowicie ich los. Zwycięzcy chrześcijańscy rzucili się coprędzej do rozkuwania niewolników u wioseł, których na wszystkich galerach zdobytych naliczono z radością tysiąc. W miejsce odbitych braci poprzykuwano tyluż Turków do wioseł. Uwolnieni jeńcy padli w uniesieniu wdzięczności do nóg admirałowi chrześcijańskiemu, który wszystkich odesłał do wice-króla.

Takim sposobem znaleźli się nasi panowie Żurkowscy niespodziewanie w Neapolu. Wice-król tego państwa, książę Ossuna, przyjął ich bardzo łaskawie, ale nie myślał wcale przyśpieszać powrotu ich do ojczyzny. Odbici z niewoli tureckiej chrześcijanie przechodzili zwyczajnie na własność swoich wybawców. Podobnież i panom Żur-

kowskim przyszło pozostać w poniewolnej służbie u księcia Ossuna.

Upłynęły im w niej całe trzy lata i miało zapewne upłynąć nierównie więcej. Lubo w porównaniu z przeszłością wielkiem to było szczęściem, odzywała się przecież coraz głośniej tęsknota do stron rodzinnych. Dumając o nich żałośnie, otrzymują nieboracy jednego razu osobliwszy rozkaz od pana. Przynoszą im strój bogaty i każą im ubrać się od stóp do głowy w jedwabie i aksamity. Tak przystrojonych prowadzą dworzanie do sali wicekrólewskiej, w której zastają ucztę wspaniałą.

U stołu pomiędzy dwustu książętami siedzi wicekról, a przy nim jakiś młodzian dorodny, widocznie Polak. „Jestto syn waszego wielkiego Zamoyskiego''—rzecze wice-król do zdumionej szlachty! — „daję mu was w darze obudwóch''. Uszczęśliwieni towarzysze niewoli przypadli z kolei do kolan wice-króla i młodego pana z Zamościa. Z ojcem wyszli niegdyś z ojczyzny, z synem powrócą teraz do niej.

Jakoż stało się to niebawem. Jeszcze tegoż samego roku 1617 zawitał młody Tomasz Zamoyski z kilkoletniej podróży do ojczyzny, a z nim stanęli w niej także obaj wyzwoleńcy z jasyru. Hojny syn zmarłego już założyciela Zamościa dopomógł im zapewne do spokojnego spędzenia reszty żywota, czy to pod jego własnym dachem, czy pod odzyskaną strzechą rodzinną. Bądź jak bądź, dziękowali oni Panu Bogu za teraźniejszość i nie lubili wspominać o przebytym jasyrze.

IV.

STANISŁAW KONIECPOLSKI.

W pierwszych latach namiestniczych rządów Abazy w Erzerum zdarzyła się nieszczęśliwa wojna cecorska, nadzwyczajnie bogate żniwo jasyru dla Tatarów i Turków. Najprzedniejszym ze wszystkich jeńców był hetman polny koronny, Stanisław Koniecpolski. Niedawno ożenionemu kazał niepomyślny los wojny pożegnać się na zawsze z myślą o domu, zrzec się wszystkiego, co przypominało dawną świetność i chwałę. Błąkając się niepoznany pomiędzy rozsypaną dokoła pobojowiska

tłuszczą łupieżników wołoskich, zrzucił z siebie, dla utajenia osoby, wszelkie bogatsze przybory stroju, cisnął w las pierścień dyamentowy, ale nie mógł postąpić również z djamentowym krzyżykiem z relikwjami na piersi. Ten zdradził go oczom drapieżców, którzy kosztowności zabrali, a samego hetmana odstąpili srogiemu Iskander-baszy. Za uprowadzeniem przez tegoż do Białogrodu, wtrącony został hetman do dziwnie brudnej i niewygodnej turmy. „Pośrodkiem wieży przewleczony był łańcuch wielki, u którego pomykały się na kolcach inne łańcuchy. W taki tedy łańcuch i w okowy wsadzono hetmana. W wieży było tylko małe okienko, którym więźniom podawano jałmużnę.'' Po rychłej śmierci Iskander-baszy uwieziono jeńca z tego tatarskiego więzienia do Carogrodu.

Tam niewola pogańska, w dodatku do ciężkich cierpień fizycznych, dręczyła jeszcze cięższemi niekiedy pokusami. Do przyprowadzonego na dywan więźnia rzecze wezyr: „Obieraj sobie: albo na muzułmańską wiarę przystań, a pan mój da ci zaraz 50,000 wojska. Pójdziesz do Persji; co kosztem pana mojego zdobędziesz, to twoje będzie. Jeżeli tego nie uczynisz, w niewoli żywota dokończysz''. Powiedział na to hetman: „Uczynić tego nie mogę, bo gdybym Bogu i panu memu wiarę złamał, i waszej pewnie nie miałbym wiary.'' Na to rzekł wezyr: „Idźże na więzienie wieczne, a to już ode mnie grzech odpadł. Nie moja wina, na mnie nie narzekaj.''

Porwali się z dywanu wszyscy i odeszli Koniecpolskiego, który nie wiedział, gdzie się obrócić. Niebawem przecież kazał go wezyr wziąć na barkę. Odwieziono go milę za Konstantynopol do Jedykuły albo Czarnej wieży. W tym osławionym na całą Polskę więzieniu zdarzyły mu nieba o wiele znośniejsze życie, niż się obawiał. Siedział w jednej sali z dwunastu innemi więźniami różnych narodów, którzy wraz z Koniecpolskim otrzymywali kilka asprów żołdu dziennego. Przez dwie godziny na dobę pozwalano im przechadzać się na bani, czyli po górnej sali nad morzem; resztę dnia skracano sobie modlitwą, dyskursami albo grą w karty.

Na czas niejaki stała się hetmanowi niemałą rozrywką jaka taka znajomość zegarmistrzowstwa. „Aga tej wieży miał kilka zegarów, z któremi mniej się umiał sprawić. Przyszedł do więźniów, pytał się, jeśliby który nie umiał postawić zegarów. Hetman koronny rzekł:

«Gdybym widział, zrozumiem». — Rad aga kazał mu za sobą iść. Dwa mu ich naprawił. Nazajutrz przywołany do agi znowu mu dwa naprawił, a jeden z wczorajszych umyślnie zastanowił. I tak kilka czasów wychodził do owych zegarów''...

Nieskończenie większą pociechę sprawiła okoliczność następna. Usługujący hetmanowi Turczynek przyniósł jednego razu jakiś kaftan na sprzedaż. Po łatwym targu maca hetman kupioną odzież i znachodzi coś zaszytego. Rozpara i znajduje listy z ojczyzny i tysiąc kilkaset czerwonych złotych, rzędem w szeroką lamówkę wszytych. Jeszcze w Białogrodzkiej wieży powiodło mu się przesłać wiadomość o sobie królowi i przyjaciołom, którzy teraz tajną wywzajemnili się odpowiedzią.

Przyniósł ją pewien u dworu królewskiego w Warszawie służący Tatar, skłoniony do tego obietnicą hojnej zapłaty i niechybnej wolności za powrotem z poselstwa. Potrzeba zaś było tak fortelnego znoszenia się z hetmanem, gdyż jako jeden z wodzów podjętej przeciw sułtanowi wojny cecorskiej, miał on przeciw sobie osobisty gniew padyszacha i był wyjęty ze zwyczajnego trybu postępowania z jeńcami, którym pospolicie pozwalano porozumiewać się z krewnemi o wykupno. Owóż donoszono teraz z domu Koniecpolskiemu, iż wyjedzie niebawem wielka legacja z Polski do Turków, że zalecono będzie posłowi traktować o wykupienie hetmana, przeto jest wszelka nadzieja ujrzenia go niebawem w stronach rodzinnych.

Nim to jednak nastąpić miało, ciągnęła się dalej przeszło dwuletnia już niewola w Czarnej wieży. Więzy bisurmańskie zaczęły coraz ciężej przygniatać duszę. Aż nakoniec stanął w Carogrodzie oczekiwany poseł z Korony, a z nim przybyli także wysłańcy od rodziny hetmańskiej, wiozący pisma instancjonalne od różnych osób i pieniądze na okup. Po usilnych zabiegach i targach powiodło się wykupić hetmana za 30,000 talarów twardych.

Ponieważ nadesłani z Koniecpola dworzanie przywieźli z sobą leksze talary kopowe, musiał posłujący od Korony książę Jerzy Zbaraski przydać dla dopełnienia wagi znaczną ilość własnych sreber stołowych. „A gdy wychodził z wieży hetman koronny, aga kilka baranów kazał zarznąć na wyjście więźnia polskiego i rozdać pozostałym towarzyszom niewoli. Laskę mu darował z po-

winszowaniem, aby w dobrym zdrowiu do domu przyjechawszy, z tą laską po swoim chodził ogrodzie, a hetman nawzajem 100 talarów dać mu kazał.”

Karol Szajnocha.

---

36. O. O. Trynitarze.

Najbliższą do wykupu jeńców stacją turecką był podówczas Kamieniec Podolski. W tę więc stronę zwrócili się pielgrzymi trynitarscy. Było ich dwóch: O. Michał S. Marja, właściwy redemptor, i socjusz jego, ks. Michał S. Trinitate, nowicjusz, Ormianin, mówiący doskonale sześciu językami wschodniemi. Jużto z jałmużn, już z trzeciej części dochodów zakonnych, niesiono z sobą przeszło 4,000 złp. okupu.

Pożegnawszy dnia 15 stycznia pozostałych w klasztorze czterech spółbraci, zatrzymali się obaj Trynitarze po niedługiej podróży w miasteczku Janowie, koło Trębowli. Należało uwiadomić stamtąd baszę kamienieckiego o swoim przybyciu i zamiarze. Nastręczył się z pomocą pewien mieszczanin janowski, nazwiskiem Ksornet, obiecując wynaleźć stosownych wysłanników. Zdało się to rzeczą niełatwą, ile że kilku zawezwanych ku temu ludzi wymówiło się od posyłki, jako nadmiernie uciążliwej i niebezpiecznej. Prócz tego sam Ksornet przedstawił ojcom w najusilniejszych wyrazach bezskuteczność pielgrzymki do Kamieńca. Wyprawieni wreszcie tłumacze przynieśli stamtąd wiadomość, iż basza kamieniecki domaga się, aby wykupna w Kamieńcu dopełnił nie ks. redemptor lecz Ksornet.

To wzbudziło podejrzenie o. Michała. Nasunęły się jeszcze inne powody niedowierzania rzetelności informatora janowskiego. Lękając się tedy dalszych sideł, opuścili Trynitarze potajemnie miasteczko, i w najtęższe mrozy, nocując po dwakroć w lesie, zmierzali do Kamieńca.

Dnia 2 lutego rozwarły się przed niemi bramy twierdzy tureckiej. Wnijście nieznanych dotąd zakonników wprawiło w ruch całą ludność. Gruchnęły najdziwniejsze o nich pogłoski. Jedni mieli ich za wysłańców samegoż papieża, przybyłych z ogromnemi skarbami,

w chęci wykupienia wszystkich jeńców chrześcijańskich. Inni widzieli w nich szpiegów, czarnoksiężników, godnych śmierci niezwłocznej. Dla uśmierzenia rozruchu ulicznego kazał basza wziąć ich natychmiast pod straż i przyprowadzić przed siebie.

Na szczęście znalazł się pomiędzy domownikami baszy uczciwy Turek, marszałek jego dworu, który nietylko przejednał pana, lecz owszem ułatwił zakonnikom jaknajprędsze dokonanie zamiaru. W przeciągu kilku godzin dobito targu o tylu niewolników, na ilu wykupno starczył fundusz niewielki. Wróciło zań ojczyźnie i rodzicom ośmiu jeńców szlachetnych, pomiędzy niemi dwie kobiety. Z radosnym sercem spoczęli pielgrzymi chrześcijańscy przez noc pod dachem gościnnego marszałka.

Przy pożegnaniu jutrzejszym oświecił ich zacny gospodarz względem podstępności Ksorneta. Zadłużony u kupców kamienieckich, umyślił on zaspokoić ich żądania pieniędzmi trynitarskiemi, i sam w tym celu udał się przez swych wysłańców z prośbą do baszy, aby nie dozwolił Trynitarzom wstępu do miasta. „Na drugi raz“— zakończył Turek — „bądźcie ostrożniejsi i nie wchodźcie w umowy z nikim innym, jak tylko z nami.“ W jaką taką oznakę słusznej wdzięczności udarowali go Trynitarze dwudziestu lewami tureckiemi. Za to dał im marszałek konwój sześćdziesięciu spahów, którzy aż do samej granicy polskiej odprowadzili bezpiecznie księży i jeńców.

Kilka dni drogi przywiodło ich z powrotem do Lwowa. Przed uroczystym wnijściem do miasta zatrzymało się całe grono na przedmieściu halickim, w klasztorze Karmelitów. Stamtąd zostali wyzwoleńcy przedstawieni przez superiora Trynitarzy hemanowi w. k., Stanisławowi Jabłonowskiemu, który wszystkich hojną zaopatrzył jałmużną. Poczym odbyła się solenna introdukcja redempcji (uroczystości wyzwolenia) w progi świątyni trynitarskiej.

Oprócz zakonników świętej Trójcy uczestniczyli w niej gospodarze klasztoru, z którego procesja wyruszyła. Urządzono ją według osobnych przepisów ceremonjału trynitarskiego. Wykupieni postępowali rzędem, naprzemian z zakonnikami. Wszedszy bramą halicką, ciągnął pochód przy odgłosie śpiewów pobożnych, śród bicia dzwonów przy tłumnym zbiegowisku ludności,

przez cały rynek, ku nowemu klasztorowi na Krakowskim.

Każdy chciał przypatrzeć się tej nieznanej jeszcze uroczystości jeńców. W niewielkiej ich liczbie znajdowały się wszystkie stopnie wieku ludzkiego. Widziano tam starą szlachciankę Tarczewską, trzymaną przez półtora roku w niewoli, wykupioną za 180 złotych. Tuż po niej szli dwaj młodzi niewolnicy, opłaceni nierówno drożej, bo po 450 złp. Za niemi szła niewiasta z dziecięciem, urodzonym w trzy miesiące po wzięciu w jasyr. Kosztowali oboje najwięcej z całego grona, gdyż za matkę musieli Trynitarze dać złotych 600, a za dziecię 240; dwaj dalsi brańcy byli w samej sile wieku i zostali stosownym po 600 i 450 złp., ocenieni okupem. Zamykał się szereg starcem, niejakim Piątkowskim, wynędznionym osiemnasto-miesięcznemi więzami, z których 300 złotych go wyzwoliło.

Stanąwszy w małym kościołku trynitarskim, na którego miejscu, w czasie popadnięcia jeńców w niewolę, wznosił się jeszcze brudny opustoszały budynek, upadli wszyscy ze łzami na kolana, składając dzięki niebiosom i zacnym zakonnikom. Cała też ludność miejska przejęła się odtąd nierównie gorętszą życzliwością dla Trynitarzy. Jak to przy każdej redempcji w zwyczaju było, poświęcono i to pierwsze dzieło tego wyzwolenia pewnemu szczególnemu protektorowi zakonu. Wywdzięczyli się Trynitarze tym sposobem kardynałowi Denhoffowi, swemu pierwszemu sprowadzicielowi do Polski, bawiącemu wciąż jeszcze w Rzymie.

We dwa lata po pierwszej redempcji, śród ciągłych prac i trosk około rozszerzenia budynku klasztornego, podjęto drugą podobnąż wyprawę. Przewodniczył jej znowu poprzedni redemptor, ks. Michał S. Marja, z swoim socjuszem. Znaczniejsze jałmużny, uzbierane przez ks. redemptora po różnych domach szlacheckich, a osobliwie w Grodnie, u obojga królestwa i panów dworskich, dostarczyły środków do wykupienia większej liczby nieszczęśliwych.

Tym razem miano jednakże postępować innym trybem. Zarzucając poprzedniej wyprawie zbyteczne narażanie się na osobiste niebezpieczeństwo, zalecono teraz obudwom wykupicielom dopełniać dzieła i za pomocą wysłanych naprzód tłumaczów. Dla zasięgnięcia rady w tej mierze, wstąpili obaj redemptorowie po drodze do w. k. hetmana Stanisława Jabłonowskiego. Znajdował się

u niego kozak dworski, nietylko z imienia, jak dziejopis trynitarski donosi, lecz i z charakteru—Barabasz. Ten dowiedziawszy się, że Ojcowie, skutkiem rady powziętej, mieli z Czernielicy koło Zaleszczyk wyprawić tłumaczy z pieniędzmi do Kamieńca, rozporządził dziesięciu poufnych kozaków, którzyby ich rozbili.

Jakoż w istocie, dostawszy się potajemnie wraz z księżmi do pomienionego miasteczka, wybiegli rabusie na spotkanie wyprawionych stamtąd tłumaczów, napadli ich, odebrali pieniądze i poczęli uprowadzać związanych. „Zdarzyło się przecież miłosierdziem Boskiem"—opowiada kronika klasztorna—„że jeden z tłumaczy wyśliznął się z rąk hultajom, i pośpieszywszy do ks. redemptora w Czernielicy, wszystko co się stało, rzetelnie opowiedział. Struchlał na taką nowinę wraz z swym towarzyszem o. Michał, a nie wiedząc co czynić, udał się najpierw do Boga, a potym do komendanta chorągwi, stojącej właśnie w miasteczku.

Temu rzecz całą przedłożywszy, otrzymali Trynitarze kilkunastu żołnierzy do ścigania złoczyńców. Odważni wojownicy przetropili wszystkie przyległe góry, doliny i kryjówki, lecz dla wielkiego mrozu i wiatru z śniegiem, nie zdołali upatrzeć żadnego śladu. Już tedy z powrotem powracać miano, gdy nagle jeden z pomiędzy nich spostrzega, iż z niezbyt dalekiego jaru wybuchał w górę słup dymu. To samo i drudzy obeczywszy, domyślili się jakichś niebezpiecznych ludzi przy odludnym ognisku, i czemprędzej skierowali w tę stronę.

Znaleziono wkrótce wszystkich dziesięciu bezbożników dokoła ognia, z powiązanemi tłumaczami opodal. Nie było sposobu ucieczki lub oporu. Wzięto wszystkich bezbronną garścią, związano ich temi samemi sznurami, z których uwolniono tłumaczów, i odszukawszy po kieszeniach zbójeckich całej sumy trynitarskiej, oddano jeszcze tegoż wieczora pieniądze ojcom uradowanym, a hultajów pod sąd.

Powtórna pomyślniejsza posyłka pieniędzy i tłumaczów do Kamieńca wyjednała tam bez trudności trzynastu nowym niewolnikom upragnioną swobodę. Przybyłych z tłumaczami z Czernielicy, przyjęli oo. Trynitarze pod swą dalszą opiekę. Poczym posilonych, odzianych, wyspowiadanych, wprowadzono znowu z tą samą ceremonją do świątyni trynitarskiej we Lwowie. Dedykację tej redempcji otrzymał król Jan III.

Pomyślny wpływ, jaki obiedwie pierwsze redempcje

sprawiły na usposobienie ludności względem zakonu, zachęcił do tem gorliwszych usiłowań na przyszłość. Już w roku następnym 1691, odbyła się nowa wyprawa, równie szczęśliwym ubłogosławiona skutkiem. Prowadził ją znowu ks. Michał zapomocą znacznie większych funduszów. Podczas gdy obie poprzednie redempcje razem tylko 11,727 złp. wydać mogły na okup, obecna trzecia miała do rozporządzenia blizko 34,000. Nadto otrzymali redemptorowie od Rzeczypospolitej osiemnastu jeńców tatarskich, dodatkiem za niewolniki chrześcijańskie. Dzięki tym podwojonym środkom, wykupiono tym razem za pośrednictwem tłumaczów, bez żadnych zresztą przygód, 43 brańców w Kamieńcu. Znajdowali się pomiędzy niemi bez różnicy szlachta i chłopi, mężczyźni, dzieci. Była to jedna z najświetniejszych redempcji. Wprowadzona z zwykłą ceremonją do Lwowa, przypisana hetmanowi w. k., Stanisławowi Jabłonowskiemu, poparła ona skutecznie dalsze starania Ojców około rozszerzenia swego klasztoru i zakonu.

Karol Szajnocha

---

37. Jan Długosz.

(1415 † 1480)

przez Adolfa Pawińskiego.

I.

Ojciec dziejopisarstwa polskiego, należy poniekąd do tego szeregu ludzi, spotykanych dość często na kartach historji, którzy przez wiek swój spółczesny lub następny nie ocenieni dostatecznie, dopiero po upływie setek lat odnoszą dank słusznego za swe dzieła i prace uznania. Sprawiedliwsza w ocenianiu zasług swych poprzedników potomność skwapliwie chwyta zdarzoną sposobność, żeby choć późno uwieńczyć wawrzynem imię pełne chwały narodowej, aniżeli pozwolić nadal trzymać je pod pleśnią zapomnienia wieków. Lubo Długosza nie spotkał los tych męczenników nauki, których dzieła padły ofiarą prześladowczego ducha czasu, których owoce pracy zaginęły, zasypane gruzem lekceważenia; lubo Długosza płody olbrzymiej usilności i niepospolitego umysłu nie przepadły, na szczęście, dla potomnych wie-

ków, przyznać atoli trzeba z drugiej strony, że dziwnym zbiegiem okoliczności pomnikowe dzieło jego, stanowiące słuszną chlubę narodową, przez długie i długie bardzo lat szeregi nie zdołało sobie zjednać tego wysokiego uznania, na jakie sprawiedliwie ze wszech miar zasługiwało niegdyś i dziś zasługuje.

Mamy tu przedewszystkim na widoku jego „Dzieje Polski", dzieło tak wielkiej wartości nietylko w rocznikach dziejopisarstwa polskiego, ale i w rozwoju historjografji europejskiej, że w średnich wiekach żaden z narodów, należących do zakresu cywilizacji łacińskiej, zachodniej nie zdobył się na wspanialszy w tym kierunku pomnik swej umysłowości. Powstało ono wprawdzie w swym zarodzie w chwili, kiedy wynałazek Gutenberga nie był jeszcze w Polsce znany, ukończone zaś zostało, kiedy sztuka drukarska zaledwie do Krakowa przedostawać się zaczynała; utrwaliło się więc tylko na tych kartach papierowych czy pergaminowych, i, niestety, na nich przechowało się, ale — dodajmy w ukryciu. Przez długi bardzo ciąg czasu skarb ten, jak zaklęte kosztowności, pozostawał w zamknięciu, oddzielony murem nieprzebytym od świata Bożego, mało dostępny dla tych, którzyby w dalszym ciągu lub w minionej przeszłości ku swemu zbudowaniu rozglądać się chcieli.

Kiedy się niebawem w Polsce druk rozpowszechnił, kiedy więc myśl ludzka mogła tysiące skrzydeł rozwinąć do lotu, nastała chwila, że każde pisane słowo stawało się niejako własnością ogółu. Pergaminowe księgi, więzione przez długie wieki w bibljotekach, wychodziły na jaw, na światło dzienne, żeby roznieść swą mądrość po wszystkie kraje, do wszystkich zakątków. Zakwitnął w Polsce wiek złoty. Uprawiano skrzętnie wszystkie niwy wiedzy ludzkiej. Nie leżało też odłogiem dziejopisarstwo krajowe: wskrzeszali przeszłość Wapowski, Miechowita, Bielski, Kromer i inni. Kromera historyczny utwór nie spoczywał także długo w rękopiśmie. Zaledwie dzieło powstało, już je rozpowszechnił druk zagraniczny w kilku wydaniach. Ukazywały się wszędzie polskie lub łacińskie księgi.

Długosz zaś daremnie czekał na wspaniałomyślnego wydawcę, któryby go wywiódł z ciemności archiwum lub bibljoteki. Wiek złoty piśmiennictwa, wiek rozwoju literatury, widział u nas przeróżnych pisarzy dzieła, ale tenże wiek nie uznał za stosowne ozdobić swojego czasu ogłoszeniem Długoszowej wspaniałej pracy. Dziwne

też miał o niej nawet pojęcie. Sarnicki, który także na dziejopisarskim orał zagonie i więcej niż kto inny mógł być przygotowanym do trafnego ocenienia pomnikowego dzieła Długosza, wyraził się o nim z takim lekceważeniem, że spotkawszy się z podobnym sądem, łatwo zrozumieć, dlaczego imię ojca dziejopisarstwa polskiego pozostało tak długo w zaniedbaniu. „Rudis indegestaque moles'', powiada Sarnicki o Długoszowej księdze Dziejów Polskich,—powtarzając owe słowa Owidyusza o tej niekształtnej a ciężkiej bryle, jaką ziemia przed stworzem przedstawiała. Czyż może być więcej niesłuszności nad to płytkie zdanie o jednym z największych dziejopisów tego średniego czasu, który wieki nowe poprzedził?!..

Innego na szczęście, był zdania Szczęsny Herburt, pan możny na Dobromilu, który założywszy w tem mieście własną drukarnię, wydał w niej początkowo cztery, a następnie w 1615 roku sześć ksiąg «Dziejów» Długoszowych. Jeśli więc nie w całości, przynajmniej w połowie ujrzało światło dzienne dzieło tak długo trzymane w ukryciu.

Ale niebawem nad tym utworem, nawet niedokończonym, który zaledwie w części wychylił się na świat, zawisła burza ciężkich przeznaczeń. Gromy prześladowania królewskiego uderzyły w tę maluczką, młodzieńczą istność i na długie lata znów przytłumiły wzrost sławy imienia znakomitego dziejopisa Polski. Bowiem Zygmuntowi Wazie doniesiono wkrótce o wydrukowaniu pierwszych ksiąg «Dziejów Polskich» Długosza, oraz że się w nich mieszczą sądy i zdania uwłaczające powadze majestatu królewskiego, sławie Rzeczypospolitej, Wyszedł więc pod dniem 20 grudnia 1615 roku rozkaz królewski z Warszawy do władz sądowych i wykonawczych, polecający zabierać na rzecz skarbu «Historję» Długosza i wzbraniający jej sprzedaży. „Dotychczas bowiem, są słowa króla Zygmunta III, księgi te nie bez słusznej naszych przodków zasady, poniekąd milcząco były potępione.

Tak więc nie powiodło się pierwsze publiczne wystąpienie Długosza. Co gorzej, na długie lata rozkaz królewski, który niejako rzucił klątwę na znakomity utwór dziejopisarstwa polskiego, powstrzymał możność rozpowszechnienia tego wspaniałego pomnika umysłowej naszej przeszłości. Długosz, jak poprzednio tak

i nadal, pozostał w ukryciu i znów pleśń pokryła imię, które blaskiem szczerego złota świecić było powinno.

Dopiero w sto niemal lat po owym pierwszym usiłowaniu podjętym przez Herburta, ukazał się w druku całkowity utwór dziejopisa naszego. I jakiż dziwny zbieg okoliczności: krzywdę wyrządzoną Długoszowi powetował i nagrodził nie rodak, nie ziomek, ale cudzoziemiec. W Lipsku w 1711—12 roku poraz pierwszy ujrzał światło dzienne utwór historyczny dziejopisa polskiego w całej swej rozciągłości — ksiąg dwunastu. Tak długo czekać musiała literatura ojczysta i piśmiennictwo europejskie na całkowite dzieło Długosza, na tę ozdobę naszej umysłowości i całego dziejopisarstwa rozwoju łacińskiego w wiekach średnich. Jakkolwiek w kilkadziesiąt lat później sporządzono już i w Warszawie ponowne wydanie pomnikowej pracy Długosza, ale ponieważ brakło ostatniej księgi,—nie można przeto tego wydania nazwać całkowitym. Tak więc do ostatnich nawet czasów, za świeżej naszej pamięci, niejednokrotnie uciekać się należało do owej kompletnej, lubo błędnej pod względem tekstu edycji lipskiej, — gdy chodziło o odszukanie wiadomości podanych przez naszego dziejopisa w końcowej księdze, zamykającej całe dzieło.

Dopiero w nowszym okresie lat, za naszego już życia, stało się zadość prawdzie i sprawiedliwości. W łonie byłego Towarzystwa naukowego krakowskiego powstała myśl wydania wszystkich dzieł Długosza. Ten piękny zamiar postanowił do skutku doprowadzić Aleksander hr. Przeździecki, dając na ten cel potrzebne pieniądze. Tym hojnym darem zespolił nazawsze wspaniałomyślny orędownik polskiego piśmiennictwa nazwisko swoje z wiekopomnym imieniem ojca dziejopisarstwa polskiego. I nietylko zaopiekował się wydawnictwem pod względem materjalnym, przyjąwszy na siebie wszelkie nakłady, ale sam czynną także przyłożył rękę, poświęcając się odszukiwaniu rękopisów po różnych bibljotekach, porządkowaniu materjału, który miał za podstawę posłużyć do całego wydawnictwa.

Od 1863 roku zaczęły się ukazywać w pięknym zewnętrznym kształcie, w ozdobnej rzec nawet można szacie, prace Długosza, które w XIV-tu tomach winny były objąć całą po nim piśmienną spuściznę.

Doczekał się więc Długosz za naszych czasów należnego uznania. Pierwszy dług zaciągnięty względem

ojca dziejopisarstwa polskiego spłacony został. Wydanie zupełne jego dzieł stanowić będzie główną podwalinę niespożytego pomnika, który sobie autor sam wystawił swą ręką, a który wdzięczna potomność ozdobić i uświetnić—za obowiązek poczytać sobie powinna. Tym też bezwątpienia powodując się uczuciem, postanowiła Akademja Umiejętności w Krakowie skorzystać ze sposobnej chwili czterechsetletniej rocznicy śmierci Długosza, ażeby hołd należnej czci i uwielbienia złożyć temu, którego tak długo los zawistny trzymał w lekceważącym zapomnieniu. Wyrazem tego hołdu jest przeniesienie urny z popiołami historyka, mieszczącej się w krypcie kościołka świętego Stanisława na Skałce, do sarkofagu, wzniesionego w tejże świątyni Pańskiej; jest uroczyste w katedrze krakowskiej nabożeństwo, wyrazem tego hołdu są wreszcie pod godłem imienia Długosza walne obrady doroczne Akademji Umiejętności, poświęcone przedewszystkim sprawom dziejopisarstwa krajowego. Pośpieszmy i my wszyscy, zdala będący, ze słowami uznania dla niespożytych zasług ojca historjografji polskiej i uczcijmy jego pamięć oraz dzień czterechsetnej rocznicy śmierci, zastanawiając się nad znaczeniem jego pracy wiekopomnej.

II.

Z pomiędzy licznych dzieł Długosza, poświęconych dziejom narodowym w tym lub owym kierunku, jedno przedewszystkim wznosi się nad inne wielkością pomysłu, ogromem rozmiarów, stopniem jego wykończenia. Są to dzieje Polski w XII-tu księgach opowiedziane, właściwie noszące w języku łacińskim, którego użyto do wykładu piśmiennego, miano „Historia Polonica”. Pozostawił wprawdzie po sobie Długosz, ważny bardzo dla badacza dziejowego opis majętności, należących do kościoła krakowskiego, tak zwane księgi beneficjów, pozostawił i inne niemniej pod względem historycznym cenne dzieła, ale „Historja Polska” stanowi najważniejszą i najszerszą podwalinę sławy i wielkości naszego dziejopisa XV wieku. Wiele niepospolitych zalet złożyło się na wysokie znaczenie, jakie pracy Długosza przypisać należy wobec dziejopisarstwa krajowego i wobec historjografji ogólnej tamtoczesnych wieków. Sam kształt

zewnętrzny, sam ogrom rozmiarów zastanawia dzisiejszego badacza i budzi w nim podziw, a zarazem wywołuje na usta słowa uwielbienia dla śmiałej myśli, którą Długosz powziął — zbudowania jednej wielkiej świątyni narodowych dziejów. Zamierzył on ogarnąć swym słowem, swoją opowieścią całą przeszłość Polski, od czasów ginących w pomroce niepewnego podania aż do współczesnej sobie doby. Nikt przed nim podobnie obszernego nie wzniósł gmachu, nikt nie wszedł na tak szerokie tory.

Wziął on na swe barki niepospolity ciężar i dźwignął go mocą Herkulesową. On postanowił wieki przeszłe w opowieści i obrazie wystawić, opierając się na dawniejszych dziełach oraz pomocach, z własnej zaś pamięci zamierzył wysnuć wątek wypadków współczesnych. Tak więc stanął gmach dziejów Polski, obejmujący w XII-tu księgach jej przeszłość, począwszy od prastarych podań aż do pamiętnej chwili, kiedy w 1480 roku śmierć wytrąciła historykowi z ręki pióro, kreślące wypadki świeżo minionych dni i miesięcy. W pięciu grubych tomach większego rozmiaru, według najnowszego dziś wydania, zawarła się cała obszerna treść wielkiej opowieści Długoszowej.

W śmiałym polocie myśli powstał pomysł olbrzymiego dzieła. Śmiałości bowiem istotnie potrzeba było, aby powziąć zamiar zbudowania tej rozległej świątyni dziejów krajowych, do czego tak mało jeszcze było materjałów przygotowanych. Wszystko własną należało opracować ręką, zgromadzić wiadomości, ująć je w ład i porządek, ogarnąć okiem, przeniknąć duchem i wznieść z nich gmach wspaniały. Myśl sama wielka i lotna, zrodziła się jakby na łonie wielkiego czasu, tchnącego pełnią młodzieńczego życia. Jest ona rodzonym dzieckiem tej pamiętnej chwili bujnego rozkwitu, kiedy potęga ówczesnego państwa oparła się o granice, sięgające ujść Wisły i Dniepru. Po zwycięstwie Grunwaldzkim, Polska coraz więcej nabierała wagi i znaczenia w losach ówczesnej Europy, a w drugiej połowie XV wieku wyszła już na szeroki gościniec wielkiego wpływu europejskiego. W pamiętnej dobie tego rozkwitu politycznej potęgi, zrodziło się usiłowanie na polu dziejopisarstwa, usiłowanie, które Długosz w swym dziele urzeczywistnił.

III.

Twórca pomysłu posiadał wszelkie warunki po temu, by się godnie wywiązać z podjętego zadania. Przyrodzone zdolności wykształcił Długosz usilną pracą, do której miał zawsze pociąg od lat najmłodszych. Tym wysokim przymiotom umysłu winien też był swoje wyniesienie. Jako sekretarz kardynała Zbigniewa Oleśnickiego znalazł sposobność wykształcenia swego pióra; jako pośrednik używany przez króla do różnych poselstw zagranicznych, oswoił się z tajemnicami bieżącej polityki; jako kierownik i mistrz synów królewskich miał sobie otwartą drogę do wszelkich źródeł urzędowych, wyświecających dzieje minione i współczesne.

Nie te jednak okoliczności zasługują tu na szczególniejszą uwagę. Inną tu mamy jeszcze na względzie stronę, którą uwydatnić należy przy ocenianiu warunków, wśród jakich powstało dzieło Długosza. Dziejopis nasz przystąpił do wykonania swego przedsięwzięcia z gorącą miłością przedmiotu, z tą miłością wielką i głęboką, pod wpływem której jedynie powstają dzieła niepospolitych myślicieli. To uczucie głębokie, ten zapał nieostudzony, to przywiązanie serdeczne do zamierzonego przedsięwzięcia, do ideału wypieszczonego w duszy, staje się zawsze niewyczerpaną krynicą natchnienia. O tym uczuciu mówi Długosz tak często w swojej przedmowie, a wspomina w tak prostych słowach, że ani na chwilę o szczerości ich wątpić niepodobna. To uczucie staje się dlań źródłem pociechy, ożywczym tchnieniem wśród mozołu i pracy, rozkoszą wśród ciernistego zawodu dziejopisarskiego. Nazywa je zaś Długosz miłością ojczyzny—caritas patriae. Dwadzieścia też pięć lat nieustannego znoju i trudu poświęcił dokonaniu swego dzieła. W imię tego uczucia podjął się swojej pracy i dosnuł jej wątek do końca. Ono jak nić czerwona ciągnie się przez wszystkie części całości, ono ogarnia nawskroś cały utwór i w każdym niemal odbija się rozdziale.

Budowa wzniesiona ręką Długosza składa się z dwu nierównych sobie części: jednej większej, gdzie dziejopis wspiera się na pomocy obcej swych poprzedników, drugiej zaś mniejszej, gdzie opowiada wypadki współczesnej doby, na które własnemi patrzył oczyma, albo sam w nich czynny przyjmował udział. Wartość ich

pod względem historycznym różna jest, różną też winna być mierzona miarą. Jeśli wielką przywiązujemy wagę do wiadomości, które Długosz podał w ostatniej księdze swych „Dziejów Polskich", zamykając w nich lata panowania Kazimierza Jagiellończyka do 1480 roku, bo opisywał wypadki współczesnej sobie doby, o których dokładnie był powiadomiony, występując niekiedy czynnie na widowni politycznej i posiadając wszelkie środki poznajomienia się z biegiem najważniejszych zdarzeń,—jeśli wysoko cenimy tę właśnie część całego dzieła, — jako jedyne niemal krajowe źródło, skąd spływa tak obfite światło na tyle ważną epokę ówczesnych dziejów Polski, — to i poprzednie rozdziały pierwotnej historji nie są bynajmniej pozbawione wartości.

Wprawdzie niejeden błąd zakradł się do opowieści, jak łatwo zrozumieć, wobec ogromu zadania i materjału, nad którym należało zapanować. Nie wszędzie przeto, szczególniej pod względem chronologicznym, zachowaną została ścisła prawda. Są to jednak drobne uchybienia, tym więcej zasługujące na pobłażanie, ile że mimowolne.

Przyznać też trzeba, że wszędzie przebija się usilne staranie, aby rzecz swoją uczynić zajmującą, przedstawić ją jasno, potoczyście, językiem nietylko odpowiadającym powadze przedmiotu, ale też starannym, nie pozbawionym wdzięku nadobnego wysłowienia. Językiem tym, którego dziejopis używa za narzędzie do wyrażenia swych myśli, włada Długosz wprawnie i z wielką łatwością, jak gdyby własną mową rodzinną — a jest to nie język polski, macierzysty, ale język łaciński, który ojczystą mowę zastępował w Polsce we wszystkich sprawach, wychodzących poza zakres codziennego, domowego życia: w szkole, w prawodawstwie, w polityce i w kościele. I ta strona zewnętrzna Długoszowego dzieła jaśnieje zaletami, które samego pisarza stawiają wyżej ponad tłumy współczesnych dziejopisów wszystkich innych narodów Europy. Łacina Długosza—to nie łacina tych kronikarzy średniowiecznych, co to w nieudolności swej nieraz uciekali się do używania zwrotów i wyrażeń, tak zwanych barbarzyńskich, owszem, jest to łacina urobiona na wzorach klasycznych, połyskująca wdziękiem przejętym od autorów starożytnych.

Co za strata niepowetowana, że Długosz nie użył polskiej mowy do swojego wielkiego dzieła! Ale jeszcze język ówczesny polski nie posiadał potrzebnego ku

temu wyrobienia, jeszcze zresztą nie przyszedł był czas, kiedy u nas mowę pospolitą, mowę powszechną narodu uznano za odpowiednią do rzeczy naukowych.

Z tego jednak, że Długosz nie użył do swego dzieła mowy polskiej, wniosków niekorzystnych co do jego uczuć narodowych bynajmniej wyprowadzać nie należy. Mowa ówczesnego uczonego koła wszelkich krajów i narodów nie stłumiła przywiązania do rzeczy swojskich.

Dość przeczytać wstęp do Dziejów Polskich, w którym się mieści jego przemówienie do Zbigniewa Oleśnickiego. Tam owa „caritas patriae“ bije w każdym niemal słowie tętnem serca, przez które płyną fale wezbranego uczucia. Dość przypomnieć sobie ową radość dziejopisa z powodu odzyskania Prus, niegdyś przez Krzyżaków zagarniętych. „I ja piszący te kroniki, tak zaczyna Długosz opowiadanie wypadków zaszłych w 1467 roku, czuję niemałą pociechę z ukończenia wojny pruskiej, odzyskania krajów zdawna od Królestwa Polskiego odpadłych i przyłączenia Prus do Polski. Bolało mnie to bowiem, że Królestwo Polskie szarpane było dotąd i rozrywane od rozmaitych ludów i narodów. Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość, a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania, za łaską Bożą, i zjednoczenia z Polską Szląska, ziemi Lubelskiej i Słupskiej, w których są trzy biskupstwa od Bolesława Wielkiego, króla polskiego, ojca jego Mieczysława założone, t. j. wrocławskie, lubelskie i kamieńskie. Z radością zstępowałbym do grobu i słodki miałbym w nim spoczynek!“

A ileż to ciepła głębokiego, ile uczucia wylał Długosz w zamknięciu swoich Dziejów Polskich, kiedy, czując zbliżający się koniec życia, ostatnie słowo pożegnalne zwraca do czytelnika swego. Co to za wyznanie tkliwe a proste, szczere a rozrzewniające! Jaki spokój poważny, jaka niezamącona pogoda uczucia! Tak spokojnie, tak pogodnie zachodzi wielkie słońce u kresu swej złotej drogi i długo jeszcze, długo po ukryciu jasnego oblicza, rumianą zorzą przyświeca wśród cisnących się zewsząd posępnych cieniów nocnego zmierzchu.

---

38. Jubileusz Długosza.

Jak ważnym ogniwem pomiędzy chwilą bieżącą a przeszłością są wyższe instytucje naukowe, ożywione pragnieniem badania prawdy dziejowej, wymownie to przedstawiła uroczystość Długosza, wywołana staraniem Akademji Umiejętności. Chociaż Akademja urządzenie uroczystości odstąpiła prywatnym staraniom, niemniej jednak w rachunku ważnych momentów życia narodu, jej ten zaszczyt przyznanym zostanie.

W ciągu kilkodniowych uroczystości widzieliśmy ciągle na czele Akademję, jako ciało przodujące oświacie narodowej — w imię tej oświaty składała hołd ojcu historyków polskich. Komitet kongresu historycznego zaproszeń imiennych do nikogo z gości nie rozesłał — rozesłał tylko zawiadomienia, z wyłuszczeniem programu obchodu. Wszyscy, co się jednoczą z nami w imię spólności plemiennej lub prawdy dziejowej, która „łączy a nie rozdziela“, jak powiedział profesor Roepell, przybyli do Krakowa lub nadesłali życzenia i pozdrowienia dla Akademji, poprzedzone czcią dla pamięci Długosza.

Połączywszy doroczne posiedzenie Akademji z uroczystością złożenia szczątków Długosza w sarkofagu, na ten cel zbudowanym, związano nanowo nić, jaką przed wiekami snuć zaczęto, a potym tyle razy wśród burz dziejowych przerywano; — lecz zerwania te były tylko pozorne: na uroczystości widzieliśmy, że nić nie nadwerężona nigdzie, snuje się w dalszym ciągu na warsztacie historycznym, poruszanym pracą uczonych i sympatją ogółu.

Członkowie Akademji, przedstawiciele władzy krajowej, goście swoi i obcy i publiczność, zebrali się na posiedzenie doroczne, odłożone wyjątkowo z 13 na 18 maja, w górnej sali Sukiennic. Sztuka dekoracyjna podniosła urok zewnętrzny: — ponad wzniesieniem, na którym umieszczono katedrę, stał wielki biust Długosza, opleciony zielonym wieńcem; tło zaś tylnej ściany stanowiły chorągwie cechowe i kwiaty, malowniczo z sobą złączone.

Posiedzenie zagaił namiestnik hrabia Alfred Potocki, jako zastępca protektora Akademji, arcyksięcia Karola Ludwika. Mowa namiestnika, odznaczała się podniosłością myśli i zapałem. Wyraziwszy wdzięczność dla dostojnego protektora, który przyjął żywy i szczery

udział w tym historycznym akcie, namiestnik wspomniał następnie o gorliwych pracach Akademji i przytoczył prośbę Długosza, w której on zaklina mężów duchownych i świeckich, doktorów, profesorów, magistrów, kollegjatów, studentów, pisarzów fakultetów matki naszej, Uniwersytetu krakowskiego, aby dzieło przezeń rozpoczęte dalej prowadzili. Rozkosze nauki idealnie pojętej mówca zobrazował także słowami dziejopisarza: „nauka młode serca do sławy zapala, rozkoszą jest starców, ozdobą w pomyślności, w nieszczęściu zdrową radą i najpożyteczniejszą bywa“.

Na to przemówienie odpowiedział prezes akademji dr. Majer, — dziękując również dostojnemu protektorowi i jego zastępcy, i wyrażając cześć dla monarchy, który silny miłością swych poddanych, darzy tym, co każdy naród najwyżej ceni: swobodą kształcenia mowy ojczystej i pielęgnowania idei dziejowej.

W dalszym ciągu szanowny prezes wyszczególnił zeszłoroczne prace Akademji; udzielił dobrą wiadomość o przejściu Szczawnicy na wyłączną własność Akademji i o nabyciu zbiorów Podczaszyńskiego, które tak gorliwie wzięła w opiekę opinja, czuwająca nad całością skarbów naukowych i pamiątkowych i t. d.

Sprawozdanie swoje prezes zakończył oddaniem czci zmarłym w ciągu r. z. członkom Akademji. Cześć ta dla gorliwych pracowników z pod sztandaru naukowego, oddana w chwili Długoszowego święta, głęboko nas wzruszyła; — widzieliśmy, że obok trumny wielkiego dziejopisa, co żył temu lat czterysta, gromadzą się coraz nowe zasługi i poświęcenia, mimo zawad nieraz stokroć trudniejszych do zwalczenia od tych, jakie ulubieniec Jagiellonów w swej pracy napotykał.

Sekretarz Akademji profesor Szujski dał głos profesorowi Roepllowi, gościowi pożądanemu, jak każdy gość, co z prawdą w sercu i na ustach w nasze progi wstępuje. — Poseł naukowy od szląskiego Towarzystwa historycznego, profesor Roepell, wstąpił na katedrę i przemówił od serca, wygłaszając sympatje swoje i swych kolegów z Towarzystwa dla Akademji, dla narodu i schylając przed cieniami Długosza głowę, jak uczeń schyla ją przed mistrzem, któremu dużo, a nieraz i wszystko zawdzięcza.

Prof. Roepell mówił po niemiecku, bo chociaż rozumie po polsku, włada jednak naszym językiem z trudnością. Mimo obcych dźwięków, każde słowo dostojnego gościa

wpadło nam do przekonania; sympatję dla jego osoby, jako męża uczonego i jako posła, wyrażono hucznemi oklaskami, towarzyszyły one gościowi przy wejściu jego na katedrę, podczas mowy i po jej zakończeniu.

Po gościu wstąpił na katedrę sekretarz Akademji profesor Szujski; jego staraniom głównie zawdzięczamy świetność uroczystości, był on nadzwyczaj czynnym członkiem w urządzeniu obchodu, a nadto napisał rozprawę o Długoszu i rzecz dramatyczną p. t. „Długosz i Kallimach". Odczytanie rozprawy poprzedziło przedstawienie sceniczne.

Wyczerpująca rozprawa jasno oznaczyła stanowisko, jakie Długosz zajął pomiędzy pisarzami historycznemi i nietylko polskiemi; złożyła ona niejako usprawiedliwiające powody, dla których czterechsetletnia rocznica jego śmierci z taką wspaniałością jest obchodzona.

Niespodzianką, z wdzięcznością przyjętą przez publiczność, było oznajmienie o ofierze profesora Heyzmana 300 zlr. za najlepszą konkursową pracę o Długoszu, dokonać się mającą przez ucznia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nazajutrz odbyła się uroczystość kościelna — uczczenie drogich szczątków modlitwą, kaznodziejstwem i wreszcie złożeniem ich na wieczny spoczynek do umyślnie na ten cel zbudowanego sarkofagu. Uroczystość to była wspaniała, oddziaływająca na uczestniczących siłą swej poezji. Uczestnicy zjazdu, rada miejska i tłumy publiczności zapełniły kościół Świętego Stanisława na Skałce. Aktu odmurowania zwłok Długosza dokonali: konserwator zabytków historycznych, profesor Łepkowski i notarjusz kapituły krakowskiej ksiądz Polkowski. Profesor Łepkowski trzykrotnie uderzył młotkiem w ścianę, gdzie był napis: Ossa Ioannis Długossi..., poczem mur rozbito.

Następnie konserwator wydobył z katakumby garnek wielki o dwóch uchach, z napisem ołówkowym. W garnku znajdowały się: kość biodrowa, żebra, kręgi szyjne, grzbietowe, łopatki, golenie, kości ramienne i t. d. — czaszki nie było. We flaszeczce była kartka z napisem objaśniającym, czyje szczątki naczynie mieści.

Szczątki, wydobywane z naczynia przez konserwatora, determinował dr. Majer, a następnie, po zapisaniu wszystkich w protokule, złożył je do ołowianej trumienki. Na kartce było wezwanie do modłów za duszę Długosza i tych, co o jego szczątkach śmiertelnych w tak gorliwy

sposób pamiętali. Na głos ten z poza grobu, wielebny przeor księży Paulinów wezwał obecnych do modlitwy.

Była to chwila uroczystej ciszy. Wspaniały orszak mężów nauki i zasługi szedł za zwłokami dziejopisa, niesionemi przez duchownych z krypty do górnego kościoła, gdzie ustawione zostały na katafalku.

Po żałobnym nabożeństwie, celebrowanym przez księdza biskupa Dunajewskiego, po przemówieniu z ambony księdza kanonika Polkowskiego, trumnę okrytą wieńcami, profesorowie uniwersytetu znieśli nanowo do grobu. W krypcie odśpiewano psalmy, a najdostojniejszy biskup przemówił, polecając potomności straż drogich szczątków Długosza. Szczątki spoczęły nareszcie w miejscu, do którego droga nie zaginie.

Odtąd krypta, w której spoczęły prochy Długosza, przyjmować będzie na pomieszkanie grobowe zwłoki ludzi zasłużonych w dziedzinie nauki, literatury i sztuki. Bojownik w imię prawdy i miłości otoczonym zostanie wyznawcami jego zasad, jego bojaźni Bożej, jego gotowości do poświęceń za ojczyznę.

Krakowowi przybył nowy skarb pamiątek, do którego pielgrzymi z krańców najodleglejszych podążać będą...

Nazajutrz rozpoczęły się prace kongresu historycznego.

Gdy wszyscy członkowie Akademji zabrali swe miejsca, a publiczność zdołała się uciszyć, gospodarz zjazdu a zarazem główny jego promotor, profesor Szujski, dał głos prezydentowi miasta dr. Zyblikiewiczowi.

Znaną była swada dzielnego gospodarza miasta, — miał on swoje właściwe zacięcie oratorskie, miał szczerość, jasność chwytającą za serce. I tym razem nie poskąpił szczerości, witając pożądanych gości. Występuję — mówił — nie jako uczony, ale jedynie jako gospodarz miasta, którego sławę cywilizacyjną zna świat od czasu, jak Uniwersytet Jagielloński został założony; szczycę się urzędem, jaki piastuję i w imieniu miasta serdecznie was witam i pozdrawiam!

Serdeczny dźwięk głosu dr. Zyblikiewicza nie mógł pozostać bez echa — echem były grzmiące oklaski, które się wznowiły po przemowie profesora Szujskiego, który, jako uczony, wykazał ważność zjazdu dla dziejów polskich, a jako poeta zagrał misternie na strunie wspomnień.

„Zgromadziła was — powiedział — wspólna miłość dziejowej przeszłości i gorliwości w badaniu rzeczy polskich — wszystkich ożywia to samo uczucie, ta sama dążność.“

Prezesem zjazdu został profesor Antoni Małecki, któremu asystowali w charakterze prezesów honorowych profesor Roepell i dr. Tomek. W sekcji historycznej przewodniczył ks. Kalinka i dr. Jarochowski; w sekcji archeologicznej J. I. Kraszewski i hr. Wł. Dzieduszycki. Trzy posiedzenia poświęcono na odczytywanie różnych rozpraw z dziedziny historji. Po każdej rozprawie zebrani uczeni wypowiadali o niej swoje zapatrywania.

Po skończeniu tej pracy przyszło do mów pożegnalnych.

Pożegnanie przypadło oczywiście tym, którzy powitanie wygłosili, więc dr. Majerowi i Szujskiemu. Przed kilku dniami witali — dziś żegnali, obiecując sobie znowu podobną schadzkę naukową — a to na zasadzie wniosku hr. Dzieduszyckiego, popartego przez jednomyślną aklamację zgromadzenia.

Ostatni hołd pamięci Długosza złożył prezes zjazdu, profesor Małecki. Mowę swą czcigodny uczony opromienił szczerą wiarą, że to, co się buduje w miłości prawdy i sprawiedliwości, musi być uwieńczone powodzeniem.

Ciepłe, pełne przekonywającej siły słowa, publiczność powitała jako rozkosznie uśmiechnięte słońce, co zachodząc poza horyzont święta Długoszowego — daje ziemi sen błogi, po którym znowu pracownicy raźno wezmą się do pracy.

Jeśli wszyscy obecni na uroczystości Długoszowej wynieśli z niej najprzyjemniejsze wspomnienia, to z pewnością i cudzoziemscy goście na naszą gościnność uskarżać się nie będą. Na posiedzeniach, podczas obiadu, na zebraniach prywatnych, wszędzie jednym słowem spotykali oznaki uprzedzającej sympatji; — wdzięczni im byliśmy za ich odwiedziny, za to wszystko, co z sobą dla nas w sercu i na ustach przynieśli.

Dr. Roepell chociaż mówił po niemiecku, a dr. Tomek po czesku — nie mówili napróżno — bo snuli swą rzecz na tle naukowych i międzynarodowych stosunków. Dr. Tomek — przypomniał dawne wzajemne stosunki uniwersytetów praskiego i krakowskiego, a tymsamym i stosunki obu narodów.

Dr. Roepell, dawszy nam dawniej pierwszorzędnej wartości „Historję Polski“, po niemiecku, dał teraz drogocenną radę, co do środków, jakich użyć należy, aby prace specjalne historyków wsiąknęły w krew narodu; — radził zająć się coprędzej tanim wydawnictwem dawnych historyków polskich. Tak ułatwiony dostęp do źródeł pomnoży szeregi pracowników, naród przejmie się ważnością zadania i prace uczonych towarzystw znajdą natychmiastowy odgłos tam nawet, gdzie dziś na badania historyczne patrzą jak na sfinksy.

Tenże szanowny gość złożył Akademji adres szląskiego Towarzystwa historycznego, ślicznie odrobiony. Adresem także pozdrowiła zjazd Akademja peszteńska — głosząca cześć dla Długosza, dziejopisa obu narodów. Telegramami zaś powinszowali: kongres odbywający się właśnie w Düsseldorfie, akademja Zagrzebska, akademja Praska, profesor Jagicz z Berlina, towarzystwa i uczeni z Warszawy, Paryża, Torunia; z Petersburga profesor Spasowicz, z Poznania hr. August Cieszkowski, którego nagła słabość zatrzymała w domu.

Obiad wspólny i przedstawienie teatralne należą do momentów, w których serce dało sobie ulgę; wznoszono toasty, sypano oklaski w imię naukowego braterstwa. Mowa profesora Tarnowskiego swą siłą zaćmiła wszystkie inne.

Muzę reprezentował poeta Szujski, napisawszy rzecz dramatyczną p. t. „Długosz i Kallimach“, odegraną przez młodzież akademicką, na dochód pomnika Mickiewicza.

Młodzież dzielnie odśpiewała Psalm, pieśń filaretów, i Poloneza Moniuszki; — zgodności, czystości głosów nic zarzucić nie można, harmonja mile wpadała do ucha a siła młodzieńcza, kipiąca w każdej nucie, przypominała piękną wiosnę, co gwałtownie woła do życia...

Dramat Szujskiego, napisany ze ścisłością historyczną w najmniejszych szczegółach, wymaga wyższych talentów, sił wyrobionych w zawodzie scenicznym; — nic też dziwnego, że niejedna piękność jego zginęła, pomimo najlepszych chęci młodych amatorów. Ale to nie chwila krytyki, to nie popis aktorski lecz jeden więcej sposób oddania hołdu uczonemu i bogobojnemu mężowi; — publiczność to rozumiała, okazując swe zadowolenie młodzieży. Rzęsistemi oklaskami dziękowano poecie, przywoływanemu na scenę kilkakrotnie. Uczony profesor i poeta stawał przed publicznością otoczony

młodzieżą akademicką. Takie połączenie to siła, co wichry burzą brzemienne z drogi zawraca...

Apoteoza Długosza zakończyła przedstawienie sceniczne; — obraz z żywych osób i wiersz piękny, także Szujskiego, wzbudził entuzjazm szczytny.

W. K.

---

39. Król Jan III

przez L. Tatomira.

Całą Europą wstrząsnęło porwanie się Turcji do nowych zapasów z chrześcijaństwem. Znękani powstańcy węgierscy poddali się wysokiej Porcie, — a rozzuchwalony tym Mahomet IV postanowił zadać cios śmiertelny cesarstwu.

My, patrzący dzisiaj na tego dogorywającego starca nad Bosforem, któremu Niemcy, Anglja, Rosja... coraz ciaśniej pętają nogi, zaledwie możemy sobie wyobrazić całą grozę owej chwili przed dwustu laty. Turcja ówczesna, a dzisiejsza — to olbrzym a karzeł. Od azjatyckich i europejskich podnóży Kaukazu, wzdłuż wybrzeży morza Czarnego, okrajkiem południowym Ukrainy i Podola, przez Multany i Siedmiogród rozpościerało się w Europie panowanie Turcji XVII w. aż w głąb Węgier zachodnich i Kroacji, po Neuhäsel i Sissek i po Dalmatyńskie wybrzeża Adrjatyku. Wszystkie te ludy, od spartańskiego Eurotasu po Dunaj, które dziś harde przeciw niej podnoszą głowy, uderzały czołem przed padyszachem. Flaga wenecka musiała przed nią ustąpić z morza Egiejskiego i Jońskiego, i straciwszy Kandję i Moreę, utrzymała się zaledwie na wyspach Jońskich.

Tej olbrzymiej potędze jedna Polska stawiła dotąd opór i mogła jej stawić w tej chwili.

Rosja właśnie podówczas była zawichrzona anarchją pod panowaniem Iwana i małoletniego Piotra. Cesarstwu niemieckiemu, rozbitemu na mnogą rzeszę państw, zagrażał nieustannie Ludwik XIV, który wspierał powstańców węgierskich i podżegał Turcję do wojny z Austrją, aby mógł tym zuchwalej dokonywać swoich zaborów nad Renem. Wenecja nie podniosła się była jeszcze po klęsce poniesionej na Kandji i wiązała się z gabinetem wersalskim. Brandeburgja i Danja za-

warły odporne przymierze z Francją, a Angja pod Karolem II, wodzonym na pasku przez Ludwika XIV, nie brała jeszcze prawie żadnego udziału w sprawach wschodniej Europy.

Austrja była więc zupełnie osamotnioną, gdy Mahomet IV-ty na jej zgniecenie ściągał hordy nie tylko ze swoich dzierżaw europejskich, lecz z najodleglejszych posiadłości azjatyckich i afrykańskich. Cesarz Leopold pokładał jedyną nadzieję ratunku w Sobieskim i prosił go o przymierze, od którego przed kilku laty się usunął; ofiarował nawet rękę córki swojej synowi Sobieskiego i zapewniał dziedzictwo Multan i Wołoszczyzny dla niego i jego następców.

Jak Austrja w jednej Polsce widziała ratunek, tak Turcja jej jednej się obawiając, zapewniała, że przygotowania wojenne nie są przeciw niej zwrócone. Ludwik XIV chciał okupić neutralność Sobieskiego przyrzeczeniem mu Szląska i Węgier, i popchnął stronnictwo francuskie w Polsce aż do spisku na zdetronizowanie Jana III. Wybór był trudny, ale nie dla Sobieskiego. Niebrał on na wagę korzyści materjalnych i swoich osobistych, lecz miał na oku jedynie obowiązek ratowania chrześcijaństwa, obowiązek zemsty nad niewiernemi, sławę swoją i swojej ojczyzny. Stronnictwo francuskie upadło wobec wielkiej myśli Jana III, Ludwik XIV otrzymał odpowiedź, że król polski tylko pod tym warankiem pozostanie neutralnym, jeżeli król francuski przyrzeknie, że w razie gdyby Turcy, pokonawszy Austrję, rzucili się na Polskę, pośpieszy jej Francja z wszystkiemi siłami na pomoc.

W marcu r. 1683 Sobieski podpisał traktakt przymierza zaczepnoodpornego z Leopoldem I-szym, w którym zawarowana była Polsce ze strony Austrji pomoc taka sama, jaką jej dawała Polska. W trzy miesiące potym stała już 500,000 armja turecka pod murami Wiednia. Leopold uszedł do Lincu, zostawiając w oblężonej stolicy wszystkiego 15,000 wojska pod Stahrenbergiem, a 24,000 pod Karolem Lotaryńskim na równinach morawskich. Kara Mustafa, wielki wezyr Mahometan, tak był pewnym zwycięstwa, że marzył już o zawojowaniu całego świata chrześcijańskiego. Zdobycie Wiednia miało być tylko wstępem do świetniejszych jeszcze podbojów; zgliszcza stolicy Habsburgów miały otworzyć chorągwi proroka drogę przez Alpy do Włoch; na kościele św. Piotra miał zabłysnąć półksiężyc, jak

przed dwoma wiekami zajaśniał na patryjarszej bazylice kościoła wschodniego.

Zatrwożony Rzym uderzył na alarm w całej Europie. Nuncjusz i poseł cesarski ugięli kolana przed Janem III, błagając go, aby chciał być dla Europy tym, czym był tyle razy dla swojej ojczyzny, Nie wątpiono, że związany traktatem, wyśle posiłki, chodziło jednak o to, aby sam objął nad niemi dowództwo. Jego osobista obecność stawała za armję, wiedział o tym i cesarz, wiedzieli jeszcze lepiej Turcy i Tatarzy. To też gdy gruchnęła wieść, że sam król w 20,000 prowadzi odsiecz polską, uważano już Wiedeń za uratowany, a Kara Mustafa unosząc się wściekłością, rwał sobie włosy z brody.

Sobieski, połączywszy się po drodze z Karolem Lotaryńskim i posiłkami niemieckiemi, objął naczelne dowództwo nad sprzymierzoną armją i stanął 10 września na górach Kalenbergu. Roztaczał się stąd widok na niezmierny obóz turecki, który różnobarwną wstęgą namiotów opasywał szare mury miasta. Sobieski na pierwszy rzut oka odkrył jego słabe strony i nie powątpiewał już o zwycięstwie. W jednym z tych licznych listów obozowych do Marji Kaźmiery, w których odzwierciedla się cały jego charakter, cała wszechstronność jego natury: tkliwa, do słabości posunięta miłość dla żony, obok rycerskiej energji i siły, powagi królewskiej, utrzymującej w posłuszeństwie kiludziesięciu książąt, i niezrównanego często humoru, pisał on przed świtem 12 września: „Mówiąc po ludzku, a pokładając wszystką nadzieję w Bogu naszym, miałby ten nieprzyjaciel wielką odnieść konfuzję“.

O zachodzie słońca tegoż dnia ziściły się już jego nadzieje; obóz był rozbity i armja turecka uchodziła w bezładnym pośpiechu. Gienjusz, wiara i sława Sobieskiego, złączone z walecznością polskiego rycerstwa, rozstrzygnęły zwycięstwo.

„Dlaboga, król jest z niemi“ — powtarzał chan przestraszony, usłyszawszy okrzyk husarzy na cześć swego królewskiego wodza. A gdy go Mustafa wzywał, aby ratował rozpierzchającą się armję, odpowiedział, uciekając: „Znam dobrze króla polskiego; z nim niema co robić, tylko mu zejść z drogi!“

Z namiotu wielkiego wezyra, w którym spoczął Sobieski, rozbiegli się gońce, pędząc z wieścią radosną do Rzymu i do Polski. Pierwszy wiózł papieżowi naj-

wspanialszą chorągiew nieprzyjacielską i lakoniczne doniesienie w słowach Cezara, ale z zakończeniem chrześcjańskim: Venimus, vidimus, Deus vicit; drugi list do Marysieńki, w którym upojony szczęściem król pisał, „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i chwałę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nie słyszały".

Książęta niemieccy całowali ręce Sobieskiego; Wiedeńczycy, oswobodzeni, cisnęli się, aby ucałować róg jego kontusza. Ale Leopold, cesarz z cesarzów, czuł się upokorzonym wielkością polskiego króla — szlachcica; zjechał się z nim wprawdzie konno na polach szwechatskich, lecz mu nie podał ręki na powitanie i podziękowanie. Niezrażony tem Sobieski upokorzył drugi raz pychę pełną godności dumą i ruszył dalej ścigać Turków.

W niespełna miesiąc po oswobodzeniu Wiednia, odniósł Jan III drugie zwycięstwo pod Parkanami i oswobodził Gran. Przez lat 140 błyszczał półksiężyc ottomański na katedrze tego miasta i trzeba było dopiero pomocy Polski, żeby ustąpił napowrót miejsca krzyżowi. Uniesiony zapałem wojennym, król myślał o wyparciu półksiężyca z całych Węgier, o przeniesieniu wojny za Dunaj i widział już w wyobraźni krzyże jaśniejące na wieżach Konstantynopola. Ale niechęć dworu wiedeńskiego, niedotrzymanie warunków traktatu, niegodne podejrzenia cesarza, który rad był wydalić króla polskiego z Węgier, obawiając się, żeby powstańcy węgierscy jemu się nie poddali — wstrzymały zwycięski pochód. Z goryczą w sercu, zawiedziony powtórnie w świetnych nadziejach, które łączył z przymierzem, ruszył Sobieski w drogę z powrotem.

Gdy w całej Europie sławiono męstwo i poświęcenie króla polskiego i jego armji, gdy nie przebrzmiały jeszcze dziękczynne modły za oswobodzenie Wiednia, ciągnęła ta armja polska zimową porą tego samego roku 1683, który wsławiła i upamiętniła na wieki w dziejach, ku granicom ojczystym, brodząc przez zaspy śniegów, opuszczona przez sprzymierzeńców, a niepokojona przez nieprzyjaciół.

Niektórzy historycy niemieccy starają się obniżyć zasługę Jana III, sprowadzając odsiecz jego do jak najmniejszego znaczenia; nasi pisarze przeciwnie, uznają całą wielkość dokonanego czynu, robią z niego ciężki zarzut bohaterskiemu królowi, że poświęcił interes oj-

czyzny żądzy zdobycia sobie bezużytecznych dla niej laurów. Pierwsze jest nikczemnością, drugie jest skutkiem mierzenia stosunków ówczesnych miarą dzisiejszych czasów. Pogromem Turków pod Wiedniem podrąbał Sobieski stanowczo podwaliny tej potęgi, która była podówczas najniebezpieczniejszym wrogiem Polski i groziła jej tylokrotnie zniszczeniem. Odtąd nie widziała już nigdy ani Polska ani Europa armji tureckiej, posuwającej się tak daleko na północ i wszystkie zwycięstwa następnie od Zeuty i Salankemen do pokoju Karłowickiego i zwrócenia Polsce Kamieńca, cały upadek późniejszy cesarstwa ottomańskiego, były tylko skutkiem tej wielkiej klęski, zadanej mu orężem polskim pod Wiedniem.

W historji niema żadnego „gdyby“. Pozwolimy się jednak zapytać, któż może dzisiaj zaręczyć czy gdyby Jan III dał był upaść Wiedniowi, Mustafa nie byłby zwycięskich swych hord zamiast za Alpy, poprowadził za Karpaty, aby się rozprawić ostatecznie z tym wrogiem, który jeden stawił dotąd islamizmowi nieprzezwyciężony opór? Wyprawa wiedeńska Sobieskiego nie była grzechem względem ojczyzny, lecz przeciwnie obowiązkiem jego względem Polski, a Polski względem Europy i chrześcijaństwa, z którego gienjusz wielkiego króla dopomógł jej wywiązać się ku wiecznej chwale swojej!

---

40. Z wyprawy wiedeńskiej.

(List króla Jana III do królowej po zwycięstwie wiedeńskim).

W namiotach wezyrskich, 13 Septembra w nocy.

Jedyna duszy i serca pociecho,
najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko!

Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Wielbłądy, muły, bydło, owce, któreto wezyr miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą; drudzy zaś, osobliwie renegaci, na dobrych koniach i pięknie

ubrani od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospólstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciel nazad się wróci. Prochów samych i amunicji porzucił więcej niżeli na miljon. Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którejm sobie zawsze widzieć pragnął. Kanalja nasza w kilku miejscach zapaliła tu prochy, które cale sądny dzień reprezentowały, bez szkody cale ludzkiej: pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nieszczęście wielkie, bo pewnie na miljon w nich uczyniło szkody.

Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego sukcessorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się po nim dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za Wezyrem postępując, przedarł się jeden pokojowy i pokazał namioty jego tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które za nim noszą: chorągiew Mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziś jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały mi się i tysiące innych rzeczy bardzo pięknych i bardzo kosztownych, ale to bardzo kosztownych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie widziało. Niema porównania ze zdobyczą chocimską. Kilka samych sajdaków, rubinami i szafirami sadzonych, warte są kilka tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, żeś „ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił“, bo ten, co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wszystkim siedzeniem; samego mocno dojeżdżano, ale się przecie salwował. Kihaję jego t. j. pierwszego człowieka po nim, zabito i paszów niemało. Złotych szabel po wojsku pełno i innych wojennych rynsztunków. Noc nam przeszkodziła i to, że uchodząc, okrutnie się bronią. Janczarów odbiegli w aproszach, których w nocy wyścinano: bo to była taka hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta; jakoż mieli czym co począć.

Ja ich rachuję, prócz Tatarów, na trzy kroć sto tysięcy: drudzy tu rachują namiotów samych na trzy kroć sto tysięcy i biorą proporcję trzech do jednego

namiotu, coby to wynosiło niesłychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilką obozów stali. Dwie nocy i dzień rozbierają je, kto chce już, i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą. Ludzi niewinnych tutecznych Austryjaków, osobliwie białychgłów i ludzi siła porzucili; ale zabijali, kogo tylko mogli.

Siła bardzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych, które żyć mogą. Wczora widziałem dzieciątko jedno we trzech leciech, chłopczyka bardzo najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę. Ale to trefna, że Wezyr wziął tu był gdzieś w którymści cesarskim pałacu strusia żywego dziwnie ślicznego; tedy i tego, aby się nam żywcem nie dostał, kazał ściąć. Co zaś za delicje miął przy swych namiotach, wypisać nie podobna. Miał łaźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty, i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej złapać.

Dziś byłem w mieście, któreby już było nie mogło się trzymać nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły. Z beluardów *) podmurowanych, okrutnie wielkich i wysokich, porobili skały straszliwe i tak je zrujnowali, że więcej trzymać się nie mogły. Pałac cesarski w niwecz od kul zepsowany.

Wojska wszystkie, które dobrze bardzo czyniły swoją powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel uchodzić począł i dał się przełamać, (bo mnie się przyszło z Wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził tak, że już nasz środek albo korpus, jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystkie swoje niemieckie posiłki do mnie obracały), — przybiegały do mnie książęta, jako to Bawarski, Waldek, ściskając mię za szyję, a całując w gębę, gienerałowie zaś w ręce, nogi; cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji, wołały: „Ach unser brave König!“ Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero i tu dziś rano książe Lotaryński, Saski; bo mi się z niemi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do Pana Marszałka Nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi; cóż komendant Staremberg

*) Beluarda — baszta, wieża obronna przy murze fortecznym.

tuteczny! Wszystko to całowało, swym salvatorem zwało. Byłem potym we dwóch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie; drudzy się tylko dotykali, wołając: „Ach! niech tę rękę tak waleczną całujemy!“ Naszych niemało zginęło w tej potrzebie: osobliwie tych dwóch, żal się Boże, o których nam opowiedział du Pont. Z wojsk cudzoziemskich książe de Croi zabity, brat postrzelony i kilku innych znacznych zabitych. Padre d'Aviano, który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą nad wojskami się naszemi przelatującą.

My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie mię odstąpić nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże; za co Mu niech będzie na wieki cześć, sława i chwała! Kiedy już postrzegł Wezyr, że wytrzymać nie może, zawoławszy synów do siebie, płakał jako dziecię. Potym rzekł do Chana: „Ty mię ratuj, jeśli możesz“. Odpowiedział mu Chan: „My znamy Króla; nie damy mu rady, i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli“. — Gorąca tu mamy tak srogie, że prawie nie żyjemy, tylko piciem. Teraz dopiero znaleziono okrutną jeszcze moc wozów z prochami i ołowiem. Ja nie wiem, czym już będą oni strzelali. W ten moment dają nam znać, że ostatnie kilkanaście działek małych letkich porzucił nieprzyjaciel. Już tedy wsiadamy na koń ku węgierskiej stronie prosto za nieprzyjacielem; i jakom dawno wspomniał, że się, da Pan Bóg, w Stryju aż z sobą przywitamy, gdzie P. Wyszyński niech każe nam kończyć kominy i stare poprawiać budynki.

List ten, to najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, że to list króla do królowej. Książęta Saski i Bawarski dali mi słowo i na kraj świata iść ze mną. Musimy iść dwie mile wielkim pośpiechem dla wszystkich smrodów od trupów, koni, bydeł, wielbłądów. Fanfanik dzielny w najwyższym stopniu, na piędź mię jeszcze nie odstąpił. Ma się wybornie w takich fatygach, jakie większe być nie mogą i robi się przystojnym. Z księciem Bawarskim (który lezie wszędzie do nas i wczora przyjechał do nas do kommendanta, dowiedziawszy się o mnie), jako brat z bratem. Zdobycze mu swoje Fanfanik rozdaje ostatnie. Książe de Hesse von Cassel, którego tylko nie dostawało, przybył tu do nas. To wojsko przypomina bardzo zastępy, które Godfryd prowadził do Ziemi Świętej.

Jużże tedy kończyć muszę, całując i ściskając z wszystkiego serca najśliczniejszą moją Marysieńkę. Niech się wszyscy cieszą, a P. Bogu dziękują, że pogaństwu nie pozwolił pytać się: „A gdzie wasz Bóg?“ Dzieci całuję. Minjonek ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew Wezyra złamała i sławę największą u wszystkiego utrzymała wojska. — Do Litwy piszę, t. j. do dwóch hetmanów, aby już nie tu, ale prosto szli do Węgier. Kozacy zdrajcy niechaj za mną idą. Te listy do hetmanów litewskich odsyłać jak najpilniej. Którędy będą mieli iść Litwa, oznajmi się drugą okazją.

---

41. Obchód zwycięstwa wiedeńskiego przed stu laty.

Pierwszy to raz podobno w kraju miała się ujawnić taka świecka uroczystość narodowa, przypominając dawną chwałę dzielnemi czynami zdobytą. Koronacje królów nie mogły oczywiście mieć tego znaczenia, gdyż ich pompa była przygotowana, że tak powiem, na kredyt, w oczekiwaniu świetnych faktów przyszłego panowania. W obchodzie zwycięstwa wiedeńskiego fakt już był spełniony i usprawiedliwioną dumą mógł napełnić serca wszystkich Polaków. Wznowienie jego pamięci było też po części demonstracją polityczną wobec Austrji, która faktycznie pierwsza zagarnęła pewne posiadłości tego narodu, co ją od zguby dzielnością swą i poświęceniem ocalił.

Uroczystość odbyła się w całym kraju; najświetniej naturalnie w Warszawie, jako stolicy Rzeczypospolitej, ale i w innych miejscowościach miała charakter wielce poważny. Ponieważ pamiątka przypadała 12 września, a więc w czasie wakacyjnym naówczas (kiedy się szkoły zamykały dopiero z końcem lipca), więc obchód jej odłożono na dzień 12 października, gdy się już wszystka młódź do szkół zgromadzi, pociągając za sobą i rodziców. Szkoły ówczesne zostawały jeszcze przeważnie pod zarządem duchowieństwa, naturalną więc było rzeczą, że obchód cały skupiał się koło kościoła i miał charakter religijny. Chcąc sobie chwilę tę plastycznie uprzytomnić, przypatrzmy się jednemu z tych obchodów pamiątkowych.

Rektorem Szkoły Głównej Wielkiego Księstwa Litewskiego był wtedy zasłużony astronom, ksiądz Marcin Poczobut, eks-jezuita, który właśnie dopiero co wrócił z Warszawy, gdzie głosem i stosunkami swemi przyczynił się do utrzymania akademji w Wilnie. Gdy nadszedł „list Okolny'' Komisji Edukacyjnej, pośpieszył ze spełnieniem jego uwag starając się uroczystości nadać „przyzwoitą wspaniałość''.

Najprzód dnia 11 października odprawiono w kościele akademickim św. Jana solenne egzekwje, już-to za tych Polaków, którzy dla obrony całego chrześcijaństwa walecznie potykając się pod Wiedniem, na placu polegli, już — to za owych, którzy zostawszy zwycięzcami, na usłudze ojczyzny potym pomarli. Egzekwje odbyły się z całym przepychem, na jaki Wilno stać było. W przyborach przebijał się gust klasyczno-alegoryczny. W środku kościoła postawiony był kolos, na postumencie 12 stóp wysokim, a 18 w kwadrat szerokim, nakształt piramidy, niby z ciosów kamiennych ułożonej, na wierzchołku której stał posąg Minerwy, „z przyzwoitemi jej znamionami", trzymającej portret króla Jana III. U nóg jej, z jednej strony był lew oznaczający męstwo Polaków, z drugiej — Turczyn w pętach; niżej trochę, w przepasce architektonicznej mieścił się napis: „Joanni III Regi Poloniae Invictissimo, suisque commilitonibus, qui pro servanda Imperii Romani sede ac salute universae christianae Republicae capita sua devovere ad Vienam Austriae anno 1683. („Janowi III niezwyciężonemu królowi polskiemu i spółtowarzyszom jego, którzy dla ocalenia stolicy państwa rzymskiego i całości chrześcijaństwa życie swoje poświęcili pod Wiedniem..."). Cała wysokość tej piramidy, sięgającej niemal sklepienia kościelnego, piękną z całym kościołem czyniła eurytmią" *). Z przodu, przed postumentem piramidy, wzniesiona była na 4 stopy wysoka, a na 18 w kwadrat szeroka baterja, na nią zatoczono 4 śpiżowe z lawetami armaty, przy których stało ośmiu kanonjerów i dwu podoficerów od artylerji z bronią. Pośrodku tej baterji, między armatami, na wspaniałym postumencie stała osoba smutna wyrażająca płaczącą ojczyznę nad stratą walecznych swych synów, z napisem wyjętym z ksiąg Królewskich, Quomodo ceciderunt fortes in proelio! („Jakżeż to padli

---

*) Proporcjonalność, harmonję.

dzielni w bitwie!“). Obok tej osoby przy postumencie stał gienjusz wojenny, w smutnej postaci, gaszący swą pochodnię, w dół obróconą. Nad całą zaś baterją rozpięty był namiot, niby w zdobyczy Turkom zabrany, którego cztery podniesione pawilony utrzymywali niewolnicy tureccy do armaty przykuci. Na samej posadzce przy rogach baterji stały dwie piramidy z flint, pancerzy i chorągwi złożone.

„Tak zaś dobrze to wszystko do żałosnej pompy stosowane było — mówi świadek współczesny — że ledwie kto był, któryby, uważając przodków naszych nieśmiertelne czyny, nie zapłakał, albo przynajmiej, osobliwym sposobem nie czuł się być wzruszonym“.

Przed tak urządzoną „rycerską mogiłą“ odprawiały się wigilje od godziny 6 rano do 11, przy licznych mszach i niezmiernym napływie ludu. Po godzinie 11 nastąpiła msza wielka przez ks. Zienkowicza, eks-sekretarza litewskiego, dziekana katedralnego wileńskiego, biskupim obrządkiem śpiewana, w przytomności księcia Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego, a zarazem właściwego prezydenta Komisji Edukacyjnej, ks. Kossakowskiego, biskupa inflanckiego, sufraganów, prałatów i całej kapituły, oraz „najdystyngowańszych“ gości. Senat akademicki w żałobnym ubiorze, otoczony szkołami wyższemi i niższemi, asystował nabożeństwu, zajmując miejsce w środku kościoła.

Nazajutrz 12 października, w tymże kościele akademickim ukazał się wspaniały kolos z wczorajszej piramidy w kolumnę tryumfalną zmienionej, z rozmaitemi ozdobami do okoliczności zwycięstwa i tryumfu zastosowanemi, osobliwie jednak ciekawe zabawiał oko orzeł polski, pod sklepieniem na powietrzu wiszący, a w szponach z buńczukiem namiot, niby wezyrowski, z rozpiętemi pawilonami nakształt baldachimu utrzymujący, pod którym na wspaniałej kolumnie widać było posąg Marsa, na którego tarczy był portret Jana III zwycięskim laurem uwieńczonego, u nóg zaś — jeńcy tureccy w kajdanach“.

Postument kolumny, 12 stóp wysoki, a 18 w kwadrat szeroki, otaczały bagnety nakształt sztachetów ustawione; po rogach postumentu stało czterech grenadjerów z pułku szóstego.

Na kolumnie był napis: Jussu Prefectorum Educationi Publicae, Memoria victoriae de Turcis partae ab invictissimo Rege Poloniae Joanne III ad Vienam Aus-

triae anno 1683 („Z rozkazu komisji Edukacji narodowej. Pamiątka zwycięstwa odniesionego przez niezwyciężonego króla polskiego, Jana III pod Wiedniem...“) Na dole zaś werset z drugiej księgi Machabeuszów: Communi consilio decreverunt, nullo modo diem istum absque celebritate praeterire (Jednozgodnie postanowiono nie pominąć dnia tego bez uroczystego obchodu). Baterję otaczały czterdziesto-funtowe żelazne kule, po brzegach kształtnie ułożone.

Przez cały poranek, kościół, acz wielki, napełniały nieprzeliczone tłumy. Po godzinie 10-ej, gdy się zebrali przedniejsi obywatele, książe biskup wileński (Massalski), przy licznej asystencji biskupów „prałatów, ‚kanoników, całego duchowieństwa i senatu akademickiego, otoczonego wyższemi i niższemi szkołami, przy dźwiękach doborowej muzyki, miał mszę wielką, naturalnie biskupim obrządkiem.

Podczas mszy sławny już wtedy kaznodzieja ksiądz Michał Karpowicz, profesor teologji w akademji wileńskiej, proboszcz preński i grażyński, miał kazanie, w którym rozwijając myśli rzucone w „liście Okolnym“ Komisji Edukacyjnej, wykazywał najprzód, że bez ducha patryjotyzmu w obywatelach — pewny narodu upadek, a powtóre, że bez cnoty i obyczajów — próżny w narodzie patryjotyzm.

Kazanie księdza Karpowicza z tego szczególniej względu zasługuje na uwagę, że słuchaczom nie przesłaniało oczu illuzją sławy, która im już tylko w dziedzictwie się dostała, że nie schlebiał zwyczajem poprzedników swoich, panegirystów, chełpliwości narodowej, ale śmiało i bez ogródki wypowiadał gorzkie prawdy, malował bolesne położenie kraju, ażeby wstrząsnąć umysły i do pracy użytecznej zachęcić. A i ci słuchacze, co „z niezmierną satysfakcją“ — jak powiada spółczesny — na kazaniu byli przytomni, rozumieli choć w części grozę sytuacji i pojmowali, dlaczego kaznodzieja tak skąpo kadzidłem się posługiwał, pojmowali, że nie marne przechwałki, ale czyn dzielny, ale praca wytrwała może naród nad przepaścią zatrzymać.

Po ukończeniu mszy, kazaniem Karpowicza przerwanej, biskup celebrujący, na podziękowanie Bogu za dane Polakom nad Turkami zwycięstwo, intonował Te Deum laudamus. I na tym obchód poranny się zakończył.

II.

Po południu o godzinie 4-ej w tymże samym kościele, w przytomności biskupa Massalskiego, Kossakowskiego, sufragana żmudzkiego Łopacińskiego, całej kapituły, oraz senatu akademickiego ze wszystkiemi szkołami, w przytomności innych dystyngowanych gości i licznie zgromadzonego ludu, miał długą mowę w języku łacińskim ksiądz Tadeusz Mackiewicz, nauk wyzwolonych i filozofji doktór, wicę-profesor akademji wileńskiej, sekretarz kolegjum moralnego. W mowie tej, zastosowanej naturalnie do uroczystości obchodu pamiątkowego, ks. Mackiewicz wystawiwszy źródła i zasady dawnej polaków sławy, naprzód z rządu, karności ekonomji domowej, powtóre z uszanowania zwierzchności i władzy sejmowej, królewskiej i wojskowej, potrzecie z szacunku i obrony religji, naostatek z męstwa i biegłości w sztuce rycerskiej, wskazawszy przytym, jako Jan III, gorliwy swych przodków naśladowca, stał się potomnym polakom, jako dobry obywatel, sławny król i dzielny bohater do pomienionych cnót przewodnikiem, gorąco zachęcał słuchaczów do wskrzeszenia staropolskiej cnoty, męstwa i sławy. Miał mówca jeden trudny do omówienia w mowie pochwalnej szczegół z życia Sobieskiego, a mianowicie nieprzyjazny tegoż stosunek do króla Michała. Nie ominął go Mackiewicz, lecz starał się zręcznie wytłómaczyć na korzyść bohatera. Warunki pokoju buczackiego, ta hańba ojczyzny — mówił kaznodzieja — tym dotkliwiej raziła serce Sobieskiego, im z większym męstwem i szczęściem w trzech bitwach tegoż wroga pokonał. „Czyż widząc, jak ci wrogowie, których miał nadzieję wygnać lub pohamować, zbogacają się naszemi dochodami, wzmacniają posiadłościami, mógł się nie obruszyć na taką krzywdę, mógł się nie dręczyć taką zniewagą? A jeżeli w wyrażeniu swojej i ogólnej boleści nie był dość umiarkowanym, jeżeli rozpuszczanym o sobie wieściom nie dość oględnie zaprzeczał, to zasługi jego i dobroć króla w zupełności zatarły pamięć występku, jeżeli był jaki.“ W ten sposób oczyściwszy bohatera z wszelkiego zarzutu, mógł go już śmiało do naśladowania polecić.

Przez owe dwa dni pułk szósty książąt Massalskich, z artylerją litewską, w pięknej paradzie wśród kościoła uszykowany, „powiększał wspaniałość tego fe-

stynu". Kolos tryumfalny i piramida ze wszystkiemi ozdobami w „pięknym i wspaniałym guście architektonicznym ułożone" były dziełem kapitana Knakfusa, architekta królewskiego. Szkoła główna odbierała od wszystkich „dystyngowanych" osób podziękowania za świetnie urządzoną uroczystość, a Kossakowski, biskup inflancki, ofiarował jej publicznie w kościele przed mową księdza Mackiewicza medal złoty wartości 30 dukatów, bity na koronację Jana III. Akademja oczywiście złożyła „za tak drogi prezent" podziękowanie „w najwyższych wyrazach", naprzód przez rektora swego ks. Poczobuta, a następnie przez wybraną z pośród członków swoich deputację. Jeszcze i trzeci dzień był uroczystości pamiątkowej poświęcony, lecz miał już charakter bardziej szkolny. W głównej sali akademickiej zgromadzili się uczniowe i studenci, oraz goście w znacznej liczbie, między innemi byli tam: biskup inflancki Kossakowski, sufragan żmudzki Łopaciński, prałat koadjutor kantor wileński Bohusz. Wobec nich wypowiedział „wyborną, w języku polskim mowę" ksiądz Szalewicz, nauk wyzwolonych i filozofji doktór, profesor wymowy w szkołach podwydziałowych. Treści tej mowy nie znamy, oprócz tego szczegółu, że była do uroczytości zastosowaną.

Niewątpliwie obok tych nabożeństw i mów szły biesiady swoją drogą, ale o nich nie wspominano w opisach. I muzy także, że użyję ówczesnego wyrażenia, były małomówne. Nie mamy wprawdzie dokładnej bibljografji tego okresu, nie możemy więc określić wyraźnie liczby tworów poetycznych, uroczystości tej poświęconych; to wszakże pewna, iż z pomiędzy głośnych naówczas poetów jeden tylko i to nie pierwszorzędny, pamiątce tej osobny wiersz poświęcił. Ani Krasicki ani Naruszewicz, ani Trembecki nie poczuli natchnienia, Kniaźnin tylko napisał odę rozpoczynającą się od tej pięknej strofki.

Sto lat ubiegło, jak polaków skronie pysznym się laurem dzisiaj zieleniły; Gdy raz ostatni w jednomyślnym gronie chwała z ich sercem połączyła siły, że śmiało mogli rzec sąsiedzkiej dumie: Niech zna Europa, co wolny lud umie!

Piotr Chmielowski.

---

42. Majówka młodzieży akademickiej w Wilnie.

Ze «Wspomnień» E. Odyńca.

Na drugi dzień Zielonych Świątek (w Maju 1821), gotowała się wielka filarecka *) feta. Wszyscy chcieli okazać dowód czci, miłości i wdzięczności dla Tomasza Zana (twórcy związku filareckiego studentów), który wszystkich w jedność połączył. Za godło hołdu tego uchwalono pierścień złoty z napisem: «Przyjaźń zasłudze,» a wręczycielem jego w imieniu wszystkich miał być Adam Mickiewicz, który na dzień ten zapowiedział swój przyjazd. Wszyscy przeto z bijącym sercem oczekiwaliśmy Zesłania Ducha Świętego.

W dniu tym, o godzinie 9 rano, wszystkie grona zebrały się w kościele Świętego Jana na mszę, którą celebrował ks. Lwowicz. Muzycy nasi z chórem, z naszych śpiewaków i z uczennic Zana złożonym, wykonali muzykę mszalną. O czwartej po południu wszyscy już mieli się zebrać w miejscu wskazanym za miastem. Szliśmy gromadnie, a Frejent (jeden ze studentów) przygrywał nam na flecie. Miejsce to było za Markuciami w górach. Podłużny, prostokątny, śliczny gaik brzozowy śród pola, stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarośla służyły mu za bufet i miały podobieństwo koczowiska cyganów. W okrąg wielkiego ogniska, gdzie się nastawiały samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkim i czarnych wysokich garnków z kwaśnym, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych, również jak mleko, z poblizkich wsi okolicznych. Wyznaczeni gospodarze, z tytułem stolników, zajmowali się wyłącznie materjalną częścią biesiady; atoli część jej duchowa była główną dla wszystkich. O czwartej, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu, i tylko na Adama czekano **). Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniej, nie mógł przyjechać pierwej jak o czwartej. Malewski ***) oczekiwał na poczcie, aby go prosto

*) *Filareci* był to związek młodzieży uniwersytetu wileńskiego, pragnącej kształcić się umysłowo i moralnie dla dobra ojczyzny.

**) Mickiewicz był już wtedy nauczycielem w gimnazjum ko wieńskim, i przyjeżdżał tylko do Wilna, jako gość na majówki i zebrania byłych kolegów uniwersyteckich w Wilnie.

***) Malewski i Czeczot byli kolegami i przyjaciółmi Mickiewicza.

stamtąd przywieźć na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie, i mnie Czeczot kazał iść z sobą. Ujrzeliśmy wnet bryczkę pędzącą czwałem, i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu, na znak że wiezie pożądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością; droga okrążała ją kołem. Bryczka zatrzymała się u stóp pochyłości, i obaj przybyli wspinali się prosto pod górę, gdzieśmy stali czekając na nich. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma. Adam machał czapką w powietrzu, na znak powitania; a choć już był blizko, i chociaż wzrok wytężałem, twarzy jego z góry dojrzeć nie mogłem. Czeczot przyjął go pierwszy w objęcia, i długo ściskali się nawzajem. Z kolei dawni znajomi witali go niemniej serdecznie. Ja, najmłodszy i nieznajomy, stałem na stronie i byłem ostatni, którego mu Czeczot przedstawił.

Są rzeczy, które tak się nie nadają do prozy, jak niektóre inne do poezji. Do takich należy wrażenie, które na mnie widok jego uczynił, i w ogólności każde żywsze uczucie serca, czy się zwać będzie miłością, czy przyjaźnią. W obu razach mówić o nim przed obcemi na zimno, niepodobna; gorzej jeszcze, chcieć ją w słowach malować; a zaś może najgorzej, gdy przedmiot tego uczucia stoi tak wysoko, że mówiąc, choćby tylko o uwielbieniu dla niego, jeszcze się można spotkać z posądzeniem, że się to czyni dla chluby swej własnej. Ze wszystkich tedy tych względów odstępuję w tym razie od metody, którą zachowywałem dotąd w opowiadaniach niniejszych, mówiąc szerzej o początku i rozwijaniu się stosunków z innemi mojemi przyjaciółmi. Że jednak i w tym razie trzeba przecież coś o tym powiedzieć, wolę posłużyć się wyjątkiem z własnego mojego wiersza, który niegdyś z okoliczności czasowej, i w tym przedmiocie wyłącznie napisałem przed 50 laty w Dreznie, do wspólnego przyjaciela naszego, Antoniego Goreckiego, a który to wiersz, z różnych powodów, po śmierci mojej dopiero w całości chyba kiedyś ogłoszony będzie. Tytuł jego jest: «Mój Płaszcz,» a wyjątki, które zamierzam przytoczyć, obejmują w streszczeniu perjod stosunku od pierwszej chwili poznania do wyjazdu Adama z Wilna w r. 1824.

Oto z niego wyjątki:

Ach! ty wiesz, jak go *) me serce kochało,
Czym on był dla mnie! —
I nie traf to zdarzył.
Dzieckiem ja w myślach miałem objawienie,
Czarny, wysoki człowiek mi się marzył,
I patrzał we mnie;—czułem to spojrzenie.
Gdym co źle zrobił, czułem, że on wiedział,
I gdym się łzami pokuty zalewał,
Nie śmiałem mówić—nigdym nie powiedział,
Że się mój czarny człowiek we mnie gniewał.
Lecz gdym się we dnie modlił, uczył, czytał,
On—ta nadzieja była mi podnietą —
Przychodził we snach, i mówił gdym spytał:
«Módl się, ucz, kochaj! możesz być poetą.»
Sen mara! wiem to;—lecz w Bogu opieka!
A biada duszy, jeśli zwątpi sama! —
Szukałem w życiu mojego człowieka —
Wierzysz?—ten człowiek miał oczy Adama!
Może błąd?—może!—nie żądam odkrycia,
Straszno jest zgłębiać tajemnice życia.
Dość, że sam wierzę;—bo i cóżby znaczył
Ten święty przestrach, kiedym go zobaczył?
Blask jego sławy był jeszcze przed wschodem,
Wietrzno mi jeszcze było w sercu młodem;
Tłum nas był razem na biesiadzie bratniej —
On przybył z Kowna, i przyszedł ostatni.
Pomnę tę chwilę pierwszego poznania.
Był to dzień Ducha Świętego Zesłania.
Pomnę, jak wiarą dziecinną przejęty,
W kościele zrana, w pokorze i skrusze,
Śmiałem się modlić, aby jak Duch Swięty,
Ogień natchnienia zstąpił na mą duszę.
Byłżem wysłuchan?—Zuchwałe poczucie!
Lecz gdym go ujrzał—z pod posępnych powiek,
W pierwszym wnet na mnie oka jego rzucie,
Ranna modlitwa i mój senny człowiek
Na myśl mi przyszły:—mimowolne drżenie,
Jak dreszcz gorączki po członkach mi przeszło;
Spuściłem oczy—a jego spojrzenie
Jak smug mgły zimnej w pierś mą zda się weszło.
Przemówił—słowa nie rzekłem wzajemnie.
Gwar wszystkich myśli nagle umilkł we mnie,
Jak głos skowronków przypadłych do ziemi,
Kiedy cień orła przelata nad niemi.

A teraz wracam do chwili, na której to opowiadanie przerwałem — do biesiady w gaju brzozowym. Tomasz Zan, równie jak Czeczot, długo ściskali się z Adamem, śród koła otaczających kolegów. Nastąpiło wreszcie wręczenie pierścienia. Adam przemówił z natchnienia. ale prozą, wymieniając nie szereg zasług, ale naturę

*) Mickiewicza.

wpływu Zana na braci i spodziewane stąd na przyszłość owoce. Zaszczyt wyboru siebie na oddawcę pierścienia przypisał jedynie temu, iż wszystkim wiadomo o tym, jak on go szczerze i serdecznie kocha. Po pierwszych chwilach ogólnego wzruszenia, Kułakowski wystąpił z wieńcem z liści dębowych, i chcąc go niby włożyć na skronie jubilata, obyczajem trefnisia przy tryumfalnych niegdyś obchodach w Rzymie, w wesołym, żartobliwym jambie wyliczył cały szereg wad jego: zbyteczną pobłażliwość i słabość dla drugich; niepoznanie wartości własnej, i t. p. Ofiarował zaś wieniec w tym celu, aby jak Cezar łysinę, pokrył nim *słuszny wstyd* za swoje wady. Jamb ten dał hasło wesołości ogólnej, manifestującej się w różny sposób, przy odgłosie choralnych pieśni i akompanjamencie fletu Frejenta, który w końcu zagłuszyły słowiki, gdyśmy już w nocy przez lasy po księżycu wracali do miasta.

Nie mam, zda się, potrzeby dodawać, że dla mnie— a i nietylko dla mnie, lecz i dla wszystkich młodszych kolegów, którzy go dotąd tylko z poezji znali, — Adam był słońcem biesiady, ku któremu skłaniali się wszyscy. Przedstawiono mu też ich po kolei, a mnie Czeczot kazał przed nim powtórzyć też wiersze, które rok temu raz pierwszy, w tym samym miejscu, przed nim samym deklamowałem. Były to wszystko jeszcze elukubracje Boruńskie, i jużciż jako takie nie zostały osądzone surowo. Adam owszem rozpytywał mię czego się uczę, i zachęcał do uczenia się po łacinie, kiedy już nie mogę po grecku, i do wczytywania się w Kochanowskich i Trembeckiego, aby na nich styl i język wykształcić. Ogólne wrażenie pozostało takie, iż ujęty jego dobrocią, pokochałem go osobiście, serdecznie, i że odtąd w marzeniach i myślach moich stał się on dla mnie prawdziwie człowiekiem przeznaczenia, jakim w istocie na całe życie pozostał.

II.

Ze wspomnień Edwarda Odyńca o Adamie Mickiewiczu.

Dnia 3-go Maja 1823 r., pierwszy raz w życiu wyruszyłem w podróż sam przez się, pocztą, i wprost dla przyjemności serca. Myśl ta, w połączeniu z celem po-

dróży, trzymała mnie w radosnym upojeniu przez drogę; tegoż dnia nad wieczorem stanęliśmy w Kownie. Pobiegłem wprost do mieszkania Adama, spotkałem go właśnie na schodach, gdy już na spacer wychodził. Nie wracając przeto do siebie, sam poszedł ze mną do Wereszczyńskiego *) kazawszy iść z sobą chłopcu, po zabranie stamtąd mych rzeczy. Wereszczyński tak był uszczęśliwiony z wizyty Adama, iż ugaszczając nas hojnie, cały wieczór zatrzymał nas u siebie, dopiero o północy pojechał. Adam wracając do domu, zaczął troskać się po drodze, gdzie i jak mię do snu ułoży,—gdyż mu to przedtym zgoła na myśl nie przyszło. Alić zaledwo chłopiec wykrzesał ognia i zapalił świecę, widzimy, że na kanapie, z przystawionemi krzesłami, posłana jest już pościel, nie tylko porządna, ale nawet aż elegancka. Zadziwiony gospodarz, pyta: skąd się wzięła? i dowiadujemy się od chłopca, że ją przysłała pani Kowalska, dowiedziawszy się także od niego: «że jakiś pan do pana z Wilna przyjechał.»—«Pani Kowalska! to moja Opatrzność!» zawołał Adam; i zaczął mi opowiadać o niej i o jej domu, o którym zresztą i w Wilnie nieraz wspominał, a z którym miał mię nazajutrz zapoznać.

Nie z tych tylko wszakże ówczesnych, ani nawet z wielu późniejszych własnych jego wspomnień i opowiadań, ale i z tego wszystkiego, co słyszałem skądinąd, i na co sam własnemi oczyma potym przez lat dwadzieścia kilka patrzałem, muszę tu, a nawet czuję się w obowiązku, opowiedzieć o niej i o jej domu, co, o ile wiem, dotychczas powiedzianym nigdzie nie było, a co przecież w życiu Adama stanowi ustęp niezmiernie wpływowy i ważny, któremu on, jak sam nieraz powiadał, życie może nawet zawdzięczał.

Piękniejszą od pani Kowalskiej kobietę trudnoby sobie było wyobrazić, ale trudniejby może jeszcze znaleźć taki hart duszy i charakteru w kobiecie. Nie była ona wcale ani uczoną, ani literatką, ale miała ten zdrowy rozum, co rzeczywistą wartość jak w książkach, tak w rzeczach i ludziach oceniał, a razem i tę przenikliwość niewieścią, co w ludziach zwłaszcza tę wartość instynktem jakby odgadywać umiała. W tym był początek przyjaźni jej dla Adama, i w tym wpływ tej przyjaźni na niego. Bez tego, w otoczeniu ludzi obcych i zimnych, w małym, cichym miasteczku, jakim było na-

*) Towarzysz podróży Odyńca.

ówczas Kowno, w oddaleniu od wszystkich swoich, i z taką boleścią w duszy, jaka go w owym czasie dotknęła, trudno może byłoby wymagać, aby się mógł oprzeć rozpaczy. Opatrzność wprawdzie przyszła mu w końcu w pomoc i innym cudownym sposobem, gdy zagrożony utonięciem w Niemnie, w kąpieli, przypomniał sobie, w chwili największego niebezpieczeństwa, jak go niegdyś w dzieciństwie modlitwa matki cudem prawie uratowała z przypadku, i gdy poleciwszy się wtedy z wiarą opiece Najświętszej Panny, sam także jakby cudem ocalał; bo nie wiedział i nie pamiętał, jak się znalazł na brzegu. Chwila ta w duszy jego stała się jakby chwilą przełomu i zwycięstwa nad uczuciem rozpaczy; ale możeby nie doczekał tej chwili, gdyby go nie wspierała przedtym uprzejmość i przyjaźń, jakich w domu państwa Kowalskich doznawał. Wiem o tym z własnych Adama i cudzych opowiadań, a znając sam działające osoby, pojmuję najdoskonalej, jak się to stać mogło, i stało. Sam pan Kowalski (naówczas wzięty bardzo i szanowany powszechnie lekarz powiatowy w Kownie), człowiek dobry, zacny, serdeczny, ale tak przytym wrażliwy i tak dający się unosić pierwszemu chwilowemu wzruszeniu, iż czując sam w sobie tę wadę, a uznając właśnie w swej żonie cnoty wręcz tej wadzie przeciwne: zimną krew i niezachwianą stałość charakteru, uważał ją za ideał doskonałości, i dobrowolnie stosując się do niej, jak się ona we wszystkim stosowała do niego, z całą czułością i wylaniem serca był też zazwyczaj i dla tych, których ona za godnych swej przyjaźni uznała. A że oprócz tej chwilowej drażliwości temperamentu, posiadał on wszystkie zalety rozumnego i prawego człowieka, a nadewszystko prostotę i szczerość w obejściu, które Adam cenił najwięcej, stąd poszło, że go wzajem polubił serdecznie i w towarzystwie jego sobie upodobał. Sama pani zaś, od pierwszych chwil poznania Adama, przejęła się instynktowo dla niego jakby jakimś rodzajem czci, nie tylko przyjaźni, i z całą energją niezłomnego swojego charakteru, a razem i z delikatnością niewieścią, zajęła się codziennym, cochwilowym osładzaniem mu tęsknego pobytu w Kownie.

Adam sam ani się domyślał mnóstwa rzeczy, których wpływu wszakże doznawał. Ja o wielu dowiedziałem się potym przypadkowo od osób, które na to zblizka patrzały. Np. dowiedziała się, że Adam lubi muzykę. Córki jej jeszcze były w dzieciństwie; ale się zdarzyła sposob-

ność nabycia doskonałego instrumentu. Nabyto go więc na zapas. Sama pani Kowalska nie grała, ale miała znajome, które grały prześlicznie, a dobrego instrumentu nie miały. Pozwolono więc korzystać im ze swego, pod warunkiem jednakże, że będą przychodziły w pewnych oznaczonych godzinach. A godziny to były właśnie, w których Adam zwykle przychodził. Miał więc codzień muzykę, którą lubił, nie domyślając się bynajmniej, że była li tylko dla niego. Wszystkie nowe książki niemieckie, w przedmiotach mogących interesować Adama, sprowadzano regularnie z Królewca—dla siebie; ale pożyczano ich Adamowi. W tenże sposób, prenumerowano ważniejsze zagraniczne dzienniki, na co niemałych kosztów trzeba było. A cóż dopiero mówić o innych, drobnych na pozór, ale ciągłych i codziennych przyjemnostkach, które przecież działają na smutną duszę człowieka, jak krople eteru w omdleniu! W ważniejszych zaś okolicznościach życia, jak np. podczas pobytu Adama w Bazyljańskim klasztorze w Wilnie, żadne kraty ani niebezpieczeństwa nie były dla niej zaporą, aby się dostać do niego i przynieść mu potrzebną wiadomość. Jakoż we trzydzieści lat potym, w przeddzień już prawie swej śmierci, a w ostatniej ze mną rozmowie o Adamie wyrzekła: «iż był on dla niej w życiu najwyższym ideałem człowieka, którego duchem krzepiła się sama;»—i poleciła mi, abym to mu powiedział, jeśli go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Podczas zaś pobytu jego w Kownie, powtarzam, była ona dla niego istotnie Opatrznością, jak ją sam nazwał wpół żartem, z powodu owej dla mnie przysłanej pościeli.

Mówiąc o domu pp. Kowalskich, nie mogę też pominąć milczeniem dwuch podrzędniejszych wprawdzie, ale zawsze dość wpływowych czynników, które go miłym Adamowi czyniły. Były to dwie małe, piękne jak aniołki dziewczynki, sześcioletnia i pięcioletnia Olesia i Kamcia, które go tak serdecznie kochały i tak już były z nim spoufalone, że skoro wszedł, nie odstępowały prawie od niego, pieszcząc się z nim lub rozmawiając. A któż nie wie, co jest za urok w pieszczotach i rozmowach dziecinnych? Adam zawsze wspominał je czule, a między innemi ich powiedzenie: że mają dwóch tylko „przyjaciełów, pana Mickiewicza i Bauzera.” Była to nazwa ogromnego buldoga, faworyta całej rodziny i zwykle stróża dzieci na przechadzkach, który też strzegł je pil-

niej może i gorliwiej od nianiek. Taki był skład i obraz domu pp. Kowalskich, do którego mnie Adam nazajutrz wprowadził. Piękność pani Kowalskiej oczarowała mnie tak od razu, jak uprzejmość obojga ujęła za serce. Postać, rysy, spojrzenie, uśmiech, mogłyby służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi, tym bardziej, że sama nawet jej toaleta zdawała się naśladować raczej artystyczne draperje greckie, niż wzory modnych żurnalów. W świecie albowiem nie bywała prawie, a w domu ubierała się podług swego gustu. W ogólności sąd obcych i świata nie zdawał się mieć dla niej znaczenia; ale za to też czuwała pilnie, aby sąd tych, o których dbała, nic w niej istotnie do zarzucenia nie znalazł. Był to charakter, powtarzam, dziwnej energji i siły; samoistny i nieugięty; ale przy tym tak pełen wdzięku, godności i naturalności w obejściu, że w niczym swoją oryginalnością nie raził. (Miała natenczas lat 28). To wszystko, co tu mówię, jest owocem trzydziestoletniego mojego z tym domem stosunku w Wilnie, gdzie p. Kowalski potym, i aż do końca życia, był naczelnym lekarzem głównego wojennego szpitala.

Zaraz w tym pierwszym dniu znajomości zostaliśmy zaproszeni na obiad do państwa Kowalskich. Po obiedzie zaś sama pani zaproponowała przejażdżkę do ulubionej doliny Adama, którą raz pierwszy sama pokazać mi chciała. Cztery konie ogromne, czarne, ogniste, zaprzężone w lejc do lekkiego powoziku, przeniosły nas lotem ptaka do młynu, przy początku doliny, której ciąg dalszy zwiedziliśmy piechotą. Jest to, a raczej był wtedy, smug niezbyt szeroki, pomiędzy pasmem lekkich wzgórz z obu stron, porosłych na pochyłościach gajem drzew liściastych, a przerznięty w głębi strumieniem, który ocieniony po brzegach poziomemi krzakami wierzby czy łozy, płynął z szumem środkiem zielonej i kwiecistej łąki. Trudnoby jużciż było powtórzyć z Littaworem w Grażynie, że „jest to dolina najpiękniejsza w świecie;” lecz jako miejsce samotnej przechadzki, była ona rzeczywiście rozkoszną, tym bardziej, że świeżość i balsamiczna wonność powietrza usposobiały przechodniów do rozkosznych marzeń. Droga wązka szła dołem nad brzegiem strumienia, albo się nad nim wspinała na wzgórze, aby znowu zejść na dolinę. W połowie drogi ogromny kamień, ocieniony kilku drzewami, służył za miłe miejsce odpoczynku. Przechadzka więc była przyjemna.

Z życia Adama Mickiewicza.

III.

Mickiewicz jako profesor.

W r. 1839 Mickiewicz sprawował obowiązki profesora literatury łacińskiej w Lozannie w Szwajcarji.—Sława jego atoli, jako poety i profesora, skłoniła rząd francuski do zaproszenia go na katedrę literatur słowiańskich w Paryżu.

Dnia 26 czerwca odbyła się w akademji lozańskiej uroczystość instalowania Mickiewicza, jako profesora zwyczajnego w tejże akademji. Pierwszy przemawiał prezes Rady wychowania publicznego, Emanuel de la Harpe, potym rektor akademji Monnard, a w końcu zainstalowany profesor. Ponieważ krążyły ciągle wiadomości o powołaniu poety do Paryża, zwierzchnicy starali się prawdziwie serdecznemi i zaszczytnemi słowy zjednać go dla swojej instytucji i przywiązać go do niej.

„Piękny-to zaiste dla akademji dzień—mówił rektor Monnard—kiedy widzi zasiadającego wśród siebie poetę, którego sława spółzawodniczy ze sławą Goethych i Byronów. A więc to istotnie prawda, że w spisie członków swoich położyć może tak pożądane nazwisko Adama Mickiewicza, że możemy nadać ci, szanowny panie, tytuł, który nie doda wprawdzie nic do twojej chwały, ale który rzuci na naszą akademję blask żywy. Więc-to nie marzenia senne zamącone obawą przebudzenia! Od kilku miesięcy pragniemy zatrzymać cię i niepokój utraty ciebie rozwinął w głębi dusz naszych cały dramat nadziei i obaw. Nie wiedziałeś o nim może; chyba że go poznałeś po gotowości, z jaką akademja zażądała powołania pana; po pośpiechu, z jakim Rada Stanu zwróciła się do pana, używając wszelkich środków, jakie tylko prawo przewiduje i na jakie pozwala, wreszcie po tej radości, z jaką młodzież ucząca się przyjęła wiadomość o tym podwójnym fakcie, uwieńczonym wkrótce pomyślnym wynikiem—przyjęciem posady przez pana. Imię twoje, szanowny panie i drogi kolego, jest bogatą danią złożoną przez ciebie na rzecz instytucji naszych; przyjmujemy ją z uszanowaniem i wdzięcznością.

Poświęcenie, z jakim nauczasz literatury łacińskiej,

gruntowność wiedzy, obszerny zakres badań, poglądy wzniosłe i bystre zarazem, szczęśliwe zestawienia tylu różnorodnych literatur, które ci dokładnie są znane, wnikanie we wnętrze życia narodów, głęboka intuicja w duszę każdej rzeczy, rzut oka poety wielkiego: wszystkie te zalety zapłodniły lekcje, których urok i użyteczność ściągają i zatrzymują liczne koło słuchaczów... W zamian za to wszystko, co nam dajesz, przyjmij to, co my posiadamy: wolną ojczyznę i serca kochające. Patrz na ten wiatr, co wywołuje burze na górach lub marszczy jezioro i nadyma żagle, lub przynosi nam zapachy leśne i chłodzi nas po dziennych upałach: to podmuch wolności. Patrz na tych ludzi, co chodzą koło żniwa lub okopują winnice, co uprawiają sztuki potrzebne do życia lub wiedzę, pożywienie duszy, co wychowują młodzież dla przyszłości kraju, lub rządzą równymi sobie pod powagą jedynego pana, to jest prawa: lud ten—to rodzina. Patrz na te łąki użyźnione sztuką, na te pola orane z taką wytrwałością, na te pagórki żyzne dzięki mozołom niestrudzonym: wszystko to należy do ludzi, co pracują i zbierają, do ludzi, co są obywatelami—to wszystko jest ojczyzną. Ofiarujemy ci ją równocześnie z przywiązaniem dusz naszych. Zatrzymaj na naszej ziemi, szczęśliwej skutkiem wolności, swój namiot podróżny, smagany burzą; niech rodzina twoja znajdzie pod niebem kantonu Vaud spokój i szczęście. Bądź bratem naszym.”

Piotr Chmielowski.

V. Z POWIEŚCI.

Somo-Sierra.

Bonaparte ciągnął już wprost do Madrytu, przed Madrytem jednak, niby sierp potężny, rzucony z zachodu na północno-wschód, zataczały półkole łańcuchy Guadarramy, osłaniając Nową Kastylję murem skał nieprzebytych, wałami górskich grzebieni i ostro wznoszącemi się szczytami Somo-Sierry. A na szczytach tych

obozował waleczny Don Benito San Juan, pewny dzielności trzynastotysięcznego korpusu, a bardziej ufny w niezachwianą moc pozycji... była to Somo-Sierra, prawa córka Guadarramy.

Guadarrama—to łańcuch gór skalistych, stromych, oślizgłych, to mur, odgradzający dziedzictwo gigantów, wał granitowy, zdolny oceanom stawiać nieubłagane veto, to garb ziemi, garb opoki. Guadarramę przebyć może tylko orzeł, on jeden bowiem ma odwagę spojrzeć z pod niebieskich stref na ponurą pustkę, wiejącą z górskiego łańcucha, na szarzyznę, ścielącą się odeń naokół! Guadarrama stoi groźna, połyskująca, nawet aksamitami mchów gardząca, a taka w uścisku swych wierzchołków zwarta, tak ogniwami zrosła, że na stoki jej nikt stąpić się nie waży!

W sercu Guadarramy, na północ od Madrytu, wznoszą się szczyty Somo-Sierra. Dumne, harde szczyty. Pośród nich wązki przestwór drogi tonie w mrokach dwuch ścian skalistych i po czterykroć załamuje się, zanim odsłoni zrąbek przeciwległego stoku. Somo-Sierra —to brama Guadarramy i brama Nowej Kastylji, brama choć na ścieżaj otwarta, lecz niegościnna, lęk budząca. Te złomy granitów, te gromady skutego ciężaru, nad wąwozem, mówią: „Chodź, niech cię zmiażdżę!“

Don Benito San Juan znał Guadarramę. Łańcuchy górskie obsadził lasem karabinów, a w wąwozie ustawił cztery baterje. Armaty rozkraczały się na całej szerokości gardzieli, wyciągnęły błyszczące paszcze i czekały, poglądając ku wartkiemu prądowi rozkopanej przed wąwozem rzeczki.

Tu być miały Termopile hiszpańskie. Tu rozbić się był powinien gienjusz Bonapartego, tu żywioł zastygły występował do boju.

Napoleon nadciągnął pod Somo-Sierrę, wysłuchał raportów marszałków, doradzających obejście gór i zaatakowanie Madrytu od południa i podyktował rozkaz:

„Dywizja Lapisse uda się na noc na prawe skrzydło i o świcie przypuści atak na pozycję od Supelwedy. Pułk 96 z baterją Senarmonta ruszy wprost ku wąwozowi i będzie miał za zadanie zdemontowanie dział hiszpańskich, dywizja Ruffin wesprze Lapissa. Pułk 24 uderzy na lewe skrzydło. Bessières z gwardją w odwodzie.“

Zanim światło leniwie szarzejącego poranku zdołało przejrzeć poprzez listopadowe mgły a opary,

w obozie francuskim rozległy się przeciągłe dźwięki trąbek.

Armja podniosła się na nogi. Żołnierz ostatnie jął czynić przygotowania. Stara gwardja uroczyste wdziewała mundury i krzątała się gorączkowo.

Większy atoli jeszcze pośpiech panował w trzecim szwadronie szwoleżerów, który dnia tego z kolejnego porządku miał pełnić służbę przy cesarzu. Adjutant sztabowy przebierał w szwoleżerach, lustrował kompanje, że ledwie 120 ludzi w szwadronie zostawił. Kwaśno przyjmowano zarządzenia adjutanta, lecz na protesty czasu nie było, cesarz już stanął na linji pikiet.

Aż naraz warknęły bębny, trąbki zagrały krótko, chrapliwie.

Baterja Senarmonta ryknęła ponuro, a w ślad za nią padły pierwsze, bezładne strzały tyraljerów.

Góry milczały, połyskując dumnie swym skalistym, szklistym pancerzem i tonąc w mgłach.

Za czwartą salwą Senarmonta Guadarrama plunęła żelazem. Huk przeraźliwy, pomnożony przez echa górskie, wstrząsnął powietrzem. Don Benito San Juan czuwał.

Kule armatnie pruły opary i darły zasłony. Dziewięćdziesiąty szósty pułk ruszył środkiem wprost ku wąwozowi, dźwigając pęki faszyny.

Armaty grały coraz szybciej, coraz zajadlej. Piechota hiszpańska raziła ołowiem. Pułk 96 topniał w ogniu, każdy krok znaczył krwawemi strugami, aż zdołał rzucić pęki faszyny w rozwarte szeroko brzegi rzeczki.

Faszyna spływać zaczęła, szarpana wartkiem nurtem, lecz tuż za nią jęły się staczać ciała ludzkie.

Pułk osłabł. Jeszcze wlec się próbował, raz jeszcze zdobył się na rotowy ogień, lecz zasypany żelazem cofnął swoje strzępy. Za nim już stał drugi pułk, za drugim trzeci, czwarty. Tyraljerzy coraz zacięciej razili stojących na stokach gór Hiszpanów. Ci cofnęli się za wierzchołki.

Cel zniknął dla tyraljerów. Wąwóz i góry jeżyły się stalowemi lufami karabinów i groźnemi paszczami armat.

Pułki piechoty szły. Szły ponure, milczące. Szły, rozumiejąc, że na zgubę pewną idą, że zanim zdołają do skał dotrzeć, armaty nieprzyjacielskie zdziesiątkują ich, zmiażdżą.

Rozkaz.

Marszałek Victor zsiadł z konia i stanął na czele dziewiątego pułku, maszerującego na lewe skrzydło, gienerał Semele z przeciwnej strony wiódł pułk dwudziesty czwarty. Wodzowie pierwsi wdarli się na najbliżej stojące skały i usiłowali pociągnąć za sobą żołnierzy, atoli góry bluznęły gwałtowniejszym jeszcze potokiem kul.

Żołnierze francuscy zmieszali się, i jak fala morska rozpadająca się u podnóża rafy, rozprysnęli się w bezładne kłęby i cofnęli się w nieładzie.

Rozkaz.

Victor nowy pułk zagrzewa. Dywizja Ruffina posuwa się na czoło. Już dopaść zdołała pnącego się ku górom tarasu, już kilkunastu żołnierzy skryło się za zrębami skał, gdy znów grad stalowy stoczył się ku dywizji, pierwsze szeregi zmiótł, drugie potargał, trzecie zmieszał...

Rozkaz.

Bębny warczą zajadle. Co chwila z huku armatniego dobywa się rozpaczliwa komenda.

— Szlusuj!

Kolumny zwierają się posłuszne i nikną w oczach.

W baterji Senarmonta już dwa działa umilkły, zdemontowane przez Hiszpanów.

Bonaparte siedział zadumany pod drzewem, jak gdyby wsłuchując się w huk armat. Od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył badawczo prężących się przed nim ordynansów i adjutantów, którzy urywanemi zdaniami raportowali o przebiegu bitwy.

Raporty brzmiały jednakowo:

— Pułk zdziesiątkowany! Dostępu niema! Ogień zabójczy!

Napoleon szarpnął niecierpliwie trzymaną w dłoni rękawicę.

— Montbrun!—rzucił ostro—wysłać mi rekonesans w góry przed linję, niech pochwyci języka.

Montbrun skinął na stojącego w pobliżu Dziewanowskiego. Rozkaz wnet dosięgnął szwoleżerów. Niegolewski ruszył na czele pół plutona Wasilewskiego.

Do Napoleona tymczasem dopadł młody adjutant artylerji.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał — trzecie działo zdemontowane!...

Napoleon wskoczył na siodło i przecwałował ku

górom, Bessières, Montbrun, Duroc, De Segur i orszak ordynansów i adjutantów dosiadł koni. Za niemi postępował szwadron służbowy szwoleżerów, prowadzony przez Kozietulskiego.

Bonaparte minął idące do ataku pułki piechoty i zatrzymał się dopiero na szerokiej płaszczyźnie, zasłanej ciałami poległych.

Badał pozycję. Rozproszone nieco mgły odsłaniały już widok na ciemną gardziel wąwozu Somo-Sierry, z którego głębi artylerja hiszpańska sypała zabójcze pociski.

— Rzeka założona faszyną?...

— Niespełna, sir!

— Ponowić atak!

Świeży pułk piechoty porwał się z miejsca.

— Vive l'empereur!—huczeli żołnierze, przeciągając w pobliżu. Okrzyk ich atoli wśród ryku armat ginął, rozpływał się.

Pułk szedł z orłem hardo podniesionym.

Bonaparte ścigał go wzrokiem. Widział, jak masy ciał słały się, jak ranni, w pół żywi darli się do rzeki. Szczytem bohaterstwa było dotrzyć do niej i rzucić w nią pęk chróstu!

Rzeka wypełniła się szybko. Ciała żołnierzy lepiej się tu sprawiły, niż faszyna.

Niegolewski tymczasem powrócił z ordynansu.

Gienerał Montbrun stawił przed cesarzem wydartego górom Hiszpana. Napoleon spojrzał na przerażoną twarz jeńca i dał znak, że badać go nie chce.

— Bessières! gdzie jest szwadron służbowy?!

— Na prawo, pod górą!

Bonaparte spojrzał w stronę, kędy bielił się pas siwych płaszczów, a czerniały ceratowymi pokrowcami okryte ułanki.

— Dobrze stoją!

— Prawda, sir!...

Napoleon zwrócił lunetę ku rzece. Orzeł cesarski chwiał się bezwładnie ponad cofającemi się szczątkami pułku.

— Dosyć!... Bessières! Szarża natychmiast!... szwadron szwoleżerów!...

Marszałek spojrzał zdumiony na cesarza.

— Najjaśniejszy panie!—szepnął—niemożliwe!

— Powiedz im, że ja chcę!

Bessières pochylił się na siodle i spadł na szwadron.

Marszałek rzucił Kozietulskiemu rozkaz. Stojący w pobliżu gienerał Montbrun zdarł konia.

— Panie marszałku... szarża?!...

— Rozkaz cesarski!—uciął krótko Bessières.

Kozietulski dobył pałasza i zatoczył koniem przed szwadronem.

Kilka gromkich zawołań zwinęło linję, wyciągnęło szwadron w czwórki. Szable błysnęły. Słońce wychyliło się z poza obłoków.

Rozległ się stalowy głos Kozietulskiego: — Cesarz chce, abyśmy tych szczurów wymietli!... Naprzód!...

Szwadron drgnął.

Na młodzieńczych twarzach zakwitły rumieńce. Z pod czap jasne oczy trysnęły skrami.

Kozietulski podniósł pałasz do góry, jednym płomiennym rzutem oka duszę szwadronu przeniknął i zawołał gromko:

— Naprzód! Cesarz patrzy!

— Niech żyje cesarz!—huknęli żołnierze i pochylili się na siodłach. Szwadron zaszamotał się, spiętrzyły się ostrogami naciśnięte konie i runęły, jak wezbrany potok, ku ziejącej ogniem gardzieli, jak lawina, jak burza. Wyciągnęły szyję, rozwarły chrapy, ledwie ziemi dotykając kopytami. Jeden koń drugiego napierał, do szalonego niewoląc wyścigu. A z ócz i z serc żołnierzy jednakie szły ognie, jedna w brwiach była zaciętość, jeden zapał i myśl jedna:

— Oto tam, w oddali, stoi ten, który za krew naszą przyrzekł powrócić ojczyznę! który żąda dowodu męstwa! który wątpił, czy jesteśmy godnemi... swobód! który stał się jedyną naszą nadzieją... z którego losami skuliśmy przyszłość naszą!...

Ta myśl gorzała w sercach, ta myśl kurczowo zacisnęła kiście rąk około głowni, ta myśl szwadron szwoleżerów przeistoczyła w jedno ciało, zaklęła w jedną duszę.

Hiszpanie zaprzysięgli ledz w wąwozie—szwoleżerzy nieśli śmierci w ofierze lata młodzieńcze, łzy gorzkie ojców, nieutulone żale matek, i swe nadzieje, i słodkie mary i sny—byle zgonem okupić zmartwychwstanie.

Szwadron przesadził rzeczkę, w połowie zasypaną ciałami poległych, a w połowie chrustem i wpadł w wąwóz. Baterja hiszpańska, ustawiona na pierwszym jego skręcie, sypnęła gradem kul. Sześciu żołnierzy zwaliło się z koni.

— Na armaty, chłopcy!—zawołał Kozietulski, lecz koń jego zachwiał się, bluznął krwią i padł.

Szef szwadronu stoczył się pod ścianę wąwozu.

— Na armaty, dzieci! Niech żyje cesarz! — huknął teraz Dziewanowski.

Szwoleżerowie wpadli na kanonjerów hiszpańskich, zanim po raz drugi zdołali podłożyć lonty.

Walka była krótka. Ciała Hiszpanów legły na lawetach. Szwadron pędził dalej, ledwie końcem pałaszy zawadzając o resztki kanonjerów. Czego nie dokonały cięcia—tratowały konie.

Gardziel wąwozu za pierwszą baterją zwężała się, tworząc zaciemniony korytarz, a w końcu załamywała się i znów się wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załamów broniła oddzielna baterja, zagradzała drogę, tworzyła węzeł, stanowiła niezdobytą redutę, była dość silną, aby atakowi stawić czoło, aby go zetrzeć na miazgę, by z miazgi tej dla samej siebie zawał obronny utworzyć.

Termopyle hiszpańskie cztery miały ogniwa, cztery czeluście, w których, czego armaty-by nie zdołały wymieść, lasy karabinów, na szczytach ustawione, miały do skał przygwoździć.

Strzałów chybiających tu nie było. Wąwóz prostował skrzywienia celów, a gdy kula o ścianę jego uderzyła, wypryskiwał odłamami granitu i srogie zadawał kontuzje.

Wiedział o tym Don Benito San Juan i spokojnie czekał za górami, rychło fala żołnierzy francuskich, szamocąca się u stóp Somo-Sierry, nie odpłynie upokorzona. Wiedziała o tym i „Chunta" rządząca powstaniem i czekała spokojnie w Arancuer wiadomości o ustąpieniu Bonapartego.

Gdy szwadron Kozietulskiego porwał się do szarży, Don Benito San Juan uśmiechnął się pogardliwie... Lecz gdy ponad pierwszą przepłynął baterją, gdy do uszu Don Benita doszedł okrzyk gromki, potężny, brzmiący szaleństwem—wódz hiszpański zbladł...

Szwadron pędził naprzód. Stu dwudziestu ludzi rzucało się na armję, na grad kul, na góry, na skały, na Somo-Sierra.

Szwadron pędził naprzód. Kozietulski, stoczywszy się z konia, pomimo kontuzji, oczy wzniósł błagalnie ku mijającym go w pędzie żołnierzom i żebrał:

— Bracia!... Towarzysze!... Konia!...

Nikt go nie słuchał.

Przed drugą baterją padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonjerów odłam skały uderzeniem w piersi zwalił z konia Piotra Krasińskiego... Dziesięciu żołnierzy okupiło drugą redutę...

Dziewanowski prowadził dalej, mając tuż przy sobie wachmistrza Wasilewskiego ze szwoleżerem Szumem.

Na trzecim załamie ogień nieprzyjacielski wzmógł się. Piechota hiszpańska strumieniem żelaza zasypywała wąwóz, baterje raziły zajadle. Kule zrywały szwoleżerom czapy, szarpały płaszcze i mundury na strzępy, raniły i zabijały konie, dziesiątkowały szeregi. Co chwila ktoś zaczynał się słaniać na koniu i zapadał się w potok pędzący.

Bez komendy konie szlusowały zamykały przerzedzone szeregi, a choć na grzbiecie swym dźwigały niekiedy już tylko krwią zlaną kulbakę, mknęły dalej, dopóki kule armatnie nie poszarpały ich, nie zbiły z nóg.

Kompanje zmieszały się, plutony brały już podział życia i podział śmierci.

Niegolewski, który z plutonem swym szedł ostatni, znalazł się tuż za wachmistrzem Wasilewskim, gdy trzecia baterja, zdążywszy do drugiego wystrzału się przygotować, zionęła żelazem. Zmiot był straszny. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozniósł, kanonjerzy leżeli stratowani. Dziewanowski stoczył się, plując krwią.

— Naprzód!—wołał teraz adjutant Rudowski.

— Naprzód! — huczał nadjeżdżający z tyłu Niegolewski.

Na górach tymczasem stało się to, czego ani dzielny Don Benito, ani „Chunta" rządząca, ani Bonaparte przewidzieć nie mogli.

Szczyty Somo-Sierry zakołysały się, szeregi Hiszpanów zachwiały, okrzyk przerażenia dobył się z piersi wojska powstańczego... U ich stóp, na krańcu niezdobytego wąwozu, ukazały się białe płaszcze szwoleżerów i pokrowcami okryte ułanki!...

Armaty zagwożdżone, z zalanemi krwią zapałami, zasłane ciałami zwycięzców i zwyciężonych, umilkły... Okrzyk: „Niech żyje cesarz!"—huczał, a piął się po skałach, a jęczał...

Hiszpanie zdumieli się — broń wypadła im z rąk, zmieszali się, złamali karne łańcuchy i jak fala spływać zaczęli ze stoków Somo-Sierry i szukać schronienia, kę-

dy wiła się ścieżka, kędy górski wąwóz wiódł ku Saragossie, Madrytowi, Aranchuezowi, Walencji...

Ucieczka była straszna. Lęk nie miał pomiarkowania, głuchy był na błagania dowódców, niepomnych na własne bezpieczeństwo. Żołnierze parli przed siebie na oślep, częstokroć na końcu wąwozu znajdując ponurą, nieubłaganą ścianę, która im była wyrokiem śmierci, gdyż z gardzieli Somo-Sierrskiej wysypały się już świeże szwadrony szwoleżerów, szaserów, i konnych grenadjerów, a na góry pięła się bezkarnie piechota francuska.

Zgiełk bitwy nikł za górami—i rozpraszał się. Oddziały kawalerji wracać zaczęły powoli, prowadząc niewolnika. Piechota zajęła obóz Don Benita.

Wąwóz Somo-Sierra umilkł—zastygł ze zgrozy i ponure cienie słał na bezkształtne masy ciał ludzkich.

Aż oto w gardzieli Somo-Sierra ukazał się Bonaparte.

Jechał zamyślony, poglądając ze zdumieniem na dokonane żniwo śmierci. Bo jak wedrzeć się tu mogła kawalerja, jak przepłynąć zdołała ponad baterjami, które całą szerokość wąwozu zajmowały?...

Od czasu do czasu z pośród stosu ciał wznosiła się ręka, a z piersi konającego wydobywał się okrzyk pełen zapału:

— Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten grzmiał groźny, mocny i dookoła czary rzucał, bo pół zastygłe ciała poruszały się, posiniałe wargi składały się do uśmiechu, w zbielałych oczach drgało życie!

— Niech żyje cesarz!—wołali ranni.

— Niech żyje cesarz! — szeptali konający, ostatnie wydając tchnienie...

...I oto z pod Somo-Sierry szli plutonami żołnierze naszej ziemi! Szli promienni, szczęśni, szli z pieśnią Bogarodzicy, szli przed tron Wszechmocnego. Szli zdobni nowym indygenatem, szli w karmazynach krwi, za kraj przelanej... Szli dumni, że oto w wąwozach Somo-Sierry wyryli imiona na wieki wielkie, na wieki drogie. Szli rozradowani z nadzieją i wiarą! Szli!...

W. Gąsiorowski.

Trzy pokolenia.

Bonaparte objeżdżał pole bitwy w otoczeniu Duroca, Bessièrsa i Berthiéra. Zaduma błąkała się po jasnym czole zwycięzcy. Oczy jego smutne poglądały na te tysiące istnień ludzkich, które tu słały się pod jego stopami, które ostatnią kroplę krwi wysączyły, aby dla niego uwić laur, aby sławę jego w nowe ustroić blaski. Zawały trupów co chwila znaczyły miejsca, gdzie bitwa ważyła się, gdzie natarcie było silniejsze, gdzie obrona była bohaterska. W mrokach jasnej nocy czerwcowej, na zielonej runi pól odbijały wyraźnie szerokie, różnobarwne koliska, niby kwietne klomby...

Od strony obozu francuskiego snuć się zaczęły już złowrogie cienie grabarzy...

— Duroc!—rzekł Bonaparte do jadącego za nim wielkiego marszałka dworu.—Patrz, ile ofiar!...

— Najjaśniejszy panie, rocznica Marengo!

— Tak, tak! rzetelnie ją obchodziliśmy!...

Napoleon skierował konia ku zgliszczom palącego się jeszcze Friedlandu. W tejże chwili z poza zagajnika wysunęły się trzy cienie jeźdźców w gieneralskich mundurach i na widok cesarza zdarły konie.

Bonaparte spojrzał bystro ku cieniom.

— Kto jedzie?

— Oudinot, Perin-Victor i Dąbrowski!—odezwał się basowy głos.

— Zbliżyć się!

Jeźdźcy ruszyli ku cesarzowi i osadzili przed nim konie, salutując monarchę.

— Oudinot! cudów waleczności dokazałeś, gdziekolwiek się pokazałeś... O nic się lękać nie trzeba, tylko o ciebie!...

— Sir! Spełnić chciałem obowiązek!...

— Za Ostrołękę zostałeś hrabią, za Friedland mianuję cię gubernatorem Erfurtu!

— A ty, Perin, jesteś marszałkiem! Berthier! przygotujesz nominację do podpisu!... A! gienerale Dąbrowski, jakże pańska rana?...

— Zapomniałem, że była!

Bonaparte targnął zlekka konia i wysunął się naprzód, a wskazując na szeroką polanę, zasłaną zwłokami pruskich żołnierzy, ozwał się do towarzyszących mu marszałków i gienerałów:

— Patrzcie, panowie, tu leżą szczątki armji Fryderyka Wielkiego!... Dąbrowski! gdyby tamten żył, możebyś żniwa takiego nie miał...

— Pod twoim przewodem, najjaśniejszy panie, inaczejby się stać nie mogło!...

— Wielki dzień! wielki! — powtarzał w zadumaniu Bonaparte.

Naraz bystry jego wzrok zatrzymał się na małym pagórku, tuż przy polanie... Napoleon spiął konia ostrogami...

Na wzgórzu tym, zasłanym ciałami poległych, dziwna odgrywała się scena.

Pośrodku leżał młodzieniec w mundurze ułańskim, cisnąc do broczącej na piersiach rany rękojeść strzaskanego pałasza. Wargi jego szeptały jakieś wyrazy nieuchwytne. Na poły przymknięte oczy szkliły się smutnie...

Tuż obok młodzieńca, jakby z pod wyprężonego kadłuba końskiego, czołgał się starzec siwowłosy, drżący, odziany w barwę województwa kaliskiego. Starzec miał lewą nogę przewiązaną szmatą. Rana snać jego była ciężką, bo z piersi czasem głuchy, bolesny jęk się dobywał.

Starzec wspierał się na rękach, ustawał, omdlewał prawie. A jednak wlokło go coś do tego szeptu młodzieńca!... I nie zważał, że mimo szmaty rana krwawiła coraz silniej. Zmagał się a pełzł.

Z przeciwnej strony inny cień również ku młodzieńcowi sunął. Był to stary legjonista-oficer. Twarz jego wychudła, zmarszczona, zczerniała na słońcu w łunach pożaru Friedlandu zdawała się być jakimś widmem, groźnym zjawiskiem...

Legjonista zasłaniał lewą ręką rozwarty bok, prawą się wspierał, a na nogach ustać nie mogąc, na kolanach się wlókł, z trudnością kołując pomiędzy stosami ciał ludzkich.

— Ludzie! Pomocy! Ratunku!... — jęczał starzec. — Matko Najświętsza... dodaj mi siły... ani chybi, to ten smyk! A, poczekaj urwisie, uszu ci natrę!... Od wszelkich złych przygód racz nas wybawić!... Ucapiłem cię przecie!... Szałaputo, nicpotym!... Pani matce zmartwienia takiego narobić!... Wojaczki się smykowi zachciało!... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Jezu... pozwól, niech się dowlokę!...

Starzec dyszał ciężko. Oczy jego z rozpaczą wpatrywały się w jasną twarz młodzieńca, ozłoconą blaska-

mi łuny pożaru. Suche, drżące ręce zapierały się gwałtownie, żyły na czole nabrzmiały. Ostatkiem sił darł się do młodego ułana. Aż... pochylił się wreszcie nad obumarłym na poły ciałem. Siwa głowa zatrzęsła się, z pod ciężkiej powieki łza wielka spadła na czoło młodzieńca. A snać brzemienna była potężną modlitwą a bezmiernym bólem, gdyż ułan otworzył nagle oczy i spojrzał na starca rzewnie, smutnie... Wargi jego poruszyły się.

— Dziaduś... przyszli!...

Starzec zadygotał, nieludzki ryk dobył się z jego piersi.

— Mośćpanowie! Kto w Boga wierzy, ratujcie!... Chłopczyna mój serdeczny zamiera!... Wszechmogący, wieczny Boże!... mnie... mnie... zabierz z tego świata!... Daruj życie... smykowi... Wody!...

— Que diable—odezwał się z przeciwnej strony głos legjonisty. — Zaraz! Niech się wygramolę! Mam manierkę!...

— Bywajcie, mospanie!... Bóg was zsyła!... Ledwie dyszy... Dzieciuch taki! Doczekałem się pociechy!...

Oficer legji zdołał nareszcie zbliżyć się do ułana. Z wysiłkiem odpasał przewieszoną przez ramię manierkę z wódką i wlał w usta ułanowi. Młodzieniec westchnął głębiej.

— Wyliże się!—mruczał legjonista.—Bagnet pruski! Macie bandaże? Czekajcie! Będą!...

Legjonista rozerwał mundur i wydarł szmat płótna z własnej koszuli... potym wyciągnął nabój z ładownicy, rozgryzł i proch wysypał na szmatę.

— Niby kaleczy a goi!—rzucił przez zęby, zaczym, nie zważając na starca, który niespokojnie śledził każdy ruch twarzy legjonisty, jął opatrywać ranę młodzieńca.

Ułan po raz wtóry otworzył oczy i spojrzał jaśniej, wyraźniej.

— Dziaduś się gniewają?...—rzekł cicho.

Starzec pochylił się ku ułanowi.

— Co, co waćpanu w głowie?... Potym, na kobiercu się rozprawimy, po szlachecku!... Widzisz... lepiej ci?... Żołnierki ci się chciało?... Z domu matczynego uciekać... A gdyby cię tak Prusak nadział bagnetem, to... coby było?... Nic waćpan dla dziada respektu nie masz! Widzisz, z harmaty mnie uraczyli. Ooo!...

— Darujcie! Przebaczcie!...

— Co darować?! Co wybaczyć?!—burczał starzec.— Po jednych pieniądzach wszyscy!... Jaki ojciec, tąki syn!

Tfy!... Aż mówić niepodobna... Józef, biedaczysko! Florjan, no, Florjan mężczyzna!... Ale... ci smyk taki, żal się, Boże! Kosteczki jak patyczki, piąstka na komara i... wlecz się, dziadzie, tłucz gnaty... naści pierzynę na stare lata!...

Nagle oficer legji, który był z kolei z jakąś zabobonną trwogą na starca poglądał, rzucił okiem na wielki sygnet szlachecki, lśniący w blaskach łuny na palcu dziada i zadrżał. Ciało jego osunęło się, zachwiało... Chwycił gwałtownie rękę starca i do ust ją przycisnął.

Starzec chciał coś rzec, chciał usunąć rękę, wreszcie spojrzał na chylącą się przed nim, siwizną przyprószoną głowę. Serce zamarło mu w piersiach. Ciało legjonisty zadygotało, łkanie głuche rozrywało mu gardło, bok trysnął krwawą wstęgą.

— Co... co... waćpan?!—szeptał starzec, bojąc się dać porwać przeczuciu.—Któżeś ty?... Mara?!...

— Ojcze!

— Józef! Boże miłosierny!... Ostatnia na mnie przyszła godzina!... Czas, czas!... Józefie! synu... pilnuj swego smyka!... Marcelek... Figle mu w głowie... Koszałki, opałki! Wojaczki mu się chciało!... Tyżeś-to? Tyle lat waćpana nie widziałem! W domu bezład!... Pisklęta ci się zbuntowały... Staszek u Prusaków!... I tak wszystko idzie, marnieje... ginie!... Tobie, Boże, na ofiarę!..

— Dziaduniu!...

— Nie, niema dziadunia!... Rodzic twój niech mnie zastąpi! Chciałem waści uszu natrzeć... z harmaty ucapili!... Boże, błogosław was!... Boże, nie opuszczaj was!... Dziej się wola Twoja!... Józef!... Marcel!... Dajcie mi wasze ręce!... Oto niegodny schodzę z tego świata... bez słowa pociechy, bez przebaczenia... Jezusie, wejrzyj na mnie ginącego pomiędzy Francuzami a dysydentami! Cicho, Marcelek! Widzisz... tam jejmość dobrodziejka a babka twoja stoi... Asińdźce pilno... zaraz!... Niech raz jeszcze chłopaka naszego uścisnę i... tego urwisa... Ooo! Com ja się nażył!... Wódz nielada ten Napoljon!...

Ciało starca osunęło się bezwładnie na murawę. Skonał.

Syn i ojciec padli sobie w objęcia... Krew płynęła im z ran, zlewała się w jedno pasmo i spływając falisto, wsiąkała w ziemię i łączyła się z krwią dziada.

Wtym ponad głowami rannych rozległ się dźwięczny głos:

— Kto tu wzywa pomocy?!

Oficer legji podniósł błędne oczy i jęknął głucho:
— Cesarz!...
— Co za pułk?! Generale Dąbrowski, barwy legji północnej?...
Dąbrowski zeskoczył z konia i podbiegł na wzgórze.
— Kto tu?... Jaki pułk?... Cesarz przed wami!...
— Józef Gotartowski... brygady Aksamitowskiego!...
— Ranny? Kapitan! A ten młody?...
— To mój syn!... A ten wolantarz kaliski, to... dziad!... Umieramy!...
— Co, co?—badał Bonaparte, nie rozumiejąc odpowiedzi legjonisty.
— Najjaśniejszy panie!... Trzy pokolenia rodu jednego.. Dziad, ojciec i syn!...
— Ratować ich! Ordynansa! Duroc!...
Wielki marszałek dworu zawrócił konia i jak strzała pomknął ku biwakom francuskim. Cesarz, a za nim marszałkowie i Oudinot zsiedli z koni.
Bonaparte podszedł do Józefa Gotartowskiego.
— Dzielny ród żołnierzy!... Nazywasz się?...
— Gotartowski, najjaśniejszy panie!...
— Służyłeś?
— Dziesięć lat w konfederacji, dziesięć w niewoli tureckiej... teraz w legji...
— Jesteś pułkownikiem!...
Kapitan uśmiechnął się smutnie.
— Umieram!—rzekł cicho.
Bonaparte odwrócił głowę. Dąbrowski przyklęknął przy umierającym i rzeźwił go wodą...
— Gienerale, nie mnie ratujcie, lecz tego chłopca... Mnie także pora... Jego szkoda byłoby! Taki młody! Czas mu przecie!...
Napoleon sięgnął po order legji, zawieszony na mundurze, odpiął go i ku kapitanowi się pochylił.
— Jesteś oficerem krzyża!...
— Najjaśniejszy panie, nie mnie!... Ja odchodzę!... Na mnie legja czeka niebieska! Lecz ten dzieciak... Już chrzest krwawy przeszedł... Jemu, najjaśniejszy panie... za ojca i za dziada...
Bonaparte przyklęknął nad Marcelkiem. Ułan spojrzał na cesarza... Ojcu łzy w oczach zabłysły. Wspierając się na podtrzymującym go gienerale Dąbrowskim, patrzył z dumą na syna. Minister wojny Berthier tłumił wzruszenie. Marszałek Perrin płakał.

— Pułkowniku — ozwał się Napoleon—nie masz-że jakiego życzenia, którebym mógł spełnić? Mów!

— Najjaśniejszy panie... niech pochowają mnie razem z ojcem!... To wszystko!...

— Daj mi swoją rękę, niech ją uścisnę!... O synu twoim będę pamiętał... Boli mnie, że nic więcej dla ciebie uczynić nie mogę... Nie trać ufności!... Patrz... ambulanse nadjeżdżają!... Da Bóg, rana twoja nie będzie śmiertelną!

Bonaparte usunął się na bok i patrzył w dal ponurą, patrzył na pożogę, która przygasłszy na chwilę, z nową wybuchnęła siłą, patrzył na to pole śmierci, pole sławy...

Kapitan tymczasem, w pół leżąc na ziemi, oddychał ciężko, a raniony bok cisnął. Dąbrowski zwilżył chustkę wodą i przyłożył mu na ranę.

— Dziękuję, gienerale! Paliła mocno... lżej mi teraz!... Marceli!...

Ułan ręce złożył na kolanach ojca.

— Marceli! Synu mój... nogi ucałuj matce. Florka, Staszka, Urszulę, Fabjana... Błogosławieństwo im zanieś... Tyle lat rwała się do was dusza, ciągnęło serce... Nie dali! Miłujcie się, kochajcie, czcijcie jego... cesarza! On wielki! Dobrze mi tak umierać... gdy ciebie widzę!... Tam... spotkamy się znowu!...

Odblask pożogi zaświecił w lśniącej powłoce krzyża zawieszonego na piersiach Marcelka. Konający uśmiechnął się z rozrzewnieniem.

— Phi! Marcelku! Patrz... masz legję! A wiesz ty, co taka legja znaczy?... To więcej, niż nowy indygienat... Szanuj ją... aby wnuki twoje poszczycić się nią mogły! Widzisz, chłopcze... legja!... Krzyż!...

Kapitan jęknął ciężko. Marcelek, leżąc na ziemi, ostatkami sił nogi ojca ściskał a całował. Stary legjonista raz jeszcze zbudził się do życia i powiódł dokoła błędnym wzrokiem, a spostrzegłszy zdala wysuwającą się sylwetkę cesarza, rzekł, wskazując nań ręką:

— Synu!... Za nim pójdziesz i ty, i Florek, i wy wszyscy—aż do ostatniej kropli krwi! Na śmierć, na życie!... To moja... wola... Módlcie się!...

Kapitan zaczerpnął gwałtownie powietrza, westchnął ciężko, jakby zbywając się ciężaru, który lat tyle tłoczył go, pod którym giął się, łamał... i zwiesił głowę...

Gienerał Dąbrowski zdjął kapelusz, a za jego przykładem poszli marszałkowie... W tejże chwili prawie za-

jechał pędem ambulans, zaprzęgnięty czwórką, a przyprowadzony przez wielkiego marszałka dworu. Dwaj chirurdzy jęli opatrywać omdlałego ułana.

Bonaparte dosiadł konia i zawrócił do obozu.

W. Gąsiorowski.

Wspomnienie z Maripozy.

...Po drodze do Big Trees [1]), czyli olbrzymich drzew kalifornijskich, zajechałem do Maripozy. Miasto to liczyło przed niedawnemi jeszcze laty do 15 tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w nowym świecie miasta rodzą się jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistym dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili się tu amerykańscy, „gambusinos'' [2]) z Meksyku i kupcy z całego świata. Potym wszystko to wywędrowało. „Złote'' miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej czy później musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już na nowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewali wieczorami: „I crossed Missisipi'' [3]), obecnie śpiewają kujoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma „kapitol,'' trzecie hotel pana Bilinga, obejmujący zarazem grocernię „saloon'' [4]), to jest szynk i „bakery'' [5]) czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest farmerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymiemi lasami, w których zrzadka siedzą skwaterowie [6]).

Gdy dyliżans nasz wjeżdżał do miasta, było w nim niezwykle ludno; przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień

---

[1]) Czytaj: Big Tris. [2]) gambusinos (kopacze złota). [3]) Aj krost Missisipi. [4]) salun. [5]) bekri. [6]) osadnicy.

miód do grocerni, w której w zamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracja napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych wysokich dachach i po tym, że między kołami zwykle upięty jest pies, szop, albo niedźwiedź. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Biling, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy [1]). Na pierwsze wejrzenie poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees; ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą dla niego klijentelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy jak iskra.

Z wielkim ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objaśnił, że już jest po brekfeście, [2]) ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w „dining room" [3]).

— Gentelman zapewne z San-Francisco?

— O, nie! Z dalszych stron, z Polski.

— Jest tu pański rodak.

— W Maripozie?

— Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

Niemiec staje i poczyna się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— O! nie wiem!—mówi.—Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz ledwiem wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwił we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością.

— Zostawiam panów samych—rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

---

[1]) wiski i brendi (wódka). [2]) po śniadaniu. [3]) dajning rum (pokój jadalny).

— Zwę się Putrament—ozwał się starzec.—Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M.—odparłem.—Pańskie obiło mi się o uszy. Zdaje się z Litwy? Coś istotnie przypominało mi się z „Pana Tadeusza,” coś „Putrament z Pikturną” w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

— Hę?—rzekł.

— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował mi uszy moje i głuchą jest starość moja—odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem?—pomyślałem—ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie?

— Pan dawno z kraju?—zapytałem.

— Dwadzieścia dwa lata tu mieszkam i zaprawdę pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie, byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San-Francisco i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć. Brr! Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się silnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciął. Widocznym było, iż sam czuł, że nie wyraża się, jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stężał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda, to nie grzech!—pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. „Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec — myślałem — ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto jakbym podrwiwał sobie z niego.”

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

— Rodak! rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzyć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego, on wciąż patrzył na mnie.

— Co słychać w ziemi naszej?—zapytał.

Rozpuściłem język jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich szanowna jego głowa kiwała się smutno, lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tymże samym poważnym i dziwnym i niewytłómaczonym dla mnie stylem.

Wszystko, com mu powiedział, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie wśród lasu, może on dnie całe myślał tylko o tym, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starzec, dziwna rasa ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie! Tym żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem;—unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz—i chodzisz jak błędna między innemi ludźmi. Ale rasa ta umiera zwolna. Ja wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem,—a jest rzeczywistością. — Putramet może żyje jeszcze w swoim lesie w blizkości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się, co następuje. Był on pasiecznikiem jak większość skwaterów. Nie jest zbyt biedny. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego Indjanina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze codzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptastwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego „kenjon'' jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad—zresztą skały i góry, a na nich las i las nieprzebyty. Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził, ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham, lub Jakób... Słowa: Aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wzdy—powtarzały

się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przewędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees poblizkie.

Ale prócz tego starego języka była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, *) na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

— Jedną książkę mam w domu: biblję Wujka, którą czytuję codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich.

Teraz rozumiem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka, i nic dziwnego, że nie tylko jego słowa, ale i myśli ułożyły się do miary biblji. Inaczej po polsku nie umiał i nie mógł umieć; oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją biblję każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd—chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie...

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych, brata, swata, kogokolwiek, komubyś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych—potym począł potrząsać głową.

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

— Niech cię prowadzi Pan!—rzekł mi na drogę,

Nazajutrz rankiem myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w kenjonie swoją biblję...

Henryk Sienkiewicz.

---

*) Większa ilość wyrazów i zdań, aniżeli potrzeba do określenia rzeczy. Pleonazmy rozmyślnie użyte w stylu pięknym, dodają mu barwności, siły i dobitności.

Powrót Jana Kazimierza.

Przed Janem Kazimierzem, zdążającym od Szląska do ziemi polskiej, zabielały wreszcie Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski szły od nich okrutne, póki nie zagasły w mrokach, cały świat obejmujących.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy—otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już niedaleko—rzekł ze wzruszeniem król.

Wtym dostrzeżono wózek, zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz i zapytali:

— Człeku, a czy my to już w Polsce?

— Tam za skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

I góral zaciął szkapinę.

— Miłościwy panie — zakrzyknął z uniesieniem jeden z rycerzy — stanąłeś już inter regna, bo oto twoje od onej rzeczułki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, aby mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiedli wszyscy i poszli za jego przykładem, ów król zaś i tułacz padł po chwili krzyżem w śnieg i począł całować ziemię tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastała cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny; góry i szczyty poblizkich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły ubierać się w fijolety, lecz droga, na której leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga, a blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtym ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał na doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać

się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły gospodynie!...

Mrok już nasycał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednym miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać: Ave Maria, a za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzinna, dawno nie widziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, —wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły; więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu: król, dygnitarze i rycerze.

W drodze znajdowano wszędzie pewnych przewodników z pomiędzy górali, którzy szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud duszą i sercem oddany królowi, chociaż ubogi i napół jeszcze dziki, mało albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się trudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swych siekier i ruszyli z gór. Szwedzi z największemi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a klęskę ponieść łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędziły.

I teraz więc szli chętnie, gdy im powiedziano, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich też wśród śniegów, skał, wirchów i przełęczy, sobie tylko znanemi „pyrciami,” przez miejsca tak niedostępne, że rzekłbyś—i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białemi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę, i bywało, że osada

jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Dojechano już do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na wschód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowo droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w ręku je prowadzić, a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać. Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowach.

Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę skalną, długą i prostą, a tak wązką, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie. Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzieniegdzie jednak krawędzie ich rozchylały się, tworząc mniej strome pochyłości pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym pokładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędyś między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptactwo, łopocząc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czy to Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

— Bo nie można. Ów wąwóz zakręci się opodal, potym będzie siklawa, za siklawą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było odrazu traktem jechać—rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho. Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?!

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszech stron.—Nic nie słychać!,..

— Bo tam śnieg leży. Na rany Boskie! Już są blizko!... Zaraz się ukażą!

— Może to marszałka Lubomirskiego ludzie?—rzekł król.

Kmicic w tej chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć! —rzekł.

Kiemlicze, jak zwykle, ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem; lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed niemi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrzał... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blizko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozostało tylko przebić się lub zginąć albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady.

— Osłonić króla i z powrotem! — krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicic zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w który przebrał się, wychodząc z klasztoru Częstochowskiego; więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku; tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic najechał nań tak blizko, że prawie trącili się kolanami i nie odrzekszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos Kmicica:

— Bij!

I jako skała, oderwana od opoki, tocząc się w przepaść, druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt... Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęki.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryźć się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno się złożą, próżno sztychów nadstawią; tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia, wściekłe, jak błyskawice szybkie. I nadludzkiemi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa. Dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapir między synów tak szybko, jak wąż żądło wysuwa, i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncjusz trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król — na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! — wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza, że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkiemi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego!—krzyczał z rozpaczą.— Tamci zaraz polegną!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja tu ich jeszcze zatrzymam!

Lecz upór króla, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczym i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami i zamiast cofać się, posuwał się naprzód. A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie!... — wołał król.

Szczęściem, przeciw Kmicicowi i Kiemliczom dla ciasnoty miejsca mała tylko liczba ludzi mogła od razu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiry szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. — „Jeszcze choć jednego!“ — powtarzał sobie i puszczał płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara i znów zwracał się ku innemu.

Szwedom wszelako po pierwszej chwili zamieszania i strachu wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo, i natarli z furją; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli w tył i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtym koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać; lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wicher ruszyli ku orszakowi królewskiemu. Tyzenhauz ze swemi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach. Lecz cóż znaczyła ta nowa garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blizko trzysta koni liczącemu! Nie było wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz, który widocznie wołał pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem. Nagle—stanął jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jak gdyby ziemia wzruszyła się z posad, jak gdyby bór, rosnący w górze, chciał wziąć udział w walce i pnie drzewne, bryły śniegu i lodu, kamienie i okruchy skał i jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obłamów, uderzających o pancerze. Nakoniec ludzie i konie utworzyli jedną kupę, kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną. A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy, przybrane w okrągłe skórzane kapelusze, za niemi wychyliły się ciała, i kilkaset dziwnych postaci poczęło się spuszczać wdół po pochyłościach śnieżnych. Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potym krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncjusz ze zdumieniem patrzał na tych nieznanych sobie ludzi, rosłych, silnych, pokrytych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącemi jeszcze siekierkami. Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska!... oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!...

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi!—odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: „Król! król! Jezusie! Marjo! król!" Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec, i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy. Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie, i skinął ręką, że chce mówić; a gdy się uciszyło, rzekł podniesionym głosem tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże! któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu odtąd ojcem będę!

— Amen!—powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli.

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakimś wojskiem; postanowili tedy wciągnąć Szwedów w zasadzki i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy — mówili górale — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów; chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć psubratów zawcześnie!...

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Kmicica! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... Szukać go, szukać!—Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnam!

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte, pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiażdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk.

— Dla boga! Żyw!—zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz!—wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie. Kmicic odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw!—powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczym otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej chwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta. Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu po twarzy, a blade jego wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywie... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

Z pow. „Potop“ Henryka Sienkiewicza.

Częstochowa.

Po złej, bezsennej nocy, był Kmicic znużony na ciele i duszy.

Ani ów ranek jesienny, blady, ale rzeźwy, szronisty i pogodny, nie mógł rozproszyć smutku, gniotącego serce rycerza. Nadzieja wypaliła się w nim do ostatniego źdźbła i zgasła jak lampa, w której oliwy zabrakło. Co mu przyniesie ten dzień? Nic! te same smutki, to samo utrapienie, prędzej przyrzuci ciężaru na duszę, z pewnością nie ujmie.

Jechał więc w milczeniu, utkwiwszy oczy w jakiś punkt, bardzo błyszczący na widnokręgu. Konie parska-

ły na pogodę; ludzie poczęli śpiewać sennymi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtę stronę, wreszcie Soroka rzekł:

— Dziwo, czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło?

Istotnie, owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem—zdala, rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę, siejącą blaski niezmierne.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtym od Kruszyny chłop nadjechał w drabinkach. Kmicic, zwróciwszy się ku niemu, ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo światło, modlił się.

— Chłopie—spytał pan Andrzej — a co się to tak świeci?

— Kościół Jasnogórski!—odrzekł kmieć.

— Chwała Najświętszej Pannie!—zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili to samo jego ludzie.

Po tylu dniach zmartwień, zwątpienia i zawodów, uczuł nagle pan Andrzej, że staje się z nim coś dziwnego. Ledwie słowa: „Kościół Jasnogórski" przebrzmiały mu w uszach, gdy smutek opadł z niego, jakoby kto ręką odjął.

Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznana radość wielka, błoga. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której napróżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory, budzący się z gorączki, z nieprzytomności.

A kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś: stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego świa-

tła i nasycał i koił się jego widokiem. Ludzie jego mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtym odgłos dzwonu rozległ się w cichym rannym powietrzu.

— Z koni!—zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klęknąwszy na drodze, rozpoczęli litanję. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadjechały przez ten czas nowe wozy; chłopi, widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większa czyniła się gromada.

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej, a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając: „Witajcie, jasne podwoje!"

Pan Andrzej szedł tak rzeźwy, jakby skrzydła miał u ramion. W skrętach drogi, kościół to niknął, to ukazywał się naprzemian. Gdy przesłoniły go wyniosłości lub parowy, zdawało się Kmicicowi, że ciemność świat ogarnia, lecz gdy znowu rozbłyskał, wówczas rozpromieniały się i wszystkie twarze.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze, ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto w dali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe, jako gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się dobrze już w górę, droga zaroiła się wozami i pieszym ludem, ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony, większe i mniejsze, napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach śpiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju.

Tłumy ludu czerniały naokół murów kościelnych. Pod górą stały setki wozów, bryczek, kolasek, bied; gwar ludzki mieszał się ze rżeniem koni, poprzywiązywanych do palików. Dalej na prawo, wedle głównej drogi, prowadzącej na górę, widać było całe szeregi straganów, w których sprzedawano wota metalowe i woskowe, świece, obrazy, szkaplerze. Fala ludzka płynęła wszędy swobodnie.

Bramy były szeroko otwarte, kto chciał wchodził,

kto chciał wychodził; na murach, przy działach, zgoła nie było żołnierzy. Strzegła widocznie kościoła i klasztoru sama świętość miejsca, a może ufano listom Karola Gustawa, któremi bezpieczeństwo zaręczył.

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią nakształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanję, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanją a litanją tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy, siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa, wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapał wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most tak zbity, iż możnaby było przejść po głowach, ramionach, nie dotknąwszy stopą ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywił, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczym innym, każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej masy, lecz nikt nie upadał, i popychany przez tysiące, czuł w sobie siłę za tysiąc i z taką siłą parł naprzód, pogrążon w modlitwie, w upojeniu, w egzaltacji.

Kmicic, czołgający się ze swemi ludźmi w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszemi do kościoła, potym prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę,

uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec, jarzących się przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby, i wszystkie one blaski czerwone, fijoletowe, złote, ogniste drgały na ścianach, ślizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzierały się w zaciemnione głębie, wydobywając na jaw jakieś niewyraźne przedmioty, pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbiegały się i skupiały z mrokiem tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Świece na ołtarzu miały glorje złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionemi kolorami tęczy. Wszystko tu było pół widne, pół przysłonione, nieziemskie; blaski nieziemskie, mroki nieziemskie—tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracją, świętością...

Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika, śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłoniony, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskim życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy, wydając tony łagodne, a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć, jak woda w źródle, to znów padały ciche a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtym huknął grzmot trąb i kotłów—dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony, i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

— „Salve Regina! - zawrzasła szlachta—monstra Te esse matrem!“—a chłopi wołali: „Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowo anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!“

I długo brzmiały te krzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma

przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czymże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić?... czym niedola wobec tej pociechy?... czym potęga szwedzka wobec takiej obrony?... czym ludzka złość wobec takiego patronatu?...

Tu myśli w nim ustały i zmieniły się w czucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać kim jest, gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, miesza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Kmicic długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek, zbudzony ze snu, nie odrazu miarkuje, gdzie kończy się sen, a rozpoczyna jawa.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, były: „Tu się odmienią serca i dusze naprawią, ani bowiem Szwed mocy tej nie zmoże, ani w ciemnościach brodzący prawdziwego światła nie zwycięży!“

— Amen!—rzekł w duchu Kmicic i począł się bić w piersi, bo mu się teraz zdawało, że grzeszył ciężko, sądząc, że już wszystko przepadło i że znikąd niemasz nadziei.

Z pow. „Potop“ Henryka Sienkiewicza.

Latarnik. *)

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na

*) Opowiadanie osnute na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain w jednej ze swoich korespondencji z Ameryki.

której stoi latarnia i został spłókany przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, po nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec: wogóle kandydatów na posadę brakło.

Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczym przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej mórg rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiej następca zgłosił się jeszcze tego samego dnia.

Był to człowiek już stary, liczący lat siedmdziesiąt albo więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć

spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku Trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański, z wojny karlistowskiej; ten trzeci — to legja francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potym biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów—więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą pleny.

(Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Yorkiem, a Kalifornią).

— Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

— Sir!—ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem.—Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie

najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: „Tu już będziesz siedział, to jest twój port”. Ach, sir, to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

Rzekł — przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

Tego samego jeszcze wieczoru, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto—mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą,—a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego

myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie.

Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata—i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australji, poszukiwaczem djamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indjach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kaliforni fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami, zamieszkującemi wnętrze Brazylji: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś, bezbronny i prawie nagi, tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas, i—spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach Skalistych dostał się w ręce Indjan i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahia a Bordeaux, potym jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i — został okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vonito.'' Wreszcie przybył do Aspinwall—i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tym objaśniali wszystko! On sam wreszcie stał się trochę manjakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie,

zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indjanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie, na Węgrzech, dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu, jako środek ratunku i krzyczyć: „Pardon!'' Lazł pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kłuty, miał serce dziecka. W czasie epidemji na Kubie, zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach, zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugiemi, i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się—począł tracić energję. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgja, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego, nad jaki spokojny kąt, w którym by mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach, tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest tylko—nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak wogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał.

Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszyst-

kich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie: czy to prawda? i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartemi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzał, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemności olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i ryczące, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potym o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potym jakieś łkania—i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czarnych poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały ze wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i lewo. Skawiński poszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jak by do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym mil-

sze są mu te nawoływania... Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego nad podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę! Latarnik też bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda: to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość.

Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potym siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugiemi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami zjawiał się codzień w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni, domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowozów. W południe nadchodziła godzina siesty.

Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej niczym ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska.

Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwalał go w tym przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i z samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potym, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni, chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porosłą tylko drobnemi, tłustemi roślinkami, sączącemi lepką żywicę.

Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej między Aspinwall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów—las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą,

oplątany ljanami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych. Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzyć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zblizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zblizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt ljan na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyńcze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki.

Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tym większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzyć z wysokości na owe matos, podziwiać ich piękność, a być zasłonionym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złym. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnemi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika.” — „I nie heretyk, chociaż Yankes!” Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupował w mieście, lub new-yorskiego „Heralda,” pożyczanego u Folcombridg’ea—i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju...

Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu codzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potym jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie wi-

dział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawianej na brzegu, i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata.

Powodem tego nie była nostalgja, ale właśnie to, że przeszła i ona w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytym stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tym ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tym pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: „Skawiński“, wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczym ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni: — książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej karjery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie“ o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yor-

ku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży.

Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinvall, na jego wieży, wśród jego samotności — była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś! Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkiemi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora.

Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po Trzydziestym roku w Paryżu. Potym wojując w Algierze i w Hiszpanji, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W Czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki, i w awanturniczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich.

Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

«Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...»

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

«Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono...»

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegło, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z tą samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać.

A teraz „wracał cudem"—więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojnie o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potym przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność pta-

kom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie; więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy“ zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem“. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?“ On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca, ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał nocą na widecie: teraz przeszłość ta przedstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!“ To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną, teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pie-

ją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeźko i zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka to ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

— Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to?—pyta Johns—chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie; szczęściem, nikt nie utonął; poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinwall do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i po morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił, oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

H. Sienkiewicz.

Futor słowiczy.

I.

Nieświadomy zamorskich dziwów i nie tęskniący do nich, nie wyobrażam sobie nic piękniejszego, nic rozkoszniejszego nad podolskie futory latem; nad te ustronne sadyby, ukryte po cienistych jarach, gdzieś śród szumiącej dąbrowy, z bieluchnym domkiem, oplecionym, jak gniazdeczko ptasie, liśćmi winogradu, otoczonym bogatym sadem, gdzie liczna pasieka tchnie balsamiczną wonią i wre pracowitym gwarem ochoczych pszczółek, ciągnących tłumną rzeszą na sąsiednie lipy lub hreczkę, lub na dalekie gdzieś bodziaki; z zimnym źródliskiem, tryskającym z pod skały, uwieńczonej znakiem zbawienia, z wielkim kasztanem na południowej pochyłości jaru, gdzie, wygrzewając się na słońcu,

To kawony, to melony,
Niby żółwie zmyte złotem
I szmaragdem—śpią pokotem;

gdzie las, piękny jak ogród, bogaty w grzyby, jagody, owoce i kwiaty, wonny, cienisty, brzmi tysiącem głosów, to niby stare wspominając dzieje, to niby szepcąc pacierz, to niby gwarząc rzewnie i miłośnie, to niby zcicha tęskne dumy nucąc, rozmarzony słodką pieśnią słowiczą. Dajcie tu jeszcze poczciwych mieszkańców, z tkliwym a bogobojnym sercem, umiejących pracować i Boga chwalić, umiejących pielęgnować święte ognisko cnót rodzinnych, umiejących czytać w tej przecudnej księdze, którą sam Stwórca pisał żywemi głoskami z ryku burzy i gromów, z powiewu wiatru, ze szmeru fali, szelestu liści i kłosów, szczebiotu ptasząt i brzęku owadów, sam Stwórca ozdobił w mistrzowskie obrazy, biorąc kolory z cudownej palety słońca i ocierając cudotwórczy pędzel obłokiem, na którym ślad jego w czarodziejskiej tęczy pozostał; dajcie takich ludzi do tej natury,—a raj ziemski ujrzycie.

Futor słowiczy, należący do Bogumiła, był jednym z najpiękniejszych w całej okolicy, bo przyrodzone jego powaby kunsztownie umiejętna ręka podniosła. Attynencja ogromnego niegdyś majątku,—był ulubionym letnim mieszkaniem hrabiego N., nosił więc na sobie nie-

zatarte ślady wykwintnego gustu i owego „utile dulci", o które tak trudno, a z którym tak dobrze. Murowany domek, niewielki, ale wygodny, przy nim owocowy ogród z najwyborniejszych gatunków, po staremu poprzerzynany w kwatery szpalerami z agrestu i porzeczek; pod murem od północy maliny, od południa brzoskwinie, morele i winne grona. Przed oknami domku od strony sadu holenderski ogródek, gdzie żwirowane ścieżynki, obłożone darnią, wiły się w esy i floresy między serduszkami, kółkami i pierniczkami, z pośrodku których wznosiły się przepyszne bukiety róży, jaśminu, otoczone młodszą rodziną gwoździków, lewkonji, petunji, fijołków i t. d.

Sam środek tego ogródka zajmowała ogromna akacja biała, której potężne konary, rozpięte jakby olbrzymi parasol, zniżając się ku ziemi, łączyły się z gęstym bzu szpalerem, opasującym wkoło w promieniu gałęzi pień, otoczony ławeczkami. Tym więc sposobem tworzyła się przecudna, wonna, cienista altana, urocza, czarodziejska jakaś świątynia, gdzie słowik, natchniony ptasi misjonarz, przez całą wiosnę skrzydlatym rzeszom Bożą opowiadał chwałę. Z drugiej strony domku rozścielał się zielony dziedziniec, z kilku klombami i z kompasem po środku, obwiedziony głęboką, murowaną fosą, przez którą zgrabniutki mostek dawał przejście drożynie, wybiegającej z dąbrowy, otaczającej całą tę sadybę. Po nad fosą na lewo szły gęstym rzędem topole, zakrywające stajnie, stodoły i inne gospodarskie budynki, na prawo widok był wolny i wzrok porywał w głęboki parów, ciągnący się daleko środkiem dąbrowy z wązkim strumieniem, błyskającym na dnie. Na obu jego stoczystych bokach, nastrzępionych skałami, z pomiędzy zielonych sadów, wyglądały bieluchne chatki wieśniacze, ponad któremi, na najwyższym cyplu stała Boża męka pośród sędziwych świerków. Parów się coraz rozszerzał, coraz obszerniejszy odkrywając widok, strumień coraz szerszym pędził korytem, aż wreszcie się wlewał w spienione nurty rzeki, po za którą widniało Międzygórze z swoim kościołem i cerkwią i wspaniałym pałacem.

Dąbrowa, otaczająca słowiczy futor, była prawdziwym cudem w swoim rodzaju, prawdziwym ziemskim raikiem. Ów strumień, błyskający w parowie, w znacznej ją części przerzynał, na nim w kilku miejscach umyślnie rzucone skały, sprzeciwiając się rączemu jego

biegowi, tworzyły piękne kaskady, których grzmotliwy łoskot ożywiał całe to ustronie, wyzywając do gwarliwego szczebiotu tłumy gnieżdżącego się tu ptactwa. Strome jego brzegi cudnie się stroiły to w płaczące wierzby babilońskie, co jakby jakie szmaragdowe fontanny spływały ze skał omszonych, to w posępne świerki, co z dwóch przeciwnych boków pochylały ku sobie wyniosłe swe szczyty, niby coś szepcąc nawzajem i niby się skarżąc na dzielące je prądy; to w przepyszne kwinkwefolje i arystolochje, co pnąc się po umyślnie wzniesionych nad niemi drewnianych arkadach, tworzyły urocze kwieciste łuki. Dalej pomiędzy dzikiemi drzewami tu się wznosiły jabłonie i grusze, ówdzie kasztany i włoskie orzechy, tam znowu do stóp sędziwych dębów garnęły się prześliczne róże i inne nadobne krzewy; dalej wiotkie brzozy, w śnieżnych swych szatach, z rozwianym warkoczem, tuż przy posępnych jodłach, wyglądały jak nieszczęśliwe dziewice, wydzierające się rozpaczliwie z objęć srogich olbrzymów. Nareszcie w cienistej głębi, o kilkaset kroków od dworku, otoczony niziuchnym płotem, obsadzonym lipami, był drugi owocowy ogród, w którym pod każdym drzewem stały miodne ule, a tuż przy jego wrotach wznosił się mały domek pasiecznika.

II.

Było to w poniedziałek. Pospolicie dnia tego nowożeńcy z całym gronem weselnym przychodzą do dworu, gdzie ich pan błogosławi powtórnie i ugaszcza uprzejmie. Bogumił zwykle hojnie i serdecznie godowników przyjmował: nie skąpił ani jadła, ani napoju; osobiście wszystkich częstował, dziatwę łakociami karmił, muzykantom na struny sypał, a nieraz i sam ze skrzypcami w pomoc im przychodził, albo w tany się puszczał. Czeladzi także hulać pozwalał i zachęcał do wesołości, wymyślając różne śmieszne maszkary. To też poniedziałkowy wieczór dla każdej weselnej drużyny na Słowiczym futorze był najuroczystszą, najpożądańszą i najweselszą częścią wesela.

A gdy dobrzy panowie każdego tak przyjmowali ze swych poddanych, czegóż się mógł spodziewać dworski, któremu razem z weselem wypadało sprawić pożegnanie i wyposażenie na gospodarstwo? który się

jeszcze żenił z szlachcianką?—dodawała szlachta, pewna, że dla niej już samej należy się paradniejsza wystawa.

Wydawszy stosowne rozporządzenia, Bogumił z księciem Marjanem usiadł na ganku wyglądać spodziewanych gości. Wkrótce też z muzyką, rzępolącą niby poloneza, ukazali się państwo młodzi w dziedzińcu, otoczeni gromadką, ledwie z kilkunastu osób złożoną. Na odgłos kapeli cała czeladź wysypała się w podwórze, ciekawie przyglądając się weselnym gościom. Ci weszli na ganek; Bogumił powstał; państwo młodzi zbliżyli się do niego, aby mu do nóg się rzucić. Pani młoda w perkalowym jasnym szlafroczku, miała na głowie chustkę czerwoną, pan młody, zamiast kozaczej burki lub opończy, odziany był w szarą szlachecką kapotę; reszta towarzystwa podobnież, oprócz kilku parobków, synów wyzwoleńców, którzy się nie wstydzili swojej siermięgi. Bogumił powstrzymał kłaniających się nowożeńców, i hamując się w oburzeniu, zapytał spokojnie:

— Cóż to tak mało gości na waszym weselu?

Państwo młodzi spojrzeli wzajem po sobie i nic nie odrzekli; starosta weselny, trzymający pod pachą koguta, a w ręku korowaj:

— A bo to,—rzekł—wielmożny panie, sama tylko szlachta i wolni.

— Tak?... a cóżeście z ojcem pana młodego zrobili?

Zakłopotany pan młody kręcił czapkę w ręku; panna młoda oczy spuściła, i oboje stali milczący, nie wiedząc, co odpowiedzieć mają; aż znowu się ozwał starosta:

— At, wielmożny panie, staremu już nie do wesela! nie dolazłby nawet do wioski.

— Jakto? więc nie był?! Być-że to może, aby ojciec, choćby ze śmiertelnego łoża nie zerwał się, nie przybiegł błogosławić swemu dziecięciu w dniu tak uroczystym? aby nie pomyślał, że bez jego błogosławieństwa Bóg nie pobłogosławi...

Głuchy szmer powstał w gromadce; państwo młodzi stali jak wryci, a starosta rzekł znowu:

— Ej! bo, wielmożny panie, starowina nie chciał robić synowi wstydu pomiędzy szlachtą.

— Jakiego wstydu? — spytał Bogumił, niby zdumiony.

— Bo to, wielmożny panie, — znowu prawił starosta—bo to taki, prawdę powiedziawszy, choć on i ojciec, ale taki, z przeproszeniem, chłop!

— To więc taka racja? — zawołał gniewnie Bogumił.—A na cóż za chłopskiego syna wydaliście waszą szlachciankę? Na co mi nie dawaliście pokoju, abym mu się żenić pozwolił?! Czy na to, aby go pobratawszy z sobą, od razu zeń zrobić podłego wyrodka? nauczyć gardzić ojcem rodzonym? Toście wy taka szlachta?

— Wielmożny panie! proszę się nie gniewać! proszę wybaczyć!—ozwały się głosy z pośród drużyny, której część chłopska, ze czcią patrząc na Bogumiła, wzdychała tylko, chwiejąc smutnie głowami. Aż wtym szybkim pędem zatoczyła się bryczka przed ganek, a nim godownicy dopatrzyli w mroku, kto taki przybył, Bogumił chyżo skoczył ze schodów, dopomógł przybyłemu wysiąść, i wsparłszy go swym ramieniem, poprowadził na ławkę. Weselni osłupieli w zdumieniu i trwodze: był to stary Ostap!

— Siadaj tu, siadaj koło nas, gościu mój kochany!—mówił Bogumił, ściskając starca i miejsce obok księcia mu wskazując.—Sprowadziłem cię tu umyślnie, aby twego syna, synową i ot, tę szlachtę nauczyć, jak należy twoją poczciwą starość szanować. Siadajże, proszę, jak we własnej chacie; tyś tu między nami najstarszy i tobie najpierwsze miejsce się należy.

Książę także powstał i wraz z Bogumiłem ująwszy za ręce zmieszanego, prawie nieprzytomnego starca, przemocą zmusił go do zajęcia wskazanego miejsca, i sam znów przy nim usiadł. Państwo młodzi i gromadka weselnych stali nieporuszeni, a Ostap, niemy, bezwładny, osłupiałemi wkoło wodząc oczyma, ich tylko ruchem i ciężkim westchnieniem znak życia dawał. Bogumił ciągnął dalej:

— Patrzajże, dziaduniu! oto twój syn, oto synowa, stoją tu jak winowajcy i czekają, abyś pozwolił im do nóg ci upaść i stopy twoje ucałować; abyś im już nie błogosławił, ale przebaczenia udzielił.

Starzec zadrżał, spojrzał na nowożeńców oprzytomniałym wzrokiem i twarz ukrywszy w dłoniach ze łkaniem, łzami się zalał. A Bogumił wołał piorunującym głosem:

— Patrzaj-że, synu wyrodny! oto ci muzyka na twoje wesele, ten płacz ojcowski! oto tobie miód słodki—te łzy jego krwawe! I ty śmiałeś przychodzić do mnie po błogosławieństwo, ty, coś ojcowskim błogosławieństwem wzgardził? I ty śmiałeś Pana Boga przyjmować i do ślubu stawać u Jego ołtarza z takim grze-

chem na duszy! Nie lękał-żeś się, żeby się nad tobą kościół nie zawalił, żeby cię żywego ziemia nie pożarła?! O! nie błogosławieństwa powinieneś czekać ode mnie, ale kary najsroższej, gdyby była jaka zbrodni twej odpowiednia. Niema jej, to też Bogu ciebie zostawiam! Nie odbiorę ci ani tych wołów, którem ci darował, nie odbiorę gruntu i chaty, którem ci nadał, w niczym obietnicy mojej nie zmienię; ale pamiętaj, synu wyrodny, że jak-eś ojca swego odepchnął, tak ciebie Pan Bóg odepchnie; nic ci ręką nie pójdzie, zmarnieje twój dobytek i sam zmarniejesz; a w nędzy ostatniej tego dożyjesz, że twoje kiedyś dzieci tak ci się wypłacą, jak-eś ty się swemu rodzicowi wypłacił!

— Ach, wielmożny panie!—jęknął Ostap rozpacznie, padszy do nóg Bogumiłowi.—Panie miłościwy! wybaczcie mu! wybaczcie! odmieńcie przed Bogiem straszne słowo wasze! niechaj się ono nad nim nie mści!

Bogumił, wzruszony, mając łez pełne oczy, podniósł go z ziemi i chciał znowu posadzić, lecz starzec gwałtownie z rąk mu się wyrwał i rzuciwszy się na szyję swemu synowi, któremu, w czasie słów Bogumiła, łzy bujne strumieniem biegły po bladej twarzy, zaczął go ściskać z najwyższą czułością i całując głowę jego, wołał śród płaczu:

— Błogosławię, błogosławię tobie, synu jedyny! błogosławię przed Bogiem i ludźmi! Żyj w dostatkach, w szczęściu i zdrowiu. Niech ci tak Pan Bóg wszystko odpuści, jak ja ci odpuszczam i niech ci (kończył bolesnym głosem, jakby mu serce z temi słowy pękało), niech ci za ból mój twoje dzieci nie płacą!...

Omelko leżał już u nóg ojcowskich, i słowa wyrzec nie mogąc z powodu płaczu, całował je tylko i łzami oblewał.

W gromadzie skupionej, do której się zbiegły i wszystkie sługi dworskie, gwar wielki powstał: głosy uwielbienia, zmieszane z rzewnym płaczem. Wszyscy otoczyli Ostapa i nuż go szlachta ściskać, a chłopi ręce jego ze czcią całować. I rozpromieniło się poważne jego oblicze, uśmiechnęły się usta, i z oczu podniesionych dziękczynnie ku niebu, ciche, błogie już łzy na siwą brodę spadały. Tylko pani młoda sama nie wiedziała co z sobą począć, i stała nieporuszona śród uniesionej gromadki; co spostrzegszy Bogumił, chwycił ją za ramię i rzuciwszy na klęczki do nóg Ostapa:

— Schyl,—zawołał—głowę pod to błogosławieństwo!

Chłopskie ono, ale daj ci, Boże, abyś równie poczciwym własne twe dzieci błogosławić mogła!

Ostap ją podniósł i przeżegnał w milczeniu.

— No, teraz i ja pobłogosławię! — rzekł wtedy Bogumił.

— I ja,—dodał książę.

I obaj błogosławili młodej parze, do nóg się im potrzykroć kłaniającej.

A pobłogosławiwszy, ozwał się Bogumił:

— Gdyby ci ojciec nie przebaczył, nie miałbyś u mnie wesela, Omelku!... Takie było moje postanowienie. A teraz go proście, jak zechce wam gospodarzyć to dobrze; w moim domu, ale u niego bawić się będziecie. Tylko—dodał, zwracając się do szlachty — uprzedzam, że u mnie szlachectwo nic nie znaczy; wolny, czy nie wolny, aby tylko poczciwy, to i miły sercu mojemu; dla takich zawsze drzwi moje otworem, i dzisiaj, choćby się tutaj cała wioska zeszła, wszystkim rad będę; a komu między chłopami nie miło, może odejść do domu.

Szlachta się zbiegła do niego, i nuż go przepraszać, ręce mu całując, do nóg się kłaniając i prosząc o zapomnienie tego, co było. Zabrzmiała więc kapela, wyniesiono stoły na dziedziniec, zastawiono pełne misy smacznego jadła, pełne gąsiory wódki i piwa, zbiegła się cała ludność wioseczki, i do późnej nocy huczna i wesoła uciecha trwała.

Z powieści „Duch i Krew“

Ad. Pługa.

Grajek.

Teraz przy fortepjanie Juljan pozostał sam. Wszyscy udali się na kolację i z poblizkich pokoi dolatywały gwar, śmiechy, szczęk kieliszków i zapach dobrej kuchni. Juljan powstał—odsunął taburet i otarł spocone czoło. Wyprostował znużone palce, aż trzasły w stawach— i przygasłemi oczyma spojrzał dokoła pustej sali.

Był to młody jeszcze mężczyzna, liczący najwyżej lat trzydzieści—lecz życiem dziwnie znękany. Oczy podsiniałe, policzki zapadłe—mówiły o nocach nieprzespanych, strawionych przy tej klawiaturze, która, jak zwie-

rzę żądne krwi i ciała żyjącej istoty, wyciągała szereg swych białych klawiszy.

Czternastą noc z rzędu Juljan grał do tańca i rąk już nie czuł—i drżał cały z wysilenia. Lecz cóż miał począć? W domu żona, Andzia — biedne, niezaradne stworzonko, wszak jej potrzeba dać kąt ciepły, obiad, sukienkę. Ona sama nie zarobi. Boże miły, jakże? Córka urzędnika, wychowana na pensji, nie jest stworzona na zwykłą robotnicę. Dosyć, jeśli mu pantofelek do zegarka wyszyje, lub sobie kapę na łóżko szydełkiem zrobi. On jej tego nie ma za złe! O! broń Boże!... Chętnie grałby jeszcze dwadzieścia nocy, tylko dziś mu jakoś dziwnie. A głowa!... głowa cała rozpalona jak węgiel i pragnienie go dręczy. Wyciągnął powoli rękę. Ze stojącej w kąciku palmy liście, jak wielkie wachlarze, zwieszały się nad jego głową. Juljan kawałek liścia urwał i włożywszy w usta, żuć począł. Sprawiało mu to ulgę, chłodziło spieczone wargi. Gwar w sali jadalnej wzmagał się ciągle. Juljan niespokojnie spojrzał ku drzwiom. Czy w tym domu niema zwyczaju podawać grajkowi coś do jedzenia? Nie dla niego—o, nie! on sam głodny nie jest... ale... to... dla niej, dla Andzi! Najczęściej przynoszą mu do salonu i stawiają na fortepjan zimne resztki, złożone na jeden talerz—okruchy ciast i mały kieliszek wina. Czasem nie przynoszą nic, prócz szklanki herbaty i suchych ciasteczek...

Wreszcie wynajęty lokaj otrzymał z rąk panny Pelagji mały talerzyk, na którym oprócz kotleta pożarskiego złożono kawałek tortu i w cukrze pomarańczkę...

— Zanieś temu... tam!

I wskazała drzwi salonu.

— Musi mu się jeść chcieć—wyrzekła, kiwając dobrotliwie głową.

Lokaj nieznacznie wzruszył ramionami. Jemu się tam jeść nie chciało, bo sumiennie podzielił się „kanapkami,'' a samego kawioru zjadł pół talerza. Po drodze jednak ściągnął z talerzyka pomarańczkę i ukrył w kieszeni od fraka. Juljan spojrzał na talerzyk. Zobaczył kawałek tortu i cukierek. Uspokoił się więc chwilowo. Zbliżył się teraz do talerzyka. Czuł, że przełknąć coś powinien, bo siły go opuszczają, a noc jeszcze przed nim długa... nieskończona... Z najwyższym wysileniem przełknął zaledwie kawałek. Obejrzał się po sali i spotkał się z zuchwałym spojrzeniem lokaja, ustawiającego krzesła. Najęty fagas—rumiany, tęgi, dobrze odżywiony

z dziwną ironją spoglądał na wychudłego grajka. I stali tak naprzeciw siebie ci dwaj „wolni najemni,” opłacani za noce, wynajmowani do zabawy drugich. Jeden oddawał swój talent, iskrę bożą przytłumiał w siekaninie walca lub polki—zamierał poprostu od zmierzchu do świtu, oblany cały zimnym potem, z duszą zamarłą, plączącą się wśród powodzi tonów, — drugi wynajmował swe barczyste plecy, wyniosłą postawę, bezczelną arogancję i siłę fizyczną, brutalną, zwierzęcą. Patrzyli chwilę na siebie—i Juljan zazdrościł tamtemu jego barów szerokich i zdrowia, tryskającego z czerstwej twarzy. Usiadł machinalnie na taburecie przy fortepjanie. Siedział tak nieruchomy długą chwilę. Nagle drgnął, bo krzyk przenikliwy rozległ się na progu sali. Mazura! I z pod wychudłych palców Juljana rozległ się huczny mazur. Juljan grał go z gorączkowym wysiłkiem, przymykając oczy, kurcząc od czasu do czasu nerwowo swe wychudłe ramiona. I nagle dwie wielkie łzy błysnęły z pod spuszczonych powiek grajka i zsunęły się po wybladłych policzkach.

Po zabawie Juljan z trudnością dostał się do domu. Drżał cały i był okryty zimnym potem. Andzia już nie spała.

— Tortu!—zawołała.

Nagle u stóp jej łóżka Juljan runął na ziemię, zimny, siny cały, skąpany w blasku zimowego ranka.

B.

Czy ci najmilszy?

... W dali było widać ciemną wstęgę boru, przed borem łąkę, a wśród łanów zboża stała chata, pokryta słomianą strzechą i mchami. Brzozy zwieszały nad nią zielone warkocze, na świerku w gnieździe stał bocian, a w sadzie wiśniowym czerniały ule.

Przez otwarte wrota na dziedziniec wszedł wędrowiec i rzekł do niewiasty, stojącej u progu:

— Pokój tej cichej chacie, tym drzewom, zbożom i okolicy całej, i tobie, matko!

Ona, powitawszy go gościnnie, rzekła:

— Chleba i mleka przyniosę ci, wędrowcze; a tym-

czasem siądź i odpocznij, bo widać, że z dalekiej wracasz podróży.

— Jako ów bocian i jako jaskółka, wędrowałem, wracam z daleka i od dzieci ci twoich wieść przynoszę.

Więc onej matce dusza cała zbiegła do oczu i zaraz spytała wędrowca:

— Czy wiesz co o synu moim, Jaśku?

— Czy ci on najmilszy, że o niego pytasz najpierwej? Oto jeden twój syn w puszczach z siekierą pracuje i w jeziora sieć zapuszcza; drugi konie na stepie pasie, pieśni tęskne zawodzi i w gwiazdy patrzy; trzeci po górach się wspina, na turniach i halach z owcami noce spędza, w orłów krakania się wsłuchuje. Do kolan się wszyscy twoich chylą i pozdrowienie ci przesyłają...

— A Jaśko?—pytała z troską na twarzy.

— Wieść smutną chowam na ostatek. Źle się mu wiedzie, rola plonu mu nie daje, bieda i głód dokucza, w niedoli płyną mu dnie i miesiące. Wśród obcych i nędzy mowy twej nawet zapomina. — Więc i ty zapomnij o nim, bo on już nie twój... Zapomnij!...

Gdy to rzekł, kobieta, wziąwszy go za rękę, wwiodła do spiżarni w chacie, i zdjąwszy bochenek chleba z półki, rzekła:

— Wędrowcze, daj to Jaśkowi!

Nakoniec z chustki rozwiązała pieniądz srebrny, błyszczący i drżącym głosem rzecze:

— Nie bogatam ja sama, ale i to dla Jaśka.

— Niewiasto!—rzekł ze zdziwieniem wielkim wędrowiec—synów masz wielu, a jednemu wszystko oddajesz. Czy go kochasz najwięcej? czy ci on najmilszy?

Ona zaś, podniósłszy wielkie smutne oczy, łzami zalane, tak rzecze:

— Błogosławieństwo moje wszystkim, ale datki temu jednemu, bom ja matka, a on najbiedniejszy.

(„Ziarno,” wydawnictwo zbiorowe dla głodnych).

Henryk Sienkiewicz.

Burza.

Ostatni tydzień w czerwcu, upały nadzwyczajne, niebo zionie ogniem żywym. Jednego dnia skwar doszedł do szczytu—gorąco, duszno, parno nie do wytrzy-

mania. Gzy, bąki, muchy roją się tłumami, a bydło zadzierając ogony, ryczy i pędem ucieka z pastwisk. Ludzie przepowiadali burzę dziś, jutro, bo wilgi gwiżdżą, jaskółki górno latają, muchy tną natarczywie, kury i wróble tarzają się w pyle.

Krąg słońca rozpalony, niby piec piekielny, stoczył się nareszcie za góry, za lasy, ale zostało po nim na noc dużo żaru, chciałoby się zrzucić koszulę z ciała. Żaby na stawie zaczynały brechać zlekka, czyniąc przygotowania do wrzasków nocnych. Powierzchnia wody— spokojna, równa, gładka, tylko tu i owdzie ryba wyskakująca tworzy kręgi współśrodkowe, nad wodami widać dymek leciuchny oparu. Ptactwo wszczyna ruch niespokojny po szuwarach. Komary i drobne muszki, dzieci błota, w słupach wznoszą się i roją nad mokradłami.

O zmierzchu kłęby chmur poczęły występować na niebie zachodnim, bałwaniły się coraz wyżej, wytwarzały postacie dziwaczne, jakby grody zamczyste, spiętrzone jedne na drugich, z wieżami, basztami, kopułami. Niekiedy wśród nich przemignęła błyskawica.

Mrok wieczorny przeszedł i noc zapadła. Dzika kaczka z wiankiem dzieci wypłynęła na wody otwarte. Czapla zapadła na brzeg stawu. Bocian leciał ze zdobyczą od łąk do gniazda.

W młynie, stosownie do ustanowionego porządku, wszystko było o tej porze na swoim miejscu. Głosy zwykłe przyrody martwej i żywej dały się słyszeć wyraźnie: szum wody, terkot młyński, gwar gęsi gęgających, bek cielęcia, chrapanie Nikodema, skomlenie utyskujące Kudły. Na pięterku, w izbie zwanej mączarnią, oświetlonej mdławo płonącą świeczką łojową, Łuka spał na podłodze, mając za poduszkę worek zboża. Cała praca młynarska spoczywała na głowie młodszego młynarczyka, którego po pierwszym pianiu kogutów Łuka powinien był zluzować. Więc Szczepanek biegał do pytlów, do kamieni i doglądał, ażeby robota szła, jak należy.

Naraz posłyszał odgłos czyichś kroków po schodach. Spojrzał ku drzwiom nawpół uchylonym i spostrzegł stojącego na progu Kudłę.

Pies tak wyglądał, jak gdyby miał coś bardzo ważnego do powiedzenia, a nie mogąc inaczej, chciał wyrazić to wzrokiem. Ale Szczepanek myślał o czym innym i pies wcale go nie obchodził. Mimo to, Kudła usi-

łował zwrócić uwagę na siebie, wszedł do mączarni i szczeknął nad uchem młynarczyka...

W tej chwili błyskawica oświetliła ciemne kąty, a wnet potym zagrzmiało tak silnie, że się młyn zatrząsł. Szum wody z upustów, terkot kół i kamieni młyńskich nie dozwalały chłopcu słyszeć, co się działo zewnątrz. Wicher z wyciem wpadł w trzciny stawu, rwał je garściami, rozrzucał, kotłował wodę. Na wyspie wywrócił kilka drzew i w szalonym pędzie przypuścił szturm do młyna. Szyby poleciały z okna mączarni, łojówka zgasła, drzwi trzasnęły z ogromnym łoskotem.

Łuka przebudzony zerwał się na równe nogi, zapytywał głosem stłumionym: „Co się stało?'' A wicher gwizdał, hulał po izbie, wpadał oknem, wypadał drzwiami, które nareszcie urwał i strącił z pięterka. Słychać było, jak dach trzeszczał i kawałki jego zerwane spadały na ziemię. Młynarczykowie przerażeni wybiegli na ganeczek młyna, skąd ich straszliwy napór wichru o mało nie zdmuchnął. Cały budynek drżał, trząsł się, skrzypiał. Piorun uderzył w drzewo na wyspie, i dwaj młodzieńcy przy blasku jego ujrzeli spiętrzone fale stawu, w wieńcach piany walące o brzegi. Przerażeni, bezradni, zbiegli na dół po schodach, które wicher prawie z pod stóp im wyrwał, rozwalił. Oblani deszczem, spływającym w potokach z dachu młyna, dotarli do okien izby, gdzie spał Nikodem, Kudła na krok ich nie odstępował.

Naraz zalała ich jasność olśniewająca, ogłuszył i obrócił w słupy trzask straszny — jak gdyby niebo sypnęło w młyn naraz krociami wystrzałów... Piorun trzasł w posiadłość Święcika i przy blasku tego światła majestat burzy zajaśniał w całej okazałości. Zdawało się, że woda, powietrze i ogień w olbrzymich wysiłkach chcą na strzępy poszarpać ziemię. Młyn stał w płomieniach, wicher odrywał i rozrzucał wkoło płonące szmaty dachu, niebo czarne, pokrwawione od łuny pożaru, zionęło ogniem błyskawic. Trzask, huk, szum, ryk rozpaczliwy bydła w oborze, wszystko zlało się w zgiełk straszny, wrzawę piekielną, nie dającą się wyrazić słowem.

Nikodem blady, podobny do widma urojonego, wypadł z izby, trząsł się w przerażeniu, bełkotał coś niezrozumiale. Dwie jego dziewczyny, wystraszone, spoglądały wzrokiem błędnym to na młynarczyków, to na mły-

narza, jakby zapytując: „Czyż i wy nie wiecie, co się robi w takich razach?”

Dwaj młodzieńcy już odzyskali przytomność umysłu, wiedzieli, co należało czynić. O ratowaniu młyna nie było mowy: wielka moc siana i słomy na strychu, dach zdarty prawie zupełnie, wicher szalony, roznoszący pożogę w każdy zakątek czyniły przystęp niemożliwym. Ale Łuka rzucił się do stajen i kurników, które już zaczynały gorzeć, wyswobodził z pod zamknięcia bydło, ptactwo domowe. Szczepanek oglądał przezornie stawidła upustów, mostek i zbadał stan grobli.

Wśród tej straszliwie posępnej nocy nie zbywało przynajmniej na oświetleniu. Młynarczykowie ocalili też z izb mieszkalnych nieco odzieży gospodarza i dziewcząt. Już młyn, party przez wicher, trawiony przez płomienie, zawalał się z łoskotem niezmiernym, kiedy Szczepanek nadbiegł od północnej strony w niezmiernym pośpiechu i rzucił hasło nowej trwogi między pogorzelców:

— Woda zerwała groblę, zniosła mostek!... Do czółen, do czółen!... Jeszcze chwilka a będzie już późno!

I przypadł do Dorotki, chwycił ją za rękę, pociągnął z sobą ku zatoce stawu, gdzie cztery czółna, przywiązane powrozami do palów nadbrzeżnych, tłukły się jedno o drugie, podskakiwały na wodzie wzburzonej i wezbranej wysoko.

Łuka jednocześnie postąpił tak samo z Jagusią. Święcik podążał też skwapliwie ku owej zatoce, dźwigał oburącz i przyciskał do piersi jakiś kociołek ciężki—pewnie napełniony pieniędzmi, co mu niezmiernie utrudniało pośpiech. Każdy unosił przedmiot swej miłości i życie własne.

Trzy czółna odbiły od brzegu, i przy świetle ciągłych błyskawic można było widzieć na czele łódkę Szczepanka, skaczącą z fali na falę. Młodzieniec wiosłował stojąc, krzepko rozparty nogami, a burza i pioruny zdawały się istnieć po to, aby wytwarzać dzielność w wysmukłym ciele. Woda szalenie wrzała, kipiała w pianach; okolica kotliny Łabędziej Wody wyglądała jak morze. Szczęście całe żeglarzy, że płynęli po stronie południowej od wyspy, gdyż na stronie północnej woda parła prądem niepowstrzymanym w kierunku spadku—poza groblą przerwaną. Gęsi i kaczki młynarskie także po tej stronie poszukiwały schronienia, jak białe, lekkie czółenka, kołysały się bez wysiłku na falach. Niktby tu już nie dojrzał, że za każdym z trzech

czółen płynął pies młynarski, usiłując ocalić się na drodze obranej przez człowieka, któremu zaufał.

— Do wyspy, gospodarzu, do wyspy!—nawoływał Szczepanek, chociaż podmuch wichru wściekłego porywał to hasło i niejako rozbijał na miejscu o wodę.

Staw zmienił się do niepoznania: wszystkie kępy trzcin, tataraków, sitowia zniknęły. W jasności błyskawic widać tu było tylko wyspę, ciemną, wzniesioną, a na niej drzewa, rozdarte przez pioruny, strzaskane przez wicher, świeciły zdaleka białością blizn swoich. Szczepanek pierwszy z Dorotką dotarł do wyspy; razem z niemi przybył Kudła, który jeszcze przed wylądowaniem usiłował wgramolić się na czółno, i dziewczyna podała mu rękę. Niebawem przybiło też czółno z Łuką i Jagusią, a Łata straszliwie zmachany zjawił się jednocześnie. Brakowało w tej garstce Nikodema i Płatka; więc Jagusia załamała ręce, pytała z niepokojem:

— Co się stało z tatusiem?

Łuka i Szczepanek jeszcze nie otarli potu z czoła po żegludze bardzo uciążliwej, a już gotowali się do nowej wyprawy. Nie opuszcza się człowieka w niedoli, tym bardziej—gospodarza. Zaczęli wylewać wodę, której było pełno w obu czółnach.

Wtym z topieli poblizkiej dał się słyszeć głos, wzywający pomocy. Psy nastawiły uszu.

— Tatuś!—krzyknęła z przerażeniem Jagusia.

— Ujek!—szepnęła Dorotka.

— Gospodarz!—zawołali razem dwaj młodzieńcy.

I w tej chwili oba czółna wypadły na otwartą wodę.

Wicher sfolgował, błyskawice stały się rzadsze, deszcz lał tak, jak to bywa zwykle pod koniec burzy— z nieba wylewają się ostatki. Krzyk znowu się powtórzył, czółna pomknęły szybko w jego kierunku.

Cóż się stało?

Nikodem, urodzony i wychowany nad wodą, żeglarz wyborny, pływak doskonały, dzielnie walczył z wichrem, z falami i byłby niezawodnie dotarł do wyspy, gdyby nie przypadek. Belka ogromna, unoszona przez wodę, uderzyła w łódkę młynarza, wywróciła ją i żeglarz razem z garnkiem pieniędzy wpadł w wodę. Stary, jakkolwiek postradał skarb najdroższy, walczył jednak o życie, usiłował wpław wylądować na wyspę odległą o jakie trzysta kroków. Ale za czółnem jego płynął Płatek, który w ciągu przydługiej żeglugi wyczerpał siły i już

już tonął. Jedyną deską dla psa był teraz Nikodem; więc Płatek w rozpaczy ostatniej czepiał się gospodarza, chwytał go zękami za odzież, usiłował natarczywie opanować grzbiet i kark człowieka, aby mieć pod łapami stały punkt oparcia. Strącony do wody, podwajał wysiłki.

W takim położeniu znajdował się Święcik, kiedy mu na pomoc przybyli młynarczykowie i razem z psem wydobyli z wody nawpół żywego.

Brzask dzienny rumienił, pozłacał niebo, burza ucichła.

Kukanie kukułki powitało pierwsze promienie słońca, które ukazały oczom ocalonych całą kotlinę zamgloną, zalaną wodami. Nigdzie ani znaku młyna. Tylko kaczki młynarskie pływały, nurkowały. Rybitwy i czaple przelatywały z okrzykiem. Bociany zakreślały w górze kręgi. Drozdy i wilgi zaczęły gwizdać na wyspie, turkawki gruchały jak zwykle, czyże, szczygły, zięby zaśpiewały chórem, a tu i owdzie odzywały się skargi jękliwe ptaszków, które potraciły gniazda.

Drzewa, kwiaty, trawy, stały w brylantach rosy i pachniały. Świat zaczynał być piękny, a przyroda zdawała się mówić: „Jestem taką, jaką jestem, i nic mię to nie obchodzi, czy kto stracił życie lub majątek.“

Było już dobrze na dzień, a młynarz siedział z głową pogrążoną w obu dłoniach i wzdychał. Nareszcie powstał, obszedł wokoło wyspę, spoglądał na wody opadające i mruknął:

Woda mi przyniosła, woda zabrała, woda musi oddać!

Adolf Dygasiński.

Z nowelli „Łabędzia woda”.

Zdobycie chorągwi przez Zagłobę.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innemi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawicową szybkością

myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!'' Potym ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech w piersi. Nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy — i cóż ujrzał? Oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące wściekle.

Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do licha, że leźli w oczy i że zmuszali go do bitwy. „Chcecie, to macie!'' — pomyślał — i począł ciąć ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy. „Bij! zabij!''— ryczał jak bawół. — Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają? — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest!

Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie?

I skoczył między uciekających, minął wielu i zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli niżowców do brzegów Słuczy, porosłych dość gęsto drzewami, i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyna się pod nim rozpierać, a jednocześnie spadło nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmorzony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potym cały ten huragan przeleciał i naokół nastała względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezus Marja! wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę tak samo, jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu,—to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chamie! — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamie! Daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydlę rozkraczyło się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nieszczęsnego jeńca i dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłonę, obwijającą mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących kraśnych dragonów Wołodyjowskiego, a o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając je z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachtą pokryła mu głowę.

Ujrzawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha!—rzekł—zdobyłem chorągiew. Jak to? możem nie zdobył? Jeśli justycja nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O, chamy! szczęście wasze, iż mi się koń rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom mogę ufać więcej, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. O, dla Boga! znowu tu jakaś wataha leci. Nie tędy, psubraty, nie tędy! Żeby tego konia wilcy zjedli!... Bij!... zabij!...

. . . .

A tymczasem w przeciwnym obozie rzucano zdobyte chorągwie pod nogi strasznego księcia. Każdy ze zdobywców ciskał swoją, tak, iż utworzył się z nich stos niemały, było bowiem wszystkich czterdzieści. A gdy z kolei przechodził pan Zagłoba, zwalił swoją z taką mocą i hukiem, że aż ratyszcze pękło, co widząc, książę zatrzymał go i zapytał:

— A waść to własnemi rękami zdobyłeś ów znak?

— Do usług W. K. Mości!

— Widzę tedy, żeś nie tylko Ulises, lecz i Achilles.

— Prosty ja żołnierz, jeno pod Aleksandrem Macedońskim służę.

— Ponieważ lafy waść nie bierzesz, niechże ci skarbnik jeszcze dwieście czerwonych złotych za tak cnotliwy twój proceder wypłaci.

Pan Zagłoba za kolana księcia chwycił i rzekł:

— W. K. Mość! większa to łaska, niż moje męstwo, które radeby się we własnej modestji ukryć.

Zaledwie widzialny uśmiech błąkał się po czarniawej twarzy pana Skrzetuskiego, ale rycerz milczał i później nawet ani księciu, ani nikomu o niespokojnościach pana Zagłoby przed bitwą nie wspomniał; zaś pan Zagłoba odszedł z miną tak sierdzistą, że widząc go, żołnierze z pod innych chorągwi pokazywali go palcami, mówiąc:

— Ten ci to jest, co dziś najwięcej dokazywał.

Z pow. „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza.

Promień słońca.

„Przez złotawych pyłów rój skrzydlaty
Siany w poniewierce,
W tłach z szafirów, dnieją tkane w kwiaty,
Drżące łąk kobierce."

Felicjan. Odgłosy z gór.

Jakób szedł, rozmyślając nad wypadkami dni ostatnich.

— Teraz — mówił do siebie — gdy do Warburtona dojdzie wieść, że panna Katarzyna wyjeżdża z dziećmi,

żelazny starzec zdobędzie się na jakiś krok stanowczy... bo że pokochał chłopca duszą całą, to dla nikogo już nie jest tajemnicą.

Minął buki, modrzewie i jodły, stojące poważnie przy drodze do Strążysk, minął świerkowy lasek, spuszczający się w dół ku polom, a tak był zamyślony, że nie widział ani bogactwa grzybów, rozesłanych po ziemi, ani świeżych kretowisk, ani barwnych porostów na drzewach, ani mchów i paproci, w których był rozmiłowany. Z ponad wału, usypanego z kamieni, pracowicie z pól wyzbieranych, wychylały się dzikie róże, badyle malin i jeżyn i listowie borowia. Wysmukłe osty i okazałe tamarzyski rosły tu rozległemi i zwartemi kępami, a między niemi pachniała górska bylica, błyskały żółte kwiaty dziurawca. Owady brzęczały w słońcu wesoło, a w powietrzu, jak stado motyli, fruwały stada delikatnych puszków, ważąc się zwolna, wznosząc i opadając. Jakób wyciągnął rękę i jeden taki puszek pochwycił.

— Oto posłaniec Boży! — mówił, przypatrując się ziarneczku, małemi opatrzonemu skrzydełkami. — Ma to żagielek, przymocowany do łódki maleńkiej i pływa po morzu powietrznym bezpiecznie i swobodnie, a gdzie spocznie, tam nowa wyrasta roślina. Takie to drobne, takie na pozór słabiuchne, a niesie błogosławieństwo Stwórcy łąkom, lasom i polom. Zdaje mi się, że to ziarnko dmuchawca.

Puścił je, gonił chwilę oczyma za maleńką łódeczką, a gdy zniknęła, szepnął:

— Jak te nasionka w powietrzu, tak wrażenia płynęły powoli w duszę Warburtona, zasiewając tam mimo jego wiedzy i woli myśli i uczucia, a każde puszczało korzenie... Widziałem jak kiełkowały, jak wydawały nawet kwiecie. Teraz czas na owoce!

I przebiegł w myśli dzieje tych kilku tygodni, począwszy od spotkania z Anglikiem na Starej Polanie, aż do przejazdżki na tratwie przez Morskie Oko.

— Nie, nie można już dłużej wątpić, kim jest ten człowiek. Żelazna jego powłoka już się skruszyła, ale ostatki dumy walczą w nim jeszcze z przemożnym a potężnym uczuciem. Dziś lub jutro wszystko się rozstrzygnie!

Już był na Kasprusiu, na wązkiej kamienistej drodze, gdzie dwa wózki góralskie z trudnością tylko minąć się mogą. Z lewej strony, wśród łanów zboża, rozsiadły się wygodnie domostwa, a z prawej wisiały nad

głębokim parowem, po którego dnie woda sączyła się z cichym, jednostajnym szmerem. Przy chacie Sobońki, gdzie okna były otwarte, przystanął.

— Tu — myślal — mieszka ten, co uporczywie sam siebie nazywa realistą, a którego Witold słusznie zwie poetą: Władysław Matlakowski, człowiek, którego wątłe ciało trzyma duch silny, pełny miłości dla ziemi rodzinnej i dla górskiej przyrody.

Spojrzał w okno: na środku pokoju był stół, zarzucony książkami i papierami, oraz dwa krzesła góralskie; w głębi, przy ścianie, łóżko, a na łóżku leżał w ubraniu poeta-realista. Piękna, sympatyczna twarz blada była i zmęczona — płowe, jedwabiste włosy przylgnęły do skroni. Powieki miał jakby przymknięte, a szczupła, wychudzona ręka trzymała ćwiartkę papieru i ołówek:

— Choroba postępuje — myślał Jakób ze smutkiem — on jest widocznie słabszy, niż przed tygodniem gdyśmy się z nim spotkali przy chacie Kuby, idąc do Czarnego Stawu.

Wtym posłyszał odgłos drobnych dziecięcych stóp, biegnących w tę stronę: do pokoju wpadła dwójka jasnowłosa, chłopczyk kilkoletni i maleńka dziewczynka, wołając:

— Tatusiu, słońce, słońce!

W jednej chwili chory dźwignął się z łóżka: na ustach jego pojawił się uśmiech, a oczy goniły za blaskiem, zapełniającym boczną witrynę, gdzie leżały parzenice i wyciskadła do sera, a promień słońca, zachodzący z boku, uwydatniał doskonale ich wklęsły rysunek.

Matlakowski przysunął sobie krzesło do okna i zaczął pilnie rysować piórkiem na ćwiartce sztywnego papieru, a w twarzy jego odmalowała się skupiona uwaga. Dzieci stojące za nim, przypatrywały się robocie ojca z ciekawością.

— Nie wiedziałem, że pan jesteś także i artystą — odezwał się Jakób, który dotąd stał niepostrzeżony.

— Ach, to pan, kochany panie Jakóbie! Widzisz, zostałem rysownikiem z konieczności. Tyle rysunków potrzeba do mej książki „Zdobienie ludowe na Podhalu“!... a choć Witkiewicz dużo mi pomógł, dostarczywszy kilka ważniejszych rycin, nie jest to jeszcze wszystko, czego potrzebuję. Nauczyłem się umyślnie rysować piórkiem, bo tylko delikatne pióro może odtworzyć dokła-

dnie te rysy, niby naiwne, a w rzeczy samej subtelne i artystyczne. A że nie znam wcale perspektywy, bo nie uczyłem się nigdy rysować, więc korzystam z każdego promienia słońca w mieszkaniu, żeby przy jego pomocy odtworzyć przedmiot tak, jak go widzę, i tym sposobem odnajduję perspektywę.

— Wielka to siła woli i wielkie umiłowanie przedmiotu—powiedział Jakób, patrząc nań z podziwem, graniczącym z uwielbieniem.

— Śpieszę się — dodał smętnie — bo niewiele mam czasu przed sobą, a chcę, żeby to, co robię, dobrze było zrobione. Akademja Umiejętności obiecuje mi to wydać.

— Wyświadczysz pan prawdziwą przysługę sztuce polskiej i etnografji.

— Ale wiesz pan, to moje porządkowanie motywów tutejszej ornamentyki nie zadawalnia mię, jako oparte na czysto zewnętrznej zasadzie. Bez porównania ciekawszą byłaby systematyka na podstawie porównawczej, z uwzględnieniem materjałów, jakie badania nad ludoznawstwem świata całego i zabytkami sztuk pięknych u starożytnych ludów nagromadziły. Zestawienie motywów ornamentacyjnych i motywów muzycznych różnych czasów i różnych ludów byłoby niezmiernie ciekawe.

— I to z czasem będzie zrobione — wtrącił Jakób.

— Co zaś do zasługi, to tu bez porównania więcej odemnie zrobił Witkiewicz, jako wpływowy pisarz i artysta. Przez swoje stosunki z inteligientną publicznością, potrafił w wielu obudzić ufność, że ta chłopska sztuka, to nie żart, ale rzecz poważna. Szafował hojnie rysunkami, planami, radami i szczepił dziwną nowość chłopską wśród panów. A z drugiej strony, dając rysunki i lepiąc modele z gipsu, z gliny, wpływał na rzeźbiarzy i stolarzy, wskrzeszając w nich zamierające już przekonanie, że rzeczy po ich przodkach, to piękne rzeczy, nie „staroświeckie dziady''—nie „brzydź'', ale rzecz cenna, żywa, mająca przyszłość. Budził na nowo miłość ku swojemu, słabnącą przez obcowanie z „blademi twarzami'' z Warszawy i Krakowa.

— Dosadnie się pan wyrażasz.

— Pobyt i nauka w szkole rzeźbiarskiej, mającej oczy tylko na renesans lub greczyznę, paczyły też u rdzenia zdrowy, wrodzony zmysł ludowy, który potrafił wydać tak bujny kwiat sztuki.

Zakaszlał się i lekkie rumieńce wystąpiły mu na twarz.

— Krzewić, krzewić należy jak najwięcej, między „dalekiemi panami" tę sztukę. Pomyśl pan tylko, co za wspaniałą jadalnię można stworzyć, przenosząc żywcem prawie góralską świetlicę! Dajcie powałę z rzeźbionym sosrębem i sosrębikami, z deskami w szatkownicę z różnobarwnego drzewa, dajcie fazy głębokie i malowanie w polichromię. Przytwierdźcie do ściany obiegającą pokój listwę polichromowaną, jak tu bywa i bogato rzeźbioną, do stawiania na niej talerzy, srebra i porcelany. Dajcie spodem wykładanie, boazerję rysowaną w tutejsze łyżniki, i meble obmyślane na tutejszych wzorach, a będziecie mieli jadalnię swojską, wywierającą wspaniałe wrażenie. Na środku postawcie tutejszy stół jaworowy, zamaszysty, z szeroko rozstawionemi nogami, ze stolnicą wykładaną hebanem, ciemną oliwką, lub ciemnym orzechem, a zobaczycie, jaki to efekt zrobi!

— Sir Edward Warburton odgadł widocznie myśl pańską, bo taką właśnie jadalnię zamówił w szkole snycerskiej, dla swego zamku w Rochdale i zamierza ją najprzód wystawić w Londynie, w Kensington Palace.

— Czy tak?—zawołał Matlakowski, a modre jego oczy żywym zajaśniały blaskiem — rad jestem! bardzo rad jestem, że pokażemy cudzoziemcom nasz własny styl! Bo pan nie wiesz może, że oprócz mnie i Witkiewicza, Gerson i Maszyński wpadli na ten sam pomysł, że sztuka i budownictwo podhalskie jest dawnym polskim stylem, który na równinach zaginął, wypierany ciągłym napływem cudzoziemskich nowości, cudzoziemskiej mody, a tu jedynie przechował się jeszcze w dawnej czystości. Tatry są skarbnicą, której zawartość jedynie dlatego ocalała przed barbarzyńskim zalewem zagranicznej tandety, że chronił ją mur wysoki i niedostępność.

— Sądziłem, że pan przyznajesz góralom szczególne uzdolnienie do odczuwania i wytwarzania piękna, a z tego, co słyszę, wypada, że je tylko dobrze umieli w swej skrzyni przechować!

— O, nie! – zaprzeczył z żywością—nietylko to. Gdyby nie mieli wrodzonego poczucia piękna, skrzynia opróżniłaby się zwolna. Oni mają wrodzone poczucie artystyczne, to też piękno ciągle w nich żyje i ciągle się odradza. Na równinach nigdzie nie było takiego upodobania do zdobienia wszystkich otaczających przedmiotów, jak tutaj. Oni zdobią nawet orczyki do wozów, nawet grabie, kośniki, maglownice i kijanki do prania,

wszystko, czego się tylko dotkną. Styl podhalański jest stylem polskim, ale podhalanie, to lud wybrany!

Jakób uśmiechnął się.

— Tak jest, wybrany, obstaję przy tym: lud, którego cudowna przyroda, pełna blasków królewskich, tak już ukształtowała, że rodzi się artystą. Nigdzie może na świecie nie znajdziesz pan tego poczucia proporcji w najprostszych linjach, tej harmonji, która prostą ławę, niezdobną nawet, czyni miłą dla oka.

Jakób patrzył na zapał mówiącego, zapał, który i jego począł ogarniać i rzekł:

— Ale ja kradnę panu słońce, a ono niezadługo z tego okna ucieknie; powinienem odejść.

— Nie, nie, zostań pan jeszcze! Takeś mnie ucieszył tym, co mi powiedziałeś o Angliku, że czuję się nawet rzeźwiejszy i zdrowszy. Ale, ale, czy widzieliście willę Gnatowskiego?

— Nietylko widzieliśmy, ale pokazaliśmy Anglikowi.

— Ten człowiek zrobił ważny krok naprzód: zbudował dom w stylu czysto podhalańskim. Byli tacy, co przed nim tego próbowali, jak Chrostowski, ale tamten ściągnął do swej Koleby wszystko, co tylko było pięknego lub etnograficznie ciekawego, zastosowawszy wiernie mnóstwo szczegółów do ozdoby mieszkania i sprzętów. Czy pan uwierzysz, że Gnatowski wielkim kosztem kazał odlewać kafle w Krakowie i kuć żelazo wedle starych góralskich wzorów!

— Dobry użytek robi z pieniędzy!

— Dobry i rozumny: oby więcej było takich, jak on! Pawlikowski też chce budować dom na Kozieńcu. Widziałeś pan plan? Nie? Cacko, powiadam panu. Oto jest! Istny klejnot góralski! Nieprawdaż?

— Istotnie — odrzekł, przypatrując się rysunkowi Jakób.—Ale twierdzenie, że styl podhalański jest stylem polskim, to domysł trafny, choć nie poparty dowodami.

— Jakto nie poparty? Podobne budowle są w Piotrkowskim, w Czeladzi, choć tak rozległy szmat ziemi dzieli od Tatr tę osadę. Są tam odrzwia półokrągłe nabijane kołkami i wiązania, tak zwane psy, po bokach, i pazdury i szczyty domów. Są podobne odrzwia na Szląsku, a w Krakowie i Lwowie odkrywają dziś sosręby ze staremi zbójnickiemi gwiazdami. Coraz to odnajdują się nowe ślady, nowe wykopaliska, przywalone przez wieki całe renesansem i gotykiem. Jakichże pan

chcesz jeszcze dowodów? Niema góralskiego stylu; jest tylko styl staropiastowski, styl polski!

— Kiedy tak, więc może i lud tutejszy nie jest okruchem walącej w różnych epokach przez Karpaty nawały ludów, ale rasą czysto polską, rasą lechicką, przechowaną w owej skrzyni zamczystej, wspólnie ze skarbami sztuki?

— Takie moje przekonanie: to jest rasa polska, przechowana w swej pierwotnej czystości; tak, jak w niektórych zakątkach Grecji, przechował się jeszcze jasnowłosy typ dawnych Hellenów. Rasa to przepysznej budowy, kształtna i urodziwa, jak chyba nigdzie na świecie! Popatrz pan tylko na ich ręce i nogi, przyjrzyj się ich dumnej postawie, ich zręcznym ruchom, sposobowi ich chodzenia. Cuha zdobi górala z równym wdziękiem, jak Rzymianina zdobiła jego toga, a ich obuwie ma w sobie coś klasycznego!

— Szkoda, że tego Witold nie słyszy, bo on nazywa pana poetą. Idę właśnie do niego. Naznaczyliśmy sobie spotkanie na Kościeliskiej, przy jaworze, który on rysuje.

— Znam, znam ten jawor! Wspaniały okaz. Ale nie nazywajcie mnie poetą: ja jestem realista. Uśmiechasz się pan? Doprawdy, że nie żartuję. A skąd wracasz, jeżeli wolno zapytać?

— Ze Strążysk. A pan, czy nie wolałbyś wyjść na świat, zamiast tu siedzieć i rysować? Tak, tam pięknie!

— O, wiem. Piękno rozlane dokoła, tak ciągnie oczy, że je trudno oderwać.

— Czy pan znasz wiersz Konopnickiej, o tej pięknej dolinie, p. t. „W górach.”

— Nie wiem, może znam, może nie znam. Powiedz pan, jak się zaczyna, to sobie przypomnę.

Jakób, mający wyborną pamięć, zwłaszcza do poezji, tak zaczął:

„Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął—i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu. Smereki zielone
Zaplotły jej koronę szmaragdów na skroni,
A kształty jej przepysznie zielonego ciała,
Niby grecka draperja, mgła lekka owiała.
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,
Mienią się górskie pólka jęczmienia i żyta;
A przepaska Dunajca modra, falująca,
Z pod piersi szumiąc, spada i o stopy trąca.

Nagle ramię kamienne, wyciągnięte w górę,
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę.
I jako karjatyda strop niebieski dźwiga,
Aż blednie i w pomrokach liljowych zastyga.“

— Piękne to—odezwał się Matlakowski, gdy Jakób umilkł—ale rzeczywistość stokroć piękniejsza! Tu są takie cuda, jakich żadne pióro ani żaden pendzel nie odtworzy... i to wszędzie, na każdym kroku. Oczy pomykają po ziemi za cudną zielonością oliwkową, złotawą lub bronzową, za pluszową miękkością mchów, z pod której widać czerwone kapelusze mucharów, albo zielone gołąbki. Pnie pogrubiałe od porostów, a z ran ich toczy się srebrna żywica; konary obrosłe szaremi brodami... Świecą się mokre kamienie, pnie błyszczą od wilgoci. Chłód i mrok rozkoszny, orzeźwiający...

— Więc wyjdź pan, nie siedź tak w czterech ścianach!—nalegał Jakób.

— Jabym dzień cały siedział na dworze, ale widzisz pan, mało mam czasu... trzeba korzystać, póki jest jeszcze trochę sił... Muszę się śpieszyć, bardzo śpieszyć, a tyle mam jeszcze do zrobienia! Nie skończyłem dotąd mego studjum o „Hamlecie,“ a teraz te rysunki! Gdy moje „Zdobienie“ wyjdzie z druku, chciałbym się wziąć do zamierzonych oddawna „Pamiętników“ i opisać ptaki krajowe. Mam już do tego sporo zgromadzonego materjału: tylko ułożyć i opracować. Ręce się aż palą do roboty, tyle jej jest, a tu czas ucieka!

Popatrzył na promień słońca posuwający się coraz dalej i dodał:

— Pozwolisz pan, że przy panu narysuję tę parzenicę, zanim mi słońce ucieknie. Ale nie odchodź jeszcze, proszę! Czy ten wasz Anglik długo tu pozostanie?

— Nie wiem. Przypuszczam, że jeszcze z parę tygodni.

— Namówcie go, żeby zimę przepędził w Zakopanem. Bo jeżeli tutaj lato jest urocze, to zima poprostu czarująca! O! kto nie widział tego bogactwa blasków i łun, tej gry kolorów, począwszy od opalów aż do najciemniejszej purpury, w pośród olśniewającej białości, pokrywającej ziemię, temu żaden język tego nie wypowie! I nie wiadomo, co jest piękniejsze: ranek czy wieczór, pogoda czy niepogoda?

I pochyliwszy się nad papierem, zaczął znów pilnie rysować.

— No, już chyba pogoda piękniejsza!—rzekł, uśmiechając się Jakób.

— Niekoniecznie—odparł, podnosząc znów głowę.— Wyobraź pan sobie najsubtelniejszą mgłę, niby gazę przysłaniającą góry, słońce i niebo. Nie mgła to jednak, tylko prószy drobniutki śnieżek, tak drobny, że nie dojrzy go ludzkie oko. Ale pod słońce, w blasku promieni iskrzy się powietrze tysiącami iskierek: jedne lecąc szybko, niecone wietrzykiem, znaczą ślad, jak komety; inne lecą wolniuchno, przewracając się, migocąc i ginąc w przestworzu, jak żagiewki, które lokomotywa czasem wśród nocy wyrzuca, tylko nieskończenie drobniejsze. A w tym dżdżu delikatnych kryształów, które dają pojęcie o pyle kosmicznym, które stoją na granicy rzeczy widzialnych, widnieją sennie białe lasy smerekowe, polinjowane, w czerni i bieli. A wieś w dali, kościół, gaje i drogi, wyglądają jak fantazja, w tej niby mgle, niby pyle przetopionym w wielką jasność.

— I pan powiadasz, że jesteś realistą!

Rumieńce na twarzy mówiącego pociemniały: zakaszlał. Mówienie męczyło go, ale w oczach widniał coraz większy zachwyt i zapał.

— W zimie miewa się tu ciągłe wizje — mówił dalej. Wszystko bywa zatopione w mlecznym oparze, nasiąkniętym światłem, a z tej powodzi świetlnej atmosfery, wynurzają się zaledwie dostrzegalne dla oczu kontury gór i są jak widziadło, jak obraz bezcielesny, zawieszony w powietrzu, jak ułudne marzenie! Z pośród tej nieujętej bieli, wydziela się gdzieś jaskrawo oświetlona grań, brzeżek turni lub płasienka upłazu, po których łagodnie ześlizgują się promienie. Nad górami także opar, a u zenitu niebieszczy się przeczyste, szafirowe niebo i śle odblask drugiemu szafirowi na ziemi. Każdy wzgórek, stok każdy modeluje się tak cudownie, takim niebieszczy się kolorem w cieniu, a bieli na wypukłości, że oczu oderwać nie można od gry światła i cienia.

— Świetnym pan jesteś malarzem! Odtworzyłeś krajobraz zimowy Tatr z taką plastyką, jakbym na niego patrzył. Gdyby Warburton pana słyszał, zachwyciłby się, on, co zachwyca się siłą słowa i pięknemi pismami Witkiewicza.

— A czy on rozumie po polsku?

Jakób zawahał się.

— Tłómaczy mu się na angielskie.

— A więc namówcie go, żeby został, bo nigdzie na świecie nie zobaczy tego, co tutaj! Czy pan widziałeś wczorajszy zachód słońca? Było to coś nadzwyczajnego, coś, że się tak wyrażę, biblijnego. Pomrok ogarnął wieś i wisiała nad nią wielka chmura, oparta brzegami na otaczających dolinę zakopiańską górach. Naraz nad tuż przy samej ziemi, po zachodzie słońca, trzema wąziuchnemi szczelinami przedarły się trzy wielkie strugi czerwonej zorzy, jak promienie z głowy Mojżesza i oblały purpurą falisty, pogarbolony spód chmury. O, jak cudowny i pełen uroku jest ten świat górski! jak pięknym jest życie!

Jakób poczuł coś nakształt kurczu w gardle. Ten człowiek, mówiący z zapałem o piękności życia, niedługo już miał się nim cieszyć. Jakób, lekarz także, widział to po jego krótkim oddechu i podkrążonych oczach, po ręce z wychudzonemi palcami, wspierającej się na papierze. A pomimo uciekającego życia, tyle w nim było zapału, takie pragnienie pracy twórczej, takie rozległe plany!

Łzy mu nabiegły do oczu, i nie chcąc okazać wzruszenia, pożegnał się szybko i odszedł. Matlakowski podniósł głowę i czas jakiś smętnie patrzył za odchodzącym, a potym zwrócił oczy na Giewont, w którego szczerbę teraz zaglądało słońce, wskazując południe i na cudowny krajobraz, pławiący się w tym świetle. Cała jego twarz zajaśniała, w oczach odmalował się zachwyt, a usta wyszeptały zcicha:

„Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie.“

Zofja Urbanowska.

Z powieści „Róża bez kolców.”

Zakończenie roku szkolnego w liceum krzemienieckim.

Otworzyły się publiczne egzaminy. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapałem oddawała się naukom i pewna siebie, ochotnie i przytomnie sprawę z nich zdawała. Popisy, szczególniej z fizyki i chemji, obja-

śnione doświadczeniami, z wymowy i literatury, okraszone przytoczonemi wzorowemi przykładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczów zachwycały. Zadowoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego, a on ojcowskiej w sercu doznawał radości i w duchu gorącej wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił.

Po trzechdniowych popisach nastąpił dzień rozdawania nagród. Bibljoteka jeszcze nie była zupełnie ukończoną, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tylu osób, zbierających się na ten akt uroczysty; w gmachu więc wspaniałym, w kościele gimnazjalnym, każdą obchodzono podobną uroczystość. W środku kościoła, po prawej ręce od wchodu, wzniesione było siedzenie biskupie, po lewej tron z portretem cesarza; wokoło stały w dwóch rzędach krzesła, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza niemi porządkiem stanęli uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych i widzów. Jeszcze niema Czackiego, komisarzów i senatu nauczycielskiego. Uczniowie, klasami rozstawieni, zajęli swe miejsca; na czele każdej klasy gromada celujących należnej nagrody oczekuje. Kursa osobno stoją; wszyscy w mundurach, wszyscy weseli; czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba nie biorących przynajmniej pochwalnego listu w pośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici, bo tu nie tylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpsute nawet wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, pragnący się szczycić imieniem prawego obywatela.

Od drzwi wchodzących dał się słyszyć szelest, wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: „idą!'' Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa, a dwaj ostatni nieśli, jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale; za niemi weszli dyrektor i prefekt, dalej komisarze: Michał Sobański, Wacław Borejko, ks. Maksymiljan Jabłonowski i Filip Plater; pisarz komisji Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski; na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazjalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych.

Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła, na tronie pod portretem cesar-

skim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego.

Ks. biskup zaintonował Veni Creator, po którego odśpiewaniu Czacki zagaił posiedzenie krótką a piękną przemową. Profesor Choiński w rozprawie naukowej wykazał korzyści z nauki ekonomji politycznej.

Nastąpiło rozdanie nagród; od pierwszej klasy aż do trzeciego kursu Czacki każdemu, oddając list pochwalny, coś stosownego, coś przyjemnego powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza jeśli byli krewnymi ucznia medalowego; ale mającym obecne na akcie rodziny oddawali tę nagrodą ks. biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniej król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale jeżeli matka była obecną, król zostawiał jej pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna.

W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił.

„Zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność, dostojny mężu!"—przemówił Czacki. „Zastąp tu im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś; zaszczyć, zaszczyć ich, nim twój syn, dorósszy lat, do nauki sposobnych, odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś, młodzieńcy, możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czcigodnego krewnego ten znak waszej zasługi odebrali i starajcie się być jemu podobni."

Izydor i Piotr Sobańscy byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezstronniej złoty medal nauczyciele przysądzili Józefowi Czackiemu. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie, lecz śmiało, ale spojrzawszy na matkę, której wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszym spłonął rumieńcem i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu.

— Synu mój, Józefie!—rzekł ojciec, - ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły upewnia mnie, że nie sama ku mnie życzliwość ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewniają, wierzę więc z prawdziwą serca uciechą, zasługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam, dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły, najczulsze składam dzięki,

żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulację. Czym on będzie na świecie, wasze to dzieło, a za trudy, około niego podjęte, moja ku wam wdzięczność i do grobu serca mego nie odstąpi. Ale, mój synu! ukończywszy zawód naukowy, wychodzisz na świat; wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem tej szkoły! Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega. Na tobie, mój synu, cała moja nadzieja! Ty się przejmiesz mojemi względem tej szkoły uczuciami, ty z mojej wdzięczności masz się wypłacić tej szkole, tym czcigodnym współziomkom, tej ziemi rodzinnej, która cię wydała i wykarmiła. Twojej i mojej wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całym twym życiu, postępując drogą wiary i prawości, staniesz się godnym szacunku tych życzliwych współobywateli, godnym opieki twojego monarchy, godnym imienia ucznia gimnazjum Wołyńskiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz, podaj mi dłoń twoją!“ A ująwszy syna za rękę jedną, a drugą ręką medal:— „Pójdź — rzecze—synu kochany! nikt godniej nie zdoła ozdobić cię tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swoim przelała w twe serce uczucie miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!“

Nie mógł już więcej mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką zgiął kolano; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową jego, lecz gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki; objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca i łzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna; a te łzy były łzami radości, niememi tłómaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed spłakanym pasterzem, który go ojcowskim sercem na dalszą kolej życia pobłogosławił. Zakończył tę całą uroczystość czcigodny ks. biskup hymnem ś-go Ambrożego i powszechnym błogosławieństwem.

Antoni Andrzejowski (Ramoty starego Detiuka).

Wspomnienie.

Stało się konającemu bardzo ciemno w oczach i czuł, że śmierć się zbliża—więc począł patrzyć wstecz, poza siebie, chcąc raz jeszcze zobaczyć życie.

I przechodziły mu przed oczyma różne twarze cichym i długim szeregiem, a każda twarz niosła wspomnienie boleści lub rozkoszy. Że zaś wspomnienia boleści przeważały o wiele, umierający myślał, że niewarto żałować, iż więcej twarzy tych już nie zobaczy.

Ale nagle, z tłumu, błysnęło ku niemu dwoje oczu, pełnych łez—poznał je i odpędziwszy resztę mar, patrzyć w nie począł.

Były to oczy starca, żebraka, któremu w mroźną noc oddał płaszcz, zdjąwszy go ze swych ramion.

I żal go zdjął, że już po raz ostatni ma wspomnienie tych oczu i że ich nie będzie mógł wspominać po śmierci...

Tetmajer.

Sąd.

Dusza wyszła z ciała i wziął ją anioł za rękę, i wiódł w jakieś pustkowie szare i smutne i posadził ją na kamieniu. A z góry, z ponad ołowianej szarości mgieł rozpostartych, ozwał się głos:—„Sądź się sama!“...

I zaraz przed oczyma duszy poczęła się toczyć rzeka, której woda, poznała dusza, iż była z samych łez lecz mętna.

A anioł rzekł:—„Patrz, oto łzy, które wycisnęłaś ludziom, będąc tam, na ziemi.“

A dusza odrzekła:—„Tak, ale tu i moje łzy płyną zmieszane.“

I po trzykroć ozwał się anioł do duszy i po trzykroć ona mu odpowiedziała.

Ale nagle mętna woda rzeki stała się czysta, jak kryształ i głęboka bardzo. I anioł rzekł: — „Łzy matki twojej.“

A dusza, zasłaniając twarz, odpowiedziała:—„Otom jest winną, bo tu niema moich łez zmieszanych.“

Tetmajer.

Chata gajowego.

W lesie, w głębokim lesie, na obszernej polance, stała chata gajowego Szczepana.

Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach; obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, zapadła, z wodą pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów; między słonecznikami pstrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanym i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry, blade, bo przygłuszone i siwemi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej, w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartofianej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich cienkich prątkach, stojąca tak blizko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porosły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwiał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu i gruchań i wabienia się i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroiło się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał; to się rozpływał w błękicie,

to błysnął pod słońce białemi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na szary słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas, w blaskach powietrza, gołębie one zdawały się być już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhowor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, senniej, a wreszcie cichło wszystko—mrok padał z nieba na ziemię; chata, czereśnie i brzozy zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z jeziora.

Około polanki bowiem, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i idąc wdal nakształt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi kraniec jego prawie że ginął w oddaleniu i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościołka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciadle, więc zdało się, drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze; kiedy szumiał na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni, każda igiełka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko—w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, za słońcem, zorzą, księżycem gwiazdami.

Z „Sielanki“ Henryka Sienkiewicza.

Ostatnia lekcja.

Tego dnia jakoś zapóźniłem się do szkoły, szedłem ze strachem, bo wisiała nade mną kara w postaci ostrej nagany, a może i czegoś gorszego, czym kochany nauczyciel nasz, pan Hansel, francuz duszą, chociaż niemiec z nazwiska, niekiedy nas obdarzał. Zapowiedział, że będzie nas egzaminował z różnych imiesłowów, a ja nawet nie wiedziałem, od czego zacząć. W jednej chwili błysła mi myśl, aby nie pójść do szkoły i skręcić na pole, co się zieleniło o kilkadziesiąt kroków od szkoły. Powietrze było tak wonne, słońce świeciło tak wesoło, łąki i pola tak nęciły ślicznym malowaniem! Kosy świstały na skraju dąbrowy a na łące, poza tartakiem, Prusacy mustrowali się. Wszystko to nęciło mnie stokroć więcej, niż gramatyka z najmądrzejszemi imiesłowami, ale potrafiłem zapanować nad pokusą i, przyśpieszywszy kroku, podążyłem do szkoły.

Przechodząc obok merostwa, widziałem gromadę ludzi, stojących przed okratowaną szafką, w której przylepiano zwykle rozmaite ogłoszenia. Od dwóch lat szafka ta była jedynym źródłem wiadomości najniepomyślniejszych dla nas, z niej dowiadywaliśmy się o bitwach przegranych, o kontrybucjach przez Prusaków na nas nałożonych, o rozporządzeniach władzy wojskowej. I teraz więc, nie zatrzymując się, pomyślałem sobie:—pewnie znowu co dobrego!

Kiedym już był na środku placu miejskiego, spostrzegł mię kowal, który ze swoim uczniem odczytywał ogłoszenie i zawołał:

— Nie śpiesz się tak, mały—choćbyś szedł najwolniej, nie spóźnisz się już do szkoły!

Byłem pewny, że kowal żartował sobie ze mnie, widząc, iż idę do szkoły wówczas, gdy już wszyscy moi koledzy w niej byli. Popędziłem dalej i cały spocony wpadłem na mały dziedziniec szkolny.

Zwykle przy zaczęciu lekcji w klasie huczało jak w ulu, hałas rozlegał się po ulicy: otwierano z zamachem skrzyneczki w ławkach, powtarzano lekcje na cały głos, zatkawszy sobie uszy, aby lepiej rozumieć; nauczyciel tłukł grubą linją o tablicę, wzywając tym sposobem do porządku i milczenia.

Rachując na to wszystko, myślałem, że niepostrzeżony przez nikogo dopadnę ławki i przykucnę w niej,

jak zając pod miedzą, lecz zdziwiłem się, zastawszy zamiast hałasu—ciszę;—a przecież to nie była niedziela. Przez otwarte okno widziałem kolegów na swoich miejscach i pana Hansela, co chodził tam i napowrót, trzymając straszną linję żelazną pod pachą. Cóż miałem robić? trzeba było otworzyć drzwi i wejść. Łatwo sobie wyobrazicie, jak się czerwieniłem i bladłem naprzemiany ze strachu. Ale o dziwo! pan Hansel spojrzał na mnie bez gniewu i przemówił łagodnie:

— Śpiesz się, mój Franusiu, bylibyśmy zaczęli lekcję bez ciebie.

Przelazłem przez ławkę i usiadłem na swoim miejscu.

Wówczas, ochłonąwszy nieco z przestrachu, spostrzegłem, że nasz nauczyciel ma na sobie piękny surdut zielony, żabot świetnie rurkowany i czarne jedwabne spodnie, suto haftowane, które wdziewał tylko podczas wizyty dyrektora lub w dniu rozdawania nagród szkolnych.

Nadto zdawało mi się, że cała klasa ma jakąś fizjonomję niezwykłą i uroczystą. Ale najwięcej się zdziwiłem, spostrzegszy w głębi sali, na ławkach, które były zwykle niezajęte, siedzących obywateli naszej wioski siedzących cicho, jakby i oni przyszli na lekcję. Pomiędzy niemi był stary Hauser ze swoim trójgraniastym kapeluszem, dawny mer, dawny listonosz i kilku innych wiejskich dygnitarzy.

Wszyscy oni mieli jakieś miny smutne, a Hauser trzymał na kolanach stary, powyszarpywany elementarz roztwarty, przełożywszy kartki jego wielkiemi okularami.

Kiedym się tak wszystkiemu przypatrywał i dziwił, nauczyciel wszedł na katedrę i tym samym głosem słodkim i poważnym, jakim tylko co mnie do ławki napędził, przemówił:

— Moje dzieci, już poraz ostatni mam z wami lekcję. Przyszło rozporządzenie z Berlina, aby was uczyć tylko po niemiecku—wszystkie szkoły w Alzacji i Lotaryngji muszą się do tego rozporządzenia stosować. Nowy nauczyciel przyjedzie jutro — dziś mamy ostatnią lekcję języka francuskiego. Dzieci moje — proszę was, uważajcie—uważajcie—ostatni raz mówimy w szkole po francusku...

Te słowa wymówione głosem rzewnym, drżącym, wzburzyły mię.

— Ach Niemcy! — pomyślałem sobie, — to wasze rozporządzenie o szkołach przylepione w szafce za siatką.—Ostatnia lekcja po francusku!

Nie nauczę się już więc nigdy pisać po francusku! Pozostanę już na całe życie nieukiem. Jakżeż w tej chwili żałowałem tych godzin ukradzionych nauce, a zmarnowanych na wybieraniu gniazd lub ślizgawce. Moje książki, które dopiero co uważałem za takie nudne, za takie ciężkie — moją gramatykę, moją historję świętą teraz kochałem, jak swych najlepszych kolegów, z któremi tak lubiłem się bawić. A gdym pomyślał, że trzeba będzie pożegnać pana Hansela, że już go nigdy nie zobaczę... zapomniałem o wszystkim, com oberwał od niego.

— Zacny nauczycielu! Toś ty dla tej ostatniej lekcji włożył na siebie najpiękniejsze suknie świąteczne, teraz już wiem, dlaczego poważni mieszkańcy naszej wioski przyszli i zajęli miejsce w rogu sali szkolnej. Przez swą obecność chcieli okazać żal, że częściej szkoły nie nawiedzali; tą wizytą chcieli dowieść wdzięczności nauczycielowi, który przez lat czterdzieści pełnił gorliwie swe obowiązki, wiernie służąc wiosce czyli ojczyźnie.

Z tych rozmyślań, w jakich się pogrążyłem, wyrwał mię głos nauczyciela; wywołał mię po imieniu, abym wydał lekcję.

O czegóżbym nie był dał wówczas za to, abym mógł bez zająknięcia się, głośno, płynnie, jednym tchem wyrecytować reguły na formowanie imiesłowów, które dziś rano tak mię trwożyły. Ale niestety, zaciąłem się przy pierwszym słowie, stanąłem zmieszany, z sercem ściśniętym, z oczyma spuszczonemi na ławkę. Wówczas nauczyciel powiedział:

— Nie będę cię łajał, kochany Franiu — już i tak jesteś dosyć ukarany. Tak to u nas zawsze! Mówiliśmy sobie codzień: mam jeszcze dość czasu, nauczę się nie dziś, to jutro. I to widzisz, co nam owo jutro przyniosło. Ach, to odkładanie nauki do jutra było dla naszej drogiej Alzacji wielkim nieszczęściem. Teraz Niemcy mają prawo mówić: jakto! wy, co się macie za Francuzów, nie umiecie ani mówić, ani pisać po francusku.— Mój kochany Franiu, nie jesteś ty najwinniejszym. Każdy z nas ma sobie coś do wyrzucenia. Rodzice wasi zamało dbali o wasze wykształcenie, woleli oni was wysyłać do pracy w pole lub do przędzalni, niż do szkoły szło im więcej o kilka groszy zarobku, niż o zbogacenie głowy i serca. A czyż i ja nic nie mam sobie do wyrzucenia?

Czyż i ja nie odrywałem was od nauki, zapędzając do polewania mego ogrodu? A ileż to razy dawałem wam rekreację, bo mi się zachciało iść na połów pstrągów?!!

I drogi nauczyciel, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, zaczął opowiadać o piękności i bogactwie języka francuskiego; mówił, że to jest najpiękniejszy język pod słońcem, najzrozumialszy, najsilniejszy, jaknajpiękniej zbudowany, najobfitszy w wyrazy i wyrażenia szlachetne, bohaterskie; upominał, abyśmy go się nigdy nie wyrzekli, nigdy nie zapomnieli, bo naród, który wyrzeknie się swego języka jest już trupem, zgnilizną— już on żyć nie wart i nie może...

Potym wziął gramatykę i zaczął wykładać lekcję. Zdziwiłem się, że tak doskonale wszystko rozumiem; wszystko, co profesor mówił, było dla mnie teraz takie łatwe! Myślałem, że chyba nigdy tak uważnie nie słuchałem, a nauczyciel nigdy tak cierpliwie nie wykładał. Poczciwy człowiek! on chciał, zanim nas opuści, oddać nam całą swoją wiedzę, chciał nam cały swój rozum włożyć w głowę jednym zamachem.

Po gramatyce wzięliśmy się do kaligrafji. Na ten dzień pan Hansel przygotował dla nas zupełnie nowe zadania z tytułami, ślicznym rondem wypisanemi: Francja, Alzacja, Francja, Alzacja. Arkusze z temi napisami, jak małe chorągiewki, wiewały na ławkach i w rękach naszych. Trzeba było widzieć, jak każdy się starał, aby pisać jaknajpiękniej; — a jaka przy tym cisza panowała!

Przez okno wleciało kilka chrabąszczy—ale nikt na nie nie zwrócił uwagi, nawet najmłodsi zajęci byli jedynie stawianiem liter jaknajpiękniejszych, jaknajkształtniejszych—jakby te litery miały wystarczyć dla nich na całe życie.

Na dachu zagruchały gołębie, a ja usłyszawszy je, pomyślałem sobie: czy i im każą od jutra gruchać po niemiecku?

Chwilami odrywałem oczy od kajetów i patrzyłem na kochanego nauczyciela; siedział on na krześle nieruchomy i tylko oczyma wodził po całej klasie, zatrzymując wzrok na każdym przedmiocie, jakby do duszy chciał zabrać wszystko, na co przez lat czterdzieści codziennie patrzył.

Pomyślcie tylko: przez lat czterdzieści mieć przed oczyma też same przedmioty, przez lat czterdzieści patrzeć na swój domek, na swą szkołę, w której nic się

nie zmieniło, nic nowego nie przybyło. Tylko ławki wytarły się i wypoliturowały kosztem odzienia dzieciaków, tylko drzewa orzechowe na dziedzińcu urosły, i chmiel, posadzony ręką nauczyciela, otoczył całe domostwo wspaniałemi girlandami, pnącemi się aż na dach.

O jakże musiał cierpieć ten biedny człowiek na myśl, że to wszystko trzeba opuścić, opuścić nazawsze; jakże mu się serce krajało na odgłos stąpań siostry Anny, która chodząc po izdebkach ponad klasą, ściągała tłumoczki, pakowała rzeczy—bo jutro będą musieli ustąpić miejsca innemu, będą musieli opuścić kraj nazawsze. A jednak ten człowiek sumienny w pełnieniu swych obowiązków, pomimo zranionego serca, miał siłę odbyć z nami ostatnią lekcję całkowicie.

Po kaligrafji, wzięliśmy się do historji; następnie malcy wyśpiewali piskliwym głosikiem: Ba Be Bi Bo Bu. Nauczyciel zdjąwszy okulary wybijał niemi takt na elementarzu, jak na nutach. Wysilał się, aby ostatnie sylabizowanie poszło doskonale—głos mu drżał ze wzruszenia.

O nigdy tej ostatniej lekcji nie zapomnę! Zegar kościelny dzwonić zaczął dwunastą, w tej chwili rozległy się trąby, na których dęli z całych sił żołnierze pruscy powracający z mustry.

Nauczyciel podniósł się z krzesła, stanął w katedrze blady jak trup...

Nigdy go nie widzieliśmy tak wysokim — urósł w oczach naszych.

— Moje dzieci... moje dzieci... moi przyjaciele... moi przyjaciele... oto... oto... mówił, jąkał się, ale skleić zdania nie mógł. Coś go dusiło. Głos w piersi mu zamarł. Tylko krokiem chwiejnym zeszedł z katedry, zbliżył się do tablicy, drżącą ręką wziął kawałek kredy i opierając się o deskę napisał: Niech żyje Francja! Potym opuścił na ziemię kredę, ręce bezsilnie zwiesił, głowę oparł o mur.

Nie mogąc przemówić ani słowa, nie mogąc roztworzyć oczu, aby nas chociaż spojrzeniem pożegnać, wzniósł tylko powoli rękę i dał nam nią znak—że już ostatnia lekcja skończona...

Tłom. z francusk. (*Biesiada Literacka*).

Nieskazitelni.

Jeden z faktów rzadkiej bezinteresowności człowieka, któremu powierzono znaczny fundusz publiczny, odnosi się do dowódzcy pierwszego pułku piechoty linjowej, pułkownika Bolesty.

Na utrzymanie każdego pułku asygnowano pewną stałą sumę corocznie i według tego każdy dowódzca pułkowy miał otwarty kredyt w ministerjum wojny.

Bolesta, sławny weteran armji Napoleońskiej, komandor legji honorowej, przedstawiwszy naczelnemu wodzowi swój pułk we wzorowym utrzymany porządku i zyskawszy za to pochwały, przy raporcie złożył rachunek, że w ministerjum pozostało 10,000 rubli niewyczerpniętego kredytu.

— Tę resztę kredytu podnieś pułkowniku dla siebie—upoważniał go inspektor piechoty i szef jeneralnego sztabu.—Wszakże suma ta jest owocem waszych starań, zabiegów, oszczędności i do was ona najsłuszniej należy.

— Nie chcę—odpowiadał stanowczo na te pokuszenia stary legjonista;—nie chcę, aby ktokolwiek mógł powiedzieć, że Bolesta w groszu publicznym palec umaczał—pieniądze to nie moje, należą one do skarbu.

— Na upór niema lekarstwa — odpowiedział szef sztabu— złożymy, kiedy pułkownik chcesz koniecznie, o tej oszczędności ministrowi raport. Zobaczymy co odpowie.

Ponieważ z dwudziestu siedmiu innych dowódzców ani jeden nie wykazał jakichkolwiek oszczędności, wzbudziło to podejrzenie, że w utrzymaniu pierwszego pułku zaszły jakieś niedokładności; stąd komisje, śledztwa, szykany, na które Bolesta odpowiedział podaniem się do dymisji.

Niezadługo potym umarł, zostawiwszy nawet drobne długi do zaspokojenia swoim sukcesorom, które według wyobrażeń elastyczniejszych, mógł zapłacić z oszczędności na administracji pułku zebranych dla skarbu.

Drugą opowieść także prawdziwą, słyszałem o panu H. dyrektorze jednego z wydziałów b. komisji skarbu.

Pan H., urzędnik nieskazitelnej prawości, jakkolwiek służył w wydziale, na który najwięcej podejrzeń pada, bo w wydziale komisji i akcyzy, wziął za żoną w posagu wioskę pod Warszawą.

Osoba ta była gospodynią rządną i zabiegliwą. Ponieważ wówczas przy rogatkach, do Warszawy wjeżdżając, trzeba było zadeklarować przewożoną okowitę, wódkę i mięso, aby uiścić stosunkowo znaczne opłaty, pani H. chciała tego uniknąć i wiedząc, że żaden ze strażników, nie ośmieli się rewidować powozu dyrektora skarbu, zabrała z sobą, wracając ze wsi, baryłkę spirytusu, ćwiartkę szynki i inne ulegające opłacie prowianty.

Niestety zapomniała, że jeżeli na rogatkach strażnicy ją głębokiemi ukłonami powitali, to w domu siedział Cerber skarbowy, ich przywódzca—w osobie jej męża. Ten będąc przypadkiem przy wyjmowaniu rzeczy, spostrzegł zaraz defraudację.

— Gdzie kwit na wniesione opłaty? — zaraz zapytał tonem urzędowym; a pani dyrektorowa, znając męża, odpowiedziała, że go zgubiła.

— Kłamiesz!—zarzucił jej mąż, płonąc cały od gniewu.—Kłamiesz i chcesz shańbić moją siwą głowę! Ale tego nie będzie!

To mówiąc wybiegł, sprowadził całą armję celników, kazał wszystko opieczętować, zabrać i sam na żonę napisał doniesienie.

Można sobie wystawić, co śmiechu ten proces fiskalny w Komisji narobił. Nic jednak nie pomagało, pan H. ani zagadał do żony, a domagał się ukarania.

Zapadł wyrok—karę z kosztami musiała pani H. zapłacić z funduszów, które mąż na dom miesięcznie przeznaczał, nawet swoją część delatorską, za wykrycie defraudacji z niej ściągnął i na fundusz zupy rumfordzkiej odesłał.

Takie miał skutki niefortunny zamiar oszczędności pani dyrektorowej; dopiero teraz wróciła między niemi zgoda małżeńska. Umarli oboje w późnej starości, ale w majątku tego, który lat tyle władał najzyskowniejszym z wydziałów, nic nie przybyło, mylę się: przybyły długi, jakie zaciągnąć musieli na utrzymanie syna za granicą.

Znowu inną opowieść, ale także prawdziwą z tych czasów wiem o inżynierze U.

Kierował on robotnikami bulwaru kamiennego nad Wisłą; przy tej budowie, jak wszędzie, byli dostawcy zwani liwerantami; gdy nadeszła chwila odbioru od nich materjałów budowlanych, nie mogli trafić do końca z naczelnym inżynierem U. Inni jego pomocnicy, wykonawcy, topnieli pod naciskiem złotych argumentów,

sam pan U. został niezależnym i kolegom groził klęską. Cóż tedy robią ci panowie liweranci?

Oto dowiedzieli się, że inżynier U. miał po żonie zrujnowaną na Krzywym Kole kamieniczkę, której oddawna chciałby się pozbyć. Przychodzą więc do niego i ofiarują mu za stare próchno taką sumę, o jakiej nigdy nie zamarzył.

Zrozumiawszy o co chodzi, pan U. rzekł do nich:

— Chcecie mi dać najdelikatniejszą z łapówek. Wiedzcie o tym, że prawdziwy urzędnik sumienia swego nie sprzeda za miljony.

Liweranci nic poradzić nie mogli.

Pan inspektor jeneralny nad lasami rządowemi B., był znowu gnębiony przez spekulantów, co wycinali za marne pieniądze niebotyczne sosny, na spław do Gdańska. Jako prawdziwy z zamiłowania leśnik, bolał nad tym, że tyle skarbów idzie prawie na marne.

Tymczasem banda spekulantów, wycinająca lasy, jakoś w działaniach swoich się spóźniła; 2,000 sztuk okrętowych tramów pozostało w lesie, a termin wywiezienia nadchodził. Po upływie terminu wszystko, co wycięto, pozostawało na korzyść skarbu.

Spekulanci wiedząc, że pan B. ma długi, skupili jego rewersy, wynoszące poważną na owe czasy sumę 2,000 rubli; jeden z nich śmielszej natury, z rewersami temi poszedł do dłużnika rozpoczynać pertraktacje prośbą, aby pozwolił na odroczenie terminu wywózki, dla nich tak fatalnego. Ale się źle wybrali.

— Myślicie—zaraz na wstępie do czyniących propozycję pan B. zawołał—że moje sumienie przekupicie? Dopilnuję, żeby po terminie ani jedna sosna nie wyszła z lasu. Długi, jeżeli ja nie będę mógł, to familja moja zapłaci, nikt z mojego rodu nie powie, iż się znalazł jeden wyrodek, co sprzedał honor i sumienie, narażając skarb na straty.

Jeśli po wydziałach służby publicznej, najwięcej wystawionych na różnego rodzaju pokusy, panował ten rodzaj punktu honoru i prawdziwej ambicji, cóż dopiero mówić o innych gałęziach nie kuszących niczym? Tam już rzeczy dochodziły, jeśli nie do dziwactwa, to do pedantyzmu: pamiętam, jak kasjer jeneralny królestwa Zgł. utopił się w Wiśle. Jakiś czas myślano, że rozpacz tę przypisać należy zrządzonemu w funduszach deficytowi, tymczasem wszystko znaleziono w porządku.

Z ostatnich notatek po samobójcy, w których skreślił te wyrazy:

„Winien, czy nie winien, kasjer co nie może zamknąć bilansu, jest zbrodniarzem i życia nie wart więcej“—domyślono się, iż padł ofiarą omyłki w rachunku. Z pozostałych kilkunastu arkuszy zapełnionych gorączkowo pisanemi cyframi, przekonano się, iż, co się często rachmistrzom zdarza, zaślepił się pewnym błędem na jakąś sumę i wciąż go powtarzał. Gdyby się był zwierzył komu, ten łatwo byłby rzecz sprostował odrazu, ale straszne dla człowieka honoru widmo kryminalnej odpowiedzialności do reszty pomieszało mu zmysły.

Albo i ci ojcowie młodzieży — profesorowie, pobierający pensje nie przenoszące trzystu rubli, chodzący w łatanych butach i sukniach, ileż to oni przedstawiają wzorów nieugiętości charakteru, idealnej bezinteresowności!

I wówczas bywali uczniowie, co oglądając się na majątek i znaczenie rodziców, na ich stosunki, lekceważyli sobie naukę; do takich należał pan G., synowiec ministra oświaty. Był on takim nygusem, że o promocji, pomimo stanowiska stryja, nie mógł ani myśleć.

Dowiedziawszy się o tym, opiekun minister przyjechał sam do naszej szkoły karetą i nuż rektora, profesorów o ulgi w wyroku molestować. Pod wpływem tak wysokiego wstawiennictwa, zmiękło z nich wielu; nieugiętym tylko został profesor greckiego i łaciny Nen...

Sam słyszałem jak ministrowi odpowiedział:

— Panie ministrze! możesz zmienić ustawę szkolną i orzec, że zły stopień z języków starożytnych nie przeszkadza promocji, ale ja za nic mego zdania o synowcu nie zmienię, bo by to było z krzywdą innych uczących się dobrze. Nie, nie zmienię! chociaż mi to przykro, ale darmo - pereat mundus, fiat justitia. (Niech zginie świat, byleby się stało zadość sprawiedliwości).

Minister uścisnął w milczeniu rękę zacnego N. i odjechał. Pan G. został w klasie na rok drugi.

Kasztelan M. mając znowu syna nieuka, także zagrożonego niedostaniem promocji, kazał rządcy dóbr swoich wyładować całą furę kaszy, mąki, masła, miodu, innych prowiantów i odwieźć do mieszkania profesora, u którego syn stał na stancji; przytym dołączył, wiedząc jak ten namiętnie zażywa tabakę, ładną srebrną tabakierkę napełnioną dukatami, wraz z listem, w któ-

rym upraszał, aby wszystkich użył starań, iżby synaczek przeszedł do wyższej klasy.

Radość pani profesorowej, z tak obficie dla skromnego domu nawiezionych specjałów, niedługo trwała, bo zaledwie mąż wrócił ze szkoły, kazał to wszystko mimo protestacji żony odesłać do szpitala Św. Rocha. Obiadu nawet nie jadł, ale zaraz siadł i list tej treści napisał do Kasztelana:

— „J. W. senatorze!—Obraziłeś, sądzę, że mimowolnie, godność ubogiego człowieka. Gdyby syn pański zyskał na popisie najwyższą nagrodę, jeszczebym się zawahał z przyjęciem tak chojnych darów, za dopełnienie prostej powinności. Obecnie nic z nich przyjąć nie mogę, tabakierkę z pieniędzmi zwracam, prowjanty, jako rzecz mogącą uledz zepsuciu, poważyłem się odesłać do szpitala.

— Wydziwić się nie mogę senatorskiej nieroztropności, która tak suto płaci za to, aby syn jego wiecznie został osłem. Pokorny sługa...''

Pamiętam także, co hałasu narobiła nieszczęśliwa sarna u profesora S., u którego stałem.

Pan S. należał do komitetu egzaminów państwowych. Jakiś młody leśnik, kandydat do egzaminu, złożył przez prostą grzeczność w kuchni profesora świeżo ubitą sarnę. Ponieważ to był dzień imienin, pani profesorowa sądziła, że ta sarna to mężowski podarunek i kazała ją upiec; gdy się rzecz wyjaśniła — profesor biegał jak szalony, ani chciał sarny skosztować, opowiedział zdarzenie wszystkim, żonie wyrzucał, że go niechybnie doprowadziła do kajdan. Całe imieniny zostały skwaszone, na wszelkie perswazje żonine mąż odpowiadał:

— Urzędnik publiczny, profesor, powinien być wolnym nawet od niesłusznych podejrzeń, w opinji czysty, nieskażony. Możem już zjadł niejednego zająca, bo żona choć go przyjęła, to się nie przyznała; ta jej nieuczciwość gotowa przejść w krew moich dzieci, a przecież krew moja i moich przodków, ile zasięgnąć mogę pamięcią, od takiej zmazy była wolną.

Chciał młodego leśnika powołać do odpowiedzialności sądowej, skończyło się jednak po perswazjach przyjaciół, na najsurowszym egzaminie, z którego młody kandydat wyszedł zwycięsko. Widać protekcji sarny wcale nie potrzebował. To przeświadczenie uspokoiło wzburzonego profesora.

Wielisław (z Biesiady Literackiej).

Córka młynarza.

Małgosia żyła tylko z naturą, a kochała swój młyn... Kiedy w dzień pracowała w sadzie, albo karmiła kury i kaczki wielkie i tłuste, albo pieściła się z krowami, które na głos jej biegły jak psy,—młyn szumiał i trajkotał poważne, niesłychane melodje. W jego warkocie odzywały się wszystkie instrumenty: skrzypce, bębny, organy; ale grały coś takiego, czego żadna kapela, żadenby organista nie powtórzył.

Natura wydała się Małgosi bardzo wielkim jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były: wsie rozrzucone na polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jej sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy przypatrując się obłokom, co wychodziły z poza czarnego płotu lasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza,—słuchając szumu wiatru, co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny, chwiejącej się na bagnie, zapytywała: czy własny jej byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?... Wówczas bez żadnego powodu łzy nabiegały jej do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jej wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnej pieśni ludowej. Aż ojciec wychodził z młyna i mówił markotny:

— Co ty wyśpiewujesz, dziewucho?... Dałabyś lepiej spokój, bo się ludzie śmieją!...

Zawstydzona Małgosia milkła, ale za to przyjaciel—młyn, każdy wyraz jej i każdą nutę powtarzał, tylko, że jeszcze składniej i piękniej. I czy podobna było nie kochać go, choć wyglądał jak straszna głowa niebywałego zwierzęcia, na kilkunastu nogach osadzona, — choć ział z paszczy gorącym pyłem, a wył i trząsł się, jakby jadących groblą chciał pogruchotać ogromnemi kłami?

W święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe chorągiewki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na ślizkie koła. Wówczas, jeżeli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia w czółno i płynęła het! na ogromny staw, skąd tylko było widać wierzby młyna.

Tu zadumana nad głębią, gdzie jak cienie mknęły ryby okrągłookie, przysłuchiwała się szelestom tataraku

na kępach, krzykom zwołujących się ptaków wodnych, albo zwiesiwszy głowę na krawędź czółna, patrzyła jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kroplach nocnej rosy... To welon... to płaszcz, a to... suknia powłóczysta... Płynęła ku nim, lecz wiatr odrzucał ją na łąkę, nad którą wnet tworzyło się jezioro mgły srebrno-białej, pełne pląsających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dla czego jej nie dopuszczano?...

Tymczasem nadchodziła północ. Łódka poczynała drżeć, między kępami rozlegały się ciche pluskania, poza trzciną zapalały się światła tajemnicze i blade. Zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi i słychać było, jakby ktoś szeptał po kępach: „Hej! hej!... nie wyjdzie stąd dziewczyna!..."

Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w oponę mgły rzuciły płomienie, czarne wielonożne cielsko zaczęło dygotać i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny znany jej, hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem:

— Małgoś! Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...

Teraz dziewucha spokojnie odkładała wiosło, bo porwany w ogromną paszczę młyna prąd wody, sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnie łódki, jak senne dziecię w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzyła na blade płomyki, skaczące z gniewu nad bagnem i na chłodne, wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz mocniej gniewał się i krzyczał:—„Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... niespokojny o swoją dziewczynę. Wreszcie dziób łódki uderzał o belkowanie mostu.

Jednej nocy, wyskoczywszy po takiej wędrówce na brzeg, zobaczyła na moście ojca. Stał oparty o poręcz i z uwagą patrzył na siejącą się wodę. W Małgosi serce zadrżało na myśl, że i on czuwa nad nią, choć taki z pozoru obojętny. Wbiegła na most i przytuliwszy się do ramienia ojca, rozmarzona zapytała:

— Tatuniu! a kogoście tu wyglądali?...

Wyjątek z powieści „Przygoda Stasia"

Bolesława Prusa.

———

VI. Z PODRÓŻY PO KRAJU.

Rynek krakowski podczas nocy księżycowej.

Lubię a miłuję księżyc za to, że nam tak cudnie przystraja ten stary nasz rynek krakowski! Trzeba ci było być ze mną przed chwilą i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz, jak mu ślicznie w poświacie księżycowej! Budki i klatki, przylepki, daszki i stragany, opadłe tynki—to wszystko gdzieś się skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony, jak do ślubu. Za dnia te domy, te tak sobie kamienice—usiadły w kółko, niby stare ciotki, zebrane na kawę i bajki. Jedna o dachu wieżastym, śpiczastym, niby w czepku czubatym; inne poprzykrawały sobie wierzchy na falbany, w centki dziergane; inne, jakby marząc o królowej Bonie, udają Włoszki i chowają dachy poza jakieś frontony; a już to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym, rannym negliżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych świateł zaleje miasto, wtedy proszę spojrzyć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! W środku rynku, jakby zamknięta arka przymierza, ciągną się Sukiennice krakowskie,—a choć one same opylone, obleciałe i połatane, podpierają przecież jakieś starowieczne jatki i sklepiki i tulą do siebie domki i przylepki, jak z opłatków sklecone, to większe, to mniejsze, to proste, to krzywe, zwyczajnie, jak to stary pan, który, choć bieda około niego, wspiera jeszcze respektowe szerepetki i, jak tam może, żywi szarą czeladkę, wziętą dziedzictwem po ojcu. My, mieszczanie krakowscy, co to znamy każdy strzęp naszego gniazda, cośmy z lat dziecięcych, młodzieńczych, w tych domach i gmachach krakowskich po kawałku duszę naszą zostawili, my czasem nie wiedzieć nawet po co i na co, ciągniem jakoś przez Sukiennice,—ciągnie nas miłość do starych, tak ukochanych gmachów naszych.

Bo trzeba widzieć te Sukiennice, gdy biją pełnym blaskiem nocnych światłości. Wkoło cisza, jak w kościele. Niby to orjentalny bazar, niby olbrzymi grobowiec; podwójne ostrołukie bramy już z późnym mro-

kiem zatrzasła stara krata żelazna; w środku gęsta noc. A dziwaczne jakieś o tym ciemnym wnętrzu chodzą wieści; starzy prawią o jakichś płochych światełkach, co się migają, gonią i tańcują i gdzieś giną w piwnicach zapadłych; prawią o gwarach różnojęzycznych ludów, co je wysłał Zachód zamorski i głębiej Wschód, o owym nożu ojcobójczym, który, choć od wieków do swej ściany na łańcuchu przykuty, niekiedy w pewne pory kapie jeszcze krwią czerwoną, ciepłą. Ale lepiej nie mówmy o tym wnętrzu,—co nam do tego?—Patrz raczej na to, co na widoku księżyca. Ciągną się długie boczne ściany, u góry wystrugane we floresy i esy kamienne, niby snycerskie koncepty prababczynych apteczek domowych. I za każdym esem jakaś głowa czy maszkara ciosowa wycina się na tle nieba. Osobliwe to i straszne te głowy i twarze. Póki dzień biały, to jeszcze jako-tako, snuje się wrzawa targowa, i huczy, i gwarzy, i tysiączny przejdzie i ani się spostrzeże, co się tam u góry nad nim świeci. Gdy się zaś spuści nocna ćma, a miesiąc weźmie ciskać światła swoje, gdy się rynek wyludni, a miasto zaśnie, gdy ty sam jeden w tej kompanji zostaniesz, jeśliś zuch, przystąp i patrz się tym ichmościom oko w oko. Ten rozdziawił szeroko gębę i śmieje się do rozpuku, a śmiech jego iście z piekła rodem,—na głowie czub zadarty w różki kończate; tam dalej drugi powieki zamknął i śpi, niby już umarł; trzeci, ciężko zadumany, spuścił wargi i waży i myśli o czymś głębokim a przemądrym, aleć z obu stron od twardych skroni potężne odstają uszy; sąsiad jego wywrócił głowę w tył, a oczy w słup, usta rozwarte, krzyczy, — on cierpi męki nie z tego świata; tam znów jakiś zuchwalec szydzi i drwi,—coś mu bardzo na sercu rado i śmieszno; a ów dalszy sąsiad jego ciska się i złości, najwyższy czupryną, a gniew jego piorunny i zacięty. Tak dalej i dalej, a co twarz, to inne a inne. Księżyc lunął im w ślepie, ale właśnie w to im graj; cienie i światła migocą, majaczą po tych twarzach, więc dziwaki mrugają, ruszają brwiami i gębą i wydrzeźniają się i krzywią, udając nibyto żywe! Ale ktoby im tam wierzył!

Już obok Sukiennic stanęła nasza stara wieża, ongi ratuszna, dziś samotna sierota; jej suknię, z gotycka wyszywaną, posrebrzyła światłość nocna. Wierna strażnica po staremu wywołuje miedzianemi usty godziny, przelatując nad miastem i długim przeciągłym cieniem znaczy w koło na domach księżycowe wędrówki na nie-

bie. Nad zegarem na rogach ustawione jakieś cztery pękate urny, o metalowych złoconych płomieniach; choć urny jakoś dziś już nie statkują, choć one płomienie zczerniały, jednak księżyc poczciwiec po starej znajomości spuszcza się ku ziemi i jeszcze zapala na onych płomieniach iskry dygoczące, niby gwiazdkę białą, by ta biedaczka wieża miała choć czym pocieszyć się po nieboszczyku swoim mężu—ratuszu.

Z drugiej strony Sukiennic w głębokich cieniach przyklęknął do ziemi skromny kościołek ś-go Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownej nocy, zamknął się w sobie, boć w jego sercu goreje inna a nie pożyczona gwiazda. Tam jaśnieje światłość wiekuista. Wkoło świątniczki wianek zielony topoli, tych cyprysów i mirtów naszej ziemi. Spadają i odradzają się ich liście,—świątniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną, nigdy nie skończoną. Schną z kolei podstarzałe jej drzewa, a pokolenia po pokoleniach, same odradzając się, dochowują starej czci i na miejsce zwiędłych sadzają młode drzewka do wianka Patrona.

Ponad rynek i miasto, ponad kraj wokoło, unosi się poważnie, uroczysto kościół Marjacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy straciły tu ciężkość swoją; materja bezwładna, tu uskrzydlona pobożności uczuciem, zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki-Dziewicy na tle głębokim nieba; on ku nam zwrócił stronę, cieniem zalaną, stąd postać jego, podobna do tajemnicy wiary, co niby okryta mrokiem świętym, a przecież rozwidniona serca poczuciem, jest wiekuistości zwiastowaniem. Wzbija się wieża, jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżej ziemi, bliżej doczesności i jej spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką, a przecież tak poważną! a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy i w nich się nurzy i płynie i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich wkoło siebie jakby twierdzę nadpowietrzną wiary. Znowu wyżej i wyżej piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistej korony, którą ludzie uczcili Boga Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżej korony i u podgwiazdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata godło, nad kulą, nad światem, chorągiew, miłosierdzia sztandar,—na niej imię Marji, „pośrednicy ziemi i nie-

ba". Świątnica czuwa nad miastem, jako orędownica jego; w niej złożone jego nadzieje i miłości i ciche wierzenia.

Kościół oblókł się szatą uroczystą nocnych cieni, — wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu stromym rozpłynęła się rosa niebiańska, a po rosie tej księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory, pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich wykwitła jakby w lilję świeższą, w drobniuchną eteryczną świątniczkę gotycką; ścianki jej przejrzyste z marmurowej koronki, — cała ta kapliczka zwita z kwiatów, liści, słupków i wdzięcznym splotem przerosła dach i bieli się i świeci na wysokości, jakby lekki sen dziecięcia.

Józef Kremer, Listy z Krakowa.

Boże Narodzenie w Zakopanem.

Boże Narodzenie! Przez okna, w połowie zakute mrozem, już o 7-ej wpada jasność zorzy porannej i rysuje bladą siatkę ram okiennych na przeciwległej ścianie. Zwolna wstaje wielki dzień, — nad Koszystą bije wielka łuna, szeroka jasność, zdaje się, że słońce lada chwila rzuci snop promieni, lecz ono się nie śpieszy, i mijają kwadrans po kwadransie, a słońca niema, tylko jasność staje się coraz świetniejszą. Nakoniec zapala się najwyższy szczyt Osobitej, potym drugi niższy, potym przełęcz—i cała góra, widziana przez ramiona potężnego modrzewia i rózgowate gałęzie jesionów, wydaje się nadzwyczajnym, świetlnym zjawiskiem, pośród całego świata, pogrążonego jeszcze w cieniu. Zjawia się różowy odbrzask na gładkiej Kopicy Czerwonego Wirchu — i zwolna kilka zębów na Kominach Dudowych — słońce zapala wspaniałemi blaski, jak rząd kinkietów — i złocą się tarnice ponad masami skał i płaszczyzn, i lasów, i dolin. Długo, długo później, bo dopiero w pół godziny padają pierwsze promienie na polanę wyżej Pająkówki na Gubałówce, zrazu blade i rozstrzelone, aż wreszcie oświecają coraz niższe stoki, w całą godzinę później zjawiają się w dolinie Zakopańskiej i w pokoju.

I wstaje wielki dzień! Mróz trzaskający 21°, gonty na dachu trzaskają z łoskotem. Przejrzystość powietrza tak wielka, że góry wydają się tuż, jakby się zniżyły, zmalały pod olbrzymim stropem niebieskim, czystym, jasnym, nieopisanej przezroczystości. Oczy nie znoszą blasku i bieli śniegu, który skrzypi jakimś metalicznym zgrzytem szkła tłuczonego. Śnieg jest sypki, że i ździebełko nie przywiera do obuwia, garnie się i osypuje pod stopami, jak miałki piasek, jak żwir, drobny, suchy, na polach iskrzący się temi niepojętemi blaskami złota, ametystów i szafirów, rzucający ognie brylantów — a w wielkiej płaszczyźnie podobny do ziarnistego marmuru. W powietrzu stoi wielka cisza; ani przeleci wrona, ani zaćwirka wróbel, lub sikora, nie zaskrzeczy sroka, nie zaszczeka pies. Nawet potok usnął snem zimowym i umilkł pomruk jego. Tylko nawiewy ledwie odczuwanego wietrzyka przynoszą głos organów wtórujących ludzkiej pieśni: to ranne nabożeństwo w wielki dzień chrześcijański.

W kościele mroźno; na ołtarzu płoną żółte świece, martwym woskowym światłem, gdzieś daleko w głębi nad polem głów ludzkich, zwartych jak kamienie mozaiki, nad którą unosi się para, a z każdej śpiewającej piersi bucha słup biały — i pieśń „Opuściłeś, a zstąpiłeś na te nizkości ziemskie” płynie potężnym chórem dziwnym prostoty i wielkości. Pieśń ta wydaje się czymś nadzwyczajnym, gdy się pomyśli, że dziś, o tej samej godzinie, śpiewa ją polska krtań od Heli—do Zakopanego, od morskiej fali do granitowej turni—i śpiewa ją dziś, jak kilkaset lat temu. Ci, co do kościoła się nie zmieścili z obnażoną głową stoją na dworze, przylepieni do ściany, szarej ze starości, prawie czarnej, jak Żydzi pod murem Jerozolimy; ci zaś, co słuchem nie mogą zespolić się z wnętrzem przez ścianę, stoją zwartą ciżbą pod drzwiami. Oczy wszystkich wlepione wewnątrz, w ciemną dal, w jarzące świece. I wśród 20° mrozu płynie potężny chorał — równo, spokojnie, jak wielka rzeka, a serce ogarnia wielka otucha i rzewność wielka. „Miłość moja to sprawiła, by człowieka wywyższyła”

Władysław Matlakowski.

Doliną Wisły.

Było to dnia 25 września 1875 r. o świcie, na piaszczystym brzegu Wisły pod Solcem, skąd zwykle wesołe warszawianki przeprawiają się na Saską Kępę dla użycia: karuzeli, zsiadłego mleka, kurcząt pieczonych i tym podobnych rozkoszy ziemskich.

Byliśmy wszyscy gotowi do podróży; a mianowicie: byłem ja, pan Jan Konopacki, młody malarz, przewoźnik Antoni Baliński, właściciel łódki i jego pomocnik, stary flis, którego Baliński „stryjkiem'' nazywa. U brzegu stoją pozamykane na kłódki u palików łódki w liczbie kilkunastu, służące do przewozu gości warszawskich na Saską Kępę.

Nikt nas na wybrzeżu nie żegnał, słońce bowiem dopiero swój złoty rąbek wychylało z za wilanowskich lasów, a porządni warszawiacy latem o wschodzie słońca spać się kładą. Każdy więc z nas tylko przeżegnał się na drogę, powierzając los podróży Panu Bogu i płowym falom królowej rzek naszych, poczym ze śpiewem z „Flisaków'' odbiliśmy od lądu.

Gdy łódź wypłynęła na środek Wisły, a oczom naszym przedstawiła się cała długość Warszawy w oświetleniu słonecznym, miejsce pieśni zajęła deklamacja, bo komuż w tej chwili nie przyszłyby na usta słowa Lenartowiczowego wiersza: „Matko moja! Matko!'':

Miasto moje rodzone, tyś nad Wisły brzegi
Rozniosło domki swoje rybackie szeroko,
Co jak dzieci wybiegły patrzeć na komiegi,
Jak śmiało przecinają Wisłę modrooką.
A twój zamek poważnie przez wyniosłe drzewa
Ojcowskiemi oczyma ze wzgórza migoce,
A twych dzwonów litanja falą się rozlewa;
Pomnęż ja twoje ciepłe nadwiślańskie noce,
I te orylów głosy z daleka od Saskiej
Dolatujące słuchu i te wioseł pluski,
Kędy wietrzyk na falach drobne zbiera łuski,
A na nich gwiazd miljony drżą srebrnemi blaski.

Ileż razy z daleka od pałaców gwaru,
Patrzałem upojony siłą twego czaru,
Wisło, rodzinna wodo, jak na twym przestworze
To sieć rybacka duma, to ognisko gorze,
Gdzie moknie drzew spojonych długa giętka tratwa,
Na której słomą kryta pochyla się budka,
A na wicinach lega małodbała dziatwa

O wygodę nocleżną, gdy noc letnia krótka,
Więc i skrzypek przygrywa, aż gwiazdy pobledzą
Pierwsze promienie świtu—ciągnie się dym szary,
A owi niby dęby zadumane siedzą,
A tu już proporczyki wiewają gabary,
Już rybitwa skrzydłami drobne fale muszcze.
. . . .
Miasto moje rodzinne, tobie ja z oddali
Posyłam pozdrowienie: Witaj, matko stara,
Co dzień tobie śpiewają aniołowie biali,
Których ta zawsze pełna Nadwiślańska fara,
I na twój rynek lecą ich godzinek słowa,
W serce dobrego ludu, co rzeźki i gwarny
. . . .
Warszawo! matko moja, ty matko ludowa!
Ruchoma a wciąż jedna jak wiślane łoże,
Pozdrawiam cię z oddali: Matko, szczęść ci, Boże!

Powiśle miasta przedstawia się biednie. Można mieć dopiero nadzieję, że w przyszłości wielki gród pozyska bulwary, które mu się należą. Gdzieindziej w miastach nadbrzeżnych ruch publiczny ześrodkowuje się nad wodą. U nas przeciwnie, jak u prawdziwych Polan, nawet zgiełk mieszczański uciekł od Wisły w pola. Zato malowniczy sprawia widok miasto na wyżynie, owe wychylające się z zieleni stoków płaskowzgórza warszawskiego gmachy: Trynitarzy, Foksalu, Konserwatorjum na podstawie starego kasztelu, Dynasów, Sewerynowa, Uniwersytetu, Wizytek, pałacu Koniecpolskich i Radziwiłłów, czyli namiestnikowski, kościoły: Karmelitów, Bernardynów (fundowany przez dwie Anny: mazowiecką i Jagiellonkę), wreszcie b. zamek królewski, z przytulonym do stóp jego pałacykiem „Pod blachą“. Do b. zamku przytyka bezpośrednio Stare Miasto, jak mrowisko wązkich, wysokich kamienic, które tak się zacisnęły i skupiły tu dlatego, że się nie mogły rozszerzyć w ciasnym pierścieniu murów i baszt obwodowych grodu, będącego jak każde dawne miasto twierdzą obronną.

Gdy rzuciłem okiem na starą Warszawę, myśl moja pobiegła w daleką przeszłość, w owe czasy Bolesławów i Ziemowitów, kiedy w miejscu gwarnego i zgiełkliwego dzisiejszego miasta leżała cicha pod słomianemi strzechy wieś mazowiecka — Warszawa. Tak ją pierwotnie nazwano od imienia Warcisław, czyli w skróceniu potocznym Warcisz i Warsz (Warcis, Wars). Wieś, którą założył, lub w której mieszkał jakiś pierwotny Warsz, nie mogła się inaczej nazywać jak Warsową a później Warszawą, gdy w późniejszym sposobie mówienia klas

wyższych brzmienie *o* przemieniło się w wielu wyrazach na otwarte *a*. Lud tylko mazowiecki w gwarze swojej wymawia jeszcze dotąd, tak jak wymawiał za Piastów: Warsowa a nie Warszawa.

W czasach, gdy miasta w innych dzielnicach Polski piastowskiej niemczały wskutek napływu rzemieślników i kupców niemieckich, to mazowieckie jako rolnicze i od granic niemczyzny najdalsze, najwięcej zachowały w sobie typu i obyczaju narodowego. Objawiało się to w zachowaniu starodawnych zwyczajów polskich, takich np. jak obchodzenie sobótek świętojańskich i puszczanie wianków przez dziewice na nurty rzek gwoli wróżbom zamążpójścia. Gdy zniemczone mieszczaństwo krakowskie i poznańskie zwyczajów tych zaniechało, to u Warszawian nie poszły one nigdy w zapomnienie. Nie mamy wprawdzie wiadomości, o ile lud warszawski w obchodzie wianków korzystał z mostu Zygmunta Augusta, istniejącego wprost ulicy Mostowej przez ostatnie lat trzydzieści wieku XVI-go, ale za to żywe są tradycye z czasów późniejszych mostów łyżwowych wprost ulicy Bednarskiej istniejących.

Z. Gloger.

Bielany.

Z czasów moich szkolnych w Warszawie pamiętałem całą drogę z Marymontu do Bielan, ocienioną olbrzymiemi topolami. Dziś z tych topól pozostało już tylko kilka okazów, a nad brzegiem Wisły znalazłem jeszcze kilka powalonych pni potężnych. Pamiętałem i dęby w lasku bielańskim, równające się grubością tym topolom, więc dziś poszedłem na odszukanie starych znajomych. Jakoż napotkałem w pobliżu drogi pierwszego z nich i może najpoważniejszego ze wszystkich. Dziećmi będąc, chodziliśmy na majówki szkolne do Bielan, oplataliśmy go wieńcem naszych rąk i ramion, aby przekonać się, ilu malców było potrzeba do opasania kilkowiekowego sędziwca. Dziś miałem ochotę przywitać pocałunkiem starego przyjaciela, ale żeby nie stracić powagi u moich towarzyszów podróży, poprzestałem tylko na wydobyciu z kieszeni miary i zmierzeniu jego obwodu; wynosił on sześć metrów.

Ile wody za żywota tego dębu u stóp jego w Wiśle przepłynęło, trudno orzec, ale pewnie wypełniłaby ona Baltyk po brzegi. Musi też wielu królów pamiętać, a jeszcze taki czerstwy i szumi zielonym czubem swej czupryny, więc odfotografowaliśmy go.

Bielany są miejscem wspomnień historycznych. Znajdowała się tu niegdyś wieś królewska Polkowo, z lasem na wyżynie lewego brzegu Wisły, zwanym Polkową górą. Król Władysław IV w czasie wojny 1634 roku ślubował, że jeżeli pomyślny skutek uwieńczy jego usiłowania, to wystawi tu klasztor braci ś-go Romualda (Kamedułów), podobny do tego, jaki istniał już pod Krakowem od lat trzydziestu. Jakoż w kilka lat później, sprowadziwszy zakonników (zwanych przez lud od białego ubrania „bielanami"), darował im Polkową górę przywilejem z dnia 5 listopada 1639 r. i wybudował pierwszy kościół z klasztorem drewnianym, który wsią Polkowem i młynem zwanym Ruda, uposażył. Podobnie jak pod Krakowem, tak i pod Warszawą siedlisko białych zakonników lud nazwał od nich Bielanami. Jan Kazimierz rozpoczął budowę kościoła murowanego, darował mu obraz ś-go Bonifacego, sprowadzony z Warszawy z wielką uroczystością i przy udziale licznego tłumu pobożnych w drugi dzień Zielonych Świątek; wyjednał też bullę papieską na odpust doroczny w tymże dniu.

Odtąd datują się tradycyjne pielgrzymki warszawian w Zielone Świątki na Bielany. Rozpoczętą przez Jana Kazimierza budowę, podjął Michał Korybut, założywszy na nowo fundamenty w 1669 r., lecz dopiero Jan Brzeziński, podkomorzy nurski, dokończył jej na początku XVIII wieku. Z powodu fundacji króla Michała złożono w kościele tutejszym jego serce, jako też matki jego księżny Jeremjaszowej Wiśniowieckiej. Domków pustelniczych dla zakonników wzniesiono tu 11. Jak wiadomo bowiem, surowa reguła zakonu wymagała, aby każdy Kameduła mieszkał jak pustelnik w oddzielnym domku i miał przy nim otoczony murem swój ogródek, który uprawiał tylko własną ręką. Fundatorem pierwszego domku był Władysław IV, drugiego — Jan Kazimierz. Inne powznosili rozmaici panowie. Ponieważ zwykle każdy fundator umieszczał na takim domku swój herb (np. przy pustelni przeora wspaniale wyrzeźbiony herb Korwin), więc później powstało błędne mnie-

manie, że tę pustelnię stawiali królowie i panowie dla samych siebie.

Na cmentarzu przy murze kościelnym kazał tu pochować swoje śmiertelne szczątki wiekopomny ksiądz Staszyc. Odfotografowaliśmy jego grobowiec, ocieniony dziś pięknemi drzewami, na którym skromny czytamy napis:

„Stanisław Staszyc, urodzony 1775 r., dnia 20 stycznia 1826 roku umarł“.

Zadzwoniliśmy do furty eremu z pewnym wrażeniem poszanowania tej tradycyjnej poważnej ciszy, która dawniej zalegała każdy pustelniczy klasztor Kamedułów. Słudze kościelnemu, który przyszedł z kluczem otworzyć furtę, oznajmiliśmy chęć widzenia się z przeorem. Jakoż po chwili ukazał się w furcie wysoki, poważny, z sympatycznym wyrazem twarzy i białą jak mleko brodą, ale czerstwy jeszcze w białym habicie dzisiejszy przeor Kamedułów, ojciec Marczewski, i uprzejmie zaprosił nas do swojej pustelni.

Weszliśmy więc do ogrodu klasztornego, zasadzonego orzechami włoskiemi, z których jedno drzewo uderzało olbrzymią swoją grubością. Ogród ten czy dziedziniec, przytykający do tylnej części kościoła, otoczony był domkami i małemi przy nich ogródkami obwiedzionemi murem.

Do mieszkania przeora szło się przez ogródek kwadratowy, mniej więcej takiej samej przestrzeni jak i domek. W ogródku były grządki z ziołami, kwiatami i ścieżki osadzone bukszpanem, przypominającym staropolskie ogrody, w których kwatery osadzano na ulicach, jeżeli nie agrestem, to napewno przystrzyżonym równo bukszpanem.

W domku przeora, z małej sionki, wchodzi się na lewo do mniejszej jeszcze kapliczki, każdy bowiem Kameduła musi mieć ołtarz i możność odprawiania Mszy w swojej pustelni. Na prawo weszliśmy do celki zalecającej się przy ubóstwie idealną czystością. Prosta sosnowa podłoga, ale biała, jakby przed chwilą wymyta, ściany biało wybielone, drzwi i okna biało pomalowane, twarde łoże przykryte białą, jak śnieg, bielizną i białą flanelową kołdrą, wszystko stanowiło dziwną harmonję z gospodarzem o białej brodzie i w białym habicie. Za celką przeora, znajdowała się w drugiej celce bibljoteka klasztorna. Przywiązana jest tu do niej tradycja, że była

dawniej obfitą, ale Linde przewiózł z niej wszystkie białe kruki i dzieła polskie do książnicy Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie. Obecnie na półkach znajdowało się parę setek dzieł teologicznych, a na stole leżał otwarty, czytany przez przeora święty Tomasz, obok stosu gazet z dni ostatnich.

W długiej i miłej pogawędce z przeorem, dowiedzieliśmy się, że był synem zasłużonego napoleonisty, że interesował się żywo kwestjami społecznemi, że czas poświęcał nietylko modlitwie, ale także czytaniu dzieł naukowych i historycznych, że obecnie znajduje się już tylko w eremie tutejszym razem trzech dożywających Kamedułów: najstarszy liczy lat 83, przeor 73 i najmłodszy 60 lat wieku. Owa dawna uroczysta cisza i nie zmącony nigdy niczym spokój klasztorny, należą już także do podań.

Zygmunt Gloger.

Z biegiem Wisły.

Przybyliśmy tedy do Włocławka. Nazwa miasta powstała w wieku XII od imienia Władysław, które nosił najstarszy z synów Bolesława Krzywoustego. Ale wówczas imię to brzmiało nie jak dzisiaj, lecz „Włodzisław,“ w skróceniu Włodsław, a w formie zdrobniałej Włodsławek. Jeszcze Klonowicz nie pisze inaczej, tylko Włodsławek, ale ogół, lud, w mowie potocznej, aby ułatwić sobie wymawianie brzmień trudniejszych, dopuszcza się często przekładni albo zamiany liter. Tym to sposobem z imienia Włodsław powstała nazwa stolicy szląskiej Wrocław, a ze zdrobniałej formy tego imienia książęcego Włodsławek, powstał nasz kujawski Włocławek, nadany przez syna Krzywoustego biskupom kujawskim. Pierwotna ich katedra stała w pobliżu Wisły, koło pałacu i zamku biskupiego. Ale słynny biskup kujawski z czasów Kazimierza Wielkiego, Maciej Gołańczewski, wzniósł dzisiejszą katedrę w latach 1340—1365, w miejscowości dalej od Wisły położonej. Późniejsi biskupi kujawscy dodawali upiększeń i ozdób swojej katedrze, w której po ich zgonie stawiano im grobowce. Tak np. Kallimach roku 1493 wzniósł wspaniały pomnik

z czerwonego marmuru Piotrowi z Bnina Moszyńskiemu, którego wyrzeźbienie przypisywali niektórzy Witowi Stwoszowi. Tarnowski przybudował wspaniałą kaplicę w stylu włoskim, w której znajdują się nagrobki Łubieńskiego i Sarnowskiego.

Zewnątrz katedry na ścianie południowej znajduje się odwieczny kompas, o którym mówi podanie, że twórcą jego był sam Kopernik. Obok tego kompasu znajduje się teraz przedstawiona plastycznie mapa dawnej djecezji kujawskiej, która, jak wiadomo, obejmując pierwotnie i Pomorze, należące do władców polskich, sięgała po Bałtyk i Gdańsk; w Gdańsku biskupi kujawscy mieli swój dworzec i posiadłość.

Katedra kujawska miała w ostatnich wiekach na wieżach swoich dachy kopułowate, płaskie, rażąco nieodpowiednie jej ostrołukowemu stylowi. Dzięki też głównie zabiegom zasiadającego czas jakiś na stolicy kujawskiej biskupa Wincentego Popiela, wieże zostały wspaniale podwyższone i harmonijnie do całości zakończone.

Dalej spotyka się stary, parafjalny kościół ś-go Jana nad Wisłą. Gotyk ten nadwiślański dużo stracił cech pierwotnych przy przeróbkach i naprawach późniejszych. W każdym razie dochowało się jeszcze sklepienie tak bogato żebrowane, jak może nigdzie. Wieża frontowa, w naczelnej ścianie spękana, doprasza się bardzo potężnych żelaznych ankrów. Na środku cmentarza znajduje się dawna figura ś-go Jana bez daty jej postawienia. Przy seminarjum na placu katedralnym (które liczy obecnie 120 alumnów), znajduje się stary, maleńki gotycki kościołek ś-go Witalisa z wieżyczką nową, ale w stylu odpowiednim; wewnątrz kościołek ten żadnych zabytków cennych już nie posiada. W budującym się obecnie gmachu seminaryjnym uwzględnione są w wysokim stopniu potrzeby sanitarne. Oglądaliśmy więc na wszystkich piętrach wielkie, wysokie, widne sale i korytarze, jak ulice w Saskim ogrodzie. Gmach ten byłby już dokończonym, gdyby nie zabrakło cegły, którą dostawca spieniężył korzystniej dla budowanej w Włocławku fabryki celulozy.

Obawiano się, że po przeniesieniu gimnazjum realnego w Włocławka do Kalisza i zniesieniu filji banku państwowego, miasto tutejsze nachyli się ku upadkowi. Na szczęście obawy te nie ziściły się. Cena domów trochę spadła, ale pustkami nie stoją. Najwięcej może ucier-

piały hotele. Włocławek nie należał przedtym do miast bogatych i dziś nie należy do biedniejszych. Porozlepiane afisze obwieszczały widowiska trzech goszczących czasowo trup aktorskich: polskiej, niemieckiej i żargonowej. Jak na miasto mające 22,000 mieszkańców, to chyba dowód bardzo wesołego ich usposobienia.

Statek parowy, odchodzący do Bobrownik, Nieszawy i Ciechocinka, wzywał swoim tubowym rykiem podróżnych do pośpiechu.

Dwie mile poniżej Włocławka, na prawym brzegu Wisły, leży mała mieścina Bobrowniki, ze sterczącemi nad samą Wisłą resztkami rozwalin zamku po Władysławie Opolczyku i Krzyżakach, przywróconego Polsce po bitwie grunwaldzkiej. Lustracja z r. 1616 znalazła już zamek ten w opuszczeniu. Podźwignięty z upadku, Szwedzi ponownie spustoszyli, a lustracja z r. 1789 zastała go tak zrujnowanym, że o naprawie i mowy już nie było. U pani Zbiegniewskiej, we Włocławku, widziałem odrysowany z natury przez budowniczego Turnela w roku 1855 widok ruin bobrownickich, z którego okazuje się, że już wówczas były one prawie w stanie dzisiejszym. We Flisie czytamy:

„Tam Bobrowniki pozorne tymczasem
Wnet się wynurzą za zielonym lasem.
I ten gród kiedyś, znać to po wejrzeniu,
Był w szanowaniu.

Za tym Gąbinek z ostrowem swym kroczy,
Tamże spiklerze Brzestkie zajdą w oczy,
Tuż Wolnych kępa; tamże też mijaj zdrów
Nieszawski Ostrów.

Wnet zatym ujrzysz Nieszawę czerwoną,
Śpichlerzów długim rzędem obsadzoną,
Świecą się w lewo skorupiane dachy
I insze gmachy.

Obfite żniwa i gumna kujawskie,
Tam się ścigają w śpichlerze nieszawskie,
Tam swe nadzieje ładuje ziemianin,
Tam i mieszczanin.

Potym trzy kępy będziesz miał, Brzozego
Jedną, a drugą tudzież Kaczkowskiego,
Trzecią Białkowę, choć ją zwą dawnego
Kępą Białego.“

W powyższym opisie sprostować musimy, że wieś Gąbinek leży nie poniżej, lecz powyżej Bobrownik. Naz-

wiska też kęp wyszczególnionych przez Klonowicza, tak jak i ich topografja, pozmieniały się w czasach późniejszych. Co do zmian topograficznych, to ta niestałość wypływa z ruchomej natury łożyska i bystrości Wisły, nazwy zaś nadawane od nazwisk ludzi, takich naprzykład, jak: Wolny, Brzozy, Kaczkowski, Biały, zwykle w czas jakiś po śmierci tych ludzi, zastępowane są innemi. Nieszawa tak samo, jak przed 300 laty, robi i dzisiaj wrażenie na żeglującym Wisłą, że jest „śpichlerzów długim rzędem obsadzona."

Za wsią Słońskiem, na ćwierć mili przed granicą pruską nasz parowiec zatrzymał się przy nowo urządzonej przystani i wysadził tu wszystkich podróżnych, udających się do Ciechocinka. Powynoszono z pośpiechem na piasek nasze walizki, aparat fotograficzny i cudze a liczne kosze z szynkami i salcesonami, wiezione z Włocławka dla jadłodajni ciechocińskich. Powozów w przystani nie było żadnych, tylko zaledwie kilka wózków chłopskich, do których goście cisnęli się, jak grzeszne dusze do zbawienia. Dla mnie w tym zakątku ziemi kujawskiej, chłop Kujawiak ze swoim wozem był oczywiście milszym i więcej pożądanym, niż gdyby przyjechał stangret z pozłocistą karetą. Prawda, że Wojciechowski (tak się nazywał ten kmieć), przywykły do ładowania snopów na drabiny, pomieścił mnie na swoim wehikule z taką ilością cudzych skrzynek, koszów i różnorodnych pakunków, że siedziałem na ich piramidzie jak mysz na pudle, a gdy protestowałem do zanadto imponującej ilości pudełek, odpowiedział mi przekonywająco: „Przecież rzeczy nad Wisłą zostawić nie mogę."

Przejeżdżaliśmy przez kolonje niemieckie, koło domów murowanych, dużych, schludnych, mieszczących się pod jednym dachem z oborą i stodołą. Mijaliśmy pola ogrodzone, konie rosłe i tłuste, ludzi silnie ogorzałych, pochylonych pracą, z wygolonym zarostem. Były to typowe postacie rolników, ale nie Prusaków krwi mieszanej niemiecko-słowiańskiej, lecz czystej rasy saskiej i szwabskiej. Wojciechowski mówił o nich: „Śwaby pludry, wanieliki (ewangieliki), ale są bogate. Za córkami dają po dziesięć tysięcy talarów posagu gotowego grosza, a koni to tak żałują, że nawet babom do kirchy w niedzielę nie chcą dawać." Zdawałoby się, że pewna zawziętość rasowa jest cechą charakteru i usposobienia ludu polskiego względem Niemców pomiędzy nim osiadłych i że Wojciechowski byłby podatnym materjałem

na polskiego hakatystę. Ale proszę pamiętać, że ten Wojciechowski jest najczystszej krwi Słowianinem, dzieckiem narodu, zamieszkującego najstarszą kolebkę Słowiańszczyzny, którego wszystkie wady i cnoty ma w sobie spotęgowane, jest zatym dobrodusznym, łagodnym Lechitą, a zaciętość rasowa kończy się u niego na słowach. Więc też kiedy powiedziałem mu, że nie byłem jeszcze nigdy w Ciechocinku i proszę, aby mię zawiózł do porządnego hotelu, Wojciechowski odrzekł:

— Ja pana zawiozę do Rozenkego. Nie ma on hotelu, ale świabisko dom postawił i potrzebuje gości.

Jakoż niebawem stanęliśmy przed dworkiem, z którego wyszedł typowy Rozenke, a Wojciechowski przywitał się z nim, jak ze starym przyjacielem i zaraz w szczerej harmonji znosili obaj moje rzeczy, gawędzili z sobą, częstowali się tytuniem i pożegnali przyjaźnie. Czy Rozenke był szczerym dla Słowianina, tego nie wiem, ale że Wojciechowski nie byłby zdolnym prześladować i gnębić Rozenkego z powodu odrębności jego rasy, to było aż nadto widoczne.

Ciechocinek zrobił na mnie miłe wrażenie. Dawniej było tu podobno wiele piasku i błota, a mało zieloności, ale dzisiaj odmieniło się wszystko na lepsze. Drzewa porosły, cienia i zieloności jest dużo, powietrze czyste, drogi i ogród dobrze utrzymane, turkotu żadnego, stacja kolei w miejscu. A jednak słyszę tu na każdym kroku narzekania wszystkich na „piekielne nudy.“ Jest to dowód nerwowego rozgrymaszenia się natury ludzkiej i płytkości koryta, którym płynie dzisiejsze życie umysłowe wykolejonego przez bruk miejski człowieka. Stał się on tym dzieckiem rozpieszczonym, o jakim mówiła mi raz pewna matka, że gdy mu na chwilę przestała grać, śpiewać, grzechotać, skakać przed nim, pokazywać dziwolągi, miny, lalki i domki z kart, to zaraz płacze i krzyczy, „bo nudzi się.“ Oczywiście było to dziecko chorobliwe i źle wychowane, którego nierozwinięty umysł pozostawał w takim stanie patologicznym, że nie znosił ani na chwilę błogiej ciszy.

Okolica Ciechocinka, nie jest pozbawioną ciekawych miejscowości, mogących być celem miłych wycieczek dla gości sezonowych. Właśnie nazajutrz po przybyciu naszym do słonych źródeł kujawskich, wyruszyliśmy pieszo o wschodzie słońca dla uniknięcia upału do Raciążka, odległego o pół mili od zakładu. Na wydmach piaszczystych naprzeciw miasteczka, po drugiej stronie su-

chego już dziś łożyska przedwiecznej łachy wiślanej, znaleźliśmy rozległe cmentarzysko pogańskie. Łatwo można go było poznać, bez rozkopywania w ziemi, po znacznej ilości grubych ziarnistych skorup z popielnic, które wywiewane wiatrem z pagórków lotnego piasku, leżały w wielu miejscach gromadkami, pochodząc z jednej urny, zmieszane z mnóstwem drobnych, przepalonych białych kostek ludzkich, stanowiących przedtym jej zawartość. Obok skorup znajdowały się tu i owdzie delikatne okruszki krzemienne, dowodzące obrabiania na miejscu drobnych narzędzi z tego materjału w starożytności. Znaleźliśmy także i kilka pięknych strzałek krzemiennych i jednę podobnego do nich kształtu bronzową. Cmentarzysko wraz z sadybami ludzi, którzy składali swoje prochy w tych urnach, leżało w onych czasach na wyspie, oblanej wodami Wisły.

Później na wyżywienie lewego brzegu osiadło za doby piastowskiej miasteczko Raciążek, często wspominane od XIII wieku w stosunkach książąt mazowieckich z Krzyżakami; już wtedy Raciążek należał do kapituły kujawskiej i uważany był jako miejsce obronne. Biskupi bowiem polscy, a zwłaszcza kujawscy i mazowieccy, których djecezje sąsiadowały z dziczą najezdników, wznosili znacznym nakładem w dobrach swoich dworce warowne i grodziska dla ochrony własnych i okolicznych włości. W roku 1329 biskup kujawski upominał Krzyżaków o zniszczenie zamku. W czasie srogiego najazdu w roku 1330 zdobyli oni znowu warownię w Raciążku, lubo nie siłą, lecz podstępem. Biskup, Maciej Gołańczewski, ten sam, który kościół katedralny we Włocławku fundował, nie zważając na groźby Zakonu teutońskiego, wzmocnił zamek tutejszy. Władysław Jagiełło, zjechawszy się do Raciążka z Witoldem roku 1404, zawarł tu ugodę z Krzyżakami. Również po zwycięstwie grunwaldzkim układał się tu Jagiełło z wielkim mistrzem Henrykiem Plauen, lecz gdy nie mogli przystać na warunki, rozjechano się, a tylko pozostawieni stron obu pełnomocnicy zawarli jednomiesięczne zawieszenie broni. Kościół pierwotny, który znajdował się przy zamku i zniszczony został w czasie wojny przez Krzyżaków, odbudowany następnie z drzewa w środku miasteczka, przetrwał do końca XVI wieku, w którym to czasie biskup kujawski, Hieronim Rozrażewski, wzniósł w tymże miejscu nową, dość obszerną świątynię w stylu niknącego już gotycyzmu.

O kilkaset kroków na wschód za miasteczkiem, w uroczym położeniu nad głęboką doliną, znajdują się jeszcze rozwaliny zameczka biskupów kujawskich, który tak dzielnie opierał się nieraz nieprzyjacielskim najazdom i tylu wypadków dziejowych był świadkiem. Któżby przypuścił, patrząc dziś na te rozwaliny, że jeszcze w początkach XIX wieku zameczek był w stanie mieszkalnym i że dopiero po odjęciu dóbr kapitule włocławskiej, naddzierżawcy i burmistrze Raciążka barbarzyńską ręką dopełnili dzieła zburzenia. Ci, którzy pamiętali zameczek w stanie mieszkalnym, oddawali wielkie pochwały wytworności jego wewnętrznego urządzenia. Przed kilku dopiero laty, gdy już tylko z czterech ścian zewnętrznych pozostały sterczące odłamy grubych murów, ręka człowieka uczciwego zabezpieczyła ruiny od dalszego ich burzenia i rabunku cegieł.

Zygmunt Gloger.

Doliną Bugu.

ODA DO RZEKI BUGU.

Napisana po łacinie przez ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego w przekładzie polskim Syrokomli.

Nie nęci mej pieśni Salmacys zdradziecki,
Ni źródło święcone Wenerze;
Żaden zdrój łaciński lub grecki
Dziś ze mnie ofiary nie bierze.

Przebaczcie Paktolu i Cydnu zatoki,
Że dla was strun moich nie tracę,
I ty, ojcze Tybrze głęboki,
Nie czekaj na pieśni gorące.

Ja będę opiewał Bug wrzący i skory,
Co Wisków od skwaru zasłania,
Co dżdżyste, jesienne wapory
Wyziewa lub nazad pochłania.

O, Bugu! o, czysty wód świętych kryształe!
Jakaż mi Pierys pozwoli.

Bym konchą czerpnąwszy twą falę
Ugasił pragnienie do woli?

O, Bugu! którego głębiny nie zmierza
Ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,
Ni trzoda blizkiego pasterza
Swawolnym pływaniem się brudzi!

Nie pali twej wody od wierzchu do głębi
Spiekota w południa zacisze;
Mróz ciebie nie ściska, nie ziębi,
Lecz wietrzyk ciepławy kołysze.

Gdy przecie na wiosnę szeroko rozlany
Wypłyniesz na środek zagonów,
I łąki wiskowskie i łany
Użyźniasz do kwiatów i plonów.

Jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary!
O, rzeki najczystsze, najzdrowsze!
O, Bugu i Narwi! do pary!
I w parze opłyńcie Mazowsze.

Gdy wierzbom Tebowym dać wiarę się godzi,
Zawierzcie, zawierzcie, potomni!
Wkrótce się poeta narodzi,
Co naszą piosenkę przypomni.

On wodom ojczystym wywiąże się z długu
I odda należny dank cześci,
On i was, o, Narwi i Bugu!
Na lirze głośniejszej obwieści!

Wschód lipcowego słońca opromieniał rozległe łąki nadbrzeżne i falujące bujnym żytem równiny dawnego Flemingów dziedzictwa. Pracowici wieśniacy rozpoczynając żniwo, szli w pole, w białych koszulach, nieśli na ramionach: kosy, sierpy i grabie. Ja również wybrałem się w dolinę Bugu na żniwo z p. Juljanem Maszyńskim, a przenocowawszy na dworcu kolejowym w Terespolu, podążałem pieszo, o wschodzie słońca do miasteczka z towarzyszem moim, aby wyszukać i nająć do zamierzonej podróży jakiego flisa i łódkę. Pierwszego wychodzącego na ulicę zaspanego żydka zapytaliśmy, gdzie tu mieszkają przewoźnicy. Żydek podrapał się w zapierzoną głowę, poruszył łopatkami i karkiem, a potym ziewając, otworzył usta tak szeroko, iż przypomniał mi z lat dziecinnych pewien obrazek z „Magazynu Powszechnego“, przedstawiający, jak wąż boa zabiera się do połknięcia barana — poczym zapytał zdziwiony: do

czego nam potrzebni przewoźnicy, kiedy na Bugu są mosty? Odparłem, że mamy interes do rybaków.

— Co za interes do rybaków? na co panom rybaków? — pytał zdziwiony — przecie tylko żydkowie rybami handlują, a nie panowie, i już każdego dnia wieczorem zakupują ryby u rybaków te, co będą nazajutrz złowione, ale teraz takich ryb brakuje, bo zła pora, a i w dobrą porę panowie ryby u rybaków nie dostaną, bo to nie jest pański handel.

— Mamy konieczną potrzebę widzenia się z rybakami — odrzekłem.

— To na co taka potrzeba? Jaki to może być interes?

Po usilnych naleganiach dowiedziałem się nareszcie, że w Terespolu są tylko dwaj rybacy: Osipowicz i Gliński i gdzie mieszkają. Poszliśmy najprzód do Osipowicza, ale ten miał czółenko nadzwyczaj małe, jak koryto, z klocka sosnowego wyciosane i o najęciu się w daleką drogę, nie chciał słyszeć. Drugi posiadał czółno wyżłobione z potężnej kłody topolowej i okazywał ochotę najęcia się, ale żona jego, niewiasta rezolutna, tak stanowczo położyła veto przeciwko samowoli małżonka, iż pozostało nam tylko ubolewać, że kwestja emancypacji mężów nie została jeszcze podniesioną. Po całym szeregu naszych argumentów, wystawiających liczne korzyści moralne, materjalne i etyczne z podróży po Bugu, zażądała wreszcie dnia zwłoki dla męża do namysłu lub na przygotowanie do drogi w razie jej zezwolenia.

Odłożywszy tedy żeglugę do dnia następnego, postanowiliśmy dzień dzisiejszy poświęcić na wycieczkę do Kostomłotów, wioski położonej nad Bugiem w okolicy Kodnia. Właściciel jej bowiem p. Józef Łoski, ziemianin, a zarazem literat i wydawca cennych albumów fotograficznych z najrzadszych sztychów polskich, kierując się wskazówkami do wyszukiwania t. zw. stacji krzemiennych, jakich mu dawniej udzieliłem, odkrył w Kostomłotach ciekawą miejscowość siedlisk ludzkich z prastarej doby użytku krzemienia. Droga do Kostomłotów po płaszczyznie i nizinach wiodła przez Michałków i Żuki, wsie mieszkańców nadbrzeżnych. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się nigdzie napotkać takiego mnóstwa bocianów, jak tutaj. Ptaki te nie potrzebują tu drzew dla gniazd swoich, ale na wszystkich strzechach stodółek, chlewków, nawet na nizkim dachu

piwniczki domowej na warzywo i nabiał, zakładają po kilka siedlisk obok siebie. Uderzała wszędzie pewna, jakby rodzinna poufałość bocianów z chodzącemi razem po podwórkach gęśmi i cielętami. Opieka, jaką tu wieśniak otacza tradycyjnego przyjaciela strzechy swojej, przypomniała mi twierdzenie Długosza w XV-ym wieku, iż w Polsce bociany przepędzają nieraz zimę w mieszkaniach kmieci.

Siedlisko bociana przy domu, zarówno chłopka, jak pana, to charakterystyczne znamię naszej słowiańskiej zagrody. Bocian to prawdziwy przyjaciel domu, powracający corocznie z rozkosznych krain wiecznego lata pod chmurne i chłodne niebo polskie, to symbol przymierza i opieki ludzkiej nad światem przyrody. W pojęciach staropolskich „sprowadzić bociana“, czyli założyć mu starą bronę lub koło wozowe pod gniazdo, na strop strzechy, lub na wiąz czy lipę poblizką, to znaczyło sprowadzić szczęście do domu. Lud mniema, że piorun nie uderza w strzechę, na której gnieżdżą się bociany, że grad nie pada na ich gniazdo, że bocian przeczuwa wojnę i rok głodu. Mazur utrzymuje, że Chrystus jakiegoś obmówcę zamienił w bociana i kazał mu za karę świat boży z plugastwa oczyszczać. Bocian polski, jakby odczuwając przyjazne względem niego pojęcia ludzi, garnie się chętnie do strzech wieśniaczych, a lud zowie go rozmaicie: boćkiem, Wojtkiem i Wojtusiem. Dzieci wiejskie, upatrując bociany pławiące się kręgiem na wyżynach błękitnego nieba, wołają do nich: „Wojtek, w koło! Wojtek, w koło!“

Lud w okolicy Kodnia nosi długie, bronzowej barwy świty z samodziału domowego, które przepasuje po wierzchu wełnianym pasem. Pasy te, robione przez niewiasty w każdym domu, długością swoją, szerokością, a nawet barwą i sposobem zawiązywania, przypominają poniekąd dawne pasy nasze, które do potrójnego okrążenia bioder wystarczały. Pragnąłem do moich zbiorów etnograficznych nabyć od włościan jeden pas w Kostomłotach, ale w żadnej chacie sprzedać mi nie chciano, powiadając, że nikt nie wyrabia takich pasów na sprzedaż, tylko każdy w miarę własnej potrzeby.

Wieś Kostomłoty porządnie, ale dość ciasno przy prostej ulicy zabudowana, liczyła (było to w r. 1875) około 90 chat. Czekała nas tu przykra niespodzianka, bo nietylko, że nie zastaliśmy p. Łoskiego w domu, ale jeszcze objaśniono nas, że majątek został przez niego

od kilku dni sprzedany, i że w dniu poprzednim opuścił na zawsze swoją siedzibę, przenosząc się do Warszawy. Nie znaleźliśmy nawet nikogo, ktoby nam pokazał miejsce, gdzie p. Łoski poznajdywał owe wyroby krzemienne. Dzięki jednak prostemu doświadczeniu, nabranemu w licznych wędrówkach moich, odszukałem niebawem owo miejsce przeddziejowej osady nadbużnej. O kilkaset kroków od Bugu, pośród szerokiej równiny, zauważyłem małe piaszczyste wzgórze. Jak dzisiaj lisy i borsuki obierają sobie podobne miejscowości, aby w nich wygrzebać suche nory, tak samo pierwotni mieszkańcy tego kraju, nie znając dzisiejszego budownictwa, wyszukiwali pagórki piaszczyste, w których mogli mieć suche ziemlanki i kryjówki do przechowywania żywności i tego wszystkiego, co w owych czasach bywało mozolną zdobyczą i mieniem człowieka, dziełem pracy ludzkiej. W wiekach późniejszych, po wytrzebieniu lasów na takich pagórkach, skutkiem działania wiatrów, tworzyły się wklęsłe wydmy piaszczyste. To się znaczy, że sporo lotnego piasku wiatry rozniosły po polach, ale krzemień nałupany przy obrabianiu narzędzi krzemiennych, ułamki tych narzędzi i szczątki glinianych naczyń, pozostały na powierzchni wydmy. Łoski znalazł tu kilka na podziw pięknie obrobionych bełtów czyli strzałek, ale po jego poszukiwaniach wiatr znowu powywiewał inne przedmioty, które stały się pierwszym moim żniwem w tej podróży nadbużnej.

Rozkopywanie podobnych miejscowości, czyli poszukiwania w warstwach głębszych, nie doprowadziłyby do niczego, a przynajmniej nie opłaciłyby trudów, ze względu, iż drobny krzemień zmieszany jest z piaskiem tylko w najpłytszych tegoż warstwach i często na dość znacznych przestrzeniach. Aby więc nie opuścić żadnego miejsca, trzeba chodzić tylko po powierzchni tych piasków, porządkiem, jak siewca zboża, który przechodzi zagon po zagonie. Gdzie istniały sadyby i ogniska pierwotnych mieszkańców, tam trzeba jeszcze przegrabić piasek grabiami, lub w braku tychże, własną ręką, nie zważając na to, że wieśniacy będą poczytywali badacza piasku bądź za „pobytowego“, który dniem szuka rzeczy nocą zgubionych, bądź w najlepszym razie za warjata. W ciągu dwugodzinnych takich poszukiwań, znaleźliśmy pod Kostomłotami sześć prześlicznych krzemiennych bełtów, czyli strzał. Największy z nich nie różnił się kształtem od starożytnych bełtów bronzowych

i żelaznych, co jest wskazówką, że na wzór strzały metalowej, przyniesionej zapewne gdzieś z południa Europy, gdzie już metal był używany, wyrobiono nad Bugiem strzałę krzemienną, w braku kruszcu i znajomości sztuki kowalskiej. Inne bełty zadziwiały drobnemi rozmiarami i przedziwną misternością roboty, z tak niewdzięcznego materjału jak krzemień, co dowodziło, że przy nieznajomości metalurgji, sztuka obrabiania krzemienia doszła już w epoce, z której pochodzą nasze stacje przedhistoryczne, do najwyższego udoskonalenia.

Położenie topograficzne powyższej starej sadyby, wyniesionej zaledwie na kilka stóp nad kres wiosennych wylewów Bugu, dowodzi stanowczo, że gdy ludzie zamieszkiwali tę miejscowość w czasach starożytnych, to łożysko i dolina bugowa miały już poziom dzisiejszy i powodzie nie bywały większe od obecnych, jeden bowiem zalew wystarczyłby na podmycie i zniszczenie piaszczystego pagórka z drobnemi śladami przedwiekowej kultury. Aby dokładnie poznać nizinę nadbużną, powracaliśmy z Kostomłotów do Terespola inną drogą, przy której odkryliśmy znowu pod wsią Lebiedziowem ślady starożytnego obrabiania krzemienia. Sadyba ta jednak musiała być nieludna w starożytności, bo na rozległych wydmach szczątki niełupanego niegdyś krzemienia napotkaliśmy w nader małej ilości. Panu Juljanowi udało się znaleźć jedną strzałkę, ale za to bardzo misternie wykonaną.

Zygmunt Gloger.

Studzieniczna.

Dwa razy do roku: na Zielone Święta i w dzień Ś-tej Anny, tysiączne zastępy wiernych z poblizkich i dalszych parafji podążają na odpust do cichej zazwyczaj, w gąszczu drzew ukrytej na półwyspie, śród jeziora, wsi kościelnej Studzieniczna, w powiecie augustowskim, gubernii suwalskiej.

Przed półtora wiekiem głucha tu puszcza była. Na brzegu południowym jeziora, wówczas bezimiennego jeszcze, leżały dwie bezludne wyspy, nawiedzane chyba przypadkowo przez zapędzonych w te strony myśliwych

lub rybaków: i jedni i drudzy znajdowali tu połów obfity.

W drugiej połowie XVIII wieku na mniejszej z wysepek osiadł poszukujący spokoju po burzach życiowych b. pułkownik wojsk polskich, Wincenty Morawski. Zrazu wiódł życie samotne, bogobojne, ciche, poświęcone obcowaniu z przyrodą i modlitwom: wkrótce jednak zwiedział się lud okoliczny o pobycie pustelnika na wysepce i począł go odwiedzać, tusząc, że świętobliwy starzec, wzamian za ofiary skromne, nie poskąpi potrzebującym rady, pomocy lub leków.

Pustelnik miał serce dobre, czułe na niedolę bliźnich, jak umiał więc—tak radził na dolegliwości ducha i ciała.

Brodząc po puszczy leśnej, zapoznał się z rozmaitemi ziołami i ich własnościami, kojącemi ból lub trującemi; fale jeziora nieraz mu chłodziły gorączkę, rzeźwiły palone żarem oczy. Temi środkami niewinnemi, wypróbowanemi po części na sobie, leczył tych, którzy doń z ufnością śpieszyli z prośbą o poradę.

Jeden i drugi wyleczony rozgłaszał przez wdzięczność sławę lekarza—pustelnika. Stąd i zowąd zaczęto się schodzić do niego gromadnie; starzec nie odmawiał nikomu pomocy. Ziół i wody nie mogło zbraknąć.

Lud możeby nie wierzył w skuteczność zwykłej wody jeziornej, jakiej sam miał poddostatkiem; dlatego to zapewne pustelnik wywiercił małą studzienkę, z której czerpał wodę „skuteczną“ w rozmaitych cierpieniach, zwłaszcza oczu.

Dzięki skromnej studzience, ubogi pustelnik mógł pomyśleć o budowie domów Bożych; od tej to studzienki cała miejscowość otrzymała miano „Studzienicznej" i jezioro nazywa się dziś „Studzienicznym."

Jakkolwiek pustelnik nie wymagał od nikogo żadnych datków, sypała się jednak do jego sakwy obficie jałmużna. Starzec rozumiał, że i tę ufność ludu, dążącego doń zewsząd i skuteczność leków, i napływ ofiar zawdzięcza jeno łasce Bożej; postanowił więc grosze ofiarne użyć na chwałę Stwórcy, wznieść na wyspie świątyńkę, skromną bodaj, ale w której, choć rzadko, możnaby odprawiać Mszę Świętą. Udało mu się zakupić w Augustowie stary kościołek za 100 tynfów. Przeniósł go na wyspę większą i z pomocą wiernych postawił. Było to, jak świadczy napis na tablicy kamiennej, w r. 1770. Służba Boża musiała być wprowadzona najpóźniej

w kilka lat potym, co można wnosić z napisu na kielichu mszalnym: „Brat—pustelnik sprawił ten kielich do Studzienicznej roku 1776.

Pobudowanie świątyni, rzecz prosta, wpłynęło na jeszcze większe rozsławienie Studzienicznej w okolicy. Pustelnik jednak nie poprzestał na tym; pragnął on stworzonej przez siebie osadzie kościelnej nadać urok świętości, drogą pozyskania odpustów dorocznych od Ojca Świętego. Nosił się też z myślą pieszczoną—pobudowania nowej świątynki na tej mniejszej wysepce („na grądziku"—jak mówi lud) w pobliżu studzienki, która była założycielką całej osady.

Udał się więc w r. 1781 ubogo, na osiełku w podróż do Rzymu, gdzie od Ojca Świętego Piusa VI uzyskał indult na odpusty doroczne, w rok potym potwierdzony przez biskupa wileńskiego, I. J. Massalskiego.

Sprowadził też stamtąd cztery obrazy: Najświętszej Marji Panny z Loreto, ś-tej Anny, ś-tej Tekli i ś-go Jana Nepomucena. Po powrocie do domu zawiesił obraz Najświętszej Marji Panny z Dzieciątkiem Jezus na starożytnym dębie, rosnącym w pobliżu studzienki.

Na odpusty doroczne napływało do Studzienicznej po 20,000 pątników, którzy nie zaniedbywali też odwiedzać wysepki, czerpać wody ze studzienki, modlić się przed obrazem Matki Boskiej, zawieszonym na dębie, i składać ofiar na rzecz budowy nowej kaplicy, „na grądziku."

Dzięki wytrwałości pustelnika i ofiarnym dłoniom wiernych, nowa kaplica stanęła tu w r. 1786.

Z akt kościelnych widzieć się daje, że ksiądz osiadł stale w Studzienicznej dopiero r. 1794, gdyż w tym roku — jak świadczy metryka — ochrzczono tu pierwsze dziecko, niejakiego Antoniego Rozmysłowicza.

Wyobrazić sobie możemy radość pustelnika, gdy ujrzał swoje najgorętsze życzenia spełnione, gdy nietylko udało mu się pobudować na dwóch wyspach świątynie i wprowadzić służbę Bożą, ale i umieścić w ustronnej, zacisznej plebanji na stały tu pobyt, kapłana, którego wejście pod tę strzechę oznaczało, że Studziennicza ma już na wieki zapewnioną opiekę duchowną, że dziełu starca nie dadzą upaść następcy pierwszego rektora tych domów Bożych. Zaprawdę — mógł powiedzieć sobie wtedy:—„Panie, weź mnie do swej chwały, bo praca dni mego wyznania spełniona, bo niczego już więcej nie pragnę od życia!"

Niestety!—miał się doczekać dni smutnych, ciężkich, dni pogromu.

W r. 1812, podczas pochodu Napoleona, kilkunastu maruderów francuskich wpadło po drodze z Augustowa do Studzienicznej, złupili oni pustelnię, kaplice i z łupami uciekli napowrót do miasta. W armji napoleońskiej był zbiór rozmaitych narodowości, rabunek świątyń musiał być chyba dziełem nie-katolików.

W mężnym starcu-pustelniku zagrała krew dawnego żołnierza, puścił się za łupieżcami w pogoń, dotarł w Augustowie do jenerała i tak przemówił do jego przekonania, tak mu poruszył sumienie, że po zarządzeniu ścisłej rewizji, wszystkie rzeczy zagrabione zwrócono co do jednej, odstawiwszy je na miejsce staraniem i pod eskortą wojska francuskiego.

Te przejścia i zmartwienia musiały jednak dobić sędziwego starca, bo już więcej o nim nie słyszymy. Ułożył się, po trudach, na spoczynek wieczny. Pochowano go pod wielkim ołtarzem, w kościołku wisi jego portret.

Przezacny duch pustelnika natchnął wiernych, że pamiętali o potrzebach dwóch kaplic. Upadający z biegiem czasu stary kościołek na wyspie większej znalazł odnowiciela w osobie włościanina, z innej nawet parafji, Krasnopolskiej, ze wsi Pawłówka, pod Sejnami, Szymona Andruszkiewicza. Na dźwignięcie świątyni oddał nietylko cały swój majątek, ale i trud swój, siły wszystkie. Notatka ręką kapłana napisana, zaznacza, że w r. 1845 bogobojny ten włościanin, zabrawszy się do przebudowania kościołka, zaczął podłużać i rozszerzać ściany, babiniec do nawy przyłączać (jak dziś stoi), a roku następnego dokończył budowy. Sam pracował, jak robotnik, to z heblem, to z piłką, to z kielnią. W r. 1848 „okożuchował'' ściany zewnątrz, ołtarze trzy nowe z tarcic postawił, wymalował i ozdobił; organy trwałe sprawił, (do r. 1857 nie potrzebowały reparacji); a ściany kościoła 14-tu stacjami Męki Zbawiciela ozdobił swoim nakładem.

Karol Hoffman.

Niemnem.

Świst pary przerwał mi pasmo mych myśli ze świata przeszłości. Wyjrzałem przez okno wagonu. Był jasny, tchnący świeżością wiosny i chłodem rosy poranek. Tylko tuman gorzkiego dymu lokomotywy, cisnąc się przez otwarte okno, nie wiem dlaczego, przypomniał mi z koncertu nad koncertami:

„Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
„I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem!“

Dojeżdżaliśmy do Grodna. Pociąg nasz, niby ptak prujący powietrze, przebiegał po wyniosłym moście nad masztami wicin litewskich. W dole wił się w głębokim jarze płowy Niemen, a kilka secin białych drewnianych domków piętrzyło się na urwistych i stromych wybrzeżach rzeki. Wieżyce siedmiu świątyń wybiegły nad stary gród Erdziwiłła i Witolda, jako wybiega duch idei ku wyżynom i panuje nad poziomym zgiełkiem mrowiska ulicznego. Ale kto chce lubować się pięknemi widokami przyrody i odetchnąć wonią drzew i ziół, niech nie siada na wóz, ciągnięty stalowym Pegazem berlińskiej masztarni Borsiga i pędzony piekielną siłą wrzątku. Na szczęście byłem u kresu niewolniczej podróży kolejowej, bo pociąg nasz, przebywszy szybko most na Niemnie i ogromny przekop góry miejskiej, stanął przed dworcem grodzieńskim.

We drzwiach ciasnego budynku panował tłok straszliwy, ponieważ dwa przeciwne sobie prądy śpieszących się ludzi usiłowały energicznie wywalczyć sobie pierwszeństwo. Sala ogólna wrzała zgiełkiem wielojęzycznym i napełniona była powietrzem, z którego nawet człowiek głuchy i niewidomy mógłby odgadnąć obecność kilku narodowości.

Dniem pierwej przybył do Grodna towarzysz naszej dalszej podróży, mój krewny Gustaw J. dla najęcia lub kupna łódki do zamierzonej żeglugi po Niemnie. Wiedząc, którym pociągiem przybędę, wysłał na kolej faktora hotelowego (we wszystkich hotelach grodzieńskich usługują Żydkowie), aby mnie zawiadomić, gdzie mam zajechać. Usłużny cicerone, choć mnie nigdy nie widział, ale z rysopisu poznał odrazu, wymieniwszy moje nazwisko, uważał mnie już za własność hotelową.

Despotycznie usadził moją osobę do blaszanej, haniebnie trzęsącej, brzęczącej i zabłoconej jednokonnej dryndulki, w której siedział już jakiś dość gruby o rudych, sumiastych wąsach jegomość. A że i ja nie należałem nigdy do ludzi wiotkich, więc przy wsiadaniu wyraziłem wątpliwość, czy pomieścimy się obaj. Żydek zapewnił, że na taką dorożkę grodzieńską zabiera często nie dwóch, ale pięciu pasażerów. Więc objąwszy pozytywną kibić rudego szlachcica, jak Budrys „laszkę synowę,“ żeby nie zlecieć do rynsztoku, podążyłem do hotelu na ulicę Brygidzką, gdzie ciągnęła nas dość szybko chuda i wierzgająca, bo smagana ciągle po kościach przez nielitościwego woźnicę, wielka szkapa.

Od dworca do hotelu Gwirca podążaliśmy przez przedmieście Horodnicę, gdzie, za czasów Stanisława Augusta, Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski, założył całe miasteczko fabryczne. Typowe z XVIII wieku murowane domki dla fabrykantów, powznoszone szczytami do ulicy, jak wszystkie domy starych wiosek naszych, dotąd przypominają tutaj głośnego w swoim czasie Tyzenhauza.

Krewniaka mego zastałem w wielkim kłopocie. Przez cały dzień szukał na wybrzeżach Niemna łódki do kupienia lub najęcia i nie znalazł ani na lekarstwo. Były tylko wiciny ogromne i baty nie wiele od nich mniejsze, ale czajki ani jednej. Faktor hotelowy przekładał mu wymownie, że do Kowna daleko prędzej i wygodniej, a co najważniejsza, daleko taniej zajedzie koleją niż wodą, a widząc upór podróżnego, posądzał go o zboczenie umysłowe lub o jakiś cel tajemniczy z interesem kontrabandy połączony. Gdy zobaczył i drugiego towarzysza przybyłego z takim samym uporem, utwierdził się w mniemaniu swego ostatniego podejrzenia. Nie zadaliśmy sobie trudu wyprowadzić z błędu usłużnego faktora i to nam dopomogło, że w godzinę znalazła się już czajka do nabycia za rubli 10.

Potrzebowaliśmy wioślarza, więc nasz opiekun hotelowy przytrzymał zaraz na ulicy jakiegoś flisa, szukającego w mieście zarobku i przyprowadził do umowy. Był to człowiek średniego wzrostu i wieku, ciemny blondyn, barczysty, o przyjemnym wyrazie twarzy, bosy, w połatanej siermiędze z szarego samodziału, zażywający często tabakę z brzozowej tabakierki. Nazywał się Wiktor Mazurkiewicz, mówił czysto po polsku, był włościaninem i mieszkańcem z odległej o pół mili od Grodna,

na granicy Królestwa położonej, wsi Łosośny. Miał żonę i kilkoro dzieci, a posiadając niewiele gruntu, zajmował się orylką i ciesielką. Wziął nas za litewskich ziemian, prowadzących wiciny ze zbożem, lub płyty drzewa Niemnem do Królewca, a dowiedziawszy się, że ani wicin, ani drzewa nie posiadamy, zaczął tak samo namawiać nas do podróży koleją: Faktor, który zdawał się już być wtajemniczonym w naukowe cele naszej podróży, tłómaczył teraz orylowi, że panowie, gdy nie mają co robić, wymyślają sobie podobne wędrówki „dla rozweselenia swoich nudności“. Wiktor z dobrodusznością przyjął podobne wyjaśnienie i zażądał za kierowanie naszą łódką cztery złote dziennego wynagrodzenia, na co najchętniej przystaliśmy.

Kupiona czajka okazała się starą, dziurawą i cieknącą, a jak Wiktor z powagą znawcy dowodził, że nie była więcej warta jak „dwa talary“. Trzeba więc było najpierw kupić: konopie, gwoździe, smołę szewcką, garnek do jej roztopienia i zająć się naprawą, do której Mazurkiewicz, wyciągnąwszy łódkę na ląd, jako „człowiek wodny“, wziął się po mistrzowsku.

— Bez zapasu smoły — mówił — ani rusz w taką drogę.

Więc ognisko nad Niemnem rozniecił, pakułami dziury i szpary w dnie i bokach łódki utykał i smołą gorącą zalewał, a tak był pełen wiary w skuteczność tego środka, że nawet pachwiny między palcami, u swoich nóg, żeby skóra w czasie długiej podróży wodnej nie popękała, zawczasu smołą sobie namaścił.

My tymczasem przebrawszy się w szarą płócienną odzież i wielkie słomiane kapelusze, obejrzawszy raz jeszcze z troskliwością obecność i legalność naszych paszportów, podobni z nakrycia głowy do flisów, a z sukni do niemieckich owczarzy, poszliśmy na miasto zaopatrzyć się w papier, ołówki, zapałki, chleb, cukier, cytryny, „kaszę krakowską“ i rondelek do jej gotowania. Wiedzieliśmy bowiem, że w wielu ustroniach nadniemeńskich, na szlaku zamierzonej podróży naszej, żyjących dotąd w sielankowej prostocie epoki Palemona, możemy nie napotkać podobnych przedmiotów zbytku i postępu. Podług starego przysłowia, które przed 300 laty zapisał Rysiński: „Jakie odzienie, takie uczczenie“, gościnne kramarki grodzieńskie wciągnęły nas gwałtem z ulicy za łokcie do swoich ciasnych kramnic, a dopiero po kilku słowach rozmowy, prosiły siedzieć na worku

z mąką, lub na kulawym bez deski zydelku z czasów conajmniej saskich lub podskarbiego Tyzenhauza.

Objuczeni „pokupkami'' powróciliśmy upakować je do walizek podróżnych w hotelu. Wiktor, ukończywszy pod wieczór naprawę czajki, pobiegł do Łosośny pożegnać się z rodziną i przynieść sobie z domu zapas chleba, tabaki i buty na święto.

Ranek w d. 7 czerwca 1872 r. był taki sam piękny i jasny, jak w dniu poprzednim. Zalecający się wschodnim nieporządkiem hotel Gwirca przy ulicy Brygidzkiej miał się stać przy pierwszym blasku jutrzenki greckim Jolkos, z którego tym razem podlascy Argonauci mieli na tej samej co wczoraj brzęczącej dryndulce, ciągniętej przez tę samą kościstą szkapę, biczowaną przez tegoż samego woźnicę w sarafanie i pod opieką tego samego Żydka hotelowego wyruszyć przez puste ulice śpiącego jeszcze Grodna do wylepionego smołą Argo, spuszczonego na fale Chronosu przez Mazurkiewicza z Łosośny. Żartowaliśmy sobie, że w dzisiejszej wyprawie Argonautów, ja byłem Jazonem, Gustaw, mój krewny, a starszy wiekiem, nadawał się do roli Herkulesa. Mazurkiewicz był oczywiście owym Argusem, który Argonautom okręt budował i w żegludze towarzyszył, a ze względu na ciężkie czasy dzisiejsze, zastępował 47 towarzyszów starożytnej wyprawy. Złotem runem miały dla nas zostać wykopaliska przedwiekowe i notatki ludoznawcze. Zresztą nie żądaliśmy nic więcej, kwitując z legiendowej uprzejmości mieszkanek wyspy Lemnos, które wytępiwszy ongi swych mężów, długi czas podejmowały gościnnie szczęśliwych podróżników starej Grecji.

Dość stromy zjazd od miasta ku Niemnowi, przypomniał mi lata pacholęce, w których o mil kilkanaście stąd mieszkając, słyszałem jednak nieraz opowiadania o smutnych wypadkach na przeprawie pod Grodnem. Mostu bowiem żadnego wówczas jeszcze nie było, tylko prom, do którego się zjeżdżało ze sromotnie spadzistej góry. Dziś nie byliśmy już narażeni na żadne podobne niebezpieczeństwo. Chuda szkapa ledwie ciągnęła z góry brzęczącą dryndę z czworgiem ludzi, ich zapasami podróżnemi, walizkami, motykami do kopania i torbami na wykopaliska.

Zapewne inaczej wyglądać musiał orszak Władysława Jagiełły, gdy stary król ten roku 1418 w towarzystwie nadobnej, młodej małżonki Elżbiety z Pilicy i poważnej rady senatu koronnego, otoczony świetnym

dworem z Polaków i Litwinów złożonym, odpływał na statkach Niemnem z zamku grodzieńskiego do Wielony, za Kowno, na głośny w dziejach zjazd polityczny z Küchmeisterem, wielkim mistrzem Krzyżackim.

Jakże mizerną wydała nam się teraz nasza czajka, której losy nasze mieliśmy powierzyć!... Miała ona długości łokci 7, czyli stóp 14, a szerokości 3 stopy. Każdy jej bok składał się tylko z jednej deski, grubej na cal, szerokiej na cali 12, za to na dno użyto w pośrodku półtrzeciej deski takiej. Wiktor nie urządził wcale ławki do siedzenia, bo lada chybnięcie byłoby wtedy niebezpiecznym. Porobił tylko na dnie łódki bezpieczniejsze tureckie siedzenia, ze słomy i naszych burek podróżnych. Co najgorsza, że czajka po naprawie przeciekała prawie tak samo, jak pierwej. Wiktor jednak, wylewając wodę korczakiem (mała drewniana szufelka) zapewniał, że przeciekanie jest rzeczą zwykłą, że wszystkie czajki na Niemnie przeciekają, a nasza będzie coraz mniej przeciekała i że tylko od czasu do czasu będziemy z niej wodę wylewali.

Odjazd Jagiełły z Grodna musiał się wielce różnić od naszego. Monarchę zapewne żegnał tłum ciekawego ludu, kasztelan czyli horodniczy zamku grodzieńskiego, rycerstwo, szlachta, rajcowie miasta. Nas nikt oprócz dwóch Żydków, tych samych, których na wstępie do Grodna spotkałem, t. j. właściciela dryndulki i sługi hotelowego. Ten ostatni znosił ochoczo nasze tłomoczki i węzełki z dorożki i układał na piasku nadbrzeżnym, ale gdy mu poleciłem, aby pakunki te pownosił na czajkę.

— „Przepraszam panów — odrzekł — ja mam i żonę i siedmioro dzieci, to coby oni biedni na świecie zrobili, żebym ja się do takiej wody dostał?“

To mówiąc, odsunął się z pewnym wstrętem od łódki ku dryndulce i ciekawie przypatrywał się z dorożkarzem, jak to z nami będzie, gdy powsiadamy.

I rzeczywiście po wniesieniu rzeczy do czajki, wejściu Gustawa i nareszcie mojej osoby, okręt nasz tak głęboko się zanurzył, że tylko cztery cale pozostawało od poziomu wody do krawędzi bocznych łódki. A jednak, pomyślałem sobie, na tych wątłych kilku deskach musimy bystrym Niemnem żeglować 40 mil wodnej drogi do upamiętnionej przez wielkiego wieszcza doliny „tulipanów i narcyzów“ — i pomieścić jeszcze zdobycze spodziewane, wykopaliska, minerały i co Bóg nadarzy znaleźć ciekawego na tej drodze.

„Po rodzonej naszej rzece
W obce strony nieś mię, łodzi!
Niech cię trzyma Pan w opiece,
Niech cię burza nie uszkodzi!

Mojej ziemi łąki, gaje,
Niechaj wami wzrok napieszczę!
Jak obaczę cudze kraje
Bym was kochał więcej jeszcze“.

Gdy inni szukają źródeł Nilu, w skwarze zwrotnikowego słońca, gdy odkupują gruzy Troi lub giną wśród lodów podbiegunowych, ja, ku tobie podążam, domowy Niemnie, by wyspowiadać nurty twoje i ustronia wybrzeży twoich, by skosztować chleba i soli pod strzechą nadniemeńską i pogwarzyć z rzeszą siół twoich. Wiem, że z dalekich i niebezpiecznych pielgrzymek odnieść można korzyści, że świat cały ludzi partych szlachetną żądzą wiedzy nagradza sławą powszechną. Ale ja sławy nie szukam, a korzyści pragnę przedewszystkim swojskich dla ziomków moich.

Na końcu łódki, gdzie bywa u większych statków rudel, zajął miejsce nasz Wiktor, jako fizyczny motor całej wyprawy, sternik i wioślarz zarazem. Ja, jako główny balast, zająłem środek, t. j. najszersze miejsce łódki. W przednim nosie obrał sobie stałe siedlisko Gustaw. Resztę wolnej przestrzeni w czajce zajęły dwa tłomoczki, puzdro ze śpiżarnią, teki, motyka i zapasowe wiosło. Wiktor, mając odbić od lądu, zdjął czapkę i przeżegnał się pobożnie. My uczyniliśmy to samo, co na naszym flisie zrobiło wrażenie dobrej nadziei i otuchy w pomyślność podróży.

Była godzina czwarta rano, Grodno marzyło jeszcze snem głębokim, gdy pierwsza z jego murów, a prawdopodobnie i pierwsza wogóle po Niemnie wyprawa archeologiczno-etnograficzna opuszczała miasto. Już czajka nasza o fale Niemna pluska, bystry nurt miejscami lejkowato wirujący na powierzchni wody, unosi ją w dół rzeki, ku zachodowi, a wiosło sternika już nie gruntuje ziemi.

Cóż za wspaniały widok po za nami! W łożysku głębokiej doliny ocknął się już ze snu szmaragdowy Niemen, ale dymi jeszcze oparami mgły porannej. Nad nim zawisł piękny most żelazny kolei Petersbursko-Warszawskiej, wsparty na kilku szarych granitowych filarach, tak wyniosłych, że najwyższe maszty wicin, prze-

pływając nie potrzebują schylać swoich wierzchołków w jego czeluściach. W złotej powodzi rannego słońca kąpały się strome wybrzeża Niemna i urwiska góry zamkowej z granitowemi szczątkami murów Witoldowych. Zdala dolatywały wśród ciszy porannej odbite po wodzie wołania orylów i z niw zamiejskich śpiew skowronków.

Widok Grodna nasunął w myślach moich cały szereg wspomnień dziejowych. Więc najpierw chwile sejmu w r. 1793 i abdykacja Stanisława Augusta, która tu nastąpiła we dwa lata później. Po za temi obrazami, wstecz, widnieje kilkonastoletnia epoka świetności Grodna za Antoniego Tyzenhauza, zakończona smutnym podskarbiego upadkiem. Starostwo grodzieńskie było na Litwie jedną z czterech niezmiernie rozległych „ekonomji," stanowiących dobra stołowe królewskie. Podskarbi nadworny litewski, czyli minister skarbu litewskiego Tyzenhauz, zarządzający temi dobrami, zapragnął uczynić z nich ognisko przemysłu krajowego, a przedewszystkim ogniskiem takim chciał mieć Grodno.

Tudno jest dać wiarę, żeby w przeciągu niespełna lat 15-tu, z lichego nawpół-żydowskiego miasta, bez żadnego naukowego i przemysłowego ruchu, można było utworzyć siedzibę oświaty i przemysłu, zabudować gmachami, zaludnić rękodzielnikami. Podskarbi wysyła do Anglji Downarowicza, żeby zbadał cały postęp agronomiczny w tym kraju. Dla przygotowania dobrych rachmistrzów zakłada szkołę buchalterską pod kierunkiem najbieglejszego w tej sprawie Baranowicza. Ponieważ Litwa nie miała weterynarzy, Tyzenhauz sprowadza z Montpellier biegłego w leczeniu ludzi i zwierząt profesora Zyliberta, któremu porucza założenie szkoły medyko-chirurgicznej i weterynarskiej. W szkole tej uczono weterynarji, między innemi 6-ciu chłopców z włości królewskich na koszcie skarbowym. Szkoła mierników, czyli gieometrów, zostawała pod dyrekcją Markiewicza; budowniczych, pod kierunkiem Włocha Sacco, Tyzenhaus zakłada na Horodnicy za miastem fabrykę: bielizny stołowej, sukna, muślinów, wstążek, atłasu, aksamitu, pasów litych, powozów. Kopie kanały, osusza bagna, buduje drogi, mosty, domy zajezdne, uspławnia rzeki, zakłada huty, garbarnię, olejarnię, młyny, piwowarnię, składy towarów, gisernię, dom handlowy, ogród botaniczny, bibljotekę, orkiestrę i t. d. Gdy środki pieniężne na tak rozliczne i różnorodne przedsiębiorstwa

okazały się niedostateczne, majstrowie, sprowadzani z zagranicy, nie wszyscy dobrzy, kraj do podobnie gwałtownego postępu nieprzygotowany, a sam podskarbi, jako pan polski zbyt samowładny i nie fachowy, wielkie jego dzieło musiało runąć. Tyzenhauz umarł też prawie w niedostatku wśród Warszawy, pochowany w dobrach swoich Żołudku, na Litwie. Podobno nie ma dotąd nigdzie tablicy grobowej, choć zostawił po sobie magnatom polskim nieocenioną pamiątkę i przykład, aby praca dla społeczeństwa była bardzo rozważna i więcej na zimno obliczona, niż gorączkowa, gwałtowna.

I biegłem znowu myślą w dalszą przeszłość, kiedy król Batory przemieszkiwał w pałacu trybunalskim i do wspaniałego kościoła jezuitów (dziś parafjalnego) chadzał galerją, która się ponad ulicą wznosiła. W Grodnie też ciężko zachorował, a nielitościwej śmierci anioł tu zamknął mu powieki i chmurą żałoby zasnuł słońce ówczesnych nadziei. Na tle żałobnych wspomnień myśl moja cofnęła się znowu o wiek prawie cały nad łoże śmiertelne Kazimierza Jagiellończyka, który na zamku grodzieńskim r. 1492 ostatnich dni życia swego dokonał.

Na 250 lat przedtym pierwsza na ziemiach tutejszej Rusi nawała dziczy mongolskiej zrównała z ziemią gród nadniemeński kniaziów Hlebowiczów. Grodno było od wieków miejscem obronnym, skoro już pod r. 1125 znajdujemy w latopisach Rusi powyższą jego nazwę, od grodu, czyli warowni zamkowej biorącą swój początek. Takim to grodom, któremi były zwykle strome góry nadrzeczne, nadające się do łatwiejszego obwarowania ręką ludzką, winny swój początek wszystkie miasta i stolice dawnej Słowiańszczyzny i Litwy. Przy zamku i pod jego ochroną osiadali pierwsi rzemieślnicy, rodziny rycerzy, powstawały przy trakcie wodnym targowice. Jednym słowem zawiązywało się miasto, na które przechodziła nazwa grodu, a w czasach późniejszych i obwarowanie całego obrębu przed napaściami nieprzyjaciół.

W mieście stawiano świątynie. Latopisowie Rusi zanotowali, że za kniaziów Hlebowiczów r. 1183 pogorzało Grodno od pioruna wraz z „cerkwiami murowanemi.'' Oczywiście w cerkwiach pogorzały dachy i wiązania drewniane, ale nie ściany murowane. Istniejąca dotąd na krańcu zachodnim miasta w miejscowości zwanej Kołożą, pod wezwaniem świętych: Borysa i Hleba, nosząca wybitny charakter budownictwa z pierwszych wie-

ków chrześcijaństwa na Rusi, a będąca najstarszym zabytkiem budownictwa na Litwie, jest właśnie jedną i jedyną z tych, o których dawny latopis pod rokiem 1183 wspomina.

Zygmunt Gloger.

Ostra Brama w Wilnie.

Z rycin, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiej, staroświeckiej i bardzo cichej wyobraża sobie bramę wysoką, wązką, daleko smuklejszą może, niż Florjańska w Krakowie, prawdziwą „ostrą”; w niej wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych; na górę prowadzą po dwóch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić widoczne ślady wielu wieków... Czyż nieprawda, że jest się przygotowany na coś bardzo malowniczego, a w tej malowniczości przeważają dwa pierwiastki—starożytność i przepych?

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą, ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową, ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią przejeżdża; ta brama, bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niej i Pogoń nad otworem bramy wysmarowane wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na bruku... już wiesz, co to za brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu „Panny Świętej, co w Ostrej świeci Bramie”; widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy tak, że zdaje się być jedną ścianą, widzisz z trzech jej okien największe środkowe narozcież otwarte, a za tem oknem firanki, które zasłaniają obraz. Ale napróż-

no szukasz przepychu lub starożytności; owszem nic skromniejszego, powiedzmy po prostu, nic uboższego, jak ta budowa, dostawiona do bramy tak, że zdaje się być jej facjatą, a tylko z za dwóch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwej kwadratowej baszty.

Inaczej świeci obraz częstochowski ze swojej Jasnej Góry, której wieże i baszty na kilka mil widne dokoła, i z daleka już można mu się pokłonić.

Niegdyś, przed wiekami, obraz stał we framudze tej baszty, tak mniej więcej, jak figura św. Florjana w bramie Florjańskiej w Krakowie; później wystawiono nad wjazdem kapliczkę drewnianą, już cokolwiek więcej przestronną, a tę dzisiejszą ukończyli księża Karmelici z sąsiedniego kościoła św. Teresy już w początkach zeszłego wieku. Na marmurowy nie było ich stać; jest to prosty mur, niczem nie ozdobiony ani nie zasłonięty, pomalowany na kolor szafirowy, a wszystko, co z muru wystaje, jak gzymsy, plastry i t. p., wapnem pobielone. Ulica nie cicha, niestety; owszem, najgwarniejsza ze wszystkich gwarnych ulic wileńskich, bo, prowadząc do kolei, jest główną komunikacją miasta. Dawniej powozy jeździć po niej nie mogły, a ruch cały szukał sobie dróg innych; dziś wszystkie powozy i dorożki, wszystkie pakunki i ciężary, wszystkie żydowskie fury i wózki jeżdżą popod Ostrą Bramą bez ceremonji i nieustannym turkotem przeszkadzają i do nabożeństwa i do skupienia ducha i myśli.

I schodów kamiennych z ciosowemi poręczami niema. W jakiejś przystawce, w jakiejś żółtej, niepokaźnej budzie, po lewej stronie ulicy, są ciasne, wązkie drzwiczki; jest ciasny, wązki, ciemny kurytarzyk, są schody drewniane, niebardzo ciasne, ale dość trudne; po tych wychodzi się do maleńkiego przedsionka (czy kruchty), znajdującego się zawsze jeszcze we wspomnianej budzie, z niego zaś nawprost ciasne drzwiczki do małej zakrystji, a na prawo małe, wązkie, na jednego człowieka ledwo, żelazne drzwi do kaplicy.

Kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża. Jak wejdzie pięćdziesiąt osób, już nie mają się gdzie pomieścić, a gorąco staje się dusznym i nieznośnym. Z dwuch ścian dłuższych jedną zajmują trzy okna, wychodzące na ulicę i podczas nabożeństwa zawsze otwarte, drugą przez całą prawie jej szerokość oł-

tarz i umieszczone przy nim małe organki. Wszystko to nizkie, tak, że ten ołtarz, choć dochodzi do samego sklepienia, wydaje się za nizki w stosunku do swej szerokości, jakiś zduszony, przygnieciony.

I tu niema ani marmurów, ani złota, ani pereł i kamieni, ani lamp kosztownych; ściany pociągnięte klejowo szafirowym, a sklepienie zielonym kolorem; ołtarz murowany, pomalowany olejno, udaje marmur; kolumny ołtarzowe i wszystko wokoło nich na pierwszy rzut oka niby ze srebra, ale to wszystko drewniane, obwieszone tylko srebrnemi wotami. Są na ołtarzu nawet dwie figury świętych, drewniane, złocone, tak złe, że mogłyby stać w najskromniejszym wiejskim kościele; nawet lichtarze, tylko te, co małe, są srebrne, a wielkie ołowiane są, czy cynowe. I wota skromne. Niema częstochowskich buław hetmańskich, ani królewskich darów; srebrne blaszki, przez biedaków zawieszone, wyobrażają to nogi, to ręce, to oczy, to serca; niektóre mają napisy niezgrabne, jak gdyby szpilką wydrapane. Jedyne wotum bogatsze, to wielki srebrny półksiężyc, który cały obraz od spodu obejmuje, tak, że na obrazkach wydaje się, jak gdyby był jego częścią.

Nie częstochowskie to bogactwa i wspaniałości. Tam Matka Boska na swojej wysokiej górze, w swojej obronnej fortecy, w swojej wspaniałej kaplicy wygląda jak królowa na majestacie; tu, w tych prostych, białych murach, w tej ciasnej przestrzeni, w tym otoczeniu ubogim wygląda sama jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak, że mu w oczy patrzeć trudno; — ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jak gdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tym ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnej, jak z pod krzyża wróciła do swojej izdebki, a za nią mała garstka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często, i to nie nad sobą tylko, ale, jak tam po powrocie z Golgoty, i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna, i nad Jej Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!... Doprawdy, patrząc na te kobiety, klęczące koło ołtarza i płaczące, myśli się o Salomei albo Weronice, o tych świętych niewiastach, które z takim uczuciem pojął i przedstawił Delaroche w „Wielkim Piątku”, jak Matkę Najświętszą znękaną odprowadzają do domu, albo

na kolanach próbują krzepić i cucić zemdloną. A sam sobie wydaje się człowiek, jak gdyby szedł gdzieś daleko, „na końcu" i przez uchylone drzwi patrzał na sceny świętych boleści i sam je choć trochę podzielał.

Taki jest charakter Ostrej Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tym miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak niema żadnego na świecie; gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły; gdyby najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali jak anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła: nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś, w tej swojej biedzie i przez nią.

Obraz sam mało jest podobny do innych. Twarz jest więcej, niż naturalnej wielkości; jej kolor nie czarny wcale, raczej zanadto czerwony; figura cała zasłonięta zwykłą u nas sukienką, tylko, że nie jest jak w Częstochowie na aksamicie, perłami i kamieniami haftowana, ale wyrobiona ze srebrnej, pozłoconej blachy i wyrobiona wcale ładnie. Jedyna to rzecz okazała i bogata w całej kaplicy. Z rana msze wychodzą jedna po drugiej bez przerwy aż do godziny jedenastej, wieczorem zaś o szóstej czyta ksiądz litanję przed odsłoniętym obrazem, a zawsze, tak wieczorem jak z rana, kaplica pełna i na schodach ludzie się tłoczą i na ulicy klęczą.

Przed Ostrą Bramą, po lewej stronie ulicy, stoi rodzaj domu, umyślnie zbudowanego, który na piętrze ma tylko jedną salę, raczej duży pokój, z oknami, dającemi wprost widok na ołtarz, z ławkami do siedzenia i klęczenia: to rodzaj loży dla tych, którzy do kaplicy docisnąć się nie mogą, a wolą mszy słuchać pod dachem, niż na ulicy.

Tutaj, na ulicy, dużo żebraków i kalek wszelkiego rodzaju i cokolwiek sklepików i przekupek z obrazkami, medalikami, szkaplerzami i wszelkim takim kramowo-odpustowym towarem. Towaru tego niewiele i dość lichy. Ani mowy o takich pięknych obrazkach na blasze lub drzewie, jakiemi pyszni się Częstochowa. Zato przekupki, które tutaj te obrazki sprzedają, otoczone są najwyższym uszanowaniem całego miasta, nawet całej Litwy, jako bardzo godna, mądra i typowa część ludności.

Stanisław hr. Tarnowski (Z wakacji).

Wschodzące słońce.

I.

Pomiędzy dwiema ścianami gęstego litewskiego lasu stało wielkie ludzkie schronisko... ba! i to nie byle schronisko, lecz jakoby zamek obronny.

Na wysokim wzgórzu, na wzniesieniu grubych kłód i nieociosanych bierwion modrzewiowych, stał dworzec długi, z jednej strony dziwnie jakoś od dachu spuszczający się ku ziemi, tak, jak oto czasami drzewo, które, wyrósszy z korzenia, nie od razu strzela ku górze pniem prostym, lecz nie mogąc oderwać się od łona swej karmicielki, wyrasta pochyło, czepia się jej jeszcze odroślami, wreszcie wzmocnione, prostuje pień, i rozszerzając gałęzie, roztacza z nich osłonę szeroką, lecz przysadkowatą. Z takich to drzew wziął i człowiek wzór, wznosząc dla siebie mieszkanie.

I zamczysko na wzgórzu nie inaczej było sklecone. Wyrastało od jednej strony pochyło, a od drugiej wzniosło się wysoko i jak drzewo gałęziami, tak zamczysko szerokim rozpiętym dachem osłaniało swoich mieszkańców. Ściany tego schroniska były z wierzchu tak gęsto chróstem obłożone, od stóp aż do okopu tak utkane mchem, gliną i tak razem zbite i złączone, iż próżnobyś szukał, co tam jest pod tą grubą warstwą— drzewo, czy kamienie.

Wśród tej warstwy zwierzchniej widać było tylko czworokątne, niewielkie okienka, w które wiosenne promyki słonka gwałtem się wciskały, jakby ciekawe, co tam we wnętrzu się dzieje. Lecz żółto-białe pęcherze, któremi przesłoniono okna, walczyły z promykiem słonka, wydając tylko od czasu do czasu mrukliwy trzask, to jest, gdy wysuszone zwierzchnie żyłki pęcherza, kurcząc się, pękały.

Jeden otwór nie zasłoniony był pęcherzem, a od wnętrza odsunięta drewniana zapora łatwo przepuszczała ciekawe słonko, które, wniknąwszy do głębi, zawstydzało swoją świeżością czerwono-żółte światło ognia, rozchodzące się na całą izbę od palącej się kłody drzewa na trzonie, ułożonym z płaskich kamieni.

Dym, wychodzący z pod szerokiego okapu nad trzonem, znajdował obszerne ujście otworem w dachu. Ten wielki trzon, buchający ogniem i światłem, był przy-

jacielem całej rodziny. Obecnie jednak odwracano oczy od ognia, wyglądając, rychło słonko wszystkich ze schroniska wywabi.

A słonko, wyjrzawszy z za mgły gęstej, przedarszy jej sinobiałą oponę, rzuciło cały snop promieni. Promienie te były jasne, wesołe i uśmiechnięte, jak to zwykle na wiosnę. Igrały więc ze śniegiem i z wodą, błyszcząc w niej miljardem świateł, aż zawisły złotemi smugami na skraju czarnego lasu, który wierzchołkiem wyniosłych sosen strzelał ku górze.

II.

I woniało od rozgrzanych iglic świerkowych a sosnowych, woniało świeżością ziemi, wypuszczonej z pęt zimowych, a też i wodą szumiącą; której dostarczały coraz więcej śniegi, rozpływające się pod wejrzeniem wiośnianego słonka.

Niekiedy zaświergotało ptaszę, wzniosło się ku górze i przysiadło na świeżej roli... Tam znów robaczek, wywabiony ciepłym podmuchem, wypełzał z ziemi i znów krył się w czarne jej łono, nie mając jeszcze dosyć odwagi, aby stawić czoło niebezpieczeństwu, które nań czyhało w postaci maleńkiego skowronka.

Z lasu dochodziły również odgłosy, to łamanie się i trzask gałęzi, to ryk dzikiego zwierza, który, przeczuwając powrót wiosny, wychodził ze swoich kryjówek, aby szukać jasnych, ożywczych promieni.

W ludziach, jak i w całej przyrodzie, rozbudziło się życie, ostrą zimą uśpione; dzieci chwytały wdzierające się przez okna promienie, dziwiąc się, że mimo mozolnych usiłowań, nie mogą ich w rękach utrzymać.

Stary zaś Tubingas, pan zamku, nie opuszczający przez całą zimę łoża, okrytego niedźwiedzią skórą i wpatrzony ciągle w wielkie ognisko swej komnaty, odwracał teraz coraz częściej głowę w stronę największego, nie zawartego ni zaporą, ni pęcherzem okna, aż wreszcie dnia jednego klasnął w potężne dłonie.

Z sąsiedniej izby wychyliła się młoda niewiasta, pytając:

— *Ko noret, Tewś Kunige?* *)

Starzec ręką wskazał na wdzierające się słońce i rzekł:

---

*) Czego żądasz, ojcze kapłanie?

— *Saule szilditis* *)

Kobieta roześmiała się radośnie, pokazując białe zęby, i żywo wybiegła napowrót, a w zamczysku zapanował ruch niezwykły.

Dziecięce głosy powtarzały szczebiotem: *Saule szilditis!;* powtarzały też same wyrazy usta dojrzałych mężów. Cała drużyna skupiła się około Tubingasa. Wtedy wszyscy wyszli przez nizkie drzwi schroniska, a spuszczając się przez most, ułożony z chróstu i kamieni, ciągnęli do ciemnego nieopodal stojącego lasu. Tubingas był niegdyś jednym z najmężniejszych Litwinów. Nieraz Lachom, ba! i Krzyżakom dał się we znaki, lecz już od lat wielu mógł tylko jako *kunigas* przewodniczyć ludowi, prowadząc go na doroczne obrzędy. Prowadził go więc i teraz na powitanie wiosennego słońca.

Z siwą, sięgającą aż do pasa brodą, oczy mając otwarte, lecz tak dziwnie nieruchome, iż od razu poznać mogłeś, że one ni owego jasnego słonka, ni ziemi pod stopami, ni czerniejącego lasu nie widzą, szedł jednak starzec prosto i krzepko, podpierając się grubym sękatym kijem,—czasem tylko wyciągnął lewą dłoń przed siebie, nie wiadomo, czy, aby poszukać nią miejsca, czy też, by usunąć zawadę, gdyby się jaka na jego drodze znalazła. Obok niego szedł z jednej strony młody, silny mężczyzna. Był to wnuk jego, Chroniwos. Mimo wczesnej pory, nogi miał obnażone, a tylko stopy obute w łapcie z kory, przywiązanej rzemieniem; za to skóra, futrem do ciała obrócona, ściągnięta w pasie rzemieniem, okrywała go od ramion aż po kolana, za pasem zaś sterczał zatknięty topór. Ramiona, również jak i nogi, były wolne od odzieży, a silne i żylaste dłonie same już zdawały się być obroną. Po drugiej stronie starca szła znana nam już niewiasta, Dowrusa, żona Chroniwosa.

Odzież jej niczym nie różniła się od ubioru męża,—tylko głowę miała obwiązaną białą chustą, której długie końce spadały na plecy czerwono-żółtej skóry kożucha, a drugą takąż chustę przewieszoną miała przez ramię. Tuż obok niej biegło kilkoletnie chłopię, Siewrosem zwane, na którego głowie matka od czasu do czasu z widoczną miłością kładła dłoń swoją.

Poza niemi szło jeszcze kilka dziewek Chroniwosa, szła liczna czeladź męska i żeńska, a z chat, co stały

*) Słońce grzeje.

rozrzucone u stóp wielkiego schroniska, również wychodzili mężowie, niewiasty i dzieci, by wspólnie z kunigasem oddać cześć wiośnie.

III.

Szli więc w głąb lasu na niewielką, wyciętą polanę, gdzie pośrodku stał dąb wyniosły. A dąb to był dziwny. Nizki, gruby od korzenia, wyrastał w kilkanaście silnych i krzepkich gałęzi, szeroko a rozłożyście, które, wznosząc się ku górze, skupiały się razem i tworzyły jakby w wieniec ubraną głowę na szerokich barkach olbrzyma. Korzenie tego olbrzyma powychodziły na wierzch daleko, a wokoło nich ręka ludzka czy natura wyżłobiła wgłębienie, tak, że całe drzewo otoczone było obronnym rowem, w który pobożne dłonie nawrzucały kamieni mniejszych i większych.

Z jednej strony kamienie te, ułożone w stos coraz wyżej, stanowiły schody, po których można było wejść aż do gałęzi, tworzących koronę. U stóp tych schodów kilka kamieni, wgłębionych płasko w ziemię, służyło za trzon, na którym zwęglona i dogasająca kłoda drzewa świadczyła o składanej tu, wiecznie płonącej, objacie.

Tubingas, mimo zagasłych oczu, kroczył prosto do tej świątyni. Dziecięciem składał tutaj objaty, przez życie całe wiódł syny i wnuki, łatwo mu więc było trafić do tego miejsca.

— Dogasa ogień—rzekł, stanąwszy przed dębem i wciągnąwszy w siebie powietrze, przepełnione żywicznym dymem. — Dogasa, lecz nie zagaśnie, bo światło z góry da mu iskrę świętą.

I to mówiąc, trzymanym w ręku kosturem odgrzebywał zwęglone cząstki drzewa, Chroniwos zaś rzucił pęk suchych korzeni i krótko połamanych gałęzi, które jeszcze w jesieni zatknął pod powałę izby, a które, wyschły przez zimę, posłużyły do podsycenia wiosennego ognia.

W ślad zaraz za mężem rzuciła Dowrusa pęk zboża i ziół przeróżnych, również na ten cel przetrzymanych w chacie; po niej zaś Siewros, chłopczyna, rzucił garść zboża. Przystępowały potym dziewczęta i czeladź, a wszyscy przybyli, dorzucając zeschłe zioła i korzenie, wołali:

— Cześć słońcu, cześć wiośnie!

— Cześć słońcu, cześć wiośnie!—powtarzano doko-

ła. Powoli głosy te przeszły w jakiś śpiew tęskny, a ogień wznosił się, rozlewając szeroko. Dąb stary szumiał tam, w górze, rozłożystemi konary, jakby przywtarzał smętnym śpiewom zebranej drużyny. Drzewa chyliły wierzchołki, podając jedne drugim ów śpiew błagalny, który, zlawszy się w jedną harmonijną całość, szumem rozniosły od polany do polany jedność objaty świętego ognia, Zniczem zwanego.

Zuzanna Morawska. (Wilcze gniazdo).

Doliną Biebrzy.

Do zakątków kraju, mniej ogółowi naszemu znanych, należy dolina rzeki Biebrzy, gdzie zapraszam z sobą cierpliwych czytelników na kilkodniową wędrówkę. Takie już bowiem mam dziwactwo, że zamiast szukać dalekich cudów przyrody, zamiast gonić za zgiełkiem po targowicach świata, doznaję największych rozkoszy, gdy wpatruję się w dno cichych strumieni i rzek, gdy przykładam ucho do starych mogił, których szeptu mrocznych dziejów nikt nie słucha.

Rzeka, o której dolinie mam mówić, zwana przez lud polski Biebrzą, a przez jego sąsiadów bliżej źródła Bobrą i Biebrą od wielkiej ilości bobrów, zamieszkujących niegdyś jej wybrzeża, jest największym z dopływów Narwi. Od bobrów poszły nazwy i wielu innych wód słowiańskich. Jest Boberka, lewy dopływ Dniestru; Bóbr, lewy dopływ Berezyny; Bóbr, przypływ Słuczy; Bober lub Bobrawa—lewy dopływ Dniepru; Bobrunga, przypływ Minogi, wpadającej do morza Baltyckiego; Bobryk, lewy dopływ Prypeci; Bobryk, lewy dopływ Teterowa, uchodzącego do Dniepru; trzeci Bobryk, pośredni przypływ Bohu; Bobrzyca, przypływ Czarnej Nidy i t. d.

Źródła Biebrzy leżą o dwie mile od Grodna, w okolicy miasteczka Nowego Dworu, w powiecie Grodzieńskim. W tejże okolicy Biebrza zaczyna stanowić granicę między gubernią Grodzieńską, a Królestwem Polskim i tworzy ją na całej długości owego wązkiego przesmyku, tej jakby szyi Królestwa Polskiego, stanowiącej połączenie dwóch guberni: Łomżyńskiej i Suwalskiej.

Przy podstawie tego przesmyku, gdzie Biebrza wpada do Narwi, obie te rzeki tworzą tak zwane w ludowej mowie „widły,” w których rozpostarły się szeroko łąki i trzęsawiska, a w samych prawie widłach leży kilkunastomorgowa jakby wyspa piaszczysta, na której, w czasach starożytnego użycia krzemienia, znajdowała się jakaś znaczniejsza sadyba ludzka, w tym zlaniu się dolin Biebrzy i Narwi położona.

Dziś w miejscu powyższym, zwanym Kępą Giełczyńską, wznosi się z wieżyczkami, naśladującemi stary styl francuski, gościnny dom państwa de Fleury. Tutaj to właśnie zamiłowany w archeologji właściciel Kępy przygotował naszą wycieczkę, która jest przedmiotem niniejszego opisu.

Ponieważ Biebrza płynie dość bystro, żeglowanie więc od jej ujścia, gdzieśmy się znajdowali, w górę rzeki, byłoby bardzo powolnym i uciążliwym. Postanowiono przeto łódź naszą umieścić na sześciokonnym wozie i dobrawszy jeszcze inny jakiś wehikuł, jechać w łodzi prawym brzegiem końmi, aż do miasteczka Goniądza, tam spuściwszy statek na wody Biebrzy, powrócić na Kępę z biegiem rzeki. Pomysł ten podobał się wszystkim, a mnie dogadzał podwójnie. Mogłem bowiem końmi przejechać wzdłuż prawie całą dawną ziemię Wizką, ciągnącą się na prawym brzegu Biebrzy, a z powrotem poznać dolinę i koryto tej rzeki.

Łódkę tedy, mogącą pomieścić osób kilkanaście, umieszczono na wozie, a w niej siedzenia dla ludzi i przybory podróżne. Tak przeprawiwszy się promem przez Biebrzę z Kępy Giełczyńskiej do wsi Wierciszewa, wjeżdżaliśmy łodzią na wyniosły i stromy prawie brzeg Biebrzy po stronie Królestwa Polskiego, skąd roztaczał się za nami rozległy widok na nieprzejrzane obszary łąk, na lewym brzegu Biebrzy i na rozsiane gęsto po nich tysiące stogów siana. Jeżeli jazda w łodzi na trzęsącym wozie, kamienistą drogą, sprawiała dziwne wrażenie jadącym, to w każdym razie daleko więcej wywoływała podziwu wśród ludzi spotykanych, nie umiejących sobie wytłómaczyć przyczyny tak niebywałej, tak osobliwej i zagadkowej peregrynacji. Pracujący w polu, lub spotkani po drodze, na widok jadących w łodzi, otwierali szeroko oczy i gęby, ukazywali nas palcem jedni drugim i podbiegali bliżej, a niektórzy nawet pod wrażeniem podziwu, znak krzyża świętego czynili.

Dzień był słoneczny, bez najmniejszej chmurki na całym widnokręgu. Mijamy pięknie nad Biebrzą zabudowany folwark Sieburczyn. Była to w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku siedziba Andrzeja Rembielińskiego, syna po Stanisławie, sekretarzu królewskim. Rembieliński Andrzej, stary kawaler, słynny skąpiec i oryginał, był przytym człowiekiem zacnym, wykształconym i zamiłowanym w sadownictwie. Założony tu przez niego ogród na stoku wyżyny nadbiebrzańskiej słynął swego czasu doborem gatunków owocowych i obfitością róż. Róże sieburczyńskie przypominały mi opowiadanie mojej babki, że za jej młodości (w końcu XVIII wieku), każdy prawie ogród szlachecki w stronach tutejszych posiadał poddostatkiem róż, z których przyrządzano domowym sposobem pachnącą wodę różaną, jako perfumy i do skrapiania podłóg wówczas jeszcze nie malowanych, jak później, ale często mytych.

Ziemia Wizka, jedna z dziesięciu, składających dawne województwo Mazowieckie (były niemi: Warszawska, Czerska, Liwska, Zakroczymska, Wyszogrodzka, Ciechanowska, Różańska, Nurska, Łomżyńska i Wizka), należała do tych pospolitych zresztą okolic nad Narwią, w których przed jakiemiś pięciu wiekami, nie było prawie zupełnie ludności kmiecej i poddańczej, tylko rzesza wolnej szlachty, składająca całą ludność miejscową. Drugiej, podobnej pod tym względem Mazowsza krainy, nietylko nie było w Słowiańszczyźnie, ale któż wie, ażali była i poza jej granicami w Europie.

Posuwając się ku północy, mijamy wsie: Kościelny Burzyn, gniazdo niegdyś Burzyńskich; Brzostowo — Brzostowskich; Pluty—Plutów. Wszystko gniazda rozrodzonej, zagrodowej szlachty w ziemi Wizkiej, stanowiącej północno-wschodni kąt Mazowsza po rzekę Biebrzę i Łękę, a rojącej się rzeszą: Rakowskich, Kossakowskich, Truszkowskich, Tyszków, Makowskich, Grądzkich, Karwowskich, Bagińskich, Trzasków, Supińskich, Mocarskich, Wagów, Konopków, Glinków, Bzurów, Szczuków i innych, którzy byli już tu dobrze zasiedzieli, kiedy jeszcze o dzisiejszych nazwiskach arystokratycznych nikt nie słyszał.

Jedziemy ze szczegółową mapą w ręku, objaśniającą nam nazwy wiosek i kierunek najmniejszych drożyn. Woźnica nasz siedzący w dziobie łodzi nie radzi wierzyć „temu papierowi,'' nie przypuszczając, aby w dalekim mieście, gdzie mapę „nadrukowano,'' mogli ludzie

wiedzieć takie szczegóły, jakich nie wiedzą nawet niektórzy nad Biebrzą urodzeni parafjanie. Ja patrzę w mapę i wskazuję kierunek, bo nie jedzie żadnym traktem woźnica, nie wierząc w mapę, rozpytuje się o drogę ludzi. A ludzi nie brakuje. Na widok łodzi zaprzężonej w sześć gniadoszów i powożonej przez stangreta z galonem na czapce, z walizkami i samowarem po środku, ludzie w domostwach cisną się do okien, dziatwa włazi na płoty i wrota, aby się lepiej dziwowisku przypatrzyć. Dziewczęta szlacheckie są może najciekawsze, ale która ładna, to się chowa za matkę, lub za węgieł swego domu. Takie bowiem widzą dziwo, że im przychodzi pewnie na myśl Antychryst, który będzie jeździł po świecie, jak zapowiadają stare baby.

Przejeżdżamy w kierunku północnym przez tak zwane „Biebrzańskie.'' Gleba tu urodzajna, pola pagórkowate i niesłychanie kamieniste. Wioski drobnej szlachty wyłącznie posiadają domy drewniane i słomą kryte, są dość zacieśnione, a obejmują zwykle po kilkunastu, a nierzadko i po kilkudziesięciu dziedziców zagrodowych. Ulice wiejskie na szczęście niebrukowane, bo gdzie się zdarzy kawałek bruku, to niewiadomo kędy go wyminąć. Domy stoją do ulicy przeważnie bokiem, jak w starych miastach naszych, bo taki był w dawnej Polsce zwyczaj powszechny. Nigdzie nie są budowane w słupy i t. zw. „łątki,'' ale zawsze z długich bierwion zacinanych na węgłach „w kier,'' ociosywanych niegdyś gładko toporem, ale tylko w najstarszych budowlach, bo później wszędzie kłody obrabiane są piłą tracką. Domy te względnie dość obszerne, bo 20 do 30 łokci długie, a 12 do 16 szerokie, budowane prawie wszystkie na dwie strony, czyli jak tu mówią „dwuględne'' t. j. z sienią nie w rogu domu jak w starych chatach włościańskich, ale w środku i dwoma wyglądami z izb po obu stronach sieni. Okna mają spore, a okienko nizkie nad drzwiami wchodowemi wyrzezane pod czapką uszaka łukowato lub esowato. Nigdzie nie są bielone, ale wszystkie mają kominy czyli dymniki murowane z cegły. Tak zwanych „zbrożyn'' czyli dymników plecionych z chróstu i oblepionych gliną, z tych czasów, kiedy w zapadłych okolicach nie można było jeszcze dostać cegły, nigdzie już nie widzimy. W szczytach domów wygląda wszędzie nazewnątrz koniec wyrzynany podbelkowego „tramu“ czyli „siestrzana,“ należącego do tych szczegółów, które nadają słowiańskiej

chacie polskiej typ wyodrębniony i jeden z najcharakterystyczniejszych w rzędzie chat wieśniaczych u innych narodów.

Pod ścianami domów leżały kamienie do siedzenia, a w ogródkach pod szczytowemi oknami rosły malwy, boże drzewko, żółte nagietki, pomarańczowy szaraniec, piwonja z liśćmi pachnącemi, maruna i ruta (do wianków ślubnych konieczna). Płotów i ogrodów wszędzie pełno. Niektóre płoty układane z kamieni polnych na mech bardzo porządnie jak mur wyglądają. Tu i owdzie w sadkach, między domami, widzimy drzewa owocowe: śliwy i wiśnie tradycyjne, częściej jednak dziką starą gruszę, sięgającą gałęźmi nad drogę, wiąz niegdyś przy domostwach na całym Mazowszu i Podlasiu tak powszechny, jałowiec w drzewo wyrosły, lub lipa, a pod nią pnie staroświeckie z pszczołami, czyli t. zw. dzianki ze starych sosen.

Na prawo mamy ciągle jeszcze widok bardzo rozległy na nizinę zabiebrzańską, czyli stronę podlaską. Tu bowiem Biebrza stanowi odwieczną granicę pomiędzy Mazowszem (na którym się w ziemi Wizkiej znajdujemy) i Podlasiem za Biebrzą, ciągnącym się z północy wązkim pasem od Rajgroda i Augustowa na południe pod Tykocin, Bielsk, Ciechanowiec, Drohiczyn i Międzyrzec. Za Biebrzą, w oddaleniu najmniej trzymilowym, spostrzegliśmy ogromną kolumnę dymu, jakiś pożar zwiastującą. Ponieważ nie było najmniejszego wiatru, ani nad ziemią, ani w wyżynach powietrznych, dym więc wzbijał się niezmiernie prosto i wysoko, tworząc majestatyczny kształt wysmukłego kielicha, cienkiego i czarnego u podstawy, a pod stropem firmamentu gorejącego w blasku słońca, niby obłok złocisty, niby żałobna pochodnia czyjejś niedoli, zatknięta na zgliszczach wśród rozległej płaszczyzny. Mapa wskazywała nam, że to musi być pożar ogromnej i zamożnej wsi Długołęki, w powiecie Białostockim.

Korab' nasz ziemnowodny zatrzymał się na chwilę u przeprawy nad rzeką Wissą, prawym dopływem Biebrzy. Właściwie nie było tu żadnej przeprawy, bo ani promu, ani mostu, tylko bród dość głęboki z dnem rzeki najeżonym kamieniami. Trakt nie prowadzi tu żaden, tylko przegon na pastwiska i do lasu, przez który wypadała nam najbliższa droga. Pasterze i pasterki, powracający z za rzeki, przebywali heroicznie bród pieszo, na wzór pędzonych pczed sobą jałowic, unosząc tyl-

ko swoje tuniki. Wjeżdżaliśmy w bród bezpiecznie, bo gdyby wóz nasz nie gruntował, to siedząc w łodzi, moglibyśmy na niej wypłynąć. W rzeczywistości pokazało się jednak inne niebezpieczeństwo, gdyż wóz zanurzywszy się po osie, nagle wjechawszy na duży kamień podwodny, nachylił się tak mocno, że chwilowo byliśmy już pewni, iż z walizkami, a co najsmutniejsza z bigosem wziętym na drogę, zostaniemy wysypani w wodę rzeki i łodzią naszą nakryci.

Po godzinnym popasie w borku sosnowym za Wissą, ruszyliśmy dalej. Drożyn dowolnie wyjeżdżonych przez ludzi wożących drzewo było w lesie bez liku, więc zbłądziliśmy niebawem, z czego woźnica nasz tryumfował:

— A co—zrzędził, nie mówiłem ja panom, że ta mapa nie zastąpi ludzkiej gęby.

Na nieszczęście mrok wieczorny wśród gąszczów leśnych już zapadł, ciężki nasz wehikuł ziemnowodny ugrzązł w błotnistym parowie, a tu „ludzkiej gęby“ do rozpytania o drogę ani na lekarstwo. Zaczęliśmy więc nawołując, hukać po lesie i z prawdziwą radością usłyszeliśmy, jak odezwał się nam głos ludzki. Był to pastuszek goniący do domu swój dobytek. Wyjrzał z zarośli, ale spostrzegszy w lesie łódź, zaprzężoną w sześć koni, schował się szybko za krzaki. Musieliśmy tedy zrobić formalną obławę na jego cielęta jak na wilki i tym sposobem odszukać ich mentora. Ośmielony chłopak wyprowadził nas rychło do poblizkiej, dużej porządnie zabudowanej, widocznie zamożnej wsi Karwowo, zamieszkanej wyłącznie przez cząstkową szlachtę mazowiecką, a będącej, mówiąc nawiasem, od pół tysiąca lat rozsadnikiem Karwowskich w byłej rzeczypospolitej.

W piękny, księżycowy wieczór letni, drogą szeroką ruszyliśmy dalej z Karwowa i minąwszy Klimaszewnicę wjechaliśmy do wspaniałego, sosnowego boru, który w głębi stał się bardzo gęstym i ciemnym. Znowu więc drogi nie widzimy przed sobą, a tylko uczuwamy po biegu naszych koni, że zwierzęta te, ostrzejszym od ludzi, obdarzone wzrokiem, mają pewną drogę pod kopytami. Łódź nasza zawadza często o sosny i co chwila każe się spodziewać, że nachylona w wybój pozbędzie się ciężaru ludzi z ich pakunkami, samowarem, talerzami, bigosem i t. d. Radziliśmy tedy, czy nie lepiej byłoby rozbić namioty i zanocować w głębi lasu. Właści-

wie nie mieliśmy z sobą żadnego namiotu, tylko dery końskie i prześcieradła do noclegu na sianie. Ale przedhistoryczni mieszkańcy z nad Biebrzy, których śladów mieliśmy poszukiwać, pewnie i takich przedmiotów zbytku nie posiadali. Stanęliśmy i zaczęliśmy wyłazić z łodzi. Bór szumiał poważnie i uroczyście. Był to wśród ciszy nocnej, jakby potężny szept całego narodu wiekowych sosen, szept przeszłości do Boga i do gwiazd, na ciemnym błękicie nieba gęsto rozsianych. Z pod niebios dolatywały dzikie i przeciągłe wołania krążących nad borem puszczyków, jak złowieszczych duchów nocy i śmierci, bo istotnie polujących na drobne ptactwo leśne, a w mniemaniu ludu przepowiadających duszom ludzkim odlot z ziemi. We wrzosach migotały jak iskierki robaczki świętojańskie, które bujna wyobraźnia turystów poszukujących wrażeń mogłaby porównać do ślepi wilków zewsząd otaczających nasz obóz.

Zygmunt Gloger.

Sukiennice krakowskie.

Do najstarszych budowli w Polsce należą Sukiennice krakowskie. Jako zabytek odległej przeszłości mają dla nas Sukiennice urok pamiątkowy, do każdego polskiego przemawiający serca; jako dzieło architektury są komplikacją dwóch rozmaitych stylów: gotyckiego i renesansu, świadczącą, że gmach ten, nie odrazu zbudowany, w rozmaitych powstawał czasach, które na nim piętno smaku swego kolejno wycisnęły. Restaurator dzisiejszy miał tu trudne zadanie: zachowania pierwotnych cech budowli a zarazem sharmonizowania tej różnolitości architektonicznej w pewną estetycznie uzupełniającą się całość.

Sukiennice są nadzwyczaj ciekawą księgą, w której kartach warto się rozpatrzyć.

Początek Sukiennic datuje się jeszcze z XIII wieku. Bolesław Wstydliwy założył w roku 1257, wpośród rynku krakowskiego, sklepy na skład i sprzedaż sukna— stąd Sukiennicami zwane. Wiadomo, że kupcy zagraniczni mieli obowiązek, przewożąc towary ze Wschodu na Zachód i odwrotnie, przez Polskę, zatrzymywać się

czas dłuższy w miastach posiadających na to przywileje królewskie, że byli obowiązani mieć tu swe składy, celem zaopatrzenia miast rzeczonych towarem, przez Polskę przewożonym. Z ożywieniem się owych dróg handlowych wzrastał też wogóle handel w Polsce, a zwłaszcza w Krakowie. Przybywała potrzeba coraz znaczniejszych składów, coraz też bardziej mnożyła się liczba owych założonych przez Bolesława Wstydliwego sklepów w rynku krakowskim, albowiem późniejsi królowie, w miarę wzrastającej potrzeby, kazali budować nowe. Ciągnęły się one podwójnym szeregiem naprzeciw siebie, od północy ku południowi, wzdłuż rynku, podówczas jeszcze po większej części drewnianemi zabudowanego domami, i te to sklepy utworzyły pierwotny szkielet późniejszych Sukiennic. Nie były one wówczas jeszcze połączone w jedną, jak dziś, budowlę, lecz sklep każdy stał osobno, tuż jeden obok drugiego, tworząc tym sposobem długą ulicę bazarową; a przybywało ich, jak powiedzieliśmy, z biegiem czasu coraz to więcej.

Sklepy te urządzone były w ten sposób, jak wschodnie bazary. Kupujący nie wchodził do środka, lecz pozostawał zewnątrz sklepu, który obok wnijścia miał okiennicę zwodzoną. Ta spuszczała się i służyła za stół do rozkładania towarów.

Poziom rynku krakowskiego był wówczas o wiele niższy niż dzisiaj. Z biegiem czasu podnosił się on ciągle i bardzo znacznie. Kładziono bruk na bruk, a w miarę podnoszenia się poziomu zewnętrznego, malały sklepy, wypadało więc podnosić podłogę wewnątrz nich. Jakoż przy teraźniejszej odnowie Sukiennic znaleziono w nich aż cztery warstwy bruku, jedną na drugiej, tak iż dzisiejsze piwnice, leżące równo z najniższym brukiem, musiały być pierwotnie owemi sklepami służącemi na skład i sprzedaż towarów.

Ulica środkowa, pomiędzy obu szeregami tych sklepów, zamykała się z obu końców, od północy i południa, wielkiemi drewnianemi wrotami. Tu wjeżdżały na noc wozy z towarami i stały bezpieczne przy wrotach zamkniętych. Niewygodnie wszakże było trzymać tak towar pod gołym niebem, zwłaszcza podczas niepogody, deszczu lub zimowej śnieżycy. Człowiek lgnie zawsze ku czemuś lepszemu, a ta jego dążność bywa bodźcem wszelkiego postępu. Tak było i tutaj. Dla dogodności przybywających z towarami kupców, postanowiono po-

kryć dachem ulicę pomiędzy sklepami sukienniczemi i tym sposobem takowe połączyć.

Było to z końcem XIV wieku. Ruch budowlany w Krakowie, pobudzony przez Kazimierza Wielkiego, był wówczas bardzo ożywiony. Wiadomo z powtarzanego powszechnie przysłowia, że „Kazimierz W. zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną.“ Wszelako ruch ten nie ustał z jego śmiercią. Przeciwnie, rozwinął się jeszcze i ożywił, a najpiękniejsze i najwspanialsze zabytki architektoniczne posiadamy z czasów Jagiellońskich. Wieki średnie w całej Europie odznaczały się w dziedzinie sztuk pięknych głównie architekturą. Później zakwitło malarstwo, ozwała się poezja, zapełniły się galerje obrazów, muzea i bibljoteki. Wieki średnie myśl swą objawiały monumentalnemi dziełami z kamienia i cegły i rzeźbionej w granicie koronki.

Popęd do budownictwa przeniósł się z zachodniej Europy do Polski i oto w drugiej połowie XIV wieku przybywa stamtąd wielu architektów do Krakowa, znajdujących tutaj zajęcie, sławę i pieniądze. W tym to czasie, już za panowania Jagiełły, przebudowuje się i uzupełnia zamek królewski na Wawelu, przeobrażają fortyfikacje miejskie, buduje się wiele kamienic prywatnych. Sprowadzony z Pragi budowniczy Wernher sklepił kościół Panny Marji; wówczas też zbudowano kościołek św. Barbary, a Marcin Lindintolde pracował około murów fortecznych i ratusza.

Gdy tedy postanowiono połączyć dachem kramy sukiennicze, powierzono tę robotę temuż Marcinowi Lindintolde'mu, jako najznakomitszemu, jak się zdaje, podówczas architekcie miejscowemu, który robotami swemi około fortyfikacji i ratusza dał już dowody niepospolitego uzdolnienia.

Było też to zadanie, wymagające zarówno wielkiego znawstwa techniki mularskiej, jak i poczucia artystycznej twórczości. Chodziło bowiem nietylko o umocnienie w ten sposób murów sklepowych, aby zdołały unieść dach na sobie, ale zarazem o powiązanie ich w jednolitą budowę i nadanie artystycznej powierzchowności, o stworzenie ornamentyki, zacierającej szpetne strony pierwotnych budowli i nadającej całości cechę stylu architektonicznego.

Styl gotycki panował przeważnie jeszcze wówczas w zachodniej Europie i w Polsce. Cechę gotycką musiały zatym przybrać i Sukiennice.

Sukiennice, jakie wyszły z rąk mistrza Marcina Lindintoldego w r. 1395, nie były gmachem wspaniałym—ale odznaczały się jednolitością stylu — były gmachem czysto gotyckim.

W takim kształcie przestały Sukiennice krakowskie przez całe półtorasta lat. Marne atoli są widoki ludzkie i nic wiecznego pod słońcem! Biegiem czasu lub siłą przypadku w gruz rozsypują się, wraz z nadziejami i butą ludzką, gmachy z kamienia i cegły budowane. W roku 1555 pożar pochłonął Sukiennice, zniszczył w znacznej części dzieło Lindintoldego i kazał myśleć o odbudowaniu gmachu, którego byt związał się już był tradycjami kilku wieków z Piastowską i Jagiellońską stolicą.

Skończyła się era gotycyzmu, zastąpił go renesans w całej Europie, a zatym i u nas. Ostrołuk gotycki i wzorzystą koronkę kamienną zastąpiły wdzięczne greckich kolumn rzędy i sklepienie romańskie.

Były to czasy, w których Polska całe swe niemal wykształcenie z Włoch czerpała. Z ojczyzny dumnej Sforcjów córy, małżonki Zygmunta I, przychodziło do nas zdawien dawna światło, obyczaj i mądrość klasyczna. Ktokolwiek dążył do wyższego wykształcenia, kto tylko mógł i miał sposobność i środki potemu, ten zwracał się myślą ku Włochom i jechał czerpać u źródeł tamtejszych mądrość starożytnej Grecji i Rzymu—tam w atmosferze klasycznej umiejętności i sztuki przygotowywał się do służby publicznej w ojczyźnie. Jeździli też wprawdzie Polacy po naukę na uniwersytety do Paryża i Pragi, ale głównie w tym celu zdążali do Włoch, a uniwersytety bonoński, padewski i rzymski przepełnione bywały Polakami, odgrywającemi na nich znaczną rolę, bo i posady rektorskie nawet dzierżyli. Czytając bijografje znakomitych naszych mężów XVI wieku, czy to uczonych, poetów, czy statystów, nie znajdujemy prawie żadnego, któryby nie kończył wykształcenia na jednym z uniwersytetów włoskich, lecz wzorem Mikołaja Reja z Nagłowic nie wychylił się całe życie z rodzinnego kraju na naukę poza Alpy.

Z Włoch tedy przychodziła do Polski umiejętność i sztuka—na tamtejszych wzorach kształcił się smak estetyczny. Z Włoch sprowadzeni do Polski artyści budowali i przyozdabiali kościoły, gmachy publiczne i dwory pańskie. Najpiękniejsze i najwspanialsze zabytki budowlane z owych czasów, jak np. kaplica Zygmuntow-

ska w Katedrze Wawelskiej, jeden z najpiękniejszych pomiędzy niemi, są dziełem sztuki włoskiej i Włochów artystów, w tym celu hojnym monarszym sumptem sprowadzonych.

Pomiędzy artystami pracującemi około tejże kaplicy był także sprowadzony do Polski, jak się zdaje około roku 1530, Jan Marja z Padwy, Giovani Marja Fabrucci, od rodzinnego miasta zwany przez Włochów Padovano. Był on właściwic rzeźbiarzem; miał wielką sławę i wziętość w Polsce, gdzie po nim pozostały rozmaite dzieła architektoniczne i rzeźbiarskie.

Temu to artyście poruczono odbudowę Sukiennic po pożarze roku 1555. Rynek krakowski przedstawiał widok przerażającego zniszczenia. Opalone sterczały mury zasypane gruzami.

Kraków kochał swe Sukiennice. Nie żałowano też kosztu, aby one odrodziły się, ale w piękniejszej, w świetniejszej niż przedtym szacie. Rzecz naturalna, że musiały być odnowione w smaku włoskim, w tym stylu, w jaki na wzór zamku królewskiego przyodziewał się teraz cały Kraków, jakim wdzięczył się tuż obok Sukiennic stojący piękny ratusz i wszystkie niemal nowsze budowle Jagiellońskiej stolicy.

Włoski budowniczy rozebrał gotyckie gzymsy, szczyty szkarp, a natomiast wzniósł górą całego budynku piękne ozdoby renesansowe z wzorzystym ornamentem, i przyozdobił szczyt jej symetrycznie rozstawionemi naprzemian maszkarami i wazonami urozmaicającemi wrażenie. Owe grymaśne, na wpół potworne maszkary przenosiły widza w podniebia południowe, przypominały karnawał wenecki, włoskie pustoty. I tak przestały Sukiennice, z małemi może odmianami, aż do naszych czasów.

Trzysta lat, trzy wieki spełna, ciężko uszkodziły budowlę Padovanina. Ząb czasu srogo się z nią obszedł. Zczerniałe wiekiem, z porysowanemi tu i owdzie murami, poobijanemi gzymsami i ozdobami, z opadłym w wielu miejscach tynkowaniem, zabrudzone i grożące niebawem ruiną; takie były do niedawna Sukiennice krakowskie i takiemi pamiętamy je wszyscy.

Ale gmach połączony tak ściśle od sześciuset lat z pamiątkami i dziejami Krakowa, ów drogi zabytek sztuki starożytnej, poważny tradycjami doń przywiązanemi, nie mógł runąć w gruzy; byłby to albowiem ciężki grzech niedbałości, niczym niepowetowany, którego

społeczność nasza dopuścić się nie mogła. Od lat kilkudziesięciu zajmowano się już myślą odnowienia Sukiennic, których coraz bardziej zniszczeniu podpadające mury sterczały śród krakowskiego rynku, niby dotykalnym wyrzutem nieuszanowania zabytków przeszłości przez pokolenie żyjące; śród tego rynku, gdzie każda stopa ziemi, każda niemal murów cegiełka ma swą tradycję—uświęconą przemawia pamiątką.

W r. 1818 senat krakowski zwrócił uwagę na potrzebę odnowienia Sukiennic. Poruszył wówczas tę sprawę ks. kanonik Sebastjan Sierakowski, ale rzecz poszła w odwłokę.

Myśl odnowienia Sukiennic nieprzerwanie odtąd zajmowała krakowian. Zawiązywały się w tym celu komisje, ale za każdym razem nieprzyjazne okoliczności nie dozwoliły przystąpić do wykonania dzieła.

Potrzeba było wielkiej energji, zapobiegliwości, potężnej woli prezydenta miasta dr. Zyblikiewicza, aby trudne dzieło doprowadzić do skutku.

Poruczono wykonanie odpowiedniego planu młodemu architekcie Prylińskiemu, przybyłemu świeżo z Zurychu. Dano dowód wielkiego zaufania w zdolność i naukę p. Prylińskiego, gdy to ważne dzieło tak młodym i niedoświadczonym jeszcze powierzono siłom. Pierwsze to pole popisu, piękne zaiste, równie jak trudne otwierało się młodemu artyście. Aby się zeń dobrze wywiązać, aby w odnowionym budynku pozostawić nienaruszone cechy pierwotnego stylu, trzeba było wielkiej znajomości tajemnic sztuki, wyrobionego smaku, potężnej twórczości i zamiłowania rzeczy. Fantazji twórczej nie brak było młodemu architekcie; chodziło też o to, aby ona nie zatarła tego, co w odnowić się mającym starożytnym gmachu uszanować a nawet uwydatnić należało.

Rzućmy pobieżnie okiem na gmach odnowiony, jak wyszedł z ręki dzisiejszego budowniczego. Oto widzimy w górze wspaniałą attykę, dzieło Padovanina, ciągnącą się po obu bokach wzdłuż całego budynku. Attykę tę o wzorzystych lekkich esach, przyozdobioną symetrycznie ustawianemi u jej szczytu na ciosowych podstawach maszkarami Padovaninowskiemi, przerywają w pośrodku z obu stron budynku, od ulicy Siennej i Szewskiej, dwa frontony po nad bramami, których ornamentyka, osnuta na wzorach wziętych z Zamku królewskiego i innych ówczesnych budowli, odpowiada cha-

rakterowi stylu Padovana. Na facjatach, po nad frontonami, umieścił dzisiejszy budowniczy Djanę z półksiężycem, przenoszącą nas w mitologiczne starożytnej Grecji czasy. Najwybitniej atoli cechują najnowszą odnowę Sukiennic dodane wzdłuż nich podcienia z gotycką, nizką kolumnadą, połączoną sklepieniem ostrołukowym. Dzisiaj, gdy po oczyszczeniu rynku z wszelkich przeszkód wzrok tamujących, odsłonił się zdaleka widok na całe Sukiennice, powstała konieczność przyozdobienia architektonicznie ścian budynku w ich części dolnej. Z tego to powodu dodano obecnie owe podcienia, stanowiące piękną bocznych stron gmachu ozdobę. Że budowniczy dzisiejszy, uzupełniając w ten sposób budowlę, potrafił nie wywołać przykrego dysonansu z pomieszania stylu dwóch epok, w tym jego zasługa i za to dank mu się należy.

Godne uwagi są piękne kapitele kolumn, tworzących amfiladę podcieni, wykonane według rysunków p. Prylińskiego przez p. p. Gadomskiego i Lipińskiego. Składają się one z fantastycznie powiązanych lotusowych liści i kwiecia, z muszli, z podpierających je głów męskich i niewieścich, typowo polskich, w najrozmaitszych czepcach, naczółkach, kołpakach i t. p., które niegdyś stroiły głowy mieszczan i mieszczek krakowskich. Słusznie powiedziano, że modniarki nasze mogłyby tu skorzystać z niejednego wzoru, pełnego wdzięku, dawne czasy i dawny smak nasz rodzinny przypominającego.

Po nad kolumnadami obu podcieni ciągną się tarasy, otoczone gotycką balustradą, z których wspaniały roztacza się widok na rynek krakowski i dalsze okolice miasta.

Najwybitniej przedstawia się charakter stylu Sukiennic w głównych frontonach od ulicy św. Jana i Brackiej. Szlachetny rysunek Padovana występuje tu w całej jeszcze okazałości, najmniej ręką dzisiejszego budowniczego przeobrażony. Frontony te bardzo podnoszą piękność budowli. Nad głównym wejściem umieszczono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, oddając gmach odnowiony orędownictwu Królowej nieba i ziemi.

Wewnątrz główna sala Sukiennic pozostała tak jak przedtym. Mając 180 łokci długości, może swobodnie pomieścić 6 do 7 tysięcy osób, czego byliśmy świadkami podczas obchodu jubileuszu Kraszewskiego. Obecnie dano w niej podłogę asfaltową i zamiast dawnych pająków wprowadzono oświetlenie gazowe. Najwspanialej przedstawia się widok tej olbrzymiej sali, gdy gaz za-

palony, rzeką światła u górnych płynąc sklepieni, całą przestrzeń blaskiem dziennym oblewa. Sale piętrowe, urządzone gustownie, z oświetleniem z góry przez szklane kopuły wpadającym, przeznaczone są na pomieszczenie Galerji obrazów i Muzeum przemysłowego.

Takiemi wyszły Sukiennice z rąk dzisiejszego ich restauratora. I znów przesunie się nad ich czołem cały może szereg stuleci, które świadczyć będą o uszanowaniu przez pokolenie dzisiejsze pamiątek, o naszym smaku estetycznym, o naszych pojęciach piękna i zapatrywaniu się na sztukę dawniejszych czasów. Bądźcobądź nie powstydzimy się tego dzieła wobec przyszłości.

Władysław Zawadzki.

Step ukraiński.

Osobliwy jest widok stepów Ukrainy! Cały świat zdaje się tu leżyć otworem, a choć oko nie zdoła objąć tego, co widzi, myśl jednak człowieka tęskni za rozleglejszym widokiem. Stąd ta ukraińskiego ludu rzewna tęsknota, która się w jego pieśniach rozlała.

Nigdzie nie ujrzyć drzewa na właściwym stepie, i tylko gęstą trawą porasta odłóg wieczysty. Jedynemi wynioślejszemi miejscami są liczne mogiły.

Odmiany, jakie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadlisk ziemi. Są to albo wądoły, suche kotliny, albo małe jeziora, *bałkami* zwane, czasem rzędem obok siebie leżące, czasami zosobna, bez własnej wody i widocznego odpływu. Brzegi tych jeziorek są zwykle trzciną i tatarskim zielem porosłe, lub ogromnemi kępami skrzypów najeżone, a śniegi i deszcze zasilają kotliny wodą. Podobne kotliny i zapadliska, ale suchsze i płytsze czasami, ciągną się nieraz na milę wzdłuż stepów i porastają całe lasem pierzastej trzciny. Są to tak zwane *oczerety*, po których, jak po kniejach, całemi dniami myśliwi polują i błądzą. Szelest tych oczeretów, wichrem zamąconych, wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów, ani z szumem wód nie dający się porównać, ostry, szorstki, przykry, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie zgodny z widokiem tej ziemi, z ojczyzną mogił.

W miejscach, gdzie się step widoczniej i naglej stacza, lub ku rzekom przybliża, ciągną się tak zwane *wyrwy*, które są początkiem jarów i w jary częstokroć przechodzą. Tutaj urywa się ziemia i ciągną się głębokie, chłodne doły, a nagle kraj się ożywia. Zbocza tych jarów, miejscami nagie i skaliste, porastają rozkosznemi drzewami różnego rodzaju, zazwyczaj widać tu dęby i brzozy, jawory i brzosty, jesiony, lipy i klony czarne, obok siebie rosnące, dereniami i leszczyną gęsto podszyte. U dna, na wycięciu lub wklęsłości takich jarów, bije zwykle krynica i sączy się niekiedy ruczaj, a lud nazywa takie porosty mieszanego drzewa *czaharami*, *bajrakami*. Drzewa te są bujniejsze i większe, niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeża do późnej jesieni.

Piękna jest roślinność stepów na wiosnę. Dziki szparag i tulipan polny wykluwa się z ziemi. W majowych trąbkach zwita, pnie się trzcina do góry. Bujnie rośnie burzan i łoboda, ostro wystrzela oset, a gdy później trawa huknie, to trawy w pas, burzan wyżej głowy, a w bodiakach schowa się chłop na koniu i z dzidą i jest do czego konia uwiązać.

W tej puszczy bodjaków, w tym morzu traw niezbrodzonych przeżywia się mnóstwo niespłoszonego zwierza i dzikiego ptactwa wszelkiego rodzaju!... Jak nad morzem, przeciągają nad stepem łańcuchy żórawi. Tabun dzikich koni buja swobodnie. W trawach leżą woły stadami. Dropie gnieżdżą się w zbożach, a po jeziorkach tłucze się ptactwo. Lis przemyka po gęstwinie, a wilk kryje się w oczeretach. Tam wzleciały kuropatwy, tu zerwał się z pod nogi zaspany puhacz stepowy. Na wznak przewrócone, zmrużywszy oczka, grzeją się na słońcu pardwy, a na nie bije z góry sokół. Susły i chomiki ryją grunt nieuprawny. Czasami przemknie dzika koza (sumak), lub polna łasiczka i zginie w bodjakach. W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żórawim szyku pustkowiem. Pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stepy orzeł zaporoski.

Wschodnie wiatry, panujące na stepie, przeciągłe są i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek. Rzadki dzień spokojny, tylko rankami i wieczorami wiatr się ucisza. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu po burzliwym dniu. W czasie upałów

letnich powiewa od wschodu wiatr spiekły i cała noc nie wystarcza nieraz na wychłodzenie tej spiekoty. Kiedy po zupełnym uciszeniu się wiatru słychać tylko lekki szum trawy, a potym znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą, zda się, jakby z gorejącego pieca upał powionął. Zwierz szuka jamy, ptactwo sowieje, roztwiera dzioby i opuszcza skrzydła, a człowiek opada z sił i z myśli. Termometr wznosi się wówczas na 30°, a nawet 34° ciepła w cieniu.

Piękna jest noc na stepie! Czasami wieczorem uciszą się wiatry, i tak spokojnie w powietrzu, iż nawet gwarliwe milkną oczerety. Głęboko roztwiera się niebo, i jaśniej, niż nad puszczami, wyjaśnia się mleczna droga. Koń, chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i strzyże czujnie uszami, a głucho na milę tętni ziemia pod kopytami tabunu. Słychać lot dzikich kaczek, wracających stadami z żeru na jeziorka; szumnie wachlują lotkami wśród ciszy!... Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami. Przepiórki kwilą w zbożach; bąk wodny huka po trzcinach.

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy; nizko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej, a na krótkiej świętojańskiej nocy, zaledwo zgasła na zachodzie, a już świta od wschodu, i zda się, że się tej nocy jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła.

Mgły lekkie słać się poczynają, gwiazdy bledną, ogniska popieleją... Koń grzebie ziemię, śpiący step się trzeźwi, a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wichr stepowy od wschodu.

Szczególną ozdobą ukraińskiego stepu są rozsiane po nim tak zwane *futory*.

Są to małe zagrody, czasami wśród lasków, sady, czasami pasieki, a niekiedy i kawałki ornego pola, w zaciszu uroczysk (kopców granicznych), padołów lub jarów leżące, które po ustroniach zdala majaczeją, przerywając jednostajność stepów... Co za widok, kiedy wiosną zakwitną futory! Jak mlekiem oblane, bielą się całe padoły, krajem rozrasta się krzewiasta czeremcha, najwyżej wystrzela czereśnia, najpotężniej grusza. Białą patokę, miód bodjakowy, składa pszczoła w małych ulach, a nad futorem wznosi się rankami i wieczorami dym błękitny z małego ogniska, nad którym się stary zadumał pasiecznik... Bywa tu zwykle i woda, i zacisze i chłód; czasem bywają przy futorach i toki ze zbo-

żem, i stogi z sianem i koszary z bydłem pod gołym niebem.

Czasem leży kilka, a nawet kilkanaście futorów w jednym lesie pomiędzy rozrosłemi jarami. Przy każdym z nich są sady; kiedy sadowina na wiosnę zakwitnie, wyglądają mleczne płaty z pomiędzy zieloności lasów, i już zdaleka policzysz naówczas futory.

W. Pol.

VII. Z PODRÓŻY PO ZA KRAJEM.

Kościół w Nazarecie.

Zbliżając się do Nazaretu, musiałem wstępować na wysokie góry: droga była przykra i skalista. Na samą myśl, że wkrótce ujrzę Nazaret, serce biło żywiej i wzrok się wytężał. Cieszyłem się jak dziecko, wracające po długiej niebytności do rodzinnego domu. Nazaret rodzi uczucia, pełne radości bez żadnego smutku. Tu Najświętsza Dziewica, nieznana światu, kwitła jak rajska lilja na pustyni, tu Anioł zwiastował dziwne wcielenie Boga. Tu w cichości Zbawiciel rósł w łasce u Boga i ludzi; tu Józef oblubieniec pracą ciesielską utrzymywał Świętą rodzinę; tu Królowa dobroci swe serce, nieprzeszyte jeszcze siedmiu mieczami boleści, napawała pociechą na widok Syna i Boga. Wspomnienie tego cichego, wiejskiego życia, pełnego szczęścia, pokoju i miłości budzi jakieś ciche i słodkie rozrzewnienie. Już wstępowałem na górę, pod którą Nazaret leży, a jeszcze go nie widziałem. Święte miejsce nagle się ukazało, kiedyśmy na szczyt przybyli. Wśród natłoku pierwszych uczuć nic nie mogą widzieć dokładnie oczy, tylko serce ustawnie powtarza: „Tu więc Zbawca i Najświętsza Panna mieszkali! Ile razy świętemi stopy ubłogosławiali tę ziemię! Kto wie, może nawet szli po tej drodze?“ Dusza niespokojna rwała się do świątyni, gdzie było niegdyś mieszkanie słodkiej Dziewicy.

Po wstąpieniu do kościoła nie śmiałem wejść do samego miejsca Zwiastowania, skąd lampy błyskały, lecz z daleka upadłem na kolana i złożyłem dzięki i powitanie tej ukochanej Matce naszej przed progiem dawnego

Jej pomieszkania. Chłopczyki arabskie i księża śpiewali litanję i różne hymny, ich ładny śpiew włoski jeszcze mię więcej rozczulał! Łzy radości pomimowolnie oblały twarz. Kapłan przystąpił, udzielił zwykłego błogosławieństwa pielgrzymom i modlił się za mnie: wtedy, dla ukrycia łez i wzrastającego wzruszenia, schyliłem się ku ziemi, a w duszy się rozjaśniło i nieznana ufność wstąpiła do serca: „Ta Matka litości — myślałem — błagana, a jeszcze we własnym pomieszkaniu, nie odmówi swego błogosławieństwa.“

Kościół Zwiastowania stoi na miejscu, kędy było mieszkanie Najświętszej Marji; ma formę ledwie nie kwadratową. Wewnątrz ta piękna świątynia jest wsparta na dwóch rzędach czworogrannych pilastrów, połączonych między sobą sklepionemi arkadami, i przez to dzieli się na trzy nawy. Ściany i filary, pokryte pięknym adamaszkiem, ładny i bogaty widok przedstawiają. W środkowej nawie wznosi się presbiterjum na jakich pięć łokci nad posadzkę kościelną, a pod nim w kształcie bramy jest wchód do groty. Po pięknych marmurowych schodach zstępuje się na dół, gdzie jest jakby mały pokoik, wyłożony zupełnie marmurem.

Tu był domek Najświętszej Panny. W tym to miejscu zajmowała się Najświętsza Panna gospodarstwem i tu wiele chwil przepędził Zbawiciel. Domek ten łączył się wedle ówczesnych zwyczajów z przyległą grotą. Ta grota Wcielenia dzieli się ołtarzem, w środku wzniesionym, na dwie komórki. W pierwszej jest sławna granitowa kolumna, mająca blizko półtrzeciej stopy średnicy, a wysoka na pięć łokci, którą Arabowie w nadziei znalezienia wewnątrz ukrytego skarbu podrąbali zupełnie, tak, że teraz, przytwierdzona tylko do sklepienia, wisi na 18 cali od swej podstawy. Tę przełamaną kolumnę, jakby cudem wiszącą, uważa lud tutejszy za jedyne lekarstwo we wszystkich cierpieniach i możesz widzieć chorych różnego rodzaju, jak z wiarą starają się otrzeć o nią. Ta część kościoła została z dawnej budowy: wisząca kolumna była postawiona przez świętą Helenę, dla oznaczenia miejsca, na którym Anioł Gabrjel pozdrowił Marję; a gdzie teraz ołtarz, tam wówczas modliła się najczystsza Dziewica. W ołtarzu jest ładny obraz Zwiastowania, pędzla włoskiego; przed ołtarzem miejsce, wyłożone marmurem i ozdobione płaskorzeźbą, wokoło której znajduje się napis złotemi literami: „Słowo ciałem się tu stało.“ Na tym miejscu wisi pięć lamp

srebrnych, które się palą. Po obu stronach głównego wchodu mieszkania Najświętszej Panny są piękne stopnie z marmuru, wiodące do presbiterjum, będącego nad grotą. Presbiterjum, wyłożone różnokolorowym marmurem, otacza krata wyzłacana, z ładnym rzeźbieniem, dzieło jednego zakonnika. Za ołtarzem znajduje się oddzielny chór dla zakonników, w głębi którego jest wysoko na ścianie wielki, bardzo piękny obraz Zwiastowania.

Po prawej stronie w pobocznej nawie jest ołtarz św. Józefa Oblubieńca, a po lewej św. Anny. Wszystkie ściany kościoła obwieszone obrazami Zwiastowania. U drzwi piękny chór, na którym znajdują się rzadkie tu organy. Nabożeństwo w tej świątyni trwa aż do południa, a potym około czwartej po obiedzie odprawiają się nieszpory i procesja następującym porządkiem: po modlitwie przed Najświętszym Sakramentem śpiewają ten piękny hymn: „Witaj, gwiazdo morska!“ i idą do ołtarzy św. Józefa i św. Anny; stamtąd wracają do wielkiego ołtarza, nucąc hymn o św. Gabrjelu. Nareszcie kapłan kończy to nabożeństwo modlitwą za Kościół, za królów chrześcijańskich, za dobroczyńców, za nieprzyjaciół i za Ziemię świętą, którą modlitwę przytoczę, jako dowód zupełnego niewtrącania się Turków do nabożeństw chrześcijańskich.—„Boże, który dziwną opatrznością rozporządzasz wszystkim, błagamy Ciebie, abyś tę ziemię, którą Syn Twój jednorodzony własną krwią poświęcił, z rąk nieprzyjaciół wyrwał i dozwolił, aby tu wszyscy w chrześcijańskiej wierze służyli Twemu Imieniowi!“

Ks. Ignacy Hołowiński.

z „Pielgrzymki do Ziemi Świętej.“

Z listów Juljusza Słowackiego do matki.

Gienewa d. 21 sierpnia 1834.

I.

Najdroższa Mamo moja! List ten kilku dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewana.

Bawiąca tu pani Wodzińska, wyjeżdżając z familją, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do

mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze i wziąwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu moim nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed mojemi oczyma.

Nim przystąpię do opisania podróży mojej, muszę Matko droga, rzucić się do nóg Twoich i podziękować Ci za to, że wróciwszy do domu, zastałem od Ciebie przysłaną mi spokojność; niepewność o Ciebie dręczyła mię podczas całej wędrówki, myśl o Tobie nie odstępowała mnie; ileż razy chciałbym trzymać Ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przede mną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię, jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich; było mi smutno i miło.

Abyś mię sobie, Mamo, dobrze wystawić mogła, muszę Ci opisać mój fantastyczny ubiór: miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć nizki, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką; do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij, wyższy ode mnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat piętnaście wieku.

Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani W. dwie jej córki, panna Marjanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów p. W., jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonję. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.

Rano 31 lipca, statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Paquis, i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potym Lausanne, za Lausanne Veraj, z drugiej zaś strony cały Meilleriet.

Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Ville-Neuve! Tam najęty powóz zawiózł nas do Bex, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy podziemnemi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginację, zwłaszcza rozsadzanie skały prochem. Nie będzie Ciebie, Mamo moja, interesował wojaż, wyszczególniający tylko miejsca popasu i noclegu; opiszę Ci więc tylko niektóre, bardziej zajmujące miejsca. Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru św. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja, jak ci ludzie wydawali się mrówkami! O godzinie piątej wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potym między skałami w ciemnym, mglistym powietrzu ukazał się klasztor.

Ksiądz gwardjan w czarnym habicie stał na ganku, pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty, za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno-ołowianego koloru jezioro. Spaliśmy w celach, zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda, jak salon światowy, a siedzące koło kominka towarzystwo śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blizko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! W różnych pozycjach zmarzli siedzą, leżą, jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok, Mamo, moja! Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny: po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Gheni! Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest stercząca, że nie do góry, lecz do muru gładkiego jest po-

dobna: droga, w gzygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp, wierzyć nie może, aby wejść można było.

Na zielonej równinie, pod tą górą, leży sławne wodami miasteczko Luéche; żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, po niej rozsypanych, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... i znów nic widać nie było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety. O, Matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o Tobie, ileż razy cisnął się do moich ust refrain Goethego:

Czy znasz ten kraj? znasz go o, moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thun, Brienz, do sławnej Giesbach; gdym patrzył na nią, przychodziła mi na myśl Zofjówka, a potym łańcuch myśli rozciągał się dalej, do Wierzchówki; byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady, Giesbach, damy nasze, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucerny, my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami: Lauterbrun i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrun spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubbach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija w pośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło; tam widziałem z gór spadają-

ce lawiny. Huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów. Matko moja! jakieby to były czarujące wspomnienia, gdybym je sobie kiedy między Wami mógł przypominać i o przeszłości marzyć!

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberża na tej górze jest najwyższym mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzyć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci; mróz nam dopiekał, ale też jaki widok!

O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu; słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych; niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaści, błyszczące jeziora, cała Szwajcarja pod nami, widna, jasna—a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Rhigi. Na tę górę dążą wszyscy podróżni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny: góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacji człowieka: można z niej patrzyć na Szwajcarję bez przerażenia; a ja patrząc, o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem; nie wiem, dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhasli; byłem w Rosenlani, prześliczne widziałem lodowce, byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu; u nóg moich ogromne przepaści i potok lody podrywał; ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca padały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że Ty, moja Mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie Twój syn był, gdzie myślał o Tobie. Obrazy, które sobie Twoja imaginacja utworzy, będą może piękne, ale nie będą temi samemi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty? Dziwna i głupia myśl! Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz

czwarty nocowałem w zimnej oberży, przechodziłem śliczną drogę św. Gotharda, widziałem na niej sławny most djabła, nareszcie po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Lucerny, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro 4 kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na skale, na którą bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta, tylekroć restaurowana, znajomą Ci, Mamo, być musi. Wreszcie przez Bem wróciłem do domu; zastałem tam pełno cudzoziemców i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie: gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; jej matka także mię po macierzyńsku uściskała; więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

O, Matko moja! Dziś dzień moich urodzin. Biedna Matko moja! dziękuję Ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nade mną, jak anioł stróż; Bóg Ci jeszcze za to nie zapłacił niczym. Ale, Matko moja, po 25 latach, dzisiaj mógłbym Ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego iż nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, Mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło. Błogosław mi, Mamo droga! Panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich i widząc, że do Ciebie piszę, prosiła, abym od niej zasłał Ci czułe pozdrowienie. Ona się o Tobie, Mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiaduje. Ona Ciebie kocha, Mamo i przyjmij tę miłość, wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że Ciebie kochały. Napisz, kochana Mamo, Teofilowi o mojej podróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków mógł liczyć śnieżne wierzchołki gór albo leżące pod stopami jeziora. Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą. Ale wierzcie mi, że chętniebym się z Wami podzielił... o, nawet oddałbym je Wam wszystkim za jeden Wasz uścisk. To dziwne, Mamo moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krze-

mienieckim, pod cieniem tej czeresienki, która ocienia grób babuni. O, gdyby tak było!

Adieu, droga, najukochańsza Mamo; boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo co dnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo co dnia około 6 lub 7 mil drogi robiłem i to z góry na górę; do tego dodajcie i to, że nigdzie na górach poczty niema, to uniewinnicie mię. Całuję rączki kochanego Dziadunia; niech pomyśli o wnuku i spojrzy na zamkową górę. Mamo, a Ty przy księżycu wystaw sobie, że na Waszych górach stoją inne góry ze śniegu, że na tych białych imaginacyjnych górach ja jestem i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest Twoim mieszkaniem. Adieu, Matko moja!

Twój

Juljusz.

II.

Bajrut dnia 17 Lutego 1836.

Droga moja! Przed dwoma dniami wyprawiłem list do Ciebie, moja droga, z opisaniem podróży egipskiej; inną drogą wyprawiam teraz tę ćwiartkę, spodziewając się, że jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej rąk Twoich dojdzie; z tamtego listu dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie, teraz opiszę Ci moją kwarantannę w pustyni przy maleńkim miasteczku El-Arisch. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach, dano nam na odbycie kwarantanny dwunasto-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystemi dokoła i nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono na łasce Pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić było na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim

szumem Śródziemnego morza i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy.

Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym własnym maleńkim rozłożył swoje graty i tak zastała nas wilja Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czekana, zagrał mi wiejską kolendę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł. Wtym niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu leżących w osobnych namiotach ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, blizkie i gęste. Świeca, kilkakroć zapalana, zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże, podmywając nasze łóżka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy.

Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtym patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi i białemi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inondalji nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwandrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt, pochmurny, przeszedł nam smutno suszącym się na górze; głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potym czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas trzęsienie ziemi, które w Syrji wiele miast do szczętu pochłonęło, widziałem sam Tyberjadę, w której 500 ludzi zginęło, a domu jednego całego nie zostało.

Nie będę ci opisywał Gazy ani Jaffy; w tym ostatnim mieście miałem zastać Olesia Szpitznagla, będącego wice-konsulem, ale oczekiwanie moje zostało zawiedzio-

nym, pojechał był bowiem na greckie święta do Jeruzalem, a stamtąd miał się udać do góry Synai. Myśl, że go nie zobaczę, martwiła mię i śpieszyłem do Jerozolimy, aby go przed dniem wyjazdu choć raz widzieć i uściskać.

W Jeruzalem stanąłem dnia 13 stycznia, o godzinie 9 w nocy; bramy miasta zamknięte, cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy firmany nasze otworzą nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować, jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po 2 godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru.

Z dnia 14 i 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblję, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do 12 weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko; pocałowali kamień, a potym przyszedszy do mnie, oboje pocałowali mię w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam.

O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościołek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku, pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotnie kadzidło. Katolicy w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprawiali mszę, potym Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz, rodak, wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tym miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Niema go tu, zmartwych-

wstał!", słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jeździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie na żłobku Chrystusa także słuchałem odprawianej mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w prostej grocie, gdzie anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioseczkę Jerycha, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza boskiego. Ale żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcząc ziemię Palestyńską, trzebaby na to dzieła...

A ziemia tu, o, droga moja, jak piękna! Jakiemi ranunkułami ognistego koloru i błękitnej farby okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, niepłodne, nadają temu miastu straszną fizjonomję; okropną jest dolina Józefata. Z pod oliw Chrystusa wziąłem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie, w Naplusie, nareszcie przyjechałem do martwej a świeżo umarłej Tyberjady; w mieście ledwo trochę żywych ludzi, a wszyscy kogoś płaczą... Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami, na jednej z nich stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście nie znalazszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołym niebem, a kiedym się obudził i odkrył głowę, widziałem księżyc, późno wschodzący nad jeziorem gienezaretańskim.

Z podróży do Aten.

Tymczasem wjechaliśmy na Archipelag, na owo morze przesławne, o którym starożytni Grecy mówili, że jest obrazem nieba, bo tak samo jest usiane wyspami, jak niebo gwiazdami. Prawdopodobnie dlatego dali mu nazwę Arcymorza. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą skały Lemnos, pierwszej wyspy, którą dostrzega się po wyjściu z przesmyku. Nieco na północ rysowała się również wyraźnie perłowa Imbro, z drugiej strony, bliżej azjatyckiego brzegu, Tenedos. Powiewa tu jeszcze chorą-

giew Proroka, ale nad całym Archipelagiem unosi się duch starogrecki, starogreckie podania i pieśni. Może pod wpływem tych wspomnień brzegi owe wydają się jakieś odmienne od tego, co się poprzednio widziało, i odpowiadające owym konturom, któremi wyobraźnia określa brzegi greckie. Nagie to wszystko, co widać, bezpłodne, równie jak okolice Dardanelów; ni drzew, ni mieszkań ludzkich; ziemia szaro oliwkowego koloru, jakoby spalona i wypłowiała od słońca—ale porozciągana w długie i śmiałe linje proste, niby elementarne pierwowzory porządku doryckiego. Wzgórza piętrzą się jedne nad drugiemi—tu i owdzie wyskakuje w górę ledwie widzialny w błękitnej zasłonie oddalenia szczyt jakiegoś wiszaru; dalej głąb całkiem przesłoniona. Nad wszystkim prosta i poważna melancholja. Niegdyś, wedle podania, w wulkanie Lemnu biły młoty Hefajsta. Może tu właśnie wykuwały sławną tarczę Achillesa? Dziś cicho w kraterze Mosychlosu—bo wulkan wygasł i tylko podanie przeżyło wulkan i samego bożka.

Na prawo i na lewo ciągle widać wyspy, których wyliczaniem nie będę trudził niczyjej uwagi i pamięci. Wzrok na Archipelagu sięga dalej, niż na innych morzach europejskich. Nawet odleglejsze wyspy widzi się tak czysto i wyraźnie, że można odróżnić niemal każdy załamek skały i zarośla, pokrywające zręby wiszarów. Tyle tu światła leje się z nieba na ziemię, że i Włochy same nie mogą dać o tym pojęcia. Morze i niebo nietylko są lazurowe, ale i świetliste; gdzieindziej słońce świeci i pali, tu zdaje się przenikać cały krajobraz, wsiąkać weń, nasycać go i stapiać się z nim, wyłączając zupełnie wszelki cień. Dlatego nic tu nie rysuje się tak twardo, jak naprzykład nad brzegami morza Śródziemnego. Wszelkie zarysy, na które oko pada, są jednocześnie i niezmiernie wyraźne i mimo tego miękkie, bo objęte jednym tonem, zarazem przejasnym i łagodnym.

Arcymorze nie zawsze bywa spokojne. Te same wichry, które zaniosły aż do Cyklopów nawę Odyseusza, pędzą czasem nakształt rozhukanych koni między wyspami; fala grzmi i ciska białą, jak śnieg pianą aż na szczyty skał pobrzeżnych. Ale w chwili, o której mówię, błękitna roztocz była wygładzona jak zwierciadło i tylko za statkiem ciągnął się szeroki, pienisty gościniec! Przez cały dzień nie powiał najmniejszy wiatr. Statek szedł, jakby po jeziorze, to też pokład roił się od podróżnych.

Noc na Archipelagu równie jest piękna, jak dzień. Takie noce zwał Homer „ambrozyjskiemi.“ Stopy wysp obwijają się w mgłę leciuchną, ale księżyc bieli szczyty gór; zresztą żadnej chmurki na niebie — a morze całe w szlakach srebrnych. Jeden, najszerszy, utworzony przez księżyc—inne od gwiazd. Zjawisko to na północy nieznane, ale na południowych morzach to widziałem niejednokrotnie te srebrne gościńce, a raczej pasma, igrające od gwiazd na wodzie. Płyniemy wśród ciszy takiej, że słychać każdy obrót śruby. Na widnokręgu dostrzec można kilka statków, a raczej latarnie ich, podobne zdala do różnokolorowych chwiejnych punktów, pozawieszanych w powietrzu.

Statki owe płyną po większej części tak, jak i my— do Pireus, w którym staniemy na świtaniu. Jakoż o pierwszym brzasku śruba przestaje huczeć i nagła ta cisza budzi wszystkich. Ubrawszy się, wypadamy pośpiesznie na pokład—Pireus—Attyka.

Przypuszczam, że nawet najobojętniejszy człowiek z pewnym wzruszeniem staje na tej ziemi, w obliczu Aten. Kiedy w swoim czasie odniesiono Papieżowi wielką chorągiew całego Islamu, zdobytą pod Wiedniem i żądano w zamian relikwji, Papież odrzekł posłom: „Nie wam relikwji prosić potrzeba; weźcie garść ziemi waszej, bo ona tam cała krwią męczeńską przesiąknięta.“— Tak o tej ziemi attyckiej powiedziećby można również, że każda jej garść przesiąknięta myślą i sztuką grecką. Przypominacie sobie zapewne z drugiej części Fausta „macierze“—owe pierwokształty i pierwowzory wszystkiego, istniejące poza światami, przestrzenią, tak uroczyste w swoich nieokreślonych samotniach, że aż straszne. Attyka, nie będąc nieokreśloną, ani straszną, jest przecie intelektualną macierzą całej cywilizacji. Bez niej nie wiadomo, gdziebyśmy byli i czembyśmy byli. Jest ona słońcem świata starożytnego, a po swym zachodzie dziejowym pozostawia jeszcze blask tak mocny, że z tych promieni narodzi się renesans po średniowiecznej pomroce. Mówię: Attyka, zamiast Grecja, bo czym Hellada była dla świata, tym Attyka dla Hellady. Jednym słowem, wstępując na tę ziemię, jesteśmy u źródła. Inne cywilizacje na sąsiednim azjatyckim i afrykańskim lądzie, wśród innych szczepów, wyhodowały się na potwory— grecka jedynie pozostała człowiekiem; inne gubiły się w fantasmagorjach — ona jedna za podstawę wiedzy i sztuki świat wzięła realny, a jednocześnie umiała z tych

pierwiastków, czysto realnych, wytworzyć najwyższy ład prawdziwie boską harmonję. Umiała być boską, nie przestając być ludzką—i to objaśnia jej znaczenie.

W chwili gdym wstępował na tę ziemię, na niebo wstępowała właśnie „różanopalca“ jutrzenka. Droga z Pireus, wysadzona po obu stronach platanami, idzie wśród tak zwanej równiny attyckiej, którą skrapia, a raczej mógłby skrapiać—Cefizus. Każda nazwa budzi tu w pamięci echa i wspomnienia historyczne. Gdyby nie to, Cefizus zresztą nie budziłby zbyt wielkiego uszanowania, bo jak w Polsce są takie mosty, których niema, tak i Cefizus jest taką rzeką, której niema — to znaczy, że w jego wyschłym i spieczonym korycie nie sączy się ani jedna kropla wody. Równina jest wązka. Po lewej ręce, w kierunku zatoki Eleuzyjskiej, widzisz góry Dafni i Poikolon, po prawej miodonośny Himetes i Pentelikon, który dziś jeszcze, jak i dawniej, dostarcza Atenom marmurów. Kraj wydaje się spalony słońcem, pusty, bezpłodny. Pola, wzgórza i skały mają ton popielaty, niezmiernie delikatny—z odcieniem nieco błękitnawym. Jest to barwa, w którą w Grecji stapiają się wszystkie inne i przeważa ona wszędy — na wyspach, równie jak na lądzie.

W pół drogi, lasek oliwny, zdaje się być także przytrząśnięty mdławym popiołem. Nad tym wszystkim zwiesza się błękit bez chmurki, nie tak modry, jak we Włoszech, natomiast, jak już wspomniałem, stokroć świetlistszy. Ziemia—niby podarta. Opoka wietrzeje, kruszy się i rozsypuje. Nadaje to całej okolicy pozór ruiny i pustki. Ale dobrze jej z tym. Do twarzy jej ta cisza i zgrzybiałość, te senne laski oliwne i bezpłodne skały.

Główna droga idzie do dworca kolei, leżącego na końcu ulicy Hermesa, ale w pobliżu miasta powóz skręca na prawo, i wjeżdżamy na bulwar, wysadzony pieprzowemi drzewami. Wówczas na stromej skale dostrzegasz szereg złotawych kolumn, połączonych wyszczerbionemi architrawami. Wszystko to rumiane od jutrzenki, rysując się z nieopisaną słodyczą i czystością na niebie, niezbyt wielkie w rozmiarze, wielkie nad wszelką miarę w harmonji, spokojne, poprostu: boskie.

H. Sienkiewicz.

Poświęcenie dla nauki.

Słynny Nansen, Norwegczyk, odbył podróż do bieguna północnego w r. 1894 do 1897. Żaden z podróżników nie posunął się tak daleko na północ, jak Nansen. Zawdzięcza on szczęśliwie odbytą wyprawę śród lodów nieprzebytych i grożących roztrzaskaniem okrętu jedynie temu, że zdołał zbudować statek silniejszy pod względem wytrzymałości, niż budowane przez innych podróżników. Przez lat kilka budował ten statek, nazwany—Fram. Zaopatrzywszy się w żywność i narzędzia do badań naukowych, z dwunastu towarzyszami opuścił on ojczyznę, rodzinę i puścił się w podróż w smutne i straszne krainy lodowe. Przez lat trzy, narażając się na największe trudy i niebezpieczeństwa, garstka ta śmiałych i poświęcających wszystko miłośników nauki tułała się po bezludnych wyspach i ponurych lodowcach, pocieszając się jedynie myślą, że odkryciami swojemi bogaty plon nauce przyniosą. I przynieśli istotnie ten plon niezwykle bogaty. Całe towarzystwo dotarło do 82⁰ szerokości gieograficznej; dalszą podróż odbył Nansen z jednym tylko przyjacielem Johansenem, zbudowawszy odpowiednie dwa statki, zwane kajakami. Są to długie statki skórzane, z których każdy może zmieścić jednego tylko człowieka, siedzącego pośrodku w otworze zrobionym w pomoście, zamykającym całe czółno. Kajak taki mógł zabrać żywności na trzy miesiące dla podróżnika i dla psów, które tutaj pełnią służbę koni pociągowych. Zbudowano także sanie, niezbędne do tej wycieczki. Wziąwszy odpowiednią ilość żywności dla dwóch ludzi i 28 psów—puścili się dwaj nasi podróżni ku biegunowi, żegnając swoich towarzyszów, pozostających na okręcie.

Losy ich podróży podajemy wedle notatek Nansena.

PRZEZ ŁAWICĘ.

14-go marca 1897 r. w południe, opuszczamy ostatecznie „Frama" wśród głośnego „hura" naszych towarzyszów. Kilku z nich odprowadza nas i pomaga ciągnąć ciężko naładowane sanie. Wkrótce żegna nas Sverdrup, który musi powracać na okręt, aby prezydować przy obiedzie. Na wierzchołku lodowego pagórka

ściskamy sobie serdecznie ręce. Z ciężkim smutkiem patrzę, jak oddala się ten człowiek, dobry i życzliwy przyjaciel, którego pomoc była dla mnie tak drogocenną. Nansen, Heryksen i Peterson będą nam towarzyszyli aż do jutra.

Lód, z początku gładki i jednolity, staje się wkrótce pogiętym i połamanym. Dla przejścia rozmaitych wyniosłości musimy dość długo nieść sanie. Wielka to praca, która wystawia siłę i cicrpliwość naszą na ciężką próbę. Niemniej nie mamy powodu martwić się. Zrobiliśmy dziś 7 mil.

Mały nasz namiot może pomieścić w sobie pięć osób. Pobyt w nim wydaje się nam po ciężkiej całodniowej pracy bardzo przyjemnym. Peterson, siedząc przed filiżanką czekolady z biszkoptem w jednej, a z kawałkiem masła w drugiej ręce, wykrzykuje: „Usadowiłem się, jak książę.“ Dzielny ten chłopiec błagał mnie, abym zabrał go z sobą, ofiarowując się spełniać wszystkie czynności, jakie tylko podoba mi się mu polecić; ku wielkiemu memu zmartwieniu zmuszony byłem odmówić mu. Towarzysze nasi, niezaopatrzeni w wory do spania, zmuszeni są nocować w chatce ze śniegu, obwinąwszy się futrami. Nazajutrz, gdy się obudziłem, ujrzałem Petersona, spacerującego wzdłuż i wszeż dla rozgrzania się. Nie przypuszczał on nigdy, że można spać na śniegu; przyznaje jednakże, że spędził noc wcale nieźle.

Po pełnym zapału i wesołości śniadaniu zaprzęgliśmy psy do sanek i dałem hasło do odjazdu. Żegnamy się po raz ostatni z naszemi towarzyszami i zapuszczamy się w wielką lodową pustynię, gdzie podczas długich miesięcy będziemy żyli samotni, bez nadziei pomocy.

Posuwamy się z początku bardzo szybko po jednolitej, gładkiej powierzchni lodu. Nieco dalej pagórki, wznoszące się tu i owdzie, zmuszają nas do niesienia sanek. Zmęczeni tą uciążliwą pracą, zatrzymujemy się o 6-ej wieczorem. Dziś przejechaliśmy dziewięć mil.

W ciągu dni następnych napotykamy wszędzie lód płaski i niekiedy przebiegamy przeszło 14 mil na dzień. Czasami jakiś niefortunny wypadek zmusza nas do tracenia czasu. Tak np. raz igła lodowa przekłuła nam worek rybiej mąki, i drogocenna żywność poczęła się sypać na ziemię. Zmarnowaliśmy przeszło godzinę czasu, aby zebrać wszystko i zaszyć worek.

W niektórych miejscach ławica, nadzwyczaj zbita i najeżona wysokiemi pagórkami, robi wrażenie kraju

falistego, zasypanego śniegiem. Należy przypuszczać, że lód ten jest bardzo dawny i że podlegał strasznym naciskom w czasie długiej drogi, jaką odbył, płynąc przez ocean Północny od brzegów Syberji ku Grenlandji. Pagórki lodowe, które wytworzyły się na nim w czasie gwałtownych wstrząśnień, jakim podlegały lodowiska, po częściowym stajaniu podczas lata, zostały pokryte następnej zimy grubą warstwą śniegu. Więc robią wrażenie raczej falistości gruntu, aniżeli zwałów lodowych.

20-go marca. Słońce świeci prześlicznie; czas jest cudowny, ale bardzo zimny, zwłaszcza w nocy. Temperatura dochodzi 41^0 do 42^0 poniżej zera.

Im dalej się posuwamy, tym ławica jest bardziej jednolita. Wczoraj zgubiliśmy narzędzie do mierzenia drogi. Na poszukiwanie go musielibyśmy stracić kilka godzin. Postanowiłem więc obywać się nadal bez niego. Obecnie będziemy oceniali odległość tylko mniej więcej dokładnie. Tego samego dnia spotkał nas inny nieprzyjemny wypadek. Jeden z naszych psów zachorował tak ciężko, że nie możemy go zaprzęgać. Byliśmy już od dość dawna w drodze, gdy spostrzegłem, że nie idzie za nami; puściłem się natychmiast na jego poszukiwanie i znalazłem go w tym miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się zrana. Więc znów straciliśmy kilka godzin czasu.

21 marca. Dziś zrana temperatura była 42^0. Zawsze jest ślicznie i jasno.

22 marca. Od jedenastej rano do 8-ej wieczorem przebiegliśmy około 21 mil. Przeszliśmy już 85^0 sz. półn. Niebo jest jasne, a mróz straszny. Dziś jest jeszcze zimniej, wskutek chłodnego wiatru północno-wschodniego. W nocy termometr spadł do 42^0. W dzień odzienie nasze pokrywa się lodowym pancerzem. Wieczorem wskutek ciepła, udzielonego przez wory do spania, przesiąkamy wilgocią.

Przed zatrzymaniem się na popas przebywamy szeroki wodozbiór, podobny do jeziora. Lód, który go pokrywa, jest bardzo cienki, a zatym świeży. Utworzenie się wody w tej porze roku i w takiej szerokości jest godnym uwagi.

23 marca. Nadchodzi czas robienia spostrzeżeń astronomicznych, przyprowadzania wszystkiego do dobrego stanu i porządku. Jest 3-cia godzina po południu. O 9-ej wieczorem zatrzymujemy się przed szeregiem wzgórz

takich, jakie napotkaliśmy na początku podróży; dotychczas ławica była prawie zupełnie płaska i dlatego przebiegaliśmy około 14 mil dziennie. Teraz przybyliśmy do końca tej powierzchni lodowej, po której posuwaliśmy się z szybkością strzały. Poczynając od tego miejsca, będziemy napotykali coraz nowe trudności.

24 marca. Lód zaczyna być bardzo nierówny. Na każdym kroku napotykamy łańcuchy wzgórz, przez które musimy przenosić sanie. Długa to i niebezpieczna praca; obarczeni tak wielkim ciężarem, możemy co chwila upaść i złamać rękę, albo nogę.

Zabijamy psa, który nie może podążyć za nami i rzucamy zwłoki jego towarzyszom. Te ostatnie tymczasem są dzisiaj bardzo wybredne; wielu z nich nie chce dotknąć szczątków swego brata i zasypia nie jedząc. Pozostawmy je w spokoju; głód niezadługo odniesie zwycięstwo nad wstrętem. Za kilka tygodni nieszczęśliwe zwierzęta będą rzucać się na trupy swych bliźnich i w mgnieniu oka połkną wszystko, nie wyłączając szerści.

25 marca. Ciągle napotykamy szeregi pagórków. Jesteśmy wycieńczeni przenoszeniem sani przez te wyniosłości. W czasie tak ciężkiej podróży sen ogarnia nas natychmiast, gdy się zbliży wieczór, a z nim i chwila odpoczynku. Oczy zamykają się pomimo woli i zaledwie wyciągniemy się na ziemi, zasypiamy głęboko. Zazwyczaj urządzamy obozowisko w miejscu, zabezpieczonym od wiatrów, za pagórkiem, lub całym ich łańcuchem. Gdy Johansen zajęty jest psami, ja rozpinam namiot i przygotowuję wieczerzę. Przeniósszy do namiotu zapasy na kolację i śniadanie, wsuwamy się do worów, aby uwolnić z lodu naszą odzież. Para, wydobywająca się w ciągu dnia z naszego ciała, zgęszcza się na powierzchni naszego odzienia w lodowatą skorupę. Rękawy mojej kurtki są twarde, jak kamień, a tarcie ich o ręce otwiera w ciele mym głębokie rany. Rana, którą mam na prawej ręce, wciąż się powiększa; prawdopodobnie zachowam bliznę po niej przez całe życie. Ubrania tają w worach bardzo powoli; próżno przyciskamy się jeden do drugiego, przeszło $1^1/_2$ godziny upływa, nim się ogrzejemy cokolwiek. Po dłuższym czasie odzienie nasze mięknie, lecz nazajutrz, zaledwie wyjdziemy z namiotu, staje się napowrót twardym.

Wieczorem jest najprzyjemniejsza chwila z całego dnia. Podczas długich godzin oczekujemy jej niecierpli-

wie, a gdy wreszcie nastąpi, spożywamy skromną strawę z przyjemnością. Bardzo często jesteśmy tak zmęczeni, że sen odnosi zwycięstwo nad apetytem. A wtedy mimowoli zamykamy oczy i zasypiamy z łyżką w ręku. Po wieczerzy pozwalamy sobie zwykle na mały dodatek: jest nim filiżanka wody gorącej, w której rozpuszczamy proszek mleczny. I wtedy mamy złudzenie, że pijemy gorące mleko. Napój ten rozgrzewa nam całe ciało. Po tym wszystkim zamykamy się w workach, a wtedy ciszę, panującą nad ławicą, przerywa chyba tylko odgłos naszych chrapań i okrzyków, wywoływanych przez sny niespokojne.

Rano czynności kucharskie zmuszają mnie pierwszego do wstania. Praca ta zajmuje mi godzinę czasu, gdy zaś śniadanie jest już gotowe, wstaje Johansen. Zasiadamy wtedy do stołu, a właściwie przed kołdrą rozpostartą na ziemi, na wzór obrusa. Po śniadaniu piszemy dzienniki, poczym puszczamy się w drogę. Jest to chwila bardzo przykra i często dałbym wiele, abym mógł napowrót dostać się do łóżka i spać ciepło i dowoli.

Idę na czele małej naszej karawany i wyznaczam drogę; za mną postępują sanki, ciągnące mój kajak, w końcu Johansen z dwoma drugiemi pojazdami, zajęty popędzaniem psów, to głosem, to batem i popychaniem sani na wzgórza lodowe. Przed każdą wyniosłością psy się zatrzymują. Od początku aż do końca podróż ta była dla nich długim i powolnym cierpieniem.

Urządzenie obozowiska, dawanie psom strawy, przygotowanie pożywienia i upakowanie wszystkiego po każdym popasie zajmowało wiele czasu. Wedle przyjętego przez nas zwyczaju, nigdy nie szliśmy dłużej, jak 9—10 godzin dziennie. Po południu przerywaliśmy pochód, aby spożyć podwieczorek; nie była to bardzo przyjemna uczta. Pomimo to, że zawsze staraliśmy się wynaleźć miejsce zasłonięte od wiatrów, zimne powiewy tak nas przejmowały, że dla rozgrzania się musieliśmy jeść idąc.

Wielu podróżników podbiegunowych skarżyło się na straszne cierpienia, sprawiane pragnieniem. Najczęściej powodowane były one nieostrożnym połykaniem śniegu. Aby się uchronić od tego, wziąłem kilka małych butelek kauczukowych, które zrana napełnialiśmy wodą i które następnie niosłem na piersiach, aby nie zamarzły. Ku wielkiemu zdziwieniu, bardzo rzadko zachodziła potrzeba posługiwać się niemi. Uniknęliśmy tych cierpień dzięki doskonałej budowie piecyka, który, przy

bardzo nieznacznym spotrzebowaniu opału, dostarczał nam wody więcej, niż było potrzeba.

29 marca. Posuwamy się bardzo powoli. Ławica nie jest tak dogodną, jak pierwotnie przypuszczałem. Wciąż napotykamy zwały lodowe i tracimy wiele czasu, aby je przebyć. Przed wynalezieniem wolnego przejścia między wzgórzami jeden udaje się naprzód dla rozpoznania drogi, co zwykle zabiera nam dużo czasu. Tymczasem psy skaczą na prawo i na lewo, plączą zaprzęgi, a zaledwie doprowadzimy wszystko do porządku, kłopot zaczyna się nanowo.

Wczoraj po obiedzie wzmógł się wiatr północnowschodni, a niebo pokryło się chmurami.

Z radością witamy przepowiednię łagodniejszej pogody. Wistocie wieczorem termometr nie spada poniżej—34°. Po raz pierwszy od długiego czasu nie skarżymy się na mróz w worach do spania.

Nazajutrz słońce świeci jasno na niebie bez chmur. Ławica wciąż jest pogiętą, połamaną i najeżoną przeszkodami.

Wieczorem wreszcie przybywamy na powierzchnię zupełnie jednolitą i gładką, jakiej oddawna nie napotkaliśmy. A dalej znów te same wzgórza, utworzone ze zwałów olbrzymich brył lodowych. Po nieopisanych trudach pozostaje nam do przebycia jeden tylko łańcuch, oddzielony głęboką szczeliną, szeroką na 4 metry. Wszystkie psy, zaprzężone do przednich sani, wpadają w ten otwór. A więc znowu daremna praca wydobycia ich stamtąd. Drugi pojazd wpada także, na szczęście, bez wielkiej szkody. Po tym wszystkim musimy wyprzęgać psy i zaprzęgać je nanowo i znów tyle czasu tracimy napróżno. Nauczeni doświadczeniem, ostrożniej przechodziliśmy z trzeciemi sankami.

Wieczorem, w czasie obozowania, temperatura znów spadła do—43°.

31 marca. Pod wpływem południowego wiatru robi się znacznie cieplej. Bardzo wcześnie zrana termometr wskazuje—30°; prawdziwy letni czas. Odjeżdżając, posuwamy się po gładkim lodzie. W dzień nagle przed nami w ławicy otwiera się szeroki kanał. Zaledwie przebyłem go z pierwszemi saniami, gdy zaczął się rozszerzać, przecinając drogę reszcie karawany. Tymczasem wielki kawał lodu łamie się pod nogami Johansena. W czasie upadku towarzysz mój przemoczył nogi, co mogło pociągnąć za sobą najzgubniejsze następstwa.

Kanał jest bardzo długi; nigdzie nie spotykamy brodu. Położenie staje się krytycznym. Znajduję się po jednej stronie kanału razem z jednemi saniami i namiotem, po drugiej pozostał Johansen z dwoma drugiemi pojazdami, przemoczony i przeziębły. Nie możemy się posługiwać kajakami. Po wstrząśnieniach, jakim ulegały, pudła ich są potrzaskane. W końcu po długich poszukiwaniach udało mi się wynaleźć „most.“

Natychmiast po przyprowadzeniu sani urządzamy obozowisko, aby uwolnić Johansena od pokrywającej go skorupy lodowej i aby go rozgrzać. Każdego rana przygotowania do odjazdu zajmują nam wiele czasu. Niekiedy potrzebujemy 7 godzin, aby zwinąć namiot, upakować wszystko, naładować sanie i poprawić uszkodzenia. Spożyliśmy zawartość jednego pudełka i musimy zacząć nowe. Później spostrzegam, że jeden z worków został przedziurawiony i musimy go naprawić. Gdy raz już sanie są przygotowane do wyjazdu, pozostaje nam jeszcze praca rozplątania zaprzęgów, powikłanych przez psy.

2 kwietnia. Wieje silny wiatr południowy; grunt staje się coraz gorszy. Przebywanie wciąż nowych łańcuchów wzgórz wymaga szalonych wysiłków. W niektórych miejscach warstwa śniegu jest zbyt cienką, abyśmy mogli posługiwać się łyżwami „ski,“ dlatego co chwila zapadamy się. Pod niebem, okrytym szaremi obłokami, wszystko wydaje się jednostajne i rozpaczliwie białe. Dla wynalezienia lepszej drogi każdy z nas puszcza się w inną stronę, aby zbadać okolicę. We wszystkich kierunkach spotykamy to samo. W południe mróz dosięga—31°.

3 kwietnia. Wczoraj wyjechaliśmy o $2^1/_2$ po południu. Czas jest prześliczny, lód stosunkowo gładki; dlatego z początku posuwamy się dość szybko.

Jeszcze raz tracimy nadzieję: oto znów przed nami łańcuch wzgórz, a za niemi szeroki kanał, pokryty świeżym lodem, który nie może unieść naszego ciężaru. I dalej grunt nie jest lepszym. Około północy zatrzymaliśmy się na popas. Znów musieliśmy poświęcić jednego psa. Zwłoki jego, podzielone na 26 części, rozdajemy jego braciom, i tym razem 6-ciu z nich nie chce wziąć udziału w uczcie. Według spostrzeżeń południkowych, znajdujemy się pod 85°, a zatym postępujemy nadzwyczaj powoli. Prawdopodobnie prądy muszą unosić ławicę ku południowi, gdy my posuwamy się na północ.

Jesteśmy w zależności od wiatrów i biegu wody — najdziwaczniejszym położeniu, w jakim można sobie wyobrazić podróżnika podbiegunowego. Zaczynam przychodzić do wniosku, że najmądrzej zrobimy, gdy się cofniemy w porę. Odległość, dzieląca nas od ziemi Franciszka Józefa, jest trzy razy większą od przestrzeni przebytej od 14 marca, t. j. od chwili opuszczenia okrętu.

W tym kierunku ławica nie będzie dogodniejszą do podróży, niż w okolicach, w których się obecnie znajdujemy, a zatym pochód nasz nie będzie prędszym. Prócz tego nieznajomość topografji archipelagu Franciszka Józefa wystawi nas na opóźnienie. Nareszcie w okolicach tych możemy wcale nie spotkać zwierzyny. Oddawna już mam to przekonanie, że nie zdołamy dojść do bieguna lub w jego bezpośrednie sąsiedztwo; ławica jest wielce połamaną, a psy są za słabe. Gdybym przynajmniej miał większą ich liczbę! Wiele dałbym za to, aby posiadać w tej chwili psiarnię z Ołoneku. W każdym razie, prędzej czy później, będziemy zmuszeni cofać się.

4 kwietnia. Wyjeżdżamy o 3-ej zrana. Ciągle przebywamy wzgórza lodowe, a pomiędzy niemi szerokie kanały, oblamowane zwałami brył lodowych. W czasie przepływania szczelin sanie albo jeden z nas pogrąża się w wodę. Kąpiele takie nie są zbyt przyjemne; osuszyć się jest trudno przy 30^0 mrozu.

Znajdujemy się pod 86^0 $2^1/_2$ 8’’ szer. pół. i 95^0 47^1 15’’ długości, od południa w Greenwich.

6 kwietnia. O drugiej zrana temperatura wskazywała—$24{,}2^0$. Idziemy po coraz gorszym lodzie; ciągle jedne i te same wzgórza, podobne do starożytnej moreny. Kilka z tych pagórków dosięga wysokości 10 metrów. Ciągnienie sani po takim gruncie zmęczyłoby nawet olbrzymów. W ciągu dzisiejszego dnia przeszliśmy zaledwie 4 mile.

Wczoraj straciłem wszelką nadzieję, że będziemy mogli odbywać dalej podróż; dzisiaj zdecydowany jestem wracać.

Jeszcze jeden dzień będziemy szli naprzód i jeżeli przekonamy się, że lód i dalej jest tak samo niebezpieczny, cofniemy się, gdyż byłoby szaleństwem iść dalej. Po takim lodzie nie zaszlibyśmy daleko i jeżeli ławica będzie taką samą aż do ziemi Franciszka Józefa, powrót będzie bardzo powolny.

8 kwietnia. Wyjeżdżamy o 2 zrana. Ławica staje

się coraz trudniejszą do przebycia. Puszczam się naprzód na łyżwach „ski“ celem rozpoznania gruntu. Ze wzgórza, na które się wdrapałem, nie widać nic innego, prócz chaosu poprzewracanych brył lodowych. Byłoby to szczytem zuchwalstwa w takich warunkach posuwać się dalej ku biegunowi. Wskutek tego postanowiłem cofnąć się do przylądka Fligely, ziemi, najwyżej położonej na archipelagu Franciszka Józefa.

Wczorajsze obserwacje wskazały, że znajdujemy się pod 86° 10’ szer. pół. i 95° długości wschodniej od Greenwich.

By uczcić godnie chwilę dotarcia do tak dalekiej północy, urządziliśmy ucztę, składającą się z potrawy mięsnej, sucharów, masła, czekolady i konfitur z borówek, a po dłuższym wypoczynku ruszamy w pochód ku południowi.

PRZYGODY W PODRÓŻY POWROTNEJ NANSENA.

Wieczorem wylądowaliśmy na brzeg ławicy, aby wprawić trochę w ruch nogi nasze, obezwładnione długą podróżą w kajakach, oprócz tego pragniemy wejść na wzgórze lodowe, aby wystudjować widnokrąg zachodni. Gdzie i jak wszelako przywiązać statki nasze?

— Weź sznur do przywiązywania żagli— mówi Johansen, który już stoi na lodzie.

— Czy tylko on wytrzyma, czy jest dość mocny?— zapytałem.

— Sądzę, że wystarczy, przez cały dzień bowiem utrzymywał żagiel mojego statku.

— Doskonale! — zawołałem — pocóż nam zresztą silnych sznurów dla utrzymania tak lekkich statków?

I przywiązałem je za pomocą tego sznura, zrobionego z rzemieni ze skóry morsa.

Spacerujemy z początku, aby wyprowadzić członki z odrętwienia. Wiatr zmniejszył się i zaczyna zmieniać się na zachodni. Zapytuję siebie, czy będziemy mogli płynąć z jego pomocą?

Dla przekonania się o tym, wdrapaliśmy się na sąsiednie wzgórza lodowe.

Gdy badaliśmy widnokrąg, Johansen krzyknął nagle:

— Prąd porwał kajaki!

Coprędzej tedy biegniemy do brzegu.

Łodzie są już dość daleko od lądu i płyną ku pełnemu morzu.

— Weź mój zegarek — rzekłem do Johansena — i w mgnieniu oka zdejmuję zwierzchnie ubranie i rzucam się do wody.

Wiatr wiał od strony ziemi i gwałtownie odpychał kajaki. Woda była zimna, jak lód, a ubranie tamowało swobodę ruchów. Łodzie tymczasem wciąż się oddalają. Zdawało mi się rzeczą niemożliwą, abym je zdołał dopędzić! Lecz wraz z niemi ginęła wszelka nadzieja ratunku, wszystko co mieliśmy z sobą, ani jeden nóż nawet nie pozostał przy nas. Czy utonę, czy powrócę na brzeg bez kajaków, rezultat pozostanie ten sam.

Wytężywszy więc wszystkie siły, popłynąłem dalej. Gdy czuję się zmęczonym, obracam się plecami; w tej ostatniej pozycji zobaczyłem Johansena, gorączkowo biegającego po brzegu; biedny towarzysz mój nie może spokojnie ustać na miejscu; wydaje mu się strasznym być skazanym na zupełną bezczynność, a niema przytym nadziei, aby mnie się poszczęściło. Opowiadał mi później, że to oczekiwanie było najcięższą chwilą jego życia.

Gdy odwróciłem się, spostrzegłem, że byłem znacznie bliżej kajaków. Dodało mi to odwagi i podwoiłem swe usiłowania. Na nieszczęście, odrętwienie i nieczułość zaczynają ogarniać moje członki. Wkrótce nie będę mógł niemi poruszać. Odległość nie jest teraz tak wielka i gdybym tylko mógł wytrzymać chwil kilka, będziemy ocaleni. A więc naprzód! Robię coraz krótsze ruchy rękami; jeszcze jeden wysiłek i dogonię statki! Nakoniec! chwyciłem „ski'', leżące wpoprzek tyłu łodzi i przypływam do samych kajaków. Jesteśmy ocaleni. Próbuję wdrapać się na pokład, lecz ciało moje, zdrętwiałe od zimna, odmawia posłuszeństwa. Czas jakiś myślałem, że przybyłem zapóźno.

Po chwili okropnego niepokoju udało mi się założyć nogę na pokład. Z pomocą tego punktu oparcia wdarłem się na pomost. Chwyciłem natychmiast wiosło, ale ciało moje było tak przeziębnięte, że zaledwie zdolny byłem do ruchu; a przytym nie było zbyt łatwo wiosłować na podwójnej łodzi. Kierowanie byłoby łatwiej-

sze, gdybym był w stanie rozdzielić oba kajaki i wiosłować tylko na jednym, ciągnąc drugi za sobą. Lecz w moim położeniu uskutecznienie takiej pracy było niemożliwe. Zanim byłbym ją wykonał, padłbym bez sił, zupełnie przemarznięty. Wiosłowanie było najlepszym sposobem rozgrzania się.

Tymczasem na przodzie statku spostrzegłem dwa nurzyki. Zwierzyna taka zanadto mnie kusiła. Wziąłem strzelbę i za jednym wystrzałem zabiłem oba ptaki.

W końcu, po długiej pracy, dobiłem do brzegu. Prąd uniósł mnie daleko od miejsca, gdzie wylądowaliśmy. Johansen dogonił mnie wkrótce, i w kilka chwil później rozłożyliśmy się obozem.

Towarzysz mój rozebrał mnie, wdział na mnie świeżą i suchą odzież, położył w worze do spania i przykrył żaglami, skórami i wszystkim, co tylko znalazł, aby uchronić mnie od przeziębienia.

Drżę od zimna i dzwonię zębami, ale powoli zaczynam się rozgrzewać. Tylko nogi moje, które bez obuwia przebywały w wodzie, pozostały przez długi czas skostniałe i bez czucia. Podczas gdy Johansen rozpinał namiot i przygotowywał zabite przeze mnie nurzyki — zasnąłem, a gdy się obudziłem, wieczerza była gotowa. Doskonała gorąca zupa i wyśmienite pieczyste wykreśliły z pamięci całą tę smutną awanturę. Podczas nocy wyschło moje ubranie, tak, że nazajutrz mogłem je znów przywdziać.

Z podróży do Afryki.

Ranek był świeży, wesoły, jasny. Morze zdawało się uśmiechać niebu, a niebo morzu. Woda była tak gładka, że podobną widywałem tylko w chwilach wielkiej ciszy na Oceanie Spokojnym. Ani jednej zmarszczki, poprostu szyba lustrzana! Potym podniosła się z morza mgła, a raczej leciuchny opar ledwie dostrzegalny i zupełnie przezroczy. Nie przesłonił on blasków, tylko je nieco złagodził. Wydęta kopuła nieba odbijała się tak w morzu, że pod stopami mieliśmy zupełnie taką samą drugą półkulę, równie bezdenną, równie błękitną, równie umalowaną różanemi i złotemi smugami zorzy. Dzięki jednak owemu świetlistemu oparowi, niepodobna

było rozpoznać, gdzie kończy się powietrze, a zaczyna woda — i statek naraz znalazł się jakby w środku niezmiernej, tęczowej bańki mydlanej. Ale widowisko było krótkie; wzeszło słońce, wyssało w jednej chwili opar i sypnęło jakby ogniem na gładką toń. Dzień zapowiadał się znojny — i co prawda, nie mógł być inny. Byliśmy przecie w pobliżu równika.

Oddawna już, po zachodzie słońca przyświecało nam nocami światło zodjakalne. Wielką Niedźwiedzicę, czyli nasz stary Wóz, widać było jeszcze za nami, ale tuż nad falą, coraz ociężalej podnoszący się z topieli i nawpół w niej zanurzony; natomiast przed nami wytaczały się coraz nowe gwiazdozbiory. Nie przypuszczałem jednej rzeczy: że może istnieć nostalgja do gwiazd. Długie lata marzyłem o zobaczeniu południowego Krzyża, aż gdy mi go którejś nocy pokazano, stało mi się jakoś dziwnie i nieswojo. Chciałoby się zapytać tych gwiazd: co wyście za jedne? Ani ja was nie znam, ani wy mnie, a z tamtemi zżyłem się od dzieciństwa. I człowiek podziwia te nowe światy, błyszczące hen! w ciemnych przepaściach nieba, ale po chwili ogląda się za siebie, czy nie zobaczy jeszcze starych przyjaciół—a gdy ich nie dojrzy, to mu i tęskno.

Henryk Sienkiewicz.

W Japonji.

Państwo japońskie, dziś głośne ze względu na przyswojenie sobie cywilizacji europejskiej, zawdzięcza pierwszy posiew nauki chrześcijańskiej świętemu Franciszkowi Ksaweremu, który dnia 15 sierpnia 1549 roku wylądował w towarzystwie dwóch zakonników i trzech neofitów w japońskiej zatoce Kagoszima. Gorące słowa i cuda tego świętego sprawiły, iż dzika, barbarzyńska ludność ówczesnej Japonji gromadnie nawracać się zaczęła na wiarę Chrystusową. Kilka tysięcy Japończyków różnego stanu i wieku przyjęło wówczas Chrzest Święty.

Ulękli się kapłani (bonzowie) japońscy i zawezwali świętego Franciszka Ksawerego przed króla krainy Bungo na dysputę religijną.

Spełnił ich żądanie mąż święty i stanął przed królem pogan, trzymając na piersiach krzyż, godło zbawienia.

Bonzowie, czcący bałwany i różne zjawiska przyrody, a nawet niektóre zwierzęta, o Bogu zaś wiekuistym, wszechmocnym, jedynym, nic nie wiedzący, zaraz z początku rozprawy uczuli wyższość świętego i umilkli.

— Nie widzę nic zdrożnego w słowach tego męża — rzekł król Bungo, odprawiając z niczym kapłanów japońskich.

Jakoż w rok potym święty Franciszek Ksawery, umierając na wyspie Sancjan, zostawił świetnie rozwijającą się misję japońską.

W roku 1582 zbudowano w Japonji 250 kościołów, a wiernych było przeszło 200.000. Pogaństwo z dniem każdym traciło na sile, zdawało się tajać, jak lody zimowe pod wiosennemi promieniami słońca. Trzech japońskich królów przyjęło naukę Chrystusową. Uroczyste poselstwo do Papieża Grzegorza XIII, z wyrazem synowskiej uległości dla stolicy świętej, zapowiadało rychłe nawrócenie się całej tej pięknej krainy azjatyckiej.

Zmieniło się położenie. Cesarz japoński Tajkozama, podburzony przez kapłanów pogańskich, nakazał prześladowanie chrześcijan. Piękne dzieło świętego Franciszka Ksawerego krwią męczeńską się zrumieniło.

Już w roku 1587 zabroniono surowo Japończykom wyznawać wiarę chrześcijańską, a misjonarzy wydalono z kraju, pozostawiając część tylko w mieście Nagasaki. Pomimo prześladowania kościół chrześcijański liczył podówczas 300.000 wiernych.

Nie mogli tego ścierpieć bonzowie i knuli intrygi, podżegali lud, roznosili zarzewie srogiego prześladowania wszędy, gdzie tylko krzyż zajaśniał.

Cesarz Tajkozama, podmówiony przez bonzów, zagroził karą śmierci wszystkim wyznawcom Chrystusa. W dniu 30 grudnia 1596 r. padło ofiarą męczeńską dziewięciu kapłanów katolickich i siedmnastu wiernych Japończyków, wśród których troje niewinnych dziatek.

Od roku 1627 prześladowanie wzmaga się jeszcze i sroży w sposób najokrutniejszy.

W roku 1640 władze japońskie wydały surowy rozkaz:

„Dopóki słońce oświecać będzie tę ziemię, niechaj się żaden chrześcijanin nie odważy przybyć do Japonji.

Niech wiedzą wszyscy, że choćby nawet sam Bóg chrześcijański przekroczył ten zakaz i zjawił się na wybrzeżach naszych, pewnieby śmiercią przypłacił zuchwalstwo swoje.”

Ten bluźnierczy rozkaz głoszono wszędzie, przyczym zamknięto wszystkie porty dla Europejczyków.

W te tak straszliwe czasy dla chrześcijan w Japonji, cudem jedynie przez dwa przeszło wieki utrzymała się tam wiara święta. Choć tysiące wiernych poniosło śmierć męczeńską na krzyżu lub w torturach, pozostali, kryjąc się przed okrutnemi poganami, chrzcili dziec swoje i potajemnie, jak mogli i umieli, uczyli katechizmu. Wówczas to wysilali się misjonarze, aby dojść do ukrywających się w podziemiach i leśnych kryjówkach wiernych wyznawców Chrystusa i udzielać im pociech sakramentalnych. Niejeden z nich przypłacił tę świętą gorliwość okrutną śmiercią męczeńską.

W roku 1642 udało się w tym celu z Makao, nadbrzeżnego miasta chińskiego, pięciu kapłanów-misjonarzy, a między niemi i rodak nasz, *Polak, Wojciech Męciński.* Atoli zaledwie rozpoczęli swą błogosławioną działalność na ziemi japońskiej, gdy szpiedzy, przez bonzów opłaceni, wyśledzili ich kryjówki i w ręce żołnierzy wydali. Gubernator miasta Nagasaki wtrącić ich kazał do więzienia i przez siedm miesięcy zmuszał do wyparcia się Chrystusa. Najwymyślniejsze tortury nie mogły zachwiać ich stałości, czym rozgniewany do wściekłości gubernator Nagasaki wydał na nich wyrok śmierci.

W ten sposób zginął w imię Chrystusa śmiercią męczeńską i wspomniany powyżej, kapłan świętobliwy, rodak nasz—Wojciech Męciński.

Odznaczał się ten mąż Chrystusów już w latach dziecięcych szczególną pobożnością. Gdy odbywał nauki w szkołach, w Lublinie, (rodem był z Kurozwęk w Lubelskiem) dochodziły go często wieści o bohaterskiej, podziwu godnej wytrwałości chrześcijan japońskich. Wieści te na wrażliwy umysł młodzieńca ogromne wywarły wrażenie. Los nieszczęsnych męczenników za wiarę na dalekim Wschodzie był przedmiotem jego rozmów, czci i podziwu. W przedsięwzięciu swoim napotkał stanowczy opór ze strony matki, gdyż ojciec wcześnie go odumarł. Ta, dowiedziawszy się o jego zamiarze, bezwłocznie wysłała go do szkół krakowskich, w nadziei, że wpływ młodzieży tamtejszej zwróci na inne tory myśli młodzieńca. Jakoż póki żyła matka, Wojciech szanował

jej wolę, ale po śmierci jej, która nastąpiła w kilka lat po jego przejściu do szkół krakowskich, postanowił niezłomnie poświęcić się służbie Bożej. Zrzeka się więc dziedzictwa na rzecz brata Stanisława, udaje się do Rzymu, wstępuje do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego i tam rozpoczyna pracę zakonną.

Pozwolenie udania się na misję japońską otrzymał dopiero po wielu usilnych prośbach. Z jakim uczuciem popłynął za morza, daje świadectwo list jego, pisany w roku 1632 do prowincjała polskiego, naonczas ojca Kaspra Dróżbickiego. Czytamy tam:

„Cierpienie dla Chrystusa zawiera w sobie dziwną jakąś i tajemniczą słodycz. Módl się też, drogi ojcze, aby trudy, niewygody, cierpienia i krzyże, dla Chrystusa podjęte, nie odstępowały mnie nigdy aż do tej chwili, kiedy dla Boga mego śmierć męczeńską poniosę."

Jakoż udał się do prześladowanych i wśród nich palmę męczeńską otrzymał. Cześć wieczna jego pamięci i pamięci tych wszystkich męczenników, którzy użyźnili dla wiary krwią swoją dusze pogan japońskich.

Dziś wolno tam wyznawać wiarę chrześcijańską.

Z „Dzwonka Częstochowskiego."

B. POEZJE.

I. PIEŚNI RELIGIJNE.

Czego chcesz od nas, Panie!

Pieśń, opiewająca dobrodziejstwa Boga

przez

JANA KOCHANOWSKIEGO.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje *)
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo dla Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata; Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej **) ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych ***) granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

---

*) nazywa swoim.—**) której obejść nie można.—***) zakreślonych.

Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi;
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi.
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potym do gotowego gnuśna zima stawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie
A zagorzałe *) zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, twa dobroć, nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi;
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Pieśń ta, powiada profesor Tarnowski, „jest wschodem słońca poezji polskiej,“ nie znamy bowiem przed pojawieniem się jej wiersza, któryby mógł się z nią równać pięknością. Pierwszą rzeczą, która w tym wierszu zadziwia, jest dźwięk, brzmienie. Weźmy wszystkie, ile ich jest, wiersze ludzi starszych od Kochanowskiego, znajdujemy w nich rym, znajdziemy starannie liczoną i czasem równą liczbę zgłosek—muzyki nigdy. On pierwszy tak słowa wybiera i wstawia, że każde następne podnosi, utrzymując dźwięk poprzedniego, pomaga mu, a wszystkie razem płyną, jak muzyczne akordy. Okres u Kochanowskiego jest taki pełny, taki płynny, tak doskonale odmierzony, jak u Wirgiljusza. Cztery pierwsze wiersze tej pieśni (z pewnością bez szczególnego starania i uwagi) są pod względem zwięzłości, budowy i szlachetnej a bardzo umiarkowanej ozdobności, doskonałe. Język wyswobodził się w nich z powijaków i buja swobodny, skrzydlaty i lotny. A jak gdyby w tym pierwszym okresie wypróbował swoich skrzydeł, wznosi się w następnym, lotem jeszcze śmielszym i wyższym.

Trudno o coś lepszego pod względem mechanizmu stylu, trudno o jędrniejsze i energiczniejsze obrazowanie, jak drugi okres, zaczynający się od słów: „Tyś Pan wszystkiego świata.“ Gdy Kochanowski mówi: „Za Twoim rozkazaniem morze w brzegach stoi, a zamierzonych granic przekroczyć się boi“—jest tak silny i malowniczy, jak gdyby słowami malował tego Stworzyciela, który unosi się nad wodami, morzu zakreśla grani-

*) Spalone.

ce, a ruchem ręki nadaje kuli ziemskiej kształt okrągły. I płyną dalej wiersz za wierszem, strofa za strofą, zdumiewając malowniczością i niesłychanie szczęśliwym doborem przymiotników, które, dobrze użyte, są dla pisarza najdzielniejszym środkiem nadania i wywołania kolorytu. „Tyś niebo zbudował, uhaftował gwiazdami: lato w kłosianym wieńcu, gnuśna zima, mdłe zioła, zagorzałe zboża, które deszcz odżywia.“ Sam Mickiewicz nie używał ich lepiej, niż Kochanowski w tym wierszu. Dodajmy do tego ton spokojny, poważny, wzniosły, lecz umiarkowany, pełen wzruszenia, lecz nie płaczliwy, a wszystko złoży się na całość doskonałą.

Oczywiście nie byłoby tej malowniczości wyrażeń, gdyby sam poeta oczyma duszy nie widział w poetycznym świetle tych pór roku, tych zbóż zagorzałych i tego gwiaździstego nieba. Ten wiersz nie jest modlitwą w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie jest pieśnią kościelną, ale jest zadziwiającym wyrazem pobożnego a zarazem rzadkiego uczucia. Myśl o Bogu, świadomość Jego przytomności i opatrzności, rzewniejsze ku Niemu uczucie, objawia się u ludzi najczęściej pod formą prośby: jesteśmy pobożni, kiedy czegoś potrzebujemy. Kochanowski tylko dziękuje i wielbi, co na skali pobożności ludzkiej jest daleko rzadszym, a dowodzi serca bardzo przejętego miłością, umysłu, który wiele zagłębiał się w Bogu.

Przepyszny jest i godzien zazdrości widok tego młodzieńca, który pierwszy raz dobywa dźwięku ze swej lutni, i intonuje takie poetyczne Te Deum. Jak on musiał czuć dobroć i wielkość Boga w piękności i rządzie światem, jak musiał wzniośle tą pięknością się radować, jak musiał wiele i mądrze o świecie i o Bogu myśleć i jak wreszcie sam musiał czuć się szczęśliwym na tym świecie, żeby takim hymnem podziwu i wdzięczności ulżyć swemu sercu, a prosić o to tylko: „Niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.“

Stanisław Tarnowski.

Hymn do Boga.

Nieogarniony światem, ojców naszych Boże!
Ty! który jeden nie znasz płochej wieków zmiany,
Otośmy twych ołtarzów oblegli podnóże,
Niegdy lud Tobie miły, a teraz znękany!
Więc gdy za sobą przemówić nie śmiemy,
Pozwól, niech dawne łaski Twe wspomniemy.
Już lat tysiąc niewrotnej swej dobiega drogi,
Jako się pobraciłeś z ojcami naszemi,
A wyrwawszy im z ręku ciosane ich bogi,
Świętym prawdy obliczem błysnąłeś tej ziemi,
I dałeś poznać wśród błędu zamieci,
Żeś Ty ich ojcem, a oni Twe dzieci.
Te same świątyń szczątki, mchem porosłe siwym,
Patrzały na Twe z ojcy naszemi przymierze;
Jak oni Cię uznawszy być Bogiem prawdziwym,
Mieli Ci wiernie służyć w niepośliznej wierze;
A Ty nawzajem przyrzekłeś łaskawie
Im przewodniczyć w wielkości i sławie.
Jeszcze tych świętych umów nie oschły znamiona,
Kiedy naddziady nasze, cechą tej ugody
Wynurzeni z błędnego rozsypańców łona,
Poczesne wzięli miejsce pomiędzy narody
A ci, co niemi dumnie pogardzali,
Ich pokrewieństwa i łaski szukali.
Ty sam, Boże zastępów! miecz nieukrócony
Przypasałeś Twą ręką do ich twardych boków,
A ledwie nim błysnęli na okaz obrony
Objawionych stworzeniu Twych świętych wyroków,
Ucichły szepty i zmowy sąsiadów,
Ujrzawszy Ciebie wpośród naszych dziadów...
Tyś ich ziemię, jak niegdy Jordanu krainę,
Napoił błogosławieństw i mlekiem i miodem,
I zwierząt życiosłużnych nagnał w nią drużynę
I uczynił wszech tworów nieprzerodnym płodem;
Ze się sąsiadom o nic nie kłaniała,
Lecz ich sytością swoją nakarmiała.
Tyś sam ją niemylnemi oznaczał kopcami;
Od upałów granitnym Krępakiem *) odgrodził,
Ramiona przeciw wichrom umaił lasami
I gościńcem rzek spławnych dwa morza pogodził:

*) Najwyższa, wedle ówczesnych wyobrażeń góra w Tatrach.

A przy podwojach wschodu i zachodu,
Do szlachetnego wytknął plac zawodu.
Tędy nasi ojcowie po wieńce biegali,
Tędy wlekli zwycięskie z łupami rydwany;
A Tyś na ich błyskotnej strach rozsiewał stali:
Że gdzie tylko zmierzyli oręż niewstrzymany
Placu nie widząc zbrojne ćmy pierzchały,
Tchnęły strumienie i góry tajały.
Próżno króle zachodnie z swojemi lenniki
I zamkami się grodzą, i złotem brząkają,
I z pleśni otrząsając zamierzchłe pomniki,
Pozoru w nich do naszych powiatów szukają:
Czego przyjaźni mitem nie uproszą,
Darmo się groźbą niewskorną kumoszą *)
A jeżeli się kiedy hardzie pokusili
Popierać swej orężem napaści nieprawej,
Pamiętnemi klęskami zaczepki płacili,
Odbiegszy ciał niegrzebnych wśród rozprawy krwa-
Na łup żarłoczny ptactwu i zwierzowi [wej
I na przestrogę późnemu wiekowi...
Po wieleż razy, Panie! ta ziemia spluskana
Miljonowe hordy chlebem swym żywiła!
A kośćmi i rynsztunkiem zbójeckim zasiana,
Wrogów naszych zawodną nadzieją cieszyła,
Że w oceanie nieszczęść swych zatonie,
Głowy nie wzniesie, ani świtem wionie...
Nie mniejsze Twoje dziwy, nasz obrońco możny!
Kiedy z pustyń arabskich Izmaela plemię,
Posuwając orężem swój księżyc dwurożny,
Tysiąca państw kwitnące przywalało ziemie;
A depcząc carstwa wschodniego ruiny,
Przytknęło sztandar do naszej krainy.
Jęknęły prawowierców Twoich świetne grody,
Słońce kurzem zaćmiły różnobarwców tłumy;
A przywódca ich, ufny w orężne narody,
Na karkach ujarzmionych wlokąc namiot dumy,
Rozdęty pychą, wzniosły nad Libany,
Dla reszty świata związywał kajdany.
Tyś garstkę ojców naszych przeciw niemu stawił;
Ledwie mu w twarz zajrzeli niezmrużonym okiem,
On się samym postrachem ich lica zadławił,
I jako drugi Dagon przed bóstwa widokiem,
Padł zgruchotany, krwią popoił rzeki!
Jęknął w pustyniach i przestraszył wieki!

*) Kumosić się=przechwalać się.

Wielkie Twe dzieła, Panie! dla naszego rodu;
Przegadać ich nie mogli nasi pradziadowie.
Przestrzeń ta szerokiego nader jest obwodu,
Każdy dzień, każdy zakąt łaski Twe opowie,
Któreś po całym rozsiewał ich domu,
Że w niczym przodku nie dali nikomu...
Tyś im sam gospodarzył w polu i oborach;
Że Tobie i ojczyźnie niosąc hojne dary,
I żywiąc chudszej braci tysiące na dworach,
Nigdy zamożnych szkatuł nie przebrali miary,
Żeniąc ład dobry z wdziękami szczodroty,
Pod rachmistrzostwem rozumu i cnoty.
A jako Twoim żyli natchnieniem i duchem,
Tak przyrodna dostojność, wielkość i szlachetność
Kierowała ich czynów niepomylnym ruchem;
A błyszcząca na twarzach Bóstwa twego świetność
W każdym ich kroku i skinieniu ciała,
Poszanowanie i miłość wrażała...
Cóż się wżdy podziało z późnym ich plemieniem!
Tyś twarz odwrócił... a my!... w proch się rozsypali!
Szczątki jego wiatr rozniósł z pyłem i z imieniem
Morza niemi igrają po zaświatnej fali,
Ciskając z gniewem na murzyńskie piaski *)
Ciała, zaskrzepłe piętnem Twej niełaski.
Drudzy, przeżyć nie mogąc zgonu wspólnej matki,
Spostrzegszy jakąś gwiazdę nowych świata cudów,
I z nią tajnym przeczuciem łącząc tchu ostatki.
W bezdrożach skwarnych spiekot, włóczęgów i trudów,
Lądy i morza obieżawszy sławą,
Łzy krokodylom wmawiają swą sprawą.
Starcy w domach ujęci jęczą na podsieniu;
Wory im wypłakane źrenice zakryły:
A sędziwe prababki w rzewnym rozczuleniu
Łamiąc ręce, że matkę matek swych przeżyły,
Potomków nędznych córek przeklinają,
W których rozrodku wnuków swych nie znają.
Rozszlochane dziewice warkocze targały,
Ani więcej witają słodkim wdziękiem pieni
Wracających rycerzów z bojowiska chwały;
Młodzieńce nasi ludom przewodzić zrodzeni,
Podparszy belki pradziadowską bronią,
Nad ich czynami łzy bezczynne ronią.

---

*) W San Domingo, dokąd część legjonów wysłał Napoleon.

Gościńce sławy naszej chwastami zarosły,
Rozwalinom Sjonu pokrzywy panują,
Po wieżach głos pogrobny puszczyki rozniosły,
A smętne cienie ojców po kątach się snują,
Wskazując zwłoków swych ułomki świetne,
Powyrzucane na śmiecia wymietne.
Sami siebie nie znamy, a gdzie stąpim krokiem,
Poziewa trup ojczyzny posoką spluskany:
Wszystko drażni, rozdziera nieznanym widokiem;
I sen nawet spoczynku broniąc niezbłagany,
Szarpie szydersko i serca i czucie,
Marzeniem wzrosłym i znikłym w minucie...
Pamięć naszą uczciwą, głośną wpoprzek świata,
Jak skorupą garncarską o kamień stłuczoną,
Pogwizdując, wędrowiec depcze i pomiata,
A patrząc na bram naszych postać okopconą,
Potrząsa głową i pyta zdumiony:
„I gdzież ich teraz ów Bóg zawołany?...“
Ty żyjesz i żyć będziesz, chociaż świat upadnie!
Tyś policzył do włoska na tych głowach włosy,
Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie;
W Twoich się ręku rodzą i czasy i losy.
Więc gdy nie możesz karać bez przyczyny,
Los nasz być musi płodem naszej winy...
Łzy nasze są świadkami błędu i poprawy:
A Ty patrzyć nie możesz na łez ludzkich zdroje,
Ni się wyprzesz twych dzieci, Rodzicu łaskawy!
Cóż Ci zostaje? Wyrzec dawne słowa Twoje...
„Kości spróchniałe, powstańcie z mogiły,
Przywdziejcie ducha i ciało i siły!“

Jan Paweł Woronicz.

Chryste, o, Chryste!

Z barłogu mego, z czarnych nędz otchłani,
Do Ciebie wołam z krwawym serca płaczem:
Jak ci żeglarze wichrami chłostani
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o, Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilja wodna,
Co łodygami grzęznąc w mętnym bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste—
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o, Chryste!

Krom Ciebie, ludzie i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce;
Więc, jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg Twych padszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy, bólem szkliste.
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o, Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie—
Znękany jestem:—w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste...
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie,
Chryste, o, Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a ja prochem ziemi,
Lecz mnie nie strząsaj z bieli szat swych śnieżnych—
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o, Chryste!

Jam kwiat, więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do siebie, bom już pójść stąd gotów:
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów...
Weź mię na ciszy łono wiekuiste,
Weź mię do siebie, bom już iść stąd gotów,
Chryste, o, Chryste!

Lucjan Rydel.

II. LEGIENDY I BALLADY.

Zapóźno.

Wieczorem w niedzielę
Przy wiejskim kościele
Dziad stoi i bije we dzwony;
Wtym młodzian nieznany,
Dostatnio odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiało:
„Cóż we wsi się stało?
Komużto dzwonicie, kochanie?“
— „O smutne to sprawy!
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj, opowiem, mój panie!

„Przed kilku latami
Żył we wsi tej z nami
Kmieć z kmiecia zamożny, poczciwy.
Ni soli ni chleba
Nie było mu trzeba;
Był człek to dostatni, szczęśliwy.

„A było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek, jedynak, był trzeci;
Wesoły, rumiany,
W dostatku chowany,
Zwyczajnie zamożnych syn kmieci.

„Raz ojciec z wieczora,
Wróciwszy ze dwora,
Z westchnieniem powiada do żony:
„Mój Boże! mój Boże!
Jakżeż tam we dworze
Syn pański się chowa uczony!

„A prostak w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;

I nam Bóg dał dziecię,
Czemużby też przecie
Nie było uczonym człowiekiem?

„Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co i z nim się stanie?
Może się przy dworze
Umieści—a może...
A może i księdzem zostanie!“

„Jak rzekli, zrobili,
Lecz ciężko zbłądzili,
Sądząc, że wdzięcznym się stanie;
Dobrą jest nauka,
Lecz gdy jej kto szuka
Nie z pychy. Nieprawdaż, mój panie?

„Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiej stodoły
Szło zboże—z obory dobytek:
Syn rosnął w rozumie,
Lecz pono i w dumie,
Nie ojcom, lecz sobie w pożytek.

„I przeszło lat wiele,
A nikt go tu w siele
Nie widział w zagrodzie rodzica;
A zcicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Zły synek udaje szlachcica.

Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca się wstydzi w sukmanie;
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi.
Nieprawdaż?... Cóż wam to, mój panie?

„Tymczasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami
Do nizkiej się bieda pcha strzechy;
Ucieka dostatek
Przyrasta zaś latek,
A znikąd pomocy, pociechy...

„Staremu i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna i siebie
Zapłakał ów człowiek ubogi.

„Aż pracą znużony,
Aż bólem strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie;
I zasnął na wieki
I nikt mu powieki
Nie zawarł.—Płaczecie, mój panie?

„O, powieść nie cała;
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie;
Bo biada każdemu
Człekowi samemu,
Lecz stokroć samotnej kobiecie...

„Więc pisać kazała
Do syna—błagała:
„Rzuć miejskie wesołe to życie!
Uczcij mą siwiznę,
Wróć na ojcowiznę,
O, prędzej, przyjeżdżaj tu, dziecię!“

„Ba, panie kochany,
Groch rzucaj o ściany!
Trza było z rodzinnej wyjść ziemi
I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze
I zlewać chleb łzami gorzkiemi.

„Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
Przy dawnej zagrodzie, przy ścianie;
Przez litość w tej chwili
My jej to dzwonili.
Cóż wam jest? dla Boga! mój panie!?“

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany
I krzyczał z oschłemi powieki:

„Ach! jam jest zabójca
I matki, i ojca,
I szczęścia mojego na wieki!

„Jam trwonił grosz krwawy
Na fraszki, zabawy,
Na stroje, rozrywkę przyjemną:
A ojce tu mili
Dziś w nędzy skończyli
O, Boże! zmiłuj się nade mną!“

„Dziś wracam w te strony,
Zbolały, skruszony,
Osłodzić im życia ostatki;
Nagrodzić ich troski,
Żyć z niemi wśród wioski:
A niema już ojca, ni matki!“

I upadł na ziemi,
I łzami krwawemi
Oblewał swe winy, zbłąkanie.
Dziad oczy skrył w dłonie,
A idąc, na stronie
Rzekł zcicha: „Zapóźno, mój panie!

Jan Nepomucen Jaśkowski.

Świteź.

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina:

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc pogodną, jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi —
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą! —
Drżę cały, kiedy bają o tym starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród nocy gwar, jakoby w mieście:
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałośne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą —
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż w nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice,

Kazał przybory w blizkim robić mieście,
I wielkie sypał wydatki:
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkim dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie zcicha —
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy:
Powiemże jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży. A gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty zuchwały i twoja gromada
Wraz-byście poszli w głębinie:
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie,

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świteź, i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężnym wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Śpiesz—zwołaj twe towarzysze!

„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny:
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młódź—już w bramie
Błyska Tuhana proporzec, —
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie:—Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteź nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?“

— Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

„Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi:—póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy.

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni;
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tętent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

„Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu!—wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach, zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali!

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecą bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:

— Przeklęty będzie, kto się nie dobije! —
„Broniłam, lecz próżny opór:
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

„Jeśli nie można ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!

„Wtym jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień da się spędzać noc ciemną:
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy—
Już ziemi niema pode mną!—

„Tak-eśmy uszły shańbienia i rzezi,
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawym kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
List ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa cary.“—

To mówiąc, pani zwolna się oddala:
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słychać o niej.

Z „Ballad“ A. Mickiewicza.

Pani Twardowska.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha—cha! chi—chi! hejże—hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
— Hulaj dusza! hulaj!—woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca!

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok!—i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtym, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno... „Co u licha!
Pocoś tu, kumie, zawitał?“

Djablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznogcie.

„A, Twardowski? witam, bracie!“
To mówiąc, bieży obcesem:
„Cóż to? czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

„Wszak ze mną́ś na Łysej-Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy

„Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży!

„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa —
Kładę areszt na waszeci.“

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum;
Djabeł za kontusz ułapił:
„A gdzie jest nobile verbum?“

Co tu począć? Kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową,
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełniać co do joty.

„Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

„Skręć mi przytym biczyk z piasku,
Żebym miał czym konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale.“

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potym bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów!

„No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nieskończona,
Trzeba skąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona.“

Djabeł kurczy się i krztusi
Aż zimny pot na nim bije,
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potym, jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie:
„Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętszą-m odbył łaźnię.“

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska!
Patrzaj—oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

„Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie:
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem zostanie.

„Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic!“

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do żonki:
Niby patrzy, niby słucha;
Tymczasem już blizko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha—tak czmycha.

A. Mickiewicz.

III. SONETY.

Stepy Akermańskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi, ni kurhanu—
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok? tam jutrzenka wschodzi?
To błyszczy Dniestr, to błyszczy lampa Akermanu.

Stójmy!—Jak cicho! - Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kiedy wąż ślizką piersią dotyka się zioła...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy.—Jedźmy! nikt nie woła...

Z „Sonetów Krymskich.”

Ajudah.

Lubię spoglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi
W miljonowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o, poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Z „Sonetów Krymskich.”

Grób Potockiej.

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznemi sady,
Uwiędłaś, młoda różo! Bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie, jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady—
Dlaczegóż na tej drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady?

Polko! i ja dni skończę w samotnej żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci;
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy blizką mogiłę—i dla mnie zanuci.

Z „Sonetów Krymskich.“

Morskie oko.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro,
Odzwierciedlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na nim pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki, wyniesione w chmury,
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczą...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza—tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszczą,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

Asnyk.

Ranek w Wenecji.

Rajski ptak słońca wzleciał, roztrząsnął swe pióra,
Zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza,
I pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza,
I zgłuszył śpiew księżyca, nocy trubadura.

Ziemia—Danae leży w perłach ros. U łoża,
Odchylona już rąbków mgły srebrzy się chmura,
A na złotym wezgłowiu dogasa purpura
Jutrzennych róż, zaledwie rzuciła je zorza.

Italjo! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie,
Na ogromnych twych wodach, na szerokim niebie,
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata!

Ale ja z krain idę, kędy na dnia progu
Świt, we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzyć nie kazał na stary ból świata.

M. Konopnicka.

IV. Z POEZJI OPISOWEJ.

Przybycie Tadeusza do domu po ukończeniu szkół w Wilnie.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I obiegszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie porzucone same,
Szczypać trawę powoli ciągnęły przed bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto;
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział; bo w dalekim mieście
Kończył nauki—końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z któremi się zabawiać lubiał od powicia,
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma—
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałosny po wolności stracie;
W ręku trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny.
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wejścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczy zdumione źrenice
Po ścianach: w tej komnacie mieszkanie kobiece!
Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty,
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.

To nie był ochmistrzyni pokój? Fortepjano?
Na nim nuty i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie: nieporządek miły!
Nie stare były rączki, co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczy rozpięta;
A na oknach donice z pachnącemi ziołki,
Gieranjum, lewkonja, astry i fijołki.
Podróżny stanął w jednym z okien; nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą,
Był maleńki ogródek, ścieżkami porznięty,
Pełen bukietów, trawy angielskiej i mięty
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płotek
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek;
Grządki widać, że były świeżo polewane—
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane.
Ale nigdzie nie było widać ogrodniczki,
Tylko co wyszła, jeszcze kołyszą się drzwiczki,
Świeżo trącone; blizko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku: bez trzewika była i pończoszki.
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu,
Ślad wyraźny, lecz lekki: odgadniesz, że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Z „Pana Tadeusza“
A. Mickiewicza.

Wschód słońca.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietniej. Pogoda była prześliczna, czas ranny;
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmura biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spół-niebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.

Prawą stroną złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej krąg, jakoby powieka szeroka,
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białej chmurze, jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozślniło się, jako kryształ przezroczyste,
Potym jak brylant świątłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernym niebie szło samotne słońce.

Z „Pana Tadeusza“
A. Mickiewicza.

Koncert myśliwski.

... Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher, niewstrzymanym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze, zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonją pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historyja krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
Potym jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadął znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarszy się gardło,
Ryknął; potym beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu. Jakby w rogu były setne rogi:
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg i tryumfu hymn uderzył w chmury!

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak z chóru do chóru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko... gdzieś na niebios progu!...
Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu,
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałym, promiennym,
Z oczyma wzniesionemi, stał, jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków!

Z „Pana Tadeusza"
A. Mickiewicza.

Polowanie.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział:
Słuchał mrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.

On milczał, szczyptę wziętą z tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał, nim ją w końcu zażył;
Kichnął, aż cała izba rozległa się echem:
I potrząsając głową, rzekł z gorzkim uśmiechem:
„O, jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżby to o tym starzy mówili myśliwi,
Widząc, że w tylu szlachty, w tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie?
Cóżby rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwustu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Woronczańskim,
A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze;
Nikt go na polowanie uprosić nie może,
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława, ażeby pan taki,
Wedle dzisiejszej mody, jeździł na szaraki!
Za moich, panie, czasów, w języku strzeleckim,
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlachec-
A zwierzę, nie mające kłów, rogów, pazurów, [kim,
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów.
Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą shańbiono, sypiąc w nią śrót cienki!
Trzymano wprawdzie charty: bo z łowów wracając,
Trafia się, że z pod konia mknie się biedak zając;
Puszczano wtedy za nim dla zabawki smycze,
I na konikach małe goniły panicze
Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech jaśnie wielmożny podkomorzy raczy
Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy,
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na nim noga moja nie postanie!
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha.”

Z „Pana Tadeusza”
A. Mickiewicza.

Wieczór letni na wsi.

Po wieczerzy, i Sędzia, i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą.
Całe grono z posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać:
A oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i tonach na wpół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkim skrzydłem nietoperze—lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżej zaś, nietoperzów siostrzyczki, ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem;
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice
I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty:
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypek łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją,
I bekając raz po raz jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy!
Jako zaklęte w górach kaukaskich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistym i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym:
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.

Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci zcicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie harfy Eola.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy jako świeczki;
A dalej, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru, i niebo i ziemię oświecił.

Z „Pana Tadeusza"
A. Mickiewicza.

Burza.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej:
Aż, jedną stroną na pół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi,
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony—
Teraz, jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów sybilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło zwykle do domu powraca leniwie,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę, do domu ucieka.

Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa, coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
Ptactwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy,
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli:
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym, zuchwała
Jaskółka czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Na zachód jeszcze ozłocona
Świeci ziemia ponuro, żółtawo-czerwona.
Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jakgdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą świszczącemi koły,
Krążą po stronach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtym rykły pioruny,
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia;
Noc je, z burzą od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I Anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

Z „Pana Tadeusza"
A. Mickiewicza.

Uwłaszczenie włościan.

„Zofjo! muszę ciebie w bardzo ważnej rzeczy
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.
Wiesz, iż znaczna część wiosek, które mam posiadać,
Wedle prawa na ciebie powinnaby spadać.
Ci chłopi nie są moi, lecz twoi poddani:
Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich pani.
Teraz, kiedy już mamy Ojczyznę kochaną:
Czyliż wieśniacy zyszczą z tą szczęśliwą zmianą
Tyle tylko, że pana innego dostaną?
Prawda, że byli dotąd rządzeni łaskawie:
Lecz po mej śmierci, Bóg wie, komu ich zostawię.
Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję:
Bezpieczniej zrobię, kiedy władzy się wyrzekę,
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
Sami wolni, uczyńmy i włościan wolnemi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą.
Lecz muszę ciebie ostrzedz, że tych ziem nadanie
Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć stanie.

Ja przywykłem do życia oszczędnego zmłodu;
Lecz ty, Zofjo, jesteś z wysokiego rodu,
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata!
Czy zgodzisz się żyć na wsi, zdaleka od świata,
Jak ziemianka?...“

A na to Zosia rzekła skromnie:
„Jestem kobieta, rządy nie należą do mnie,
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,
Co pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!
Jeśli, włość uwalniając, zostaniesz uboższy:
To, Tadeuszu, będziesz sercu memu droższy...“

Z „Pana Tadeusza“
A. Mickiewicza.

Burza na morzu.

A już i niebo spuściło się nizko,
Ciężkie chmurami, i mąt po nim chodził,
Rwąc na kawały to szare płachcisko,
Którym się od nas dzień cały przegrodził,
Chwyciłem masztu, bo stać było ślizko,
A wtym mnie bałwan jeden tak ugodził,
Jak chłop, gdy nogi podbije kłonicą,
I uciekł cały siny błyskawicą.

Jakże nie rykną wichry! jak po niebie
Nie zaczną trzaskać z okrutnym gruchotem!
Jak się nie porwą, nie wpadną na siebie,
Jak się nie cisną o morze pokotem!
To koń takiego dołu nie wygrzebie,
Kiedy go jezdnik uwiąże za płotem,
Jak one wodę skopały kopytem,
W błyski kowanym i w gromy podbitem.

Znam ci ja burze tęgie, bom od dziecka
Po leśniczówkach, jak wilczę chowany;
Wiem, jak Kampinos grzmi, jak Myszyniecka,
Jak i Zielona, aż het, za Prużany,
Owa ta sławna puszcza Białowieska,
Gdzie się żubr ukrył, potopem zagnany,
W taki gąszcz, że sam Bóg drogi nie wiedział,
Poniechać musiał, a zwierz się osiedział.

Jest ci tam przestrach, gdy wicher uderzy
W rój krętych sosen lub puści ze smyczy
Ogary wietrzne po pustej trzebieży,
A tur go ciągnie w chrap mokry i ryczy...
Lecz przecie się to do morza nie mierzy!
Tu lęk osobny jest, co kości liczy,
Tak, że ci każda, jak w zimie, dygota,
Lęk ogromniejszy, niż w końcu żywota.

Tu szpicem na dół przód się okręciska
Sunie, ze wszystkim chcący grzęznąć do dna,
Tu trzask, tu łomot, tu gardziel ci ściska
Śmierć, której ręka jest mokra i chłodna;
Aż nagle w górę, jak chybnięta miska,
Jedziemy, przez łby wali góra wodna,
Do suchej nitki mocząc szmat na grzbiecie,
A puść się ręką, to cię, jak źdźbło, zmiecie.

A tuż dopiero, jak się zaczną toczyć
Beczki, łańcuchy,—to z taką szło siłą,
Że drugi, trzeci, nie zdążył uskoczyć,
Już nim jak kulą o pomost rzuciło.
Ludzie zaczęli krzyczeć, pchać się, tłoczyć,
Niemało chłopstwu guzów tam nabiło,
Nie licząc tego, że się italjańska
Dziewka przez poręcz spławiła do Gdańska.

Nie tak się w sobie rozszumi, rozwieje
Bór, gdy się sosny zamiotą od burzy,
I nie tak ugór zorany czernieje,
I nie tak żyto za wiatrem się kurzy,
Jako więc morze pod ową zawieją
Wał na wał pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada.

Huknęły teraz niebieskie harmaty,
Które sam Michał Archanioł nabija.
Mrok upadł gęsty, i tylko się szaty
Anielskiej czerwień skróś chmury przewija
Pękły nad światem ogniste granaty,
Świszczą, żądłami kręcą, jako żmija,
Lecą do morza pobite czerepy,
A deszczu strugi tak walą, jak cepy.

Jeszczeć to chłopu mniejsza; chłop dostoi,
Choć się w nim życia ruszą fundamenty.
A drugi taki, im więcej się boi,
Tym twardszy bywa w śmiertelne momenty;
I za trzech zuchów tchórz w strachu obstoi...
Lecz baby srogie czyniły lamenty,
Od których, gdy nam ciężko uszy puchły,
Kapitan kija podniósł—i tak zgłuchły.

Zaraz też okręt lżej zaczął sterować,
Bo już nad wszystko wrzask babi nie służy,
Gdy się kto bierze po morzach żeglować.
Rzecz to jest mocna i pomiar jej duży...
Już się tam nie lża po tynfie targować
Z śmiercią, gdy nawa pod wodę się nurzy;
Co masz, to dawaj, czy miedzią, czy złotem,
Wypłyniesz, będziesz rachował się potem.

Tymczasem owe to morskie załogi
W świstach, błyskaniach migają się ino,
Skroś ognia onej niebieskiej pożogi
Świecąc twarzami piekielnie a sino.
Kapitan, blady w obliczu i srogi,
W rozpiętej kurtce, przewzięty w pół liną,
Okiem obiegał morze i pod reją
Komendę trzymał na przebój z zawieją.

Nie łatwo było! Co okręt dał nura,
Strząchnął się z piany i na wierzch wypłynął,
To znów się wody waliła nań góra...
Tak on łbem pod nią, i znów się wychynął!
Na hak-by go ta wpędziła wichura,
I byłby pewno, jak ruda mysz, zginął,
Ale się morze w tej bitwie zmachało
I w setne trąby na odwrót grać dało.

Do samej nocy goniły nas sine
Oczy błyskawic i grzmot łajał z warkiem.
Aż my się, w wichrów wcisnąwszy szczelinę,
Przebili z tuczy. Tak skrzydłem ptak szparkiem
Kraje na ukos powietrzną głębinę,
Kiedy mu kania zakrąży nad karkiem...
Lecz piorun jeden dognał nas, wypalił
I sążeń drzazgi od masztu odwalił.

Zaraz też, jakby na to tylko czekał,
Jął się wichr ciszyć i składać po sobie
Zjeżone grzywy; a grzmot tak uciekał,
Jak gończy z troka, gdy w kniei przeskrobie.
Raz jeszcze, drugi, wskróś mroków zaszczekał,
Zacichł, znów drogę obwarknął na globie,
Aż ciszej, dalej, z ostatnim skowytem
Schował się w niebie, chmurami nakrytem.

Wyjątek z „Pana Balcera“
M. Konopnickiej.

Częstochowa.

I.

Serce! czego tak bijesz w pośród piersi wnętrza?
Dla czego w twoich tętnach płynie krew gorętsza?
Och! bo serce to prorok—odgadło zdaleka,
Ile wrażeń potężnych za chwilę je czeka.
Patrzaj!—na tej równinie, zaledwie widoma,
Piętrzy się góra sina, wysoka i stroma,
Na górze mur bieleje, i kościelna nawa
Wysoką ostrą wieżą obłoki rozkrawa.
O! już sercem odgadłeś, co to za budowa:
To święta Jasna-Góra, to jest Częstochowa!
Padaj na twarz, pielgrzymie, na widok tej wieży,
Z pobożnych twoich źrenic niechaj łza pobieży;
Masz stanąć przed Najwyższą niebiosów Królową,
Co z murów częstochowskich na ziemię Lechową
Łaskę błogosławieństwa do koła rozsyła,
Jak niegdyś starym Piastom pobłogosławiła!
Przyjdź tutaj, jeśliś głuchy na natchnienie Boże,
Jeśli umysł twój cudom uwierzyć nie może,
Przyjdź tutaj—doznasz wiary, skruszysz się żałobą,
To będzie cud najpierwszy Maryi nad tobą.
Lecz jeżeliś, pielgrzymie, wierny do ostatka,
Nie zapomniał pacierza, co uczyła matka,
Przychodź jeszcze tym śmielej błagać swej obrony,
Bo stąd jeszcze nie odszedł żaden zasmucony.
Biją burze społeczne, albo cicha burza
Kołysze twoim sercem, w odmęt je ponurza,
Albo pomimo trudu twa niwa nie rodzi,
Albo ci w twoim domu zły sąsiad zaszkodzi,

Albo ciężka choroba wnijdzie ci do chaty,—
Znajdziesz na Jasnej-Górze skarbiec łask bogaty.
Maryja hojną ręką rozdaje go rzeszy,
Uwolni od boleści albo je pocieszy.

II.

Niech lecą w koniec świata twe parowe cugi,
Ty pozostań, pielgrzymie, na dzionek, na drugi...
Pomódl się przed cudownym Maryi obrazem,
Uchyl głowę przed cegłą i przed każdym głazem,
Ucz się ciekawych dziejów tej świętej budowy:
Jak świat światem nie znajdziesz drugiej Częstochowy!

III.

Idźmy w prawo przez długą cienistą aleję
A wskazówka—to kościół, co zdala widnieje.
Po jego ostrej wieży, co się w chmurach kończy,
Rzekbyś, że strumień łaski z obłoków się sączy.
Stary obwód forteczny otacza świątynię,
Bo święta Matka Boża—jak nasz hetman słynie.
Kiedy kraj zagarnęły nieprzyjazne siły,
O mury tej warowni gromy się rozbiły.
Piersiom kutym z kamienia tutejszego mnicha
Winna Polska, że jeszcze po Szwedach oddycha!
Kto ramię Kordeckiego do potęgi budzi,
Co dwanaście tysięcy zgromił w trzysta ludzi?...
Ty—Pani z Jasnej Góry!—Twoje to staranie,
Co hufce archanielskie masz na zawołanie,
Coś zdeptała potęgę piekielnego węża,
Rozkazałaś zwyciężyć—a człowiek zwycięża.

IV.

Nad basztami w obłokach, czy wy go widzicie?
Unosi się ksiądz stary w śnieżystym habicie,
Rozeznać z siwej brody i z wyniosłej głowy,
Że dusza Kordeckiego strzeże Częstochowy;
Zdaje się mówić do nas—podawać osłodę:
—„Pokój ci niechaj będzie, pokolenie młode!
„Prawnuki owej szlachty, której drobna siła
„Wespół ze mną w obronie tych murów walczyła,
„Czybyście mieli męstwo, jako w nasze lata,
„Z tych wałów, gdyby szwedzka zagrzmiała armata?

„Czy dusza prawowierna? czy dosyć pobożna?
„Czy z wami, jak z naddziady cud dokonać można?“
I widzę, jako starzec w promiennej osłonie
Do obrazu Maryi z chmur wyciąga dłonie,
A źrenica w ten obraz z nabożeństwem wryta,
Czy o coś Pannę błaga? czy o coś się pyta?

I oto widzę w chmurze wznosi się gromada:
Klęczący Jan Kazimierz swoje vota składa,
Król Sobieski ślubuje Rodzicielce Bożej:
Póki Turka nie zbije, miecz w pochwy nie włoży.

Święty, rycerski mnichu! o, dawni królowie!
I ty, święty szlachcicu, jak cię Marek zowie!
Sławiliście Maryję czynami, modłami,
Wyście teraz Jej bliżsi—módlcie się za nami!

V.

Ha!... czy słyszysz, pieśń święta jak niebo przebija?
Jak po całym obszarze grzmi imię Maryja?
Tu ze wszech stron lechickich pobożni poddani
Czołobitność przynoszą jasnogórskiej Pani:
Tam Mazury od Wisły, tam z Tatrów górale,
Tam Krakus w szaty ojców strojny okazale,
Tam Kujawiak z nad Gopła—a każda gromada
Z całych secin, z tysiąców pielgrzymów się składa;
Każdej przodkuje starszy, co w całej podróży
Wyśpiewywa pobożnie—a naród mu wtórzy.
Czuć po dźwięku ich pieśni, po drżeniu ich łona,
Że idą do Królowej lechickie plemiona.

VI.

Krom swoich są tu obcy—Węgrzyni, Morawa,
Szląsk nasz stary, co słucha niemieckiego prawa,
Czech z głębi Słowiańszczyzny, Prusak z nad Baltyku
I wszelkiego narodu bez miary, bez liku;
A wszystko insza mowa, insze ludu twarze,
Insze kształty postaci, inszy krój w czamarze;
Za nic tu przestrzeń miejsca i różność narodu,
Wspólna cześć ich zebrała do Maryi grodu.

VII.

Uderzono we dzwony—kapłan ich spotyka,
Skrapia święconą wodą każdego pątnika

I całe karawany, sam idąc po przedzie,
Z hymnami łacińskiemi do świątyni wiedzie.
Pośpieszmy za gromadką modlić się w kościele,
Wszak pielgrzymskiej modlitwy jednostajne cele—
A Maryja zrozumie, że to lud rodzimy,
I o co się gromadnie modlić przychodzimy.

VIII.

Czterma bramy do Bożej wchodzi się świątyni:
Serce pęka, co wrażeń bazylika czyni!
I czuć tchnienie powietrza upłynionej chwili,
I czuć wspomnienia przodków, co tu się modlili.
Ale pusto w kościele—bo orszak podróżny
Sypnął pobożną garścią grosze swej jałmużny,
I pośpiesza w ubocze, gdzie w wielkiej kaplicy
Ustawiono przesławny tron Boga-Rodzicy.
Tu Matka Miłosierdzia ze swego ołtarza
Uśmiechem powitania pielgrzymów obdarza.
Tłumy padają na twarz. W ciszy tajemniczej
Niejedna pierś bolesnym jęczeniem zaryczy,
Niejeden grzech, co ciężył na duszy okropnie,
Tu we łzach pokutniczych zmywa się i topnie.
Niejeden korną głowę na marmurze kładzie,
Niejeden głos radosny ozwał się w gromadzie:
—„Teraz, Panie, w pokoju skończ mych dni ostatki,
„Bom oglądał oblicze Przenajświętszej Matki!“

IX.

A Matka Przenajświętsza na swym majestacie
W koronie watykańskiej, w brylantowej szacie,
Setnym światłem z jarzących kagańców oblana,
Słucha skargi swych dzieci—wstawia się do Pana.
Przez nasze własne serca Pośredniczka nasza
Wybłagane przez siebie wyroki ogłasza.
W pośród szmeru modlitwy, wśród pobożnej ciszy
Nikt nie słyszał wyroku, lecz serce go słyszy;
Zrozumiał błagający, co mu wyrzeczono...
I patrz, jakim zapałem jego oczy płoną!
W jego łzie, jak dobitnie swój obraz odbija
Cudowna częstochowska Dziewica Maryja!...
A gdy tę łzę pokutnik na marmur wyleje,
Znać, że wszystko odzyskał—wiarę i nadzieję.

X.

Kapłani rozpoczęli obrządek poranny,
Muzyka grzmi modlitwę do Najświętszej Panny,
A na muzyki tonach, na gwarze pacierzy,
Głos narodu powietrzem pod obłoki bieży.

XI.

Ale dusza tych wrażeń ogarnąć nie zdoła...
Odetchnijmy przy skarbcu starego kościoła,
Gdzie każdy dar podwójne uczucie rozbudzi,
Pamiątkę sławnych, zbożnych, staroświeckich ludzi.
Oto książąt opolskich podarek bogaty,
Oto ręką Jadwigi poszyte ornaty,
Oto dary Zygmunta—rąk własnych roboty,
Monstrancja rzeźbiona, kielich szczerozłoty;
Oto miecz Sobieskiego, łańcuch Władysława,
Niejednego hetmana kosztowna buława...
Gdy patrzysz na dar każdy, łza kręci się święta,
Oko ich nie przeliczy, a myśl nie spamięta.

L. Kondratowicz.

Pieśń Wajdeloty.

O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem...
Ty czasem dzierżysz i miecz archanioła...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,

Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I grzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.
Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelaznym oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie—bezdzietni...
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem zdala.
Tym mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje...
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie... srodze mnie zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę
Lutnia umilkła w odrętwiałym ręku,
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce.
Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci

Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

A. Mickiewicza.

Powieść Wajdeloty.

Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna:
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami śród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli; książe Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta: z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli?
„Nie wiem, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwytany.
Pomnę tylko że kędyś w Litwie, śród miasta wielkiego,
Stał dom moich rodziców: Było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych; dom był z cegły czerwonej.
W koło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa.
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego, w nocy, wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem;
Krzyk okropny: „Do broni! Niemcy są w mieście, do broni!“
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną,
Zgonił porwał mię na koń. Nie wiem, co stało się dalej.
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem,
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu.
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mym [uchu
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Zo odgłosem piorunu. Oto jest wszystko, co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marze- [niach
Widzę postać szanowną matki, i ojca, i braci,

Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem śród Niemców jak Niemiec,
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano.
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna,
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas, pomiędzy Niemcami,
Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty,
Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozpowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej, i pieśnią,
On mnie często ku brzegom Niemna sinego prowadził,
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać;
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń.
Potym w latach młodzieńczych, częstośmy z portu Kłajpedy
W łódkę z starcem siadali, brzegi litewskie odwiedzić.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią zdało się że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Starzec pomagał pamięci... On piękniejszemi słowami,
Niźli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości! Ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach zakonu!
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:
„Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce?
Już je piasek obleciał. Widzisz te zioła pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie...
Ach, daremnie! Bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni...
Synu! Plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi, Litwini!
Synu! piaski, z za morza burzą pędzone, to Zakon!“
Serce bolało, słuchając.

A. Mickiewicza.

Zdobycie wąwozu pod Somo-Sierra.

Gdzie wąwóz Somo skałami się jeży,
Jest ciasne przejście,—jak na szyk rycerzy,—
Tam dumny Hiszpan, siadszy na gór szczycie,
Czekał z pioruny na wrogów przybycie.

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturmu Frankowie *) zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudną dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy:
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Zacięte Maury **) z gór wierzchu szydziły:
—„Chodźcie tu, chodźcie,—dawno was czekamy;
Wam tu Kastylki ***) robią uśmiech miły,
Wam stary Madryt otwiera swe bramy!...

Wtenczas bohater ****), co wiódł nasze męże,
Przybiegł, gdzie polskie lśniły się oręże;
W cichym milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

—„Wy, co z waszemi znajome szeregi
Egiptu piaski, Apeninu śniegi,—
Ty, ze lwim sercem młodzieży nietrwożna,—
Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można!“

Rzekł: huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,—
Przed grad kartaczy las proporców leci;
Grzmi grom po gromie,—i razem ustały...

A. Gorecki.

---

*) Francuzi. — **) tutaj Hiszpanie. — ***) Kastylja, prowincja hiszpańska.—****) Kozietulski.

Pożegnanie Mohorta z Dworem.

Jedyną tedy pociechą w Warszawie
Był Mohortowi Ogiński i książę...
Lecz choć i klasztor, choć i przyjaźń wiąże,
Tęsknił do kresów i zmizerniał prawie:
„Już mi tu zginąć widzę w tej Warszawie!“

Wisła mu Dniepru nie mogła zastąpić,
I każdą chwilę życia począł skąpić;
Więc kiedy księcia już nauczył służby,
Nie chciał pozostać w Warszawie i chwili:
„Tęsknią tam po mnie i konie i drużby,
Muszę na szlaki!“
Więc Król go przywołał
I ledwo słowy wypowiedzieć zdołał,
Ile mu wdzięczny i ile go ceni,
Że mu synowca tak pięknie wyćwiczył
W rycerskich sprawach, że się szczęsnym mieni
Mieć go w swym wojsku, w końcu, żeby życzył,
Aby mąż taki, co tak dzielnie stawał
W obronie kraju przez lat szereg długi,
Przyjął nagrodę—a więc krzyż mu dawał,
I rotmistrzowską buławę zasługi,
I ukraińską słobodę na wieczność,
A przy tym była i łaska i grzeczność
Króla tak wielka, że aż dwór się zdziwił,
Za co łask tyle i tyle partesów
Dla szerepetki z ukraińskich kresów.
Sam tylko Mohort coś trochę się skrzywił
I rzekł do króla:—„Miłościwy Panie!
Umiem ja cenić choć w pomiernym stanie
I łaski waszej Królewskiej Mości,
I nie powszednie Jego dla mnie względy;
Ale nie dla mnie takie dostojności,
I po staremu rzecz nie idzie tędy!

„Chrzest, to Sakrament niczym niezmazany,
Ja na chrzcie świętym wyparłem się czorta,
I Krzyż przyjąłem krwią Boga oblany,
I ufam w Panu, że Pan Bóg Mohorta
Karać nie będzie choć przynajmniej za to,
(Jeślim nic więcej sobie nie wyprosił),
Bom dla ojczyzny ten Krzyż wiernie nosił,

Stojąc na czatach przez niejedno lato;
Więc po raz wtóry krzyża wziąć nie mogę!

„Co do buławy—zaszczyt to rycerski,
Ale w chorągwi rotmistrzem pan Kierski,
A ja chorągwi mojej nie porzucę,
Bom w niej zestarzał, Miłościwy Panie!

„A co do ziemi—to jej mam nie mało;
A jeśli zresztą w życiu jej nie stało,
To jej dodadzą po śmierci—i stanie!“

Więc król mu na to:—A to mi Spartanin,
To Polak twardy!—To republikanin...
Teraz dopiero ciężą mi me długi,
Gdy mnie za serce taka cnota chwyta,
Gdy za ubogą jest Rzeczpospolita,
By mogła spłacić swych synów zasługi;
Więc jedną prośbę mam tylko pod niebem:
Nim się rozstaniem, przełamiem się chlebem!“

I wielki obiad był nazajutrz dany
Na cześć Mohorta na zamku królewskim...
I do obiadu przyszedł król ubrany
W złotym pancerzu i płaszczu niebieskim,
Jak na obrazach bywa ustrojony;
Lecz do obiadu był tylko proszony
Sam jeden Mohort z królewską rodziną,
A był i Hetman.
Król bardzo łaskawy
Ciągle się bawił tylko Ukrainą,
I wypytywał o ludzi i sprawy;
Pod koniec stołu zawołał:—Panowie!
Ojciec ojczyzny wnoszę teraz zdrowie
Tu najstarszego w ojczyźnie rycerza!
Niechaj nam żyje, z nami się sprzymierza!“

I wypił kielich, i wszyscy powstali,
A po toaście wyszedł już król z sali,
I zdjął ów pancerz; a pani Krakowska
Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem,
I wraz z pancernym przez nią szytym znakiem
Złożyła razem przed Mohortem zręcznie,
I słów nie wiele, lecz rzekła tak wdzięcznie,
Że wszystkich w głębi przejęły te słowa.
Na piersi zwisła Mohortowi głowa,

I rzekł, wpatrując się w ów znak pancerny:
„Hej! ptaku, ptaku pancernego znaku!
Jak zawsze byłem tej chorągwi wierny,
Tak, królu, panie! stoję Bożą wolą,
Rany nie bolą—lecz łzy takie bolą!“
I Książę Józef na starca się rzucił,
Sam Król łzę otarł—Hetman się odwrócił...
I słychać było tylko czyjeś łkanie,
I takie było z dworem pożegnanie.

W. Pol.

Pożegnanie Mohorta przez młodzież.

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało, poił Mohort konia
W Wiśle na drogę—wtym tentent przez błonia
I jakieś wierzchy wymykają z lasku.

Mohort się spojrzał—a tu jedzie książę
Na czele całej dobranej młodzieży
I woła:—„Teraz pan Mohort uwierzy,
Że kiedy służba, to i na czas zdążę!

„Z rozkazu króla mam oddać tę zbroję
I konia z rzędem, i niech Bóg prowadzi!
A jeśli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi.“

„I owszem, proszę!—rzekł Mohort wesoło;
To mi to życie, kiedy takie koło;
Jabym odprawiać miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą, choć na Ukrainę!“

A wtym nadjechał królewski koniuszy,
Prowadząc konia—koń był wielkiej duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota,
Rzęd staro-polski aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckiemi kapy.

Koniuszy odkrył tyftyk, a u boku
Ujęty pancerz i szabla w wytoku,

Szyszak na łęku, a tuż przy szyszaku.
Spływa proporzec pancernego znaku.

Spojrzał się Mohort i podumał głową,
Koń parsknął raźno—a on krzyknął:—„Zdrowo!
Zdrowo, mój koniu!—takiego bachmata
Daj hetmanowi, a przejdzie kraj świata!“
Pogłaskał konia i nareszcie powie:
„Ha, komu w drogę, temu czas, panowie!“

I z koniem ruszył pan koniuszy przodem,
Książę po lewej, Mohort po prawicy,
Reszta za niemi, i wolnym pochodem
Jadąc ku Górze, w równej okolicy,
Spojrzeli czasem ku murom stolicy...

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny;
Ktoś ich dopędził—patrzą—ktoś w wilczurze
Pędził i stanął.—„A to ja, Ogiński,
Stary przyjaciel partji ukraińskiej,
Z rannym obiadkiem czekam panów w Górze!

I jakoż w Górze z południa dopiero
Pana Mohorta pożegnano szczero...
I tu dopiero, kiedy na podziękę
Do strzemiennego wyciągnął już rękę,
Siedząc na koniu, pieśń starą zaśpiewał,
Którą dziękował, gdy podjętym bywał:

„Czas do domu, czas!
Zabawili nas!“

W. Pol.

Przed bitwą.

Ileż to razy uderzał o uszy
Odgłos komendy i szedł mimo duszy.

Lecz jak inaczej, jak wcale inaczej
Głos ten przenika, aż do serca głębi,
I dreszczem przejmie i aż w krwi zakłębi,
Gdy się marsz wojsku już do boju znaczy.

Wówczas w komendzie leży cała waga,
I moc tajemna i prawda tak naga,
Że się jej oprzeć już nic nie odważy,
Że już nie rozum, ale ręka słucha,
Że już nie wola, lecz ciało się waży,
A koń ma z jeźdźcem po połowie ducha.

Na koń!—odezwał się naprzód oboźny,
Na koń!!—obiega dokoła głos groźny,
Na koń!!!—zawrzało, i zamęt śród wrzawy,
Na koń!—i jezdnych połowa już w biegu,
Na koń!—i wszystkie skończone już sprawy;
Baczność!—i wszyscy stali już w szeregu...

I słońce błysło złocisto u wschodu,
I książę dosiadł bachmata wesoło,
Przejrzał szeregi i pomknął na czoło,
A jedna trąbka dała znak pochodu.
„Marsz!“
I blask słońca zaigrał po stali.
„Marsz!!!
I jak rzeka całe wojsko wali!

Poważna cisza—i tylko po rosie
Słychać głos trąbki; lecz w tym jednym głosie,
Co się rozlegał w tej chwili rozstania,
Leżała cała waga pożegnania.

I każdy patrząc na tę ziemię żyzną,
Mówił sam sobie z żałosnym uczuciem:
„Żegnaj, rycerzy i mogił ojczyzno!
I kiedyż znowu do ciebie powrócim?
Pod jaką wróżbą i z jakim obliczem?
I czy w szeregach jeszcze się policzym?

Wesoło płyną narodowe znaki!
Szeroka droga na rozstajne szlaki,
I koń i serce ochocze do lotu...
Lecz gdzie się oprzem? gdzie położym kości?
I czy nam stanie drogi do powrotu?
I czy nie zmarni się tyle miłości?...

Każdy to uczuł, że został pod niebem,
I jechał wolno, jakby za pogrzebem;

Więc książę krzyknął: „Hej, naprzód śpiewaki,
Pieśnią pożegnać ukraińskie szlaki!
A tam na niebie widzę klucz żórawi,
Więc dobra wróżba! Niech się wrogi smucą—
Bojem się tylko kraj dźwiga i sławi...
Wszak i żórawie lecą a powrócą?
Toć i my jeszcze tu powrócim może;
Naprzód, śpiewaki! naprzód w Imię Boże!“

To chociaż w duszy nie było wesoło,
Słowem się wodza pokrzepiła wiara,
I wymykali śpiewacy na czoło,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara.
Zabrzmiało w stepie:

„Hej, tam na górze
Jadą rycerze,
Puku! puku! w okieneczko,
Wstań i otwórz, panieneczko,
Koniom wody daj!“

W. Pol.

Wyjątek z Odyssei.

Odyss w królewskie gmachy podążył w tej dobie
I długo stał przed niemi i rozważał sobie,
Czy ma nogą przestąpić pański próg śpiżowy,
Gdzie, jak promień słoneczny, lub blask księżycowy
Wnętrze komnat pałało. Ściany, wyłożone
Miedzią, biegły to w jedną, to w drugą znów stronę,
Od progu w głąb i głębiej; wkoło gzyms niebieski;
Wewnątrz w każdej świetlicy drzwi ze złotej deski;
Próg miedny odrzwia srebrne dźwigał, a sklepienie
Ze srebrnej belki! u drzwi też złote pierścienie,
Psy złote i psy srebrne z obu stron podwoi,
Co je Hefajstos ukuł, ten mistrz w sztuce swojej,
Leżały rzekomo stróże domu swego pana;
Ani śmierć, ani starość stróżom tym nieznana.
Od progu w głąb i głębiej w rząd poustawiane
Pod ścianami szły stołki, na stołkach zaś dziane
Kobierce, ręką niewiast misternie wyszyte;
Tam siadają feackie panny znamienite,

Jedząc, pijąc; nie zbywa nigdy im na niczem.
Na podstawach dokoła z młodzieńczym obliczem
Stały złote posągi, trzymając kagańce,
Gościom przyświecając przy nocnej hulance.
Pięćdziesiąt tam niewolnic krzątało się w dworze:
Te obracały żarna, mieląc płowe zboże;
Inne przy krosnach; kądziel znowu przędły inne,—
Jak liście na topoli, wciąż w ruchu, wciąż czynne,
Zbijały pasma tkanin mocno, aż z warsztatów
Tkackich tłustość ściekała; bo jak tęższych chwatów
Nad Feaki do morskich wypraw niema w świecie,
Tak dowcipem nie sprosta feackiej kobiecie
Żadna inna w tkaninach misternej roboty;
Atene im wyłącznie dała te przymioty.
Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony,
Czteromorgowy, wkoło płotem ogrodzony,
Kędy drzewa wysokie i kwieciem okryte
Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite,
Słodkie figi. Toż drzewa oliwne tam były,
Przez rok cały tak zimą, jak latem rodziły;
Bo w ciepławym zefirze, co tam wciąż powiewa,
Jeden owoc się kluje, drugi już dojrzewa:
Jabłko idzie po jabłku, gruszka gruszkę spycha,
Figa figę—i owoc zawsze się uśmiecha.
Widać tam i winnicę bujną w winogrona,
Część jej duża na upał słońca wystawiona,
Ażeby schły jagody; więc jedne w kosz biorą,
Drugie tłoczą. Wiośnianki dochodzą niesporo;
Tu kwiat ledwo, tam już się rumienią jagody.
Za sadami warzywne leżały ogrody:
Grzędy ziół wonnych, kwiatów pstrokatych bez liku;
Jest dwie krynic: z tych jedna wije się w poniku
Przez sady, druga pańskie podwórze obmywa;
Z niej wody na potrzebę lud wiejski używa.
Taka to nad królewskim domem łaska bogów!

Długo Odyss tułaczy stał zdumion u progów,
A gdy wszystkiemu w duszy dość się nadziwował,
Próg przekroczył i w wnętrze komnat tych wstępował.
Tam feackich bojarów zastał godujących
I ostatnią z czar winnych objatę lejących
Na cześć Argusobójcy; zwykle biesiadnicy
Robią to, aby smaczny sen znaleźć w łożnicy.
Boski Odyssej izbę prędkim mierzył krokiem,
Od Ateny odziany lekuchnym obłokiem,

Aż dopadł Alkinoja. Siedział przy Arecie,
I gdy Odyssej dłońmi kolana jej splecie
Naraz zeń święty obłok zsunął się ze wszystkiem
I w izbie zmilkli goście; zdumieni zjawiskiem,
Patrzyli na przybysza. On wniósł prośbę, którą
Miał w tych słowach: „Areto, Roksenora córo!
Błagam twego małżonka, ciebie i tych gości,
Ja, tułacz, niechaj bogi dadzą wam w pełności
Zdrowia, szczęścia, by jeszcze i na wasze dziatki
Godność, od ludu dana, spadła i dostatki.
Przez litość wrócić do dom pomóżcie mi prędzej!
Długo, długo się tułam w sieroctwie i nędzy."

To rzekł i na ognisku wraz usiadł w popiele
Przy ogniu. Goście zmilkli, chociaż ich tam wiele...
Aż wreszcie przerwał ciszę mąż, najstarszy laty,
Siwy Echinej, w słowa wymowne bogaty.
Dawnych wieków pamiętny znał obyczaj stary,
Więc się zaraz odezwał mądrze i do wiary:
„Ej! nie godzi się, królu, bo to nie w zwyczaju,
By w popiele siadywał gość z cudzego kraju.
Czekając na twój rozkaz, chowamy milczenie,—
A zatym podnieś gościa; na srebrne siedzenie
Posadź tu obok z nami. Keryksom każ w kruże
Wino lać,—cześć oddamy Bogu, co grzmi w górze;
Wszak pod jego opieką stoją nieszczęśliwi."

Wzruszyła się tą mową Alkinoja dusza:
Powstał i niezłomnego dłoń Odysseusza
Wziąwszy, podniósł z popiołu, posadził przy sobie
Na miejscu Laodoma, co gościa osobie
Musiał ustąpić, chociaż ojca ukochanek.
Służebna na srebrzystej misie złoty dzbanek
Pełen wody przyniosła i ręce nią zmyła
Gościowi, poczym gładki stół mu przystawiła.
Potym skrzętna klucznica przyniosła mu chleba,—
I rozmaitych potraw z śpiżarni, co trzeba,—
A boski tułacz Odyss jadł i spijał głodny.

Tłom. J. Siemiński.

Z pieśni VIII-ej Iljady Homera.

Wiejący kitą Hektor śpieszy do mieszkania,
Ale nie była doma Andromacha biała:
Z piastunką i dziecięciem na wieżycy stała
Jeszcze, spłakana wielce, z szaty wiejącemi.
Więc sług Hektor się pyta słowy skrzydlatemi:
„Dziewy, powiedzcie wy mnie, gdzie małżonka bawi?
U sióstr, czy z bratowemi smutny czas ten trawi?
Czy w świątyni Pallady, gdzie gniewnej bogini
Krętowłosych Trojanek tłum ofiary czyni?“
Na to mu zabiegliwa szafarka odrzecze:
„Powiem zaraz, boć widzę—niecierpliwość piecze.
Nie u sióstr twa małżonka pięknowłosa bawi,
Ni z braci twych żonami smutny czas ten trawi,
Ani w domu Pallady, gdzie gniewnej bogini
Krętowłosych Trojanek tłum ofiary czyni,—
Lecz na wieży trojańskiej szczyt wybiegła trwożna,
Słysząc, że was Achajów gniecie siła można,
Podobna do szalonej tam na mur się spina,
Piastunka niosła za nią kochanego syna.“
Rzekła. Hektor pośpiesznie ulicami goni;
Lecz gdy do Skajskiej bramy, skąd się widok błoni
Bojowych rozpościerał, doszedł zadyszany,
Z schodzącej właśnie żony obliczem kochanej
Spotkał się: chłopię za nią niemowlę niesiono,
Astjanaksem zwane, po rodzicu pono.
Uśmiechnął się do syna Hektor z szumną kitą,
Gdy żona się ozwała, łzę lejąc obfitą:
„Dziwny człecze, waleczność życia cię pozbawi,
Dziecię ono sierotą, mnie wdową zostawi.
Pewnieć ciebie Achaje, idąc mocą całą,
Zabiją! Gdybyż wtedy w dziale się dostało
Umrzeć!... bo jakaż dla mnie pociecha zostanie,
Com bez ojca i matki, gdy ty zginiesz, panie?
Ojca boski Achilles zabił mi, macierzę,
Wykupioną z niewoli, wnet Artemis *) bierze;
Siedmiu braci przy straży runistego stada
W jeden dzień boski Achill postrącał w głąb Hada.
Tyś mi pozostał jeden – matką i rodzicem,
Bratem, Hektorze drogi, z wdzięcznym twoim licem.

---

*) Artemis (Djana)—bogini śmierci spokojnej.

Lecz się zlituj nade mną, tu pozostań oto,
Nie czyń małżonki wdową, a dziecka sierotą.
Na pagórku figowym ustaw do obrony
Wojsko; tam mur trojański bardzo odsłoniony...“
Na to wiejący kitą Hektor odpowiada:
„Droga moja! toć nad tym dusza moja biada!
Lecz wstydby mnie Trojanów, wstyd Trojanek strojnych,
Gdybym wśród bojów wczasów chciał użyć spokojnych.
Nie pozwala animusz, bom ja nauczony,
Pierwszym być w starciach mężów, pierwszym wśród obro-
Tym ja ojca i własnej strzegę sławy starej, [ny,
Choć czuję, że się spełnią Achajów zamiary,
Że padnie święty Iljon w walce uporczywej,
Zginie naród Trojanów i Pryjam sędziwy.
I kiedy myślę o tym, nie tyle mię boli
Widok strasznej ruiny i strasznej niedoli,
Nie tyle los Hekaby, Pryjama nie tyle,
Ani rodzonych braci, co w bojowym pyle,
Krwią zbroczeni, upadną i zginą tak marnie,—
Ile twój, gdy płaczącą mąż wrogi zagarnie,
A zabierając wolność, do Argu powlecze,
Abyś przędła lub wodę nosiła co ciecze
Z obcych źródeł Messei albo Hyperei,
A przechodzący, patrząc w twarz twą bez nadziei:
„Toć małżonka Hektora, co walczył w Iljonie“—
Szepnie, nowe boleści budząc w twoim łonie...
O, niech pierwej zmarłego mogiła przywali,
Nim rozpaczny porwania krzyk usłyszę z dali!“
Tak rzekł i do dzieciny, która przytulona
Do piastunki, patrzyła, wzniósł oba ramiona.
Lecz przelękło się chłopię: u piastunki chowa
Główkę, boć go straszyła przyłbica stalowa
I kita, z szczytu hełmu wiatrami wiejąca.
Śmieje się ojciec, śmieje matka wpół płacząca,
Więc zdejmuje hełm Hektor i kładzie na ziemi,
Potym całuję dziecię, dłońmi łagodnemi
Pieści, a wznosząc w górę, modli się w pokorze:
„Bogowie nieśmiertelni i ty, wielki boże,
Zeusie! zdarzcie łaskawie, by szedł w moje ślady
Syn mój, by bronił Troi, jak broniły dziady!
Niech świat powie: „On ojca przeszedł swoją sławą,“
Aby pociechę miała zacna matka prawą!

z Homera.

(Przełożył Lucjan Rydel).

V. DUMY I KANTATY NA CZEŚĆ MĘŻÓW ZASŁUGI.

Duma o Stefanie Potockim.

Już Podola żyzne niwy
Chmielnicki hordy *) zalegał,
Już głos matek przeraźliwy
W smutnych się skałach rozlegał,
Rzuca rolnik pług i rolę,
Wszędzie hoże wiodą branki,
Pasterz woli iść w niewolę,
Niż odstąpić swej kochanki.

Syt wieku, szczęścia i sławy
Mikołaj **) wojsku przywodził,
Gdy jęk ludu i mord krwawy
Do uszu jego dochodził,
Westchnął, i twarz mu sędziwą
Łez potok skropił obfity,
Wspomniał na młodość szczęśliwą
I na wiek swój nieużyty.

A gdy siła chęci zdradza,
Gdy grot z słabej pada dłoni,
Syn ciężką starość nagradza,
Zdolny do konia i broni.
Niechętnie Potocki młody
Dni swoje trawił w pokoju,
Męstwo łączył do urody
I drżał na wspomnienie boju.

„Synu!—rzekł hetman ze łzami,—
Kraj twój w ciężkiej jest potrzebie,
Idź, broń go twemi piersiami,
Bądź godnym przodków i siebie.
Wiedz, że w każdej życia dobie
Dla ojczyzny tylko żyjesz.
Ja szczęśliwy legnę w grobie,
Gdy się ty chwałą okryjesz.”

---

*) hordami. **) Mikołaj Potocki, hetman koronny.

To mówiąc, żegna rycerza,
Czułe mu dając ściśnienie.
Już Stefan zbroje przymierza,
Już czarne włosów pierścienie
Złotym okrywa szyszakiem,
Lecz nim zbrojny wszedł do szranku,
Między cnych panien orszakiem
Postrzegł swą lubą na ganku.

Elżbieta, młoda i hoża,
Wierna miłości i chwale,
Twarz miała świeższą, niż róża,
Usta żywsze nad korale.
Cel życzeń wszystkiej młodzieży,
Temu serce swe oddawa,
Kto do boju pierwszy bieży,
Komu droga miłość, sława.

Staje rycerz uzbrojony
Przed swej kochanki oblicze:
„Tobiem winien, rzekł wzruszony,
Życia mojego słodycze;
Niechaj mi twoje wspomnienie
Towarzyszy w bitw zapale;
Niech ostatnie życia tchnienie
Poświęcę tobie i chwale!”

Żal przerwał czułą przysięgę,
Głos Elżbiety płacz tamuje,
Zdjąwszy z siebie białą wstęgę,
Rycerza nią przepasuje:
„Idź, powróć, cośmy stracili;
W ten znak miłości przybrany,
Bodajbyś był w każdej chwili
Równie szczęsny, jak kochany.“

Lecz już trąb i kotłów wrzawa
Zgromadza zewsząd rycerze,
Tuman kurzawy powstawa,
Wszędzie hełmy i pancerze,
Dziedziniec, bramy i wieże
Zewsząd okrył lud ciekawy,
Spada most, co zamku strzeże,
Ciągnie wojsko na bój krwawy.

Nim przyszli pod żółte Wody,
Ciągnęli śpiesznie noc całą;
Słońce w dzień tej złej przygody
W krwawych obłokach powstało,
Bohdan *) hufce swe rozłożył,
Jak tylko oko zamierza;
Mnóstwem się Stefan nie trwożył,
Z garstką na tłumy uderza.

Już wojska zwarły się razem,
Śmierć niosące ognie błyszczą,
Hełm się zgina pod żelazem,
Strzały na powietrzu świszczą,
Lecz gdy wódz nieulękniony
Walczy w tłumie niebezpiecznym,
Strzałą w piersi ugodzony,
Pada, ujęty snem wiecznym.

Tak pewne naszych zwycięstwo
Zgon wodza młodego zdradza,
W żal ciężki zmienia się męstwo,
Wojsko się w koło zgromadza;
Łzami skrapiają twarz bladą,
I otarszy ze krwi blizny,
Ciało na tarcze swe kładą,
Nadzieje wojska, ojczyzny.

W pośród dąbrowy zielonej
Zwłoki rycerza złożyli,
I na wstędze krwią zbroczonej,
Zbroję jego zawiesili.
Tam nieszczęśliwa kochanka,
We łzach pędząc dni żałosne,
Od wieczoru aż do ranka
Rozwodzi skargi miłosne.

Spoczywaj, rycerzu, mile
Między cichym drzew tych cieniem,
Niech księżyc głuchej mogile
Przyjaznym świeci promieniem!

J. U. Niemcewicz.

---

*) Chmielnicki.

Na grobie Wincentego Pola.

Ciebie, ach, duchy zawiodły łaskawe
Do zdrojów przeszłej pokoleń wielkości,
I moc ci dały dawną wskrzesić sławę
I ubrać w ciało rozsypane kości.

Na znak twój—przeszłość uśmiechnięta wstała
I kipi życiem rycerskiej drużyny;
W bojowym szyku proporce rozwiała,
Znów na orężne gotując się czyny.

Znów chrzęszczą zbroje i husarskie skrzydła
I z wzdętą piersią arabskie rumaki
Rwą się do boju pomimo wędzidła—
I przelatują jak huragan jaki!

Szlacheckie dworki, wypełnione zgiełkiem,
Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie,—
Wszystko to miga tęczowym światełkiem,
Drży w tonach pieśni uroczo i smutnie.

Wszystko powstało i wszystko ożyło!
Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie wierzy;
Natchnione serca znajdą pod mogiłą
Gotowych w szranki powrócić rycerzy.

Tyś znalazł słowa zaklęć, co z błękitu
Zniknione mary na świat przywołały:
A więc stać będziesz kolumną granitu—
Pomnikiem polskiej i pieśni i chwały.

Asnyk.

Kantata

NA JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

CHÓR.

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy,
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zdobyć wiano
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą piersią własną
Wykarmił całe pokolenia
I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach, co nie gasną,
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą
I walcząc w ciszy i pokoju,
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięstw w dłoni
Nie wydrze ramię mu niczyje;
Burza go nieszczęść nie dogoni:
On wyszedł z ciemnej losów toni
I nieśmiertelny w sercach żyje!

GŁOS.

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci,
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodem,
Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona
A ludzkość ze czcią ich imiona
Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

CHÓR.

Więc w uroczystym dziś obchodzie,
Wielkiego męża czcimy święto!
W bratniej miłości, w bratniej zgodzie
Nieś mu życzenia swe, Narodzie,
Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie
I zbiera owoc swoich trudów,

W wielkich zdobywców stając rzędzie;
Niechaj ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów!

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której zwolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie;
A czyn zamknięty dotąd w słowie
Najmilszą będzie mu nagrodą!

Asnyk.

W dzień przeniesienia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel.

Wzięli ją z ziemi na ramiona
I w białe róże otulona,
Zakuta w trumnę, ale dumna,
Bo jej nie mogła objąć trumna,
Szła pieśń.

Poczęli za nią płakać młodzi,
Że im się taka pieśń nie rodzi,
Że ją ujrzeli cichą, w trumnie,
Gdy pośród starców, zbiegłych tłumnie,
Szła pieśń.

Po ludziach przeszedł szał oręża,
Bo ta, co walczy i zwycięża,
Ta, która umie, kiedy w trumny
Położą naród, rwać całuny,
Szła pieśń.

Nieśli ją w ciszy i żałobie,
Lecz nie złożyli pieśni w grobie,
Bo w białych zwojach, w róż koronie,
Aby z królami być na tronie,
Szła pieśń.

K. M. Górski.

Pamięci Pauliny Krakowowej.

Zm. d. 11 lutego 1882 roku.

Kto, jako dobry rolnik, w ziemię czarną
Ojczystej gleby rzuca zdrowe ziarno,
Ten nie umiera, lecz tylko odchodzi—
Bo choć go niema, to siew jego wschodzi.
Ludzie plon zbiorą i chleb zeń wypieką;
A jak szerokim był siew, tak daleko
Sumienna praca dobrego rolnika
Zasila braci i w krew ich przenika.

Niedawno z pośród murów tego miasta
Jedna szlachetna odeszła niewiasta:
Kto była? czym jej imię wśród nas świeci?
Spytajcie tylko wszystkich polskich dzieci,
Lub polskich matek zapytajcie raczej!

Jako ten lirnik, co wzrusza słuchaczy,
Gdy w struny ręką natchnioną uderzy,
Tak ona grała na sercach młodzieży:
Umiała iskry w nich święte rozpalać,
Wesele wzbudzać i do łez rozżalać,
Nad bliźnich losów niedolą lub nędzą...
Tak dusze złotą osnuwała przędzą—
A chcąc je wzmocnić i ustrzedz od skazy,
Kładła przed niemi promienne obrazy
Dobrych uczynków.
Umysł jej bogaty
Mógł był na szersze wydobyć się światy,
I wawrzynowy uwić sobie wieniec—
Lecz ona, jak ten pracowity żeniec,
Co zbożem pole ozłocił jałowe,
Kłosy przeniosła nad liście laurowe.
Wolała, świetne omijając szranki,
Z kwiatów swych myśli dzieciom splatać wianki.
Tak pracowała u podstaw narodu,
Ta, co odeszła już z naszego grodu
Obywatelską zasługą dostojna.

Była to postać pogodna, spokojna,
Z promiennym ducha jasnością obliczem
I nie skarżyła się nikomu z niczem,

Co pierś jej własną krwawiło boleśnie...
Do pracy dziennej wstała bardzo wcześnie,
A odpoczęła już późnym wieczorem.
Przez życie idąc dawnych niewiast torem,
Trzymała w dłoniach dwa święte sztandary:
Miłości kraju i czci ojców wiary.
Pokój niech będzie ludziom dobrej woli,
Co dobro sieją na rodzinnej roli!

Zofja Urbanowska.

VI. PIEŚNI, DUMKI.

Piosnka rodzinna.

Litwo moja! Litwo droga!
Wymodlona, wypłakana,
Wycierpiana mi u Boga,
Ziemio moja obiecana!

Dziś na Ojców świętym progu,
We łzach słodkich na twarz padam,
I hołd wielki w modłach Bogu,
Hołd mój w pieśni tobie składam.

Długo, długo, za łez strugą,
Jak za morzem stałaś mi!
W cudzej stronie, z bolem w łonie
Duch o tobie wiecznie śni.

I choć w kraju tym, jak w raju,
I współczucia człowiek syt;
Sercu chłodno, duszy głodno,
I wygnańczy ciężki byt!

Czarodziejkoż moja złota!
Rajska moja niezabudko!
Coś w zaraniu dni żywota
Kwitła jedną chwilę krótką!

Cóż mi wrosłaś tak do duszy?
Skąd uroczy czar twój ten,
Że twych wspomnień nic nie zgłuszy,
Że ich pełne jaw i sen?

Czemu w ciężkich trosk męczarni,
Jak ptak w burzy, duch znużony;
Niby w namiot drzew zielony,
Na spoczynek tam się garnie.—

Gdzie nad Niemnem, Wilją, Słuczą,
Między piaski i topiele,
W dzikich borach wichry huczą,
Ponad niwą mgła się ściele;

Gdzie lud w czarnej chatce siedzi,
Siły krzepi chlebem czarnym,
Nieraz w głodzie, często w biedzie,
Przygnębiony trudem marnym?...

Czemu wciąż się myśl tam błąka,
Czym jej droga owa strona,
Kędy Niemen i Jaczonka
Wzięły wyspę w swe ramiona?

Gdzie śród fali piasków płonnych
Sterczy kilka lichych zrębów,
Kilka sosen i jarzębów,
I czeremszyn kilka wonnych?

Czemu w owej rajskiej chwili,
Kiedy słodząc życia nędzę,
Anioł nieba mi przychyli
I da osnuć marzeń przędzę,—

To wnet w oczach ta jedyna,
Ta wysepka ukochana?...
Słychać wody szmer u młyna,
Słychać klekoty bociana;

U kapliczki dzwonek dzwoni,
Szepcą pacierz stare sosny,
A za Niemnem gdzieś na błoni
Słychać trzódki ryk donośny,

I poważnie a wspaniale,
Przez Niemnową bystrą falę
Mkną wiciny, spławy drzewa,
I wesoły flisak śpiewa.

A rój dziatwy w koszulinie
Po wybrzeżu biegnie piaskiem
I wesołym wita wrzaskiem
Każdy statek, co nadpłynie.

A w tej zgrai, któż to przodem,
Z gołą główką, z wędką w dłoni,
Bosą nóżką raźno goni
Niezrażony deszczem, chłodem?

Byćże może?!... jak Bóg w Niebie,
Wszakci widzę tu sam siebie!
Ach! sam siebie, bo ten dworek
To mój drogi Żuków—borek!

Bo piaszczysta ta wysepka,
To młodości mej kolebka,
To gniazdeczko me różane,
Gdziem sny prześnił młodociane.

Gdzie duch skrzydła wziął sokole,
Skąd rozwinął polot rzeźki
Na niedolę, czy na dolę,
W kraj ten cudny, kraj niebieski...

Czarodziejskież to zacisze!
Jak za drzwiami tam u Boga
Człek swobodą, szczęściem dysze,
Wiecznie kwitnie radość błoga.

I nie trzeba skarbów świata,
Ni przepychu, ani cześci;
Ubożuchna nizka chata—
Cały skarb tam szczęścia mieści.

Dobrzy, zacni ludzie wszyscy,
Bez zawiści i bez dumy,
Zawsze sobie sercem blizcy,
Niby swaty, niby kumy.

Nikt nie liczy bratnich groszy,
Ani rodu ma na względzie,
Ani strojem się panoszy,
A poczciwy poczciw wszędzie.

Bracia moi! czyż wierzycie?
Czy za bajkę macie pieśnie?...
Wierzcie, wierzcie, bom nie we śnie,
Lecz na jawie znał to życie!

Póki w srebrnej swej obręczy
Niemen trzymał tam mój świat,
Wierzył w ludzi duch młodzieńczy,
Każdy człek mu był jak brat.

Lecz z za Niemna, z za Jaczonki,
Gdy pobiegłem w dal na trud,
Wnet minęły rajskie dzionki,
Bo dziecięctwa zniknął cud!

Szkoda! szkoda... Nuż ma pieśni
Na weselny zabrzmij strój!
Ejże wskrześnij w duszy wskrześnij,
Czarodziejski światku mój!

Niech zagrają dźwięczne wody,
Niech zaszumią stare drzewa,
Jaskółeczka niech zaśpiewa
U okienka mej zagrody!

Świeci, świeci drugi światek!
I przy ojców stoją chacie
Dobrze znane mi postacie
Starych druhów z młodych latek.

Prosta chatka, ludzie prości,
Skromne, ciche, proste życie...
Chcecież poznać?... czyż uczcicie,
Czyż uznacie te świętości?

Szare zręby jedlinowe,
Chatka nizka i maleńka,
Lecz ojcowska droga ręka
Plan kreśliła na budowę.

Ojciec pierwszym był tu cieślą;
Sam dał pierwsze podwaliny,
Polecając rzewną myślą
Bogu szczęście swej rodziny.

Cześć-że tobie, cieślo drogi!
Święte były twoje modły!
Nieraz troski nam dobodły,
Ale nigdy za twe progi

Nie wchodziła chuć ladaca,
Grzeszna skarga, wyrzekanie;
Zawsze zgoda, miłość, praca,
I bądź wola Twoja, Panie!

A z Dzieciątkiem Matka Boża
I wybranych Pańskich grono,
W które domek przystrojono,
Ach! to święta sercu stróża!

Niby żywi—nie obrazki,
Wciąż przytomni w majestacie,
Bożą chwałę mnożą w chacie,
Mnożą skarby Bożej łaski.

A więc do nas, gościu drogi!
Do nas, wdowo i sieroto!
Wszystkim, co ma dom ubogi,
Podzielimy się z ochotą.

Ach! i sercem się podzielim,
Byle ulgę przynieść komu;
Ból ukoim, rozweselim,
Gość nam w domu, Bóg nam w domu!

A przy chatce, o, mój Boże!
Cóż to kwiecia, przepych jaki!
Jakie lilje, jakie róże!
Jakie piękne astry, maki!...

Boże drzewko, ze szałwiją
Świeża ruta z konufjorem...
Te się wdzięczą, te wonieją,
Te nam strojem, te doktorem.

Skromne kwiatki, skromne ziółka,
Jest piękniejszych wiele w świecie;
Lecz z nich miodek zbierze pszczółka,
Dziewczę w warkocz je zaplecie.

Z nich na ołtarz do kościoła
Takie cudne snopki wieńce!...
O! nic zrównać im nie zdoła,
Bo je drogiej matki ręce

Zasiewały na te grzędy,
Ona czułą straż ich trzyma.
O! jest dosyć kwiatów wszędy,
Ale takich dla mnie niema...

A za kwieciem, tam, przy płocie,
Tam, w zielonym tym namiocie
Z młodych brzozek i jedliny,
Jaki pyszny tron z darniny!

Znajdęż kędy drugi taki?
Znajdęż chwilę taką drugą,
Jak ta, kiedyśmy dzieciaki,
Wszyscy bracia, długo, długo

Krzątając się tam z mozołem,
Ukończyli sprawę walną,
I z radością tryumfalną
Do rodziców biegli społem.

I rodzice przyszli mili,
I usiedli na darniówce,
I z uśmiechem pochwalili,
Pogłaskali nas po główce;

A my u nóg w jednym gronie,
Wzajem splotszy się rączęty...
O, mój Boże! Boże święty!
Już tam chyba przy Twym tronie

Znajdziem drugą taką chwilę,
Tak się grono nasze zgarnie...
Dziś i marzyć o tym marnie;
Ten daleko, ów w mogile!...

Ejże, dosyć!... Cóż sąsiedzi?...
Tam, nad rzeczką, paroch siedzi
W starym domku pochylonym,
Z żoną, z dziatwy licznym gronem.

Pełen wiary i prostoty,
I pokory wielkiej ducha,
W księgach świętych słucha joty,
W życiu serca swego słucha.

Czyta w swoim starym mszale
I lud Boży błogosławi;
I ku Bożej wiodąc chwale,
Wzór mu żywy w sobie stawi:

Jak w cichości i pokorze
Krzyż swój ciężki nosić wiernie,
I jak depcąc ostre ciernie,
W miłosierdzie ufać Boże.

A związany z dobrym ludem
Wspólną dolą i niedolą,
Wspólną wiarą, wspólnym trudem
Z nim się dzieli chlebem, solą.

I nie wzgardzi chatką czarną,
I na prostą siądzie ławę,
Aby z kmieciem dzieląc strawę,
Siać miłości bratniej ziarno.

On i u nas gość ochoczy,
Rad gawędzi u komina,
I w warcaby wojnę toczy,
I w ćwika się walnie zcina...

Dobra dusza!... biedny człowiek!...
Co za smutny życia kres!
Gdy go wspomnę, to mi z powiek
Rwą się gwałtem zdroje łez!

I tak długo cierpiał, długo,
Aż się wreszcie Bóg użalił
Nad nieszczęsnym swoim sługą,
Co go prostym sercem chwalił;

Dał dopełnić cierpień miary
I odpocząć w cichym grobie;
A w serdecznej lud żałobie
Wdział na niego ornat stary.

Niech tam duszy ci nie rani
Twojej wdowy płacz serdeczny
I sierotek rzewne łkanie!
Pokój tobie! pokój wieczny!...

Ejże, biedne, biedne dzieci!
Opłakana dola wasza,
Jak tych ptasząt śród zamieci,
Bez ziarneczka, bez poddasza!...

Gdzież się podział błogi czas,
Gdy ochocze nasze kółko
Z głośnym śmiechem biegło w las,
Lub igrało nad rzeczułką?

Biedni, biedni! cierpień tyle,
Taka błędna życia droga,
Poniewierka taka sroga
Lub przedwczesny sen w mogile!...

O, wyż moi, wy rówieśni!
Gdy już przeszłość ta nie wskrześnie,
Daj wam, Boże, lekką ziemię,
Ciężkiej doli lekkie brzemię!...

Ad. Pług.

Noc idzie.

I.

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela
Z traw na nią derkacz głośno woła,

A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Wiatr-giermek szatę niesie zwiewną,
Z przędziwa mgły wieczornej tkaną,
Za swoją panią i królewną,
W cichy śpiew łąki zasłuchaną...

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie z giermkiem swoim cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

II.

Idzie noc srebrna, zadumana,
Osnuta siecią mgieł pajęczą—
A przed nią boru czarna ściana,
Zamykająca świat obręczą...

A przed nią stare szumią drzewa,
Sosny srebrnieją od księżyca,
Ciepły już zdala wiatr zawiewa,
Pachnie jałowiec i żywica...

Noc wschodzi srebrna w bór wiekowy,
Wkoło się jodły, modląc, chwieją,
Sosny zielone chylą głowy,
Czar tajemniczy idzie knieją...

Wśród drzew się mości droga złota
I noc przechodzi cicha po niej,
A za nią idzie w mgłach tęsknota
I świerszczów chór w oddali dzwoni...

III.

Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
Przez mazowiecką równię senną;
Balsamem śpiących łąk oddycha,
W dal idzie jasną i promienną...

I niesie z sobą ukojenie,
I niesie z sobą zdrój pociechy

Przez mazowieckich pól przestrzenie,
Pod mazowieckie smutne strzechy...

Idzie noc srebrna, smętnolica,
Na ukochaną patrzy ziemię,
Co przystrojona w blask księżyca
Po bólach dnia w śnie cichym drzemie...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Zdzisław Dębicki.

Piosenka w Karpatach.

Każda góra ma swą chwałę,
Swe podanie i swój szczyt.
Na nich leżą śniegi białe,
Jakby jakiś wieczny świt.

Orzeł wisi na szafirze
Jak na tarczy rznięty znak.
Prąd potoku brnie po żwirze,
Jakby twardy życia szlak.

Głos odradza się cudownie,
Gada w echu dusza gór,
Stoją skały jak warownie,
Okłębione dymem chmur.

Sto źródełek z jam bulgocze,
Jakby kłótnia srebrnych larw.
Przez obłoczki pół-przezrocze,
Sto bajecznych świeci barw.

Gra w pozłocie zielonawej
Roztoczony wachlarz gór.
Błękitnieją na nim stawy,
Jakby oczy pawich piór.

Ogień pryska z piersi pstrąga,
Puchem fjołków pachnie głaz,
A kosodrzew się przeciąga,
Jak zaklęty w drzewo płaz.

Na koniku, okazale,
Pasterz jedzie z dolnych pól,
Tuż pod gwiazdy, na swe hale,
Jak w swym państwie jedzie król.

Idzie ścieżką Podhalanka,
Na jej licach róże dwie.
Rwie jagody, rwie do dzbanka,
Jak poeta myśli rwie.

Giemza idzie przez otchłanie;
Za nią strzelec, iskra gór.
Owce zwisły na polanie,
Jakby biały pereł sznur.

O wieczorze trzoda wraca.
Postrachami ćmi się las.
Przy ognisku siedzi baca,
Żółte guzy wbija w pas.

Konwie stoją pod szałasem;
Niby w liljach, mleko w nich.
Idzie zbójnik czarnym lasem,
Za nim wojsko duchów złych.

Jakby rumak rży lawina.
Orkan puścił cugle wód,
Skrzącą kosą bory ścina,
Jak śmierć ludzki ścina ród.

Wichry pędzą skroś manowca,
Z gór na góry, w jeden skok.
Piorun zrywa zrąb lodowca,
Jak królewnę chwyta smok.

Zcichły gromy, lecz zwaliska
Zostawiły w gmachu skał.
Płyną chrzęszcząc rumowiska.
Z trumny wieków chaos wstał.

Lśnią nabrzmiałe wodospady,
Jak pałace z tęcz i szkła,
Siadł na skale kobziarz blady,
Nad nim słońce, niżej mgła.

Szumi kobza—szumią drzewa,
Grajek słucha pieśni gór.
Każda góra swoją śpiewa;
Tysiąc szczytów—jeden chór.

Wzlatuj, duszo!—Przegoń wiatry!
Nad burzami pieśnią żyj!
Niech się święcą matki Tatry,
Na ich łonie sercu lżej!

Deotyma.

U nas inaczej.

(DUMKA).

Smutnoż tu, smutno, bracia, za Dunajem,
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą—i świat cały nudzi;
Cudzo—och, pusto—śród świata i ludzi!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! I bujnie, i miło:
Hej, nie zastępuj na drodze, mogiło!
Nie ściel się cieniem! niech sokole oko
Kąpię w burzanach lubo a szeroko!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! Ponad Ukrainą,
Wskroś okolicą jarzącą się, siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmącony.
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! Co zaśpiewam w dumie—
Co w głowie knowam—brat, koń mój, rozumie;

Rży po swojemu:—czy tabun pamięta?
Och, za wolnością tęsknimy bliźnięta!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! Wciąż nuta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby,
Ku druhom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach i chwale.
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! Dziewczyna już marzy,
Coś ze swej dumki zwierciedli na twarzy;
Pusta rusałka—powiewna postawa,
Piękna, kochana—a tęskna i łzawa:
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! Jakoś lżej, weselej,
Krew gra burzliwiej:—o! wina mi nie lej!
Samym powietrzem po pijanemu żyję:
A kiedy hulam—to na łeb, na szyję!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

U nas inaczej! Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże, łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi to wspomnienie w niebie!

Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej—inaczej—inaczej!

J. B. Zaleski.

Hymn o zachodzie słońca na morzu.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.

Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błysną nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał niegdyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący—marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

D. 29 październ., dopływając do Aleksandrji 1836 r.

J. Słowacki.

Letni wieczór.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg;
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezja światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok;
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten...
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

Adam Asnyk.

Ranek w górach.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole—lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannym oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży!

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie;
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły, jak z kąpieli
I swym łanem świecą czystym,

W granitowej świecą bieli,
W tym powietrzu przezroczystym.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny:
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza;
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorach sinej tarczy;

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny—a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta;
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta—

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Adam Asnyk.

Pozdrowienie.

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.
Wichrze! nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd!
Przydrożne wierzby, świerków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz,
I wszystkich ludzi z chat.
I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj!

Kazimierz Tetmajer.

Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką—
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali:—„Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.”

Słonko na to:—„Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,

Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach;

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną:
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić—
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić!"

A. Asnyk.

Siedzi ptaszek na drzewie...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa;

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie—
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie...

A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

A. Asnyk.

VII. Z Epigramatów Brodzińskiego.

DO CZUŁEGO.

Najbliższą jest anioła dusza w ludzkim ciele,
Gdy smutna, ciesząc innych, udaje wesele.

WŁASNOŚĆ.

Kto niema skiby ziemi z pracy lub spuścizny,
Ten zawsze jest wygnańcem, pasierbem ojczyzny.

DOBRA CHĘĆ.

Kiedyś robił jak przystało,
Nie płacz, że się nie udało.

PORZĄDEK.

Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.

CZAS.

Chociaż nie skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło porwie grób.
Choć tu dla czynów krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.

ŁZA.

Łza na kwiat padła, jak rosa błyszczała,
Łza na lód padła i lodem się stała.



